

Oszłamiająca, wpędzająca w paranoję powieść.

ANTOINE BELLO

PRODUCENCI

Mroczna działalność enigmatycznego
Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości.



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

ANTOINE BELLO PRODUCENCI

Z języka francuskiego przełożyła
Elżbieta Janota



Tytuł oryginału:
LES PRODUCTEURS

Copyright © Éditions Gallimard, 2015.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Agnieszka Radtke

Korekta: Emilia Grzeszczak, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-8110-419-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

--o00--(̄@̄)--00o--

Spis treści

Streszczenie Fałszerzy oraz Wywiadowców

Dedykacja

Część pierwsza. Hollywood

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Część druga. Sydney

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

Część trzecia. Veracruz

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

Posłowie

Przypisy

Julienowi

Streszczenie *Fałszerzy* oraz *Wywiadowców*

W 1991 roku Sliv Dartunghuver, młody Islandczyk z dyplomem z geografii, zostaje zatrudniony przez biuro badań środowiskowych Baldur, Furuset i Thorberg. Jego przełożony, Gunnar Eriksson, wyjawia mu, że agencja służy za przykrywkę dla tajnej organizacji o nazwie Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości, w skrócie KFR. Jej agenci, rozsiani po setkach biur i stacji na całym świecie, tworzą scenariusze, które następnie starają się wprowadzić w życie, fabrykując źródła lub modyfikując istniejące dokumenty. I tak na przykład suczka Łajka, która rzekomo okrążyła Ziemię na pokładzie satelity Sputnik, nigdy nie istniała. Pomimo nalegań Sliva Gunnar odmawia zdradzenia celu KFR-u oraz tożsamości jego szefów.

Sliv zgadza się dołączyć do Konsorcjum, nie do końca zdając sobie sprawę ze wszystkich implikacji swojej decyzji. Niedługo potem wychodzą na jaw jego wyjątkowe zdolności scenopisarskie, a pierwsza teczka (opis zabiegów międzynarodowej korporacji mających na celu wysiedlenie Buszmenów z ziem ich przodków) przynosi mu nagrodę za najlepszy debiutancki scenariusz. Podczas rozdania trofeów na Hawajach spotyka Kameruńczyka Angouę Djibę, dyrektora Planu KFR-u, a także dwoje młodych agentów, Indonezyjkę Magawati Donogurai oraz Sudańczyka Youssefa Khrafedine, którzy zostaną jego najlepszymi przyjaciółmi.

W 1993 roku Sliv obejmuje nowe stanowisko w argentyńskiej Córdobie. Tamtejsze biuro specjalizuje się w operacjach falsyfikatorskich, domenie stanowiącej słaby punkt Sliva. Pracuje pod rozkazami Leny Thorsen, niewiele od siebie starszej Dunki, która przed nim zaczynała u Baldura, Furuseta i Thorberga. Między Slivem, nadzwyczaj uzdolnionym, lecz niedbałym scenarzystą, a piękną Leną, która jak nikt inny opanowała sztukę podrabiania źródeł, tworzy się zdrowa rywalizacja. Pewnego dnia, kiedy Slivowi spieszy się, by wyjechać na wakacje z Magą i Youssefem, zapomina zweryfikować źródło w teczce dotyczącej galosza – ryby, która w tajemniczy sposób pojawiła się w wodach Pacyfiku. Na jego nieszczęście nowozelandzki rząd interesuje się kwestią galosza, wiążąc ją z francuskimi próbami nuklearnymi na Pacyfiku. Sliv ogarnięty paniką na myśl, że zostanie odkryty, usiłuje zatrzeć za sobą ślady, ale udaje mu się jedynie zwrócić na

siebie więcej uwagi. Lena czuje się w obowiązku wezwać na pomoc Operacje Specjalne. Nazajutrz zjawia się dwóch wyjątkowo niepokojących agentów, Jones i Khoyoulfaz. Thorsen, zatroskana o własną karierę, pogrąża Sliva, którego zażarte protesty nie mogą jednak sprawić, że pozostali zapomną, iż swoją nieostrożnością naraził bezpieczeństwo KFR-u na szwank. Zapada wyrok: aby zniwelować ryzyko, należy usunąć nowozelandzkiego urzędnika, Johna Harkleroda. Lena podpisuje rozkaz wykonania misji, Sliv jednak odmawia i zaczyna się burzyć: nikt nigdy nie poinformował go, że KFR nieraz jest zmuszony kogoś zabić. Thorsen oskarża Sliva o naiwność – gdyby zastanowił się dwie minuty, zrozumiałby, iż sekretny charakter organizacji obliguje ją czasem do sięgania po radykalne środki. Na koniec Khoyoulfaz ogłusza Sliva. Kiedy ten się budzi, jest już za późno: Harkleroad nie żyje.

Sliv składa rezygnację i wyjeżdża z Córdoby, nie spotkawszy się ponownie z Thorsen. Znajduje schronienie u matki na Islandii, gdzie ogłupia się pracą fizyczną, aby zapomnieć o swojej zbrodni. Chociaż planował wystąpić z organizacji, zdaje sobie sprawę, że falsyfikacja jest jak narkotyk, i prosi Gunnara, żeby przyjął go z powrotem. Kilka dni później otrzymuje nowy przydział: wyrusza do Krasnojarska na Syberii, gdzie ma odbyć kurs w Akademii kształcącej przyszłych szefów KFR-u.

W Krasnojarsku panuje atmosfera pilności i współzawodnictwa. Pod koniec pierwszego roku najlepsi studenci mogą wybrać jeden z trzech elitarnych organów: Plan, Główny Inspektorat albo Operacje Specjalne. Sliv bez trudu utrzymuje się w czołówce, a w czasie wolnym redaguje niezwykle udaną teczkę o archiwach Stasi – tajnej wschodnioniemieckiej policji. Mimo że początkowo zamierzał wstąpić do Planu, zarządzanego przez jego mentora Angoué Djiba, pod wpływem impulsu decyduje się na Operacje Specjalne, których dyrektorem jest nie kto inny, jak Yakoub Khoyoulfaz, który przed rokiem ogłuszył go w Córdobie. Towarzyszy mu Lena Thorsen, od której nie sposób się uwolnić.

Następnie Gunnar wyjawia Slivowi, że epizod w Córdobie został wyreżyserowany. John Harkleroad żyje. KFR chciał zademonstrować nowicjuszowi, na jakie niebezpieczeństwa może narazić organizację swoją beztroską. Sliv z początku ma to wszystko Gunnarowi za złe, ale uświadamia sobie, że opiekun działał dla jego dobra.

Sliv wiele się uczy, przestając z Khoyoulfazem. Przez dwa lata podróżuje po sieci KFR-u i rozminowuje dziesiątki delikatnych sytuacji, nigdy nikogo nie zabijając. Porządkuje starą teczkę o mapie Winlandii (wedle której Wikingowie odkryli Amerykę pięć wieków przed Krzysztofem Kolumbem) i przy okazji zyskuje przekonanie, że KFR powinien zaprzestać fizycznej falsyfikacji i skoncentrować się na jej elektronicznym, mniej niebezpiecznym odpowiedniku. Komitet Wykonawczy KFR-u przyznaje mu słuszność i prosi, aby objechał biura z wykładem na temat reformy. Inny wielki projekt Sliva – pomoc Buszmenom w utworzeniu niezależnego państwa – zostaje jednak odrzucony.

Po ukończeniu Akademii Lena osiedla się w Los Angeles i nie daje znaku życia. Sliv z kolei wraca do Reykjavíku, by być blisko Gunnara, który niedawno stracił żonę. Odnawia kontakt ze starą znajomą ze studiów, Niną Shoeman, która została swego rodzaju zawodową bojowniczką walczącą z wszelką niesprawiedliwością. Mimo że coś w Ninie go pociąga, Sliv uznaje jej aktywizm za odrobinę niedorzeczny.

Podczas ataku na WTC 11 września 2001 roku Sliv przebywa w Sudanie z okazji ślubu Youssefa z Magą i jest świadkiem scen zbiorowej radości po zawaleniu się bliźniaczych wież. Po powrocie zostaje wezwany do Nowego Jorku, gdzie dowiaduje się, że KFR od dwudziestu lat spiskuje, by zapewnić Timorowi Wschodniemu, dawnej portugalskiej kolonii, akces do ONZ-u. KFR, który potajemnie finansuje kandydaturę Timoru, liczy na ogromne korzyści, między innymi na możliwość posługiwania się immunitetem dyplomatycznym we wszystkich stolicach świata. Ale po 11 września Stany Zjednoczone, zaniepokojone eksplozją ruchów niepodległościowych na całym świecie, naciskają na Narody Zjednoczone, aby zaostrzyły warunki przyjęcia. Djibo, bojąc się, że dwadzieścia lat pracy pójdzie na marne, wysyła Sliva na Timor, by wspomógł działającą tam ekipę podczas zapowiadanej wizyty komisji ewaluacyjnej ONZ-u.

Na miejscu Sliv ze zdumieniem odkrywa, że operacjami zarządza jego odwieczna rywalka Lena Thorsen. Komisja ewaluacyjna, której przewodniczy Turek nazwiskiem Buruk, wstępnie wydaje negatywną opinię. Sliv i Lena, niezrażeni, postanawiają połączyć siły, aby odmalować Timor jako nieźle prosperujący kraj, po którym w każdej chwili można się spodziewać zrywu gospodarczego. Sliv w pewnym sensie funkcjonuje niczym osoba dotknięta łaską:

przez tydzień uważa się za Boga i dokonuje cudu za cudem. Komisja zmienia decyzję i kandydatura Timoru zostaje zaakceptowana.

Relacje pomiędzy Slivem a Leną, które poprawiły się dzięki tej współpracy, na nowo ulegają pogorszeniu, kiedy przed Komitetem Sliv przypisuje sobie zasługę za ich wspólny sukces. Przełożeni proponują mu miejsce w zespole kompletowanym przez Yakouba Khoyoulfaza, którego celem będzie zminimalizowanie ryzyka tego, iż dojdzie do starcia między Zachodem a światem arabskim. Wykracza to poza zwykły zakres obowiązków KFR-u, ale Angoua Djibo wyznaje, że organizacja czuje się odpowiedzialna za ataki z jedenastego września. W latach dziewięćdziesiątych Djibo podsycił antyamerykańskie nastroje wśród ugrupowań islamistycznych, żeby uświadomić Białemu Domowi, jaką niechęć wzbudza w świecie arabskim jego polityka. Plan KFR-u całkowicie spalił na panewce: nie tylko nie załagodził napięć między Islamem a Zachodem, lecz wręcz je zaostrzył.

W ciągu kolejnych miesięcy Sliv obserwuje, jak administracja Busha dokłada wszelkich starań, by usprawiedliwić plan inwazji na Irak. Sliv, dogłębnie zbadawszy tę kwestię, jest jednak pewien, że Irak nie dysponuje bronią masowego rażenia i nie brał udziału w zamachach z jedenastego września. Ale sprawa okazuje się jeszcze poważniejsza: zdaje się, że niektóre dokumenty, na które powołują się neokonserwatyści, zostały sfabrykowane przez agentów KFR-u. Sliv wypytuje Djiba – chce wiedzieć, czy KFR wykonuje czarną robotę dla CIA. Djibo zaprzecza. Mężczyźni muszą spojrzeć prawdzie w oczy: w KFR-ze działa zdrajca. Djibo porucza Slivowi zidentyfikowanie go. Sliv zapewnia sobie pomoc Gunnara, Youssefa i Magi. Lena zaś odmawia pracy pod jego rozkazami.

Gdy Youssef pojmuje, że Stany Zjednoczone szykują się do wojny na podstawie informacji sfalszowanych przez KFR, grozi, że ujawni wszystko prasie, aby zapobiec konfliktowi. Sliv błaga go, by tego nie robił, powołując się na wyższe dobro organizacji. Ale ponieważ nie znają celu przyświecającego pracodawcy, Sliv i Youssef nie są w stanie ocenić, czy warto dla niego pozwolić na wybuch wojny. Wreszcie Sliv, Youssef i Djibo dochodzą do porozumienia: w następnym tygodniu amerykański sekretarz stanu Colin Powell ma przedstawić Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ dowody na istnienie broni masowej zagłady. Jeśli nie wytoczy żadnych nowych argumentów, Djibo wyjawia misję KFR-u Slivowi, ten zaś będzie musiał w zgodzie z własnym sumieniem zdecydować, czy organizacja zasługuje,

aby przetrwać.

Colin Powell traci honor 5 lutego 2003 roku, na oczach kamer z całego świata broniąc amerykańskiego stanowiska, które wydaje się nie do obronienia. W obecności członków Komitetu Sliv, po raz kolejny dotknięty łaską, bezlitośnie obala wszystkie argumenty Powella, wykazując, że nawet amerykańskie tajne służby nie dają się nabrać na własne pokrętne rozumowanie.

Djibo dotrzymuje słowa i opowiada Slivowi, jak przed dwoma wiekami KFR został założony przez francuskiego szlachcica nazwiskiem Pierre Ménard, który przesiąknąwszy ideałami oświecenia oraz amerykańskich ojców założycieli, poświęcił fortunę na powołanie do życia stowarzyszenia ludzi dobrej woli. Ménard miał świadomość, że żadnemu skonkretyzowanemu projektowi, jakkolwiek szlachetny czy ambitny by był, nie uda się zjednoczyć setek ludzi różnych ras i kultur. A zatem, zatrudniwszy trzech pierwszych agentów, wyreżyserował własną śmierć, pozwalając, by jego dzieło go przeżyło. Sliva ogarniają zawroty głowy: a więc KFR nie ma celu. Djibo, a zwłaszcza Gunnar pomagają mu zrozumieć, że to właśnie stąd bierze się jego piękno: to wciąż otwarty projekt, narzędzie w rękach tych, którzy chcą czynić dobro.

Pozostaje zdecydować o losie KFR-u. Komitet wysłuchuje najpierw wyznania Leny Thorsen, gdyż to ona okazuje się zdrajczynią, która dostarczała sfabrykowane raporty Amerykanom. Twierdzi, że chciała w ten sposób zaprotestować przeciwko bezwstydnemu faworyzowaniu scenarzystów (uosabianych przede wszystkim przez Sliva) w strukturach KFR-u, i dumnie przyjmuje fakt, że zostaje zatrzymana. Nadchodzi pora na głosowanie. Trzy osoby opowiadają się za rozwiązaniem KFR-u, trzy za jego utrzymaniem. Decydujący głos należy do Sliva, którego właśnie przyjęto do Komitetu. Dostrzega w tym okazję, by nadać organizacji nową misję: chce, żeby ukazywała prawdę, a nie tylko ją modyfikowała. Głosuje za przetrwaniem KFR-u, po czym wskakuje w samolot do Londynu, gdzie wraz z Niną zamierza uczestniczyć w manifestacji przeciwko wojnie.

Część pierwsza
Hollywood

1

Dzwonek telefonu obudził mnie około piątej. Wyciągnąłem rękę, pomstując na drani, dla których mój sen tak niewiele znaczył. Moi bliscy nigdy nie wiedzieli, na jakim przebywam kontynencie, dlatego nabrali nieprzyjemnego zwyczaju telefonowania o każdej porze dnia i nocy. Na ich usprawiedliwienie powiem, że nie byli świadomi, iż regulamin KFR-u zabrania mi wyłączania komórki.

– Halo? – rzuciłem, zastanawiając się, w jakim języku przyjdzie mi zwymyślać natręta.

Po krótkiej chwili ciszy odezwał się metaliczny głos:

– Konieczna jest pańska obecność na nadzwyczajnym spotkaniu, które odbędzie się dziś o szóstej zero zero. Nie przyjmuje się żadnych usprawiedliwień. Koniec wiadomości. Aby odsłuchać nagranie ponownie, proszę wcisnąć gwiazdkę.

Trzymałem aparat przy uchu, na próżno czekając na jakieś dodatkowe informacje, aż kliknięcie oznajmiło koniec połączenia. Yakoub wspominał kiedyś o procedurze pozwalającej na wezwanie członków Komitetu w trybie nagłym, ale w ciągu pięciu lat, które spędziłem w tym organie, nigdy się to nie zdarzyło.

„Co się mogło stać?”, zastanawiałem się, biegnąc pod prysznic. Zrobiłem w głowie przegląd trwających operacji w poszukiwaniu takiej, która mogła się wykoleić. Żadna nie była szczególnie delikatna. Nawet jeśli Narody Zjednoczone zorientowały się, że bilans strat po cyklonie Nargis jest mocno przesadzony, podejrzewałyby, że to Birma usiłuje wpłynąć na opinię międzynarodową. Chińskie politbiuro też nie zareagowało, kiedy zhakowaliśmy sieć agencji prasowej Xinhua, żeby ogłosić, że ze względu na trzęsienie ziemi, które nawiedziło Syczuan, mieszkańcy tej prowincji wyjątkowo otrzymali zgodę na posiadanie drugiego dziecka. Ale osiem lat w Operacjach Specjalnych nauczyło mnie, że problemy nigdy nie wypływają tam, gdzie się ich spodziewamy.

Zszedłem na parking. O tej porze droga zajęła mi niecałe dziesięć minut. Nastawiłem radio na BBC International. Spiker melorecytował wiadomości z ubiegłej nocy z tym flegmatycznym dystyngowaniem, które jeszcze długo będzie

podtrzymywało iluzję brytyjskiej wielkości. Ehud Barak, izraelski minister obrony, żądał dymisji szefa rządu w związku z korupcją; nepalskie Zgromadzenie Konstytucyjne zebrało się tego dnia po raz pierwszy; holenderskim naukowcom udało się zsekwencjonować kobiece DNA. Doniesienia zdawały się raczej spokojne. Nie było mowy o zamachu stanu, aresztowaniu fałszerzy czy wymarłym gatunku, od którego zaroilo się w amazońskim lesie. Zacząłem rozważać ewentualność, że to tylko ćwiczenia – albo kiepski żart Yakouba.

KFR zajmował w biznesowej dzielnicy Toronto wieżę ze szkła i stali, której budowa trwała kilka lat, a kosztowała paręset milionów. W kabinie windy czekała mnie druga niespodzianka. Lampka umieszczona pod przyciskiem zamykania drzwi błyszczała groźną czerwienią. Nigdy nie widziałem, by świeciła inaczej niż na zielono, nawet w 2004 roku, w najgorszym okresie kongresowej komisji śledczej do spraw irackiej broni masowego rażenia.

Hipoteza o ćwiczeniach do reszty się rozwiązała, kiedy przed gabinetem natknąłem się na moją sekretarkę Jessicę. Nie posunęliby się do tego, żeby wzywać asystentki, uznałem, odwieszając płaszcz. Jessica wręczyła mi kubek kawy.

– Pomyślałam sobie, że będzie pan tego potrzebował.

– Dziękuję. Co się dzieje?

– Miałam nadzieję, że to pan będzie wiedział. Yakoub prosił, żebym go poinformowała o pańskim przybyciu. Jest na górze razem z innymi.

Coraz bardziej zaniepokojony wjechałem na ostatnie piętro, prosto do sali konferencyjnej, w której zbieraliśmy się średnio trzy razy w tygodniu. Na mój widok Yakoub Khoyoulfaz, który wisiał na telefonie, pożegnał się z rozmówcą i wyszedł mi na spotkanie.

– Dziękuję, że przyszedłeś – zaczął, chwytając mnie za ramię. – Czekamy już tylko na ciebie.

Rozejrzałem się wokół. Nie byliśmy w komplecie.

– Ching i Martin się nie zjawią?

– Ching wskoczyła w pierwszy samolot do Londynu, a Martin jest na rodzinnych wakacjach na Karaibach. Połącz się z nami przez wideotelefon.

– Londyn? – powtórzyłem, grzebiąc we wspomnieniach. – To ma związek z Lady Di?

– Nie. Cierpliwości, wkrótce się wszystkiego dowiesz.

Odebrał kolejny telefon, przepaszając mnie gestem. Skorzystałem z okazji, żeby przywitać się z kolegami i koleżankami. Zoe Karvelis, Greczynka zarządzająca naszym Działem Kadr, wyglądała na wymiętą. Zwykle taka elegancka, dziś ledwie zdążyła się uczesać i miała na sobie sweter z dziurą na łokciu, który chyba należał do jej męża. Z kolei po Sophie Onobanjo, Nigeryjce, która zastąpiła Claasa Verplancka, nie było widać śladu zmęczenia. Mówiło się, że potrzebuje zaledwie dwóch czy trzech godzin snu dziennie. Niewątpliwie była już na nogach, kiedy zadzwonił telefon.

Nagle na ekranie pojawiła się twarz Martina Suareza. Amerykanin był świeżo po kąpieli, ogolony. Jak przystało na byłego żołnierza marines, prawdopodobnie też starannie zaścielił łóżko i wyczyścił broń.

– Dzień dobry, Martin – odezwał się Yakoub, podczas gdy zajmowaliśmy swoje zwyczajowe miejsca wokół stołu w kształcie podkowy. – Właśnie mieliśmy zaczynać.

Suarez skinął głową. Nigdy nie strzepił języka na darmo.

– Dzisiaj około trzeciej nad ranem czasu uniwersalnego – zaczął Yakoub – Nigel Jones, agent drugiej klasy z centrum w Londynie, zapomniał swojego neseseru z taksówki, która zawiozła go do dzielnicy Knightsbridge. Neseser zawierał kilka niegroźnych dokumentów oraz jeden, który niegroźny nie jest, a mianowicie listę pięćdziesięciu scenariuszy, które miały zostać przeanalizowane podczas najbliższego zebrania komitetu oceny teczek.

– Słucham?! – zachnęła się Onobanjo. – Jak agent drugiej klasy mógł...?

– Nie ulega wątpliwości, że Jones pogwałcił niejedną zasadę bezpieczeństwa – przerwał jej Yakoub. – Jedyne agenci trzeciej klasy mają dostęp do dokumentów przygotowawczych komitetu, których zresztą nie mogą wynosić z biura, o ile ich wcześniej nie zaszyfrują...

– To ta lista nie była zakodowana? – Onobanjo nieomal się udusiła.

– Obawiam się, że nie. Żeby wszystko było jasne: popełniono błędy i polecać głowy. Ale naszym priorytetem jest odzyskanie walizki, zanim komuś uda się ją otworzyć.

Niepokój Onobanjo nie umknął niczyjej uwadze. Jako zwierzchniczka Głównego Inspektoratu, gałęzi KFR-u ustanawiającej procedury wewnętrzne i czuwającej nad ich przestrzeganiem, bez wątpienia będzie musiała odpowiedzieć za tę sprawę.

– Jak długo neseser może opierać się wysiłkom złodzieja? – zapytałem.

– Trudno stwierdzić. Zamek szyfrowy został pomyślany tak, żeby blokować się na godzinę po trzech nieudanych próbach. Osłona wytrzymuje nacisk kilku ton, a wyrzynarka nawet nie zarysuje powłoki z włókna węglowego. Ale nie róbmy sobie złudzeń: im bardziej niezniszczalna wyda się walizka, tym większe pożądanie wzbudzi jej zawartość.

– Czy neseser został wyposażony w nadajnik? – spytałem.

– Niestety nie, w przeciwnym razie nie wyciągałbym was z łóżek.

– Następna generacja będzie miała nadajniki – obiecała Onobanjo. – Będziemy mogli śledzić trasę każdego agenta.

– O ile jacyś się uchowają – rzucił Yakoub gorzkim tonem.

Oboje przygotowywali już argumenty z myślą o zbliżającym się dochodzeniu. Yakoub zarzuci Inspektoratowi, że spóźnił się z wdrożeniem prostego i wydajnego systemu lokalizacji, podczas gdy Onobanjo zasłonił się cięciami budżetowymi, które Komitet nałożył na jej wydział.

– Kiedy Jones zgłosił zaginięcie walizki? – zapytał Suarez z pokoju hotelowego na Karaibach.

– To drugie nieszczęście – westchnął Yakoub. – Ten kretyn potrzebował godziny na zorientowanie się, że popełnił głupotę, i dodatkowe pół godziny na uzmysłowienie sobie, że nie uda mu się jej zaradzić w pojedynkę. Zadzwoił do firmy taksówkowej, podając numer auta widniejący na paragonie. Kierowca utrzymuje, że nie znalazł neseseru. Po Jonesie obsłużył czworo pasażerów: trzech mężczyzn i jedną kobietę.

– Pamięta, gdzie ich zawiózł?

– Mniej więcej.

– To już coś – uznał Suarez z nieco wymuszonym optymizmem.

– Mamy więc pięcioro podejrzanych – oznajmiła Karvelis. – Czworo klientów plus taksówkarz.

– Zacznijmy od niego – zasugerowała Onobanjo. – Znamy przynajmniej jego nazwisko.

Yakoub podniósł rękę, żeby uciąć nasze spekulacje.

– Tak jak się pewnie spodziewacie, nasze londyńskie ekipy już podążają tymi tropami. Pytanie, które nasuwa się w tej chwili, to czy zgłaszamy kradzież do

Scotland Yardu.

– Ależ skąd! – wykrzyknęła Onobanjo. – Żeby policja ustaliła związek pomiędzy walizką a pracownikiem KFR-u?!

– Już może być za późno – zauważyłem. – Wiemy, czy Jones podał swoje nazwisko firmie taksówkowej?

– Nie podał – odparł Yakoub. – Miał na tyle przytomności umysłu, żeby zadzwonić z budki telefonicznej i posłużyć się pseudonimem.

– Po co więc zawiadamiać policję? Nie zrobią nic, żeby odzyskać neseser, jeśli nie zdradzimy im, co zawiera.

– Przeprowadźmy własne śledztwo – włączył się Suarez. – Mamy dużo większe środki niż Scotland Yard.

– Zoe? – zagadnął Yakoub.

– Przychylam się do ogólnej opinii.

– Dobrze, a więc się zgadzamy. Przed wyjazdem Ching uzgodniliśmy wspólnie kilka osi poszukiwań. W chwili gdy my tu sobie rozmawiamy, nasi informatycy włamują się do londyńskiego systemu monitoringu. Z trzystoma tysiącami kamer jest to najgęstsza sieć na świecie; przy odrobinie szczęścia uda nam się odtworzyć trasę taksówki i zidentyfikować czworo pasażerów. Zhakujemy też serwery centrali telefonicznej, na wypadek gdyby któryś z pasażerów zamówił taksówkę w ten sposób albo gdyby samochód był wyposażony w urządzenie rejestrujące trasę podróży.

Machinalnie skinąłem głową. Yakoub nie tracił czasu.

– Umieściliśmy kierowcę pod nadzorem: śledzimy, kiedy wychodzi i wraca, linie telefoniczne, transakcje bankowe, nic nam nie umknie. Jeśli, jak sądzę, okaże się niewinny, zahaczmy go, żeby pomógł nam przygotować portrety pamięciowe pasażerów. Macie jeszcze jakieś sugestie?

– Tak – rzekł Suarez. – Spróbujmy sami otworzyć jedną z tych przeklętych walizek. To nam pokaże, jakim czasem mniej więcej dysponujemy.

– Dobry pomysł. Coś jeszcze?

– Puśćmy ogłoszenie w gazetach, obiecując sowitą nagrodę osobie, która odniesie nienaruszony neseser – zaproponowałem.

– Świetnie. Zrobimy to jutro z samego rana.

– A czemu nie dziś wieczorem? „Evening Standard” pójdzie do druku dopiero za

godzinę czy dwie.

– Masz rację.

Po tym, jak Yakoub wdusił przycisk interkomu, żeby przekazać instrukcje swojej asystentce, Zoe Karvelis zadała pytanie, które wszystkich nas gnębiło.

– Co jeśli nie znajdziemy walizki?

Yakoub najwyraźniej przygotował sobie odpowiedź, chcąc zapobiec wybuchowi paniki.

– Na początek przypomnę, że KFR nigdy nie używa papieru z nagłówkiem i że poza bardzo rzadkimi wyjątkowymi sytuacjami żaden dokument nie nosi podpisu. Lista, którą wiózł Jones, jest niestety dość wymowna. Podaje położenie geograficzne jednostki, w której powstała każda teczka, tytuł fałszerstwa oraz kilkuzdaniowe streszczenie. Na przykład: „Jednostka: biuro w Pradze. Tytuł: Lauda i Ferrari oszukiwali w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym. Opis: wrzesień siedemdziesiątego szóstego, Ferrari naciska na Nikiego Laudę, by stanął do wyścigu w Monzie, zaledwie sześć tygodni po wypadku podczas Grand Prix Niemiec, w którym nieomal stracił życie. Lauda, mimo że potrzebuje punktów, jeżeli chce zdobyć mistrzostwo świata, nie czuje się na siłach, aby wystartować. A zatem to Carlos Reutemann, trzeci kierowca Ferrari, jedzie zamiast niego, dyskretnie zastępując widniejszego w rankingu Laudę. Kończy jako czwarty, zdobywa trzy cenne punkty w wyścigu o tytuł”.

Yakoub, obdarzony fotograficzną pamięcią, zawsze przemawiał bez notatek.

– Mimo że nie padają takie słowa jak „fabrykacja” czy „fałszerstwo”, pierwszy lepszy amator Formuły 1 od razu zorientuje się, że coś tu nie gra – uznałem.

– A osoba, która znajdzie neseser, z pewnością będzie się znała na jednym czy dwóch spośród pięćdziesięciu tematów – dodała Zoe.

– Wiem – przyznał Yakoub. – Może zabrzmie to pompatycznie, ale sądzę, że możemy śmiało stwierdzić, że to jeden z najpoważniejszych kryzysów, jakim musieliśmy dotąd stawić czoła. Nie śmiem nawet myśleć, co by się stało, gdyby ta walizka wpadła w niepowołane ręce: dziennikarzy, szantażystów, policji, tajnych służb... KFR z pewnością by tego nie przetrwał. Zarządziłem więc czerwony alarm: z samego rana we wszystkich jednostkach odbędą się ćwiczenia, dzięki którym sprawdzimy, czy jesteśmy w stanie opuścić lokale i zniszczyć obciążające dokumenty w mniej niż półtorej godziny. Wzmocnimy też zabezpieczenia

informatyczne, zróżnicujemy umiejscowienie środków pieniężnych i ponownie przeanalizujemy procedury ewakuacji personelu.

Ktoś doszedł do wniosku, że „ewakuacja” brzmi lepiej niż „paniczna ucieczka”. A jednak zamysł był ten sam: w sytuacji awaryjnej mieliśmy wszyscy rozpląnąć się jak we mgle dzięki timorskim paszportom, które otrzymaliśmy w 2004 roku. Swój wsadziłem na dno szuflady. Nie mógłbym przysiąc, czy jest nadal ważny.

– I na koniec – podjął Yakoub – jestem pewien, że zgodzicie się z moją decyzją, by tymczasowo zawiesić wszystkie teczki wymienione na liście.

– To się rozumie samo przez się – odparła głośno Onobanjo w nadziei, że dzięki tej gorliwości zapomnimy o niedociągnięciach jej podwładnych.

Podczas gdy kolejno kiwaliśmy głowami, z melancholią dumałem o agentach, którzy wypruwali sobie żyły nad tymi teczkami. W szaleńczych męczarniach wybrali temat, zapełnili notatkami setki kartek, stworzyli pierwsze szkice, zrodzone z dobrych intencji i bardzo często niedorzeczne, zastosowali się do mniej lub bardziej delikatnych uwag swoich opiekunów prowadzących i wreszcie z uwielbieniem patrzyli, jak drukarka wypłuwa tych kilka stron, od których będzie zależała ich przyszłość oraz – niektórzy byli o tym przekonani – całego świata. Pamiętałem, jakby to było wczoraj, dzień, w którym złożyłem scenariusz o Buszmenach przed Gunnarem Erikssonem, aby przekazał go do Londynu. Co bym wtedy pomyślał, gdyby jakiś imbecyl zostawił go na tylnym siedzeniu taksówki?

– Ile pierwszych teczek znajdowało się na liście? – spytałem.

– Cztery – odrzekł Yakoub, pewnie tknięty tym samym impulsem.

Coś ścisnęło mnie za gardło.

– Zadzwoń dzisiaj do nich. Obawiam się, że będą tego potrzebowali.

2

Minęły dwa dni, a neseser w dalszym ciągu pozostawał nieuchwytny. Owszem, nasi informatycy znaleźli nagranie z taksówką, począwszy od miejsca i przybliżonego momentu, w którym wysiadł z niej Jones, ale nie udało im się śledzić pojazdu dłużej niż przez minutę czy dwie. Kierowca skręcił w jeden z tych dickensowskich labiryntów uliczek, które wciąż – ile to już czasu? – wymykają się nadzorowi kamer. Godzinę później samochód pojawił się obok Westminsteru, by niemal natychmiast zniknąć ponownie. Jeśli chodzi o pasażera pogrążonego w lekturze „Financial Timesa”, dało się rozróżnić tylko jego lewą dłoń. Nosił bransoletkę, nie miał obrączki. Był to jakiś początek.

Nasze ogłoszenia, które ukazały się w „Timesie”, „Guardianie” i paru innych, mniej szanowanych tytułach, pozostały bez odpowiedzi. Co do taksówkarza, prędko go wykluczyliśmy. Wiódł poukładane życie i od wieków oszczędzał na zakup licencji. Wielokrotnie zgłaszał zgubione torebki, telefony, a nawet portfele.

Zgodził się, odpłatnie, sporządzić portrety pamięciowe swoich klientów. Rzadko kiedy KFR miał do czynienia z tak źle wydanymi pieniędzmi. Taksówkarz przechwalał się, że ma pamięć do twarzy. Zamiast odpowiadać na nasze pytania, wskazywał na podobieństwa z najróżniejszymi osobistościami. Kobieta, którą zawiózł z Saint Pancras na dworzec Victoria, miała jego zdaniem usta Britney Spears, nos Keiry Knightley, włosy Victorii Beckham oraz podbródek Margaret Thatcher. Gdy pokazaliśmy mu rezultat – dość potworny, trzeba przyznać – obraził naszego eksperta.

Nasze podejrzenia koncentrowały się na drugim pasażerze, wytatuowanym mężczyźnie koło trzydziestki, który kazał się wysadzić w Soho, na rogu Oxford Street i Tottenham Court Road. Wygramolił się z auta schylony, jakby chciał ukryć jakiś nieporęczny przedmiot, choć taksówkarz pamiętał, że wsiadał z pustymi rękoma. Przez wspomniane skrzyżowanie przewala się codziennie kilka tysięcy osób. Obserwuje je około tuzina kamer, z których nagrania przejrzelśmy na próżno. Wyglądało na to, że wytatuowany rozpląnął się w powietrzu.

Napięcie na korytarzach KFR-u było wręcz namacalne. Zarządzone przez Yakouba ćwiczenia ewakuacyjne wywołały poruszenie. Asystentki spędzały całe godziny w kuchni, porównując swoje wersje wydarzeń i spekulując, jakie są szanse nalotu kanadyjskiej policji konnej. Tajemniczy wirus wybrał akurat ten moment, by zdziesiątkować personel. Zelektryzowani agenci wyjeżdżali wypocząć w głębi lasu, a nawet, w przypadku tych najbardziej żądnych przygód, do krajów, które nie podpisały z Kanadą umowy o ekstradycji. Niepokój nie oszczędził też jednostek terenowych. Dysponując jeszcze bardziej skąpymi informacjami niż ich koledzy z Toronto, pracownicy biur w Paryżu, Bangkoku czy Limie wymyślali skrajnie alarmistyczne scenariusze, my zaś robiliśmy co w naszej mocy, żeby rozbić je w pył podczas niekończących się wideokonferencji.

Niebezpieczeństwo zdawało się zresztą o tyle groźniejsze, że nie wiedzieliśmy, jaką przybierze formę. Jessica bombardowała mnie pytaniami. Co by się stało, gdyby walizka wpadła w ręce organizacji kryminalnej? Czy Komitet zgodziłby się zapłacić okup, aby chronić swoich agentów? Czy dziennikarz skontaktowałby się z KFR-em, zanim podałby do wiadomości publicznej informację o jego istnieniu? Całe mnóstwo trafnych pytań, na które nie odpowiadałem, utrzymując, że nie jestem do tego uprawniony, a które stawiałem sobie co najmniej tak samo często jak ona.

Ponad wszystko baliśmy się łapanki ze strony FBI, ponieważ przykład Guantanamo najlepiej dowodził, że Amerykanie niewiele sobie robią z zasady *habeas corpus*, kiedy ktoś zagraża ich bezpieczeństwu. Yakoub, którego przerażała perspektywa zamrożenia środków KFR-u, poprosił dyrekcję finansową, aby zgłaszała mu każdą najmniejszą podejrzaną aktywność na naszych kontach bankowych. Rozłożył sobie w gabinecie łóżko polowe i spędzał noce przy telefonie, uspokajając szefów biur.

Ching Shao wróciła z Londynu trzeciego dnia w paskudnym humorze, grząc na zdumiewającą beztroskę Anglików. Tak jak Onobanjo, musiała się czuć, jakby zasiadała na ławie oskarżonych. Centrum w Londynie, odpowiedzialne za zatwierdzanie nowych teczek, istotnie podlega Planowi, któremu przewodniczyła od czasu dymisji Djiba. Nie licząc się z ryzykiem, z jakim wiązało się dla niej podobne wyznanie, Ching zwierzyła nam się, że straciła już nadzieję na odnalezienie neseseru. Jones zbyt późno podniósł alarm, a kierowca nie

rozpoznałby królowej Anglii, gdyby ta zaszczyliła jego taksówkę swoją czcigodną obecnością. Skalpy zdarte z Nigela Jonesa, jego bezpośredniego przełożonego oraz dyrektora londyńskiej placówki, które przywiozła w walizce, nie mogły niestety niczego zmienić.

Ching poszła za radą Martina Suareza. Zatrudniła najlepszy zespół włamywaczy łamaczy sejfów w całym imperium brytyjskim i rzuciła im wyzwanie, by otworzyli taki sam model neseseru, jak ten należący do Jonesa, nie niszcząc przy tym zawartości. Siedem godzin później rozwiązała umowę KFR-u z producentem walizek, który twierdził, że jego wyroby są nienaruszalne.

Po tym wyjątkowo deprymującym wystąpieniu Yakoub ponownie zabrał głos. Jeżeli, jak przewiduje Ching, nigdy nie odnajdziemy neseseru, powinniśmy przygotować się na najgorsze. Polecił Suarezowi i Zoe Karvelis opracować wachlarz potencjalnych rozwiązań kończący się, ni mniej, ni więcej, tylko na całkowitym rozwiązaniu KFR-u.

Celowo trzymałem się w tamtym okresie na uboczu. Ten pożałowania godny epizod jedynie potwierdzał obawy, które żywiłem od dłuższego czasu. KFR Djiba, a może nawet KFR Khoyoulfaza to przeżytek. Wisiało nad nim zbyt wiele niebezpieczeństw.

Falsyfikacja fizyczna, z początku nasz najpotężniejszy oręż, zwyczajnie nie była już możliwa. Wyrobiłem sobie taki pogląd w 1999 roku, kiedy kazano mi uwolnić KFR od plotek otaczających fałszywą mapę Winlandii. Owa *mappa mundi*, rzekomo pochodząca z XV wieku, w rzeczywistości była dziełem jednego z naszych agentów, który umieszczając na niej kontynent północnoamerykański, pragnął potwierdzić tezę, jakoby Wikingowie odkryli Amerykę przed Krzysztofem Kolumbem. Mimo że po zastosowaniu pewnego szachrajstwa udało mi się przypisać mapę innemu fałszerzowi, nabrałem przekonania, że dni falsyfikacji fizycznej są policzone. „Produkcja przekonujących fałszywek, zdolnych oprzeć się dogłębnemu naukowemu badaniu, będzie stawała się coraz trudniejsza, by nie powiedzieć: absolutnie niemożliwa. W naszej organizacji nie ma już miejsca na takie teczki, jak ta dotycząca mapy Winlandii. Narazają ją na niebezpieczeństwo, przynosząc krótkotrwałe zwycięstwa, które będą okazywały się coraz bardziej ulotne” – napisałem wówczas. W następstwie mojego apelu Komitet najzwyczajniej w świecie zakazał fizycznej falsyfikacji albo – ściślej mówiąc –

zabronił czynić z niej główny element teczki. Nadal mogliśmy postawić fałszywy kamień nagrobny dla uwiarygodnienia jakiejś legendy, ale nie wolno nam już było puszczać w obieg nowych całunów turyńskich.

Jak w pierwszej części pisma dałem dowód pewnej zdolności przewidywania, tak w drugiej dokonałem całkowicie błędnej interpretacji. Internet, twierdziłem, pomnoży możliwości agentów KFR-u, zmniejszając jednocześnie ryzyko, że zostaną zdemaskowani. Stało się jednak zupełnie odwrotnie. Internet sprawił, że fałszerstwa, o których jeszcze przed dziesięcioma laty uczono w Akademii, stały się niewykonalne. Dodanie dzieła do bibliografii duńskiego dramaturga w Wikipedii nie stanowiło najmniejszego problemu; za to wprowadzenie jakichkolwiek znaczących zmian w biografii lidera politycznego czy gwiazdy rocka graniczyło z cudem, tak czujni byli administratorzy.

Ale nie to było najgorsze. Między rokiem 1994, kiedy internet stał się dostępny dla szerokiej publiczności, a 2003, gdy Komitet położył kres najbardziej niebezpiecznym praktykom, niektórzy agenci fałszowali w sieci na całego, nieświadomi zagrożeń, na jakie się narażają. Ich błędy rozciągały się od nieszkodliwych (mój następca w Reykjavíku z własnego domu wprowadził w Wikipedii tysiące modyfikacji w dziewięciu różnych językach) po bardzo poważne (szef biura w Limie zostawił swój adres IP na serwerach KGB). Od dwóch czy trzech lat Operacje Specjalne spędzały najlepsze lata swojego życia na naprawianiu pomyłek tych entuzjastycznych partaczy.

I wreszcie, w roli wisienki na torcie, po sieci krążyli straszliwi hakerzy poszukujący numerów kart kredytowych, tajemnic przemysłowych oraz wszelkich innych informacji, które da się spieniężyć u rosyjskiej mafii albo chińskiego rządu. KFR przeznaczał stale rosnące kwoty na ochronę, co nie zmieniało faktu, że regularnie padał ofiarą ataków.

Ale moim zdaniem główne zagrożenie płynące z internetu było zupełnie innej natury. Plotka puszczone z telefonu komórkowego jakiegoś podrostka miała prawie tyle samo szans, by obieć świat, co teczka, która wymagała całych miesięcy pracy. Na forach kwitły teorie spiskowe, które cieszyły się popularnością odwrotnie proporcjonalną do swojego prawdopodobieństwa. Strony podawały całe ich listy, a spośród propozycji każdy mógł wybrać te, które zgadzały się z jego uprzedzeniami etnicznymi, politycznymi lub religijnymi: FBI zorganizowało

zamachy z jedenastego września, niewielka klika przywódców rządziła losami świata, rząd amerykański wspomagał szerzenie się AIDS wśród społeczności czarnoskórych i tak dalej. Te bzdurne historie nie zrodziły się wczoraj, ale internet jednocześnie przyspieszył ich propagację i dodał im autentyczności. Sieć dostarczała argumentów zwolennikom wszystkich poglądów, zarówno syjonistom, jak i osobom szukającym powodów, by wybić Żydów, zarówno wyznawcom teorii ewolucji, jak i kreacjonizmu. Wszystko było prawdą, a zatem nic nie było prawdą; wszystko było kłamstwem, a zatem nic nie było kłamstwem. Dla KFR-u, którego zasady działania opierały się na tym fundamentalnym rozróżnieniu, pojawienie się globalnej sieci okazało się katastrofą.

Czułem, że to na mnie, jako na najmłodszym członku Komitetu, spoczywa odpowiedzialność położenia podwalin pod nowy model. Khoyoulfaz, Karvelis i Ching należeli do starego pokolenia. Suarezowi brakowało wyobraźni. Jeśli chodzi o Onobanjo, Główny Inspektorat, któremu przewodniczyła, z zasady miał się sprzeciwiać zmianom.

Świadom trudności związanych z reformowaniem systemu, w którym się wyrosło, stale oscylowałem między pokusą, by zagłębić się w detale funkcjonowania KFR-u, a chęcią zachowania dystansu, prezentując schizofreniczną postawę, która często stawała się przyczyną konfliktów z kolegami i koleżankami. Przez dwanaście lat, których potrzebowałem, żeby osiągnąć szczyt piramidy, wyobrażałem sobie naiwnie, że rola członków Komitetu polega na nieustannym aktualizowaniu misji KFR-u, na szczegółowych dyskusjach dotyczących władzy oraz granic falsyfikacji jako wektora postępu ludzkości. Nic bardziej mylnego. Byliśmy w pierwszej kolejności i przede wszystkim supermenadżerami, szefami organizacji zrzeszającej kilkadziesiąt tysięcy osób. Spędzałem czas na spotkaniach w sprawie budżetu, poprawianiu notatek służbowych napisanych przez kogoś innego albo na zachodzeniu w głowę, czy zwierzchnik biura w Tajpej powinien raportować Pekinowi czy Toronto. Nikogo za to nie winiłem. Ogólnie rzecz biorąc, szefowie jednostek terenowych odwalali kawał dobrej roboty; samodzielnie podejmowali ogromną większość decyzji i zwracali się do nas z prośbą o opinię zaledwie dwa czy trzy razy do roku, w najdelikatniejszych kwestiach, takich, które mogły mieć znaczenie symboliczne albo groziły stworzeniem precedensu. Niestety, skoro istniało dwadzieścia centrów, sto pięćdziesiąt biur i prawie tysiąc stacji, mój

zawód można by porównać do pracy sędziów amerykańskiego Sądu Najwyższego, którzy spośród nieprzerwanego zalewu zapytań muszą wybierać te zasługujące na ich uwagę.

Do tego dokładał się problem mojego wieku. Czasem odnosiłem wrażenie, że Khoyoufraz i Shao, od których byłem prawie piętnaście lat młodszy, nie traktują mnie poważnie. Regularnie dostawałem projekty, których nikt inny nie chciał, i ta forma pastwienia się nad żółtodziobem wydawała mi się coraz mniej usprawiedliwiona.

Nigdy wcześniej tak bardzo nie potrzebowałem nad czymś się zastanowić i nigdy wcześniej nie miałem tak niewiele czasu do namysłu. Byłem zavalony pracą, ale nie przemęczony. I – tak jak urzędnicy Sądu Najwyższego – wymierzałem sprawiedliwość od rana do wieczora, nie mając ani chwili na refleksję, co tak naprawdę oznacza dla mnie to słowo.

3

Nazajutrz czerwona lampka w windzie nadal się świeciła. Przeczuwałem, że jeszcze długo tak zostanie.

Przekazując mi klucze do gabinetu, który poprzednio należał do niego, Djibo dorzucił hojny prezent, szesnastowieczną mapę przedstawiającą wymyśloną wyspę zwaną Fryzlandią. Z braku czasu oraz gustu zadowolilem się spartańskim umeblowaniem. Półki zdobiło kilka bibelotów przywiezionych z podróży, a także szklana rzeźba, którą przyniosła mi moja pierwsza teczka.

Na biurku czekały na mnie dwa raporty. Pierwszy pochodził z centrum w Dżakarcie i dotyczył sytuacji gospodarczej Timoru Wschodniego. Przed siedmioma laty uczestniczyłem w ostatnim etapie jednej z największych inicjatyw w historii KFR-u. W zamian za znaczne korzyści dla naszej organizacji Lena Thorsen i ja towarzyszyliśmy krajowi w jego marszowi ku niepodległości. Przekonanie ekspertów Narodów Zjednoczonych, że timorska gospodarka spełnia wszystkie wymagania, nie było rzeczą łatwą. Musiałem podrasować statystyki, podkolorować faktury eksportowe, rozdmuchać perspektywy wpływów z wydobycia ropy, a nawet zatrudnić figurantów, aby stworzyć iluzję, że pewien kamieniołom marmuru pracuje pełną parą. Szef oenzetowskiej delegacji wyjechał w przekonaniu, że Timor Wschodni to przyszły azjatycki tygrys. Nie zaznałem spokoju, odkąd dałem mu do tego powód.

Pomimo niezaprzeczalnego postępu sytuacja Timoru w dalszym ciągu była niepokojąca. Ledwie jedna trzecia domostw miała elektryczność, tylko połowa społeczeństwa potrafiła czytać, a ludzie na wsiach wciąż umierali w razie złych plonów. Rozwijał się eksport kawy, ale w tempie niewystarczającym do podniesienia ogólnego poziomu życia. Zagraniczne firmy kręciły nosem, przerażone faktem, że w kraju nie istnieje prawo dotyczące własności intelektualnej.

Z początku niewesoły raport, w miarę dalszej lektury stawał się całkiem przygnębiający. Kraj zaczynał eksploatować swoje ogromne zasoby ropy i gazu. Tę

długo wyczekiwaną wiadomość, na której oparliśmy scenariusz gospodarczego zrywu, przyćmiewał fakt, że tylko niewielki odsetek zysków trafił do państwowego budżetu. Reszta rozplynęła się w rękach skorumpowanych urzędników, których pośrednio sami pchnęliśmy do władzy. Zwyródniały system sprawiedliwości otwierał drzwi wszelkim nadużyciom: mogło się okazać, że rolnik z dnia na dzień zostanie pozbawiony swoich zbiorów, wyroki sędziów sprzedawano tym, którzy najwięcej płacili, i tak dalej. Na domiar złego rząd ustanowiony w 2007 roku już chwiał się w posadach; prezydent Ramos-Horta i premier Gusmão dopiero co cudem wyszli cało z prób zamachów.

KFR niezaprzeczalnie wiele zyskał na tej teczce. Od tamtej pory dysponowaliśmy siecią około pięćdziesięciu ambasad na całym świecie, mieliśmy oczy i uszy w największych międzynarodowych organizacjach, a wszyscy agenci KFR-u posiadali timorskie paszporty na sytuacje awaryjne. Jednakże, mimo że moja rola polegała przede wszystkim na bronieniu interesów pracodawcy, czułem się w pewien sposób odpowiedzialny wobec Timorczyków. Mówiąc najbardziej ogólnikowo, nie miałem na tym etapie pewności, czy skierowaliśmy ich na właściwą drogę.

Drugi raport, poświęcony Buszmenom, leżał na biurku od tygodnia. Do tej pory nie znalazłem odwagi, aby go otworzyć, przeczuwając, że przypomina wszystkie poprzednie. Od dwudziestu lat liczba Buszmenów żyjących na pustyni Kalahari spadała wolno, acz nieubłaganie na skutek powtarzających się wysiedleń, alkoholu oraz chorób przenoszonych drogą płciową. Dzieci, które nie uczyły się już polować, szykowały się na życie pod znakiem państwowej zapomogi, mając błogosławieństwo botswańskiego rządu, który od dawna zezował w stronę tych terytoriów bogatych w diamenty i wszelkiego rodzaju minerały.

Przeszedłem od razu do konkluzji raportu przygotowanego przez szanowaną niemiecką fundację. „Trzeba przyznać, że różnorodne strategie międzynarodowych stowarzyszeń nie przyniosły spodziewanych efektów. Buszmeni obecnie są mniej liczni, gorzej uzbrojeni i bardziej uzależnieni od władzy centralnej niż kiedykolwiek wcześniej w całej swojej historii. Patriarchowie, z którymi się spotkaliśmy, wątpią w możliwość odwrócenia tej tendencji. Ci najbardziej pesymistyczni mówią nawet o swoich dzieciach jako o »ostatnim pokoleniu Buszmenów z Kalahari«”.

Zamknąłem raport, wzdychając. Oto dwie teczki, którym poświęciłem długie miesiące swojego życia; zapewniły mi one zaszczyty i awanse, teraz zaś niemal żałowałem, że je stworzyłem. Nie, zdecydowanie, byliśmy dużo mniej wpływowi, niż nam się wydawało.

Jessica zajrzała przez szparę w drzwiach, żeby poinformować, że Yakoub pragnie się ze mną widzieć. Przemierzyłem korytarz i pchnąłem drzwi do jego biura. Oparty plecami o okno dyskutował z Leną Thorsen.

Lena, tak jak ja, zamieszkała w Toronto. Po tym, jak przyznała się albo – ściślej mówiąc – pochwaliła się, że zdradziła KFR, Komitet musiał zdecydować o jej losie. Yakoub, Claas Verplanck i Pierre Ménard byli zwolennikami uwięzienia Dunki na czas nieokreślony, wykazując nie więcej troski o jej prawa obywatelskie, niż administracja Busha demonstrowała wobec zatrzymanych w Guantanamo. Zoe i Ching usatysfakcjonowałyby dymisją. Tylko ja prosiłem dla Thorsen o łaskę, ze względu na jej wyjątkowe zdolności i przysługi, jakie mogłaby nam jeszcze oddać.

Moim nowym kolegom i koleżankom – dołączyłem do Komitetu ledwie parę godzin wcześniej – nie bardzo spodobało się moje wezwanie do aktu miłosierdzia. Wierna swojemu temperamentowi Lena nie ułatwiła mi zadania, powtarzając każdemu, kto chciał słuchać, że wolałaby umrzeć, niż przeprosić. Spotkałem się kolejno z członkami Komitetu, próbując ugrać sprawę agentki, której nie wystarczyło knucie mojej zguby, która na dodatek pogrążyła KFR w jednym z najpoważniejszych skandali w całej jego historii. Przy zastosowaniu istnych skarbów dyplomacji udało mi się skłonić większość członków do poparcia tymczasowego wniosku: Lena miała zostać w Toronto, zachowując status agentki trzeciej klasy; zabronimy jej kontaktu z innymi jednostkami, a usługi będzie świadczyła wyłącznie członkom Komitetu; każdą zmianę miejsca pobytu będzie musiała zgłaszać Yakoubowi, ale wolno jej będzie tworzyć teczki o ściśle ograniczonym budżecie, który miał hamować jej zapędy. Zatwierdzając to porozumienie, Yakoub bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że wykorzystałem w ten sposób cały swój limit wpływów wobec Komitetu.

Na szczęście dla nas obojga Lena wywiązała się ze swojej części umowy. Sprzedała mieszkanie w Los Angeles i znalazła sobie lokum dwa kroki od biura. Tak jak się obawiałem, moi koledzy początkowo nie pchali się jeden przez drugiego, żeby zlecać jej pracę. Ja przekazałem jej kilka teczek, co – jeśli mam być

szczerzy – pozwoliło mi skoncentrować się na nowych obowiązkach. Lena wykonała te niewdzięczne zadania ze swoją zwykłą wydajnością, nie skarżąc się, że musi harować pod moimi rozkazami, ale też mi nie dziękując.

Z biegiem czasu koledzy nauczyli się doceniać zalety Dunki. Wszyscy zwrócili się do niej przynajmniej raz, najczęściej w tematach związanych z informatyką, domeną, w której wyprzedzała nas wszystkich o kilka długości. Od amerykańskich hakerów nauczyła się dostawać na serwery cieszące się reputacją niezdołanych i zmieniać dane bez pozostawiania śladów. Kiedy włamanie okazywało się nieco trudniejsze, naprędce pisała program w jednym z dziesiątek języków, które opanowała, wypływając z siebie tysiące linijek kodu w czasie krótszym, niż byłby potrzebny Jessice na przyniesienie mi kawy.

– Ach, Sliv, bardzo dobrze – rzucił Yakoub, prostując się.

Lekko skinąłem Lenie głową. Ona musiała odwzajemnić gest jeszcze delikatniej, bo nawet tego nie zauważyłem.

– Potrzebujesz mnie? – spytałem Yakouba.

– W istocie potrzebuję was obojga.

Zajęliśmy miejsca wokół stołu konferencyjnego. Przejęta mina Yakouba pozwalała przypuszczać, że ma dla nas złe wieści.

– Dziś rano dostaliśmy teczkę Safe Haven – oświadczył.

W listopadzie 2007 roku Komitet skierował do wszystkich placówek pismo. Agenci podejrzewający, że któraś z ich teczek sprzed roku 2003 nie spełnia wszystkich wymogów bezpieczeństwa, mogli bez obaw zgłosić się do biura w Hong Kongu. Chcąc pozbyć się wszystkich ukrytych min, przewodniczący KFR-u osobiście gwarantował zainteresowanym agentom, że nie spotkają ich żadne sankcje.

Dotychczas spłynęło osiemdziesiąt siedem teczek, z których dwie trzecie zostały poddane dogłębnej rewizji. We wszystkich bez wyjątku przypadkach Lenie i jej ekipie informatycznych mozartów udało się oddalić zagrożenie. Napływ teczek stopniowo słabł. Nie dostaliśmy żadnej już od miesiąca.

– Klaus Würth, Niemiec, czterdzieści cztery lata, agent drugiej klasy urzędujący w Helsinkach – wyrecytował Yakoub.

– I teraz się obudził? – mruknęła Lena.

– Pracował w tamtym czasie w Dortmundzie – kontynuował Yakoub, nie

zważając na jej wtęgot. – Wszystko zaczęło się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym, kiedy pan Würth, przekonany o tym, że człowiek ponosi odpowiedzialność za ocieplenie klimatu, wbił sobie do głowy, żeby sfałszować dane termometryczne amerykańskiego National Climatic Data Center. Planowi nie brakowało śmiałości. Zauważył, że około jedna trzecia danych na temat temperatury zgromadzonych przez NCDC podana jest w formie liczb całkowitych, co zwykle tłumaczy się faktem, że aż do lat siedemdziesiątych małe i średnie stacje nie odnotowywały temperatury z dokładnością do dziesiątych części stopnia. Kilka miesięcy później zewnętrzny konsultant opłacony przez Würtha zwrócił uwagę informatyków NCDC na błąd, który im umknął: to błąd formatowania uniemożliwił zapoznanie się z prawdziwymi danymi, z których prawie wszystkie miały wartość po przecinku!

– I całkowitym przypadkiem – powiedziałem – nowe liczby wskazywały na ocieplenie klimatu...

– Oczywiście. Czternaście stopni z tysiąc osiemset osiemdziesiątego zmieniło się w trzynaście i siedem dziesiątych stopnia, podczas gdy szesnaście stopni z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego – w szesnaście i dwie dziesiąte, a nawet szesnaście i cztery dziesiąte. Klimat ewoluuje na tyle wolno, że zwykła wariacja o dwie czy trzy dziesiąte stopnia w ciągu wieku wystarczy, aby wyznaczyć tendencję.

Pozwoliłem sobie na pełne podziwu gwizdnięcie. Pomysł był wspaniały. Szkoda, że nie można było powiedzieć tego samego o wykonaniu.

– W jaki sposób sfałszował wyniki? – spytała Lena. Desperacko pragnąłem pewnego dnia ujrzeć, jak zachwyca się zręcznością jakiegoś scenarzysty. – Tego rodzaju organizacje nie mają w zwyczaju przechowywać danych w jednym miejscu.

– To pierwsze, co powiedział Hong Kong. Wysyłają nam pocztą dyplomatyczną wszystko, co mają: kolejne szkice teczki, ówczesne analizy ryzyka, protokoły informatyczne NCDC i tak dalej. Co do Würtha, czeka na telefon od was. Zajmijcie się nim, zdaje się, że nie śpi po nocach.

– Jeśli tylko przestrzegał regulaminu, nie ma się czym martwić – odparła Lena, nie zdając sobie sprawy, że właśnie tego rodzaju uwagi mogą przerazić biednego Klause.

– Które centrum kontrolowało wtedy jego pracę? – spytałem.

Teczki przebywają niezmienną drogę. Po pierwszej filtracji dokonywanej przez szefów jednostek przekazuje się je do Londynu, który wydaje opinię o jakości scenariusza, a następnie do jednego z trzech centrów specjalizujących się w falsyfikacji źródeł, w Hong Kongu, Córdobie lub Vancouver.

– Córdoba – odrzekł Yakoub z pamięci. – Pokwitowanie dostarczono siedemnastego grudnia dziewięćdziesiątego piątego.

Lena spojrzała na mnie. Najwyraźniej myślała o tym samym co ja. W roku 1995 była zastępczynią dyrektora centrum w Córdobie, kiedy nagle została zawieszona za błąd, za który odpowiedzialność ponosiłem wyłącznie ja. Gdyby nie moja niezdarność, osobiście zajęłaby się teczką Würtha i nie siedzielibyśmy tu teraz. Miała jednak na tyle taktu, by o tym nie wspomnieć.

– Co się dzieje, Yakoubie? – chciałem wiedzieć. – Jasne, projekt Safe Haven to nigdy nie jest dobra wiadomość. Ale ten ma prawie piętnaście lat. Czego tak naprawdę się boisz?

– Nie podoba mi się zachowanie Würtha. Pewnie roztrząsa tę historię od sześciu miesięcy. Skoro decyduje się puścić farbę w dniu, w którym Jones zgubił walizkę, to albo popełnił cholernie poważny błąd, albo przeczuwa, że te dane zostaną wkrótce poddane dokładnej analizie.

– Rzeczywiście, trudno o bardziej popularny w mediach temat niż globalne ocieplenie.

– Teraz, kiedy Al Gore dostał Nagrodę Nobla, a jego film wyświetla się w szkołach, istnieje ryzyko, że stanie się jeszcze popularniejszy. Nie wspominając już o tym, że Stany Zjednoczone odmawiają ratyfikacji Protokołu z Kioto, ponieważ środowisko naukowe wciąż jest w tej kwestii podzielone.

– Nie jest podzielone. Ogromna większość klimatologów podtrzymuje ustalenia z Kioto.

– Ustalenia, które częściowo opierają się na liczbach Würtha. Wyobrażasz sobie to poruszenie, gdyby dowiedziono, że są fałszywe? Lobby paliwowe i naukowcy przeciwni aktualnie panującemu konsensusowi zacierałoby ręce z radości, i mieliby rację.

– Ruchy ekologiczne nie podniosłyby się po czymś takim – wymamrotałem.

– Zważywszy na stawkę, o jaką toczy się gra, gotów jestem iść o zakład, że

prędzej czy później, i to raczej prędzej niż później, dane NCDC zostaną wzięte pod lupę. Bardzo bym nie chciał, żeby nosiły na sobie nasz podpis.

Podczas tej wymiany zdań Lena milczała. Nasze rozważania epistemologiczne zupełnie jej nie obchodziły. Interesowała ją wyłącznie misja. To zawsze stanowiło jej siłę – i jej słabość.

– Czego od nas oczekujecie? – spytała.

– Że wymaże pani wszelkie ślady naszej ingerencji, nawet kosztem przywrócenia oryginalnych danych, jeśli uzna to pani za konieczne.

– A ja? – dociekałem.

– Ty w razie potrzeby przerobisz scenariusz. Przedstaw Würtha jako jakiegoś oszołoma, jeśli będzie trzeba.

– A jeżeli historyczne dane przeczą hipotezie o ociepleniu klimatu?

– Bezpieczeństwo KFR-u przede wszystkim – skwitował Yakoub.

Wstał. Nie było już nic więcej do dodania.

4

Islandczyk wypatruje nadejścia wiosny z zapałem trudnym do pojęcia dla mieszkańców kontynentu. Radością przepelnia go nie tyle łagodność – jakże względna – temperatury czy eksplozja roślinności, co raczej spektakularne wydłużanie się dnia i ustępowanie nocy. Od połowy maja słońce wschodzi o czwartej; kawiarnie i piekarnie otwierają podwoje; podczas gdy Amsterdam i Mediolan się budzą, wszyscy w Reykjavíku są już pochłonięci swoimi sprawami.

Urodziny matki dostarczały mi co roku idealnego pretekstu, by wrócić do kraju i na kilka dni zapomnieć o szarzyźnie Toronto.

Stało się już rytuałem, że po przystanku w Húsavíku, maleńkiej miejscinie na północy wyspy, gdzie mama hoduje owce, zachodziłem do Baldura, Furuseta i Thorberga, żeby przywitać się z Gunnarem Erikssonem i dawnymi kolegami. Ci spośród nich, którzy nie znali prawdziwej natury mojej działalności, sądzą, że pracuję jako menadżer w anglosaskim biurze doradztwa ekologicznego. Niektórzy, znając więzi łączące mnie z Gunnarem, a także, w mniejszym stopniu, z Perem Baldurem, podejrzewali, że negocjuję powrót do firmy na stanowisko dyrektora.

Do recepcji zeszła po mnie Margrét, sekretarka, a od pewnego czasu również małżonka Gunnara. Odcisnęła na moich policzkach dwa głośne całusy, a potem cofnęła się o krok i zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Kiepsko wyglądasz – oświadczyła. – I przybrałeś parę kilo. Nie, nie, nie zaprzeczaj, mam oko do tych rzeczy.

Po śmierci Kristin, pierwszej ukochanej żony, Gunnar pogrążył się w głębokiej neurastenii. A ponieważ od leków na uspokojenie wołał soczyste miodowe pączki z Bernhöftsbakari, prędko wyhodował sobie pokaźne brzuszysko. Margrét wstąpiła na wojenną ścieżkę z katastrofalnymi nawykami żywieniowymi szefa. Opróżniała jego cukiernicę, konfiskowała smakołyki, które upychał w szufladach, i obdzwoniła okoliczne restauracje, przekazując swoje drakońskie instrukcje. W końcu Gunnar zrozumiał, że troska Margrét – rozwódki, tak jak on bezdzietnej – wynika z uczuć, które ta do niego żywi. Pobrali się niedługo później i wydawali się bardzo

szczęśliwi.

– Sliv! – wykrzyknął Gunnar, podnosząc się zza biurka i wychodząc mi na spotkanie. – Co za radość! Chcesz przyjść dziś do nas na kolację? We wtorki jemy potrawkę z gotowanej wołowiny.

– Bardzo chętnie, ale mam już inne zobowiązania.

– To może jutro?

– Będę już z powrotem w Toronto.

– Ależ ci uprzykrzają życie – mruknął Gunnar, jakby mój rozkład zajęć zależał od grona sadystycznych biurokratów.

– Nigdy nie przeszkadzało mi latanie – odrzekłem z uśmiechem.

– Mnie obecnie przeraża; zobaczysz, jak będziesz w moim wieku. Ale usiądź, nastawię wodę.

Zająłem miejsce w wygodnym fotelu obitym czekoladową skórą, w którym spędziłem tyle godzin. Wokół nic się nie zmieniło, nie licząc kolekcji egzotycznych herbat, którą wzbogacałem w miarę moich kolejnych peregrynacji. Sposób, w jaki zyskiwała coraz więcej miejsca kosztem firmowych segregatorów, wymownie świadczył o słabnącej motywacji Gunnara. Odliczał dni do przejścia na emeryturę, zaplanowanego na koniec roku. Słuchając go, odnosiło się wrażenie, że nastanie wówczas era z niczym nieporównywalnej szczęśliwości, kiedy to jego dni będą podzielone między lekturę gazety, mecze hokeja w telewizji i degustowanie przysmaków upichconych przez Margrét.

– Jesteśmy w trakcie zakupu domku w Dyrholaey, na skraju rezerwatu przyrody – poinformował, wyciągając w moją stronę szkatułkę z co najmniej setką różnych saszetek. – Margrét interesuje się ptakami; wbiła sobie do głowy, że będzie prowadziła obserwatorium. Osobiście uważam, że to trochę kretyńskie unieruchamiać kapitał. Przy obecnych doniesieniach rynkowych... Pamiętasz, jak w dwa tysiące trzecim wyprowadziłem się z mieszkania przy Leifsgata? Zysk ze sprzedaży powierzyłem mojemu bankierowi. No i cóż, w przeciągu pięciu lat praktycznie podwoiłem swój wkład.

– Naprawdę? – spytałem, po raz kolejny wyrzucając sobie, że zbyt ostrożnie zarządzam swoimi finansami.

– Ależ tak, to nie żadne czary. W tej chwili wszystkie aktywa idą w górę. Zdaje się, że to dzięki internetowi: produktywność firm gwałtownie rośnie, a wraz z nią

zyski. Nie, naprawdę, mając do dyspozycji tę małą fortunę i nasze dwie emerytury, będziemy wiedli sielską egzystencję.

Zasmucał mnie kierunek, jaki obierało życie Gunnara. Jak ktoś, kto odwiedził sto krajów, pracował przy upadku Muru Berlińskiego i przy konstrukcji międzynarodowej stacji kosmicznej, może ograniczać swoje zainteresowania do osiągnięć własnego pakietu oszczędności albo dokonań sześciu z ośmiu islandzkich klubów hokejowych? A jednak to zawężenie horyzontów nie było, niestety, świeżą sprawą. Od czasu śmierci Kristin Gunnar bardzo zwolnił tempo. Nie zatrudnił żadnego agenta od 2000 roku i nie pamiętałem już nawet, kiedy stworzył ostatnią teczkę. Podróżował jedynie wówczas, gdy zmusiła go do tego siła wyższa, i to w warunkach ekstrawaganckiego luksusu, przez co zgrzytali zębami aż w Toronto. Również tematy prowadzonych przez niego konwersacji znacznie się zredukowały. Nieustannie wracał w swych wypowiedziach do dumy, jaką odczuwa w związku z uformowaniem dwunastu należących do elity agentów, do rozczarowania, którego przysporzyła mu Lena Thorsen, gwałtownie zrywając z nim kontakt po odejściu ze stacji w Reykjavíku, do satysfakcji z faktu, iż samą tylko siłą refleksji udało mu się rozgryźć sekret KFR-u, na którym tyłu geniuszy połamało sobie zęby. Nie uważałem, by to Margrét była odpowiedzialna za tę zmianę. Gunnar po prostu się nudził. Stracił zmysł ekscytacji; pozostało mu jedynie smakowanie uciech.

– A więc wygląda na to, że zostaniesz wkrótce mianowany wiceprzewodniczącym Planu – rzucił, wybierając dla siebie czarną herbatę z Madagaskaru.

– Skąd pan wie? Ogłoszą to dopiero w poniedziałek.

– Ha, mam swoich informatorów – odparł i wykonał niejasny gest oznaczający, że nie powie nic więcej. – Będziesz pracował dla Shao, prawda?

– Tak jest, to ona zarządza Planem, odkąd odszedł Djibo.

Dymisja Angoui Djiba w 2003 roku, a następnie, trzy lata później, śmierć Pierre'a Ménarda sprawiły, że na szczycie KFR-u rozpoczęła się zabawa w gorące krzesła, która dopiero co dobiegła końca. Claas Verplanck, szef Głównego Inspektoratu, po raz kolejny usiłował stanąć na czele Komitetu, nie odniósł jednak większego sukcesu niż przy poprzednich próbach. Wraz z kolegami i koleżankami poparłem kandydaturę Yakouba Khoyoulfaza, charyzmatycznego dyrektora Operacji Specjalnych. Wobec takiej odmowy Verplanck skorzystał z prawa do

wcześniejszej emerytury. Jego następczynią – także w Głównym Inspektoracie, gdyż przewodniczący trzech najważniejszych organów automatycznie zasiadają w Komitecie – uczyniliśmy Sophie Onobanjo, czterdziestotrzyletnią Nigeryjkę dotychczas pełniącą funkcję dyrektorki biura w Paryżu. Po raz pierwszy w ciągu dwustu dwudziestu lat wśród zwierzchników KFR-u znalazła się taka sama liczba mężczyzn (Yakoub Khoyoufraz, Pierre Ménard i ja) i kobiet (Zoe Karvelis, Ching Shao, a teraz także Sophie Onobanjo).

Skład Komitetu miał jednak wkrótce ponownie ulec zmianie. Pierre Ménard od lat cierpiał na raka kości, który zdaniem lekarzy wszedł w fazę terminalną. Ménard, który nie robił sobie już złudzeń co do szans wyzdrowienia, przerwał leczenie i chudł w przerażającym tempie. Nadal jednak uczestniczył w naszych spotkaniach, wyciągnięty w fotelu z na wpół zamkniętymi oczyma. Nie wtrącał się już w debaty techniczne czy administracyjne, wolał zachować siły na kulminacyjny punkt obrad, to jest przegląd będących w toku falsyfikacji. Czy chodziło o powołanie do życia afrykańskiego boga, czy o zredagowanie lipnego kodeksu honorowego kalabryjskiej mafii, w każdej teczce dostrzegał element, który nam umknął, wadę, która mogła umniejszyć znaczenie projektu, albo wręcz przeciwnie, kąt widzenia, który, o ile dobrze go wykorzystać, pomnoży jego siłę oddziaływania. Ponieważ choroba niemal odebrała mu głos, szeptał mi swoje uwagi do ucha, a ja powtarzałem je zebrany, mimo woli małpując jego komiczny francuski akcent.

Nasz senior tym chętniej czepiał się swojego fotela, że nikt nie popychał go w stronę wyjścia. Od dwóch wieków w Komitecie zasiadał jakiś Pierre Ménard, ale tradycja ta miała skończyć się wraz ze śmiercią naszego kolegi, który był bezdzielny. Taką wiernością zasłużył sobie na pewne względy. Mimo że w każdej chwili spodziewaliśmy się, iż Francuz utnie sobie drzemkę w samym środku porywającej tyrady o stosunku fałszywek do autentyków w dziale sztuki Starożytnego Egiptu w Luwrze, nigdy nie wspominaliśmy o tym, kto zajmie jego miejsce.

A jednak mijały miesiące, a Ménard wciąż żył. Jego stan zdrowia przestał się pogarszać, fenomen, który lekarze określali „szczęśliwym zbiegiem okoliczności”, „anomalią kliniczną” albo – w przypadku najbardziej bezpośrednich – „kurewskim cudem”. Osobiście przypisywałem wytrzymałość starszego mężczyzny jego nieumiarkowanemu zamiłowaniu do ucztowania. Podjadał w trakcie naszych

posiedzeń, splukując następnie posiłek kieliszkiem sauternesu, którego kosztował małymi łyżkami, klaskając językiem. Robert, jego francuski pielęgniarz, zawoził go wieczorami na wózku inwalidzkim do najlepszych restauracji w Toronto, gdzie miał stałe rezerwacje. Mówiło się, że w piwniczce trzyma ponad sześć tysięcy butelek.

Zachowałem złe wspomnienia z tego z założenia przejściowego okresu, który trwał prawie cztery lata. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie uda się rozpocząć reformy KFR-u, o ile więzy Komitetu z przeszłością nie zostaną zerwane. Zamiast tego trwaliśmy w zawieszeniu ze względu na stan zdrowia starca, któremu nikt oczywiście nie życzył śmierci, lecz mimo to żywiliśmy nadzieję, że będzie miał na tyle przyzwoitości, żeby nie stać zbyt długo na drodze biegowi historii.

Ostatecznie Ménard odszedł we własnym łóżku, 24 grudnia 2006 roku, podczas gdy Robert otwierał mu ostrygi. Kiedy Yakoub przekazywał mi tę wiadomość, z trudem skrywał ulgę.

Tydzień później na miejsce Ménarda dokooptowaliśmy Martina Suareza. Mężczyzna, jeden z dwóch wiceprzewodniczących Operacji Specjalnych, posiadał dwojaką zaletę: był Amerykaninem, a naród ten nie był zazwyczaj reprezentowany w Komitecie; miał też latynoskie pochodzenie – jego rodzicami byli Meksykanie, którzy osiedlili się w Arizonie wkrótce po jego narodzinach. Ukończył akademię w West Point, spędził dziesięć lat w jednostce marines i brał udział w licznych operacjach militarnych w Zatoce Perskiej. Zrekrutował go Yakoub we własnej osobie, podejmując mnóstwo środków ostrożności, współmiernie do ryzyka, na jakie obaj się narażali. Ale gra niezaprzeczalnie warta była świeczki, bo przejawiana przez Martina znajomość amerykańskiego trybu podejmowania decyzji wojskowych wielokrotnie okazała się decydująca.

– A więc – zagadnął Gunnar, sadowiąc się naprzeciwko mnie – co nowego w Toronto?

– Nic wielkiego, obawiam się.

– To papierkowa robota, co? Papierologia i polityka? Gdy tylko administracja osiąga pewien rozmiar, zawsze jest tak samo. To nie dla mnie! Yakoub mógłby mnie błagać na kolanach, i tak zostałbym w ciepélku na Islandii.

Kolejna stara śpiewka Gunnara, być może ta, która najbardziej mnie mierzyła. Przez całą swoją karierę odrzucał propozycje awansu przez zbyt przywiązanie

do własnego komfortu. W rezultacie wykonywał tę samą pracę od trzydziestu lat, pod skrzydłami szefa – Baldura – który przychodził do biura w spodniach golfowych, oraz z kolegami, którzy wszystko mu zawdzięczali, nie ryzykowali więc podważania jego autorytetu. Gunnar w dalszym ciągu regularnie usiłował mnie przekonać, że popełniłem błąd, przenosząc się do „siedziby głównej”.

– Sam wybrałeś Plan? – zapytał.

– Powiedzmy, że nagle zwolniły się trzy stanowiska i Ching zaproponowała mi jedno z nich.

Filizanka zatrzęsała się w dłoni Gunnara i trochę herbaty wylało mu się na spodnie. Machinalnie osuszył plamę krawatem.

– Zwolniła trzech wice mianowanych przez Djiba?

Skinąłem głową.

– Wezwała ich razem do swojego gabinetu. Dwie minuty później było po wszystkim. Wydawało się, że zupełnie się tego nie spodziewali.

– Podała im powód?

– Ten sam co Komitetowi: straciła zaufanie do personelu wybranego przez Djiba.

– I?

– Komitet zrozumiał – oświadczyłem lakonicznie.

Wyglądało na to, że moja uwaga wstrząsnęła Gunnarem. Wiedział, że zajmowane przeze mnie stanowisko nie pozwala mi na najdrobniejsze nawet zwierzenia w kwestiach związanych z bezpieczeństwem czy instancjami rządzącymi KFR-u. Jednakże do jego uszu musiały dotrzeć jakieś pogłoski dotyczące dawnego druha. W ciągu piętnastu lat zwierzchnictwa nad Planem i trzynastu w Komitecie Djibo wyniósł na różne posady setki osób, przy czym, co spostrzegliśmy dopiero po jego odejściu, ich kompetencje nie zawsze odgrywały najważniejszą rolę. Jediną zaletą niektórych szefów placówek i przynajmniej jednego dyrektora funkcjonalnego zdawała się ich lojalność wobec Djiba, a także służbistość, z jaką wykonywali jego polecenia, nawet jeśli te stały w sprzeczności z decyzjami podjętymi zwykłym trybem. Wiceprzewodniczący Planu (za godnym wzmianki wyjątkiem Ching, która została powołana przez poprzedniego zwierzchnika Komitetu) zajmowali poczesne miejsce w fortelu Djiba. Przyklaskując geopolitycznym analizom Kameruńczyka, dodawali wagi jego często

ryzykownym scenariuszom, które ten składał następnie przed Komitetem. To w ten sposób zrodziła się fałszywa fatwa bin Ladena wymierzona w Amerykę czy zwłoka Unii Europejskiej w zajęciu stanowiska wobec rozpadu byłej Jugosławii, a więc przynajmniej dwa epizody, o których można powiedzieć, że nie przyniosły KFR-owi chwały.

Ale nic bym nie zyskał, wywlekając przy Gunnarze brudy Komitetu.

– Więc drużyna z Akureyri zdobyła w tym roku mistrzostwo? – spytałem, pochylając się w przód, by pokazać, że nie mam nic przeciwko wysłuchaniu opowieści o perypetiach, które towarzyszyły triumfalnemu marszowi Vikingów ku ich trzynastemu narodowemu tytułowi.

Twarz Gunnara się rozjaśniła.

– Oglądałeś? Chociaż sezon zaczął się cholernie kiepsko... W pierwszej minucie meczu otwarcia Gudmundsson dał się zdjąć za nieistniejącą przewinę, a Skúlason spartaczył daleki strzał. No naprawdę, wyobrażasz sobie?

Gestem dałem do zrozumienia, że wyobrażam sobie doskonale, i zbliżyłem herbatę do warg. Była jeszcze wrząca. Na szczęście miała dużo czasu, by ostygnąć

5

Gunnar zgodził się mnie uwolnić, dopiero gdy się dowiedział, że mam spotkanie z Niną Schoeman.

– No wreszcie! Od kiedy to ona już do ciebie wzdycha! – zawołał, zaszczycając mnie lubieżnym mrugnięciem.

Poznałem Ninę na uniwersytecie w Reykjavíku, gdzie oboje studiowaliśmy geografię. Nasze drogi skrzyżowały się ponownie w 2001 roku, kiedy pracowała na zastępstwo u Baldura, Furuseta i Thorberga. Ponieważ zapamiętałem ją jako błyskotliwą i pełną determinacji dziewczynę, zdziwiło mnie, że trudni się zajęciami tak bardzo poniżej swoich kwalifikacji. Ale sens jej życia, wyjaśniła, leżał gdzie indziej. W charakterze wolontariuszki walczyła w różnych stowarzyszeniach; praca na zastępstwo służyła jedynie po to, by opłacić rachunki. Spotkałem się z nią kilka razy przed przeprowadzką do Toronto, która na nowo nas rozdzieliła.

Niedawno dołączyła do Jöro, największego – albo jedyne, jak powiedzieliby złośliwcy – islandzkiego stowarzyszenia na rzecz ochrony środowiska, gdzie piastowała tyleż mętne, co obiecujące stanowisko dyrektorki do spraw rozwoju. Byłem ciekaw, jakim sposobem wślizgnęła się w kołowrót pracy etatowej.

Wiedziałem, że przekonania zabraniają Ninie wydawać na jeden posiłek sumy odpowiadającej miesięcznemu dochodowi rodziny z Burkina Faso, zarezerwowałem więc stolik w niedrogiej knajpce przy Vonarstraeti specjalizującej się w rybie z grilla. Posadzono mnie na szczęście z dala od baru, gdzie grupka pracowników biurowych hucznie świętowała zwolnienie szefa.

Potrzebowałem kilku sekund, żeby rozpoznać Ninę. Gdy widziałem ją po raz ostatni, ubrana w ogrodniczki i kalosze rozdawała ulotki podczas marszu. Młoda kobieta, która szybko szła mi na spotkanie, miała na sobie ciemne džinsy, białą dopasowaną koszulę i świetnie dobraną, zwężaną w talii marynarkę w kolorze ochry. Kilkucentymetrowe obcasy oddawały sprawiedliwość jej atletycznej sylwetce.

– Wiem, cóż za transformacja, prawda? – rzuciła, składając całusa na moim

policzku.

– Zdumiewająca. Gdyby mi ktoś powiedział, że pewnego dnia włożysz coś zamszowego...

– O czym ty gadasz? – Zmusiła mnie, bym dotknął jej rękawa. – To syntetyk. Jeszcze nie całkiem zaprzedałam duszę diabłu. Dobra, co jemy? Umieram z głodu...

Przyglądałam się Ninie ukradkiem, podczas gdy ona studiowała kartę. Metamorfoza nie ograniczała się do garderoby. Zapuściła swoje kasztanowe włosy, spięte tego wieczoru w nienaganny koński ogon, który uwydatniał rysy jej twarzy. Brwi miała wyregulowane. No i – choć nie dałbym sobie za to ręki uciąć – zdawało mi się, że leciutko pociągnęła rzęsy tuszem.

Zamknęła menu.

– Dla mnie halibut. A ty wybrałeś?

– Yyy, nie, jeszcze nie.

– Nie spiesz się. Ale ja nie mogę dłużej czekać.

Przywołała kelnera i zamówiła talerz przystawek oraz kufel piwa.

– Ja stawiam – oznajmiła tonem, który nie pozostawiał pola do jakiegokolwiek dyskusji.

– Z jakiej to okazji?

– Żeby podziękować ci za twoje rady, o które zresztą czasem wcale nie prosiłam, udzielane w ciągu ostatnich lat. Ostatecznie postanowiłam cię posłuchać i zatrudnić się na pełen etat w jednym stowarzyszeniu.

Przez piętnaście lat Nina rozmieniała się na drobne, walcząc o najróżniejsze sprawy, a każda z nich była szlachetniejsza od pozostałych. Zdarzało się, że w jednym tygodniu maszerowała w proteście przeciwko kwaśnym deszczom, rozprawiała petycję, w której żądano interwencji błękitnych hełmów w Darfurze, i zbierała fundusze na wykorzenienie malarii w Sahelu. Organizacje, wiedząc, że nigdy nie odmówi im pomocy, nadużywały jej dobroci i dzwoniły o każdej porze dnia i nocy, by prosić o radę, skontaktowanie się z rządem albo naklejanie znaczków. Zawsze dawała z siebie to, co najlepsze, harowała jak wół i żywiła się niemal wyłącznie makaronem lub ryżem. Gdy komornicy zaczynali dobijać się do jej drzwi, ratowała się pracą na zastępstwo. Firmy, do których trafiała, często próbowały zatrudnić ją na stałe, lecz na próżno.

Niezliczoną ilość razy starałem się wytłumaczyć Ninie, że angażując się w zbyt wiele spraw, żadnej nie przysłuży się w znaczący sposób; był to, przyznaję, prozaiczny punkt widzenia, ale wydawał mi się całkiem racjonalny. Niestety, choć w teorii Nina i jej przyjaciele uznawali słuszność mojego rozumowania, wracali do starych przyzwyczajęń wraz z wybuchem kolejnej katastrofy. Wystarczyło, że w Pakistanie zatrzęsała się ziemia albo w Sudanie wzmógł się głód, a oni rzucali wszystko, co mieli w planach, i ruszali zbierać datki przy Laugavegur. Z tego względu, mimo najlepszych chęci, nigdy do niczego nie dochodzili.

– Widziałem ogłoszenie na temat twojej nominacji – powiedziałem, dając znak kelnerowi. – To oni zwrócili się do ciebie?

– Tak. Pomogłam im w dwa tysiące drugim roku. Pamiętasz? Protest okupacyjny w Húsavíku przeciwko polowaniom na wieloryby. Zatrzymałam się u twojej matki.

– Możliwe – przyznałem wykrętnie.

Nie widziałem potrzeby, aby mówić Ninie, że mama nie zachowała z jej pobytu w domu równie dobrych wspomnień. W jej ustach protest okupacyjny zmieniał się w zamieszki, manifestanci w bitników, a Nina w Różę Luksemburg.

– Pozostaliśmy w kontakcie. Ja przygotowywałam dla nich raporty z lektury, oni zapewniali mi dostęp do swoich baz danych. A później, z początkiem marca, zaproponowali, żebym do nich dołączyła jako dyrektorka do spraw rozwoju. To nowe stanowisko. Przypomniały mi się twoje rady, no i się zgodziłam.

– Ilu macie zatrudnionych na stałe?

– Dwadzieścia dwie osoby.

– Na jaki budżet?

– Pięć milionów dolarów. Podaję w dolarach, bo około połowa naszych donatorów pochodzi zza granicy.

– Ze Skandynawii?

– Głównie, choć mamy też Anglików, Niemców, a nawet kilku Amerykanów.

– Szefową jest ciągle Johanna Briem?

– Owszem! – przytaknęła Nina z zaskoczoną miną. – Znasz ją?

– Kilka razy miałem z nią do czynienia u Baldura.

– Kiedy reprezentowałeś ludzi zanieczyszczających rzeki i konstruktorów autostrad?

– Właśnie tak. Johanna i jej znajomi próbowali wsadzić nam kij w szprychy. Ale

nie rzucam na nią kamieni, to stanowi część rozgrywki.

– Zdaje się jednak, że nieszczęśliwie ją lubisz...

– Mniejsza z tym, jaką mam opinię na jej temat. Mogę ci za to powiedzieć, co sądzę o Jöro, jeśli cię to interesuje.

– Interesuje mnie.

– W okresie, kiedy miałem z nimi do czynienia, dostrzegłem u nich straszliwą skłonność do rozmiękania się na drobne.

– Czyli, podsumowując, jak u mnie...

– Johanna i jej rada nadzorcza nie potrafią obrać jednej misji, a potem się jej trzymać. W świecie marketingu powiedziałaoby się, że cierpią z powodu błędnego pozycjonowania. To być może okup płacony za status najważniejszego stowarzyszenia w kraju: próbują złapać zbyt wiele srok za ogon. Jednego dnia są czysto islandzkimi działaczami, którzy walczą w obronie wielorybów albo o uznanie Vatnajökull za rezerwat przyrody. Nazajutrz wydają białą księgę o gazach cieplarnianych. To się nie trzyma kupy.

– Dlaczego? Z jakiej racji mielibyśmy pozostawać z dala od globalnych dyskusji? Izolacja nie chroni nas przed ociepleniem klimatu.

– Nie, oczywiście. Ale istnieją granice tego, co można osiągnąć przy dwudziestu stałych pracownikach i czterystu tysiącach dolarów miesięcznego budżetu. Te globalne dyskusje, jak je nazywasz, toczą się na poziomie państw, Narodów Zjednoczonych czy mastodontów pokroju Green Crossu albo WWF-u. Wasz wpływ nawet nie jest znikomy, ale zerowy, wręcz ujemny, jeśli wziąć pod uwagę, na co mogliście przeznaczyć te pieniądze.

Kelner postawił między nami przystawki. Nina ich nie tknęła. Obawiałem się, że ją zdenerwowałem.

– Szokuję cię?

– Ależ skąd. Wyobraź sobie, że właśnie po to zostałam zatrudniona. Administratorzy doszli do takiego samego wniosku jak ty. Powierzyli mi zerwanie niektórych osi komunikacyjnych przy następnej kampanii pozyskiwania subskrybentów.

– Co dla organizacji pozarządowej oznacza redefinicję celów. To bardziej mi się podoba: widząc tytuł twojego stanowiska, zacząłem się bać, czy nie pošlesz Jöro do kolejnej walki z wiatrakami.

– To mi nie grozi. – Wgryzła się w krewetkę w cieście. – A skoro już mowa o celach, co mi radzisz?

– Powiem bez wahania: skoncentrować Jöro na Islandii.

– Czemu?

– Z prostego względu użyteczności marginalnej: to jedyna domena, w której możecie coś zmienić. Dzieląc czas pomiędzy zagrożone gatunki, zanieczyszczenie rzek i ochronę krajobrazu, będziecie mieli sporo na głowie przez następnych piętnaście lat.

– Myślisz, że zagraniczni ofiarodawcy zostaną z nami?

– I jeszcze wam przyklasną. Jestem gotów iść o zakład, że to miłośnicy przyrody, którzy pragną w dalszym ciągu móc wspinać się na wulkany i kąpać w gorących źródłach.

Po powątpiewającym grymasie Niny poznałem, że liczyła na inną odpowiedź.

– Falleg Ísland i Náttúra już zajmują tę niszę.

– Z dziesięciokrotnie mniejszymi środkami i praktycznie bez żadnych prywatnych inwestorów. To inna kategoria wagowa. W końcu pieniądz rodzi pieniądz, w działalności dobroczynnej tak samo jak gdzie indziej.

– Wiem. Ale jednocześnie boję się, żeby nasi etatowcy nie odczytali tego jako wyrazu bezsilności. Moją rolą jest ich inspirować, a nie zniechęcać.

Chwyciłem kufel z piwem. Znałem Ninę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że temat został zamknięty. Wysłuchiła mnie, ale ostatecznie postąpi zgodnie z własnym przekonaniem. Nie stanowiło to dla mnie problemu. To było jej życie, nie moje.

– Ale dość o mnie – orzekła Nina, porywając ostatnią przekąskę. – Jak ty się masz?

– Bardzo dobrze, wracam z dorocznej pielgrzymki do Húsavíku.

– Twoja mama wciąż pracuje?

– Co jakiś czas wspomina o sprzedaniu trzody, ma trzysta owiec, pamiętasz? Ale chętni nie pchają się drzwiami i oknami. Popatrz, reforma produkcji rolnej – kolejny temat, którym moglibyście się zająć.

– A twoja siostra? – ciągnęła Nina, nie połykając przynęty.

– Nadal w Niemczech ze swoim mężem kretynem. Ich dzieci nie mówią nawet po islandzku, to mnie boli.

– A ty, Sliv, odnalazłeś sens życia?

Niektóre z wypowiedzianych przez Ninę zdań miały moc sprawiania, że czułem się zaalarmowany. Czasem podejrzewałem, że nie całkiem zmyliła ją moja przykrywka konsultanta środowiskowego.

– Czemu pytasz? – zagadnąłem ostrożnie.

– Ponieważ pewnego razu powiedziałeś mi, że twój ojciec przed śmiercią powierzył ci misję odszukania go w jego imieniu.

Nieco opuściłem gardę. Teraz przypomniałem sobie tę rozmowę z Niną. Bardzo niewielu ludzi znało ten epizod z mojego życia.

– Ciągle jeszcze nie. Pojąłem pewne rzeczy, ale nie zawarłem pokoju z samym sobą.

– To wina twojej pracy – oświadczyła nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Mógłbyś robić o wiele więcej. Słuchaj, Greenpeace szuka dyrektora na Europę. Chcesz, żebym podszepnęła im twoje nazwisko?

– W żadnym wypadku, dzięki.

– Nie zamierzasz przecież dożyć kresu swoich dni, doradzając właścicielom spalarni śmieci?

– A czemu nie?

– Bo oni mają środowisko głęboko gdzieś. To dla nich niedogodność, wrzód na tyłku, którego pozbywają się, opłacając badania i smarując łapy stowarzyszeniom albo politykom. Jesteś na to za dobry. Udaje ci się zmylić ludzi w twoim świecie i, kto wie, może udaje ci się nawet zmylić samego siebie, ale ja, ja dobrze wiem, że nie jesteś taki jak inni.

– W jakim sensie? – spytałem, czując się coraz bardziej nieswojo z kierunkiem, w którym zmierzała ta konwersacja.

– Wiesz wszystko albo prawie wszystko; władasz półtuzinem języków; próbujesz zrozumieć, dlaczego inni nie myślą w ten sam sposób co ty; z łatwością nabierasz dystansu, także do spraw, które cię dotyczą...

Nina się rozpędzała. Uniosłem dłoń, zanim zdążyła zabrać się do wyliczania fizycznych atutów, którymi tak hojnie obdarzyła mnie natura.

– Dziękuję, Nino, ale nie zasługuję nawet na jedną czwartą tych pochwał. A jednak pozwolę sobie zauważyć, że zalety, które mi przypisujesz, charakteryzują właśnie dobrego konsultanta.

– Zrobiłyby też z ciebie wielkiego przedsiębiorcę albo świetnego ministra.

– Nie jestem pewien. Brakuje mi przywódczej charyzmy, nie znoszę rozwlekłych uprzejmości, a przede wszystkim zbyt cenię sobie wolność. A poza tym, tak szczerze, uważam, że jesteś niesprawiedliwa wobec mojej profesji. Tak jak ty, jak Johanna, uprawiam swój skromny kawałek poletka, walcząc o czystsze powietrze i rzeki. Choć na to nie wygląda, zdarzało mi się zawrócić autostradę, przenieść lotnisko, zamknąć wysypisko śmieci. Więc owszem, to prawda, że nie pojawiając się na pierwszych stronach gazet. Ale to nie moja wina, że mam większy talent do pisania ocen oddziaływania niż do wymachiwania transparentami czy organizacji strajków głodowych.

Ataki Niny postawiły mnie w paradoksalnej sytuacji, w której musiałem bronić zawodu, którego nie wykonywałem już od piętnastu lat i który, jak dziś podejrzewałem, szybko by mnie znudził. A jednak Nina nieświadomie trafiła w mój czuły punkt: wciąż jeszcze goniłem za szczęściem.

Kelner wybrał ten właśnie moment, aby przynieść nasze dania. Długo rozpływałem się nad swoją solą w nadziei, że Nina zgubi dzięki temu wątek. I rzeczywiście zmieniła temat. A jednak, gdybym wiedział, co los ma dla mnie w zanadrzu, przełknąłbym swoją rybę bez gadania.

– No to powiedz, z tą twoją pracą środowiskowego supermana i pękającym pakietem emerytalnym pewnie zawracasz słodkim Kanadyjkom w głowach, co? Masz kogoś?

– Nie, nikogo na poważnie. Czemu pytasz?

Nina spuściła oczy, przez kilka sekund bawiła się chlebem i starannie wyrównała sztucę do wzoru na serwetce. W końcu uniosła głowę i rzuciła:

– Nie myślałeś nigdy, że moglibyśmy wylądować razem? Znamy się jeszcze ze studiów, dobrze się rozumiemy, mamy te same zainteresowania, nie jesteśmy już tacy znowu młodzi...

Odłożyłem sztucę. Musiałem ją powstrzymać, zanim zacznę mówić o dzieciach albo formalnościach związanych z emigracją do Kanady.

– Nie, właściwie to nie. Hm, jakby to powiedzieć? Jesteś wspaniała: piękna, zabawna, inteligentna, ale nigdy nie myślałem o tobie w tych kategoriach.

– A mógłbyś spróbować? – spytała, uśmiechając się dzielnie.

W tej chwili podziwiałem ją za to, że nie stara się ukryć wrażliwości. Mimo to

potrzęsnałem głową.

– Nie. Nie chcę ci robić złudnych nadziei. Bardzo mi to pochlebia, naprawdę, ale nie, to nie jest... To nie jest nasza historia.

Nina zmarszczyła brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ty masz swoją historię, a ja swoją, i że nie widzę, by miały się skrzyżować. A w każdym razie nie bardziej, niż krzyżują się obecnie.

Już miała coś na to odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

– Nie mówmy o tym więcej – zarządziła z błyszczącymi oczyma, z udawaną wesołością podnosząc szklanę.

6

Lot z Reykjavíku do Toronto trwa dziewięć godzin, z przerwą na przesiadkę w Nowym Jorku lub Waszyngtonie, co gwarantuje pozbawionemu snu pasażerowi nieoczekiwany bonus: darmowe przejście przez amerykańską kontrolę imigracyjną.

Ponieważ nie znośm pracować w samolocie, zazwyczaj wykorzystywałem ten czas na łączenie dwóch moich pasji poprzez oglądanie na komputerze różnych filmideł z dubbingiem i napisami jednocześnie. Mogę się więc pochwalić, że ów pomnik wyrafinowania, jakim jest *Dzień niepodległości*, widziałem we wszystkich kombinacjach językowych dostępnych na DVD. Ten, kto nigdy nie słyszał Willa Smitha wykrzykującego „Witajcie na Ziemi!” po holendersku z bengalskimi napisami, ten wiele traci z arcydzieła Rolanda Emmericha, a dodatkowo omija go okazja, by nauczyć się targować na kalkuckich bazarach.

Niestety, tamtego dnia nie udało mi się wciągnąć w *Twistera*, film katastroficzny – i katastrofalny – który wybrałem ze względu na rzadko spotykaną skandynawską ścieżkę dźwiękową. Krowy, wanny i dachy wirowały na ekranie do wtóru Billa Paxtona mówiącego po norwesku, a ja nawet się nie uśmiechnąłem. Zamknąłem laptopa, wzdychając, i pozwoliłem opanować się myślom, które przyrzekłem sobie trzymać na dystans.

Nie byłem dumny ze sposobu, w jaki odrzuciłem awanse Niny. Sformułowanie: „To nie nasza historia” było od czapy; nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej go użył, a nawet je słyszał. Było to najlepsze, co przyszło mi do głowy, by odtrącić koleżankę, nie raniąc jej przy tym; innymi słowy: nie było to nic wielkiego.

Skłamałbym jednak, twierdząc, że deklaracja Niny okazała się dla mnie niespodzianką. Gunnar często dokuczał mi z jej powodu, utrzymywał, że nigdy nie brakowało jej pretekstów, by zajrzeć do biura i spytać, co u mnie. Pamiętałem też tamten wieczór w 2001 albo 2002 roku, kiedy pomogłem jej i jej przyjacielom ułożyć strategię obrony indonezyjskiego ludu zagrożonego wyginięciem. Później długo spacerowaliśmy ulicami Reykjavíku, aż wreszcie weszliśmy do niej do

domu, żeby się czegoś napić. Doskonale wyczułem wtedy, że Nina tylko czeka na jakiś sygnał z mojej strony. Ale ja nigdy żadnego znaku nie dałem.

A jednak, gdybym musiał naszkicować swój ideał kobiety, przypominałby on tę dziewczynę pochodzącą z Południowej Afryki. Jej przyjemny dla oka wygląd skrywał jedną z najbardziej interesujących osobowości, z jakimi miałem szansę się zetknąć. Doceniałem jej rozum, jej uczciwość, jej zrozumienie historii. Przez długi czas uznawałem jej eklektyzm za powierzchowność, jej niezmienną empatię za rodzaj nieco naiwnego altruizmu, podczas gdy w istocie obie te cechy przyczyniały się u niej do tego samego: do próby przewycięzania podziałów. Jej decyzja o wstąpieniu do Jöro – nie wątpię zresztą, że wkrótce stanie na jego czele – dowodziła, że rozumiała konieczność ukierunkowania swojego zapału i lepszego wybierania toczonych bojów. Niech no tylko nauczy się żeglować między skałami świata stowarzyszeń, a już nic jej nie powstrzyma.

W wieku niemal czterdziestu lat nadal nie przejrzałem tajemnic miłosnej alchemii. Przeżyłem swoją działkę szczęśliwych i nieszczęśliwych doświadczeń. Zdarzało mi się, podejrzewam, że jak każdemu, zakochiwać się w kobietach, które na to nie zasługiwały, albo przeciwnie – stopniowo rozwijać w sobie uczucia do takich, z którymi przestawałem od dłuższego czasu. Nina nie wpisywała się w żaden z tych schematów. Była szczególnym przypadkiem, anomalią: powinna mnie pociągać, ale nie pociągała.

Jeden aspekt jej osobowości powstrzymywał mnie, jak sądzę, przed fantazjowaniem, że między nami mogłoby do czegoś dojść. Nina nie należała do osób, przed którymi coś się ukryje. Nie wyobrażałem sobie, abym miał ją okłamywać rano i wieczorem, usprawiedliwiając swoje niekończące się podróże fałszywymi misjami z zakresu doradztwa środowiskowego albo złożąc przy kolacji na wyimaginowanego szefa. Skończyłoby się na tym, że w fatalny sposób bym pękł albo – co gorsza – to ona by mnie przejrzała. Zażądałaby szczegółowego opisu działalności KFR-u, nie rozumiałaby, jak mogłem przez dwanaście lat zadawać sobie tyle trudu, nie wiedząc, dla kogo ani po co pracuję, zrobiłaby awanturę u Baldura, Furuseta i Thorberga, kto wie, co jeszcze... Tak, niewątpliwie w tym właśnie należało szukać wyjaśnienia: podświadomie zakazywałem sobie kochać Ninę z obawy, że otworzę puszkę Pandory.

I nagle, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, nad południcą wołową w sosie

berneńskim, postanowiłem przyznać sam przed sobą to, co aż kłuło w oczy: byłem skazany na samotność. Ignorowałem wszystkie znaki, które przeznaczenie stawiało na mojej drodze: wieczorami siedziałem zamelinowany w domu, podczas gdy mógłbym kogoś poznać; zerwałem z dwoma kobietami gotowymi nosić moje dzieci; nie posłuchałem rady mojego przyjaciela Stéphane'a, żeby zaręczyć się w Akademii.

Mój przypadek nie był odosobniony, wręcz przeciwnie. Agenci KFR-u, którzy zawierali związki małżeńskie (stanowili zaledwie połowę personelu), często poznawali swoją bratnią duszę wewnątrz organizacji, tak jak się stało w przypadku Youssefa i Magi czy Stéphane'a i Aoify. Gunnar z kolei poślubił nauczycielkę, Djibo pracownicę socjalną, Zoe plantatora kawy. Oficjalnie nie wolno im było dzielić się z małżonkami informacjami o wykonywanym zawodzie; w istocie każde radziło sobie z sytuacją na swój sposób.

Nina stanowiła dużo poważniejsze ryzyko niż Ann Djibo lub Dimitris Karvelis. Nie tylko pojęłaby kwintesencję KFR-u, lecz także mogłaby nas pokonać w naszej własnej grze. Była jednocześnie zbyt blisko i zbyt daleko od mojego uniwersum. A zatem zbyt daleko.

Moja samotność to tylko jeden z licznych symptomów dogłębnego cierpienia, do którego uczyniłem aluzję w obecności Niny: nadal nie znalazłem swojego miejsca we wszechświecie.

Ale nie miałem na co narzekać. Moje dochody znacznie wzrosły po nominacji do Komitetu. Wydawałem ledwie jedną trzecią pensji, mimo że mieszkałem po królewsku. W dalszym ciągu nie przyzwyczałem się do licznych korzyści, które zapewniała mi moja nowa pozycja: hojnych zwrotów kosztów, służbowego samochodu, osobistej asystentki, podróży pierwszą klasą, doradcy finansowego i tak dalej, i tak dalej.

Życie w Toronto również miało swój urok, jeśli ktoś nie lękał się chłodu ani deszczu. Podobała mi się różnorodność etniczna i kulturowa, do której nie przywykłem, sklepy otwarte o każdej porze, północnoamerykańska architektoniczna brawura, widoki na jezioro. Tak naprawdę rzadko korzystałem z miejskiego życia: przez połowę czasu podróżowałem, a gdy tylko mogłem, urywałem się, by wędrować po okolicznych lasach.

Koledzy i koleżanki z Komitetu także nie byli przyczyną mojego stanu. Yakoub

Khoyoulfaz okazał się, tak jak przeczuwaliśmy, przewodniczącym dyspozycyjnym i ceniącym równość, w odróżnieniu od swojego poprzednika. Wykazywał się wyjątkowym rozsądkiem w wyborze tematów, które przedkładał naszemu zgromadzeniu. W ciągu pięciu lat ani razu nie odniosłem wrażenia, że decyduję w nieistotnej sprawie ani też – co byłoby jeszcze gorsze – że jakaś krytyczna kwestia nie została poddana pod głosowanie. Mimo że statut przyznawał mu decydujący głos w debatach, kiedy było jasne, że zdania wciąż są podzielone, Yakoub wolał przedłużyć dyskusję, niż przechodzić do głosowania. Większość, która ostatecznie niemal zawsze się wyłaniała, stawała się dzięki temu jeszcze silniejsza.

Na początku kadencji Yakoub bardzo polegał na Zoe Karvelis i Ching Shao, podczas gdy Onobanjo i ja się przystosowywaliśmy, a Ménard zajęty był umieraniem. Zoe, Yakoub i Ching wspólnie wzięli na swoje barki te wszystkie nieprzyjemne zadania, które idą w parze z gwałtowną zmianą władzy. Audyt finansowy oczywiście ujawnił górę trupów w szafach i bomb z opóźnionym zapłonem. Yakoub natychmiast wypchnął za drzwi około dziesięciu współpracowników nadmiernie przywiązanych do byłego przewodniczącego i podbudował morale personelu, prowadząc seminaria na pięciu kontynentach.

Uważałem, że od roku czy dwóch mam całkowitą zdolność operacyjną. Moje doświadczenie scenarzysty, który przeszedł przez Operacje Specjalne, w naturalny sposób predestynowało mnie do fałszerstw wielkiego kalibru, dalszych ciągów inicjatyw (owych kolektywnych operacji zrzeszających kilka teczek w obrębie jednego scenariusza), ale też do nagłych wypadków; misji, które w naszym żargonie nazywamy „gaszeniem pożarów”. Na jedno słowo ze strony Komitetu mogłem wskoczyć w samolot i wysiąść w danej jednostce, dysponując pełnią władzy.

Pięć lat wiernej służby Yakoubowi uprawniało mnie, jak sądzę, do przeprowadzenia bilansu. Poznanie sekretu KFR-u i towarzyszące temu przyjęcie do Komitetu nie przyniosły mi spodziewanego spokoju ducha. Długa agonia Ménarda albo niewdzięczne zadania, którymi zarzucali mnie z początku koledzy, mogły wywrzeć na mnie pewien wpływ, lecz mój problem był bardziej fundamentalny: nie umiałem pogodzić się z faktem, że KFR nie ma celu. Doznałem objawienia w tym względzie pod koniec 2003 roku, gdy Yakoub zaproponował,

żebym zasiadał w jury konkursu na najlepszą pierwszą teczkę. Zgodziłem się z radością, wspominając podekscytowanie, jakie odczuwałem przed dwunastoma laty, dowiedziawszy się o wyborze mojego scenariusza o Buszmenach. Kto mógł przewidzieć, że lektura finałowych teczek okaże się taką katorgą? Nie dlatego, że były złe, wręcz przeciwnie. Połowę można by zatwierdzić, nie zmieniając w nich choćby przecinka, a najlepsza miała potencjał, żeby zostać sagą. Po prostu nie interesowały mnie te wszystkie zmutowane owady, opowieści o współwięźniach, z którymi Mandela dzielił celę, czy o wyczynach tajnej gałęzi Mosadu. Skoro KFR nie ma celu, to czemu służą te teckiki? W jaki sposób sprawią, że świat stanie się lepszy lub bardziej sprawiedliwy? Zalała mnie ogromna fala współczucia, kiedy myślałem o tych młodych agentach, którzy niecierpliwie przebierają nogami, aby zmienić świat, tak samo jak kiedyś Youssef, Maga czy ja. Byli gotowi czekać pięć, dziesięć, piętnaście lat na wyjawienie sekretu, który zgodnie z ich przeczuciem musiał być wspaniały, podczas gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dziewięciu na dziesięciu spośród nich do końca kariery pozostanie w nieświadomości, a ten dziesiąty będzie jak ja zadawał sobie pytanie, czy – zważywszy na wszystko – nie wolałby dzielić losu kolegów.

Już nawet nie potrafiłem znaleźć motywacji do tworzenia własnych historii. Nie napisałem nic od czasu dość sławnej kontynuacji mojej teczeki o archiwach Stasi. Buszmeni i *Bettlerkönig* tkwili w impasie; nie zgadzałem się, by inny agent przedłużył ich egzystencję, ale wzdragałem się przed zajęciem się nimi samodzielnie. Moje sprzeczności kłuły mnie w oczy: pomstowanie na administracyjną pańszczyznę nie przeszkadzało mi szukać wszelkich możliwych pretekstów, aby odsunąć w czasie moment, w którym zabiorę się do następnego scenariusza. Opowiadanie kolejnej historyjki zdawało mi się nieuleczalnie bezcelowe.

Przynajmniej nie byłem w tym odosobniony. Krótco po tym, jak objąłem swoje stanowisko, Zoe Karvelis zaprezentowała mi zdumiewającą statystykę: niemal połowa członków Komitetu zdymisjonowała w następnym roku po nominacji. To, że KFR nie posiada żadnego głównego kierunku rozwoju, jeszcze jakoś by znieśli; ale fakt, że wymaga się od nich, by udawali, że to oni nad nim czuwają, okazywał się ponad ich siły. Zoe sama się wahała, czy nie wrócić do cywila. Miłość do falsyfikacji (nadal tworzyła jedną teczkę rocznie), a przede wszystkim troska o los

setek młodych agentów rekrutowanych przez KFR każdego roku przekonały ją ostatecznie do tego, żeby zostać. Przysięgła sobie, że będzie dawała z siebie wszystko w każdych okolicznościach; postawę tę uznałem za godną pochwały, aczkolwiek niewystarczającą.

Gunnar, któremu zwierzyłem się ze swoich rozterek, nie okazał się zbyt pomocny. Z natury mniej ode mnie skłonny do metafizycznych wątpliwości, na dodatek nie znalazłszy się nigdy na pozycji, z której mógłby wpływać na kurs KFR-u, zbywał moje wątpliwości kiwaniem głową i uśmiechami. Musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: nie był w stanie mi pomóc.

Mimo że gwiazda Djiba coraz bardziej bladła, nieraz rozważałem zwrócenie się do niego o pomoc. Reprezentował zupełnie inny poziom intelektualny niż Gunnar, przebył ścieżkę kariery relatywnie podobną do mojej i zarządzał losami Komitetu przez ponad dekadę. Instynkt podpowiadał mi, że jeszcze czegoś może mnie nauczyć.

Zadzwoiłem do niego, gdy tylko wylądowałem w Toronto.

7

Dotarłem do biura około szóstej z zamiarem odhaczenia kilku pilnych spraw przed spotkaniem z Djibem. Zgodził się wybrać ze mną na spacer brzegiem Scarborough Bluffs, klifów otaczających jezioro Ontario na wschód od miasta.

Lena była na stanowisku z filiżanką parującej kawy w dłoni. Już dawno zarzuciłem próby zrozumienia, w jaki sposób organizuje swój czas pracy.

– A niech mnie! Cóż za elegancja! – wykrzyknęła, mierząc wzrokiem mój strój na piesze wycieczki. – Nadal stosujesz się do mody z Húsavíku?

– Bardzo zabawne – odparłem, odkładając swoje rzeczy. – Żadnych wieści o neseserze?

– Ach, nie. Oto co się dzieje, kiedy powierzy się literatom władzę nad Komitetem...

Lena nie robiła tajemnicy z pogardy żywionej wobec scenarzystów – szarańczy, której nierozwaga była, wedle jej słów, przyczyną wszystkich wielkich kryzysów w naszej historii. Powstrzymałem się przed ripostą, że gdyby na czele postawić ją i Sophie Onobanjo, KFR nigdy nie wyprodukowałby żadnej teczki. Było trochę za wcześnie na wywoływanie kłótni.

– Tylko wczoraj zarejestrowaliśmy pięć rezygnacji – ciągnęła Lena. – Więcej niż w całym kwietniu. Szczury opuszczają okręt...

– A śledztwo w Londynie?

– Znaleźli kobietę. Pracownica banku z City. Kilka osób widziało, jak wysiada z taksówki: nie niosła żadnej walizki.

– A więc któryś z poprzednich pasażerów ją zgarnął.

– Brawo, Sherlocku! Niestety, nie posuwa nas to do przodu, zważywszy, że kobieta była ostatnią z całej czwórki.

– Znajdą tę walizkę – zapewniłem z mocą.

– Słodki jesteś – rzuciła Lena rozbawiona moją wiarą. – No dobrze, chcesz wiedzieć, co myślę o teczce Safe Haven Yakouba?

– Jasne.

Przyciągnąłem sobie krzesło i usiadłem po jej lewej. Spryskała się bardzo delikatnymi perfumami.

– Na początek: ten wasz Würth to pajac – oświadczyła nieodwołalnie.

– Po pierwsze, to nie jest nasz Würth. Po drugie, jego scenariusz wydał mi się dość genialny. Co masz mu do zarzucenia?

– Ten imbecyl zostawił zaledwie osiem procent okrągłych liczb.

– A to źle?

Wzniosła oczy do nieba, jakby chciała powiedzieć: „Co oni by beze mnie zrobili?”.

– Nie, wcale nie źle: to fatalnie! Okrągłe liczby powinny stanowić dokładnie dziesięć procent całości. Co oznacza, że Würth nie mógł się oprzeć pokusie, by zamienić zbyt wiele zer na trójki albo czwórki. A tymczasem zauważ: w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wartości temperatury kończące się cyfrą cztery stanowią jedenaście i trzy dziesiąte procenta danych.

– Aj, aj, aj – westchnąłem, przyjmując zdruzgotaną minę.

– Gdybyśmy mieli pięćset albo tysiąc wyników, takie odchylenia dałoby się zrozumieć. Ale im większa liczba obserwacji, tym bardziej homogeniczny powinien być rozkład danych. Biorąc pod uwagę, o jakim okresie tu mowa, różnica dwóch punktów procentowych świadczy o zewnętrznej ingerencji dobitniej niż pozostawiony podpis.

Musiła zdać sobie sprawę, że przemawia w próżnię, bo zmieniła temat.

– Ale idźmy dalej, to nie dlatego chciałam się z tobą zobaczyć. Odnoszę wrażenie, że Würth nie był jedynym, który majstrował przy danych.

– Co?! Jesteś tego pewna?

– Prawie. Czekaj, pokażę ci.

Wręczyła mi wykres przedstawiający średnią temperaturę w Nairobi, poczynawszy od 1912 roku. Legenda podawała, że dla większej czytelności uśredniono dane z każdego kolejnych trzech lat.

– Co ci mówi ta krzywa? – spytała Lena.

– Że na przestrzeni wieku średnia temperatura wzrosła o około pół stopnia. Nic spektakularnego, ale wiesz równie dobrze jak ja, że w kwestiach klimatycznych liczy się tendencja.

Położyła przede mną drugą kartkę.

– To ten sam wykres – stwierdziłem, rzuciwszy okiem.

– Naprawdę? Przypatrz się lepiej.

Nie, to nie był ten sam wykres. Ten tutaj zaczynał się od roku 1908, cztery lata wcześniej niż poprzedni. W latach 1908–1912 było w Nairobi bardzo gorąco, tak gorąco, że jeśli spojrzano się na oba końce krzywej, temperatura wydawała się w istocie rygorystycznie stabilna.

– To wszystko zmienia, prawda? – zagadnęła Lena, widząc, że zauważyłem różnicę.

– Jak na to wpadłaś?

– Ten osioł Würth miał dobry pomysł, żeby zachować zbiór danych NCDC sprzed wprowadzenia modyfikacji i po. Wiedzioną intuicją porównałam aktualną bazę z tą z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Oszczędzę ci opowieści o problemach technicznych, jakim musiałam stawić czoła. Każdy plik waży kilkadziesiąt razy więcej niż cały twój twardy dysk.

Jeszcze parę lat temu Lena zarzuciłaby mnie szczegółową relacją ze swoich informatycznych wyczynów, podczas której musiałbym się w regularnych odstępach zachwycać, żeby wyrazić swój podziw. Teraz darowywała sobie te dziecinne demonstracje, może dlatego, że już nie wątpiła we własną wartość. Był to ogromny postęp.

– Trzykrotnie przeprowadziłam analizę, tak bardzo zaskoczyły mnie wyniki – kontynuowała. – Trzymaj się mocno: od czasu ingerencji Würtha sześć procent danych zostało w ten czy inny sposób zmienionych.

– Sześć procent? To się wydaje niewiarygodne.

– Pół procenta to mniej lub bardziej usprawiedliwione poprawki...

– To znaczy?

– Na przykład w pierwszym zestawie danych temperatury w Rzymie przez pierwszy tydzień kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego wyglądały następująco: dwadzieścia siedem, dwadzieścia sześć, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, czternaście, dwadzieścia siedem i dwadzieścia osiem stopni Celsjusza. Nic cię tu nie szokuje?

– Owszem, czternaście stopni, oczywiście.

– Stało się więc jedno z dwojga: albo piątego kwietnia pięćdziesiątego siódmego w Rzymie naprawdę było chłodno – co można sprawdzić, porównując tę wartość

z temperaturą tamtego dnia w Neapolu czy Florencji...

– Albo jeszcze łatwiej: zaglądając do noszącego tę datę dziennika...

Lena przeszła mnie morderczym spojrzeniem. Czasem ujawniała się jej prawdziwa natura.

– Albo wkradł się błąd, a wtedy nasuwa się pytanie, w jaki sposób go poprawić.

– Wyobrażam sobie, że w razie wątpliwości najoczywistszym rozwiązaniem byłoby wykasowanie wspomnianego wyniku.

– Najoczywistszym, ale najwyraźniej nie najczęściej stosowanym. W rozważanym przez nas przypadku administrator bazy miał do wyboru zastąpić te czternaście stopni dwudziestoma czterema, wyliczyć średnią z trzech poprzednich dni...

– Dlaczego z trzech? – spytałem. – Czemu nie z dziesięciu? I czemu by nie użyć kolejnych dni albo średniej z lata pięćdziesiątego szóstego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie studiowałam rejestrów wystarczająco dokładnie, żeby móc ci powiedzieć, jaki algorytm został użyty do wyczyszczenia bazy. Wiem za to, że ta decyzja nie jest neutralna. Usuwając skrajne dane, pozbawiasz amunicji ekologów, którzy krzyczą o rozregulowaniu klimatu...

– Ale z kolei nie polując na błędy, pozwala się, by świat ruszył na wojnę z globalnym ociepleniem, które być może istnieje wyłącznie w jego wyobraźni.

– Właśnie tak. Jednak sprawa robi się jeszcze poważniejsza. Jak mówiłam, błędy, albo dane mogące za takowe uchodzić, stanowią jedynie niewielką część modyfikacji. Pozostałe wyraźnie podyktowane zostały stroniczymi motywami. Jak inaczej wytłumaczyć przypadek Nairobi, gdzie cztery lata danych nagle wyparowały?

– Może to też jakiś błąd.

– Też tak myślałam. Dla spokoju sumienia skontaktowałam się z dyrektorem stacji meteorologicznej w Nairobi. Potwierdził, że jego rejestry rozpoczynają się od roku tysiąc dziewięćset ósmego, zaproponował nawet, że przefaksuje mi kopię. Oniemiał, kiedy się dowiedział, że NCDC nie ma nic z lat między tysiąc dziewięćset ósmym a tysiąc dziewięćset dwunastym.

Wyobrażałam sobie Lenę, jak dzwoni z budki telefonicznej, z szalikiem owiniętym wokół słuchawki. Bezpieczeństwo traktowała bardzo serio.

– Ale najciekawsze jest to – ciągnęła – że gdybym chciała potwierdzić hipotezę o ocieplaniu się klimatu w Kenii, wybrałabym właśnie tysiąc dziewięćset dwunasty jako rok początkowy. To najchłodniejszy rok w pierwszej połowie dwudziestego wieku, idealny punkt wyjścia dla osoby, która chce przekonać innych, że temperatura rośnie. Zresztą, to z pewnością nie przypadek, że przykład Nairobi często powraca w argumentacjach organizacji pozarządowych.

Ponownie przyjrzałem się pierwszej krzywej. Ze swoim łagodnym, acz nieubłaganim nachyleniem faktycznie wyglądała, jakby wzięto ją prosto z traktatu WWF.

– Jakież trzydzieści stacji padło ofiarą takich samych machlojek – mówiła dalej Lena. – W Johannesburgu skasowano cztery miesiące wyników, w Komsomolsku cztery i pół roku. A to i tak nic w porównaniu z Bogotą, gdzie piętnaście lat danych przepadło jak kamień w wodę.

– Wykryłaś inne ingerencje tego rodzaju?

– Dziesiątki, idące w obie strony.

– Co by dowodziło, że mamy do czynienia z przynajmniej dwiema konkurującymi ze sobą organizacjami.

– Biorąc pod uwagę różne *modi operandi*, szacuję, że liczba intruzów waha się między sześć a dziesięć, nie licząc Würtha. Większość trudno będzie zidentyfikować. Ale dwóch zostawiło ślady.

– Kim są? – zapytałem, będąc pod wrażeniem tego, ile Lena odkryła w tak krótkim czasie.

– Pierwsi nazywają się Oil Patrol. To małe stowarzyszenie ekologiczne z Melbourne specjalizujące się, jak sama nazwa wskazuje, w wywlekaniu na światło dzienne przewinień przemysłu paliwowego. Jeśli sądzić po archaicznych technikach infiltracji, trochę brakuje im funduszy, ale nie można powiedzieć tego samego o wyobraźni czy poparciu w mediach. Trzy miesiące po sfalszowaniu danych ze stacji meteorologicznych na Grenlandii i Alasce zamieścili w sieci filmik pokazujący tonące niedźwiedzie polarne. Sypnęły się datki, co pozwoliło organizacji zwiększyć liczbę personelu i zamówić kilka raportów naukowych u pseudoekspertów stojących po tej samej stronie.

– Pięknie – skomentowałem, myśląc, że rzeczony raporty dołączyły wówczas do obszernego zasobu materiałów, z którego czerpią umysły zbyt leniwe, by wyrobić

sobie własne zdanie.

– Drudzy należą do zlokalizowanego w Waszyngtonie think tanku Center for Independent Environmental Research¹. – Hmm... Nie ufam instytucjom, które odczuwają potrzebę podkreślania swojej niezależności w nazwie.

– W rzeczywistości CIER w dziewięćdziesięciu procentach finansowane jest przez przemysł paliwowo-chemiczny oraz górniczy. Pensje wypłaca fundacja Brookers blisko związana z Partią Republikańską. W ciągu ostatnich dziesięciu lat CIER wiele zainwestowało w pomiary pokrywy lodowej. Ich ostatni raport wykazujący, że na biegunie północnym powiększyła się ona zeszłej zimy o dziesięć centymetrów, wywołał ogromny oddźwięk.

– Pamiętam – westchnąłem. – Kongres wykorzystał go jako kolejny pretekst, aby nie ratyfikować Protokołu z Kioto.

Jeżeli istniała dziedzina, w której wszystkie chwytły były dozwolone, to było nią niewątpliwie globalne ocieplenie. Przemysłowcy, którzy walczyli o zabezpieczenie zysków i – jak twierdzili – o nasze miejsca pracy, nie znosili, kiedy ich diabolizowano. Z kolei wojujący ekolodzy bili się o przyszłość ludzkości; a to, siłą rzeczy, uderzało im czasem do głowy. Ironia polegała na tym, że oba obozy uciekały się do takich samych procederów. Podważali chińskie pomiary, podejrzewając, że Pekin manipuluje liczbami, podawali w wątpliwość dokładność aparatury z lat pięćdziesiątych albo szarpali się o pozornie nic nieznaczące kwestie metodologiczne, których wpływ mógł jednakowoż okazać się znaczący. Najświeższy przykład dotyczył brania pod uwagę gęstości zaludnienia przy analizie wskazań termometrów. Wszyscy wiedzą, że w miastach jest cieplej niż na wsi. Jak więc interpretować wzrost temperatury w mieście takim jak Tokio, którego populacja w przeciągu wieku zwiększyła się dziesięciokrotnie? W środowiskach naukowych krążyły różne wzory mające to tłumaczyć, z natury rzeczy niedokładne. Żaden nie został zgodnie przyjęty, i nie bez powodu: łatwiej było skalować pracę statystyka, niż przeczyć rzeczywistości.

Można by pomyśleć, że Lena czyta mi w myślach, bo dorzuciła:

– Tak czy owak, przy takiej masie danych można rozpowszechnić dowolny pogląd. Opowiedz mi swoją historię, a ja wyciągnę ci z rękawa liczby, które ją poprą.

– Jak zatuszujesz ślady ingerencji Würtha?

– Nie usunę ich; głupol zostawił je wszędzie. Przypiszę je londyńskiej organizacji ekologicznej, która zamknęła podwoje w dziewięćdziesiątym dziewiątym, wraz ze śmiercią przewodniczącego.

– Pozostali członkowie nie stanowią ryzyka?

– Skarbnik wyemigrował do Afryki Południowej, a sekretarz generalny siedział za zakłócanie porządku; jego zeznanie niewarte będzie funta kłaków.

– Dobra robota. Jak sądzisz, kiedy domkniesz tę sprawę?

– Właściwie to skończyłam dziś rano – odparła bez najmniejszego śladu sarkazmu.

Powstrzymałem się przed wytknięciem Lenie, że powinna była postarać się u mnie albo przynajmniej u Yakouba o autoryzację. Lepiej spałem w nocy, odkąd popuściłem jej smyczy.

– Doskonale – pochwaliłem, jakbym był jej wdzięczny za to, że zaoszczędziła mi kłopotu.

– Aha, przez dziesięć dni mnie nie będzie. Wracam w przyszły poniedziałek.

– Żaden problem – odrzekłem pełen obaw, że zaczynam brzmieć jak dobrotliwy naiwniak.

Jakieś dwa lata temu Lena nabrała zwyczaju zgłaszania niespodziewanych nieobecności. Najkrótsze trwały dwadzieścia cztery godziny, najdłuższe nawet do czterech tygodni. Mimo że zżerała mnie ciekawość, nigdy nie zebrałem się na odwagę, by spytać, dokąd się udaje. Yakoub, którego zagadnąłem w tej sprawie, unikał jasnej odpowiedzi, choć nie mogłem stwierdzić, czy kryje Lenę, czy wie równie mało co ja.

Mimo że pod wieloma względami dokonywał się postęp, w moich relacjach z Dunką wciąż odzywały się echa wydarzeń z 2003 roku. Gdy wyszła na jaw jej zdrada, Komitet zgodził się oszczędzić Lenę tylko pod warunkiem, że zostanie umieszczona pod obserwacją – oczywiście bez jej wiedzy – aż do odwołania. Yakoub powierzył obowiązek prowadzenia tej operacji mnie, wiedząc, że nie ośmielę się odmówić. Zaangażowałem firmę ochroniarską z Toronto specjalizującą się w przestępstwach gospodarczych. Niestety, podzlecenie przygotowywania raportów nie zwalniało mnie z ich czytania. Przez prawie rok rozpoczynałem dzień od zapoznawania się z poczynaniami koleżanki z biura i faktami na jej temat. Czasem, bardzo rzadko, kiedy prosiłem o dodatkowe informacje na temat osób,

w których towarzystwie widziano Lenę, okazywały się one dawnymi znajomymi z Cambridge. I wreszcie stało się to, co stać się musiało: Lena odkryła pluskwę zainstalowaną w swoim komputerze i prędko dotarła do mnie. Moje tłumaczenia nie załagodziły jej złości. Mogłem przypominać, że jako jedyny jej broniłem, i tłumaczyć, że Komitet zażądał programu nadzoru w zamian za udzieloną łaskę, ale ona i tak uparła się, żebym natychmiast zerwał umowę z agencją ochrony, co też zrobiłem z podkulonym ogonem, z nikim się nie skonsultowawszy. Lena całymi miesiącami traktowała mnie lodowato. Nie trzeba dodawać, że ten epizod pozostawił we mnie poczucie ogromnej niesprawiedliwości.

– Dobrze – rzuciłem, wstając. – Uspokoję Yakouba.

Pozwoliłem spojrzeć błędzić po gabinecie, w którym Dunka spędzała po dwanaście godzin dziennie. Nie było tu żadnego zdjęcia ani bibelotu, ani rośliny, nic poza drogimi włoskimi meblami, w które Djibo wyposażył wszystkie jednostki KFR-u. Po raz kolejny nasza mnie refleksja, że nic o Lenie nie wiem. W ciągu roku, kiedy ją monitorowaliśmy, nie wykonała ani jednego osobistego telefonu. Ani jednego. I jaki ma sens umieszczanie ludzi na podsłuchu?

8

Djibo przyjechał o umówionej porze swoim potężnym mercedesem. Wierny reputacji dandysa, ubrał się jak na sesję fotograficzną do katalogu ze sprzętem podróżniczym: sztruksowe spodnie w grube prążki, nieskazitelne buty za kostkę, sweter z wełny szetlandzkiej, spod którego wystawała koszula w szkocką kratę, a na wierzch pikowana kamizelka tak idealnie opinająca jego tors, że wyglądała jak szyta na miarę.

Choć wkrótce miał skończyć sześćdziesiąt pięć lat, nadal był bardzo przystojnym mężczyzną. Nie stracił nic ze swojego uroku, który tak mu się przysłużył w karierze zawodowej. Nie wydawało się, żeby okoliczności opuszczenia Komitetu jakoś na niego wpłynęły. Nigdy nie obmawiał swoich następców, nie czuł też potrzeby usprawiedliwiania porażek i błędów strategicznych, choć przypisywanie mu takowych było obecnie w dobrym tonie. Krótko mówiąc, odszedł z KFR-u tak, jak nim zarządzał: z książeczą klasą.

– Dzień dobry, Angouo – przywitałem się. – Dziękuję, że zgodził się pan tak szybko ze mną spotkać.

– Ach, nie ma za co – odparł, ściskając mi dłoń. – Mam teraz mnóstwo czasu.

Jego nowe zajęcia owiane były pewną tajemnicą. Z tego co wiedziałem, nie sprawował już żadnej oficjalnej funkcji. Raz w miesiącu wyprawiał się do Afryki, chociaż nikt dokładnie nie wiedział po co, zajmował się wnukami i poświęcał dwóm osobistym projektom: tworzeniu nowej taksonomii dzieł Jana Sebastiana Bacha oraz pisaniu teczki o sobowtórze Winstona Churchilla, któremu zawdzięczamy większość aforyzmów tego wielkiego człowieka. Kiedy się na niego natykałem, a nie zdarzało się to często, rozmowa dotyczyła starych map, bo obaj byliśmy ich entuzjastycznymi kolekcjonerami. Djibo utrzymywał globalną sieć informatorów, którzy dawali mu znać o najpiękniejszych okazach, zanim te trafiły do sal aukcyjnych.

Ruszyliśmy w drogę, początkowo w milczeniu. Djibo narzucał dobre tempo. Było przyjemnie. Z wilgotnej ziemi unosiły się ciężkie, leśne wonie. Celowo

wybrałem dzień roboczy, aby zapewnić nam nieco spokoju.

– Smutna sprawa z tym neserem – odezwał się w końcu Djibo, który pięć lat po odejściu nadal był lepiej poinformowany niż większość urzędujących dyrektorów biur.

– Bardzo smutna – przyznałem ostrożnie.

Nagle zląkłem się, czy nie przyjął mojego zaproszenia tylko po to, by wypytać o potknięcia swojego następcy.

– Popełniono błędy...

– To jasne.

– Ale na tym etapie to nieistotne – oznajmił, podnosząc z ziemi kij. – Ważne, żeby odnaleźć listę.

– Nie idzie nam to najlepiej.

– Tak też słyszałem. Jak myślisz, co się stanie?

– Nie jestem takim pesymistą jak moi koledzy. Walizka nie zawiera ani nazwisk, ani adresów. Jeśli chodzi o widniejące na liście teczki, nie zostały jeszcze zatwierdzone. Jeśli będzie dochodzenie, śledczy uznają to za jakiś dowcip.

– Znasz wielu żartownisiów, którzy zadają sobie trud ukrywania swoich kawałów w niezniszczalnej walizce z automatycznie blokującym się zamkiem? Wierz mi, gdyby Jones użył zwykłej aktówki, już dawno by mu ją zwrócono.

– Bardzo możliwe.

Zostawił temat. Skorzystałem z okazji, by przejść do tego, co mi leżało na sercu.

– Zwierzałem się już panu ze swojego stanu ducha. Nie potrafię wyzbyć się myśli, że KFR opiera się na oszustwie. Młodzi agenci przypisują mu wszelkiego rodzaju chimeryczne cele. Youssef Khrafedine, zna go pan, uważa, że KFR ma za zadanie wykorzenić rasizm; Maga, jego żona, woli wierzyć, że walczymy o prawa kobiet.

– Robimy obie te rzeczy, i dużo więcej.

– Pewnie. Zresztą, różnice w domysłach Youssefa i Magi nie przeszkadzają w tym, że kariery obojga dobrze się rozwijają. Każde koncentruje się na własnych teczkach i broni spraw, które są mu drogą. Członkowie Komitetu nie mają tego luksusu. Mimo że KFR nie posiada celu, wymaga się od nas, żebyśmy zachowywali się tak, jakby go miał, podczas gdy wiemy, że teczki to jedynie odizolowane przedsięwzięcia, pisanie palcem po wodzie...

– Ależ skąd! Plan istnieje po to, by kierunkować wyobraźnię agentów...

– Wedle arbitralnych wytycznych, szlachetnych, co godne pochwały, ale pozbawionych prawdziwej spójności strategicznej. Jednego roku wspieramy ludy tubylcze; następnego elektryczne pojazdy; trzeciego poszanowanie prywatności...

– Przerysowujesz. Nasze działania zawsze wpisują się w długoterminowy zamysł. KFR chroni środowisko od momentu swojego powstania albo prawie od wtedy. To samo tyczy się tolerancji czy praw jednostki.

– Och, wiem. I właśnie w tym mają swoje źródło moje bolączki. Jak pan z pewnością wie, zostałem mianowany wiceprzewodniczącym Planu. Ching powierzyła mi zastanowienie się nad głównymi osiami następnego planu trzyletniego.

– Tym lepiej! – zawołał Djibo. – Będiesz mógł wpłynąć na kierunek KFR-u.

Wydawał się nieco zagubiony. Wyczuwał moją frustrację, ale nie pojmował jej przyczyny. Miałem trudności z wyrażeniem myśli.

– Pan nie rozumie. Problem jest dużo rozleglejszy. Przez dwa wieki KFR stosował fizyczną falsyfikację w celach, które dla uproszczenia określiłbym jako humanistyczne. A jednak ta forma falsyfikacji to przeżytek.

– Ty zauważyłeś to jako pierwszy. I miałeś rację.

– W tym względzie miałem rację, ale zlekceważyłem niebezpieczeństwa związane z internetem. Nasz zawód ulega demokratyzacji, Angouo. Rewizjoniści, oszołomi, lobbyści: każdy posuwa się teraz do drobnego fałszerstwa.

Djibo patrzył na ścieżkę przesuwaną się pod stopami, ale wiedziałem, że nie uronił ani słowa. Przez trzynaście lat był więcej niż tylko przewodniczącym Komitetu, był jego strategiem. Obaj wiedzieliśmy, że teraz ta rola przypadła mnie.

– Gdyby chociaż sieć uwolniła świat od obskurantyzmu – podjąłem. – Ale nie! Każdego miesiąca kolejny afrykański kraj wprowadza zasady szariatu, George W. Bush został wybrany ponownie, pomimo głośnego fiaska z irakijską bronią masowego rażenia, i wciąż znajdują się półgłówki, które będą zaprzeczać istnieniu komór gazowych.

– Ale z czasem internet pokona skorumpowane rządy...

– Też tak myślę. Ale kto je zastąpi? Populistyczni liderzy z partii powiązanych z wojskiem? Wojujący idealisci bez żadnego doświadczenia w sprawowaniu władzy? I jaką rolę my odegramy w tych rewolucjach?

– Czy ty właśnie sugerujesz, że powinniśmy obalać dyktatury? – zapytał Djibo z odrobiną niepokoju w głosie.

– Nie, ale nie mogę nie zauważyć, że nasze działania coraz mniej znaczą na światowym rynku. Nasza ostatnia operacja wielkiej wagi wiązała się z niepodległością Timoru Wschodniego. Co osiągnęliśmy od tamtej pory? Nic albo prawie nic.

– Ale jesteś surowy!

– Czy aby na pewno? Wyprodukowaliśmy dwadzieścia tysięcy teczek, zatrudniliśmy tysiąc pięciuset agentów, otworzyliśmy biuro w Belém i centrum w Chengdu, ale jakimi osiągnięciami możemy się tak naprawdę pochwalić? Czy muszę panu przypominać o decydującej roli, jaką odegrali nasi poprzednicy podczas zimnej wojny czy w podboju kosmosu? Albo, choć to może ugodzić w pańską skromność, o wkładzie KFR-u w uświadomienie całemu światu ryzyka związanego z wirusem HIV?

– To były inne czasy – zbagatelizował sprawę Djibo. – Znałeś odpowiednie osoby, dzwoniłeś w parę miejsc i załatwione.

– Właśnie, to były inne czasy. A nowe czasy proszą się o nowy paradygmat. Musimy określić się na nowo, robić więcej lub inaczej. Ale co? Nie mam bladego pojęcia. Nie byłoby tak źle, gdyby moi koledzy i koleżanki podzielali moje zdanie i również zastanawiali się nad tą kwestią. A jednak mam nieprzyjemne wrażenie, że jestem jedynym, który stawia sobie te pytania.

Zamilkłem, czując ulgę po wyrzuceniu z siebie wszystkiego, co leżało mi na sercu. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu, a potem dotarliśmy do punktu docelowego naszego spaceru, miejsca, z którego otwierał się widok na jezioro Ontario w całej jego okazałości. Zacząłem opisywać podejmowane od lat czterdziestych działania mające na celu spowolnienie erozji skał i umocnienie klifów. Widząc, że Djibo nawet nie udaje, że słucha, przerwałem monolog.

– To zabawne – odezwał się. – Kiedy poznałem cię na Hawajach, gotów byłbym przysiąc, że zamiłowanie gracza weźmie w tobie górę. Że upojenie wynikające z wymyślania genialnych historii i nabijania świata w butelkę okaże się wystarczająco silne, by stłumić twoje wątpliwości.

– Pomylił się pan. I ja także.

– Więc falsyfikacja nie sprawia ci już żadnej przyjemności?

– Owszem, sprawia, ale teraz zadaję sobie pytanie, czemu ona służy i czy moja teczka nie stoi w sprzeczności z projektem jakiegoś agenta z Władystoku. A poza tym czuję się odpowiedzialny wobec Youssefa i Magi.

Djibo wzniósł oczy do nieba. Powiedzieć, że nie należał do wielkich fanów Sudańczyka, byłoby eufemizmem. W 2003 roku, rozwścieczony rolą, jaką Plan odegrał w diabolizowaniu islamu, Youssef zagroził, że ujawni istnienie KFR-u, jeśli osobiście nie zostaną gwarantem użyteczności naszej organizacji. Djibo nie miał innego wyboru, jak tylko zdradzić mi cel KFR-u, a raczej jego brak. Wówczas nieco pochopnie uśmierzyłem niepokój Youssefa, nie zdając sobie sprawy, że staję się tym samym moralnie odpowiedzialny za postępowanie Komitetu.

– Nic nikomu nie jesteś winien, Sliv. Słyszysz?

Skinąłem głową, żeby uspokoić Djiba, choć w głębi duszy wiedziałem, że zobowiązania, jakie mam wobec Youssefa, Magi i – w mniejszym stopniu – Niny, nie rozwieją się tak łatwo.

– Myślałem, bez wątpienia tak samo jak pan, żeby zaproponować Komitetowi postawienie na jednego konia...

– KFR by tego nie przetrwał – przerwał mi Djibo. – Przeanalizowałem to zagadnienie pod każdym możliwym kątem. Niezwykła różnorodność stanowiąca naszą siłę zwróciłaby się przeciwko nam. Zawsze znajdzie się muzułmanin gotowy bronić kamienowania cudzołożnych kobiet, kapitalista, który będzie usprawiedliwiał pracę dzieci, kobieta żądająca wprowadzenia prawa o zatrudnianiu w firmach równej liczby osób obu płci. A tymczasem jeden oponent jest zdolny obrócić w pył całą organizację.

– Nie mówiąc już o tym – dodałem – że niekoniecznie okazilibyśmy się skuteczniejsi niż rządy czy stowarzyszenia, które oficjalnie zajmują się tym od wieków.

– Lubię myśleć, że nasze metody zapewniłyby nam nieznaczną przewagę.

– Nawet tego nie jestem pewien.

Djibo zbliżył się do krawędzi klifu i pogrążył się w kontemplacji przystani w dole. Czy to możliwe, że uważał naszą rozmowę za zakończoną? Pomimo całej nadziei, jaką pokładałem w tym spotkaniu, nie powiedział jeszcze nic, czego bym wcześniej nie wiedział.

– Podsumowując – zacząłem, by zmusić go do przerywania milczenia – nie wiem,

czego się ode mnie oczekuje.

Odwrócił się.

– Wszyscy musieliśmy zmierzyć się z problemem, który opisujesz. Chociaż nikt nie sformułował go tak jasno jak ty. Dostrzegam w tym znak, że jesteś najlepszą osobą do rozwiązania go. Życzę ci powodzenia.

– To wszystko? – spytałem zdumiony. – Przyszłość KFR-u spoczywa na moich barkach, ale mogę liczyć tylko na siebie, czy tak?

Djibo powoli skinął głową. Ostatni raz objął wzrokiem panoramę, a później ruszył w drogę powrotną. Poszedłem w jego ślady, zbyt oszołomiony, by wykrztusić choćby słowo.

Na parkingu patrzyłem, jak nieporuszony zdejmuje buty, długo stuka jednym o drugi, żeby pozbyć się błota, i wkłada skórzane mokasyny, które trzymał w bagażniku. Wsiadł do samochodu, wsunął kluczyk w stacyjkę i uruchomił silnik. Gdy mnie mijał, opuścił szybę i rzucił:

– Ze swojej strony radzę ci znaleźć Ignacia Vargasa. Może będzie mógł coś dla ciebie zrobić.

Potem oddalił się usadowiony za kierownicą swojego panzera, ostrożnie omijając dziury.

9

Nazajutrz poleciałem do Los Angeles, gdzie Ignacio Vargas wyznaczył mi spotkanie na planie filmu, którego producentom doradzał. Było to jedyne wolne okienko w jego harmonogramie na najbliższy miesiąc. Ponieważ nie wyobrażałem sobie, bym mógł czekać tak długo, postanowiłem skorzystać z okazji.

W taksówce wiozącej mnie do Hollywood powtarzałem w głowie wszystko, czego udało mi się dowiedzieć na temat Vargasa. Urodził się przed pięćdziesięcioma dwoma laty w Kolumbii. Po studiach z teologii oraz literatury porównawczej w Oxfordzie został zwerbowany przez biuro w Bogocie. Pod przewodnictwem Alonsa Diaza (pod którym służyłem w Córdoba) zdobył Nagrodę za Najlepszą Pierwszą Teczkę za scenariusz oparty na twierdzeniu, iż serial telewizyjny *Człowiek za sześć milionów dolarów* czerpie z mitologii greckiej. Przebył klasyczną drogę od zwykłego agenta do pracownika wyższego szczebla: najpierw stanowisko zastępcy dyrektora w Wilnie, potem dwie nominacje azjatyckie, w Kioto i Kuala Lumpur, zwieńczone trzema latami w Akademii, którą ukończył jako najlepszy student. Jak wielu innych przed nim, zakosztowawszy surowego klimatu Krasnojarska, postanowił osiedlić się w Kalifornii. Wymagania Operacji Specjalnych musiały mu ciążyć, bo wkrótce wystąpił z KFR-u i rozpoczął karierę niezależnego konsultanta.

Według Yakouba, który dwukrotnie pracował z Vargasem w zespole podczas jego służby w Operacjach Specjalnych, Kolumbijczyk pozyskał sobie nie lada klientelę. Dzielił swój czas pomiędzy studia filmowe z Hollywood, polityczne sztaby doradcze (pracował, nie grymasząc, dla wszystkich partii), głowy państw (nie zawsze demokratycznych) oraz międzynarodowe korporacje. Fakt, że działał nieoficjalnie, nie przeszkadzał mu w kasowaniu za swoje usługi oszałamiających stu tysięcy dolarów za dzień.

W kwestii szczegółowej natury wspomnianych usług Yakoub wypowiedział się bardzo niejasno. Vargas „wprowadził sztukę opowiadania historii do świata przedsiębiorczości”. Pomagał klientom „ukuć strategię narracyjną”. Rany,

pomyślałem, kto nie marzy o robieniu czegoś takiego za dziesięć milionów miesięcznie?

Pomimo swojego spektakularnego sukcesu Vargas utrzymał bliski związek z KFR-em. Każdego roku zaszczycał finalistów konkursu na najlepszą pierwszą teczkę legendarnym wykładem; miałem przywilej słyszeć, jak dementuje plotki o Łajce, pierwszej suczce w kosmosie, naśladując na zmianę Chruszczowa i Eisenhowera z werwą artysty z music-hallu. Regularnie podawał też pomocną dłoń Komitetowi, a w szczególności Djibowi, który w wyobraźni Kolumbijczyka odnajdywał dobre uzupełnienie dla własnych talentów analitycznych. Vargas uczestniczył – za darmo, jak podkreślił Yakoub – w opracowywaniu dwóch planów trzyletnich. Zawdzięczaliśmy mu kilka koncepcji, ale także katastrofalny pomysł stworzenia Al-Kaidy, z którego Djibo uczynił główny punkt swojej strategii w latach dziewięćdziesiątych. Ta pomyłka (eufemistycznie mówiąc), która ostatecznie kosztowała Djiba głowę, gwałtownie położyła kres współpracy Vargasa z KFR-em.

Taksówka wysadziła mnie przed studium wyposażonym w stanowisko ochrony godne amerykańskiej ambasady w Bejrucie. Strażnik przez walkie-talkie uprzedził ludzi od produkcji o moim przybyciu. Kilka chwil później zjawiała się blondynka o wyglądzie instruktorki aerobiku siedząca za kierownicą meleksa. Z początku traktowała mnie nieco z góry, ale zmieniła ton, gdy dowiedziała się, z kim mam spotkanie.

– O mój Boże! Przyjechał pan zobaczyć się z Ignaciem? Nic mi nie powiedział. Gdybym wiedziała, wysłałabym po pana limuzynę na lotnisko.

– To nieważne – zapewniłem, choć kusilo mnie, by z czystego sadyzmu pomasaować nogi, jakby wciąż były zeszywniałe po przebytej trasie.

– Może kieliszek szampana na drogę? Chłodzi się w lodzie.

– Nie, dziękuję, jest trochę za wcześnie.

– Pytam, bo Ignacio nie pija nic poza Krugiem – wyjaśniła, gramoląc się z powrotem do meleksa.

– Ja z kolei wolę Bollingera – zażartowałem, siadając obok niej.

Ludzie nie zdają sobie sprawy z rozmiarów studia filmowego. W ciągu kilku minut minęliśmy hangar po brzegi wypchany kostiumami, dwa Starbucksy, naturalnych rozmiarów replikę promu kosmicznego, trzy czołgi dawnej armii

radzieckiej, które wyglądały na jak najbardziej prawdziwe, miasteczko z Dzikiego Zachodu z kościołem, saloonem i burdelem, rekonstrukcję paryskiego Moulin Rouge oraz zbiornik wodny o pojemności kilku milionów metrów sześciennych, który, jak wyjaśniła moja przewodniczka, miał wkrótce posłużyć do nakręcenia kontynuacji *Titanica*. Pojazdy podobne do naszego krążyły po terenie tam i z powrotem niczym trzmiel.

Zapytałem towarzyszkę o produkcję, przy której doradzał Vargas.

– Nazywa się *Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów* – oznajmiła z dumą.

Byłem wystarczająco otrzaskany z kulturą amerykańską, by wiedzieć, że taki tytuł nosił teleturniej z lat pięćdziesiątych.

– To dramat historyczny? – zgadywałem. – Z rodzaju tych, gdzie uczestnik walczy o wielką wygraną, która pozwoliłaby mu wyleczyć córkę z białaczki?

Spojrzała na mnie tylko trochę mniej dziwnie, niż gdybym opisał scenariusz *Nocy i mgły*.

– Nie do końca. Czeczeńscy terroryści – choć ona wymawiała: „szeszeńscy” – przechwytyją sygnał telewizyjny podczas retransmisji Super Bowl. Zmuszają prezydenta oraz członków jego sztabu, żeby zgromadzili się w gabinecie owalnym, gdzie mają zagrać w grę. Szef Czeczenów, wyrafinowany brutal z przerażającą blizną, zada osiem pytań. Z każdą błędną odpowiedzią w Biały Dom uderzy pocisk: najpierw Scud, potem Tomahawk i tak dalej, aż po głowicę nuklearną. Pytania są bardzo trudne; na szczęście prezydentowi udaje się odpowiedzieć na większość. W pewnym momencie sekretarz handlu, który jest także zięciem prezydenta, po kryjomu wymyka się z gabinetu, żeby spróbować rozbroić bombę atomową... – urwała. – Ale nie będę opowiadać panu wszystkiego, bo inaczej nie wybierze się pan do kina.

– Ma pani rację, wolę nie znać zakończenia.

– Budżet wynosi aż sto osiemdziesiąt milionów dolarów – dodała, nie mogąc się powstrzymać.

– Z taką kasą faktycznie można zrobić niezły film.

– Ignacio to geniusz.

– Właśnie widzę – odparłem, myśląc sobie, że człowiek, który potrafi sprawić, że zapłacą mu grube miliony za tak mierny scenariusz, zasługuje na najwyższe

pochwały.

Zaparkowała przed hangarem wielkości stadionu futbolowego, a następnie wymówiła kilka słów do walkie-talkie. Nie musiała długo czekać na odpowiedź.

– Tędy – oznajmiła. – Ignacio jest na planie, szkoli aktorów.

Poznałem go z daleka. Był pochłonięty żywiołową dyskusją z Harrisonem Fordem oraz niewiele młodszym mężczyzną ubranym jak nastolatek, najpewniej reżyserem.

– Kiedy Budajew zada trzecie pytanie – wykladał Vargas – chcę zbliżenie na Harrisona stojącego koło okna. Pozostali członkowie rządu znajdują się w głębi pomieszczenia albo siedzą na kanapie, mniejsza z tym; niech ich obecność będzie domyślna.

– Tak myślisz? – spytał reżyser.

– To oczywiste. Na antycznych wazach Edyp samotnie stawia czoła Sfinksowi. Swoją drogą, Budajew powinien na czymś przycupnąć: na krześle, na scenie, nieistotne.

– Na skrzyni z bronią?

– Idealnie. Południowoamerykańska publiczność to doceni.

Asystent wymamrotał kilka słów do swojego walkie-talkie i dał realizatorowi znak otwartą dłonią.

– Pięć minut przerwy! – wykrzyknął ten ostatni. – Proszę poprawić makijaż Budajewa i prezydenta.

Vargas rozsiadł się w fotelu na skraju planu, który, co zauważyłem dopiero teraz, stanowił dokładną kopię gabinetu owalnego. Na jednonożnym stoliku opatrzona datą butelka szampana pławiła się w wiaderku z lodem. Vargas nalał sobie lampkę, a później otarł czoło. Znacznie przybrał na wadze od naszego ostatniego spotkania na Hawajach. Zachowałem w pamięci obraz drobnego, zasuszonego człowieka, a właśnie spotkałem tłuściocha.

– Ignacio? – zwróciłem się do niego. – Sliv Dartunghuver.

– Sliv, ależ oczywiście – odrzekł, z trudem gramoląc się z fotela. – Ile to już lat? Piętnaście?

– Szesnaście.

– Byłem wtedy innym człowiekiem – zażartował, zagłębiając palec w swoim brzuszysku.

Pamiętałem jego kolumbijski akcent. Dwie dekady w Stanach Zjednoczonych nie zrobiły z nim porządku.

– Wie pan co? – rzucił. – Wkrótce skończą poranną sesję. Przekąsi pan coś ze mną?

– Z ogromną przyjemnością – zapewniłem, schylając głowę.

Barwny portret dawnego kolegi odmalowany przez Yakouba i tak nie dorównywał rzeczywistości. Vargas wypowiadał się w każdej sprawie, począwszy od sposobu wygłaszania kwestii („Bardziej dostojnie, Harrisonie, jak ujęurski tragik”), poprzez charakteryzację statystów (inspirowaną hinduskimi freskami z XVI wieku), a skończywszy na rozlokowaniu postaci na planie, kiedy to powołał się na studium dotyczące relacji przestrzennych wśród bydła zebu. Ekipa spijała słowa z jego ust, przestawiając kamery i przytłumiając światła, aby go zadowolić. Niejaka Beverly nie spuszczała go z oka, gotowa spełnić każde najdrobniejsze jego pragnienie. Wystarczyło, że poskarżył się na panujące gorąco, a już rozłożyła parasol, drugą ręką wachlując go swoim egzemplarzem scenariusza.

Zrobili jeszcze trzy ujęcia. Przy ostatnim Vargas niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Jest w porządku! – zawołał reżyser. – No, to do stołu! Widzimy się o czternastej.

Rozległ się donośny dźwięk dzwonka. W niespełna minutę studio całkiem opustoszało.

– Zje pan tutaj, Ignacio? – spytała Beverly, która ani drgnęła.

– Ależ tak, na planie. Tak będzie okej, prawda, Sliv?

– W rzeczy samej, doskonały pomysł – zgodziłem się nawet zadowolony, że unikniemy gwaru kafeterii.

– Bądź tak miła, złotko, i przynieś nam te małe przekąski z kawiolem, które podano w tym roku na Oscarach. A do tego kanapkę ze szkockim łososiem na żytnim chlebie i puchar lodowy...

– Według zwykłego przepisu? – dociekała Beverly, robiąc notatki. – Lody waniliowe od Lenôtre’a, polewa z gwatemalskiej czekolady i odtłuszczona bita śmietana?

Vargas nie zadał sobie nawet trudu, by odpowiedzieć.

– Dodaj do tego małą butelkę Kruga z osiemdziesiątego dziewiątego. Chyba że

mój gość zechce wypić dużą na pół?

– Sądzę, że pan Dartunghuver woli Bollingera – odparła Beverly.

– O gustach się nie dyskutuje – skomentował Vargas filozoficznie. – A co pan sobie życzy, Sliv?

– To samo co pan, tak będzie najprościej.

– Wliczając w to odtłuszczoną śmietanę? – spytała dziewczyna.

– Tak jest – potwierdziłem, gotów na wszelkie kulinarne herezje, byle tylko już sobie poszła.

– Wracam za dziesięć minut.

– Niech mówią, co chcą – odezwał się Vargas, patrząc, jak oddala się truchtem – ale ci Amerykanie potrafią człowieka należycie obsłużyć.

– Spędza pan dużo czasu przy kręceniu filmów?

– Och, nie! Unikam tego jak ognia, można się tu zanudzić na śmierć. Częściej interweniuję na początkowym etapie, zazwyczaj jeszcze przed napisaniem scenariusza.

Powstrzymałem się przed zadaniem pytania, jaką rolę odegrał przy powstawaniu tego steku bzdur, którego próbkę przed chwilą mi zaserwowano. Za bardzo bałem się odpowiedzi.

– A pan, Sliv? Co nowego od czasu Buszmenów? Wspaniała teczka, tak między nami mówiąc. Ofiarował jej pan ciąg dalszy?

– Kilka. Niestety, bez większego sukcesu.

– Czemu pan tak mówi?

– Ponieważ Buszmeni są na dobrej drodze do wyginięcia.

– Ach, nastraszył mnie pan. Bałem się, że Londyn odrzucił pańskie scenariusze.

Wie pan, nie da się wygrywać za każdym podejściem...

– Och, tak, wiem.

– Ile pan ma lat? Niedługo czterdzieści? Na pewno wkrótce dołączy pan do Komitetu...

– Jestem w nim od pięciu lat.

– *Caramba!* Nie tracił pan czasu!

Wyglądał na szczerze pełnego podziwu.

– Stało się to dzięki pewnemu zbiegowi okoliczności – wyjaśniłem, nie rozwodząc się nad tym. – Tak się składa, że niedawno zostałem mianowany

zastępcą dyrektora Planu. Mam za zadanie zastanowić się nad nowymi kierunkami KFR-u...

Przerwał mi:

– Chwileczkę. Przez telefon mówił pan, że to Angoua dał panu mój numer?

– Ależ tak. Uważa, że może mi pan pomóc.

– Przecież powinien wiedzieć, że zupełnie nic sobie nie robię z Historii przez duże „h”!

– Słucham? A jednak na Hawajach wydawało mi się...

– Interesują mnie historie, jedno nie ma z drugim nic wspólnego.

– Proszę mi to wytłumaczyć – rzekłem, przysuwając swoje krzesło bliżej.

Napełnił kieliszek po brzegi szampanem, nie pomyślawszy nawet, żeby i mnie zaproponować trunek.

– Co odróżnia ludzi od zwierząt? Jedni powiedzą panu, że sumienie, inni, że język. Jak dla mnie, są to historie. *Homo sapiens* od zarania swego istnienia stworzył ich i przyswoił sobie oszałamiające ilości, poczynawszy od mieszkańców jaskini Lascaux, a skończywszy na ludziach nam współczesnych, którzy ogłupiają się serialami telewizyjnymi. A w ewolucji nie ma miejsca na przypadki: jeśli częstotliwość dziedziczenia cechy wzrasta w kolejnych pokoleniach, to znaczy, że zwiększa ona szanse przetrwania gatunku. Nowoczesny człowiek to owoc milionów lat ewolucji; skoro nadal opowiada historie, to z pewnością czerpie z tego jakąś korzyść.

– Jaką?

– Mówiąc w uproszczeniu, historia to symulator życia. Działa na podobnej zasadzie co symulator lotów, na którym trenują piloci. Anegdotki, którymi ozdabiamy rozmowy, książki, które czytamy, filmy, które oglądamy, przygotowują nas na sytuacje, które napotkamy w przyszłości, oszczędzają nam kosztownych błędów i pozwalają na przeżywanie kilku egzystencji jednocześnie. Nastolatek doświadcza dziesiątek historii miłosnych, zanim po raz pierwszy powie *I love you*. Żołnierz otrzymujący przydział wie, czego się spodziewać, dzięki filmowi *Full Metal Jacket* czy *Paragrafowi 22*. A wszyscy mężowie świata znają ryzyko związane z przygodą pozamałżeńską, odkąd zobaczyli *Niebezpieczne związki*...

– Wymienia pan głównie książki i filmy. Czy nie myli pan historii z fikcją?

– To jedno i to samo. Absolutnie i całkowicie to samo.

Wypił parę łyków szampana wartych kilkadziesiąt dolarów, a później podjął:

– Nasz mózg jest zaprogramowany, by łączyć fakty w historii. Załóżmy, że wsiada pan do pociągu. Kontroler stoi przed pewnym pasażerem, młodym wagabundą, który grzebie w kieszeniach. Nie zwraca pan na to uwagi i kieruje się do swojego wagonu. Nazajutrz, kiedy przyjaciel wspomina o stratach, jakie transport publiczny ponosi przez osoby jeżdżące na gapę, opowiada mu pan o epizodzie, którego był świadkiem. Specjalnie używam słowa „epizod”, gdyż pański umysł, mimo że pan go nie prosił, uporządkował tych kilka faktów w spójną opowieść z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem: kontroler poprosił młodzieńca o bilet, którego ten nie miał; w konsekwencji konduktor wypisał winnemu mandat, a ten przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu pieniędzy na opłacenie kary. Proszę zauważyć, ile domyślnych hipotez pojawia się w tym scenariuszu: mężczyzna ubrany w uniform kontrolera automatycznie się nim staje, nasz włóczykij zaś naturalnie nasuwa się jako kandydat do jeżdżenia na gapę, z kolei osoba grzebiąca w kieszeniach z pewnością szuka pieniędzy. A jednak ta scena dopuszcza całe mnóstwo innych interpretacji, na przykład: kontroler właśnie skończył zmianę, wstaje, żeby pójść do wagonu restauracyjnego, a syn wręcza mu drobne na kanapkę. Albo jeszcze inaczej: kontroler wypisał mandat komuś innemu, starszej pani, której nikt by o nic złego nie posądził, kobieta wyciąga banknot o dużym nominale, żeby uiścić grzywnę, kontroler odwraca się do wagabundy, pytając, czy nie ma rozmienić, i tak dalej, i tak dalej.

– Trzymałbym się najbardziej prawdopodobnego scenariusza i po sprawie.

– Właśnie do tego zmierzam. Od momentu, w którym ten scenariusz – prawdopodobny, jak pan zaznacza – wdrukuje się w pański mózg, zamienia się w pewność. Jest pan przekonany, że uczestniczył w kontroli biletów. Co ja mówię?! Pan istotnie uczestniczył w kontroli biletów! Opowieść stała się faktem, fikcja rzeczywistością.

Vargas dał mi trochę czasu na przetrwanie tych słów. Miałem świadomość, że przeżywam niezwykle ważną chwilę.

– Proszę przy okazji zauważyć, że nie zachował pan żadnego innego wspomnienia z tego pociągu. Przeszedł pan przez wagon, wagabunda nie miał biletu: oto, co przypomni pan sobie za tydzień albo za miesiąc, nic więcej. A jednak w tamtej chwili zarejestrował pan kilka dodatkowych szczegółów: uroczą

twarzyczkę jednej z pasażerek, gazety wystające z kosza na śmieci... Znikną niemal natychmiast, przegnane przez inne, równie nieznaczące detale. Zapomni pan o nich, bo nie wchodzi w skład historii...

– Historie jako swego rodzaju narzędzie mnemotechniczne...

– Właśnie! Ponieważ łatwiej jest zapamiętać ciąg cyfr: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć niż: pięć, dwa, cztery, jeden, trzy. Nasz mózg stwarza iluzję porządku, postulując często nieistniejącą chronologię lub związku przyczynowo-skutkowe. Niech pan... – urwał, by powitać pchającą ciężki wózek Beverly.

– Gdzie ustawić stół? – chciała wiedzieć.

– Też pytanie! W gabinecie owalnym – odparł Vargas.

– Jest pan pewien? – spytałem, wbrew wszelkiemu rozsądkowi onieśmielony symboliką miejsca.

– Ależ tak! Cały czas tak robię. Trzeba ci pomóc, złotko?

– Nie, nie, Ignacio – zaprotestowała, rozkładając obrus. – Proszę sobie spocząć, ja się wszystkim zajmę.

– Sliv, niech mi pan zrobi tę przyjemność i usiądzie w fotelu prezydenta.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. Tak czy siak, jest dużo mniej wygodny niż oryginał.

Niespełna minutę później wgrzyłem się w smażone ciasto z kawiozem i śmietaną.

– Czyż nie są boskie? – zachwycił się Vargas. – Mógłbym je jeść całymi kilogramami. Na Oscarach przygotowali je troszkę inaczej, ze skórką...

– Nie ma pan zbyt wiele czasu, Ignacio – przerwałem mu. – Mówił pan o tym, jak trudno jest odróżnić fikcję od rzeczywistości...

– Tak. Co, na przykład, wiemy o historii jazzu? Mniej więcej tyle, że jest to styl o korzeniach afroamerykańskich, zrodzony z połączenia gospel, bluesa oraz pieśni nuconych przez niewolników na plantacjach. Czasem podkreśla się też ważność praw Jima Crowa, które w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku zaostrzyły zasady segregacji rasowej i skłoniły czarnoskórych muzyków do zakładania orkiestr. Rozumie pan, że to wszystko to tylko jeden punkt widzenia, jeden sposób łączenia niepowiązanych ze sobą faktów?

– Jasne, ale ten punkt widzenia, jak go pan określa, zawiera w sobie jakąś część prawdy, czyż nie? Historycy...

– Historycy, jak sama nazwa wskazuje, opowiadają historie. Proszę, niech pan zrozumie różnicę między przeszłością a historią. Przeszłość to to, co się naprawdę wydarzyło. Nie można zaprzeczyć, że pod koniec dziewiętnastego wieku czarnoskórzy śpiewali gospel ani że w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim parlament Luizjany przegłosował pewne prawo. Ale jeśli robimy z tych dwóch wydarzeń filary, na których wzniesiony został ruch nazwany później jazzem, to jest to już opowiadaniem pewnej historii. Jakiś profesor z Harvardu napisze swoją, pan może napisać własną, która niekoniecznie musi okazać się głupsza.

– Z tą tylko różnicą, że on ma doktorat, a ja nie.

Vargas wzniosł oczy do nieba, jakbym wygłosił wierutne głupstwo. W nagrodę za zachowanie stoickiego spokoju pochłonął trzy przekąski, zanim odpowiedział:

– Ma dyplom, prestiżowego pracodawcę oraz setki cytatów z kolegów po fachu, którzy w swoich artykułach piszą prawie dokładnie to samo.

– Może piszą to samo, ponieważ to prawda?

Za tę nową głupotę Vargas ukarał mnie, przyciągając talerz bliżej siebie.

– Prawda nie istnieje, Sliv. Wciąż stwarza się ją na nowo. Zna pan powiedzenie: „historię piszą zwycięzcy”?

– Owszem, znam – odrzekłem poirytowany.

Jego wykładowca zaczynał zmieniać się w upokorzenie. A jednak za nic w świecie bym go nie przerwał.

– To zdanie ma w sobie wiele racji. Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałyby podręczniki historii, gdyby Hitler zwyciężył. „Jedną z największych korzyści, jakie przyniosła wojna, było uwolnienie świata od Żydów, szkodliwej rasy, która kontrolowała międzynarodową finansjerę”. Ja posunę się jeszcze dalej: historię pisze każda osoba trzymająca pióro. Historia to historyjka. To dlatego wciąż się zmienia i dlatego też studia nad Rewolucją Francuską to nie tyle próba ustalenia, w jaki sposób sankiuloci zdobyli Bastylię, co raczej zrozumienia, jakie spojrzenie na tę sprawę dominowało w epokach poprzedzających naszą.

Niewyraźnie przypominałem sobie, że jeden z kursów w Akademii traktował o tych kwestiach. Żałowałem, że wówczas nie zdawałem sobie sprawy z jego ważności.

– Świat to miejsce, w którym ścierają się historie – ciągnął Vargas. – Są wszędzie: w religii, w najświeższych wiadomościach, w nauce...

– W nauce?

– Ależ oczywiście! Przez całe wieki Ziemia była płaska, później stała się okrągła, jeszcze później zaczęła krążyć wokół Słońca. Za każdym razem zwolennicy poprzedniej teorii traktowali tę nową jak bzdurę.

– Ale właśnie, mówimy tu o teoriach, już nie o historiach.

– To jedno i to samo. W opowieści o płaskiej Ziemi główny bohater nosi miano Boga Ojca; w opowieści o Koperniku jest nim astronom ze swoim kwadrantem i liczydłem...

– Zapomina pan o jednej różnicy: Kopernik mówił prawdę!

– Proszę pana! – parsknął śmiechem Vargas. – Jego prace były najeżone błędami następnie sprostowanymi przez Galileusza i Newtona, którzy z kolei popełnili inne. Taka już natura postępu naukowego. Niech pan pomyśli, obecnie współistnieje setka teorii na temat wielkiego wybuchu. Większość to kompletne banialuki, ale dziesięć albo i dwanaście zostało sformułowanych przez szanowanych astrofizyków. A jednak tylko jedna – w najlepszym wypadku – z tych teorii jest poprawna, co pozwala twierdzić, że pozostałe to zaledwie historyjki; historyjki stworzone w dobrej wierze i zgodnie z pewnymi zasadami, ale mimo wszystko opowiastki. Zresztą, nawet gdyby jedna z tych teorii okazała się prawdziwa, w rozumieniu, jakie pan nadaje temu słowu, osobiście nadal uważałbym ją za bujdę.

– Ignacio, niech się pan nie wygłupia, prawo powszechnego ciążenia to nie bujda!

– Jasne, że tak. Coś przyciąga ciała ku środkowi Ziemi, z tym się zgodzę. Ale podczas gdy Newton przypisuje to zjawisko sile, którą nazywa grawitacją, ja uważam, że to sprawka boga Gravitora, który karze ludzkość za arogancję Ikara, przykuwając ją do ziemi.

– Chyba nie mówi pan poważnie?

– A czy wyglądam, jakbym żartował? – odparował, zlizując z palców śmietanę.

– Swoją drogą, niewątpliwie wie pan, że choć teoria Newtona sprawdza się w przypadku ruchów planet, pozostaje bezsilna wobec przemieszczania się nieskończenie małych cząsteczek. Jest zatem fałszywa. Och, ale ja się nie martwię, ktoś ją poprawi. Każda historia przegania poprzednią: wszechświat ma sześć tysięcy lat; nie dwadzieścia tysięcy; nie sto milionów lat; nie, miliard; nie pięć

miliardów...

– Przyzna pan jednak, że z czasem zbliżamy się do prawdy – nalegałem, pragnąc znaleźć chociaż jedną kwestię, co do której będziemy zgodni.

– Jeszcze raz przypomnę, że termin „prawda” jest źle dobrany. Ale rozumiem, co chce pan powiedzieć. Zgodzę się, że nauka to prawdopodobnie jedyna dziedzina, w której możemy dopatrzeć się czegoś na kształt trajektorii. We wszystkich pozostałych panuje absolutny chaos! Miłość dworska, komunizm, spodnie dzwony, hormony wzrostu: to wszystko wspaniałe historie, aż do momentu, w którym inna, jeszcze wspanialsza opowieść, nie zastąpi ich w sercach publiczności...

Urwał nagle, jakby uderzyło go straszliwe odkrycie.

– Ale gadam i gadam, a zapominam o jedzeniu! Niech pan skosztuje tej kanapki z łososiem, Sliv, nie pożąkuje pan.

Ugryzłem kęs kanapki, żeby mu zrobić przyjemność. Kosztowałem w życiu dziesiątek równie smacznych.

– Doprawdy wyśmienita – oświadczyłem, widząc, że czeka na moją reakcję.

– Wie pan, skąd szkocki łosoś czerpie swój niezrównany smak? To silne prądy w tamtejszych jeziorach, które zmuszają ryby do nieustannego pływania, nadają ich mięsu konsystencję i teksturę...

– To prawda? – przerwałem. – Czy bajeczka wymyślona przez syndykat szkockich hodowców łososi?

Vargas wybuchnął śmiechem.

– *Touché!* Oczywiście, że to bajeczka, bajeczka, która rządzi całym światem: szkockimi producentami, którzy sprzedają swoje wyroby za cenę złota, i takimi imbecylami jak ja, którym pochlebia, że się ich traktuje jak smakoszy. Pewnego dnia Norwegowie wymyślą jeszcze lepszą dykteryjkę i zdetronizują Szkotów. Bo te historie, o których mowa, również podlegają prawom darwinizmu: przetrwają tylko najlepsze, dzień, rok, a w przypadku najlepiej skonstruowanych całe stulecia. Ogólnie rzecz biorąc, sztuka jest silniejsza od rzeczywistości, mity bardziej odporne od baśni, religie mają zaś skórę grubszą niż ideały polityczne.

Z rozkoszą wgryzł się w kanapkę, zamykając oczy.

– Co, pana zdaniem, decyduje o tym, czy historia jest dobra? – spytałem pospiesznie, zanim zdążył wdać się w opowieść o mistycznym doznaniu swojego podniebienia.

Na powrót otworzył oczy i się uśmiechnął.

– I to pytanie zadaje mi Sliv Dartunghuver, mistrz scenarzystów? Obawiam się, że moja odpowiedź może pana rozczarować: dobra historia to taka, która zadziała. W ciągu trzydziestu lat kariery widziałem, jak opowieści, które uważałem za świetne, ponoszą klępkę; z drugiej strony nigdy nie widziałem, żeby kiepska historia odniosła sukces. To kwestia złożonej alchemii, cudownego połączenia odwiecznych składników: wielkich mitów ludzkości, rzecz jasna, ale też lokalnej kultury czy specyfiki czasów... Niech pan weźmie na przykład Amerykanów, którzy przepadają za opowieściami o superbohaterach...

– Batman, Spider-Man, Kapitan Ameryka...

– Albo, żeby nie szukać zbyt daleko, lokator Białego Domu, który w *Dniu niepodległości* zmusza kosmitów do odwrotu albo w pojedynkę niweczy spisek terrorystyczny w *Air Force One*. To upodobanie do superbohaterów ma swoje korzenie w kilku przekonaniach: protestanckiej wierze w predestynację, micie o Stanach Zjednoczonych jako ziemi obiecanej oraz entuzjastycznie manichejskim światopoglądzie, dla Amerykanina świat to przede wszystkim pole walki dobra ze złem.

– „Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam” – rzuciłem, cytując George’a W. Busha z okresu, kiedy liczył sojuszników przed atakiem na Irak.

– Właśnie. Ale każdy naród ma swój własny schemat patrzenia na świat. Meksykanie nie mogą się oprzeć dobrej historii o zemście, Francuzi mają słabość do nieszczęśników z najniższych warstw społecznych, podczas gdy Japończycy uwielbiają opowieści o heroicznym poświęceniu. Czasem wyłoni się historia, która, pokonując rozłamy etniczne i religijne, pozwala nam zapomnieć o dzielących nas różnicach i przypomina, że jesteśmy częścią większej wspólnoty; to trochę jak z bratem i siostrą, którzy zakopują topór wojenny w dniu, w którym trafiają do nowej szkoły.

– Łajka...

Vargas skinął głową.

– Podbój kosmosu czy spotkanie z pozaziemską cywilizacją to jedne z nielicznych prawdziwie uniwersalnych tematów.

– Jakie są inne?

– Tołstoj mawiał: „Istnieją tylko dwa typy opowieści: człowiek wyrusza

w podróż albo obcy przybywa do miasta”. Innymi słowy, odyseja lub zewnętrzne zagrożenie. To ostatnie może pojawiać się w niezliczonych wariantach, począwszy od wampirów, poprzez rekina terroryzującego mieszkańców stacji wielorybniczej, a skończywszy na zombie i wszelkiej maści najeźdźcach. Środek dramatyczny zawsze pozostaje taki sam: pomimo początkowych podziałów mieszkańcy wioski jednoczą się, dzięki czemu udaje im się zażegnać niebezpieczeństwo i przywrócić społeczności spokój.

– Kosmos, odyseja, zagrożenie. Nic więcej?

– Och, ależ tak, upadek cywilizacji, życie, miłość, śmierć... – wyliczył, jakby skreślał kolejne pozycje z listy.

Umilkł. Skończył kanapkę i wyraźnie wahał się, czy nadeszła pora na lody. Rozwiązał ten straszliwy dylemat, dolewając sobie szampana.

– Domyśla się pan pewnie, że nie jest pierwszym, który zadaje sobie te pytania. Całe pokolenia akademików pochylały się nad strukturą wielkich dzieł literatury oraz kina. Doszli w ten sposób do wniosku, że istnieje jedynie ograniczona liczba historii: według niektórych dziewięć, według innych sześć, mniejsza z tym, ile dokładnie – wszystko zależy od sposobu, w jaki zdefiniuje się kategorie.

– Wydaje się, że to niewiele...

– Ponieważ większość utworów w różnym stopniu zapożycza ze wszystkich gatunków. W samym tylko *Titanicu* znajdzie pan rzekomo niezatopialny statek, symbol ludzkiej arogancji, niemożliwą miłość, młodą dziewczynę, która wyzwala się spod kurateli matki, walkę klas i tak dalej. Składniki są zawsze te same, zmienia się jedynie sposób, w jaki zostały uporządkowane.

Zbliżył się do mnie w swoim fotelu.

– Teraz coś panu zdradzę. Przed kilkoma laty główne studia w Hollywood wspólnie zaangażowały się w kolosalny projekt z pogranicza semantyki i sztucznej inteligencji. Postanowiono sklasyfikować wszystkie dotychczas wyprodukowane amerykańskie filmy, przypisując je do kategorii, o których tu rozmawiamy, i zestawiając z wynikami box office’u. Pierwsze rezultaty okazały się tak obiecujące, że wzbogacono oprogramowanie o dziesiątki dodatkowych kryteriów.

– Na przykład?

– Na przykład liczba kwestii wypowiedzianych przez główne postacie albo ich czas antenowy, liczba dzieci bohatera, rasa jego lub jej współmałżonka, obecność

albo nieobecność zwierzątka domowego, liczba osób, które zginęły od kul, czy zbliżeń w scenach akcji...

Zadyszawszy się od tego zatrzęsienia detali, zanurzył łyżeczkę w odtłuszczonej śmietanie wieńczącej deser. Pochwycił moje spojrzenie i westchnął.

– Czego pan chce? Pilnuję się. Pani Vargas raz w tygodniu każe mi stawać na wadze.

– To jest jakaś pani Vargas?

– Są panie Vargas – odrzekł enigmatycznie.

Przez kilka minut grzebał bez entuzjazmu w swoim pucharze, choć nie potrafiłem stwierdzić, czy to myśl o żonie, czy o projektach studiów odebrała mu apetyt. A ja wciąż jeszcze nie zaspokoilem głodu – w każdym możliwym znaczeniu tego sformułowania.

– Niech mi pan powie, że im się nie uda – poprosiłem.

Władczym gestem odepchnął deser, jakby uznał, że ta maskarada zbyt długo już się ciągnie.

– Ależ uda im się. Ostatnio trafnie przewidzieli, że *Transformesi* przyniosą blisko dziesięć milionów zysku. Odgadli, że film okaże się hitem w Korei Południowej, ale klapą w Indiach. Kiedyś będą generować scenariusze wyłącznie komputerowo. Wygląda na to, że nieszczęśliwemu odpowiedzialnemu za scenariusz do *Transformersów 2* wręczono listę instrukcji długą jak jego ramię.

– To okropne – uznałem, myśląc, że skoro Vargas tak dobrze zna szczegóły projektu, to musiał być z nim w taki czy inny sposób związany.

– Okropne jest to, że korzystając z tego programu, skazują się na robienie tych samych filmów w nieskończoność, podczas gdy cztery z pięciu największych kinowych sukcesów zeszłego roku już były kontynuacjami. Stallone miał tyle dobrego smaku, żeby poprzestać na *Rockym 6*; miejmy nadzieję, że *Szybcy i wściekli* czy *Spider-Man* zachowają się równie elegancko. Tymczasem niebanalne scenariusze nie znajdują finansowania. W zeszłym miesiącu zaproponowałem Universalowi szczerozłotą koncepcję: zwykła kura domowa staje się ważną postacią w Waszyngtonie; wbrew wszelkim oczekiwaniom zostaje wybrana na stanowisko wiceprezydenta, a potem, kiedy prezydent ginie w zamachu, obejmuje najwyższy urząd. Te osły patentowane nie kupiły pomysłu, ponieważ, cytując: „brakuje podobnych”. Ale co tam, ich strata, wcisnę tę historię komuś innemu.

Czas naglił. Raptem przypomniałem sobie, po co tu przyjechałem.

– Celów KFR-u nie można porównać z celami ludzi z Hollywood – zauważyłem.

– W przeciwieństwie do pańskich klientów nie szukamy zysku.

– Ależ oczywiście, że tak! – sprzeciwił się Vargas. – Kiedy obmyślał pan swoją teczkę o Buszmenach, aspirował pan do tego, by dotrzeć do jak najszerzej publiczności, prawda? Nie sprzedawał pan biletów do kina, ale poza tym wszystko się zgadzało. Zresztą, jestem gotów pójść o zakład, że pozwolił pan sobie nieco nagiąć fakty, żeby osiągnąć zamierzony cel. Nie, nie, niech pan nie protestuje! Pisał pan, o ile dobrze pamiętam, że Buszmenów z Kalahari zostało nie więcej niż dziesięć tysięcy. To prawda?

Musiałem wyznaczyć, że spośród licznych dostępnych danych szacunkowych wybrałem najniższą wartość.

– Ale – dodałem natychmiast – botswański rząd regularnie cytuje tę najwyższą.

– Och, proszę się nie usprawiedliwiać, na pana miejscu postąpiłbym tak samo. Jednakże potwierdza pan moją teorię: każdy snuje własną opowieść bez szczególnego baczenia na rzeczywistość, która w istocie sytuuje się gdzieś pomiędzy pańskimi wyliczeniami a danymi rządu...

Uniósł dłoń, uprzedzając mój sprzeciw.

– I na miłość boską, niech mi pan nie mówi, że szlachetność pańskich intencji upoważnia pana do kłamstwa.

– Nie?

– To największa pułapka, w jaką może pan wpaść. Wie pan, dlaczego sprawa Buszmenów wydaje się panu taka słuszna? Ponieważ opiera się na historii, którą sam pan stworzył! Historii ludu bogatego mądrością przodków, skazanego na wygnanie przez ludzką pazerność. Od ręki mogę panu napisać dziesięć scenariuszy, które dowiodą, że zniknięcie Buszmenów jest nie tylko nieuniknione, ale też wręcz pożądane z punktu widzenia ludzkości!

W tym uniesieniu Vargas przypomniał sobie, że nie zjadł wystarczająco dużo. Podczas gdy dawał swojemu pucharowi lodowemu drugą szansę, ja obracałem w głowie jego argumenty. Zaczynałem pojmować, dlaczego Djibo chciał, żebym się z nim spotkał.

– Rozumie pan już, dlaczego zrezygnowałem z KFR-u? – zaśmiał się Kolumbijczyk. – Zawsze chciałem opowiedzieć najlepszą możliwą historię

i mniejsza z tym, czy stoi ona w sprzeczności z przekonaniami mojego szefa albo dyrektywami Planu.

- Nigdy nie żałował pan swojej decyzji? – spytałem, z góry znając odpowiedź.
- Nie, choć przez kilka lat nadal służyłem pomocą...
- Aż do fiaska z Al-Kaidą...
- Fiaska? – powtórzył Vargas, oblizując łyżeczkę. – Jakiego fiaska?

10

Wracalem z Los Angeles mocno wstrząśnięty.

„Fiaska? Jakiego fiaska?” – słowa Vargasa wciąż rozbrzmiewały mi w uszach. Pomimo wysiłków nie udało mi się przekonać Kolumbijczyka, że ponosi część odpowiedzialności za ataki z jedenastego września. Przyznawał, że na prośbę Djiba stworzył od zera ugrupowanie islamistycznych bojowników. Przypisywał sobie nawet wyłączne autorstwo nazwy „Al-Kaida”, co znaczy „baza” („Potrzebowaliśmy czegoś krótkiego, co łatwo będzie wymówić we wszystkich językach, rozumie pan?”), a także czarnej flagi organizacji przedstawiającej słońce pod szahadą. Z jego słów wynikało, że na tym kończyła się jego rola. „Napisałem pierwsze zdanie baśni” – bronił się. „»Było sobie raz stowarzyszenie muzułmańskich integrystów zwane Al-Kaidą«. Później za pióro chwycił bin Laden i spółka”. Na mój sceptycyzm reagował kamienną twarzą; dojadł nawet swój deser.

Kilka uwag Vargasa współgrało z moimi obserwacjami. Od dwóch lat interesowałem się portalami społecznościowymi, a w szczególności najpopularniejszymi anegdotkami, zdjęciami i filmikami – takimi, które stały się, jak to się mówiło, „wiralne”. Imponująca większość z nich ukazywała niemowlaki, szympansy grające w scrabble albo koty na huśtawce. Inne, mówiąc prosto, opowiadały dobre historie: pewien podróżny pomylił samoloty i wylądował w Pekinie, podczas gdy oczekiwano go w Stambule; dietetyczka, która sądziła, że opracowała dietę odchudzającą, zdała sobie sprawę, że zepsuła jej się waga; złodziej przydybany w garażu okradanego domu zamierzał wytoczyć właścicielom proces i tak dalej. Trudno było się oprzeć tym opowiastkom, mimo że nie niosły ze sobą żadnej wartości moralnej czy edukacyjnej.

Teorie Vargasa miały również tę zaletę, że rzucały nowe światło na kilka epizodów z historii najnowszej. Nie mogłem na przykład pojąć, jak naród amerykański mógł w 2004 roku ponownie wybrać George’a W. Busha, choć stało się już wtedy jasne, że reżim Saddama Husajna nie ukrywa broni masowej zagłady. Zdaniem Vargasa Bush wygrał, ponieważ uraczył wszystkich historyjką, jasne,

banalną – „ochronię was przed szaleńcami w turbanach i ciotami z Hollywood” – ale pozwalającą na zgromadzenie elektoratu. Tymczasem John Kerry perorował o konieczności ponownego ukształtowania stanowiska prezydenta i wyliczał kroki, które podejmie w pierwszych stu dniach urzędowania, co jeden, to bardziej technokratyczny.

Tak samo z odkryciem Ameryki uparcie przypisywanym Krzysztofowi Kolumbowi przez podręczniki historii od Bostonu po San Diego, podczas gdy dowiedziono, że Wikingowie przybili do brzegów Nowego Świata pięć wieków przed „Santa Marią”. Jeśli w każdy drugi poniedziałek października Amerykanie czczą pamięć Kolumba, a nie Leifa Erikssona, to dlatego, że ten pierwszy dużo lepiej nadaje się na bohatera niż ten drugi. Był odważnym katolikiem, nie robił tajemnicy ze swojej chęci wzbogacenia się i obiecał, że część fortuny przeznaczy na walkę z muzułmanami. Co z tego, że wybił Indian albo żądał od tubylców ogromnych trybutów w złocie, „mógł postąpić dużo gorzej”, jak łaskawie pochwalił go jego pierwszy biograf, Washington Irving, który dla bardziej spektakularnego efektu nie zawahał się postarzyć swojego bohatera o dziesięć lat. „Nigdy nie pozwólcie, żeby fakty wchodziły w paradę pięknej opowieści” – miał w zwyczaju mówić Mark Twain. „Kiedy legenda staje się rzeczywistością, drukuje się legendę” – mogłaby mu odpowiedzieć postać grana przez Carletona Younga w *Człowieku, który zabił Liberty Valance’a*.

Kiedy dołączyłem do Komitetu, wierzyłem, że będę w stanie skierować KFR na nową ścieżkę. Teczka, którą poświęciłem rzezi w Nankinie, głęboko mnie naznaczyła. Z początkiem 1938 roku armia japońska zmasakrowała dwieście pięćdziesiąt tysięcy chińskich cywilów, zgwałciła dziesiątki tysięcy kobiet, a niemowlęta nadziewała na bagnety. Nie potrafiłem zrozumieć, jak społeczeństwo japońskie może po dziś dzień z uporem maniaka przeczyć szeroko udokumentowanym i potwierdzonym przez wszystkich historyków faktom. Ta sama dobrowolna amnezja przejawiała się po trosze wszędzie, od Turcji, gdzie nie okazywano cienia skruchy w związku z ludobójstwem Ormian, po Rosję, gdzie potworny głód z 1932 roku nie figurował w podręcznikach. Czy zamiast modyfikować historię, zastanawiałem się, KFR nie okazałby się bardziej użyteczny, przywracając ją, wyciągając na światło dzienne to, co połączone siły nienawiści, rasizmu i obskurantyzmu starały się ukryć? Niestety, moje wysiłki

w tym kierunku kończyły się jedynie porażkami. Teraz rozumiałem dlaczego: prawda nie istniała. Fakty dotyczące masakry nankińskiej – choć już samo słowo „masakra” kryło w sobie pewną opowieść – były, jakie były; sposób ich łączenia, wybierania jednych, by inne odsunąć na bok, to już co innego: historia, baśń, punkt widzenia, niektórzy powiedzieliby: opinia.

Po posiłku Vargas opowiedział mi emblematyczną historię powieściopisarza H.G. Wellsa. U progu pierwszej wojny światowej autor *Niewidzialnego człowieka* i *Wojny światów* porwał się, wraz z armią pomocników, na zredagowanie olbrzymiej *Historii ludzkości*. Jego zdaniem jedynie nieznamość historii – obiektywnej, niezaprzeczalnej – nie pozwalała ludziom żyć w zgodzie. Jego wielkie dzieło – ponadtysiącstronicowe tomisko – ukazało się w 1920 roku, sprzedawało się w ponad dwóch milionach egzemplarzy i zostało przetłumaczone na wiele języków. Ale pomimo ogromnego sukcesu komercyjnego i swojej bezsprzecznej nowoczesności, *Historia ludzkości* nigdy nie stała się niczym więcej niż tylko encyklopedią czy rzetelnym źródłem odniesienia. Rzecz w tym, że Wells, choć twierdził, że wzniósł się ponad poziom mas, pisał z perspektywy białego mężczyzny żyjącego w XX wieku, jasne, bardziej oświeconego niż przeciętny człowiek (o czym świadczył postulat równości ras i kultur, a także odrzucenie imperializmu), lecz nieuleczalnie zakotwiczonego w swojej epoce i w swoim środowisku. Przedstawić historię, zauważył Vargas, znaczy tyle, co domyślnie głosić wyższość własnego punktu widzenia. Wówczas Harrison Ford spytał go, czy lepiej wyrazi swoje zamyślenie, pocierając podbródek, czy masując skronie.

Kilka dni później Komitet w drodze wyjątku przyjął gościa w osobie mojej starej przyjaciółki, Magawati Donogurai.

Dla Magi było to pierwsze zetknięcie się z najważniejszymi z ważnych. Tak jak ja przed siedmioma laty, długo przyglądała się członkom Komitetu, usiłując ich zidentyfikować i zapisać w pamięci ich rysy. Znała Yakouba Khoyoulfaza i Martina Suareza, swoich przełożonych w Operacjach Specjalnych, musiała też pamiętać Zoe Karvelis, która uczyła w Akademii. Byłem za to gotów iść o zakład, że Ching Shao i Sophie Onobanjo spotkała po raz pierwszy.

– Usiądź – zaprosił Yakoub. – Chciałaś się z nami widzieć, więc słuchamy.

Sześć miesięcy temu Yakoub powierzył Madze zebranie ekipy, której zadaniem było wsparcie kandydata demokratów w nadchodzących amerykańskich wyborach

prezydenckich. Maga wybrała pół tuzina zaufanych agentów, wśród których znalazł się jej mąż, Youssef, a także nasz wspólny znajomy, Stéphane Brioncet.

KFR nie ma w zwyczaju wtrącać się w wewnętrzne sprawy poszczególnych państw. Nigdy nie bierzemy strony jednego kandydata, tak samo jak nie dopuszczamy się fałszerstw wyborczych. Założyciel KFR-u uczestniczył w tworzeniu amerykańskiej konstytucji, tekstu opartego na poszanowaniu praw jednostki: nie należał do tych, co to chcą uszczęśliwiać ludzi na siłę.

Yakoub powołał się jednak na wyjątkowe okoliczności. Deterioracja wizerunku Stanów Zjednoczonych w oczach świata osiągnęła niepokojący poziom. W ciągu jednej kadencji George'owi W. Bushowi udało się roztrwonić olbrzymi kapitał sympatii zrodzonej po jedenastym wrześniu. Opinia publiczna rozumiała, że Amerykanie tropią bin Ladena w Afganistanie; gorzej przyjęła fakt, że najechali Irak w poszukiwaniu hipotetycznej broni masowego rażenia. Zdjęcia z Abu Ghurajbu przedstawiające muzułmańskich więźniów prowadzanych na smyczy zniesmaczyły nawet najbardziej zapalonych zwolenników Stanów Zjednoczonych. Amerykańska hipokryzja zaczęła odtąd kłuć w oczy: administracja Busha wychwalała demokrację, jednocześnie chroniąc saudyjskich monarchów; finansowała iracki system sprawiedliwości, ale pozbawiała zatrzymanych w Guantanamo podstawowych praw; obnażała okrucieństwo Saddama Husajna, lecz radośnie stosowała tortury w podziemiach CIA.

Ta piekielna spirala, ocenił Yakoub, nikomu nie mogła wyjść na zdrowie. Ani Ameryce, która wystawiała się na kolejne ataki, ani muzułmanom, którzy czuli się popychani ku radykalizacji, ani zwolennikom pokoju. Odbudowanie reputacji Stanów Zjednoczonych było więcej niż tylko kaprysem, było koniecznością.

Zdawało się, że ten jeden jedyny raz zrządzenie losu ułatwiło nam sprawę. Wśród rzeszy pretendentów do inwestytury demokratów znacznie wyróżniało się dwoje kandydatów. Hillary Clinton, pani senator stanu Nowy Jork, od podszewki znała mechanizmy działania Białego Domu, ponieważ spędziła w nim osiem lat u boku swojego męża Billa. Jej niezachwiane poglądy, które czyniły z niej worek treningowy republikanów, paradoksalnie mogły zadziałać na jej korzyść, jeśli wyborcy postanowią skrócić kierownicę w lewo. Barack Obama, senator z Illinois, był wschodzącą gwiazdą partii. Odkąd wygłosił pamiętne przemówienie podczas zjazdu demokratów w 2004 roku, eksperci przewidywali, że temu eleganckiemu

trybunowi pisany jest los przywódcy narodu. Pozostali kandydaci, jakkolwiek wartościowi, nie boksowali w tej samej kategorii wagowej; na rok przed wyborami nikt nie miał wątpliwości, że walka o inwestyturę demokratów rozegra się między Clinton a Obamą. Pierwsza kobieta przeciwko pierwszemu czarnoskóremu: którekolwiek z nich zwycięży w prawyborach, przejdzie do historii, a w przypadku ostatecznego zwycięstwa roześle falę nadziei na cały świat.

Niełatwo było podjąć decyzję. Wszyscy obawialiśmy się stworzenia niebezpiecznego precedensu. Martin Suarez odmówił wzięcia udziału w głosowaniu, które w tak bezpośredni sposób dotyczyło jego kraju, Zoe i Sophie wyraziły poważne zastrzeżenia, lecz Yakoub, Ching i ja zagłosowaliśmy za, dzięki czemu wniosek przeszedł. W swojej nieskończonej mądrości Yakoub zaproponował, by przyznać zespołowi Magi śmiesznie niski budżet. „Nie ma mowy – oznajmił – żebyśmy wpadli w pułapkę amerykańskiej demokracji, kupując wybory”.

Maga wyglądała na podenerwowaną, zerknęła w moją stronę, jakby w mojej mocy leżało położenie kresu jej udręce. Puściłem do niej oko, co wywołało uśmiech na jej twarzy. Zaczęła odważnym tonem:

– Za kilka godzin Hillary Clinton ogłosi, że wycofuje się z wyścigu o inwestyturę demokratów, i wyrazi swoje poparcie dla kandydatury Obamy.

Szczerze mówiąc, nie było to żadną nowiną. Cztery dni wcześniej sztab wyborczy Obamy pochwalił się, że dysponuje przewagą nie do nadgonienia. Otoczenie Clinton nie zareagowało, a milczenie to nosiło znamiona kapitulacji.

– Zleciliście nam, mojej ekipie i mnie, udzielenie obozowi demokratów drobnej pomocy w związku z wyborami, które odbędą się w listopadzie przyszłego roku. Uważam, że wypełniliśmy pierwszą część tej misji. Ostatnie sondaże podają, że Obama prowadzi o trzy do sześciu punktów procentowych w stosunku do McCaina.

– To jeszcze daleka droga – zauważyła łagodnie Onobanjo.

– Oczywiście. Zresztą mniej satysfakcji czerpię z wyników sondaży, a więcej z samych akcji, w które zaangażowaliśmy się w celu zwiększenia szans obozu demokratów.

– Może podasz nam kilka przykładów? – zasugerowałem.

Maga pojęła, że próbuję przyjść jej z pomocą.

– Zaczęliśmy od stworzenia listy mocnych i słabych stron Obamy z zamiarem roztrąbienia tych pierwszych i sprawienia, by te drugie poszły w niepamięć. Obamie nie brakuje, rzecz jasna, atutów. Urodzony z ojca Kenijczyka i matki Amerykanki, dorastał poza zasięgiem establishmentu, dostał się na Uniwersytet Columbia, a później na Harvard, gdzie został pierwszym czarnoskórym redaktorem naczelnym niezwykle prestiżowego „Law Review”. Wykonywał zawód prawnika i wykładał prawo na chicagowskim uniwersytecie, a następnie zaangażował się w politykę swojego przybranego stanu, Illinois, gdzie mocno zapuścił korzenie. To niezrównany mówca, człowiek o umiarkowanych poglądach, który potrafi zainspirować swój obóz, nie antagonizując przy tym przeciwników; nawołuje do pokonywania różnic ideologicznych i rasowych.

– Co udało wam się do tego dodać? – spytała Onobanjo, wyraźnie sceptyczna.

– Anegdoty, które go uczłowieczają. Wspomnienia dawnych kolegów z klasy, którzy opowiadają, jak Obama wstawiał się za nimi u nauczycieli, żeby ci darowali im kary, dziewczynkę z Chicago, którą rzekomo nauczył czytać na klatce schodowej jej nędznego bloku, i tak dalej.

– To wszystko?

– Nie. Podkreśliliśmy jego hawajskie dziedzictwo. Dla Amerykanów Hawaje to kraina mlekiem i miodem płynąca, rajska wyspa na środku Pacyfiku, leżąca z dala od stronnicych machinacji Waszyngtonu. To również, ze względu na natywne populacje pochodzenia azjatyckiego, najbardziej zróżnicowany rasowo stan.

Ten ostatni aspekt wydał mi się bardziej interesujący. Jeśli go dobrze wykorzystać, mógł pomóc w przezwyciężeniu resztek oporów białego elektoratu. Dyskretnie skinąłem Madze głową na znak, że dobrze sobie radzi. Podbudowana ciągnęła:

– Jestem pewna, że rozumiecie, iż istnieją pewne granice tego, co można zrobić dla kandydata – położyła nacisk na przedostatnie słowo. – Ale jak wiecie, amerykański marketing wyborczy opiera się nie tyle na promocji własnego czempiona, ile na oczernianiu przeciwnika.

Kampania z 2004 roku osiągnęła w tej kwestii szczyt. Dzięki zawstydzającemu zalewowi spotów Partii Republikańskiej albo – dokładniej rzecz biorąc – grupy kombatantów, którzy służyli jej za przykrywkę, udało się zasiać wątpliwości co do przebiegu służby wojskowej Johna Kerry’ego. Pod koniec lat sześćdziesiątych

kandydat demokratów przez cztery lata służył w armii amerykańskiej, cztery lata, podczas których przeprowadził niezliczone misje w Wietnamie, dorobił się śladów po szrapnelach na całym ciele i otrzymał trzy Purpurowe Serca, najstarsze odznaczenia wojskowe w kraju: wszystko to mało w oczach Republikanów, którzy podali w wątpliwość prawdziwość militarnych dokonań Kerry'ego i skrytykowali jego późniejszą postawę antimilitarystyczną. To prawda, że nie wszyscy mogą pochwalić się takimi osiągnięciami jak George W. Bush, który w chwili gdy jego rywal został wysłany do Indochin, odbywał służbę wojskową w przytulnych szeregach gwardii narodowej Teksasu, stanu, którego jego ojciec był deputowanym.

– Poświęciliśmy więc szczególną uwagę słabościom Obamy, a może raczej takim epizodom czy cechom, które obóz przeciwnika mógłby przedstawić jako słabości. Pierwsza związana jest z jego pochodzeniem. Rywale lubią przypominać, że w żyłach Obamy płynie krew w pięćdziesięciu procentach afrykańska i że pierwsze dziesięć lat życia spędził w Indonezji. W ten sposób rzucają cień podejrzeń na jego patriotyzm oraz umiejętność zidentyfikowania się z przeciętnym Amerykaninem. Ponieważ traktujemy to zagrożenie bardzo poważnie, postanowiliśmy je rozdmuchać.

Spojrzeliliśmy po sobie, niepewni, czy dobrze zrozumieliśmy sens słów Magi.

– Dobrze słyszeliście – potwierdziła zadowolona, że wreszcie udało jej się zwrócić naszą uwagę. – Badanie Uniwersytetu Michigan wykazało, że w pewnych warunkach kampania oszczerstw może zwrócić się przeciwko jej autorom, dyskredytując ich nawet w oczach własnego elektoratu.

– I jakie to warunki? – zapytała Onobanjo.

– Badanie wymienia kilka: przesada, ewidentne działanie w złej wierze, tania złośliwość, brak szacunku...

– Znasz wiele antyreklam, które nie spełniają tych kryteriów? – zagadnęła Zoe.

– Ależ tak – odparła Maga. – Przesłanie najczęściej ogranicza się do przypomnienia, że podczas poprzedniej kadencji taki a taki kandydat pięćdziesiąt siedem razy głosował za podniesieniem podatków albo że nie wierzy w Boga. Można podsunąć niezdecydowanym powody do niegłosowania na danego kandydata, nie mieszając go przy tym z błotem.

Suarez skinął głową na znak aprobaty.

– Na czym skupiliście wysiłki? – spytałem.

– Na pochodzeniu Obamy. Mieliśmy kłopot z wyborem. Jego przeciwnicy od dziesięciu lat sieją najbardziej absurdalne plotki: że niby urodził się w Kenii, przez co nie mógłby kandydować, że niby jest muzułmaninem, homoseksualistą, co tylko chcecie. Postanowiliśmy skoncentrować się na dwóch pierwszych zarzutach. Skontaktowaliśmy się z mediami i głównymi ugrupowaniami konserwatystów w Waszyngtonie, utrzymując, że dysponujemy rejestrem urzędu stanu cywilnego, który potwierdza, że Barack Muhammad Obama urodził się czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku w szpitalu generalnym w Mombasie. Następnie Ann Dunham, matka Baracka, rzekomo wsiadła w samolot na Hawaje, gdzie zgłosiła urodzenie syna, żeby mógł korzystać z amerykańskiego obywatelstwa. Dla potwierdzenia tej teorii sfabrykowaliśmy akt urodzenia na papierze z nagłówkiem urzędu w Honolulu.

Maga podniosła się, by rozdać kopie dokumentów.

– Jak zobaczycie, w drugim certyfikacie celowo zostawiliśmy rubrykę „miejsce urodzenia” pustą, jako pożywkę dla wielbicieli teorii spiskowych. Przywróciliśmy też drugie imię Obamy. Muhammad brzmi bardzo muzułmańsko.

– Jak wasi rozmówcy zareagowali na te rewelacje? – chciałem wiedzieć.

– Duże dzienniki odesłały nas z kwitkiem. Znały te brednie i raz na zawsze postanowiły je ignorować. Stacje telewizyjne wykazały mniej skrupułów: wszystkie, wliczając w to CNN, zrelacjonowały informację, chroniąc się za wielce praktyczną wymówką: „My w to nie wierzymy, ale ponieważ krąży taka teoria, zobowiązani jesteśmy powiadomić o niej szeroką publiczność”. Na Fox News puszczali to w kółko.

– Jak zareagowała opinia publiczna?

– Zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Osoby, które dały wiarę tym pogłoskom, i tak nigdy nie zamierzały głosować na demokratów; oburzeni sympatycy Obamy z jeszcze większym zapalem zgromadzili się wokół swojego lidera...

– A niezdecydowani? – zapytała Zoe.

– Około jedna trzecia czeka na wyjaśnienie sprawy. Reszta uważa, że takie plotki przynoszą hańbę tym, którzy je szerzą.

– Tym, którzy je szerzą, ale niekoniecznie aparatowi republikanów. Nigdy nie słyszałam, żeby McCain podawał w wątpliwość prawo Obamy do startu

w wyborach.

– Póki co, ale to już nie potrwa długo. Spodziewamy się, że republikanie na dniach zażądadają opublikowania jego aktu urodzenia. Mniejszości odczują to jako osobisty afront, dowód na to, że po czterdziestu latach w Stanach Zjednoczonych nadal proszą cię o dokumenty, jeśli popełnisz ten błąd i trochę się opalisz. Obama zyska na tym co najmniej pięćset tysięcy głosów.

Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym plan Magi wydawał mi się genialniejszy. Gdyby pogłoski na temat pochodzenia Obamy miały moc go pokonać, tak czy inaczej by wypłynęły – takie było prawo rynku: można było liczyć na to, że media oraz grupy nacisku dadzą publiczności to, co ta chciała usłyszeć. Bardziej opłacało się samemu wywlec historię i wykpić tych, którzy ją rozprzestrzeniają.

– Dobra robota – uznał Yakoub. – Ale czemu chciałaś się z nami zobaczyć?

Żeby poznać Komitet, pomyślałem. Na jej miejscu postąpiłbym tak samo!

– Żeby poprosić was o pozwolenie na rozpoczęcie drugiej fazy projektu, to jest sabotażu kampanii McCaina – odrzekła Mago. – Możliwości ataku...

Suarez jej przerwał:

– Nie uważa pani, że to nieprzyzwoite...

– Twoja kolej nadejdzie, Martin – uciął Yakoub. – Pozwól jej skończyć. Co mówiłaś, Mago?

– Mówiłam, że możliwości ataku nie brakuje. McCain ma siedemdziesiąt dwa lata, pod koniec kadencji będzie miał siedemdziesiąt sześć. Regularnie głosuje odwrotnie niż jego obóz, czym zyskał sobie reputację nieprzewidywalnego wolnego strzelca. Jest na przykład zwolennikiem zaostrzenia przepisów o ochronie środowiska, złagodzenia tych dotyczących imigracji, a nawet wykazuje nieco dobrej woli w kwestii małżeństw homoseksualnych. Wyobraźmy sobie, że para gejów zaproszonych do jakiegoś talk-show prosi go, by pobłogosławił ich związek...

Suarez, który od pewnego czasu trząsał się na krześle, zawołał:

– Proszę o zawieszenie obrad!

Yakoub zawahał się sekundę, jakby rozważał plusy i minusy zrobienia Suarezowi kolejnego afrontu.

– Zawieszam obrady – oznajmił w końcu. – Mago, czy możesz nam na chwilę

wybaczyć?

Maga wstała z godnością, zostawiając swoje rzeczy.

– Co to ma być, Martin? – odezwał się Yakoub, gdy zamknęły się za nią drzwi windy. – Przecież prosiłem cię, żebyś pozwolił jej skończyć.

– Przepraszam – odparł Suarez – ale to więcej, niż mogę znieść. Nie sprzeciwiam się temu, żebyśmy wspierali Obamę. Ale nie zgodzę się na zniesławianie Johna McCaina. To prawdziwy bohater, który wywalczył sobie prawo do tego, aby go nie ośmieszano. W Wietnamie został ranny i dostał się do niewoli. Gdy jego gwałciciele zaproponowali, że go uwolnią, by przypodobać się jego ojcu, ówczesnemu zwierzchnikowi amerykańskich sił zbrojnych w regionie, odmówił korzystania ze specjalnego traktowania i jeszcze cztery lata gnił w celach Wietkongu. Nie zadowolił się siedemnastoma odznaczeniami i pensją inwalidy wojennego, od blisko trzydziestu lat wiernie służy mieszkańcom Arizony. I to prawda, głosuje zgodnie z własnym sumieniem, nieraz wbrew zaleceniom partii. Osobiście uważam to raczej za chwalebne.

Suarez wyrównał oddech. Temat wyraźnie leżał mu na sercu. Przypomniałem sobie wówczas, że dorastał w Arizonie, gdzie McCain był postacią legendarną.

– Sugerujesz, żebyśmy poparli jego kandydaturę? – spytał Yakoub.

– Nie. McCain nie jest wolny od wad i w ciągu tych wszystkich lat popełnił sporo błędów. Ale przynosi zaszczyt stanowisku polityka. Upodlibilibyśmy się, atakując takiego człowieka.

Zapadła długa cisza. Suarez wyraził to, co wielu z nas niejasno przeczuwało. Ching jako pierwsza zabrała głos.

– Zgadzam się z Martinem. Ale czy jesteśmy w stanie doprowadzić do zwycięstwa Obamy, nie ruszając McCaina? Osobiście w to wątpię.

– Ja również – przyznał Yakoub.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Chyba uda mi się znaleźć rozwiązanie tego dylematu – oznajmiłem. – Dajcie mi tydzień, a zaprezentuję wam plan, który zadowoli wszystkich.

– Nawet mnie? – dopytywał Suarez z niedowierzaniem.

– Przede wszystkim pana, Martinie.

11

Niespełna dwadzieścia cztery godziny później taksówka wyrzuciła mnie przed domem pokazowym w Clontarf na obrzeżach Dublina, gdzie – jak zapewniła mnie Gladys, sekretarka Vargasa – miałem znaleźć jej szefa.

Przy opustoszałej ulicy, niedawno obsadzonej drzewami, stało ze sto identycznych domków. Na skrzyżowaniu zatknięto znak stopu, rozpoznawalny dzięki swojemu ośmiokątnemu kształtowi. Ponieważ ten, kto go postawił, zapomniał zdjąć opakowania, przywodził na myśl ogromnego lizaka.

Przeszedłem przez pas ziemi, który pewnego dnia miał stać się altaną, i pchnąłem drzwi. W środku budynek też nie był wykończony. Z sufitu zwisały gołe żarówki, ściany czekały na ostatnią warstwę farby, a na oknach jeszcze widniały naklejki reklamowe producenta. Dom był niewielki, ale harmonijny i dobrze pomyślany. Przestronna kuchnia otwierała się na salon wyposażony w gazowy kominek. Na piętrze pewnie znajdowały się sypialnia małżeńska i dwa albo nawet trzy pokoje dziecięce.

– Jest tu kto? – krzyknąłem, modląc się, żeby się nie okazało, że Gladys pomyliła dni.

Z góry odpowiedziało mi jakieś poruszenie. Przez wzgląd na przyszłych lokatorów trzeba było mieć nadzieję, że prace związane z wyciszaniem ścian jeszcze się nie zaczęły. Jakiś mężczyzna zszedł po paru stopniach, ukazując swoje ubłocone buty i nogawki sztruksowych spodni w grube prążki.

– Kto tam? – zapytał z przerażająco irlandzkim akcentem.

– Sliv Dartunghuver – przedstawiłem się, dołączając do niego na schodach. – Chciałbym porozmawiać kilka minut z panem Vargasem.

– Ignacio! – ryknął, odwracając się. – Ma pan gościa!

Zmiażdżył mi rękę w uścisku i sprowadził na parter.

– Cormac. Jestem właścicielem.

– Jest pan deweloperem?

– Kreatorem szczęścia. Rozlokowałem pięć tysięcy rodzin i nigdy nie dostałem

ani jednej reklamacji.

– Naprawdę? Żadnego wadliwego kotła czy cieknącej toalety?

Spojrzał na mnie spod oka, jakby zastanawiał się, czy stroję sobie z niego żarty. Dopiero wtedy zauważyłem, że ma aparycję łapacza bejsbolowego.

– Ani jednej prawdziwej reklamacji – wyjaśnił z naciskiem.

– Oczywiście – wybełkotałem rozsądnie.

Vargas zszedł po schodach wciśnięty w groteskową wojskową kurtkę i te ciężkie buty za kostkę, których nie sposób zawiązać. Pochód zamykał wysoki, tyczkowaty rudzielec uzbrojony w notes.

– Sliv! No doprawdy, depcze mi pan po piętach. To Gladys pana przysyła? Ma pan szczęście, za dwie godziny ruszam do Warszawy.

W panice zerknąłem na zegarek.

– Nie pozostawia nam to zbyt wiele czasu...

– Ależ tak, spokojnie. Nie sądzi pan chyba, że latam zwykłymi liniami? Pilot nie wystartuje beze mnie.

– Ale my jeszcze nie skończyliśmy – przypomniał pan domu.

– Przepraszam, powinienem był dokonać prezentacji – rzucił Vargas, całkiem odporny na napiętą atmosferę. Zwrócił się do mnie: – Cormac pomaga rodzinom znaleźć lokum.

Wnioskując ze słów Vargasa, można by pomyśleć, że Irlandczyk jest filantropem albo pracownikiem socjalnym.

– Sliv to mój kolega po fachu – ciągnął Kolumbijczyk. – Niezrównany bajarz. Ma pan coś przeciwko temu, żeby się do nas przyłączył? Co dwie głowy, to nie jedna.

– Jeśli tylko nie będzie mnie to drożej kosztować – wymamrotał kreator szczęścia.

– Ależ, Cormacu, proszę mnie nie zmuszać, żebym panu przypomniał, że wyświadczam panu grzeczność, kasując za pół dnia.

– Plus koszty – zaznaczył Irlandczyk, jakby wynajął armadę limuzyn.

– Nie wiedziałem, że ma pan klientów w Irlandii, Ignacio – rzekłem, żeby uciąć tę ponurą wymianę zdań.

– Och, nie od dziś. Proszę sobie wyobrazić, że to właśnie w Dublinie odbyłem swoją pierwszą misję doradczą po rozstaniu z naszymi wspólnymi przyjaciółmi.

Moi klienci, bogaci Amerykanie irlandzkiego pochodzenia z Bostonu, wynajęli mnie, żeby pomógł zalegalizować rozwody.

– Zaraz, zaraz! To jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych rozwody były nielegalne?

– No raczej – rzucił Cormac z goryczą.

– Ależ tak. Kwestia została poddana pod referendum w osiemdziesiątym szóstym. Zwolennicy legalizacji rozwodów zebrali wówczas niewiele ponad jedną trzecią głosów. Kiedy nadarzyła się okazja do zorganizowania drugiego referendum, moi klienci zapragnęli przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Zająłem się tą sprawą za grosze. Bo widzi pan, traktuję rozwód jako fundamentalne prawo, tego samego rzędu, co prawo do wolności czy pogoni za szczęściem.

Fakt, że Vargas wyznaje jednak jakieś przekonania, dodał mi otuchy. Przypomniałem sobie teraz, że napomykał o istnieniu kilku małżonek.

– Jaką strategię pan obrał? – spytałem.

– Jediną możliwą. Zaaapelowałem do ofiar przemocy seksualnej ze strony członków kleru. Zapłaciłem im, rzecz jasna: tysiąc funtów za zwykłe dotyknięcie, podwójna stawka w przypadku gwałtu.

– Ale skoro im pan płacił, jaką miał pan pewność, że mówią prawdę?

– Żadnej. Ale spośród całej tej grupy parę osób pewnie naprawdę bawiło się dzwoniącymi przeora. Zresztą nieważne. W tygodniach poprzedzających głosowanie wywelekaliśmy jedną aferę dziennie. Nie muszę panu mówić, że media były w siódmym niebie. Kościół krzyczał coś o konspiracji, ale krzywda została już wyrządzona. Zdecydowano na tak, choć byliśmy blisko porażki, uzyskaliśmy niespełna dziesięć tysięcy głosów przewagi.

– Dziewięć tysięcy – doprecyzował Cormac, który, jak sobie wyobrażałem, pchał się do urn razem ze swoimi kolegami łapaczami.

Niezręcznie byłoby krytykować metody Vargasa w obecności jednego z jego klientów, zwłaszcza w chwili gdy szykowałem się, by prosić go o przysługę. Zmusiłem się do uśmiechu, myśląc przy tym o księżach, którym zrujnował życie.

– No dobrze – rzucił Vargas, nieco rozluźniając pasek przy kurtce – wracajmy do pracy. Nasz przyjaciel ma problem ze znalezieniem nabywców na swoje ostatnie przedsięwzięcie. Czy tak, Cormacu?

Irlandczyk skinął głową z przygnębioną miną.

– Mam ledwie trzy rezerwacje, a domy będą gotowe za miesiąc.

– To mało? – zapytałem.

Cormac dał rudzielcowi znak, żeby mi odpowiedział, jakby dla niego ten temat był zbyt bolesny.

– Jeszcze przed dwoma laty sprzedalibyśmy sto lokali na podstawie samych planów – wyjaśnił asystent. – A pomiędzy wpłatą pierwszej raty a zakończeniem budowy ceny poszłyby w górę o dwadzieścia procent.

– Niektóre rodziny kupowały pięć domów, odsprzedawały cztery i wprowadzały się do nowego lokum praktycznie na cudzy koszt – dodał Cormac z oczami zamglonymi nostalgią.

– Musiał pan zbić kokosy – zauważyłem, zerkając na wielkiego range rovera zaparkowanego przed budynkiem.

– Nie bardzo. Zainwestowałem wszystko w kolejny projekt. Mam długi liczone w dziesiątkach milionów.

– To dlatego tu jesteśmy – wtrącił się Vargas. – Cormac musi pozbyć się towaru przed nadejściem lata, bo inaczej banki przejmą wszystkie jego aktywa.

– Nigdy mi się nie uda – zaczął lamentować deweloper. – Rynek nowych nieruchomości jest nasycony.

– Dlatego też istotne jest, żeby poszerzył pan klientelę. Do kogo obecnie kierujecie swoją ofertę?

– Głównie do pracowników średniego szczebla, handlowców i nauczycieli – poinformował rudzielec.

– Oczywiście, oczywiście. A co z ochroniarzami? Pielęgniarkami? Sprzątaczkami?

– Nie mają środków. Wie pan, ile ten dom kosztuje?

– Niech mi pan powie – poprosił Vargas słodko.

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro, nie licząc sprzętu gospodarstwa domowego. Równowartość trzydziestoletniej pensji sprzątaczk.

I tygodniowej pensji Vargasa, obliczyłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Właśnie tak – zgodził się Kolumbijczyk. – Przemówimy do tych sprzątaczek językiem, który je poruszy: „Wy także macie prawo marzyć”. Przez całe dni sprzątają cudze domy. Sądzi pan, że nie śnią o miłym kąciku dla siebie? O ogródku? O lepszych szkołach dla dzieci?

- Tak, na pewno, ale...
 - Harują, żeby opłacić comiesięczne wydatki. Ciężej niż pan albo pańscy pracownicy biurowi czy profesorowie.
 - Nie wątpię – przerwał Cormac – ale skąd wezmą pieniądze?
 - Też pytanie! Pożyczą, jak wszyscy. Wasze banki udzielają jeszcze kredytów?
 - I tak, i nie. Ale ogólnie rzecz biorąc, tak.
 - Jakiego wkładu własnego wymagają? Dziesięciu procent? Piętnastu?
 - Raczej dwudziestu – powiedział rudzielec.
 - Ach, to już wszystko jedno. W Stanach Zjednoczonych ta kwota wynosi od zera do pięciu procent.
 - Moja sprzątaczką nie ma na koncie siedemdziesięciu tysięcy euro – zauważył Cormac.
 - Ale pan ma. Oto co pan robi. – Zwrócił się do rudzielca. – Młody człowieku, przyszła pora na robienie notatek. Najpierw odpicujecie trochę tę kuchnię. Chcę granitowe blaty, lodówkę wielkości chłodzi i prawdziwego rolls-royce'a wśród niemieckich zmywarek.
 - Hę?! Chyba pan zwariował!
 - To samo tyczy się łazienek – ciągnął niewzruszony Vargas. – Zainstalujcie prysznice z hydromasażem i wymieńcie krany w umywalkach. Aha, no i oczywiście wszystkie przełączniki elektryczne wyposażycie w regulatory światła.
- Cormac zapytał:
- Zdaje pan sobie sprawę, że te ulepszenia będą kosztowały przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy euro?
 - Przede wszystkim zdaję sobie sprawę, że tym sposobem upiecze pan dwie pieczenie na jednym ogniu. Pańskie sprzątaczką nie będą mogły uwierzyć własnym oczom, bo naturalnie zostanie pan przy początkowej cenie. Co do drugiej korzyści, sama rzuca się w oczy: wyposażenie, które pan zaoferuje, będzie liczyło się jako część wkładu własnego. Pańscy klienci będą musieli znaleźć jedynie dwadzieścia tysięcy euro, aby stać się właścicielami domu wartego trzysta pięćdziesiąt tysięcy.
- Rudzielec westchnął z irytacją. Wyraźnie buntował się nie tyle przeciwko planowi Vargas, co przeciw monstrualnym kosztom, które będzie musiała ponieść spółka. Cormac z kolei, jak przystało na pragmatycznego biznesmena, wstrzymywał się na razie z osądem.

– Bardzo śmiały plan – orzekł w końcu. – Ale czemu by nie podnieść ceny o dziesięć czy dwadzieścia tysięcy euro? Domknięcie projektu potrwałoby parę tygodni dłużej, ale zainkasowalibyśmy dodatkowy milion...

– Od razu panu przerwę – wciął się Vargas. – Nie ma ani chwili do stracenia. Zbliża się kryzys i jeśli wierzyć coraz grubszymi nićmi szytym plotkom, które zmuszony jestem wymyślać dla swoich klientów, to będzie prawdziwe tsunami. Sądzi pan, że jest jedynym deweloperem, który przecenił swoje możliwości? W Las Vegas, Miami, Barcelonie i Atenach pańscy koledzy po fachu oddają niesprzedane nieruchomości za psie pieniądze. Niech pan szybko przekaże komuś Czarnego Piotrusia, przyjacielu! Niedobrze by było, gdyby pan nadal tańczył, kiedy muzyka ucichnie.

– Co konkretnie pan sugeruje? – zapytał Cormac, dając rudzielcowi znak, żeby przygotował się do notowania.

– Żeby natychmiast rozpocząć prace, jednocześnie szukając szczęśliwych wybrańców. W tym celu polecam darmową prasę. Proszę bardzo, napiszę panu ogłoszenie.

Oparł się plecami o ścianę, zamknął oczy i podyktował:

– „Zamieszkać jak księżniczka. Tak, to możliwe! Ogromna kuchnia, profesjonalny sprzęt gospodarstwa domowego, prysznic z hydromasażem – te i wiele innych sprzętów czeka na ciebie...”

Oddaliłem się, zanim mdłości wzięły nade mną górę, i schroniłem się na malutkim tarasie, gdzie wydrążona w kamieniu nisza czekała na przyjęcie grilla. Przechyliwszy się w bok, ujrzałem z pięćdziesiąt takich ogródeczków, jeden za drugim.

Zgadzałem się z opinią Vargasa co do nieuchronności kryzysu finansowego. Eksperci KFR-u od kilku lat niepokoiли się rosnącym brakiem równowagi na rynku kapitałowym. Zakupów nieruchomości oraz wydatków publicznych dokonywano wyłącznie za cenę kolosalnego zadłużenia, którego na dłuższą metę nie dało się uciągnąć. Przedsiębiorstwa nie pożyczaly już z myślą o inwestycjach, ale po to, by sfinansować olbrzymie dywidendy przelewane akcjonariuszom. Szkodliwe skutki zadłużenia nigdzie nie były tak widoczne jak na rynku nieruchomości. Na całym świecie właściciele, pełni wiary w stale rosnącą wartość budynków, decydowali się na coraz większe domy, łudząc się, że odsprzedadzą je drożej, niż kupili.

Nieuchronne zawalenie się tego domku z kart było kwestią lat, może miesięcy. Straty zapowiadały się gigantyczne i – to była nowość – globalne.

Rozważaliśmy możliwość interwencji, póki był jeszcze czas. Szef biura z Minneapolis zaproponował, by sfałszować indeks Case-Schiller, który mierzy poprawność funkcjonowania amerykańskiego rynku nieruchomości, z nadzieją, że może spadek wzrostu cen wystarczy, aby ostudzić zapał młodych małżeństw. Ching Shao ze swojej strony zamierzała ogłosić upadłość skromnego litewskiego banku, żeby niewielkim kosztem skłonić ogromne instytucje do refleksji nad losem, który je czeka, jeśli w dalszym ciągu będą pożyczać lekką ręką. Komitet odrzucił oba plany, uznając je za jednocześnie zbyt ryzykowne i zbyt niepewne. Gdyż – co było niemniej przerażające – nasi specjaliści nie byli zgodni co do skutków ewentualnej ingerencji KFR-u; w końcu załamanie rynku mogło zostać przez niektórych graczy odebrane jako okazja do umocnienia własnej pozycji.

Nie udało nam się też odszyfrować rachunków instytucji finansowych. W razie odwrócenia rynku banki miały wiele do stracenia, ale niektóre z nich podpisały zabezpieczenia, które miały pokryć straty, a nawet przemienić je w zyski! Nikogo nie ruszał fakt, że firmy proponujące te gwarancje ryzykowały, że przyjdzie im zapłacić kilka razy więcej, niż pozwalały na to ich fundusze. Co się stanie, gdy ubezpieczyciel taki jak Ambac, dysponujący kapitałem w wysokości dwudziestu miliardów dolarów, nagle stanie twarzą w twarz z żądaniami odszkodowań opiewającymi na pięćdziesiąt albo sto miliardów? Zamiast przyznać, że odpowiedź nie istnieje, ludzie woleli nie zadawać sobie tego pytania.

Co gorsza, zdawało się, że banki nie są w stanie precyzyjnie określić, na czym stoją. W poszukiwaniu nowych źródeł zysku angażowały się w transakcje z użyciem środków własnych, pakując kapitał w nieustannie ewoluujące spekulacje dotyczące wszelkich produktów – akcji, obligacji, surowców naturalnych i tak dalej. Księgowi i aktuariusze starali się nadążyć za tymi chaotycznymi zmianami. Ich ostrzeżenia czy zwykłe prośby o wyjaśnienie spotykały się jedynie z pogardą i drwinami ze strony gwiazdorów rynku, którzy zarabiali po kilka milionów dolarów rocznie. Raporty roczne nabrzmiewały od niezrozumiałych przypisów, podczas gdy audytorzy chronili się za coraz bardziej niejasnymi sformułowaniami. Nawet osoby zarządzające wielkimi instytucjami nie wiedziały, z której strony padnie cios, który je zniszczy. Kilka miesięcy wcześniej trzydziestoletni francuski

spekulant pozbawił swojego pracodawcę pięciu miliardów euro, ukrywając swoje poczynania przy wykorzystaniu śmiesznie prostych procederów. Rynki giełdowe zakrzuszyły się tym incydentem, nie rozumiejąc jego proroczego wymiaru.

Z tych powodów KFR postanowił trzymać się na uboczu tego panicznego wyścigu. Trzeba umieć przyznać, że z pewnymi siłami nie możemy się mierzyć.

Usłyszałem, że należący do Cormaca samochód z napędem na cztery koła odjeżdża. Kilka sekund później Vargas dołączył do mnie na tarasie.

– Nie jestem pewien, czy to zadziała – wymamrotał, zwracając się w takim samym stopniu do mnie, jak do siebie. – Banki wkrótce zaryglują wrota.

– Gratulacje – rzuciłem. – Cóż za pomysł.

– Och, nie ma w tym żadnej mojej zasługi – odparł, nie wychwyciwszy ironii w moim głosie. – Amerykanie robią tak od dwóch lat. Dochodzą do siedmiuset albo ośmiuset tysięcy dolarów, bez początkowego wkładu własnego. No ale to są Stany.

– Naprawdę, Ignacio, nie ma pan problemu z zastawianiem pułapki na te nieszczęsne sprzątaczkę?

– Pułapki? Jakiej pułapki? Wprowadzą się do domu swoich marzeń, a na stół wyłożą ledwie dwadzieścia tysięcy euro.

– Dwadzieścia tysięcy euro, które stracą wraz z pierwszym drgnieniem rynku.

– A jeśli nawet, to co? Będzie je to kosztowało mniej, niż wydałyby na czynsz. Nie, to banki będą musiały wypić piwo, którego nawarzyły. Kiedy nadejdzie kryzys, sprzątaczkę przestaną spłacać raty i dostaną błogosławieństwo od państwa, które zmusi banki, żeby umorzyły część długów. To historia stara jak świat.

– Tak czy owak, nie ma pan wrażenia, że żeruje na łatwości kupujących?

Zrobił pauzę, jakby moje pytanie zasługiwało na porządne, formalne sprostowanie.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Sliv: ja nie żeruję na niczyjej łatwości. Sami doskonale się zwodzimy: Cormac, uważając się za dobroczyńcę ludzkości, ja, wierząc, że khaki mnie wyszczupła, i pan, myśląc, że uratuje pan KFR. Wszystkie historie współistnieją ze sobą; każdy wybiera tę, która mu najbardziej pasuje, wedle kryteriów, które nie mają nic wspólnego z logiką. Pielęgniarka, która sądzi, że może tu zamieszkać, zarabiając tysiąc euro miesięcznie, gra też w totolotka i uważa, że CIA zorganizowała zamachy z jedenastego września. No dalej, niech

mi pan opowie wspomnienie z dzieciństwa...

– Jakiego rodzaju wspomnienie? – spytałem wzięty z zaskoczenia.

– Nieważne, o niesprawiedliwości, której padł pan ofiarą, o pierwszej dziewczynie, którą pan pocałował, bo ja wiem...

– Mój ojciec zmarł, kiedy miałem jedenaście lat.

– Ach, świetnie – powiedział, siadając w zagłębieniu przeznaczonym na grilla.

Zrelacjonowałem mu swoje najważniejsze wspomnienia z tamtego okresu. O tym, jak ojciec, dotknięty nieoperacyjnym guzem mózgu, spędził ostatnie miesiące życia na porządkowaniu swoich spraw. O tym, jak rano przy goleniu recytował pierwszy rozdział *Sagi o Eryku Rudym*, żeby upewnić się, że pamięć jeszcze go nie zawiodła. O tym, jak wieczorami towarzyszyłem mu w klubie modelarzy, gdzie wspólnie sklejaliśmy myśliwce.

– Bardzo piękna opowieść – uznał Vargas, kiedy skończyłem. – Szkoda, że nieprawdziwa.

– Jak to nieprawdziwa? Nie twierdzę, że wiernie przytoczyłem każde słowo, działo się to prawie trzydzieści lat temu, ale jestem w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pewny tej wersji.

– Prawdziwa wartość oscyluje prawdopodobnie między jedną trzecią a połową. Widzi pan, wspomnienia nie są wyryte w pańskim mózgu niczym film na twardym dysku. Składają się z miriady fragmentów sensorycznych rozsianych po fałdach mózgu. Wypowiadając słowa: „Mój ojciec zmarł, kiedy miałem jedenaście lat”, uderzył pan w dzwon w swojej korze mózgowej. Powróciły do pana setki strzępków obrazów, dźwięków, zapachów. W ciągu ułamka sekundy przefiltrował je pan pod kątem różnych kryteriów – czasu, który gotowy jestem panu poświęcić, własnych oporów przed wyznaniem, że w ostatnich dniach ojciec ślinił się jak niemowlę, i tak dalej. I zorganizował to pan w spójną opowieść z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem. Problem polega na tym, że przy okazji uciekł się pan do mnóstwa uproszczeń. Włączył pan elementy dopowiedziane przez matkę, których osobiście pan nie doświadczył, albo użyczył ojcu twarzy widniejącej na zdjęciu zrobionym pięć lat wcześniej. Te błędy nie są celowe, mają jedynie na celu sprawić, by pańska historia stała się bardziej interesująca, nadać jej dramatyzmu w takim sensie, w jakim rozumieją to producenci z Hollywood.

Tego nie mogłem mu darować.

– Co pan insynuuje? Że ofiarowałem ojcu guza mózgu, bo to lepsze niż mniej spektakularny rak jelita?

– Nie, na pewno nie mówimy o przekłamaniami takich rozmiarów. Ale idę o zakład, że niektóre szczegóły pan wyolbrzymił albo że zsyntezował pan kilka rozmów w jedną wymianę zdań. Pańska opowieść płynie sama, drogi chłopcze. Symbole wyłaniają się z niej w zbyt oczywisty sposób. Pański ojciec używa języka nieprzystającego do człowieka o jego pozycji społecznej. I wątpię, żeby w dzień jego śmierci cały czas padało. Jeszcze raz, kiedy to było?

– Dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Na Islandii deszcz nie jest niczym niezwykłym o tej porze roku – oświadczyłem z nutką agresji w głosie.

– Nie wątpię. Opowiadał pan już kiedyś tę historię?

– Raz, w dwa tysiące pierwszym.

– Dobrze pan pamięta tamten dzień?

– No tak. Dlaczego?

– Zdaje pan sobie sprawę, prawda, że niektóre spośród fragmentów, które przed chwilą do pana wróciły, nie pochodzą z czasów pańskiego dzieciństwa, ale dotyczą tych zwierzeń sprzed siedmiu lat?

– Do czego pan zmierza?

– Do tego: wspomnienia z siedemdziesiątego dziewiątego wymieszały się w pańskiej korze mózgowej z tymi z dwa tysiące pierwszego. Mimo najlepszych chęci nie uda się panu ich rozdzielić.

– Co za różnica, skoro chodzi o to samo wydarzenie początkowe?

Vargas gwizdnął przez zęby, jakbym wpadł w pułapkę na żółtodzioba.

– Ależ, Sliv, panu nie muszę przecież tłumaczyć, że istnieje tysiąc sposobów na opowiedzenie jednej historii. Słowa, których użył pan w dwa tysiące pierwszym z pewnością odcisnęły piętno na oryginalnej historii...

– Proszę mi dać przykład.

Zastanawiał się kilka chwil.

– Przed chwilą określił pan ojca jako „wychudzonego”. „Zostały z niego sama skóra i kości”, dorzucił pan.

– To prawda, dużo stracił na wadze.

– Powiedziałyby pan, że był tak samo chudy, jak więźniowie obozów

koncentracyjnych?

– Nie, nie aż tak.

– W takim razie niewątpliwie uczciwiej byłoby stwierdzić, że pański ojciec „zeszczupłał” albo „zmizerniał”. Być może zresztą słowa te przysły panu do głowy, kiedy układał pan zdanie, tak samo jak „zmarniał” czy „zwałtał”. Wolał pan jednak wyrażenie „skóra i kości”, o wiele bardziej obrazowe, i mniejsza z tym, że nieco odbiega ono od rzeczywistości. Gdyby nie fakt, że właśnie omawiamy to *ad nauseam*, w nadchodzących tygodniach stałaby się rzecz interesująca. Sformułowanie „skóra i kości” zapisałoby się w pańskiej pamięci i ponieważ jest tak potężne, stopniowo zaraziłoby inne pańskie wspomnienia. Za kilka miesięcy od dziś zapewniałby pan, że pewnego razu zaskoczył ojca, gdy ten ubierał się w łazience. „To było potworne, widać mu było wszystkie żebra”, mówiłby pan całkiem szczerze.

– Nigdy w życiu!

– Dowiedziono, że sposób opowiadania danej anegdoty zależy od przyjęcia, jakie zgotują jej kolejni słuchacze. Historia stopniowo się wzbogaca, aby po pięciu lub dziesięciu powtórzeniach utwalić się w formie, która często ma jedynie luźny związek z wersją oryginalną.

– Zgodzę się z panem, że niektórzy bajarze pozwalają sobie na luźne traktowanie rzeczywistości, ale pan posuwa się za daleko: myli pan pamięć z wyobraźnią.

– Każde wspomnienie jest odtworzeniem, Sliv. Niech się pan nad tym zastanowi, a zrozumie pan, że mam rację.

Na widok mojej sceptycznej miny Vargas się odezwał:

– Ale sądzę, że nie pokonał pan pięciu tysięcy kilometrów, żeby pobierać lekcje z zakresu nauk kognitywnych. Co pana sprowadza?

Ta cecha w Kolumbijczyku uderzała; był tak pewny siebie, że wszelki sprzeciw spływał po nim jak po kaczce.

– Chciałbym prosić o pozwolenie na wykorzystanie tej historii, której nie chciało Hollywood.

– Której? Tej o kurze domowej, która ląduje w Białym Domu? Pewnie, sprawi mi pan przyjemność.

Coś mu przyszło do głowy.

– Chwileczkę, przemierzył pan Atlantyk, żeby zadać mi to pytanie?

– Tak jest.

– Mógł pan zaoszczędzić sobie kłopotu. Nie znoszę, kiedy dobry scenariusz pleśnieje w szufladzie. To do jakiejś teczki?

– Coś w tym rodzaju – odparłem, zamierzając wyjawić najmniej, jak się da.

Vargas zerknął na zegarek, ogromny wojskowy chronometr, który z pewnością pełnił również funkcję kompasu, wysokościomierza i stacji meteorologicznej.

– Nadszedł czas, by najechać na Polskę – ogłosił.

Serdecznie uścisnąłem mu dłoń.

– Dziękuję za wszystko, Ignacio.

– Szkoda, bo mógłbym panu opowiedzieć o perypetiach podczas kampanii, o jakich sobie roiłem.

– Nie będzie takiej potrzeby – zapewniłem, błyskając uśmiechem. – Sam mam kilka pomysłów w tym temacie.

12

Potrzebowałem nieprzespanej nocy, żeby zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia wzburzyły mnie twierdzenia Vargasa. Nazajutrz tak zmodyfikowałem trasę podróży powrotnej, by zaliczyć międzylądowanie na Islandii.

Po przybyciu do Reykjavíku wczesnym popołudniem złapałem niewielki samolot do Húsavíku i przez całą drogę wyglądałem zamyślony przez okienko. Karl Tomasson, taksówkarz, który zgarnął mnie z lotniska, uczył się razem ze mną od przedszkola aż do ostatniej klasy. Przekazał mi wieści o wspólnych znajomych. Połowa została w Húsavíku, pozostali pracowali w Reykjavíku, głównie w finansach.

Nie zadałem sobie trudu, aby uprzedzić matkę o moim przyjeździe, bo wiedziałem, że nigdy nie oddała się za bardzo od swoich owiec. Właśnie zresztą wracała z pastwiska, kiedy Karl wysadził mnie przed domem.

– Mój Boże! – wykrzyknęła na mój widok. – Straciłeś pracę?

– A skąd, co też ci przyszło do głowy? – odparłem, uśmiechając się na ten typowy przejaw matczynej troski. – Jutro mam spotkanie w Reykjavíku i skorzystałem z okazji, żeby ci zrobić niespodziankę.

– Ach tak, niespodziankę! No to już, odłóż manele i pomóż mi trochę.

Przez dobry kwadrans asystowałem jej przy zapędzaniu zwierząt do owczarni. Machinalnie przekazywała mi wieści to o jednym, to o drugim, jakby mówiła o dalekich kuzynach.

– Dach ci przecieka – zauważyłem, wskazując kałużę wody pośród słomy.

– Wiem. Gröndal chce ode mnie trzydzieści tysięcy koron za naprawę.

– A to złodziej!

– Oto co się dzieje, kiedy w domu nie ma mężczyzn – odrzekła, wzruszając ramionami.

Nalegała, że upichci mi smaczną kolację. Kiedy siadaliśmy do stołu, przypomniałem sobie, że na lotnisku kupiłem butelkę islandzkiej wódki filtrowanej przy użyciu lawy. Mama pokręciła głową z dezaprobatą.

- Trzeba ją było wstawić do lodówki.
- Nie szkodzi. Wypijesz moje zdrowie.

Skomplementowałem matkę za jej saltkjöt, potrawę z solonego mięsa, której przygotowanie opanowała do perfekcji i którą podawała z zupą grochową, a później spytałem, co słyhać u mojej starszej siostry Mathilde mieszkającej w Niemczech.

- Och, niezbyt dobrze.
- Jak to? Mieli rozbudowywać dom. Prace się opóźniają?
- Gdyby tylko o to chodziło. Tak czy siak, nie mają ich z czego opłacić.
- Co ty mówisz? Sądziłem, że Horst bardzo dobrze zarabia.
- Horst stracił pracę, jeśli już musisz wszystko wiedzieć.

Choć nie darzyłem szwagra wielką sympatią, wiedziałem, że swojemu pracodawcy, konglomeratowi chemicznemu z Bremy, oddany jest całą duszą i ciałem. Fakt, że został zwolniony, mnie zaskoczył.

- Co mieli mu do zarzucenia?
- Z tego, co zrozumiałam, nic takiego. Zamknęli cały jego oddział.
- Znając niemieckie firmy, dostanie porządną odprawę.
- Która ledwie starczy na pokrycie długów. Dwa lata temu pożyczył dwieście tysięcy euro, żeby kupić akcje Rheinbergera. Od tego czasu kurs spadł trzykrotnie.
- Przecież to straszne! Czemu mi nic nie powiedziałaś?
- Myślałam, że jesteś na bieżąco. Nigdy nie rozmawiasz z Mathilde?
- Nie, niezbyt często. Ale mam ją na Facebooku.

Matka otworzyła szerzej oczy.

- To taki serwis internetowy, który pozwala na dzielenie się informacjami o sobie z przyjaciółmi – wyjaśniłem.
- No, ale kto by się chwalił, że znalazł się pod kreską? – spytała nie bez racji.
- Jeszcze w zeszłym tygodniu opublikowała zdjęcie Uliego na zawodach judo z podpisem: „Już tak samo duży jak tata”.
- Byle nie był tak samo głupi...

Gdy spostrzegłem, że mama zamierza podać deser, poszedłem po butelkę reyki. Godzina pobytu w zamrażarce dobrze jej zrobiła.

Zachwyciwszy się jak należy tartą z rabarbarem, skierowałem rozmowę na interesujący mnie temat.

- Brakuje mi taty.
- A co ja mam powiedzieć – westchnęła matka.
- W maju przyszłego roku wypada trzydziesta rocznica jego śmierci. Dobrze by było zorganizować coś z Mathilde i ciocią Lindą.
- Tak planowałam. No, to nalej mi kieliszek.
- Chętnie spełniłem prośbę, licząc, że alkohol rozwiąże jej język.
- Wczoraj natknąłem się na tłumaczenie *Sagi o Eryku Rudym*. Pamiętasz, jak każdego ranka tata recytował jej pierwszy rozdział?
- Mama wzięła łyk wódki.
- Mmm, doskonała. Co ty mówisz?
- *Saga o Eryku Rudym*. Tata recytował jej fragmenty przy goleniu.
- Pierwsze słyszę. Nie znosił literatury; jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby skazywał się na takie męczarnie.
- A jednak, widziałem go. W waszej łazience. Upewniał się, czy guz nie wpłynął na jego pamięć.
- Słuchaj, skoro go widziałeś, to go widziałeś. Nie twierdzę, że nigdy nie zadeklamował jakiegoś wersu poezji, ale gdyby codziennie rano recytował *Sagę o Eryku Rudym*, to bym o tym wiedziała. Prawie zawsze byłam przy nim, kiedy się golił, zwłaszcza pod koniec.
- Dojadłem swój kawałek tarty, zastanawiając się nad nowym kątem natarcia.
- Czym się zajmował w ostatnich miesiącach?
- Wstawał wcześnie, żeby mi pomóc przy owcach. Czasami jeszcze się potem kładł, ale najczęściej szedł do bistra spotkać się z kolegami.
- Przestał pracować?
- Gdy tylko poznał diagnozę. Lekarz dał mu dwa miesiące życia. Wziął urlop. Bank do samego końca przelewał mu wypłatę, plus równowartość rocznej pensji po jego śmierci.
- Lubił też majsterkować, prawda?
- A, to tak! Powtarzał: „Niech mnie wszyscy diabli, jeśli zostawię wam dom w złym stanie”. W przeciągu kilku tygodni porębał dość drewna, żeby starczyło na całą zimę, położył nowe pokrycie dachu, ocieplił strych, naprawił dzwonek...
- Pomalował płot? – podsunałem.
- Nie. To zrobił poprzedniego lata z Magnusem.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie. Położyli trzy warstwy, ojciec mówił, że farba nigdy się nie zużyje.

– A wieczorami chadzał do klubu modelarzy...

– W poniedziałki i czwartki. Za nic by tego nie przegapił.

– Zabierał mnie ze sobą, prawda?

– Może okazjonalnie, na pewno nie za każdym razem. Nie, kiedy nazajutrz musiałeś iść do szkoły.

– A jednak wyraźnie pamiętam, że Ben Kristjansson pożyczył mi pincetę i że tłumaczył mi, jak mieszać kolory.

– To dlatego, że wróciłeś do klubu po śmierci ojca. Chciałeś dokończyć jego kolekcję samolotów z drugiej wojny światowej. Nie wytrzymałeś nawet miesiąca.

Teraz przypominałem sobie ten epizod. Pewnego wieczoru ze łzami w oczach wyznałem matce, że modele mnie nudzą. Pogłaskała mnie po włosach i kazała wybrać ulubiony model z kolekcji taty, spitfire'a, którego ustawiliśmy na regale w moim pokoju.

Dolałem nam reyki.

– Wiesz, często myślę o tacie w kontekście mojej pracy.

– Jak to?

– Podróżuję do wszystkich zakątków świata. Za to tata nigdy nie wyjechał z Islandii. Kazał mi obiecać, że będę szukał sensu życia i że jeśli któregoś dnia go znajdę, podzielę się z nim tym odkryciem.

Matka spojrzała na mój kieliszek, potem na butelkę, a potem znowu na kieliszek.

– Twój ojciec i poszukiwanie sensu życia? A to dobre!

– Czemu tak mówisz? – obruszyłem się.

– Bo to był najprostszy człowiek, jakiego spotkałam. Nigdy nie zajrzał do książki, nie modlił się i z całą pewnością nie łamał sobie głowy nad szczęściem czy życiem po śmierci.

– Można być prostym, a mimo to chcieć nadać sens swojemu istnieniu.

– Być może, ale ja tu mówię o twoim ojcu. A twojego ojca interesowała wyłącznie rodzina, granie w karty z kolegami i sklejanie modeli w swojej pracowni. Ja chyba wiem najlepiej, prawda?

Przyznałem jej w tej kwestii rację, sięgając po ostatnią deskę ratunku.

– Pamiętasz, jaka była pogoda, kiedy tata umarł?

– To był piękny dzień – odparła matka bez wahania. – Ojciec został w łóżku i skarżył się na ból głowy. Koło południa zapadł w śpiączkę. Od razu zrozumiałam, że to koniec, że już się nie obudzi. Wyjrzałam przez okno. Słońce świeciło jasno. Pomyślałam sobie: „Jak można umrzeć w taki dzień?”.

Ogłuszony dopiłem wódkę i poszedłem się położyć, wymawiając się wczesną godziną jutrzejszego lotu. Umyłem zęby niczym automat i wślizgnąłem się pod kołdrę, do łóżka, w którym spałem jako nastolatek. Vargas miał rację na całej linii. Jego szacunki odnośnie do prawdziwości mojej historii – między jedną trzecią a połową – nagle wydały się łaskawe. Ojciec nie recytował *Sagi o Eryku Rudym przy goleniu*. Nie pomalował płotu przed śmiercią. Nie zabierał mnie do swojego klubu modelarzy. W dzień jego odejścia nie padało. A moje zmienne stany ducha zostałyby przez niego łagodnie wyśmiane.

W półmroku przyglądałem się makiecie spitfire’ a. Podwozie miał wysunięte, był gotowy do startu. Pomyślałem o wszystkich okazjach, przy których pamięć o ojcu decydowała o moich wyborach, począwszy od dnia, kiedy zapisałem się na studia z geografii, wciąż jeszcze naiwnie licząc, że zostanę odkrywcą, a skończywszy na niezliczonych letnich miesiącach, gdy z plecakiem na plecach wyruszałem eksplorować świat. Ileż to razy czerpałem z tego wspomnienia siłę, by w dalszym ciągu wspinać się ku szczytom KFR-u, gdzie czekał na mnie, o czym byłem przekonany, sekret istnienia?

Jak mogłem aż tak się pomylić? Znałem odpowiedź Vargasa: ponieważ wierzyłem w to, w co miałem ochotę wierzyć. Ponieważ moja historia o Eryku Rudym była bardziej zjawiskowa i zapadająca w pamięć niż rzeczywistość. Ponieważ w filmach zawsze pada, kiedy bohater jest smutny. Woląłem myśleć, że to nie jedyne wyjaśnienie, że pragnąłem przedłużyć więź łączącą mnie z ojcem, akcentując porozumienie między nami i transponując na niego własne metafizyczne dociekania.

Nieczuły ton matki mnie zranił. Wychwyciłem w nim nutkę pogardy dla zmarłego i jego niegroźnych sposobów spędzania czasu. Kto wie, jakie historie ona sobie opowiada? Ile różnych wersji przetestowała na przestrzeni lat na swoich owcach?

Nagle do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Złapałem komputer i zacząłem szukać, jaka była pogoda w Húsavíku 23 marca 1979 roku. Informacji nie dało się

zdobyć, w każdym razie nie za darmo. Jedna ze stron podawała uśrednione dane z Reykjavíku z ostatnich trzydziestu lat. Temperatura wynosiła zwykle między pięć a dziesięć stopni Celsjusza, a niebo było bezchmurne przeciętnie przez cztery godziny dziennie. Co jeszcze ciekawsze, jakaś forma opadów zdarzała się siedem razy na dziesięć. Zamknąłem laptopa zamyślony. Lena dysponowała kompletnymi danymi NOAA; ona wygrzebie mi tę informację.

Tej nocy śniłem o Vargasie, Vargasie, który odzyskał sylwetkę młodego człowieka i wygłaszał wykład na temat funkcjonowania pamięci, a widownia pękała w szwach. Dźgając wskaźnikiem ogromną ilustrację mózgu, dobitnie wyłuszczał swoje credo: „Prawda nie istnieje”.

13

Dotarłem do Reykjavíku nad ranem. Mój samolot do Toronto startował dopiero późnym popołudniem, więc początkowo planowałem zaskoczyć Gunnara w biurze. Zamiast tego, pod wpływem impulsu, postanowiłem wybrać się do stowarzyszenia Niny.

Jöro zajmowało otwartą przestrzeń biurową w całkiem nowym budynku z widokiem na jezioro Tjörnin. Drzwi zdobiła olbrzymia fotografia wodospadu Seljalandsfoss. Sekretarka poprosiła mnie, żebym zaczekał. Wziąłem do ręki raport roczny organizacji, ale nie dobrnąłem dalej niż do drugiej strony. Obawiałem się reakcji Niny po porażce związanej z naszym ostatnim spotkaniem. Na szczęście mój niepokój nie trwał długo; Nina, ubrana w szary spodniom, zeszła po mnie do recepcji. Wyglądała na zachwyconą moim widokiem.

– No naprawdę, prawdziwe z nas papużki nierozłączki – zażartowała, całując mnie w policzek. – Na długo do nas zawitałeś?

– Na kilka godzin. Skorzystałem z przerwy między dwoma spotkaniami.

– Dobrze zrobiłeś. Chodź, przedstawię cię ekipie.

Większość personelu siedziała w rozległym open space z oknami wychodzącymi na jezioro. Sięgające ramienia ścianki rozgraniczały to, co Nina nazywała działami.

– Po lewej masz dział zasobów. Czyli forsa, kapucha czy jak tam jeszcze. Pia zajmuje się prywatnymi donatorami, Linda instytucjami. Po prawej dział badań: Jonas, Viktor i Anita publikują raporty, które umacniają naszą reputację. Sami czuwają nad layoutem. Jonas zajmuje się też stroną internetową. Tu mamy nasz największy dział, operacje islandzkie. Snorri, Gisli, Birigitta, Mika, Markus, Yrsa i... – Policzyła na palcach. – I Tinna. Do tego w przypadku niektórych misji trzeba dodać wolontariuszy. Przy operacjach międzynarodowych pracuje mniej, bo zaledwie trzy osoby: Karl, Leo i Eva. A w głębi nasi informatyczni geniusze: Hermann, Pall i Albert. To oni centralizują dane klimatyczne, zarządzają subskrypcjami na magazyny naukowe i utrzymują naszą sieć korespondentów

z całego świata.

– Pozwolisz? – spytałem, gdy już się oddalała. – Jestem ciekawy.

Przedstawiła mnie kolegom z działu informatycznego. Hermann, ich szef, nosił bokobrody sięgające aż do szczęki. Pall i Albert, dwa miśki o tłustych włosach, wyglądali, jakby spędzali nocę w przebraniach druidów, dziesiątkując trolle w sieci.

– Przypuszczam, że macie dostęp do danych NOAA, Narodowej Agencji do spraw Oceanów i Atmosfery – rzuciłem.

– No jasne – sapnął Albert.

– Moglibyście wyświadczyć mi przysługę i sprawdzić, jaka była pogoda w Húsavíku dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku?

– NOAA uznaje tylko jedną stację meteorologiczną na Islandii, w Reykjavíku – poinformował Hermann.

– W takim razie chyba będę musiał się zadowolić pogodą w Reykjavíku.

– A skąd – sprzeciwił się Albert. – Zajrzymy do bazy islandzkiego biura meteorologicznego. To zajmie kilka minut. Przyjdę do pana z informacją, gdy tylko ją zdobędę.

Nina zaprowadziła mnie do sali konferencyjnej, której ściany wytapetowane były okładkami raportów Jöro wydanymi od momentu jego powstania w latach osiemdziesiątych.

– Co się stało w siedemdziesiątym dziewiątym? – spytała, zamykając drzwi.

– Za długo by opowiadać. Tak właściwie, to nie pokazałaś mi swojego gabinetu.

Nina skłoniła się z uśmiechem od ucha do ucha.

– To dlatego, że masz przed sobą przyszłą szefową Jöro.

– Tak szybko?

– No tak. Rada nadzorcza straciła zaufanie do Johanny. Odchodzi w piątek. Wczoraj dostałam nominację na jej stanowisko.

– Gratulacje. No proszę, nie traciłaś czasu. Rada nakreśliła ci główne cele?

– Przekonałam ich, żebyśmy skoncentrowali działania na ociepleniu klimatu.

Postarałem się ukryć rozczarowanie. To stanowiło dokładną odwrotność moich rad sprzed dwóch tygodni.

– Nie boisz się, że porywacie się z motyką na słońce?

– Tak, jasne – przyznała, siadając. – Ale poprzenosimy personel. Zamierzam zmniejszyć liczbę działów z pięciu do trzech, połączyć dział badań z informatycznym pod zwierzchnictwem Hermanna, przegrupować operacje i położyć większy nacisk na zbiórkę funduszy, informując o ryzyku dla islandzkich krajobrazów, jakie niesie ze sobą ocieplenie.

Nagle do głowy przyszło mi te sześć procent zmodyfikowanych danych z bazy temperatur NOAA.

– Powiedz, Nino, zanim rzucisz się w wir tej przygody, jesteś pewna, że planeta się ogrzewa?

Spojrzała na mnie, jakbym spytał, czy Ziemia obraca się wokół Słońca.

– Co za pytanie! Oczywiście.

– I jesteś pewna, że to ocieplenie można w jakiejś części – nie, w większej części – przypisać działalności człowieka?

– Ależ tak. Dane nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości.

– A gdybym ci powiedział, że dane zostały sfałszowane?

Nadałem temu pytaniu żartobliwy ton, ale Nina zbyt dobrze mnie znała, aby dać się zwieść.

– Do czego zmierzasz?

– Najpierw odpowiedz, proszę.

– Jak chcesz. Wszyscy wiedzą, że Chińczycy i duże amerykańskie firmy manipulują liczbami, żeby móc w dalszym ciągu spokojnie zanieczyszczać środowisko.

– A ekolodzy? Oni nie majstrują przy liczbach?

– Żartujesz? Jesteśmy na to zbyt sentymentalni, zbyt naiwni!

– A jednak wy też macie informatyków. Czy sądzisz, że Albert nie byłby w stanie włamać się na serwery NOAA?

– Zostaw Alberta w spokoju – odparowała Nina porywczo. – Nikt tutaj nigdzie się nie włamuje.

– Tutaj nie, ale gdzie indziej? Nie powiesz mi chyba, że wśród tysięcy stowarzyszeń na całym świecie nie znajdzie się ani jedno gotowe złamać prawo, żeby promować swoje ideały?

– Ach, doprowadzasz mnie do szału! No po prostu nie wierzę. A poza tym, jeśli jakiemuś stowarzyszeniu udało się zhakować serwery amerykańskiego rządu, żeby

pożonglować danymi na temat temperatury, to chylę przed nim czoła!

– A więc popierasz falsyfikację danych, pod warunkiem że służy ona twoim interesom, przepraszam: pod warunkiem że idzie w parze z twoimi przekonaniem?

Ostrożnie doбираłem słowa, aby na tyle, na ile to możliwe, utrzymać konwersację w racjonalnym tonie.

– Czemu nie, skoro obóz przeciwnika też to robi? – spytała hardo Nina.

– Czegoś tu nie rozumiem. Zdajesz się przyjmować za pewnik, że dane są fałszywe; te same dane, które przed chwilą przywołałaś na potwierdzenie faktu, że planeta się ogrzewa. Zapytam więc ponownie: co sprawia, że jesteś taka pewna swego?

Pojmując, że wcale się nie wygłupiam, Nina również zaczęła ważyć odpowiedzi.

– W przeciągu wieku średnia temperatura na powierzchni ziemi podniosła się o osiem dziesiątych stopnia. Dwie trzecie tego procesu miało miejsce w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

– Nie chciałbym się powtarzać, ale nie jestem pewien, czy możemy całkowicie zawierzyć tym liczbom. W grę wchodzi tyle czynników: precyzyjność urządzeń, sumienność personelu mierzącego temperaturę, gęstość zaludnienia w pobliżu stacji, nie wspominając już o ewentualnych falsyfikacjach ze strony jednego czy drugiego obozu. To nam daje mnóstwo niepewnych elementów jak na osiem dziesiątych stopnia wzrostu...

– Liczy się kierunek zmian – odparła Nina. – Każda dekada od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego okazuje się cieplejsza od poprzedniej i tendencja ta przyspiesza.

– Rzeczywiście, tak by się zdawało. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że między tysiąc dziewięćset czterdziestym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym temperatura spadła – wymówiłem to słowo z naciskiem – o dwie dziesiąte stopnia. Że w prehistorii albo, żeby nie szukać za daleko, w średniowieczu zdarzały się dużo bardziej spektakularne wariacje. Co nasuwa drugie pytanie: przyznam, że wygląda na to, iż od czterdziestu lat planeta się ogrzewa...

– Miło mi to słyszeć – rzuciła Nina lodowatym tonem.

– Ale co pozwala ci twierdzić, że to człowiek jest przyczyną tego ocieplenia? W końcu w połowie dwudziestego wieku temperatura się obniżyła, podczas gdy ilość dwutlenku węgla uwalnianego do atmosfery stale rosła.

– Naukowcy udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że istnieje związek pomiędzy ociepleniem atmosferycznym a uwalnianiem dwutlenku węgla. Gazy cieplarniane pochłaniają część promieniowania podczerwonego emitowanego przez powierzchnię Ziemi.

– Po pierwsze, nie ufam sformułowaniom w rodzaju „ponad wszelką wątpliwość”. Naukowiec, który przestaje wątpić, powinien zmienić zawód. Zastanawia mnie też, czemu nikt bardziej nie zainteresuje się innymi przyczynami ocieplenia. Z tego, co wiem, temperatura nie czekała na pojawienie się *homo sapiens*, żeby wahać się jak jo-jo.

Nina powstrzymała ripostę, która cisnęła jej się na usta. Zamiast tego szukała sposobu na zakończenie tej jałowej dyskusji.

– Nie rozumiem cię, Sliv. Wierzysz w globalne ocieplenie, nie zaprzeczaj, często o tym rozmawialiśmy. Wiesz także, że działalność człowieka jest czynnikiem, który ma na nie wpływ, z pewnością nie jedynym, a jednak istotnym. Do czego więc zmierzasz? Masz mi za złe, że nie skoncentrowałam wysiłków Jöro na Islandii?

Machnąłem ręką na znak, że nie w tym leży problem.

– Niepokoję się, widząc, że wszyscy – ty, media, władze – całkiem zatracacie zmysł krytyczny. Publikujecie badania, które potwierdzają wasze przekonania, i skazujecie na zapomnienie te, które im przeczą. Posuwacie się do tych samych procederów, które wyrzucacie swoim adwersarzom. Co gorsza, drwicie z badaczy – a są tacy – którzy mają czelność podważać wasze teorie, i zapominacie, że od Galileusza po Darwina to zawsze dialog umożliwiał postęp naukowy. Największa zbrodnia tych heretyków polega na tym, że finansuje ich przemysł paliwowy. Ale czy mają jakiś wybór, skoro z obawy przed tym, co ludzie powiedzą, żadna instytucja publiczna nie subwencjonuje ich pracy?

Umilkłem, zdyszany; poza tym skończyły mi się argumenty.

– A niech mnie! – wykrzyknęła Nina. – To poważniejsze, niż sądziłam.

– Przepraszam, nie chciałem rozpoczynać sporu.

– Ale to zrobiłeś. Tak, Albercie?

Mój ulubiony druid stał w drzwiach z kartką w ręku.

– Mam dla pana tę informację – oznajmił. – Siedem stopni, duże zachmurzenie.

– Deszcz? – spytałem.

- Ani kropelki. Oto raport.
- Wyglądasz na rozczarowanego – zauważyła Nina, kiedy Albert sobie poszedł.
- Miałeś nadzieję, że było cieplej? Chłodniej? Powiedz słowo, a sfalszujemy dla ciebie te dane.

Nie odpowiedziałem. Byłem zbyt zajęty studiowaniem wykazu. Najwięcej chmur było między jedenastą a czternastą, a więc w momencie, kiedy w swoich wspomnieniach matka podziwiała słońce. A zatem oboje się pomyliliśmy. Wsunąłem kartkę do kieszeni. Nina podjęła:

- Rozumiem twoje argumenty. W normalnych czasach mogłabym się z nimi zgodzić. Ale w naszej epoce nie ma nic normalnego. To jest wojna, Sliv.
- To nie jest wojna.
- Oczywiście, że tak! Jeśli się ich nie przypilnuje, przemysłowcy w przeciągu dwudziestu lat stopią pokrywę lodową!
- A wy?! Wy najchętniej cofnęlibyście nas do epoki kamienia łupanego!
- Uważaj, zaczynasz przejaskrawiać!
- A ty się pławisz w przejaskrawieniach!

Oboje zamilkliśmy. Nie byłem dumny z kierunku, jaki obrała rozmowa. Czemu, pomimo dobrych chęci i wspólnej formacji, dialog okazywał się tak trudny? Od odpowiedzi na to pytanie zależała, jak podpowiadała mi intuicja, przyszłość KFR-u.

- Wybacz – rzuciłem. – Mówiłem, zanim zdążyłem pomyśleć.
- Ja tak samo – przyznała Nina, najwyraźniej równie skruszona jak ja. – Ale przeciwny obóz...
- Tu właśnie się mylisz – przerwałem jej. – Nie ma żadnych obozów. Ponieważ wszyscy jedziemy na jednym wózku, wszyscy w równym stopniu mamy prawo głosu. Wyświadczasz ludzkości przysługę, ukazując niebezpieczeństwa ocieplenia klimatycznego, przemysłowcy robią to samo, kontestując wasze hipotezy.
- Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? – spytała Nina kpiąco.
- Ani trochę. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym naukowcy, zaniepokojeni spadkiem temperatury, zapowiadali nową epokę lodowcową. W oczywisty sposób się mylili, ale wcale nie przyniosło im to ujmy. Miejmy trochę więcej szacunku dla tych, którzy myślą inaczej niż my.
- Amen.

Gdy zbierałem się do wyjścia, przycisnąłem do siebie Ninę nieco mocniej, niż to było konieczne.

– Bez urazy?

– Bez urazy – odrzekła. – Dzięki, że wpadłeś.

Siedząc w poczekalni linii Icelandair i zabijając czas pozostały do odlotu, wszedłem na profil Mathilde na Facebooku, nie znalazłem jednak najmniejszej wzmianki o jej kłopotach finansowych czy sytuacji zawodowej Horsta. Czytając przepelnione optymizmem wiadomości, które publikowała prawie codziennie (cytaty, linki do artykułów z gazet, zdjęcia potraw, które ugotowała poprzedniego dnia...), nikt by nie zgadł, że wraz z mężem przechodzą teraz trudny okres. Najwidoczniej moja siostra wolała historię o spełnionej pani domu niż o zadłużonej mieszkance przedmieść. Trudno ją było za to winić.

Poświęciłem kilka dni na przygotowanie się do wystąpienia przed Komitetem, pragnąc zdobyć poparcie dla pierwszego znaczącego projektu, który miałem zaprezentować od czasu swojej nominacji. Martin Suarez, który najwyraźniej czuł się coraz bardziej nieswojo z prodemokratyczną inklinacją KFR-u, prześladował mnie aż do windy, żebym dał mu chociaż przedsmak mojego planu.

Pierwsza połowa spotkania, jak już się przyjęło, dotyczyła śledztwa w sprawie zaginionej walizki. Zidentyfikowaliśmy trzeciego pasażera, urzędnika brytyjskiego ministerstwa gospodarki, który miał otwarte rachunki u kilku bukmacherów. Przeszukanie jego domu oraz samochodu nie przyniosło żadnych rezultatów. Trzy ekipy na zmianę deptały mu po piętach.

Przedstawiwszy plan pozwalający na skrócenie czasu ewakuacji jednostek o jedną trzecią, Zoe zmroziła towarzystwo, wyjaśniając, że wraz z Suarezem pracują nad mechanizmem wypłacania odszkodowań agentom na wypadek rozpadu KFR-u. Ching zaprotestowała gestem.

– Jeśli nie przygotujemy się na najgorsze, uchybimy naszym obowiązkom – usprawiedliwił się Yakoub. – Ale dość spekulacji, oddaję głos Slivowi.

Odchrząknąłem bardziej podenerwowany, niż bym się spodziewał.

– Przede wszystkim – zacząłem – proponuję przerwać akcje mające na celu umocnienie wizerunku Obamy. Postawimy wszystko na jedną kartę w wielkiej rozgrywce dotyczącej Johna McCaina.

Suarez, który dopiero co się rozluźnił, natychmiast spał się na nowo.

– Dobrze znamy główne zarzuty kierowane w stronę republikańskich kandydatów: nadmierny konserwatyzm w tematach społecznych takich jak aborcja, pozwolenie na noszenie broni czy małżeństwa homoseksualne, ich bigoteria, brak kultury oraz otwarcia na resztę świata.

– Szkicujesz nam portret pamięciowy Busha? – spytała Zoe ironicznie.

Nawet Suarez zdobył się na rozbawiony grymas. Ciągnąłem:

– Ogólnie rzecz biorąc, McCain nie wpisuje się w ten schemat. To daje mu

sympatię pewnej części elektoratu demokratów, ale za cenę niemałej wrogości ze strony własnej partii. Ewangelicka prawica, która w swoim czasie zapewniła sukces Bushowi, żąda pewnych gwarancji, zanim udzieli mu poparcia. Ponieważ McCain nie może z dnia na dzień zmienić swojego wizerunku publicznego, można się spodziewać, że na współkandydata wybierze kogoś bardziej ortodoksyjnego od siebie.

– Na współkandydata czy współkandydatkę? – zapytała Onobanjo.

– Eksperti faktycznie stawiają na współkandydatkę. Startując przeciwko młodemu, czarnoskóremu politykowi, McCain nie może zdecydować się na któregoś z kolei białego mężczyznę, bo wyjdzie na błąd. Mój pomysł polega na wyszperaniu kobiety uosabiającej wszystkie wymienione przeze mnie wady i wprowadzeniu jej w krąg światła reflektorów, tak aby skłonić McCaina, żeby zaproponował jej wiceprezydenturę.

Koledzy i koleżanki przez kilka chwil wazyli implikacje mojego projektu. Zoe zareagowała jako pierwsza:

– Zamierzasz znaleźć pobożniśnię, która strzela z karabinu i nigdy nie wyjeżdża ze Stanów Zjednoczonych, a następnie pchnąć ją w ramiona McCaina? Czy tak?

– Taki jest zamysł, tak.

– Głupia koza na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych?

– Osobiście wolę termin „głupia gęś”.

Na widok zdumionej miny Zoe dorzuciłem:

– Mówię całkiem poważnie. Zrozumcie mnie dobrze, celem nie jest sprawienie, by zwyciężył ten czy tamten obóz, ale poddanie McCaina testowi charakteru. Sądzę, że jak wszyscy tu obecni, mam ogromny szacunek dla jego dokonań. Bezdyskusyjnie zasługuje na miejsce w finale. Teraz przyszedł moment, aby udowodnić, że potrafi wyzwolić się spod dyktatury partii i skierować swoje rządy ku środkowi.

– McCain nie sprzymierzy się z idiotką – oświadczył Suarez. – Nawet po to, żeby zapewnić sobie przychylność ewangelickiej prawicy.

– A zatem nie ma pan najmniejszego powodu do niepokoju: wybierze godnego współkandydata i zgodnie z literą prawa pokona Obamę czwartego listopada.

Zrobiłem pauzę, a potem kontynuowałem:

– Za to jeśli wpadnie w pułapkę i zdecyduje się na naszą gąskę, chyba wszyscy

zgodzimy się co do tego, że nie zasługuje, aby zostać wybranym.

Skonstruowałem swoją argumentację w taki sposób, żeby nie dało się jej podważyć. I faktycznie, koledzy i koleżanki nie wyrazili żadnych zastrzeżeń.

– A niech mnie, nie widzę nic złego w wystawieniu na próbę kandydata, który pretenduje do najwyższego stanowiska na świecie – oznajmiła Zoe. – Ale czemu zawieszać działania na rzecz Obamy?

– Już bardzo mu pomogliśmy, rozbijając w pył pogłoski o jego miejscu urodzenia. Nie chciałbym, żeby odrzucono go na podstawie takiej głupoty. Ale teraz sam musi udowodnić, że jest materiałem na głowę państwa.

– Nie zapominajmy, że on też może się pomylić przy wyborze współkandydata – wtrąciła Ching. – Głosuję za planem Sliva. Jest śmiały i niekonwencjonalny, właśnie takie lubię.

Oblałem się rumieńcem na ten komplement; Shao nieczęsto rozdzielała pochwały.

– Ja tak samo – powiedział Yakoub. – Będziesz potrzebował większego budżetu?

– Właściwie nie jestem pewien. Jak sam powiedziałeś, nie chodzi tu o kupowanie wyborów.

– Sophie? – zagadnął Yakoub.

– Pomysł jest genialny... – zaczęła Onobanjo.

– Ale?

– Ale zbyt ryzykowny jak na mój gust. Na przestrzeni kilku kolejnych miesięcy cały świat utkwili oczy w Waszyngtonie. Amerykańskie media są szczególnie wyczulone na wszystko, co w mniejszym lub większym stopniu wygląda na manipulację. To samo tyczy się Partii Republikańskiej, która, o czym nie muszę wam przypominać, ma historyczne związki z tajnymi służbami. I wreszcie przyznaję, że fakt, iż ciągle nie mamy żadnych wieści o tej przekłetej walizce, wpędza mnie w paranoję. To nie jest dobry moment, by zaczynać operację na wielką skalę, zwłaszcza w kraju, który tak się troszczy o swoje bezpieczeństwo wewnętrzne.

– Co sugerujesz? – chciała wiedzieć Ching. – Wprowadzić KFR w stan uspienia, póki nie znajdziemy neseseru?

– A końca tej sprawy nie widać – wymamrotała Zoe.

– Oczywiście, że nie. Nie widzę jedynie sensu w kuszeniu losu. Po co pogarszać

sytuację? FBI wybaczy nam nadszarpnięcie wizerunku Nikiego Laudy, ale nie sfalszowanie wyborów prezydenckich.

Yakoub ponownie zabrał głos.

– Wierz mi, Sophie, gdyby FBI podejrzewało nasze istnienie, wszyscy bylibyśmy już za kratkami. Wiesz, że podzielam twój niepokój, ale nie możemy siedzieć z założonymi rękami, czekając, aż niebezpieczeństwo minie. Równie dobrze moglibyśmy od razu zwinąć interes.

– Czy możemy chociaż powierzyć to zadanie naszym najlepszym falsyfikatorom?

– Co powiesz na Lenę Thorsen?

– Doskonały wybór.

Pełen ulgi, że wywinął się tak małym kosztem, Yakoub zwrócił się do tego, który stał się przyczyną całego zamieszania.

– Martin? – rzucił.

– Głosuję za planem Sliva. Ale będę zdziwiony, jeśli zadziała. – Odwrócił się do mnie. – Tak czy owak, dziękuję, że pomógł nam pan rozwiązać ten piekielny dylemat.

Skłoniłem się, a w środku szalałem z zachwytem. Mój projekt przeszedł ogromną większością głosów.

– Ostatnia rzecz – odezwałem się. – Sugeruję, żeby Maga Donogurai pozostała na czele przedsięwzięcia.

– Zgoda – odrzekł Yakoub. – Choć, znając ją, twój pomysł jej się nie spodoba.

*

– Kpisz sobie ze mnie? – wybuchła Maga, kiedy przedstawiłem jej mój plan.

Sądziłem, że dobrze zrobię, zapraszając ją do jej ulubionej indonezyjskiej restauracji. Niestety, potrzeba było czegoś więcej niż szaszłyki z kalmara, żeby ją zmiękczyć. Gestem dałem jej znak, by ściszyła głos.

– Nie podważam słuszności twojego planu – podjęła. – Ale dlaczego kobieta? W Partii Republikańskiej nie brakuje mężczyzn odpowiadających twojemu opisowi.

– To sprawa czystej logiki. McCain nie może sobie pozwolić na mandat złożony z dwóch białych mężczyzn. Wybór czarnoskórego byłby zbyt prostacki, a Latynos

sprawiłby, że w centrum kampanii znalazłaby się delikatna kwestia imigracji. To musi być kobieta.

– Zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji mnie stawiasz? Zaakceptowałam tę misję, bo chciałam doprowadzić do wyboru Hillary Clinton, a teraz prosisz mnie, żebym rzuciła jakąś kobietę na pastwę opinii publicznej!

– Celem było doprowadzenie do wyboru kandydata demokratów – sprostowałam – a nie Hillary.

– Zasługiwała na inwestyturę!

– Obama pokonał ją zgodnie z zasadami.

– Bo mu pomogliśmy.

– Zdaje mi się, że nie szczeniśmy wysiłków na rzecz Hillary. To nie moja wina, że wyborcom demokratów nie przypadły do gustu jej osobiste ataki na Obamę. Po kiego grzyba wypominała mu na przykład związki z tym ekstremistycznym pastorem?

– Musiała jakoś utemperować szaleńcze poparcie dla Obamy, które rozpanoszyło się w mediach.

– Publicznie szkalując członka własnej partii?

– On mówił o niej dużo gorsze rzeczy! – zaprotestowała Maga.

To była nieprawda. Czy to ze względu na autentyczne przekonania, czy z obawy, by nie zrazić do siebie wyborców z nostalgią wspominających Billa Clintona, Obama powstrzymał się przed bezpośrednimi atakami na Hillary. Ale Maga, choć śledziła kampanię z pierwszego rzędu, nie zamierzała tego przyznać.

Wyjąłem z torby około dziesięciu fotografii.

– Przeprowadziłem wstępną selekcję kandydatek – oznajmiłem, popychając je w stronę Magi. – Masz czterdzieści osiem godzin, żeby wybrać najlepszą.

– Chciałeś powiedzieć: najgorszą!

Wrzuciła zdjęcia do torebki i wstała.

– Nie jestem już głodna – oświadczyła. – Wracam do biura.

*

Dwa dni później Maga wkroczyła do mojego gabinetu w towarzystwie Youssefa, który pomógł jej w skompilowaniu teczki na temat każdej kandydatki. Żeby nieco rozładować napięcie, poprosiłem Lenę, by do nas dołączyła.

Maga i Lena ani trochę się nie lubiły. Maga nie wiedziała, że przed pięcioma laty Lena zdradziła KFR. Mimo sympatii, jaką instynktownie żywiła wobec kobiet piastujących wysokie stanowiska, Lenę uważała za złośliwą karierowiczkę i nigdy nie wybaczyła jej, że w Córdoba pograżyła mnie, by ratować własną skórę. Lena z kolei była nieufna wobec ślepego feminizmu Magi; lubiła przypominać, że fanatyzm leżał u źródeł wszystkich największych błędów w historii KFR-u.

– Proponuję, żebyśmy przejrzyli profile – zaczęła Maga, podłączając swój komputer do projektora. – Z góry przepraszam, jeśli moje teczki wydadzą się niekompletne. Czterdzieści osiem godzin to za mało, żeby sporządzić spis wszystkich wad niektórych kandydatek.

Wymówiła to ostatnie zdanie, patrząc mi prosto w oczy. Postanowiłem nie rozpoczynać z nią bitwy, na którą się przygotowała.

– Słuchamy.

– Olympia Snowe – oznajmiła Maga, gdy na ścianie pojawiło się zdjęcie brunetki o śródziemnomorskiej urodzie i promiennym uśmiechu. – Sześćdziesiąt jeden lat. Straciła matkę w wieku dziewięciu lat, ojca rok później. Wychowywali ją ciotka i wuj, on także odszedł przedwcześnie po ciężkiej chorobie. Bardzo wcześnie poślubiła polityka Johna Snowe’a, który z kolei zginął kilka lat później w wypadku samochodowym. W wieku dwudziestu sześciu lat została wybrana na zwolniony przez niego fotel. Jest to pierwsze z długiej serii zwycięstw, które zaprowadzą ją aż na stanowisko senatora stanu Maine. W ciągu trzydziestu pięciu lat ani razu nie przegrała wyborów. Znana ze swojej otwartości i gotowości do kompromisu, często wymieniana jest jako jeden z najlepszych senatorów w Stanach Zjednoczonych. Otrzymała nagrodę...

– Dziękujemy, Mago, to wystarczy – przerwałem jej. – Następna.

– Carly Fiorina. – Zdjęcie pięknej blondynki na mównicy. – Pięćdziesiąt trzy lata. Posiada dyplom z filozofii i mediewistyki z Uniwersytetu Stanforda. Zapisuje się na prawo na UCLA, po pół roku rezygnuje, przez pewien czas pracuje jako recepcjonistka i wyjeżdża do Włoch uczyć angielskiego. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych zatrudnia się w AT&T, gdzie pnie się po szczeblach kariery. W wieku czterdziestu pięciu lat zostaje dyrektorką HP i tym samym pierwszą kobietą kierującą jedną z dwudziestu największych firm w kraju...

– Akcjonariusze wypchnęli ją za drzwi, prawda?

– Tak jest. Straszliwa porażka, z której podnosi się, wstępując do rady administracyjnej Światowego Forum Ekonomicznego i pisząc książkę zachęcającą młode kobiety do wkraczania w świat biznesu, która wkrótce staje się bestsellerem.

– Następna – westchnąłem.

– Meg Withman. Pięćdziesiąt jeden lat. Pomińmy przeciętną karierę akademicką (na Princeton i Harvardzie) oraz kierownicze stanowiska w firmach Procter & Gamble, Bain czy w wytwórni Walta Disneya i skupmy się na eBayu, gdzie zainteresowana zjawiała się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy to przedsiębiorstwo liczyło sobie zaledwie trzydziestu pracowników. W przeciągu dziewięciu lat Whitman zwiększyła zatrudnienie pięćsetkrotnie, a sprzedaż pomnożyła dwa tysiące razy. Mimo że nigdy nie robiła tajemnicy ze swojego zamiaru zaangażowania się w politykę, Partia Republikańska aż do chwili obecnej uznawała ją za zbyt inteligentną i charyzmatyczną, żeby znaleźć jej okręg.

– Nie musisz dodawać nic więcej, Mago.

– Chcecie inną? Sarah Palin. Czterdzieści cztery lata...

– Czekał – powstrzymałem ją. – To prawdziwe zdjęcie?

Widniejący na ścianie portret przedstawiał młodą kobietę o iskrzącym uśmiechu ubraną w dżinsy i bluzę z kapturem. Było w tej twarzy – w szczerym spojrzeniu, okularach w cienkich oprawkach, brązowych włosach spiętych w kok – coś jakby znajomego. Miałem wrażenie, że niezliczone razy zetknąłem się z tą kobietą: przy okienku na lotnisku, pchającą wózek w supermarkecie albo kibicującą synowi na skraju boiska piłki nożnej.

– Oczywiście. Chcesz zobaczyć więcej?

– Bardzo proszę.

Wyświetliła jeszcze z dziesięć fotek, które potwierdziły moje pierwsze odczucie. Na scenie, usadowiona na kanapie, śmiejąca się do rozpuku, Palin wyglądała naturalnie w każdych okolicznościach.

– Przypomina dyrektorkę przedszkola bliźniaczek – stwierdził Youssef.

– Trudno o kogoś bardziej fotogenicznego – oceniła Lena.

– Dalej, Mago – zachęciłem. – Opowiedz nam o niej.

– Urodziła się w Idaho, dorastała na Alasce. Jako dwudziestolatka została miss Wasilli, a w konkursie na miss Alaski zajęła trzecie miejsce.

– Niewiarygodne – wymamrotałem.

– Te osiągnięcia zapewniły jej stypendium na Uniwersytecie w Moskwie, gdzie spędziła rok.

– Mieszkała w Rosji? – spytałem, nie wiedząc, czy rozpaczać, czy świętować z tego powodu.

– W Moskwie w Idaho – uściśliła Maga. – Z dyplomem z komunikacji w kieszeni wyszła za mąż za ukochanego ze szczenięcych lat, Todda Palina, amatora wędkowania z łodzi.

– Coraz lepiej.

– W latach dziewięćdziesiątych została wybrana radczynią miejską, a następnie panią burmistrz Wasilli, liczącej siedem tysięcy mieszkańców miejsciny na obrzeżach Anchorage. Wtedy rozpoczęła żywiołową kampanię modernizacji infrastruktury, sfinansowaną dzięki podniesieniu podatku VAT. W dwa tysiące czwartym nie zawahała się przed złożeniem rezygnacji z uczestnictwa w komisji monitorującej wydobycie ropy i gazu na Alasce, aby ujawnić konszachty przedsiębiorców energetycznych z prawodawcami. Dwa lata później zostaje pierwszą kobietą gubernatorem Alaski, a przy tym najmłodszą z kandydatów kiedykolwiek wybranych na to stanowisko.

– Na jakich tematach oparła kampanię? – spytała Lena.

– Na etyce i reformie życia publicznego.

– A jeśli chodzi o rodzinę?

– Nadal pozostaje w związku małżeńskim z Toddem. Mają pięcioro dzieci, trzy dziewczynki i dwóch chłopców. Ostatni maluch, który dopiero co się urodził, cierpi na zespół Downa.

– Wspaniale! – wykrzyknąłem z myślą, że nawet Vargas nie poważąłyby się na coś takiego.

– Prawda? – rzuciła Maga, nie zdając sobie sprawy, że ekscytujemy się z dwóch różnych powodów.

– Podejrzewam, że radzisz ją również odrzucić...

– Oczywiście. Choć raz jakiejś kobiecie udaje się pogodzić błyskotliwą karierę ze zharmonizowanym życiem rodzinnym... Co więcej, cieszy się niebosięźnym wskaźnikiem popularności: dziewięćdziesiąt procent obywateli Alaski ma o niej pochlebne zdanie – to najlepszy wynik wśród wszystkich urzędujących gubernatorów...

Youssef wszedł jej w słowo.

– Pozwolisz, Mago, że ci przerwę? Pomijasz pewne mniej chwalebne szczegóły. Palin nigdy nie wyjeżdżała ze Stanów Zjednoczonych, aż do zeszłego roku, kiedy to wyprawiła się do Kuwejtu. Będąc zwolenniczką powszechnego dostępu do broni palnej oraz kary śmierci jak większość republikanów, promuje również nauczanie w szkołach kreacjonizmu i sprzeciwia się aborcji, nawet w przypadku gwałtu czy kazirodztwa. Wiele czynników wskazuje na jej zażartą bigoterię. Zmusiła na przykład do dymisji urzędnika, który popierał jej poprzednika, i próbowała usunąć z biblioteki w Wasilli książki niezgodne z jej przekonaniem.

– Nigdy nie utrzymywałam, że jest ideałem – broniła się Mago.

– A ja, że nie ma żadnych zalet – odparł Youssef z niezmałym spokojem. – Czuwam tylko nad tym, by Sliv dysponował pełnym zestawem informacji.

Wróciliśmy do listy. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, Mago z coraz większą furią tłumaczyła nam, czemu jej protegowane nigdy nie nadadzą się do naszych celów. Zbyt przenikliwe, zbyt uczciwe, zbyt układne: Mago sięgała do wyraźnie niewyczerpanych rezerw epitetów. Doszedłem wobec tego do wniosku, że Partia Republikańska dysponuje wyjątkowym narybkiem i że nawet jeśli kobiety nie zwyciężą w tych wyborach, to już na pewno wygrają wszystkie następne.

Kiedy skreśliliśmy ostatnią pretendentkę, poprosiłem Magę, żeby ponownie załadowała zdjęcie Palin.

– Popelniasz błąd – powiedziała, niechętnie wypełniając moje polecenie. – Ta kobieta ma wiele zalet.

– Oczywiście. Nie została gubernatorką przez przypadek. Cała trudność polega na wybraniu kandydatki na tyle wiarygodnej, by skusiła McCaina, i na tyle lichej, żeby za jej sprawą przegrał wybory.

– Więcej much złapie się na kroplę miodu niż na beczkę octu – dodała Lena, najwyraźniej bardzo tego dnia gadatliwa.

Odwróciłem się do Youssefa.

– Co ty o tym myślisz?

– To ona, bez cienia wątpliwości.

– Lena?

– Też tak sędzę. Będziemy się świetnie bawić.

Mago przewierciła Dunkę wzrokiem.

– No cóż, wygląda na to, że mamy zwyciężczynię – ogłosiłem.

Youssef i Maga wymienili spojrzenia. On skinął głową, a Maga podjęła:

– Na pewno zrozumiesz, jeśli poproszę, żebyś zwolnił mnie z obowiązków.

Wybacz, Sliv, ale nie poświęcę się ośmieszeniu kobiety, której dokonania mogłabym postawić za wzór moim córkom.

– Doceniam twoją szczerść – odparłem. – Youssefie, podzielasz skrupuły żony?

– Nie do tego stopnia, żebym nie mógł z miejsca jej zastąpić.

– Jak myślisz, kiedy będziesz w stanie przedstawić mi plan działania?

– Pod koniec tygodnia.

– Zastanawiałeś się nad kryptonimem misji?

– Tak. Operacja „Miss USA” – odrzekł Youssef z drapieżnym uśmiechem.

Nie dziwił mnie fakt, że Youssef gotów jest poświęcić kobietę, by doprowadzić do wyboru czarnoskórego. Miał tak samo niezłomne przekonania jak małżonka, nawet jeśli wyrażał je w mniej gwałtowny sposób. Martwiłem się jednak o jego sen: sądząc po wścieklej minie Magi, przez długie tygodnie będzie spał na kanapie

15

Nabraliśmy zwyczaju, z Youssefem i Leną, spotkania się rano w moim gabinecie. Podzieliliśmy się rolami: ja obmyślałem scenariusz, Lena fałszowała, a Youssef wykorzystywał swoje kontakty w Waszyngtonie – nawiązane w okresie, gdy pracował w Banku Światowym – by śledzić McCaina i w miarę możliwości wpływać na stan jego ducha.

Ze względu na osobliwości amerykańskiego systemu wyborczego decyzja o dopisaniu do listy współkandydata ma więcej wspólnego ze sztuką niż z nauką. Prezydent nie zostaje wybrany w powszechnym i bezpośrednim głosowaniu, ale przez Kolegium Elektorów wyznaczonych przez każdy z pięćdziesięciu stanów. Wszystkie stany poza Nebraską i Maine przyznają komplet przysługujących im głosów elektorskich kandydatowi, który osiągnie najlepszy wynik przy urnach. Ten mechanizm, znany jako *winner takes all*, a stworzony z myślą o poszanowaniu niezależności poszczególnych stanów i powiększeniu skali zwycięstw, przynosi nieraz nieoczekiwane konsekwencje. I tak John Quincy Adams w 1824 roku został wybrany, choć uzyskał mniej głosów niż jego przeciwnik. W mniej odległej przeszłości, w roku 2000, pięćset trzydzieści siedem głosów (stanowiących niespełna jedną setną procenta wszystkich oddanych głosów) wystarczyło, by przeciągnąć Florydę do republikańskiego obozu, co otworzyło George’owi W. Bushowi drzwi do Białego Domu.

Krytycy systemu zarzucają, że jest on na wskroś nieegalitarny. I faktycznie, w Wyoming przypada jeden elektor na sto czterdzieści trzy tysiące mieszkańców, podczas gdy w stanach Nowy Jork, Kalifornia czy Floryda stosunek ten zbliża się do jednego elektora na pięćset tysięcy obywateli. Co gorsza, wybory rozgrywają się wokół ograniczonej liczby stanów, tak zwanych *swing states*, ochrzczonech tym mianem ze względu na skłonność do zmieniania stron. Pozostałe stany, których preferencje znane są od początku kampanii, są całkowicie ignorowane. Przykładowo zarówno demokraci, jak i republikanie już od dawna nie prowadzą kampanii w Teksasie, który głosuje prawicowo od 1980 roku. Oba obozy wolą

skoncentrować wysiłki oraz cenne dolary na strategicznych stanach, takich jak Ohio czy Floryda.

W tym kontekście wybór współkandydata może okazać się decydujący. Nie ma mowy o wyznaczeniu przyjaciela, którego zna się od trzydziestu lat, czy wiernego towarzysza na politycznej ścieżce: w przypadku zwycięstwa taka osoba otrzyma raczej stanowisko szefa sztabu (*chief of staff*). Idealny pretendent powinien trzymać w ręku klucz do jednego, a nawet dwóch stanów lub niwelować słabości kandydata. Reagan wybrał Busha Seniora przez wzgląd na jego doświadczenie w kwestiach dyplomacji oraz wywiadu. Osiem lat wcześniej Walter Mondale spróbował pokerowej zagrywki, wyznaczając kobietę, a do tego katoliczkę. Jednak dowód na to, że nie istnieje żaden sprawdzony przepis, dał Bill Clinton, który wprowadził prognostyków w zdumienie, sprzymierzając się z Alem Gore'em, kongresmanem z Południa, jeszcze młodszym i jeszcze bardziej niedoświadczonym od siebie.

Według sondaży z początkiem czerwca bieżącego roku McCain pozostawał o cztery do sześciu punktów procentowych w tyle za Obamą; była to istotna różnica, która ustabilizowała się przed paroma tygodniami i kazała obserwatorom twierdzić, że republikanin będzie musiał spróbować jakiegoś zdecydowanego ruchu, żeby znaleźć się z powrotem w siodle. McCainowi, ze względu na jego zuchwałość oraz pogardę dla konwenansów, przezwanemu The Maverick („wolny duch”), było to z pewnością nie w smak. W przeciwieństwie do Martina bez trudu potrafiłem sobie wyobrazić, że McCain postawi na Palin. Na nasze nieszczęście senator z Arizony dysponował także innymi, prawie równie śmiałymi możliwościami. Mógł nominować Meg Withman, której młodość oraz sukces biznesowy cudownie dopełniłyby jego profil, Condoleezę Rice, która aż do tej pory opierała się jego awansom, starego kumpla Joe'ego Liebermana, senatora demokratów pochodzącego z Connecticut, a także wielu innych, o których z założenia nie wiedziałem nawet, jak się nazywają. Te rozważania jedynie umocniły moją strategię: musieliśmy sprawić, by Palin wydała się oczywistą kandydatką, zapewnić jej taką popularność wśród zaangażowanych osób, że McCainowi nie pozostanie nic innego, jak tylko zawezwać ją, by stanęła u jego boku.

To Youssef jako pierwszy zauważył, do jakiego stopnia Palin idealnie uzupełnia McCain. On był mężczyzną, ona kobietą. On był jednym z najstarszych

kandydatów w historii, ona jedną z najmłodszych. On zdążył odchowić siedmioro dzieci, ona wciąż karmiła piersią. On był rozwiedziony i nie bardzo przejmował się religią, ona cytowała Biblię przy każdej okazji. On poślubił dziedziczkę fortuny, ona technika w przemyśle paliwowym. On miał umiarkowane poglądy na tematy społeczne, ona uosabiała surowe wytyczne partii. On był senatorem z południowego stanu, ona gubernatorką stanu na Północy. On swego czasu sporo podróżował, ona nigdy nie wystawiła nosa za drzwi. On służył w armii, ona pracowała jako telewizyjna komentatorka sportowa.

– To nie wystarczy – stwierdziłem, wstając, i zacząłem przechadzać się tam i z powrotem. – McCain zdecyduje zgodnie z podszeptami serca, a nie będzie odhaczał punkty z listy.

– „Palin: z przejmującego zimna” – zażartowała Lena, nawiązując do tytułu powieści Johna Le Carrégo. – Gubernatorka znikąd.

– Wiedziałaś, że jej mąż jest mistrzem w wyścigach skuterów śnieżnych? – spytał Youssef.

– Tak – odparła Lena. – Wygląda na to, że jest na Alasce prawdziwą gwiazdą. Zatrzymałem się gwałtownie.

– Leno, możesz powtórzyć, co przed chwilą powiedziałaś?

– O Todzie Palinie?

– Nie, wcześniej.

– „Palin: z przejmującego zimna”? To nie było zbyt śmieszne.

– Nie, rzeczywiście, ale podsunęłaś mi pewien pomysł. Zrobimy z Palin kandydatkę, od której bije chłodny powiew świeżości, w każdym możliwym znaczeniu tego wyrażenia.

– To też niezbyt zabawne – zauważyła Lena.

Usiadłem z powrotem, żeby zebrać myśli.

– Alaska skłania do marzeń: śnieg, krajobrazy, fiordy...

– Platformy wiertnicze, nieludzkie zimno, słońce zachodzące w południe – uzupełnił Youssef.

– Pozwól mi skończyć. Alaska to także ogromne przestrzenie, siedemset tysięcy mieszkańców na obszarze wielkości Sudanu i prawie tyle samo sztuk broni palnej. To trochę jak Dziki Zachód, ziemia pionierów i twardzieli, którzy wybrali Palin, aby wskazywała im drogę.

Youssef wydał z siebie powątpiewające „hmm”, które nie powstrzymało mnie przed kontynuowaniem:

– Mogłeś chwilę temu wspomnieć o jeszcze jednej rozbieżności. McCain urzęduje w Waszyngtonie, Palin nigdy nie postawiła tam stopy. Podczas gdy on targuje się z oponentami, ona otwiera szkoły i daje sygnał do startu na wyścigach psich zaprzęgów.

– To przewaga bycia gubernatorem nad byciem parlamentarzystą – skomentowała Lena.

– Zgadza się. Capra obnażał cynizm królujący w kuluarach Kapitolu w epoce, gdy Amerykanie szczyli się jeszcze swoją demokracją. Dziś niespełna dwadzieścia procent z nich deklaruje zadowolenie z funkcjonowania Kongresu. Czy tego chcą, czy nie, Obama i McCain ponoszą część odpowiedzialności za tę klęskę.

– Kandydatka, od której wieje świeżością – powtórzył Youssef. – Tak, rozumiem, co masz na myśli.

– Nie tylko nie będzie się usprawiedliwiała ze swojego braku doświadczenia, będzie się nim chełpiła – ciągnąłem. – Jeśli ktoś wypomni jej ignorancję w kwestiach militarnych, odpowie mu, że wychowała pięcioro dzieci i piecze pyszną tartę z jagodami.

– Że poluje na karibu przy minus trzydziestu stopniach Celsjusza – włączyła się Lena.

– Że uczy niepełnosprawne dzieci katechezy – dodał Youssef, by nie okazać się gorszym.

*

Zabrałem się do pracy. Nasi dokumentaliści wydrukowali mi kilka tysięcy stron mniej lub bardziej bezpośrednio związanych z Palin, począwszy od klasowych albumów pamiątkowych z liceum, poprzez sprawozdania z posiedzeń rady miejskiej Wasilli, a skończywszy na jej przemówieniach z wyborów miss Alaski. Przez tydzień czytałem jak szalenciec, podkreślając interesujące fragmenty i klasyfikując je według tematów. Wychodziłem z biura dopiero koło północy, by wrócić do domu i zwalić się na łóżko. Poprosiłem Yakouba, żeby zwolnił mnie z obowiązków przy innych teczkach, co argumentowałem tym, że nie zbliżę się do

prawdy na temat Palin inaczej, niż tylko wtedy, kiedy całkowicie pograżę się w jej świecie.

Kiedy odniosłem wrażenie, że zaczynają mi się zarysowywać kontury postaci, wziąłem się do redakcji hybrydycznej opowieści, tworu w połowie drogi między scenariuszem a fabularyzowaną biografią. Główne jej filary wywodziły się z życiorysu Palin, bo nie było oczywiście mowy o modyfikowaniu jej daty urodzenia, liczby dzieci czy wyników osiągniętych w wyborach. Co do reszty, dysponowałem większą swobodą, niż mogłoby się wydawać, gdyż media nie wzięły jeszcze życia pani gubernator Alaski pod lupę. Wciąż był czas, by wymyślić anegdoty czy cytaty bez większego ryzyka zostania zdemaskowanym. Pozostawało zdecydować, w którą pójść stronę.

Nieraz walczyłem z pokusą, żeby zadzwonić do Vargasa i poprosić o możliwość rzucenia okiem na projekt, który przedłożył studiom filmowym, ale zgadywałem, że tylko zboczyłbym z kursu. Kolumbijczyk zaczynał od zera, podczas gdy ja musiałem tworzyć przy całej masie ograniczeń. On nakreślił idealną krzywą – którą profesjonaliści nazywają łukiem narracyjnym – a później poumieszczał na niej kamienie milowe. Kamienie milowe z życia Palin już istniały; moja rola polegała na wymyśleniu porywającej historii, która połączyłaby je w całość, albo – innymi słowy – na wyłuskaniu spośród setek podkreślonych przez siebie anegdotek zdarzeń wyznaczających kierunek trajektorii Palin.

Najważniejsze z nich, byłem o tym przekonany, miało miejsce w 2003 roku, kiedy jako była burmistrz Wasilli, załamana porażką w republikańskich prawyborach na stanowisko gubernatora, zgodziła się przewodniczyć komisji monitorującej wydobywanie ropy i gazu na Alasce, organowi odpowiedzialnemu za kontrolowanie, czy stanowe zasoby węglowodorów eksploatowane są w warunkach jak największego bezpieczeństwa i rentowności. Urząd, wraz z pensją w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie, uchodził za synekurę. Jeśli ci, którzy wyznaczyli Palin na tę posadę, pokładali nadzieję w jej ignorancji w kwestiach paliwowych, to srogo się przeliczyli. Nowa szefowa szybko obnażyła pełną konszachtów atmosferę, która panowała w komisji. Szczególnie jeden członek zasłużył sobie na krytykę z jej strony: Randy Ruedrich, szef Partii Republikańskiej na Alasce, który uparcie nie zgadzał się na ujawnienie majątku, do czego zobowiązywały go statuty stowarzyszenia. Palin powiadomiła prokuratora. Ten nie

tylko odmówił interwencji, lecz także zagroził burzycielce konsekwencjami w przypadku, gdyby powtórzyła swoje zarzuty publicznie. Bynajmniej nie onieśmielona Palin zwróciła się do gubernatora stanu, Franka Murkowskiego, który również odprawił ją z kwitkiem. W styczniu 2004 roku, w niespełna dwanaście miesięcy po objęciu stanowiska, Palin złożyła rezygnację i wniosła skargę przeciwko Ruederichowi, który został ukarany dwunastoma tysiącami dolarów grzywny. Po intensywnej kampanii medialnej udało się jej także doprowadzić do dymisji prokuratora, który usiłował zatuszować skandal.

Postanowiłem osnuć moją historię wokół tego epizodu, podczas którego Sarah Palin pokazała swoją prawdziwą twarz. Udział w konkursach piękności czy przynależność do drużyny koszykówki w czasach licealnych dowodziły, że nigdy nie brakowało jej pewności siebie. Także stawienie się w ratuszu Wasilli wymagało od niej potężnej odwagi, w przypadku porażki ryzykowała bowiem upokorzeniem lub wywleczeniem na światło dzienne spraw z życia prywatnego. A zatem owego styczniowego dnia 2004 roku Palin przekroczyła dodatkowo pewien próg: przedłożyła dobro Alaski nad własne źródło utrzymania i publicznie zaatakowała dwóch mężczyzn, którzy byli władni zniszczyć jej karierę. Poszła za głosem serca i zwyciężyła. Bóg był po jej stronie.

Co prowadziło mnie do drugiej osi historii: Palin urodziła się, by rządzić. Kierująca się instynktem, zdecydowana, niedająca do siebie przystępu wątpliwościom, była jednocześnie gubernatorką i chorążym Alaski, jej czempionką i muzą. Amerykanie chętnie porównywali swój kraj do ziemi obiecanej, a my zamierzaliśmy dać im prorokinię.

I na koniec Palin była ludzka: modelowa matka, która pomimo nadmiernie napiętego harmonogramu nigdy nie przegapiła występu czy meczu hokeja swoich dzieci. W przeciwieństwie do tylu odciętych od rzeczywistości polityków czerpała energię ze swojej lokalnej społeczności, piekąc ciasteczka na odpust parafialny i na zmianę z innymi rodzicami zawożąc młodzież na kręgle w sobotnie wieczory. George W. Bush przedstawiał się jako pełen współczucia konserwatysta, Palin mogła sobie darować apologię na własny temat: w końcu wychowywała dziecko z zespołem Downa.

Pierwszy szkic mojej historii zajmował sześć stron. Zabrałem się do wzmacniania go anegdotami, zarówno prawdziwymi, jak i zmyślonymi. Było, na

przykład, potwierdzone, że Palin, dzięki swojej energii i żądzy zwycięstwa, poprowadziła licealną drużynę koszykówki z Wasilli do zdobycia tytułu mistrza regionu. Kto jednak pamiętał, że koleżanki z drużyny nadały jej przydomek Sarah Barakuda, kiedy pomimo złamanej kostki postanowiła zagrać w decydującym meczu? Mówiło się o niej, że ma bliski kontakt z ludźmi: dowodziłem tego, twierdząc, że jako młoda pani burmistrz Wasilli co tydzień dzwoniła do jednego z wyborców, którego nazwisko losowała na chybił trafił z wazonu. Może i wypowiedziała się przeciwko ochronie białuch, ale za to miała uroczego shih tzu imieniem Daisy, który przynosił jej kapcie. Pewien dziennikarz z „Anchorage Daily” zastanawiał się, czy pani gubernator rozważała aborcję, gdy dowiedziała się, że jej nienarodzony syn cierpi na zespół Downa. Podsunąłem jej odpowiedź: przez krótką chwilę o tym myślała, ale potem odzyskała ducha i prosiła Boga, by dał jej siłę, żeby mogła pokochać to dziecko.

Wygładzoną wersję zaniósłem do przeczytania Youssefowi i Lenie.

– Mogłeś zaznaczyć, co jest prawdą, a co nie – wymruczał Youssef, kiedy skończył. – Jak, twoim zdaniem, mamy się w tym połapać?

– Od teraz wszystko jest prawdą – oznajmiłem.

– Puszczanie w obieg anegdot będzie dziecinnie proste – oceniła Lena.

– Jaki masz plan działania?

– Na przykład w przypadku przydomka Sarah Barakuda założę bloga prowadzonego przez dawną zawodniczkę z drużyny. Zatroszczę się o indeksowanie strony tak, żeby dziennikarz wyszukujący hasło „Palin koszykówka” automatycznie się na nią natknął. Za miesiąc od teraz ta historia okrąży wszystkie media.

– A co z dzieckiem?

– To jeszcze łatwiejsze: stworzę wojującą antyaborcjonistkę, która anonimowo powtórzy słowa Palin. I znowu, sukces murowany, a ryzyko minimalne.

Po raz kolejny uderzył mnie sposób, w jaki internet odmienił nasz zawód. Lena mówiła o osiągnięciu za pomocą kilku kliknięć czegoś, co za moich początków w KFR-ze wymagałoby długich tygodni pracy.

– Co innego stanowi wyzwanie – podjęła Lena. – Konwencja republikanów rozpoczyna się pierwszego września, co oznacza, że McCain dokona wyboru w ciągu lata. Nie mamy tego luksusu, żeby móc czekać, aż pierwsze pochlebne

portrety Palin ukażą się w prasie. Ruch musi powstać oddolnie.

– Jak?

– Zaufaj mi – uśmiechnęła się Lena.

*

Od połowy czerwca w sieci zaczęły pojawiać się dziesiątki blogów żądających dla Sarah Palin mandatu republikańskiego. Ich autorzy wywodzili się ze wszystkich warstw społecznych: były nauczycielki, farmerzy, kierowcy tirów, emeryci, a nawet pilot helikoptera. Jedna czwarta z nich mieszkała na Alasce, pozostali w innych, tradycyjnie republikańskich stanach, takich jak Teksas, Utah czy Wyoming. Własnymi słowami oświadczały, że mają powyżej uszu pewnej koncepcji prowadzenia polityki. „Dość mam rozrzutników z Waszyngtonu!” – skarżył się Mike K. z Bisby w Arizonie. „Zmniejszyć podatki tym, co pracują, i odebrać świadczenia tym, co zbijają baki” – proponowała Betty A. z Blackfoot w Idaho. Kraj stanął na głowie: więźniowie mieszkali lepiej niż żołnierze wysłani do Iraku; co poniektóre stany poszerzały prawa homoseksualistów i odbierały przywileje rodzinom; w ostatnim filmie Quentina Tarantino na ekranie pokazano dziewięćdziesiąt trupów. Według Ryana H. z Norman w Oklahomie, istniało lekarstwo na cały ten bajzel: „Świeża kobieta, bliska ludziom, przyzwyczajona do zarządzania i podejmowania trudnych decyzji”. I wszyscy oni wyśpiewywali pochwały na cześć Palin, grzebiąc w przygotowanej przeze mnie dokumentacji. Sarah Barakuda pożre na surowo wszystkie rekiny z Waszyngtonu. Żartuje sobie z dostarczycielami pizzy. Pokochała swojego syna Triga w chwili, w której otworzył oczy.

W tym samym czasie setki internautów pozostawiały wiadomości na forach konserwatystów. „Dlaczego nikt nie wspomina o Sarah Palin jako o potencjalnej współkandydatce Johna McCaina?” – pytała na przykład LadyBug11. „Palin ma najlepszy profil spośród wszystkich kandydatów: wychowuje piątkę dzieci, jednocześnie kierując największym stanem USA, jest dożywotnią członkinią NRA² i kilkakrotnie wypowiadała się przeciwko aborcji, bez względu na okoliczności” – argumentował Colt144. „Ronald Reagan doczekał się następczyni” – zauważał Bluegrass7. Mimo że zmobilizowały się dziesiątki agentów w Bangalurze, te frenetyczne zabiegi stanowiły zaledwie pierwszy etap poruszenia. Pod koniec

miesiąca Lena, kryjąc się za całą masą służących kamuflażowi stowarzyszeń, utworzyła stronę internetową palinnawiceprezydenta.org, która wymieniała „sto jeden powodów, by wysłać Sarah do Waszyngtonu”, wśród których znalazły się takie uzasadnienia jak: „Przebiega maraton w mniej niż cztery godziny” (numer trzydzieści siedem) albo: „Jej syn Track służy w wojsku” (numer dziewięćdziesiąt jeden). Strona zawierała również entuzjastyczną biografię, galerię najlepszych fotek Palin krążących po internecie oraz zakładkę „darowizny”, która była prawdziwą racją bytu całego przedsięwzięcia.

Ponieważ Palin nie powołała komitetu poparcia mogącego przyjmować datki, nasza witryna obiecywała rozdzielać zebrane kwoty w równej części pomiędzy Partię Republikańską a kampanię McCaina. Zamiast zdecydować się na cotygodniową płatność, Lena sprytnie napisała skrypt przekierowujący fundusze w czasie rzeczywistym. Z początkiem lipca skarbnicy McCaina zaczęli odnotowywać setki donacji dziennie, jednych bardziej, innych mniej hojnych, wszystkich za to opatrzonych tą samą wiadomością: „Wybierzcie Palin na wiceprezydenta”. Według sieci kontaktów Youssefa Steve Schmidt, szef kampanii, natychmiast zażądał listy wyszczególniającej atuty oraz braki gubernatorki Alaski. Niepokoił się też pochodzeniem funduszy. Prawo ogranicza kwotę, jaką obywatel może przekazać kandydatowi, do dwóch tysięcy sześciuset dolarów i obliguje tego ostatniego do prowadzenia rejestru otrzymanych sum. Mimo że żaden z naszych datków nie sięgał górnej granicy, nawet najmniejsze podejrzenie jakiejś niezgodności przerażało członków sztabu. Ktoś z zespołu McCaina zostawił na naszej stronie wiadomość, prosząc, byśmy przekazali mu dokładne dane naszych ofiarodawców. Lena nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć, a jedynie zwiększyła częstotliwość przelewów, stawiając republikanów przed piekielnym dylematem: przyjąć pieniądze i zaryzykować ściągnięciem sobie na głowy gromów ze strony Komisji Wyborczej czy je zwrócić i patrzeć, jak Obama zyskuje jeszcze większą przewagę. Zatrzymali pieniądze.

Naturalnie KFR stał za ogromną większością dotacji. Zarządzające legendami biuro w Berlinie kontrolowało prawie milion fikcyjnych kont na portalach społecznościowych, przez cały boży dzień tkając między nimi sieć coraz bliższych powiązań, co dodawało im autentyczności. Lena zacierała ślady przy użyciu czegoś, co nazywała serwerami proxy. Niewiele pojąłem z jej technicznych

wyjaśnień poza tym, że mogła wybrać, czy goście odwiedzający witrynę będą sprawiali wrażenie, jakby łączyli się z dzielnicą mieszkalnej w San Diego, z kawiarenki internetowej w Denver czy z biurowca w Atlancie.

Wynegocjowałem u Komitetu dodatkowe dziesięć milionów dolarów. Mimo że pieniądze te stanowiły jedynie kroplę w morzu w porównaniu z budżetami obu kandydatów (później się dowiedzieliśmy, że każdy z nich wydał ponad miliard), był to świeży zastrzyk gotówki nie pochodzącej z żadnego z tradycyjnych źródeł, który – jeśli dobrze go wykorzystać – mógł ruszyć sprawy z miejsca. A politycy istotnie mieli w zwyczaju żebrać u ofiarodawców po kilka razy w ciągu kampanii. Każdy pretekst był dobry: podbudowujący sondaż, wyjątkowo dobra przemowa, gafa przeciwnika i oczywiście debaty telewizyjne. Mogliśmy z Leną iść o zakład, że republikanie poważnie potraktują kandydatkę, która z dużym prawdopodobieństwem przyniosłaby im tysiące nowych donatorów.

Trzecia część naszego planu polegała na utopieniu lokalnych placówek komitetów poparcia McCaina w powodzi telefonów, w których rozmówcy będą żądać nominacji Palin. Dziesięć telefonów dziennie do każdego z komitetów wydawało się minimum potrzebnym, by zwrócić na siebie uwagę. Ponieważ istniały trzy tysiące rzeczonych komitetów, mówiliśmy tu, jakby nie było, o dobrym milionie połączeń, które na dodatek musiały pochodzić od osób bez obcego akcentu, będących w stanie skomentować pogodę albo wyniki osiągnięte przez lokalne drużyny sportowe. Jak zwykle wydajna Lena w ciągu kilku dni zaangażowała około dwudziestu firm telemarketingowych rozsianych po całym terenie Stanów. Na moich oczach obmyśliła algorytm mający na celu zmaksymalizowanie psychologicznego efektu telefonów (który nazywała „efektem karabinu maszynowego”) przy jednoczesnym zachowaniu statystycznie prawdopodobnego umiaru: trzech zwolenników Palin pod rząd robi wrażenie, czwarty dzwoniący w zbyt małym odstępie czasu wzbudziłby podejrzenia.

Nie trzeba było długo czekać, żeby nasze wysiłki przyniosły rezultaty. Lena opracowała całą baterię wskaźników służących do mierzenia popularności ewentualnych współkandydatów. W połowie czerwca nasza kłacz utrzymywała się na piętnastej pozycji, daleko w tyle za Olympią Snowe i Christine Todd Whitman. Dwa tygodnie później, dzięki blogom prowadzonym przez KFR, zakwalifikowała się do pierwszej dziesiątki. Była siódma, gdy rozpoczynaliśmy kampanię

telemarketingową. Jeszcze bardziej dodawał otuchy fakt, że nazwisko Palin coraz częściej padało z ust komentatorów i wyłaniało się spod piór analityków z „Politico”.

Świadoma zainteresowania, jakie wzbudza, pani gubernator Alaski wyczyściła swój grafik, by móc odpowiadać na prośby mediów. Została stałym gościem Fox News i CNN. „Wall Street Journal” poświęcił jej kilka wstępniaków podkreślających jej zalety jako reformatorki, a także długi artykuł, w którym opisywano, jak podczas spotkania w Dallas poczuła pierwsze skurcze i czym prędzej wróciła do Anchorage, żeby tam urodzić Triga. „USA Today”, „New York Times” i „Washington Post” również donosiły, w mniej lub bardziej pochlebnych słowach, o wzlocie Palin, choć nie uczyniły jej tego zaszczytu, by umieścić ją na pierwszej stronie.

Nie przegapiłem ani jednego z jej telewizyjnych wystąpień. Tak jak się spodziewałem, okazała się niezwykle medialna, przepełniała ją optymizm, energia oraz wiara w siebie. Miała dar do nawiązywania natychmiastowego porozumienia z dziennikarzem prowadzącym wywiad, komplementując jego krawat albo razem z nim bolejąc nad przegraną Yankeesów. Mogła więc mówić i nikt jej nie przerywał, szczególnie na kanale Fox News. Jego w większości republikańska widownia spijała z jej ust apele o zmniejszenie liczby członków rządu. Zajmowane przez nią stanowiska nigdy mnie nie zaskakiwały. Obama to groźny agitator, który prowadzi Amerykę po zboczach socjalizmu. Fakt, że Palin w Juneau przyjęła raz chińską delegację, czynił z niej specjalistkę w sprawach polityki zagranicznej. Nie zwlekałaby z przywróceniem na Alasce kary śmierci, gdyby stanowy parlament przegłosował prawo zmierzające w tym kierunku. Radziła, aby w konstytucji zdefiniować małżeństwo jako związek pomiędzy kobietą a mężczyzną.

Todd Palin, choć w innym stylu, też dość dobrze prezentował się w światłach reflektorów. Z czułością nazywany przez mieszkańców Alaski „pierwszym kolesiem” („First Dude”), był chłopcem wystarczająco ładnym, by nie oszpecać małżonki, kiedy stał u jej boku. Najlepsze wrażenie robił w drelichach, z czapką z daszkiem na głowie i piłą mechaniczną w dłoni. Przebieg jego kariery zawodowej był nieco zbyt niejasny jak na mój gust. W 2007 roku wziął urlop administracyjny ze stanowiska technika paliwowego w BP, aby nie pozostawiać pola ewentualnym oskarżeniom o konflikt interesów. Jednakże siedem miesięcy później wrócił do

pracy „ze względów finansowych”. W lecie łowił łososie w rzece Nushagak, ale nie było wiadomo, czy jest to jego hobby, czy płatne zajęcie. Na szczęście nie to było najważniejsze. Todd żywił prawdziwą pasję do skuterów śnieżnych. Począwszy od 1993 roku brał udział we wszystkich edycjach Iron Dog, najdłuższego wyścigu świata. Zawodnicy pokonywali trzy tysiące kilometrów przy minus czterdziestu stopniach Celsjusza ze średnią prędkością stu kilometrów na godzinę. Todd czterokrotnie odniósł zwycięstwo, ale wyczuwało się, że jest dumny przede wszystkim z tego, że ukończył wyścig w 2008 roku po tym, jak w wyniku zderzenia wyleciał na dwadzieścia metrów w powietrze i złamał rękę. Niezły był z niego twardziel, to nie pozostawiało cienia wątpliwości.

Na początku sierpnia przekonałem Yakouba, by odblokował dodatkowe trzysta tysięcy dolarów, które Lena wydała w ciągu godziny. Zakłady, które zaaranżowała w największych kasynach w kraju, miały za zadanie w krótkim czasie wykatapultować Palin na szczyt bukmacherskich rankingów, rozpętując nową falę zainteresowania ze strony mediów. Trzeba przyznać, że okoliczności nam sprzyjały. Condi Rice definitywnie wycofała się z wyścigu; Fiorinie i Whitman za bardzo brakowało doświadczenia politycznego; co do Olympii Snowe czy Elizabeth Dole, pomimo swojej dzielnej służby, nie mogły rywalizować z promieniejącą młodością Palin.

Wraz z każdym telewizyjnym wywiadem strona palinnawiceprezydenta.org odnotowywała spektakularne wskaźniki aktywności. Internauci każdego dnia sugerowali nam kolejne powody, by dokooptować Palin do McCaina. Moimi ulubionymi były: „Ponieważ zazdrozczę jej tych włosów” (numer dwieście trzynaście) i „Napędzi Putinowi stracha” (numer trzysta pięćdziesiąt pięć). Donacje – te prawdziwe, które nie kosztowały KFR-u ani centa – spływały tysiącami, a towarzyszyły im słowa zachęty bardziej liryczne niż cokolwiek, co sam mógłbym napisać. Również blogi stworzone przez Lenę trzeszczały pod naporem wiadomości, na które nasi stali pracownicy mozolnie odpowiadali, aby podtrzymać dyskusję. Lena, z wydrukowaną listą logów serwera w rękę, twierdziła, że sama Palin odwiedza nasze witryny, czytając przede wszystkim doniesienia dotyczące swojej córki Bristol. Trudno mi było w to uwierzyć.

Dwunastego albo trzynastego sierpnia gubernatorka Alaski wystąpiła w „Today Show”, najgłośniejszym programie telewizji śniadaniowej na kanale NBC.

Śledziłem emisję z kuchni, jedząc śniadanie. Właśnie z narażeniem życia wyławiałem grzanekę, która utknęła w głębi tosterka, kiedy pytanie prezenterki sprawiło, że nadstawiłem ucha. „Sarah, mówi się, że jest pani bardzo blisko z ludźmi. Czy to prawda, że każdego tygodnia dzwoni pani do losowo wybranego wyborcy, żeby spytać, co sądzi o pani polityce?”. Chwilowo pozostawiłem kromkę na pastwę losu, aby posłuchać odpowiedzi Palin. „Ależ tak, Rachel. To zwyczaj, którego nabrałam, będąc burmistrzem Wasilli. Umieściłam nazwiska wszystkich obywateli w słoju i w sobotę rano na chybił trafił wyciągałam jedną karteczkę. Tyle się można dowiedzieć, rozmawiając bezpośrednio z ludźmi! Od razu przechodzimy do konkretów, nie bawimy się w żadne wielkie dysputy. Pytam, co mogę dla nich zrobić. Oni pytają, co słyhać u Todda i dzieciaków”. Rozkoszowałam się swoim tryumfem. A zatem Palin nie zadowolila się samymi odwiedzinami na stronie, którą jej poświęciliśmy, ale też przyswoiła sobie pewne fikcyjne elementy z własnej biografii. Kto wie, może nawet przekonała samą siebie, że to wszystko prawda. Po rozmowie z matką niczego już nie byłem pewny.

Komitet poprosił mnie o oszacowanie naszych szans powodzenia. Oceniałem je w najlepszym wypadku na czterdzieści lub pięćdziesiąt procent. Niepokoił mnie fakt, że McCain dotąd nie skontaktował się z Palin, pomimo jej skoku w sondażach. Spotkał się z nią tylko raz, sześć miesięcy wcześniej, podczas dorocznej konferencji gubernatorów w Waszyngtonie. Ich rozmowa była krótka, trwała – w zależności od relacji – od pięciu do dwudziestu minut. McCain słyzył z ograniczonej liczby doradców, z którymi czuł się całkiem swobodnie; jak mieliśmy sobie wyobrazić, że wybierze kobietę, z którą w całym swoim życiu spędził kwadrans?

Moje nadzieje jeszcze bardziej przygasły dwudziestego pierwszego sierpnia, gdy Youssef wrócił z podróży do Waszyngtonu. Według jego informatorów McCain szykował się do wyznaczenia kolegi z partii, Joe’ego Liebermana. Dla senatora z Connecticut nie było to pierwsze podejście: już się ubiegał o wiceprezydenturę w 2000 roku... startując z listy demokratów!

– Klepie po plecach przeciwny obóz i ma nadzieję zgarnąć głosy centrowców – wyjaśnił Youssef. – To może zadziałać.

– Wątpię. Drugi biały mężczyzna, ledwie młodszy od niego? To samobójstwo.

– Szanują się nawzajem, cenią i wspólnie wprowadzili wiele praw. To nie takie

częste w Waszyngtonie.

Westchnąłem. Youssef miał rację. Lieberman świetnie nadawałby się na wiceprezydenta, niewątpliwie najlepiej spośród wszystkich kandydatów, których rozważaliśmy. W przeszłości w ogóle nie przejmował się wytycznymi swojej partii, regularnie głosował wraz z republikanami w kwestiach militarnych. Ten „wolny duch” z pewnością stanowił w oczach McCaina jeden z jego największych uroków.

Na szczęście dla nas ewangelicka prawica, najhojniejsza sponsorka Partii Republikańskiej, nie podzielała – łagodnie rzecz ujmując – entuzjazmu McCaina. Przypomniała, że Lieberman od dawien dawna walczy o prawo do aborcji, a do tego miał czelność żądać wprowadzenia zakazu wnoszenia broni palnej na teren szkół. Fakt, że jest żydem, oczywiście wcale nie miał znaczenia.

Podczas naszego codziennego spotkania dwudziestego szóstego sierpnia bardzo agresywne wcielenie Youssefa podsunęło mi pod nos pierwszą stronę „Wall Street Journal”. *McCain about to pick Lieberman for VP*³ – obwieszczał najpoczytniejszy dziennik w Stanach Zjednoczonych. – I co mam niby zrobić? – spytałem, wzruszając ramionami.

– Zdyskredytować Liebermana! – odrzekł Youssef. – Mówi się, że po nim następna w kolejce jest Palin.

– A jak ty byś się do tego zabrał, tak konkretnie? – dociekała Lena.

– Bo ja wiem? Jakiś skandal seksualny? Ukryte dziecko? Afera łapówkarska? Sliv by wiedział, gdyby tylko chciał pomyśleć.

– Ale Sliv nie chce – oznajmiłem.

– Dlaczego? – zapytał Youssef. – Zapomniałeś, jaką misję powierzył nam Komitet?

– Wręcz przeciwnie. Kazano nam postawić McCaina przed dylematem i to właśnie zrobiliśmy. Ma wybór pomiędzy działającym od trzydziestu lat otwartym politykiem a ślepo oddaną partii debiutantką, z którą rozmawiał w sumie przez piętnaście minut. Teraz kolej na jego ruch. Dostosujemy się do jego decyzji.

Powstrzymałem się przed podzieleniem się z Youssefem informacją, którą właśnie przekazał mi jeden z moich informatorów na Alasce: w Wasilli ptaszki ćwierkały, że siedemnastoletnia Bristol Palin jest w ciąży ze swoim chłopakiem. Ta nowina, jeśli się potwierdzi, zada śmiertelny cios Sarah, zacieklej obrończyni czystości przedmałżeńskiej. Teraz już lepiej rozumiałem, dlaczego przeglądała

wiadomości na temat swojej córki.

Nie umknęła mi wcale ironia całej sytuacji: Youssef chętnie ujrzałby, jak torpeduję kandydaturę Liebermana, podczas gdy ja trzymałem w ręku los Palin.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia prasa powiadomiła o nominacji Palin. McCain przegrywał w sondażach o pięć punktów procentowych.

16

Kilka dni później Youssef zaprosił mnie, żebym wraz z jego rodziną obejrzał konwencję republikanów. Nigdy nie przepuszczałem okazji, by zobaczyć bliźniaczki. Indah i Nadira urodziły się w 2005 roku w Sydney. Zostałem ojcem chrzestnym tej pierwszej, choć uczciwość każe mi przyznać, że nie zawsze odróżniałem ją od siostry.

– Youssef czyta dziewczynkom książkę – poinformowała Maga, otwierając drzwi. – Pomożesz mi przygotować kolację?

– Myślałem, że jemy pizzę.

– Tak, ale własnej roboty.

Ruszyłem za nią, trochę spanikowany na myśl o tym, czego ode mnie oczekuje. Świetnie radziłem sobie z gotowaniem: składałem przez internet cotygodniowe zamówienie na mrożone dania.

– Masz, pokrój to! – rozkazała Maga, wręczając mi zieloną paprykę długości mojego przedramienia.

Próbowałem sobie przypomnieć, w jakiej formie widuje się zwykle paprykę na pizzy. Posiekaną w kostkę? W paski? Zdałem się na łut szczęścia, podczas gdy Maga rozciągała ciasto.

– Szykują się jakieś podróże? – zagailem z nadzieją, że oszołomię ją wartkością rozmowy.

– W poniedziałek Rio. Yakoub każe mi wyruszyć w niedzielę wieczorem, nie znoszę tego. Później dwa dni w Buenos Aires i jeden w Acapulco. Wracam w piątek.

– Pięć dni bez bliźniaczek...

– Wiem, doprowadza mnie to do szału. Na szczęście Youssef jest na miejscu.

Choć oboje ukończyli Akademię z dobrym wynikiem, Maga i Youssef zdecydowali się na bardzo odmienne ścieżki kariery. Maga, jak ja, dołączyła do Operacji Specjalnych zarządzanych przez Yakouba Khoyoulfaza. Jej życie przypominało to, które sam bym wiódł, gdyby nie przyjęto mnie do Komitetu: sto

dni w roku spędzała w podróży, rozbijając wybuchowe sytuacje wynikłe z niewiedzy bądź niezdarności agentów terenowych. Uwielbiała różnorodność swojego zajęcia, ale wyjazdy coraz bardziej jej ciążyły. Tak jak w przypadku większości matek w OS skończy się niewątpliwie na tym, że obejmie dyrekcję jakiegoś biura, a może nawet utworzy nowe w Chinach czy Indonezji, gdzie KFR rozwijał się w szybkim tempie. Youssef z kolei spełnił swoje odwieczne marzenie, wstępując do Planu, wówczas kierowanego przez Angoué Djiba. Prędko zwrócił na siebie uwagę dzięki swojej uczciwości, pracowitości i znajomości dwóch strategicznych dziedzin: religii świata oraz gospodarki surowcami naturalnymi. Jedną z pierwszych decyzji Ching po zastąpieniu Djiba było powołanie Youssefa do prestiżowej Rady Perspektywicznej, której główną funkcję stanowi opracowywanie planu trzyletniego. Stanowisko zlokalizowane było w Toronto. Youssef od dłuższego czasu pragnął wrócić do siedziby głównej, gdzie – wedle jego słów – „formują się opinie i podejmują się decyzje”. Maga niechętnie za nim podążyła; podobało jej się w Sydney, a do tego obawiała się, całkiem słusznie, kanadyjskiej zimy.

– Chciałam ci zadać pytanie – zaczęła Mago. – Nie musisz od... Ale co ty wyprawiasz?

Z konsternacją spojrzała na paprykę, a raczej na to, co z niej zostało.

– Pokroiłem ją po islandzku – oświadczyłem pewnie. – A co, źle?

– Nie, nie, skąd – odparła Mago, jak zwykle zdecydowanie zbyt uprzejma. – Daj mi to, skończę po włosku.

Wręczyłem jej paprykę oraz nóż, ukrywając ulgę pod zirytowaną miną.

– Miałaś jakieś pytanie?

– Tak. Nie musisz odpowiadać, ale co tam, i tak spróbuję. Czy równouprawnienie płci stanowi cel albo jeden z celów KFR-u?

– Daj spokój, Mago, wiesz, że nie mam prawa udzielić ci odpowiedzi.

– Proszę cię, Sliv. Zwykle „tak” lub „nie”. Nie będę pytać o nic innego. Ja muszę wiedzieć.

– *No comment.*

– To mało prawdopodobne, wiem. KFR powstał parę wieków temu, w epoce, gdy kobiety liczyły się jeszcze mniej niż obecnie. Ale myślę sobie, że może założyciele uchwalili kartę praw, manifest, który potwierdzałyby równość

wszystkich ludzi, coś na kształt Deklaracji praw człowieka i obywatela. Sądzę, że to by mi wystarczyło.

– Koniec dyskusji. Mówię poważnie, Mago.

Dokończyła krojenie papryki w milczeniu. Szukałem jakiegoś sposobu, by ją pocieszyć.

– Wiesz, ostatecznie rozwinąłem w sobie pewną czułość w stosunku do Palin.

Twarz Magi się rozjaśniła.

– Mówiłam ci! To niezwykła kobieta.

– Nie posunąłbym się może aż tak daleko, ale jej dokonania wymuszają szacunek. Gubernator stanu z piątką dzieci, wyobrażasz sobie?

– Szczerze mówiąc: nie.

– Ma własne przekonania, nie tylko moralne czy religijne. Naprawdę postawiła się lokalnym aparatczykom i ludziom z przemysłu paliwowego. Dla zasady, ponieważ nie lubi przekrętów.

Maga zaczęła rozmieszczać składniki na cieście ze zręcznością zawodowego pizzera. Nie podnosząc głowy, spytała:

– Ale przegra, prawda?

– Tak – musiałem przyznać.

– Czemu?

– Bo reprezentuje zbyt uproszczone podejście.

– Bush to kretyn.

– Właśnie, i popatrz, dokąd nas to doprowadziło. Złożoność naszych czasów wymaga człowieka wielkiego formatu. Obama i McCain spełniają to kryterium, ona nie.

Maga nie odpowiedziała. Miałem nadzieję, że jej nie zraniłem.

Usłyszałem donośny, surowy głos Youssefa, a następnie odgłosy kawalkady. Sekundę później na szyi uwiesiły mi się dwa aniołki.

– Wujek Sliv! – wykrzyknęły chórem.

– Dzień dobry, małe potworki – odparłem, po raz enty szukając sposobu na odróżnienie ich. – Ty jesteś Indah, prawda?

– Nie, wujku, jestem Nadira.

Maga łaskawie przyszła mi na ratunek:

– On to robi celowo.

– Oczywiście – przytaknąłem. – Jak wakacje?

– Super – odparła Indah.

– Okropnie – stwierdziła Nadira.

Maga posłała Youssefowi spojrzenie ciężkie od podtekstów.

– Spędziły piętnaście dni u moich rodziców w Sudanie i kolejnych piętnaście na Bali, u rodziców Magi – wyjaśnił Youssef, nie wchodząc w szczegóły.

– Mówię po indonezyjsku – oświadczyła dumnie Indah.

– A ja po arabsku – pochwaliła się Nadira.

– Ja też mówię po arabsku – dorzuciła Indah, która zawsze chciała mieć ostatnie słowo.

Podziwiałem Magę i Youssefa, którzy uczyli je trzech tak różnych języków. Pewnego dnia córki im za to podziękują.

– Jadły już kolację? – spytałem.

– Nie, wolały poczekać na ciebie – odparł Youssef.

– Chciałyśmy pizzę – oznajmiła Nadira, co niewątpliwie było bliższe prawdy.

Spojrzałem na zegarek. Do przemówienia Palin pozostał jeszcze kwadrans.

Amerykańskie konwencje trwają cztery dni, podczas których liderzy polityczni, znane osobistości życia publicznego albo zwykli członkowie partii bezustannie zmieniają się na mównicy. Ostatni dzień wieńczy tradycyjnie wystąpienie kandydata na prezydenta, a przed nim wypowiada się jego współkandydat. Dziennikarze z każdym kolejnym zjazdem stawiali się coraz liczniej, w przeciwieństwie do widzów, znużonych tymi sztucznymi ceremoniałami.

Przeszliśmy do salonu. Plemię Khrafedine mieszkało blisko uniwersytetu, w dużym, starym mieszkaniu, które mierzący dwa metry Youssef wybrał ze względu na wysokie sufity. Rozległe przestrzenie pozwalały dodatkowo na pomieszczenie licznych mebli, dywanów oraz dzieł sztuki, które małżonkowie zgromadzili w miarę swoich peregrynacji. Bliźniaczki spały więc w drewnianych, rzeźbionych łóżkach importowanych z Sudanu i bawiły się balijskimi lalkami na dywanie navajo. W innych pokojach ręcznie zdobione deski surfingowe sąsiadowały z afrykańskimi maskami, a jedwabny wietnamski parawan przylegał do wyplatanych koszy niewiadomego pochodzenia, tworząc aurę chaotycznego synkretyzmu, która z początku nieco wytrącała z równowagi.

Youssef włączył telewizor. Były burmistrz Nowego Jorku, Rudolph Giuliani,

ciskał właśnie gromy na Obamę: „Po studiach pracował jako organizator społeczności lokalnej. Tak, tak, dobrze słyszeliście: organizator społeczności. Jeśli chcecie znać moje zdanie, to pierwszy problem z jego CV”.

– Długo to trwało – westchnęła Maga.

Ów tytuł – *community organizer* – przysporzył nam sporo zmartwień w okresie, kiedy zajmowaliśmy się gloryfikowaniem dokonań Obamy. Nikt nie wiedział dokładnie, kim był organizator społeczności lokalnej, czym się zajmował ani kto wypłacał mu pensję. Kampania Obamy opisywała czynności, którym kandydat poświęcał się w latach 1985–1988, w rozdmuchanych, całkowicie pozbawionych znaczenia słowach: otwierał programy korepetycji w południowych dzielnicach Chicago, bronił lokatorów wielkich zespołów mieszkaniowych oraz kształcił innych organizatorów społeczności. Co jeszcze bardziej intrygujące, strona z hasłem „organizator społeczności lokalnej” w Wikipedii została utworzona w październiku 2004 roku, miesiąc przed wystąpieniem Obamy, które rozpoczęło jego karierę, jakby szefowie Partii Demokratycznej chcieli odblokować drogę człowiekowi, który – jak przeczuwali – cztery lata później zostanie ich reprezentantem. W 2005 roku inny anonimowy kontrybutor wzbogacił artykuł o sekcję „Sławni organizatorzy”, gdzie nazwisko Obamy szczęśliwym zrzędzeniem losu sąsiadowało z nazwiskami Jesse’ego Jacksona czy Martina Luthera Kinga Juniora.

Giuliani wychwalał teraz zalety Johna McCaina z takim przekonaniem, że prawie dało się zapomnieć, iż rok wcześniej podczas wyścigu o inwestyturę demokratów prowadził kampanię przeciwko niemu. „Mamy szansę, drodzy rodacy, wybrać niezrównanego bohatera. John McCain będzie wyjątkowym prezydentem, a towarzyszyć mu będzie równie wyjątkowa kobieta, która dowiodła już, że potrafi reformować i rządzić. Wybierzmy ich, wstrząsnijmy Waszyngtonem i popchnijmy Amerykę naprzód! Niech Bóg wam błogosławi”.

– Pójdę po pizzę – oznajmiła Maga, poniekąd na temat.

Indah, o ile nie była to jej siostra, wdrapała mi się na kolana, podczas gdy Youssef majstrował coś za telewizorem. Po przeprowadzce do Toronto zaopatrzył się w najnowocześniejsze głośniki kina domowego, których zamontowanie zajęło trzy weekendy i na które od tamtego czasu spoglądał z niepokojem w poszukiwaniu choćby najdrobniejszego śladu złego funkcjonowania. Kiedy – jak w tej chwili –

jakaś eksplozja albo burza oklasków nie wprawiała bibelotów w salonie w drgania, kładł się pod telewizorem, złorzecząc, i sprawdzał jeden kabel po drugim.

– Teraz lepiej? – spytał, wysuwając głowę.

Zapewniłem go, że już wcześniej było bardzo dobrze.

– Chodź sobie usiąść – zachęciła Maga, wracając z pizzą. – Zaraz się zaczniesz.

– Nie wydaje wam się, że brakuje niskich dźwięków? – spytał Youssef, otrzepując się z kurzu.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – Niski to będzie poziom.

Maga szepnęła do Indah:

– Twój wujek Sliv jest bardzo zabawny. Prawdziwy błazen.

– Wujek Sliv to błazen! – powtórzyła Indah.

– Już jest! – wykrzyknęła Maga. – Oto ona!

– Uważa się za miss świata czy co? – rzucił Youssef.

Maga trąciła go łokciem w żebra i odwróciła się w moją stronę, biorąc mnie na świadka:

– Nie znoszę tego rodzaju uwag. On ciągle to robi. Przyznaj, że jest zachwycająca.

– Jeśli się lubi panienki z rozkładówek w magazynach dla tirowców – mruknął Youssef.

– No nie, słyszysz go? Tak szczerze, jak twoim zdaniem wygląda?

– Jak należy – odrzekłem dyplomatycznie.

Palin miała na sobie obcisłą czarną spódnicę, bluzkę gorsetową w kolorze kości słoniowej i sznur pereł. Jej fryzura, w starannie ułożonym nieładzie, przypominała uczesanie mojej asystentki, ale musiała kosztować znacznie więcej.

– Panie przewodniczący, panowie delegaci...

Youssef zerwał się z kanapy, jakby go olśniło. Ledwie schował się za telewizorem, a dźwięk zniknął.

– Co za burdel!

– Youssef! – krzyknęła Maga.

– Drodzy rodacy – podjąłem, improwizując. – Z należytą powagą zgadzam się być waszą kandydatką na stanowisko wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Zapewniam o moim zaangażowaniu, które wypływa...

– Cisza! – pisnął Youssef. – Nie słyszę własnych myśli!

– To po co kombinowałeś? – odparowała Maga. – Mów dalej, Sliv.

– Zapewniam was o moim zaangażowaniu, które wypływa z zaszczytu, jakim jest służba u boku bohatera pokroju Johna McCaina, który przez całe życie...

– A niech to cholera! – prychnął Youssef, wyrywając wszystkie kable za jednym pociągnięciem. Dźwięk wrócił, odrobinę pozbawiony głębi w porównaniu z wcześniejszym odbiorem, ale na chwilę obecną tyle wystarczyło.

– ...który przez dwadzieścia dwa lata nosił mundur swojego kraju i nigdy nie przestał wierzyć w naszych żołnierzy w Iraku, którzy zwycięstwo mają dziś w polu widzenia.

– A niech mnie, wszystko się zgadza – zachwyciła się Maga. – To ty napisałeś tę przemowę?

– W pewnym sensie.

Youssef desperacko pragnął na coś się przydać, więc nałożył pizzę na talerze. Była pyszna, pomimo moich groteskowych kawałków papryki.

– Posłuchajcie – zwróciłem się do Indah i Nadiry. – Mówi o swoich dzieciach. Ma dwóch synów i trzy córki.

Z dość oszałamiającą naturalnością Palin przedstawiła nam swoją rodzinę: najstarszego syna, który wkrótce miał wyruszyć do Iraku, trzy córki, „silne i czarujące” (i ciężarne, nieomal dodałem), Triga, ostatniego malucha, „absolutnie wspaniałego”, i Todda, „na którego cześć można by napisać poemat”. Poznała go w liceum, a on po dwudziestu latach w dalszym ciągu pozostaje „jej mężczyzną”.

– Skoro już zaczęła, to czemu by nie wspomnieć też o rodzicach? – burknął Youssef.

– Miałam przywilej dorastać w małym miasteczku. Później dołączyłam do stowarzyszenia rodziców uczniów, żeby podnieść poziom edukacji, jaką odbierają moje dzieci.

– Robi się ciekawie – uznała Maga.

– Słucham? – rzucił Youssef ze zdumieniem.

– Sza!

Spojrzał na mnie, aby upewnić się, że odnotowałem tę zupełnie niesprawiedliwioną szykanę, której padł ofiarą. Później wziął sobie kolejny kawałek pizzy.

– Zostałam burmistrzem mojego rodzinnego miasta. Pozwólcie, że wytłumaczę

naszym przeciwnikom, na czym polega zawód burmistrza w małym miasteczku. Jesteśmy swego rodzaju organizatorami społeczności lokalnej, z tą tylko różnicą, że nasze obowiązki naprawdę istnieją.

– Niezłe zagranie – stwierdziłem w sportowym duchu.

Publiczność, bez reszty oddana oratorce, nagradzała każdą z jej mądrości burzą oklasków, których dokładna liczba miała stać się tego wieczoru przedmiotem niekończących się komentarzy na kanałach kablówki. Palin podjęła:

– W ostatnich dniach na własnej skórze przekonałam się, że media nie traktują cię poważnie, jeśli nie przynależysz do waszyngtońskiego establishmentu. Ale wiecie co? Ja nie startuję po to, żeby podobać się mediom, tylko żeby służyć rodakom!

– Dobrze powiedziane! – rozradowała się Maga. – No, chłopcy, mam nadzieję, że nie pożałujecie swojej decyzji. Bo ona może dostać to, czego chce!

– Nie ma szans – wycedził Youssef przez zęby.

– Djibo był tak samo pewny swojej zagrywki, kiedy tworzył Al-Kaidę – odparowała Maga.

Rozsądnie zachowałem milczenie. Nikt nie był bardziej ode mnie świadomy faktu, że otworzyliśmy puszkę Pandory albo – by posłużyć się słowami Yakouba – „wypuściliśmy dzina z butelki”. W ciągu dwudziestu czterech godzin od nominacji Palin na nowo rozbudzeni republikanie przekazali ponad siedem milionów dolarów na rzecz kampanii McCaina. Innym przede mną zdarzało się nie doceniać byłej miss Wasilli; zapłacili za to własnymi posadami. Ja nie zamierzałem popełnić tego błędu.

– Jedną z moich pierwszych decyzji po objęciu stanowiska gubernatora było pozbycie się pewnej liczby rzeczy, za które w moim odczuciu współobywatele nie musieli płacić. Ten superluksusowy odrzutowiec? Wystawiłam go na eBayu!

– Brawo, Sarah! – zawołała Maga.

– Uwielbiam sama prowadzić samochód. I wiecie co? Nie widziałam też potrzeby zatrudniania prywatnego kucharza, choć muszę przyznać, że moje dzieci nieraz tego żałują.

– No dobra, nie ma co zaprzeczać – ustąpił Youssef. – Zna swój fach.

Wygłosiwszy długi fragment na temat polityki energetycznej (jeszcze więcej ropy, gazu, elektrowni atomowych i węgla!), Palin zajęła się metodycznym

niszczeniem Obamy.

– Oto człowiek, który miał czas, by napisać dwie autobiografie, ale nie przeforsował w Kongresie żadnego znaczącego prawa! Nasz kraj potrzebuje więcej energii, a on sprzeciwia się nowym odwiertom. Podatki już teraz są za wysokie, a on chce je podnieść. Waszyngton już wydaje za dużo, a on mnoży obietnice. Wiecie, w polityce istnieją dwa rodzaje kandydatów: ci, którzy wykorzystują zmiany, aby napędzać własną karierę, i ci, jak John McCain, którzy wykorzystują swoją karierę, aby napędzać zmiany.

– Pora kończyć – odpowiedziała Maga.

Palin, zupełnie jakby ją usłyszała, rozpoczęła ostatnią elegię na cześć McCaina – „jedyne go kandydata, który walczył za was w warunkach, gdzie zwycięstwo oznaczało przetrwanie, porażka zaś równała się śmierci” – by następnie zachęcić swój obóz, żeby stanął murem za swoim czempionem:

– Pomóżcie nam wybrać na prezydenta niezwykle go człowieka. Niech Bóg błogosławi Amerykę!

Ledwie Palin skończyła przemowę, a komentatorzy z CNN już tłumaczyli, jak należy ją rozumieć. Cudownie wywiązała się z zadania; miliony Amerykanów, którzy jeszcze jej nie znali, miały szansę odkryć jej energię oraz determinację; różnica między Obamą a McCainem z pewnością zmniejszy się w najbliższych dniach.

Youssef wyłączył telewizor, a Maga klasnęła w dłonie.

– No już, szkraby, po buziaku dla wujka Sliva i do łóżek. Przyjdę wam zgasić światło.

Bliźniaczki uwiesiły mi się na szyi. Ich czułości nigdy nie trwały tak długo, jak bezpośrednio przed udaniem się na spoczynek.

Gdy wyszły, Youssef podsumował powszechne przekonanie.

– Jest lepsza, niż sądziłem.

– Gratuluję, kochanie – rzuciła Maga ironicznie. – Dzięki tobie operacja „Miss USA” toczy się aż miło.

– Co teraz zrobimy? – spytał Youssef, ignorując jej uwagę.

– Nic – odparłem. – Nic nie zrobimy.

– Oszalałeś? Ona może wygrać!

– Na tym właśnie polega cały zamysł. Wybraliśmy Palin ze względu na jej zalety

i ze względu na jej wady. Trzeba było pomóc Amerykanom w zauważeniu zalet; wady wyjdą na jaw i bez nas.

– Nie podoba mi się to...

– Spójrz na to z innej strony: teraz masz wakacje – podsunęła Maga, która przednio się bawiła.

Zgasilem ją jednak:

– Nie ciesz się zbyt szybko. Istnieje ryzyko, że wkrótce ujrzysz mniej olśniewające oblicze Palin. Jeśli za dwa miesiące nadal będziesz uważała, że byłaby dobrym wiceprezydentem, to będzie znaczyło, że za bardzo się nie postarała.

Część druga

Sydney

1

Wybór Baracka Obamy zainicjował jeden z tych rzadkich momentów globalnego poczucia wspólnoty, tak drogich Ignacjowi Vargasowi. Od Kenii po Norwegię, od Syberii aż po Hawaje, setki milionów ludzi zebrały się przed telewizorami, aby wziąć udział w wydarzeniu, które zaskoczyło chyba wszystkich na świecie: nominacji czarnoskórego człowieka na głowę najpotężniejszego państwa świata. Na ulicach Jaunde i Dżakarty tańczono, w Londynie i Melbourne puszczano sztuczne ognie, a portale społecznościowe całymi tygodniami huczały od wszechobecnego *Yes we can*. Wiadomości gratulacyjne od szefów państw wspięły się na bezprecedensowe wyżyny liryzmu. Premier Australii uznał zwycięstwo Obamy za „przekaz dobrej nadziei dla świata”, podczas gdy prezydent Francji zauważał, że „naród amerykański, wierny swoim wartościom, z mocą wyraził wiarę w postęp oraz przyszłość”. Nawet prezydent Ahmadineżad zmusił się do wysłania depechy, mimo że relacje dyplomatyczne pomiędzy Iranem a Stanami Zjednoczonymi tkwiły w martwym punkcie od 1979 roku.

Ci, którzy tworzą historię, zwykle nie zdają sobie z tego sprawy, a w każdym razie nie w danym momencie. Znaczenie wypowiedzianych wojen czy podpisanych traktatów pokojowych mierzymy dopiero z czasem. Tak samo z puczami, które w co drugim przypadku zmieniają się w farsę, albo tak zwanymi rewolucjami, które rodzą jedynie nowego dyktatora. Jednakże co dziesięć czy dwadzieścia lat trafia się wydarzenie, którego zarówno bohaterowie, jak i obserwatorzy wiedzą z całym przekonaniem, że zapisze się ono w zbiorowej pamięci. Naszych rodziców obudzono w środku nocy, żeby obejrzeć, jak Neil Armstrong spaceruje po Księżycu; moje pokolenie poniekąd na żywo śledziło upadek Muru Berlińskiego; później był jedenasty września, a teraz także czwarty listopada.

W Stanach Zjednoczonych ogłoszeniu wyników towarzyszyły sceny niewyobrażalnego poruszenia. Do urn poszło sześćdziesiąt trzy procent Amerykanów, co z punktu widzenia Europejczyka może wydawać się kiepskim wynikiem, ale w Stanach podobnego nie osiągnięto od półwiecza; oddano

o dziewięć milionów głosów więcej niż w 2004 roku. Wieczór wyborczy oglądało siedemdziesiąt jeden milionów telewidzów, mniej niż finał Super Bowl, ale więcej niż prezentację wyników jakichkolwiek innych wyborów w historii. A bilety wstępu na inaugurację nowego prezydenta na czarnym rynku chodziły już za ponad dwa tysiące dolarów za sztukę.

Ale liczby nie są w stanie oddać ożywczego powiewu, który hulał po Stanach Zjednoczonych przez kilka tygodni. Zdawało się, że w tych wyborach wszyscy zwyciężyli. Większość republikanów zachowała się po sportowemu, gratulując Obamie wygranej i twierdząc, że są dumni, iż żyją w kraju zdolnym wysłać czarnoskórego do Białego Domu w niespełna pół wieku po tym, jak Johnson zniósł dyskryminację rasową. W cechującej się rzadko spotykaną elegancją mowie pokonanych uznali historyczną ważność chwili i zaoferowali nowemu prezydentowi swoje usługi „w celu znalezienia kompromisów niezbędnych do zniwelowania dzielących nas różnic”. Tamtego wieczoru McCain ponownie udowodnił, że jest dobrym materiałem na głowę państwa.

Niestety, nie można było tego powiedzieć o jego współkandydatce. Zgodnie z oczekiwaniami Sarah Palin pokpiła sprawę, w przeciągu sześćdziesięciu dni kolekcjonując imponujący zestaw gaf, które podkopały jej wiarygodność i rykoszetem ugodziły w McCaina. Nazajutrz po otrzymaniu inwestytury ogłosiła, że jej córka Bristol jest w ciąży ze swoim chłopakiem, którego poślubi „w niedalekiej przyszłości”. Można sobie było wyobrazić lepszy początek kandydatki, która miała obłaskawić ewangelicką prawicę. Seria wywiadów z dziennikarką Katie Couric okazała się jeszcze bardziej katastrofalna. Fragment, w którym Palin twierdzi, że posiada kompetencje w dziedzinie polityki zagranicznej, ponieważ Alaska graniczy z Rosją, trafił na listę przebojów wśród najczęściej udostępnianych filmików na YouTube. W kolejnym wywiadzie, kiedy poproszono ją, by powiedziała, w jaki sposób zdobywa informacje, Palin odparła, że czyta „wszystkie gazety”, ale nie potrafiła wymienić ani jednej. Humoryści mieli używanie. Wśród wielu często prześmiesznych imitacji szczególnie odznaczył się występ Tiny Fey, która deklarowała, szczerząc zęby: „Od prezydentury dzieli mnie tylko jedno uderzenie serca”. Siedemdziesięciodwuletni McCain nie był już takim znowu młodzieniaszkiem. W 2000 roku leczył się na raka skóry. Prawdopodobieństwa, że umrze w czasie pełnienia obowiązków, a zatem że jego miejsce zajmie pani

wiceprezydent, nie można było lekceważyć. Patrząc pod tym kątem, ignorancja Palin – która sądziła, że Afryka to państwo i tworzyła neologizmy w rodzaju „odniechać” czy „podszacować” – przyprawiała o dreszcze.

Mimo tych porażek gubernatorka Alaski nie straciła sympatyków. Wedle zorganizowanego po wyborach sondażu siedemdziesiąt procent republikanów nadal popierało decyzję Johna McCaina. Większość z nich chciałaby ujrzeć Palin na ważnym, ogólnokrajowym stanowisku i miała nadzieję, że wystartuje ponownie w 2012 roku. Palin więc nie tyle doprowadziła do przegranej McCaina, ile uniemożliwiła mu zwycięstwo. W istocie powiększyła jego publikę jedynie o ewangelicką prawicę, w przeciwieństwie do Liebermana, który bez wątpienia przyniósłby mu w bagażu dwa czy trzy miliony głosów demokratów. I tym oto sposobem operacja „Miss USA” doskonale spełniła swoje zadanie.

Nazajutrz po wyborach członkowie Komitetu przyjęli mnie jak tryumfatora. Nauczony błędami przeszłości, upewniłem się, że Lena, Youssef i Maga otrzymają należną porcję gratulacji. Szczególnie dla Leny był to ważny etap, dowód na to, że Komitet dostrzegł jej wkład i wybaczył zdradę. Nieomal okazała z tego powodu emocje.

Powstrzymałem się za to przed wzmianką o decydującej roli odegranej przez Vargasa, którego nazwisko w oczach kolegów i koleżanek w dalszym ciągu wiązało się ze skandalem z Al-Kaidą. Jednakże w mojej opinii Kolumbijczyk był głównym artystą odpowiedzialnym za nasz sukces. Miałem nadzieję, że któregoś dnia znów nadarzy się nam okazja do współpracy.

Wizerunek Yakouba niezaprzeczalnie zyskał na tej operacji. Nawet Martin Suarez podczas zebrania pogratulował mu sprytu, jakim się wykazał. Niewielu przewodniczących Komitetu mogło się pochwalić, że skierowało KFR na nową ścieżkę. Próba Djiba skończyła się pożałowania godną klęską; Yakoub zaś odniósł sukces na całej linii. Nowa administracja zdawała się zdeterminowana, by odbudować reputację Ameryki. Obama obiecał, że wycofa amerykańskie oddziały z Iraku, a przede wszystkim, że zamknie centrum zatrzymań w Guantanamo, które Amnesty International przezwala „gułagiem naszych czasów”. Wszystko to dobrze wróżyło.

Mówiło się jednak, że nowy prezydent nie zazna stanu łaski, którym cieszyło się tylu jego poprzedników. W lecie świat pogrążył się w najcięższym kryzysie

gospodarczym od 1929 roku. Po latach uciekania naprzód bankierom zaczynało brakować naiwniaków, którym mogliby wcisnąć swoje papiery o zawyżonej wartości. Muzyka nagle się urwała i ci, którym poszczęściło się na tyle, że znaleźli wolne krzesło, czepiali się go rękami i nogami. Nurt transakcji, który zwykle nawadniał gospodarkę, zmniejszył się do postaci strumyczka: banki już nie pożyczają pieniędzy przedsiębiorstwom, te przestały więc udzielać kredytów własnym klientom, którzy z kolei dławili swoich dostawców. Ekonomiczna machina przestała się kręcić, bo zabrakło paliwa.

Również na rynku nieruchomości zapanował przestój. Kupujący, nie mogąc uzyskać pożyczki, składali nędzne oferty, które co poniektórzy sprzedawcy, przyparci do muru, byli zmuszeni zaakceptować. Banki, które przejmowały jedno mieszkanie za drugim, natychmiast wystawiały je z powrotem na sprzedaż, żeby nie musieć niczego załatwiać. W niektórych miastach, takich jak Miami czy Las Vegas, opustoszałe posiadłości liczyło się w tysiącach.

Kłopoty pierwszego banku handlowego, Bear Starns, uratowanego w marcu przez amerykański skarb państwa, powinny były podnieść alarm. Ale dopiero gdy w sierpniu Lehman Brothers ogłosił upadłość, na Wall Street zdano sobie sprawę, że rząd nie zawsze przyjdzie z pomocą. Skoro instytucja założona w 1850 roku i zatrudniająca dwadzieścia pięć tysięcy pracowników mogła rozpaść się w przeciągu jednego weekendu, to nikt nie był bezpieczny. Lehman miał ponad siedemset miliardów długu. Jego aktywa wyceniono przynajmniej na sto miliardów, ale likwidacja miała zająć lata. W międzyczasie zniechęceni wierzyciele musieli zwrócić się do akcjonariuszy, aby odbudować fundusze. Ponieważ inwestorzy gotowi otworzyć książeczki czekowe w środku szalejącego kryzysu monetarnego bynajmniej nie pchali się drzwiami i oknami, na scenę wkroczyły państwa, dzięki swoim rezerwom zapewniając przyrost kapitału. Jednak pieniądze podatników posłużyły pokryciu kolosalnych strat spowodowanych przez kilka grubych ryb, którym nie wystarczyło, że na zajmowanych stanowiskach zarabiały fortunę: zażądały ponadto iście królewskich odszkodowań za ustąpienie z fotela.

Ofiarami, jak to się często zdarza, padły jednostki. Firmy, których zarządy się kruszyły, masowo zwalniały ludzi. Banki gdzie tylko się odwróciły, tam przejmowały tytuły własności, a państwa kazały planować widmo przyszłych podwyżek podatków. Konwulsje rynków giełdowych poddawały ciężkiej próbie

nerwy właścicieli funduszy oszczędnościowych, szczególnie tych, którzy cały pakiet emerytalny zainwestowali w akcje. Krezusi, których imperia tonęły w długach, dostawali tydzień na przehandlowanie helikopterów i domków w Aspen. Ale nie trzeba było być bogatym, by drżeć ze strachu. Upadłość Lehman Brothers pokazała, że zawsze zbyt późno zaczynamy niepokoić się stanem swojego banku. Media podsycaly unosząc się w powietrzu paranoję. Czy należy opróżnić konto, czy wręcz przeciwnie, otworzyć drugie? Kupować sztabki złota czy założyć ogródek warzywny? Korzystać z zaniżonych cen w sklepach czy pieczołowicie chować pieniądze w skarpecie? Czytało się same sprzeczne porady, co było wykańczające.

Kryzys zebrał też niespodziewane żniwo, kiedy wielu inwestorów potrzebujących gotówki usiłowało wycofać oszczędności z jedyne go funduszu, który nie został zmasakrowany. Wobec zalewu żądań wypłaty gwarancyjnej zarządca portfela, niejaki Bernie Madoff, musiał wyznać, że od lat budował piramidę finansową. Stały napływ nowych inwestorów zwabionych niezmiennymi wynikami funduszu aż do chwili obecnej wystarczał na spłacanie osób z niego występujących, a także na finansowanie imponującego stylu życia klanu Madoffów. Wśród ofiar znaleźli się emerytowani dentyści, profesorowie uniwersyteccy, organizacje charytatywne, a nawet laureat Nagrody Nobla. Wszyscy opowiadali niemalże tę samą historię: na początku powierzyli Madoffowi niewielką część majątku, a później, widząc pierwsze rezultaty, stopniowo zwiększali swój wkład, w przypadku niektórych aż do momentu, w którym utopili w przekręcie wszystkie oszczędności. W przeblysku przytomności umysłu pewien radiolog z West Palm Beach oświadczył: „To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, ale ja chciałem w to wierzyć”.

Kryzys nie oszczędził też mojego otoczenia, począwszy od mojego pracodawcy, którego portfel w drugiej połowie 2008 stracił trzydzieści procent na wartości. Zarządzanie aktywami KFR-u, stanowiącymi początkowo darowiznę od Pierre’a Ménarda, powierzono tuzinowi specjalistycznych instytucji, które nie znały prawdziwej natury naszej działalności. Komitet zbierał się dwa razy do roku, aby skontrolować rejestr stanu kont na miniony okres i – okazjonalnie – zrewidować wytyczne. Ponieważ nasza fortuna rosła w oczach, nabraliśmy zwyczaju niemal ślepego podążania za radami naszego indyjskiego dyrektora finansowego, Anhila

Patela. Później odkryliśmy, że Patel dostawał od zarządców portfeli bonusy wprost proporcjonalne do powierzanych im kwot. W celu zmaksymalizowania własnych zysków stopniowo spychał Komitet w dół złowieszczonego zbocza długu. „Trzeba być głupcem, żeby przy oprocentowaniu wynoszącym pięć procent nie pożyczyć pieniędzy, które moglibyśmy następnie ulokować z dwunastoprocentowym zyskiem”, wyjaśnił pewnego dnia na zebraniu. Trzeba być jeszcze większym głupcem, by uwierzyć, że te dwanaście procent stanowi gwarancję – a jednak wyglądało na to, że sześcioro naszych poprzedników jak jeden mąż dało się nabrać na tę iluzję. Począwszy od tamtego dnia dźwignia finansowa KFR-u rosła z każdym rokiem. Każdy pożyczony i zainwestowany dolar zwiększał bonusy Patela oraz ryzyko, na które byliśmy narażeni. Na jesieni 2008 roku, kiedy rozpętał się kryzys, zadłużenie KFR-u wynosiło sto procent. Innymi słowy, każdy jednoprocenowy spadek kursu oznaczał spadek wartości naszych aktywów o dwa procent. Wpadliśmy w pułapkę, przed którą ostrzegaliśmy innych.

Yakoub, który zaczął podejrzewać Patela o jakiś wybieg, poprosił Lenę, by przyjrzała się jego rachunkowi. Dunka w niedługim czasie odtworzyła przepływ dodatkowych pieniędzy. Patel tego samego dnia stracił pracę i trzydzieści pięć milionów dolarów, które uważał za bezpiecznie ukryte na kajmańskim koncie.

Zobowiązaliśmy nowego dyrektora finansowego do spłacenia długu KFR-u dzięki sprzedaży aktywów, nawet jeśli odbyłoby się to z dużą stratą. Yakoub chciał zacząć 2009 rok z czystą kartą. Pozbyliśmy się pakietów akcji, obligacji, baryłek ropy oraz lasów, jeszcze trochę bardziej zaniżając ceny. Sprzedaliśmy naszego van Gogha, statuetki Giacomettiego oraz manuskrypt (autentyczny) Leonarda da Vinci. Pomimo nacisków ze strony Martina Suareza, który uważał, że rozsądnie byłoby zmniejszyć łączną kwotę wypłacanych pensji, Yakoub i Zoe Karvelis nie zgodzili się na żadne zwolnienia, a nawet na spowolnienie procesów rekrutacyjnych.

Suarez – może dlatego, że został dokooptowany jako ostatni – nalegał, aby znaleźć osoby odpowiedzialne za tę klęskę, która ostatecznie kosztowała nas kilka miliardów. Patel stanowił idealnego winowajcę, ale nie dało się zaprzeczyć, że Komitet nie dopełnił swojego obowiązku kontrolowania oraz zachowania ostrożności. Yakoub zaproponował, że weźmie winę na siebie, gdyż jako przewodniczący powinien wykazać wzmożoną czujność. Shao i Onobanjo się temu sprzeciwiły. Ja przypominałem, że malwersacje Patela zaczęły się w 2001 roku,

pod kuratelą Djiba. My jedynie dostosowaliśmy się do opinii naszego ówczesnego lidera, który – o czym nie musiałem chyba przypominać – nie zachęcał do wyrażania odmiennego zdania. Zoe wyszła mi naprzeciw: przypominała sobie teraz, że Djibo z całych sił naciskał, by zgodnie z użytym przez niego sformułowaniem: „zdynamizować zarządzanie funduszami KFR-u”. Suarez miał tyle dobrego smaku, żeby zadowolić się tym wytłumaczeniem, i przewróciliśmy tę bolesną kartę.

W porównaniu z innymi wyszliśmy z tego bez szwanku. Cormac, irlandzki kreator szczęścia, zwinął interes, zanim udało mu się upłynnić te urocze domki; Vargas, porządny chłop, zwrócił mu otrzymane honorarium. Kryzys w Europie nie poprawił sytuacji Mathilde i jej męża. Wynieśli się z domu, by zamieszkać w szeregowcu; mama podejrzewała, że Horst gra w pokera online, próbując odbić sobie straty. Nina objęła kierownictwo nad Jöro w najgorszym możliwym momencie: przedsiębiorstwa zmniejszyły datki, podczas gdy stowarzyszenie angażowało się w znaczące inwestycje.

Islandia zapłaciła kryzysowi duży okup. Trzy największe banki w kraju zostały oddane pod kontrolę państwa. Po latach wabienia angielskich i holenderskich inwestorów obietnicami inwestycji gwarantowanej okazało się, że nie są w stanie zwrócić ich pieniędzy, gdy wszyscy zażądali ich w tym samym czasie. W konsekwencji islandzka korona spadła na łeb, na szyję, a kapitalizacja giełdy w Reykjavíku zmniejszyła się o dziewięćdziesiąt procent. Młodzi masowo emigrowali, żeby nie musieć spłacać zobowiązań swoich rodziców.

Mój stary przyjaciel Gunnar również drogo zapłacił za swoją nieostrożność. Tonąc po szyję w długach, a nie dysponując taką poduszką bezpieczeństwa jak KFR, ulokował połowę swoich oszczędności w akcjach spółek związanych z nowoczesnymi technologiami na giełdzie NASDAQ, a drugą w gwarantowanych produktach islandzkich banków. Portfel, który miał finansować spokojne dni jego starości, skurczył się o trzy czwarte. Tuż przed Bożym Narodzeniem złożyłem mu wizytę. Z goryczą oświadczył, że musiał przesunąć przejście na emeryturę o dwa lata. Kiedy się żegnałem, zapytał, patrząc mi prosto w oczy, czy KFR miał jakiś interes w wywołaniu trwającego kryzysu.

– Nie, nie tym razem – odparłem ze smutkiem.

2

Pod koniec 2008 roku Lena zaprosiła mnie na lunch. Było to na tyle rzadkie wydarzenie, że warto o nim wspomnieć. Ostatni – i jedyny – raz miał miejsce w 1995 roku, kiedy to Dunka, udając, że odkrywa przede mną argentyńską kuchnię, porządnie zjechała moją pierwszą teczkę. Tym razem nie znałem jej intencji. Czy zamierzała wreszcie podziękować mi za to, że przed pięcioma laty się za nią wstawiłem? Wznieść toast za nasz niedawny wspólny sukces? Poruszyć kwestię swojej przyszłości w KFR-ze, ponieważ talent powinien zapewnić jej bardziej znaczącą rolę niż funkcja luksusowej konsultantki, do której sprowadzała się jej praca? Byłem gotów podyskutować na każdy z tych tematów albo zwyczajnie zjeść dobry posiłek, podziwiając lepszy (lewy) profil Leny.

Teoria dobrego posiłku upadła, kiedy ujrzałem restaurację, w której mieliśmy się spotkać. „Ruda Marcheweczka” – głosił szyld w jaskrawym kolorze, w jakim konkretnie – pozwolę wam zgadnąć. Napis na drzwiach rozwiał moje ostatnie wątpliwości: „Makrobiotyczne specjały na bazie marchwi”.

Lena, która już czekała w środku, dała mi znak, zanim zdążyłem odwrócić się na pięcie. Nie miałem innego wyboru, jak tylko dołączyć do niej, przecierając szlak przez pełną po brzegi salę. Studiowała kartę, przycupnięta na taborecie. W Toronto, jak wszędzie indziej, fotele i obite moleskinem ławy powoli znikają z restauracji, a zastępowują je niewygodne siedziska zapewniające szybszą rotację klientów.

– Spóźniłeś się – zauważyła Lena oschle. – Już prawie anulowali moją rezerwację.

– To tu trzeba rezerwować?

– Widziałeś, ile ludzi? Czeka się dwa tygodnie.

– Żartujesz?

– A wyglądam, jakbym żartowała? Jedyne sposoby na to, żeby dostać stolik w tygodniu, to przyjść przed jedenastą.

– Nie dowożą?

– Powyżej stu dolarów.

– W pojedynkę raczej mało prawdopodobne jest złożenie takiego zamówienia – zaśmiałem się, wyobrażając sobie górę tartej marchewki.

– Nie, faktycznie, trzeba by zaplanować kilka posiłków.

Zaalarmowany tą ostatnią uwagą, otworzyłem menu. Przystawki zaczynały się od piętnastu dolarów, dania główne od dwudziestu pięciu.

– Tanio to tu nie jest – stwierdziłem. – W Córdoba za taką cenę można by zjeść całego barana.

– Wiesz, ile w Argentynie jest zawałów? – odparła Lena.

– Nie i wolę nie wiedzieć. Co mi radzisz?

– Jesteś głodny?

– W rozsądnym stopniu – odrzekłem, nieco zbyt późno zdając sobie sprawę, że trudno by było o trafniejsze określenie.

– W takim razie polecam ci tartę na cieście francuskim z nadzieniem z marchwi i ziemniaków. Podają ją z zieloną sałata.

Za dwadzieścia siedem dolarów wydawało się to absolutnym minimum.

– Ty to zamawiasz?

– Nie – odpowiedziała Lena. – Ja biorę zupę marchewkową z pomarańczą.

– Na przystawkę?

– Jako danie główne.

– I to ci wystarczy?

– Jeśli zostanie mi trochę miejsca, może skuszę się na deser. Są przepyszne.

– Wyobrażam sobie.

Lena gestem przywołała kelnerkę, która przyjęła od nas zamówienie.

– A do picia? – spytała dziewczyna.

– Colę – poprosiłem.

Kelnerka spojrzała pytająco na Lenę, nie wiedząc, czy się wygłupiam.

– Podają jedynie wodę i napoje na bazie marchwi – wyjaśniła Lena. – Chcesz zajrzeć do karty koktajli?

– Nie trzeba, dzięki. Zadowolę się wodą gazowaną.

– Dla mnie duża szklanka soku – rzuciła Lena.

– Odmiana kalifornijska?

– Z Wisconsin.

Kelnerka skinęła głową na znak aprobaty i odeszła.

– Widziałaś? – zagadnąłem. – Ruda jak marchewka. Śmieszne, nie?

– Nie zauważyłaś? Wszystkie są rude.

Rozejrzałem się wokół. Faktycznie, dziesięć kelnerek znajdujących się w zasięgu wzroku nosiło zielone sukienki i pomarańczowe fartuszki, a do tego mogło się pochwalić wspaniałymi płomiennymi czuprykami.

– Ruda Marcheweczka, oczywiście...

– Sądziłam, że jesteś bystrzejszy.

– A ja, że jesteś miłsza. Powiedz mi raczej, czemu zawdzięczam przyjemność uczestniczenia w tej uczcie.

– Och, niczemu szczególnemu. Pomyślałam po prostu, że nieczęsto razem jadamy...

Niewielu ludzi kłamało tak kiepsko jak Lena. Czasami wstydziłem się za nią z tego powodu.

– Dwa razy w ciągu piętnastu lat, to rzeczywiście dość sporadycznie – zadrwiłem.

– Widzisz, od razu robisz się agresywny.

– Nie jestem agresywny, ucinam grzecznościowe wstępy. Czego potrzebujesz? Zastanowiła się, a potem postanowiła powiedzieć mi prawdę.

– Tak się składa, że od pewnego czasu pracuję nad jednym... nazwijmy to: osobistym projektem.

– Nad teczką?

– W pewnym sensie.

– Co to znaczy „w pewnym sensie”?

– Tak, to teczka, ale zakrojona na dość szeroką skalę.

– Inicjatywa?

– Nie, nie inicjatywa, teczka.

– Czego dotyczy?

Lena machnęła lekceważąco ręką.

– Nieistotne.

– Jak to „nieistotne”?

– Mam na myśli, że nie musisz wiedzieć na ten temat wiele więcej.

– Serio? Bo na chwilę obecną nie wiem nic.

Lena wierciła się na taborecie, coraz bardziej skrepowana.

– No dobrze – rzuciła. – To teczka o Majach.

– Majach, tych Indianach?

– Tak.

– I co też spotyka twoich Majów?

Gestem dała mi do zrozumienia, że nic więcej nie powie.

Zdawało mi się, że wiem, do czego zmierza. Agenci trzeciej klasy mogli wydać na swoje projekty do miliona dolarów rocznie. Jeżeli chcieli przekroczyć tę kwotę, potrzebowali zgody członka Komitetu. Był początek grudnia, co kazało mi podejrzewać, że Lena wyczerpała budżet, a nie miała cierpliwości czekać do przyszłego roku.

– Nie sądzisz chyba, że odblokuję ci dopłatę, nie znając choćby ogólnego zarysu twojej teczki?

– A kto mówi coś o dopłacie?

– Nie o to zamierzasz mnie prosić?

– Skąd, mam tyle pieniędzy, ile mi trzeba.

– No to w czym rzecz?

– Tarta francuska? – spytała kelnerka, choć nie słyszałem, jak się zbliża.

– Tutaj – odparłem, rozdrażniony tą przerwą.

Rozkładając serwetkę, rozejrzałem się dokoła. Miejsce wydało mi się w niejasny sposób znajome, lecz nie umiałem sobie przypomnieć dlaczego.

– Przedtem był tu inny lokal, prawda? – zwróciłem się do kelnerki.

– Tak, proszę pana, pizzeria.

– A przed pizzérią?

– Francuska restauracja.

– Le Relais?

– Właśnie tak, skąd pan wie?

– Jeden z moich starych przyjaciół był u nich stałym klientem. Miałem przyjemność jeść tam raz kolację. Jedzenie było soczyste, chociaż trochę tłuste.

Kelnerka wzniosła oczy do nieba. Wtedy zauważyłem, że jest wychudzona niczym ryszczokowy kot. Musiała już dawno temu skreślić lipidy ze swojej diety.

– Zamknęła ich inspekcja sanitarna – dorzuciłem sadyście.

– Za co? – chciała wiedzieć Lena.

– Och, same drobiazgi... Cykliczne przerwy w łańcuchu chłodniczym,

nielegalny import kiełbasy andouille, wykorzystywanie resztek...

– Rozumiem – przerwała mi Lena.

– Przeteterminowane produkty, karaluchy w zlewie, ślady moczu w sosach...

– Dziękujemy pani – powiedziała Lena, odsyłając kelnerkę. Potem odwróciła się do mnie: – Skończyłeś traumatyzować tę biedną dziewczynę?

– Traumatyzować? – powtórzyłem, przybierając urażoną minę. – Ja tylko wzbogacam kulturę lokalną. Nie smakuje ci zupa?

– Daj mi spokój!

– O czym to mówiliśmy? Ach tak, szykowałeś się właśnie, żeby mi opowiedzieć o swojej teczce o Majach.

– Niezła próba...

Wściekle zaatakowała zupę. Po raz kolejny udało mi się niechcący ją rozzłościć. Już mnie to nawet nie zaskakiwało: nasze rozmowy od dwunastu lat zdawały się kończyć w taki właśnie sposób.

Dziabnąłem tartę końcem widelca. Wyglądała dość apetycznie, ale już nie byłem głodny.

– No dobrze, to co mogę dla ciebie zrobić? – zapytałem.

– Nic – odrzekła z oczami utkwionymi w talerzu.

– Daj spokój, Leno, nie ściągnęłaś mnie tu dlatego, że troszczysz się o moją dietę. Powtórzę więc pytanie: co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie wiem. – Wreszcie odpowiadając na moje spojrzenie, dodała: – To Yakoub życzył sobie, żebym się z tobą spotkała.

– Pracujesz z Yakoubem? Nad swoją teczką o Majach?

– Tak.

– Od kiedy?

– Od trzech lat.

Wiadomość, że Ching Shao jest nieślubną córką Mao Zedonga, nie zdumiałaby mnie bardziej. Yakoub i Lena – przewodniczący KFR-u i awanturnica, która nieomal doprowadziła do jego zagłady – współpracowali za moimi plecami! Na tę nowinę bez namysłu przełknąłem jedną trzecią mojej tarty.

– Dlaczego ja? – spytałem.

– Sądzę, że chciałby poznać opinię innego członka Komitetu.

To mogło oznaczać tylko jedno, a mianowicie, że Lena planowała wydać

w przyszłym roku ponad pięć milionów dolarów; powyżej tego progu potrzebowała dwóch mecenasów. Postanowiłem chwilowo odsunąć kwestię finansową na bok.

– I chcesz, żebym uwierzył, że wybrałaś mnie zamiast Zoe czy Sophie?

– Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym za bardzo.

– Taa, jasne...

– A poza tym nie wydaje się, żebyś miał teraz nawał pracy...

– To prawda, w tym miesiącu zostałem jedynie wybrany przewodniczącym.

Powiedz prawdę, Leno!

– Yakoub nalegał, żebym zwróciła się do ciebie.

– No, nareszcie!

Pochłonałem kolejną jedną trzecią tarty, nie poświęcając na gryzienie więcej czasu niż za pierwszym razem.

– Czego tak naprawdę ode mnie oczekuje?

– Nie mam bladego pojęcia – skłamała Lena.

– Może powinienem sam go o to zapytać – oznajmiłem, wyciągając telefon.

Lenie nagle wróciła pamięć.

– Chciałby poznać twoje zdanie na temat mojej teczki, zanim podejmiemy znaczące wydatki.

– Chciałby poznać moje zdanie? Dokładnie takich słów użył?

– Czy dokładnie takich, tego nie jestem pewna. Ale takie było przesłanie, tak.

– Moje zdanie odnośnie czego?

– Och, podejrzewam, że chodzi o twoją ogólną opinię.

– O jakimś szczególnym aspekcie teczki? – naciskałem, czując, że ogarnia mnie zniecierpliwienie.

– Właściwie to nie – powiedziała Lena, która od początku tej wymiany zdań dmuchała na zupę. – Interesuje go pomysł, scenariusz, źródła, plan działania i co tam jeszcze!

– Ale przede wszystkim scenariusz?

– Nie w większym stopniu niż cała reszta, nie.

– Ach, starczy już tego! – zagrzmiałem, uderzając pięścią w stół tak gwałtownie, że zupa rozlała się na obrus.

Wszyscy goście przestali jeść, z widelcami zastygłymi w powietrzu filując na reakcję Leny.

– Uspokój się, do diaska – wycodziła Dunka przez zęby. – Chcesz, żeby nas wyprosili?

– Nie byłoby to najgorsze, co może mnie spotkać – odrzekłem, zniżając głos. – A teraz posłuchaj mnie uważnie: Yakoub nie wspierałby twojego projektu, gdyby nie uważał wyjściowego pomysłu za świetny; oboje wiemy, że jesteś dużo lepszą fałszerką niż ja; pozostaje scenariusz, co, całkowitym przypadkiem, nigdy nie było twoją mocną stroną.

– Yakoub mówi, że nie do końca dorównuje poziomem reszcie teczki...

– A niech mnie, Leno! – wykrzyknąłem, po raz kolejny waląc pięścią w stół. – Przestań sobie wmawiać bzdury. Skoro tu jesteśmy, to znaczy, że twój scenariusz nie jest wart funta kłaków i Yakoub chce, żebym gruntownie go przerobił. Zresztą wkrótce przekonamy się, kto ma rację – oświadczyłem, wstając.

– Co ty robisz? – spytała Lena z paniką.

– Idziemy się spotkać z Yakoubem. Oboje. Mam dość wykrętów.

– Usiądź, proszę, ludzie się gapią.

W rzeczy samej, właśnie zbliżała się nasza kelnerka z na tyle groźną miną, na ile pozwalało jej te trzydzieści osiem kilo wagi.

– Wszystko w porządku, proszę pani – zapewniła Lena, prędko ukrywając plamy z zupy pod serwetką.

– Będę musiała państwa poprosić o opuszczenie lokalu i niepojawianie się u nas ponownie – ogłosiła kelnerka drżącym głosem.

– Z radością – rzuciłem, chwytając płaszcz. – Właśnie mówiłem przyjaciółce, że te jej marchewki z Wisconsin wyglądają, jakby pochodziły z Michigan. Le Relais może i miała myszy w kuchni, ale przynajmniej nie oszukiwała klientów w kwestii oferowanych produktów.

*

Długo czekaliśmy pod drzwiami Yakouba, aż ten pozbędzie się swoich gości. Jego sekretarka zaproponowała, że powiadomi nas, kiedy szef będzie wolny, ale ja jej nie ufałem. Byłem zdecydowany wyjaśnić tę sprawę najszybciej, jak to możliwe. Żłopałem kawę za kawą, podczas gdy Lena dumiała w swoim kąciку, nie odzywając się do mnie choćby słowem. Czarująca chwila.

Natręci w końcu się pożegnali. Yakoub odprowadził ich do windy, wciskając im

w dłonie bilety na wystawę poświęconą podmorskiej faunie, której „za nic nie można przegapić”. Jego łatwość w nawiązywaniu kontaktów imponowała mi tym bardziej, że jej nie nadużywał, w przeciwieństwie do Djiba, który posługiwał się swoim czarem niczym bronią.

– Wejdźcie, wejdźcie – zaprosił, odsuwając się, żeby nas przepuścić.

Zerknął na zegarek.

– Za pół godziny spodziewam się ważnego telefonu.

– Tyle czasu w zupełności wystarczy – uznałem chłodno.

Ledwie usadowiliśmy się wokół stołu konferencyjnego, a już zacząłem:

– Lena poinformowała mnie, że pomagasz jej przy teczce...

– Ależ tak – rzucił Yakoub bez najmniejszego śladu zawstydzenia. – Przyszła do mnie dwa lata temu...

– Trzy – poprawiła Lena.

– Właśnie tak, trzy lata temu. Projekt był już na dość zaawansowanym etapie. Potrzebowała pieniędzy na przeprowadzenie badań technicznych.

Fakt, że Lena zwróciła się do Yakouba, który dwa lata wcześniej żądał jej głowy na tacy, a nie do mnie, który uratowałem jej życie, zaskoczył mnie i – czemu zaprzeczać? – okrutnie zranił. Kiepsko odpłaciła mi za wielkoduszność.

– Milion dolarów na badania techniczne? – zdziwiłem się. – Budujecie kolonię na Marsie?

Jeśli Yakoub zauważył moje podenerwowanie, nie dał tego po sobie poznać.

– Ależ nie! Nie wydaliśmy miliona, tylko...?

Zerknął na Lenę.

– W ciągu trzech lat: sześć i pół, prawie siedem milionów – oświadczyła Dunka.

– Siedem milionów dolarów? – powtórzyłem oszołomiony. – Ale na co?

– Więc Lena ci nie powiedziała? – spytał Yakoub.

– Nic. Zero.

Lena zaprotestowała gwałtownie:

– Właśnie miałam to zrobić, kiedy Sliv wywołał awanturę w restauracji!

Yakoub westchnął, jakby miał do czynienia z dwojgiem małych, którzy rzucają na siebie nawzajem odpowiedzialność za jakąś głupotę.

– Opowiedz mu to, co wyłożyłaś mnie trzy lata temu – polecił Lenie. – Nie ma sensu zanudzać go na tym etapie szczegółami, tylko główny zarys.

– Z przyjemnością – zgodziła się Lena, jakby na nic innego nie czekała. – Zaczęło się od pewnej konstatacji. KFR przeznacza znaczne środki na naginanie historii czy snucie imponujących opowieści. Dwie rzeczy utrudniają nam zadanie: dyrektywy Planu ograniczają nasze pole działania, ale przede wszystkim – nie możemy odciąć się od rzeczywistości. Zadałam więc sobie pytanie, dlaczego by nie wyjść od czystej karty, tworząc od zera cywilizację, którą moglibyśmy formować wedle życzenia?

– Wymyśloną cywilizację? – spytałem, myśląc o Atlantydzie albo krainie Shangri-La.

– Nie, nie do końca. Wymyślone cywilizacje mają jedną fundamentalną wadę: każdy może kształtować je po swojemu, bez obaw, że ktoś mu zaprzeczy. Weź choćby przykład Atlantydy, tej zatopionej wyspy wspomnianej po raz pierwszy przez Platona. Zainspirowała całe legiony poetów, autorów science fiction, ezoteryków i niegroźnych wariatów, którzy widzieli w niej na zmianę a to cywilizację zniszczoną w wyniku erupcji wulkanu Santorini, a to kolebkę rasy aryjskiej, a to wreszcie podwodne miasto zamieszkiwane przez istoty będące na wpół ludźmi, na wpół rybami. Krótko mówiąc, wyobraźnia zabiła mit.

– Skoro Atlantyda może być tymi wszystkimi rzeczami naraz, to nie jest już niczym – podsumowałem.

– Właśnie. Tak samo z Ys czy Lemurią. Łatwiej kontrolować wymarłą cywilizację. Naturalnie tutaj także powstaje pole do spekulacji, ale ograniczone pewnymi uwarunkowaniami historycznymi czy geograficznymi...

– Poczekaj – przerwałem jej. – Mówisz o stworzeniu całkiem nowej cywilizacji?

– Nie, to by nie było realistyczne. Skąd by się wzięła i jak wytłumaczyć jej zniknięcie? Zadowoliliam się nietypowym plemieniem Majów, które osiedliło się na zboczu wulkanu w pobliżu dzisiejszego Veracruz i które przeżyło swoją złotą erę w dziewiątym wieku, zanim unicestwiła je erupcja.

Yakoub dorzucił, spoglądając na mnie:

– Domyślasz się, że daty się zgadzają. Wiadomo, że w osiemset dziewięćdziesiątym roku miał miejsce relatywnie poważny wybuch wulkanu San Martin, położonego pięćdziesiąt kilometrów od Veracruz.

– Och, tego jestem pewien. Trudno mi za to zrozumieć, na co przyda się ta zaginiona osada, skoro zdaje się, że historycy odkryli już główne tajemnice

cywilizacji Majów.

Lena się uśmiechnęła. Czekwała na to pytanie.

– Spośród wielu innych cywilizacji wybrałam Majów właśnie dlatego, że pomimo licznych cech wspólnych, ich miasta cieszyły się ogromną autonomią. Miały własnych wodzów, własne rytuały, własne specjalności rzemieślnicze, a w niektórych przypadkach nawet własnych bogów.

– I czym twoje plemię odróżnia się od innych?

Lena popatrzyła na Yakouba pytająco, nie wiedząc, czy powinna odpowiadać na moje dociekania.

– Najlepiej będzie, jeśli przeczytasz teczkę ze świeżym spojrzeniem – stwierdził Yakoub. – Musi cię zaskoczyć. Nie będę ukrywał, że na początku byłem sceptyczny, ale rozmach wizji Leny, a także jakość pierwszych wyrobów rozwiąły moje zastrzeżenia.

– Jakich pierwszych wyrobów?

Lena znów odwróciła się do Yakouba, który skinął głową.

– Okazuje się, że garść artefaktów przetrwała erupcję wulkanu: ceramika, biżuteria, przede wszystkim zaś kodeks – rodzaj manuskryptu...

– Wiem, co to kodeks, dziękuję – uciałem nieco oschle.

– A zatem wiesz też może, że na całym świecie istnieje tylko parę autentycznych. Stanowią główne narzędzie historyków pragnących zrozumieć sposób myślenia Majów.

– Chcesz sfabrykować kodeks? Masz pojęcie, jak licznym testom poddaje się każde najdrobniejsze znalezisko archeologiczne?

– Biorąc pod uwagę, że studiuje tę kwestię od trzech lat, mogę chyba powiedzieć, że mam na ten temat dość dobre pojęcie – odparła Lena niewzruszona.

– Zapominasz, że od dwutysięcznego roku KFR nie stosuje już falsyfikacji historycznej. Ani się obejrzysz, jak Londyn odrzuci twój projekt.

– Londyn dostosuje się do opinii Komitetu – oświadczył Yakoub.

– Bo ty popierasz fałszowanie artefaktów sprzed tysiąca lat? To czyste szaleństwo!

– Poczekaj, aż zobaczysz pierwsze dzieła Leny. Istnieje ryzyko, że na ich widok zmienisz zdanie.

Zdusiłem przekleństwo, które przemknęło mi przez myśl. Nie byłem sobą.

Dłonie mi drżały z powodu kofeiny, która krążyła w moich żyłach.

– Czego ode mnie chcesz? – spytałem tak spokojnie, jak tylko mogłem.

– Żebyś wsparł Lenę przy scenariuszu.

– Komu potrzebny scenariusz, kiedy można spychać artefakty Majów ze zboczy wulkanu?

Moja odpowiedź wystrzeliła sama, niekontrolowana.

– Zawsze potrzebujemy dobrego scenariusza – odparł Yakoub dobrodusznie.

– A scenariusz Leny nie jest dobry? – nalegałem.

Spiął się niemal niezauważalnie, zanim zmusił się do uśmiechu. Jego cierpliwość dało się wytłumaczyć tylko na dwa sposoby: albo Lena obmyśliła teczkę stulecia, albo oboje naprawdę mnie potrzebowali.

– Powiedzmy, że można go poprawić – rzucił Yakoub w stylu wieszczki Sybilli.

– Pod jakim kątem?

– Wolę nie wywierać na ciebie żadnego wpływu.

– Uważasz, że brakuje mu siły rażenia – wtrąciła Lena, która podczas naszej wymiany zdań trzymała się na uboczu, niewątpliwie uważając, że sam doskonale potrafię się ośmieszyć.

– Istotnie – przytaknął Yakoub. – Ale nie martwię się: zdaje się, że Sliv ma dziś pod dostatkiem siły rażenia. Możesz nam teraz wybaczyć?

Lena wyszła, powłócząc nogami, jak dziecko obrażone, że musi iść spać.

– Co się dzieje? – spytał mnie Yakoub, kiedy zamknęła drzwi. – Nigdy cię takim nie widziałem. Piłeś?

– Gorzej: jadłem marchewki.

Yakoub się rozluźnił.

– Zabrała cię do tej knajpy dla hipsterów? Biedaku... Kiedy mnie to spotyka, napycham się pieczywem i patrzę, jak gmera w swoim talerzu, a sam tymczasem marzę o steku z sosem pieprzowym.

Na tym etapie przydałoby mi się nie tyle współczucie, co jakieś wyjaśnienia.

– A niech mnie, Yakoubie, siedem milionów na badania techniczne?

– I więcej; gdybym przystał na wszystkie prośby Leny, wydalibyśmy trzy razy tyle.

– Kiedy zamierzasz pomówić o tym z Komitetem?

– Gdy tylko wyrazisz swoją opinię.

– O scenariuszu?

– O sile oddziaływania teczki. Osobiście uważam, że nie zrobiliśmy nic równie ważnego od czasu Timoru.

– Zapominasz o wyborze Obamy...

Zaraz zdałem sobie sprawę z popełnionego błędu. Yakoub nigdy o niczym nie zapominał.

3

Struktura teczek KFR-u od stu lat pozostaje praktycznie niezmienna. W pierwszej części, to jest w „scenariuszu”, agent prezentuje historię, którą pragnie rozpowszechnić; w drugiej, zwanej „źródłami”, sporządza listę działań, jakie należy podjąć, żeby tę opowieść potwierdzić.

Dokument, który kartkowałem tamtego wieczoru przed kominkiem, już właściwie nie zasługiwał na miano teczki. Przypominał raczej roboczą wersję pracy naukowej, w której Lena podsumowywała znane historykom informacje, omawiała wizerunek cywilizacji prekolumbijskich w świadomości zbiorowej i zarysowywała główne cechy wyimaginowanego miasta unicestwionego przez wybuch wulkanu w 890 roku. Całość liczyła jakieś sto stron, naszpikowanych odsyłaczami do aneksów zatytułowanych: *Zgodność systemów kalendarzowych wśród Majów* albo *Autentyczność kodeksu Grolier*.

Już samo to, jak wyczerpująca okazała się bibliografia, przyprawiało o zawrót głowy. Trudno było uwierzyć, że o Majach napisano tyle książek, a tym bardziej że Lena wszystkie je przeczytała. Gunnar wyznawał zasadę, że nigdy nie można zebrać za dużo danych. Owo twierdzenie od zapoznania się ze *Szlakami handlowymi w obrocie obsydianem na środkowym wybrzeżu Belize* czy *Technikami tarasowania zboczy u Olmeków* dzielił krok, którego nie postawiłby nawet mój skrupulatny mentor.

Rozumiałem już teraz powód stojący za powtarzającymi się nieobecnościami Leny. W ciągu ostatnich trzech lat jedenastokrotnie wyprawiała się do Meksyku, w tym raz jako wolontariuszka w stowarzyszeniu archeologicznym przeszukującym ruiny Palenque. Odwiedziła muzea poświęcone sztuce prekolumbijskiej w Madrycie, Helsinkach oraz Limie i wzięła udział w dwóch konferencjach zorganizowanych przez towarzystwa naukowe, podając się za islandzką academiczkę. Daty znaczące jej dokumenty pokazywały, że pracowała nad tą sprawą także w lecie, kiedy pomagała mi zorganizować niepowstrzymany wzrost popularności medialnej Sarah Palin. Musiała już spędzić nad tym projektem kilka

tysięcy godzin. Taka wytrwałość wobec braku jakiegokolwiek gwarancji sukcesu wymuszała szacunek.

Jak można się było spodziewać, techniczna strona teczki nie pozostawiała nic do życzenia. Dla przykładu: Lena rozważała, czy przeciętnych rozmiarów erupcja może zniszczyć kamienne budowle – otóż tak, jeżeli miasto znajdowało się wystarczająco blisko wulkanu. Wyliczała obecnie stosowane techniki datacji i spekulowała na temat nowych, które mogły rozwinąć się w nadchodzących dekadach. I wreszcie, kiedy zauważyła, że data wybuchu wulkanu budzi kontrowersje i może o dwadzieścia lat różnić się od powszechnie przyjmowanej, postanowiła nie używać przedmiotów powstałych po 870 roku.

Obawiałem się, że Lena wbiła sobie do głowy, że sama wytworzy tych kilka artefaktów – biżuterię, ceramikę, noże... – które zamierzała rozsiać po stoku wulkanu. Zamiast tego pragmatycznie zdecydowała kupić je na czarnym rynku, gdzie obracano tysiącami reliktyw, o których nie miały pojęcia władze celne ani kustosze muzealni. Postanowiła za to przygotować jeden lub dwa kodeksy, czyli zbiory pergaminowych kart przypominające książki. Pomysł, który jeszcze przed paroma godzinami uważałem za groteskowy, nie wydawał się już tak absurdalny, kiedy zapoznałem się ze szczegółami. Lena rozłożyła zadanie na tuzin praktycznych problemów, delikatnych, ale nie nierozwiązywalnych. Czy można wyprodukować papier sprzed tysiąca lat? Jakich pigmentów i pędzli użyć? Jak poradzić sobie z faktem, że do dzisiaj specjaliści odszyfrowali zaledwie dwie trzecie pisma Majów? Tyle było placów budowy, na których metodycznie harowała od trzech lat, i zdawała się bliska celu.

Techniczna wirtuozeria Leny przestała mnie zadziwiać. W teczce uderzyły mnie jednak dwie rzeczy: ambicja oraz prostota zamysłu. Pomijając jej pierwszy scenariusz (dotyczący emigracji greckiej osady do Nebraski), Lena miała tendencję do hamowania swojej wyobraźni, co stanowi klasyczną cechę agentów z obsesją na punkcie bezpieczeństwa. Nie wyprawiała się poza martwe dziedziny – mitologię, botanikę, starożytność... – gdzie na pierwszym miejscu stawiała źródła, a w głębi umieszczała niezmiennie mdłe opowieści, których osobiście wstydziłbym się przedłożyć Londynowi. Jej teczka o Majach pozostawała w domenie historycznej, ale zawierała ładunek szaleństwa, iskierkę barokowości, o jaką nigdy bym Leny nie podejrzewał. Stworzyła ni mniej, nie więcej, jak tylko zaginione miasto,

społeczność dziesięciu tysięcy dusz złączonych przez wspólną kosmogonię. Układała święte teksty i wymyślała rytuały ofiarne, traktaty handlowe oraz przepisy kulinarne. Jeszcze trochę i byłbym gotów zapewnić, że grasuje na moim terenie.

Ta teczka odkrywała inne oblicze Leny, jeszcze bardziej nieoczekiwane. Dunka kazała swojemu plemieniu głosić przesłanie o pokoju i harmonii ocierające się o naiwność. Przypominając sobie jej poprzednie teczki, zauważyłem, że wszystkie w taki czy inny sposób pasują do tego opisu. Niewolnik Gajusz Marek, mimo że widział, jak Rzymianie masakrują jego rodzinę, błagał Spartakusa, aby darował życie pewnemu centurionowi; pszczoły poświęcały się, by chronić królową; prowadzona w esperanto korespondencja pomiędzy rosyjskim generałem a japońskim profesorem przygotowała grunt pod rozmowy pokojowe zapoczątkowane w 1905 roku przez Theodore'a Roosevelta. Przy takiej skali podobieństwa nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności. Obiecałem sobie, że wyjaśnię tę zagadkę.

Scenariusz Leny mieścił się na kilku stronach. Z początkiem VIII wieku Majowie z miasta Toniná dokonali rzezi na mieszkańcach sąsiedniego Palenque. Około tysiąc osób z zaatakowanej metropolii uciekło na zachód, wszyscy przepełnieni wstrętem wobec przemocy, której byli świadkami. Po kilkumiesięcznej tułaczce osiedlili się na zboczu wulkanu San Martin, jakieś pięćset kilometrów od miejsca, z którego wyruszyli.

Widziane z zewnątrz miasto, które zbudowali (a którego Lena jeszcze nie ochrzciła), co do joty odpowiadało modelowi urbanistycznemu Majów: te same kamienne świątynie, te same zegary astronomiczne, ten sam na wespół wspólnotowy sposób mieszkania. Za to zwyczaje i tradycje nowej metropolii nie mogłyby bardziej różnić się od tych królujących w Palenque, w Uxmal czy w Chichén Itzà. Mieszkańcy czcili boga Chupacana, księcia zgody, a dialog przedkładali ponad wszelkie inne cnoty. Mężczyźni, których przyłapano na bójce, stawali się pośmiewiskiem. Władca rządził niemal wyłącznie poprzez szukanie konsensusu. Ponieważ nie bał się żadnego ze swoich poddanych, przemieszczał się bez straży czy eskorty. Raz do roku odstępował tron wieśniakowi, w niezwykle symbolicznym dniu, w którym każdy mieszkaniec miasta zamieniał się miejscem z bratem, przyjacielem lub nieznanym.

Czas, którego nie trwonili na sprzeczki czy najeżdżanie sąsiednich osad, mieszkańcy poświęcali opracowanemu przez siebie wariantowi gry w piłkę. Nie dekapitowali pokonanych, jak to było w zwyczaju na Jukatanie. Zresztą u nich nie istnieli ani zwycięzcy, ani przegrani, gdyż w czasie meczu gracze kilkakrotnie przechodzili z drużyny do drużyny zgodnie z subtelnymi regułami, które trzeba było dopiero napisać.

Dzięki błyskawicznemu przyrostowi naturalnemu, żyzności stoków wulkanu San Martin oraz stałemu napływowi imigrantów populacja szybko się powiększyła, osiągając pułap dziesięciu tysięcy dusz, co stanowiło liczbę niemal porównywalną z pozostałymi głównymi ośrodkami ery Majów.

Okolo roku 890 wulkan zaczął mrużyć. Mieszkańcy zebrali się i – co niezwykle – nie potrafili dojść do porozumienia. Niektórzy zauważyli, że San Martin znany jest ze swoich humorów i że nie ma powodów do niepokoju; inni, wskazując palcem wydobywające się z krateru kłęby dymu, radzili wycofać się do lasu i tam czekać lepszych dni. W każdej innej cywilizacji dwa obozy poddałyby sprawę pod głosowanie albo by się rozdzieliły. Ale Majowie w dalszym ciągu uprzejmie debatowali aż do zapadnięcia nocy, usiłując pogodzić sprzeczne punkty widzenia. Położyli się spać, nie osiągnąwszy konsensusu. O trzeciej nad ranem miasto wraz z wszystkimi jego obywatelami przykryła gruba warstwa lawy.

Tak jak sugerował Yakoub, historia Leny nie dorównywała poziomem uniwersum, które stworzyła. Mimo że pojawiło się parę niezaprzeczalnych perełek (jak Chupacan, bóg zgody, gra w piłkę, wybuch wulkanu San Martin), okrutnie brakowało akcji: łagodni Majowie żyli sobie w harmonii, aż tu nagle, rach-ciach, erupcja zmiotła ich z powierzchni ziemi. Do głowy przyszło mi tysiąc perypetii, które uczyniłyby plemię Leny bardziej interesującym, nie zwiększając ryzyka, jakie niosła ze sobą prezentowana teczka.

Niepokoila mnie też siła oddziaływania scenariusza. Jaka by była wartość historyczna przygotowanego przez KFR kodeksu, mogło się zdarzyć, że zainteresuje on wyłącznie archeologów i czasopisma naukowe. A jednak wysiłki, jakich Lena nie szczędziła swojemu dziecku, świadczyły, że marzy o wywołaniu dużo większego oddźwięku.

Położyłem się spać koło pierwszej w nocy, dość zadowolony z wykonanej pracy. Napisałem drugą wersję scenariusza, w której Majowie opuścili miasto na czas

i załadowali się na łodzi, które prędko poszły na dno w czasie burzy towarzyszącej erupcji. Rekomendowałem umieszczenie kodeksu i artefaktów na pokładzie wraku, który zostałby w odpowiednim momencie wyłowiony przez agentów KFR-u. Przedstawiłem także kilka pomysłów dotyczących gry w piłkę oraz sposobu, w jaki jej zasady odzwierciedlały założycielskie wartości miasta.

Po przebudzeniu zdałem sobie sprawę z monumentalnego błędu, który nieomal popełniłem. Szykowałem się, by wziąć pod ostrzał teczkę, której Lena poświęcała wszystkie swoje wieczory od trzech lat, i wyciągnąć z kapelusza rozwiązania problemów, które analizowała pod każdym kątem. Nasze relacje, już teraz złe, nigdy by się po czymś takim nie podniosły. A moje pomysły, jakkolwiek świetne, wylądowałyby w koszu.

Pierwszy raz w życiu zdobyłem się na wysiłek i – niczym Maj – spróbowałem postawić się na miejscu Leny. Co chciała osiągnąć dzięki tej teczce? Czego ode mnie oczekiwała? I przede wszystkim: co sobie wmawiała? Od tego wszystko się zaczynało, o tym byłem przekonany. Wpatrując się w sufit, z dłońmi skrzyżowanymi na karku, przywołałem wspomnienia o Duncie: o jej przeciętnych, lecz technicznie nienagannych teczkach, o wyrzutach, którymi zarzucała mnie w Córdobie, o jej reakcji, tak różnej od mojej, na wieść o śmierci Johna Harkleroda, o wadach i zaletach, jakimi wykazała się w Dili wobec delegacji Narodów Zjednoczonych, o jej jakże ognistej diatrybie na temat niesprawiedliwego losu falsyfikatorów w naszej organizacji, o niezachwianej abnegacji, której dawała dowód od pięciu lat.

Uważała się za największą fałszerkę w historii KFR-u, to się rzucało w oczy. Nieważne, czy miała rację, czy też się myliła; ona w to wierzyła i tylko to się liczyło. „Nikt nie dorasta mi do pięt” – powiedziałem na głos. „Może i mam trochę mniej wyobraźni niż Sliv – muszę przyznać, że na Timorze zrobił na mnie ogromne wrażenie – ale tak naprawdę wszystko dopiero się okaże. Moim pierwszym teczkom brakowało śmiałości, ale nadszedł czas, aby udowodnić tym wiecznie niezadowolonym bubkom, że jestem lepszą scenarzystką, niż im się wydaje”.

Westchnąłem. Odtworzenie toku rozumowania Leny wymagało ode mnie o tyle mniej wysiłku, że często myślałem w ten sam sposób: jedynie mój wielki talent scenopisarski przeszkadza kolegom w należyтым docenieniu moich zalet jako fałszerza.

Zamiast wezwać Lenę do siebie, jak zamierzałem wcześniej, poszedłem spotkać się z nią na jej terytorium. Tkwiąc na czworakach pod biurkiem, podłączała coś, co wyglądało jak twardy dysk, ale równie dobrze mogło być konsolą do gier albo skanerem częstotliwości policyjnych. Zapukałem do drzwi.

– Jesteś zajęta?

– To zależy, o co chodzi.

– Chcę pogadać o Majach.

– Źle trafiłeś, Yakoub jest w Azji – oznajmiła, zamieniając dwa kable miejscami.

– No i? Nie będę przecież czekał na jego powrót, żeby powiedzieć ci parę miłych słów o tej teczce.

Postanowiła odłożyć podpinanie do prądu na później, wyprostowała się i gestem zaprosiła mnie, żebym usiadł.

– Naprawdę, podobała ci się? – spytała.

– To za mało powiedziane: wprost ją pochłonałem! To twoja najlepsza teczka, Leno. Bez porównania.

– Też tak sędzę – przyznała, lekko się rumieniąc.

– Nie bierz tego do siebie, ale nie przypuszczałem, że jesteś taką dobrą scenarzystką.

– Och, wcale nie biorę tego do siebie. Jestem pierwsza w kolejce, by wytknąć, że moje poprzednie teczki grzeszyły nadmierną ostrożnością.

Te słowa, tak podobne do tych, które sobie wyobraziłem, zachęciły mnie do dalszego kroczenia obraną ścieżką.

– I co za przebłysk geniuszu, że wybrałaś akurat Majów! Każde z ich miast pielęgnowało własną tożsamość w ramach wspólnej cywilizacji.

– Tak, rozważałam wielu kandydatów: Azteków, Mongołów, Indian Ameryki Północnej...

– Z pewnością Inków?

– To niemożliwe, oni nie opanowali pisma.

– No jasne! – zawołałem, klepiąc się w czoło.

– Stworzyłam listę dwudziestu jeden kryteriów. Pokażę ci ją kiedyś przy okazji.

– Bardzo chętnie na nią spojrzę. Zastanawiałem się też, dlaczego Chupacowie...

– Ha, to zabawne – przerwała mi. – Ty też nazywasz ich Chupacami?

– Tak. Wiem, że ich nie ochrzciłaś, ale biorąc pod uwagę imię ich boga, wydaje

się to raczej logiczne.

– Właściwie to wahałam się przed nazwaniem ich na cześć boga.

– Wręcz przeciwnie, zwiększysz spójność scenariusza... – urwałam, jakbym zląkł się, że powiedziałem za dużo. – Ale w żadnym razie nie chcę wywierać na ciebie wpływu. To twoja decyzja.

– Oczywiście, ale cenię sobie twoje zdanie. Przepraszam, przerwałam ci. Co mówiłeś?

– A tak. Dlaczego Chupacowie osiedlili się tak daleko na zachodzie? Jeśli się nie mylę, Veracruz to raczej terytorium Olmeków.

– Tyle tylko, że cywilizacja Olmeków upadła w czterechsetnym roku przed Chrystusem. Tak naprawdę właściwie nie miałam wyboru. San Martin to jedyny wulkan w regionie, który między piątym a dziesiątym wiekiem doczekał się znacznie większego wybuchu. Palenque i Toniná, najbliższe położone osady Majów, leżą pięćset kilometrów od niego, doszłam więc do wniosku, że Chupac mogło zostać założone wyłącznie przez byłych mieszkańców któregoś z tych dwóch miast. Przyglądam się ich historii i co odkrywam? Że na początku ósmego wieku wojownicy z osady Toniná zmasakrowali Palenque! Nagle znajduje się przyczyna exodusu, a także awersji Chupaców do wojny.

Pokiwałam głową, tym razem naprawdę pod wrażeniem. Znałem to wspaniałe uczucie, kiedy w chaosie historii odnajduje się motyw.

– To wyjaśnia też, w jaki sposób nieagresywna kolonia mogła tak długo przetrwać w dżungli – ciągnęła Lena. – Funkcjonowała samowystarczalnie, z dala od sąsiedzkich konfliktów oraz głównych szlaków handlowych.

Kolejna cecha wielkich scenarzystów, pomyślałem: pod ich piórem ograniczenia stają się możliwościami.

– Jeszcze raz: czapki z głów – pochwaliłem, wstając.

– Czekaj – zaprotestowała Lena. – Nie idź.

– Masz coś do zrobienia – zauważyłem, wskazując gmatwaninę kabli u jej stóp.
– Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz. Ale do tej pory prawileś mi same komplementy. Słucham zarzutów.

– Nie wiem, czy chcę cokolwiek do tego dodawać. Taką teczkę pisze się tylko raz w całej karierze. A zatem każdemu oczywiście marzy się, że będzie ona miała

znaczenie... Chupacowie wstrząsną światem prekolumbijskiej archeologii, to nie pozostawia cienia wątpliwości. Ale wyobrażam sobie, że mierzysz wyżej: Meksyk, może cała Ameryka Południowa?

– Żartujesz sobie? Mierzę w cały świat, ni mniej, ni więcej. Nie zadałam sobie tyle trudu tylko po to, żeby podekscytować trzech dyrektorów muzeów.

– Nie, to jasne. Ja również uważam, że twoja historia ma potencjał, aby poruszyć ludzkość; pod warunkiem że opowie się ją nieco inaczej.

– Nie ma mowy! Nikt nie tyka mojej historii! – pisnęła Lena, siadając głębiej w fotelu.

– Pewnie, że nie, jest doskonała taka, jaka jest. Mówiłem jedynie o sposobie jej przedstawienia. Do głowy przyszło mi parę pomysłów na dodanie scenariuszowi odrobiny dynamizmu. Same drobnostki, ale dzięki nim małym kosztem podniesiesz swoją opowieść do rangi legendy.

Na widok jej sceptycznej miny zmieniłem strategię.

– Hej, pamiętasz, jak zamierzałem stworzyć stronę palinnawiceprezydenta.org z własnego gabinetu? Całe szczęście, że tam byłeś i pokazałeś mi, jak skonfigurować serwer proxy!

Lena się uśmiechnęła.

– Dziennikarze dotarliby do twojego komputera w mgnieniu oka. Ach, ale byśmy wyglądali!

– Wyobrażasz sobie tłumaczenie Yakoubowi, że trzeba rozwiązać KFR ze względu na nieszczęsną nazwę domeny? – spytałem, pękając ze śmiechu niczym uczeń na wspomnienie swojej pierwszej cuchnącej bomby.

– Pierre Ménard przewróciłby się w grobie!

– Musiałby do tego wiedzieć, czym jest nazwa domeny!

– „Znam tylko jedną domenę, domenę moich przodków” – zameczała Lena, naśladując trzęsący się głos Ménarda.

– „Robercie, nalej nam jeszcze po kieliszku białego wina!” – włączyłem się z francuskim akcentem.

Zabawialiśmy się, imitując członków Komitetu. Suarez ze swoim utykaniem, pamiątką z zasadzki w Iraku, stanowił łatwy cel, tak samo jak Onobanjo z jej naburmuszoną miną małej dziewczynki przyłapanej na psotach. Lena rozśmieszyła mnie do łez, małpując dobrotliwy ton Karvelis, która potrafiła zwolnić agenta,

sprawiając wrażenie, że go awansuje.

Nie umiałbym stwierdzić, co zaskoczyło mnie bardziej: widok Leny duszącej się ze śmiechu z moich żalonych kalamburów czy odkrycie, że natura obdarzyła ją poczuciem humoru. Po ostatnim żarcie na temat Yakouba otarła oczy.

– No dobrze, słucham – oznajmiła. – Co proponujesz?

Udałem, że zbieram myśli, podczas gdy w rzeczywistości cały czas kierowałem rozmową tak, żeby znaleźć się dokładnie w tym punkcie.

– Pomruki wulkanu San Martin napełniają Chupaców niepokojem. Żaden z nich nie przeżył erupcji, ale podczas wieczornych zgromadzeń krążą opowieści o chmurach popiołu i płynnym ogniu. Pewien starzec, może król, słyszał, że wyrzucona przez wulkan materia może podróżować kilka kilometrów we wszystkich kierunkach. Radzi, żeby uciekli na morze.

– Na morze? Co za śmieszny pomysł!

– Nie aż tak. Znajdują się jakieś dziesięć kilometrów od wybrzeża...

– Raczej piętnaście.

– Nie, jeśli umieścisz Chupaców na północnym zboczu wulkanu, ale wróć do tego. Na dotarcie do plaży będą potrzebowali ledwie paru godzin, a później łodziami oddalą się od niebezpieczeństwa dużo szybciej, niż daliby to radę zrobić na piechotę.

– Majowie nie są ludem żeglarskim – zauważyła Lena.

– Nie są wielkimi eksploratorami, zgoda. Ale pływali po rzekach i pokonywali niewielkie odległości drogą morską w celach handlowych. Mieli łodzie.

– Na pewno nie tyle, żeby pomieścić dziesięć tysięcy osób!

– Wiem, to jest problem. Można by sobie wyobrazić, że część populacji ginie w czasie wędrówki...

– Z wyczerpania, po dziesięciu kilometrach marszu?

– Nie, oczywiście, że nie. Mieszkańcy napotykają w dżungli jakieś niebezpieczeństwo. Albo tylko część z nich poważy się na tę przygodę. Ładują się na dziesięć czy dwadzieścia posiadanych przez plemię łodzi i próbują maksymalnie zwiększyć dystans od brzegu. Wybuchowi wulkanu towarzyszy sztorm, jak to się często zdarza. Łupinki Chupaców, wypełnione po brzegi, błyskawicznie idą na dno. Tysiąc lat później ktoś odnajduje wrak jednej z nich, a na jej pokładzie – kodeks.

Lena powstrzymała obiekcję, która cisnęła jej się na usta, i spytała:

– Co ci nie pasuje w obecnym scenariuszu?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, nie wykorzystujesz potencjału dramatycznego, jaki niesie ze sobą odkrycie artefaktów...

– Na świecie istnieją tylko cztery kodeksy. Wierz mi, jeśli damy archeologom piąty, nie będzie ich obchodziło, czy znaleźliśmy go w głębinach oceanu, czy był zakopany w dżungli.

– Archeologów może i nie. Ale co z szeroką publicznością? Jeśli chcesz, żeby Chupacowie trafili do podręczników historii, będziemy potrzebowali medialnego wyścigu. A media będą wolały podmorską ekspedycję od zdjęć wygasłego wulkanu. To prowadzi do drugiej korzyści płynącej z mojego rozwiązania: nie musisz więcej przejmować się pozostałościami miasta ani nawet ustalać jego dokładnego położenia. Czy znajdowało się na północnym stoku wulkanu San Martin? Na południowym? We wnętrzu krateru? Nieistotne, bo zostało pogrzebane! Tymczasem jeśli porozsiewasz artefakty po dżungli, archeolodzy zaczną grzebać. Będą przerzucać ziemię przez pięć czy dziesięć lat i w końcu stwierdzą, że artefakty należały do migrującej kolonii. Kodeks pozostanie, ale będzie musiał wystarczyć sam w sobie.

Lena się zastanawiała. Była zbyt inteligentna, by nie pojąć, że mam rację.

– Interesujące – przyznała w końcu. – Ale to zobowiązuje nas do zbudowania fałszywego wraku. Gdzie ja znajdę drewno sprzed tysiąca lat?

Zauważyłem, że użyła formy „my”. Całkowicie pochłonięta swoim projektem z góry założyła, że umieram z ochoty, aby poświęcić najbliższe sześć miesięcy swojego życia resuscytacji plemienia Majów. I naturalnie miała rację.

– Wystarczy znaleźć inny wrak – odrzekłem. – Nie mówiąc już o tym, że długotrwały pobyt na dnie morza z pewnością utrudnia precyzyjne określenie wieku drewna.

– Wikingowie rozbijali swoje łodzie o fiordy mniej więcej w tym samym czasie. Nie zaszkodzi się temu przyjrzeć.

W ten oto sposób rozpoczął się mój trzeci wspólny projekt z Leną. Pierwszy zagwarantował Timorowi Wschodniemu niepodległość, drugi wyniósł Baracka Obamę na fotel prezydencki. Kto by pomyślał, że trzeci wywinduje nas jeszcze wyżej?

4

Koledzy i koleżanki z Komitetu z entuzjazmem przyjęli teczkę Leny. Ludzie, którzy nie potrafili dojść do porozumienia w kwestii globalnego ocieplenia, wolności słowa czy występków kapitalizmu, natychmiast podpisali się pod przesłaniem Chupaców o harmonii. Zoe zauważyła, że niewiele jest słów równie emblematycznych dla wartości KFR-u co „zgoda”. Sophie optowała za jeszcze jednymi badaniami technicznymi, nawet jeśli miałyby nas to kosztować dodatkowy rok czy dwa. Yakoub tak samo grzecznie jak poprzedniego lata podziękował jej za radę i ani trochę nie wziął jej sobie do serca.

W następnych tygodniach nadrobiłem zaległości w postaci dziesiątek książek poświęconych Majom. Lena sporządziła dla mnie listę lektur, począwszy od ogólnych dzieł (*The Ancient Maya* Sharera, *The Rise and Fall of a Rainforest Civilization* Demaresta), a skończywszy na konkretniejszych tematach (*Reading the Maya glyphs* czy *The Sport of Life and Death. The Mesoamerican Ballgame*)⁴. Wierny swoim zwyczajom, starałem się nie tyle zarejestrować fakty czy daty, ile zanurzyć się w epoce. Cywilizacja Majów opierała się na złożonej kosmogonii, która dzieliła uniwersum na trzy części: niebo, ziemię i zaświaty, które z kolei podlegały dalszemu rozbiciu na dwadzieścia trzy warstwy rządzone przez bogów albo złe duchy. Żeby wszystko utrudnić, każdy bóg mógł ukazywać się w postaci męskiej lub żeńskiej, starej lub młodej i przybierać różne kolory. Stąd brały się skomplikowane ceremoniały wskazywane przez liczne kalendarze, których interpretacja stanowiła domenę zarezerwowaną dla kapłanów przekazujących obowiązki z ojca na syna. Zawdzięczaliśmy Majom parę wyjątkowych osiągnięć: odkryli cyfrę zero, opracowali pierwszy model pisma w Ameryce Środkowej, liczyli w systemie dwudziestkowym i potrafili żeglować, kierując się gwiazdami. Ich świątynie, boiska do gry w piłkę i inne kamienne piramidy opierały się upływowi wieków i regularnie ujawniały jakieś nowe sekrety. Termin „imperium”, stosowny w przypadku Azteków czy Inków, nie pasował do Majów, których sposób organizacji w suwerenne ośrodki miejskie przypominał raczej ustrój

starożytnej Grecji czy dawnych włoskich miast. Lokalni prominenci skupiali w swoich rękach całą władzę religijną, wojskową i cywilną. Korzystali z pomocy dygnitarzy mających za zadanie utrzymywać porządek i zbierać podatki. Kapłani cieszyli się znacznymi wpływami oraz prestiżem choćby dlatego, że przewodniczyli uroczystościom ofiarnym i nakazywali akty samookaleczania. Wieśniacy, bez porównania najliczniejsza grupa, uprawiali kukurydzę na polach, które pozostawały własnością miasta.

Większość osad trwała w niemal ustawicznym stanie wojny. Walczono o wszystko i o byle co: o kontrolę nad szlakiem handlowym, złożę obsydianu, możliwość zdarcia z pokonanych trybutu czy po to, by zaopatrzyć kapłanów w ofiary przebłagalne. Około VIII wieku, a zatem w okresie, w którym Lena umiejscowiła początek swojej opowieści, świat Majów pogrążył się w endemicznej przemocy, która ostatecznie doprowadziła do jego upadku. Nagle przestano wznosić monumentalne budowle, a główne miasta, wyludnione z powodu suszy oraz wyjałowienia gleb, stopniowo przeszły pod kontrolę przybyłych z północy Indian Nahua.

Im więcej dowiadywałem się o duchu podboju Majów, tym bardziej niepokoił mnie pacyfizm Chupaców. Jesteśmy kształtowani przez środowisko; wartości, wierzenia zakorzenione w naszym wnętrzu to w rzeczywistości efekt edukacji, którą odbieramy od rodziców, ale też pokłosie mitów założycielskich naszej społeczności i – rzecz jasna – osobistych doświadczeń. Japończycy nie rodzą się skromni i układni, stają się tacy; optymizm nie krąży w żyłach Amerykanów, zostaje im wpojony w młodości; a kartezyjanizm Francuzów ma korzenie w strukturze ich języka. Odszczepieńcy czy nie, Chupacowie wciąż byli Majami. Odziedziczyli po przodkach pewien związek z krwią i ze śmiercią. Widzieli, jak rodzice nacinają sobie ramię aż do kości, żeby złagodzić gniew bogów, albo jak zwycięzca w grze w piłkę domaga się honoru dekapitacji. Nie potępiałiby przemocy, tak jak my nie potępiamy głodu czy zimna. Bali się jej, ale nie wyobrażali sobie życia bez niej. Stanowiła część ich egzystencji.

Moje pierwsze próby powściągnięcia anielskiej niewinności Chupaców zderzyły się z murem nieustępliwości ze strony Leny. Twierdziła, że napisała teczkę właśnie po to, by pokazać, że grupa jednostek złączonych wspólnymi wartościami może prosperować, odzegnując się od reguł swojej epoki. Podkreślałem na jej użytek

fragmenty lektur opisujące okrucieństwo Majów, ceremonie, podczas których kapłani gołymi rękami wyrywali bijące serca więźniów, albo zwyczaj, wedle którego zwycięzcy generałowie deptali pokonanych żołnierzy. Tłumaczyłem jej to, czego nauczyłem się na zajęciach z antropologii, to jest, że społeczeństwa nie przekształcają się w sposób radykalny, lecz ewoluują drobnymi krokami, na przestrzeni pokoleń. Chupacowie byli wilkami, co prawda żywiącymi się kukurydzą, ale mimo wszystko wilkami. Odmalowanie ich jako jagniątek stanowiło pewny sposób na zdyskredytowanie ich.

Celowo osnułem debatę wokół kwestii prawdopodobieństwa, jedynej, na którą Lena mogła okazać się wrażliwa. Wiedziałem, że na najmniejszą oznakę, iż próbuje nagiąć jej scenariusz do własnego widzimisie, zjeży się i natychmiast przejmie stery. Za to zawsze była otwarta na sugestie dotyczące poprawy poziomu ryzyka swojej teczki. Subtelnie zaadaptowałem więc swoje argumenty. Zamiast oznajmić prosto z mostu, że Chupacowie nie mogli żyć w całkowitej izolacji, wskazywałem na logikę: jak to możliwe, że miasto przyciągało imigrantów, skoro nikt nie wiedział o jego istnieniu? Kiedy zdrowy rozsądek na nic się zdał, powołałem się na autorytet wielkich osobistości ze świata studiów prekolumbijskich. „Tainter zbudował swoją reputację na modelu szlaków handlowych w Ameryce Południowej; nigdy nie wesprze miasta, którego istnienie w tak spektakularny sposób przeczy jego teorii” – wyjaśniałem Lenie. Albo: „Demarest nie zrozumiałby, jak Chupacowie mogą czcić bogów, nie przelewając od czasu do czasu odrobiny krwi”.

Po całych tygodniach pertraktacji Lena zgodziła się na połączenie handlowe pomiędzy Chupacami a światem zewnętrznym. Dzięki bliskości morza nie potrzebowali soli. Konsumowali za to ogromne ilości ziaren kakaowca, które importowali z niżej położonych ziem Gwatemali. Kupowali także obsydian, z którego wytwarzali ostre niczym brzytwa noże idealne do odcinania penisów i uszu. Sami zaopatrywali niemal cały półwysep Yukatan w luksusowe produkty, takie jak skóry jaguara, delikatna ceramika czy rzeźbione włócznie. Kiedy kupcy z plemienia Chupaców wyprawiali się do Uxmal albo Coby, kierowali się wzdłuż wybrzeża na północ, aby uniknąć Palenque, z którym wiązało się tak wiele złych wspomnień.

Ostatecznie Lena przyznała, że Chupacowie nie mogli całkiem wymazać

przemocy ze swoich zwyczajów. W dalszym ciągu składali w ofierze zwierzęta i – okazjonalnie – ludzi. Z braku więźniów kapłani apelowali do ochotników. Kiedy tych zaczynało brakować albo gdy wróżby wskazywały, że wymagane są poważniejsze ofiary, organizowano loterię. Kapłani wnosili ogromny gliniany dzban na szczyt głównej piramidy i wypełniali go tabliczkami z kory, na których wypisano imiona wszystkich mieszkańców miasta bez względu na wiek, stan zdrowia czy klasę społeczną. Każdy miał prawo zamienić jedną tabliczkę na kolejną z własnym imieniem: rodzice zastępowali dzieci, starcy dorosłych w sile wieku, chorzy zdrowych, adoratorzy wybranki swojego serca. Król osobiście przewodniczył ciągnięciu losów. Zanurzał dłoń w dzbanie, wyciągał tabliczkę i zanim spojrzał na widniejące na korze imię, decydował, czy jego właściciel zostanie stracony, czy też otrzyma pokaźną sumę pieniędzy. Liczba wyroków była równa liczbie wynagrodzeń.

Samookaleczanie było na porządku dziennym. Za drobną opłatą kapłani z przyjemnością informowali Chupaców zebrzących o łaskę, który organ lub kończynę powinni usunąć, żeby spodobało się to bogom. Nacinanie torsu sprowadzało deszcz, urżnięty palec mógł uleczyć zwierzę, a rozbity nos gwarantował niemal natychmiastową miłość.

Lena usprawiedliwiła zmianę zdania faktem, że ofiary pełniły funkcję sakralną: Majowie nie przelewali krwi z sadyzmu, ale po to, by oddać cześć bóstwom. Nie chciała za to słyszeć o podbojach wojskowych. W sprawach świeckich Chupacowie podjęli decyzję o nieagresji: słownie rozwiązywali spory, a przestępców skazywali na wygnanie. Na próżno argumentowałem, że tysiąc lat wojen i grabieży da się wytłumaczyć jedynie istnieniem bitewnego instynktu i że skoro wyłupiali wrogom oczy, Majowie musieli rozwinąć pewną estetykę brutalności. Te przepełnione testosteronem samce, tłumaczyłem Lenie, musiały znajdować jakieś ujście dla swojej energii. Nie ogłupiali się gramami komputerowymi ani nie ćwiczili na automatycznej bieżni, śledząc wahania kursów giełdowych. Co robili całymi dniami, podczas gdy barbarzyńcy z Toniny spychali więźniów ze szczytów piramid, gwałcili młode dziewczyny i rozrywali służących końmi? „Grali w piłkę” – odpowiedziała Lena.

Nie była to tak głupia odpowiedź, jakby się mogło wydawać. Grę w piłkę praktykowano przez trzy tysiące lat w całej Ameryce Środkowej. Jej złoty wiek

przypadał na koniec pierwszego tysiąclecia, właśnie na czasy Majów. Zawodnicy, których liczba wahała się od jednego do dwunastu w drużynie, podawali sobie kauczukową piłkę przy pomocy bioder i kolan. Nie wolno było używać dłoni ani stóp. Zasady gry, co do których wciąż panuje pewna niezgoda, różniły się w zależności od miasta. Boiska mogły mierzyć nawet do stu sześćdziesięciu metrów długości. Dwie boczne ściany były ozdobione wąskimi kamiennymi obręczami: gracz, któremu udało się przerzucić ważącą dwa kilogramy piłkę przez pierścień, automatycznie zapewniał swojej drużynie zwycięstwo; to prawie nigdy się nie zdarzało.

Każde albo prawie każde miasto miało własne boisko; Chichén Itzà liczyło ich trzystaście, więcej niż jest boisk do futbolu amerykańskiego na Manhattanie. Gra w piłkę była więcej niż tylko zwykłym sportem czy rozrywką, była rytuałem, metaforą środkowoamerykańskiej kosmogonii. Pierścienie, rozmieszczone na osi wschód–zachód, oznaczały miejsca, gdzie słońce wynurza się i nika za horyzontem, kauczukowa piłka zaś – samo słońce, którego bieg nigdy nie ustaje. Boiska, które umiejscawiano na podstawie obserwacji astronomicznych, oddzielały niebo od zaświatów, podkreślając symbolikę walki dobra ze złem, cienia ze światłem. W tych warunkach nie powinno dziwić, że wielkie rozgrywki kończyły się składaniem ofiar, a nawet dekapitacją kapitana zwyciężonej drużyny.

Poddałem Lenie pewien pomysł. Wśród tysiąca czy dwóch tysięcy Majów, którzy opuścili Palenque, znalazła się niewielka grupka nałogowych graczy w piłkę, zmęczonych faktem, że ich próby zmodyfikowania reguł dyscypliny regularnie spotykały się ze sprzeciwem. Po przybyciu na miejsce owi zawodnicy zbudowali wspaniałe boisko o wymiarach około osiemdziesiąt na pięćdziesiąt metrów i zaczęli wprowadzać swoje pomysły w życie. Inni mieszkańcy nie zwracali na nich zbyt bacznej uwagi. Tyle było do zrobienia: trzeba było zasadzić kukurydzę, zirygować pola, wznieść domy, wybrać przywódcę, narysować plany imponującej piramidy, która wkrótce zacznie górować nad głównym placem. Kiedy opadło początkowe ożywienie, nasi śmiałkowie zaprezentowali wprowadzone innowacje. Skład drużyn miał od tej pory ewoluować w miarę trwania meczu. Na przykład zawodnik, który zdobędzie trzy punkty, przejdzie do przeciwnego obozu, wyznaczając gracza, który się z nim zamieni. Podobnie ekipa, której uda się zgarnąć punkt dzięki temu, że każdy z jej członków dotknie piłki przynajmniej raz,

może zrekrutować jednego z przeciwników. Nie mniej istotna zmiana polegała na tym, że kamienny pierścień miał się znajdować na wysokości pięciu, a nie sześciu metrów, aby zachęcić drużynę na prowadzeniu do dołożenia wszelkich starań w celu wyrwania przeciwnikom zwycięstwa.

Te kilka reguł, które w odpowiednim czasie trzeba będzie dopracować, miało za zadanie uczynić rozgrywkę bardziej zaciętą poprzez bieżące wyrównywanie sił wśród walczących. Drużyna, której na początku lepiej się wiodło, w rezultacie szybko traciła swoich najlepszych zawodników na rzecz przeciwnika. Do stworzenia tego mechanizmu zainspirował mnie amerykański draft – system, w którym drużyna zajmująca ostatnie miejsce w mistrzostwach zyskuje prawo do zaangażowania najbardziej obiecującego młodego gracza w lidze.

Mieszkańcy niebiorący udziału w ustalaniu nowych reguł okazali uprzejmie zainteresowanie. Z kolei kapłani natychmiast wskazali na dwie znaczące wady: w jaki sposób będzie się określało pokonanych? I czy sprawiedliwie będzie poświęcić utalentowanego zawodnika, którego jedyne przewinienie polega na znalezieniu się pod koniec meczu po stronie przegranych? Słuszne pytania, na które reformatorzy dostarczyli zaskakującej odpowiedzi: w przyszłości nie będzie ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Pierwsze zażarte rozgrywki prowadzone według nowych zasad pokazały, że duma z uczestnictwa w trudnym meczu do samego końca znacznie przyćmiewa satysfakcję czerpaną z wygranej. „Ale w takim razie – zaniepokoił się kapłani trochę zagubieni – kogo złożymy w ofierze?”. „Nikogo” – odpowiedzieli im modernizatorzy. „Nasze miasto jest jeszcze małe. Nie możemy sobie pozwolić na uśmiercanie zawodników tylko dlatego, że rozegrali kiepski mecz. Zresztą przeciętne jednostki niedługo takimi pozostaną; zrobią postępy dzięki kontaktowi z bardziej doświadczonymi graczami, którzy będą kursować pomiędzy drużynami”. Prości wieśniacy, którzy pragnęli zachować głowy, głośno wyrazili swoją aprobatę. Jeden z nich, osłuchany z eklezjastyczną gadką, oświadczył, że podział na dwie drużyny zawsze wydawał mu się nieodpowiedni. Bo skoro gra w piłkę symbolizuje walkę pomiędzy niebem a zaświatami, to czy należy z tego wnioskować, że te ostatnie co drugi raz zwyciężają? Nie, naprawdę, wydaje mu się, że nowe reguły z dużo większym szacunkiem traktują kosmiczną równowagę. Zebrał oklaski.

Kapłani dali się przekonać. Od przybycia na San Martin kłócili się, któremu

bogu poświęcić miasto. Majowie dysponowali szeroką gamą bóstw. Fasadę Piramidy Czarownika w Uxmal pokrywały na przykład wizerunki Chaca, boga deszczu, podczas gdy pierzaste węże Kukulkana strzegły mieszkańców Chichén Itzy. Ponieważ triada bogów mających czuwać nad Palenque od czasu najazdu mieszkańców Toniny nie cieszyła się popularnością, kapłani aktywnie szukali dla niej zastępstwa. Do ulubionych kandydatów należeli Huracan, bóg wiatru, Yum Kaax, bóg lasów, oraz Kinich Ahau, bóg słońca. Listę wieńczył relatywnie mało znaczący outsider, Chupacan, księżę zgody i brat Ixmucane, jednej spośród trzynastu stwórców ludzkości. Kapłani dodali jego imię do puli kandydatów, gdy zdali sobie sprawę, do jakiego stopnia długi marsz przez dżunglę zacieśnił więzi pomiędzy mieszkańcami. Różnice wynikające z zamożności czy klasy społecznej rozwiały się, by ustąpić miejsca niezwykłemu u Majów koleżeństwu i wzajemnej pomocy. Ban Malmat, główny kapłan, ujrzał w propozycji reformatorów wróżbę: miasto obierze nazwę Chupac, a jego mieszkańcy będą czcili boga zgody, próbując żyć w harmonii. Gra w piłkę, na zmodyfikowanych zasadach, stanie się uroczystością, wezwaniem do współpracy i porozumienia.

Chupacowie rzucili się na nową wersję gry do tego stopnia, że wkrótce poświęcili jej cały czas wolny. Sześć dodatkowych boisk wybudowanych, by sprostać zapotrzebowaniu, nigdy nie pustoszało. Grali wszyscy. Kobiety i dzieci zażądały lżejszych piłek i je otrzymały. Mężczyźni, którzy do tej pory nigdy nie postawili stopy na boisku z obawy, że zostaną wciągnięci do drużyny, trenowali u boku zaprawionych zawodników, którzy nie szczędzili im rad. Nowe reguły w praktyce okazały się wielce rozrywkowe. O wyniku meczu, pełnego napięcia do samego końca, przesądzał skład czterech, pięciu lub sześciu zawodników, którzy nie rozpoczynali rozgrywki po tej samej stronie. Rada starszych co miesiąc rozpatrywała propozycje ulepszeń podpowiadane przez graczy. Z biegiem czasu zaczęto przyznawać więcej punktów za akcje zbiorowe niż za indywidualne wyczyny, co odzwierciedlało ewolucję społeczeństwa Chupaców, stale zmierzającego ku jeszcze większemu braterstwu.

Lena podziękowała mi za to, że znalazłem brakujące powiązanie między religią a grą w piłkę. Temat zgody musiał leżeć jej na sercu, ponieważ przewijał się przez cały projekt. U Chupaców dojście do porozumienia stanowiło powód do dumy, zwłaszcza jeśli trudno było znaleźć wspólny grunt. Pojęcia porządku czy

posłuszeństwa nie miały racji bytu. Dzieci uczono, żeby stawiały się na miejscu rozmówców, a umiejętność ta miała im się przydać później: w pracy, w pożyciu małżeńskim i we wszystkich kontaktach interpersonalnych. A jednak nie potępiano indywidualizmu; przeciwnie, oczekiwano, że każdy będzie dbał o własne interesy. Powszechna zgoda stanowiła wyższy poziom, oparty na pogodzeniu wielu egoizmów.

Ów kult harmonii osiągnął apogeum w pewnej legendzie: pod koniec każdego baktunu (cyklu odpowiadającego dwudziestu katunom, to jest około trzystu dziewięćdziesięciu czterem latom) każdy człowiek na miesiąc zyskiwał zdolność rozumienia motywów kierujących innymi. W oczekiwaniu na to wydarzenie Chupacowie co roku przez jeden dzień ćwiczyli, zamieniając się miejscami z sąsiadem lub małżonkiem. Pewnego wieczoru, gdy Lenie zebrało się na zwierzenia, wyznała, że marzy, by pod koniec owego dnia urządzić międzynarodowe święto celebrujące dialog i tolerancję.

Sprawdziliśmy, że nazwa „Chupac” nie istnieje i nie posiada żadnych oczywistych homonimów. Zapadała też w pamięć i łatwo ją było wymówić we wszystkich językach, co potwierdziły testy przeprowadzone przez agencję marketingową. Nasz departament graficzny przedłożył nam kilka próbnych wizerunków Chupacana. Większość w zbyt bezpośredni sposób czerpała inspirację z gier komputerowych. Mnie najbardziej podobał się człowiek-pies o spiczastych uszach. Lena jednak zdecydowała się na istotę o dwóch twarzach przyrodzianą w ozdoby z piór węża. W przeciwieństwie do tradycyjnych wyobrażeń Janusa, nasze bóstwo było bezpłciowe i asymetryczne. Pierwsza postać miała energiczne rysy, podczas gdy twarz drugiej rozjaśniał enigmatyczny uśmiech. Bez dyskusji przychyliłem się do jej zdania.

Różnica pomiędzy tą misją a poprzednimi polegała na tym, że wcześniej dzieliliśmy się rolami, tym razem zaś współpracowaliśmy nad wszystkimi aspektami teczki. Przyjmowałem większość scenopisarskich sugestii Leny, która w zamian pytała mnie o zdanie przy wyborze artefaktów. Łączyło nas to samo pragnienie, by opowiedzieć sensacyjną historię, która na dobre zagości w annałach KFR-u, a może nawet w szkolnych podręcznikach. Niechęć, która od piętnastu lat zatruwała nasze rozmowy, przekształciła się w pozbawioną ukrytych motywów rywalizację, w której każde z nas chciało zaskoczyć to drugie potęgą swojej

wyobraźni.

Lwią część wydanych przez Lenę siedmiu milionów dolarów pochłonęły badania techniczne związane z produkcją kodeksu. Nadszedł czas, by poszerzyć pole działania w paru różnych kierunkach. Absolutny priorytet stanowił wrak mający skrywać artefakty. Pomysł Leny, żeby wykorzystać łódź wikińską, okazał się chybiony. Mimo że był kuszący: w XI wieku mieszkańcy duńskiego portu Roskilde własnoręcznie zatopili w fiordzie czternaście swoich łodzi, aby stworzyły barykadę przeciwko najeźdźcom. Na nasze nieszczęście wszystkie jednostki wyłowiono i wystawiono w muzeum na wyspie Seeland. A zatem na początku 2009 roku spędzałem dni pochylony nad mapą, zaznaczając miejsca i daty wszystkich znanych zatoneń, podczas gdy Lena czytała niezliczone kryteria, które należało wziąć pod uwagę: wiek wraku, rzecz jasna, ale także rozmiar i model łodzi, rodzaj drewna (które musiało występować w meksykańskim lesie), zasolenie wody, podmorską florę i faunę, nie mówiąc już o możliwości potajemnego wyłowienia wraku. Zważywszy na trudność zadania, Lena coraz częściej wspominała o powrocie do pierwotnego scenariusza.

Na szczęście w pozostałych dziedzinach lepiej nam się wiodło. Lena utrzymywała kontakt z handlarzami sztuki, którzy wysilali się, żeby zaopatrzyć nas w artefakty, o których istnieniu nie wiedziały służby policyjne. Ceramika, naszyjniki, sztylety, amulety: wystarczyło złożyć zamówienie; ceny wahały się od pięciu do pięciuset tysięcy dolarów za sztukę. Dowiedziałem się, że nielegalny handel dziełami sztuki to rynek obracający miliardami dolarów. W niektórych krajach, takich jak Kambodża czy Meksyk, organizacje przestępcze metodycznie łupiły tereny stanowiące zabytki historyczne. Zgarniały tysiące przedmiotów, które następnie odsprzedawały hurtownikom, ci z kolei zwracali się do antykwariuszy lub zagranicznych kolekcjonerów. Władze wspomnianych krajów oficjalnie potępiały ten proceder, ale nie robiły nic, by go wykorzenić.

Nie widzieliśmy z Leną potrzeby, żeby wydawać na ten cel zbyt wiele pieniędzy. Główną funkcją artefaktów było nadanie kodeksowi aury autentyczności. Jeden talerz w tę czy w tamtą, mniej lub bardziej elegancko wykonana włócznia nie zmienia nic w ocenie ekspertów. Koperta z milionem dolarów, z których składał się nasz budżet, powinna wystarczyć na zakup ze trzydziestu przedmiotów, z czego dwa lub trzy, prezentujące faktyczną wartość archeologiczną, będą miały szansę

trafić na wystawę w meksykańskim muzeum antropologicznym.

Lena czyniła ogromne postępy przy tworzeniu kodeksu. Samodzielnie przygotowała papier amate z rosnącego od dwunastu wieków figowca, który jeden z naszych agentów w Cancún zlokalizował dla niej w pobliżu wulkanu San Martin. Pigmenty sprawiły mniej problemów, gdyż otrzymywało się je z tysiącletnich skał. Nie postanowiliśmy jeszcze, czy kodeksy (jeden poświęcony Chupacanowi, a drugi grze w piłkę) będą zamknięte w skrzyni, czy zanurzone wprost w morskiej wodzie, co by je podniszczyło, ale za to przydało autentyczności.

Kodeksy stanowiły ostatni problem. Jedynie siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent pisma Majów zostało dotąd odszyfrowane. Lena, która w nic nie wątpiła, na próżno próbowała sama odcyfrować pozostałe dwadzieścia procent. Stanęliśmy wobec dylematu: czekać pięćdziesiąt albo i sto lat, aż lingwiści przetłumaczą kodeksy znajdujące się w obiegu, czy też napisać tekst w języku, który opanowaliśmy tylko częściowo? Wybraliśmy oczywiście to drugie rozwiązanie. Ponieważ nie było mowy o korzystaniu z hieroglifów, które widniały w innych kodeksach, a których znaczenia nie znaliśmy, stosowanie wyłącznie symboli rozgryzionych przez specjalistów wzbudziłoby zaś podejrzenia, poprosiliśmy zespół lingwistów z centrum w Moskwie o obmyślenie około dwustu pięćdziesięciu glifów inspirowanych istniejącym zbiorem.

Mając to wszystko na głowie, bynajmniej nie próżnowaliśmy. Pomimo moich upartych próśb Yakoub nie zgadzał się ująć mi obowiązków. Odkąd zaginęła ta przeklęta walizka, żył w strachu. W końcu postanowił zawiesić śledztwo, które zmobilizowało dziesiątki agentów i pochłonęło kilka milionów dolarów, przynosząc rozczarowujące wyniki. Wykluczaliśmy z kręgu podejrzanych taksówkarza oraz dwoje ostatnich pasażerów. Dwaj pozostali, w szczególności zaś słynny Wytatuowany, w dalszym ciągu nam się wymykali; prawdopodobnie mieliśmy ich nigdy nie odnaleźć.

Na horyzoncie majaczyła data 21 grudnia 2012 roku, która wyznaczała koniec baktunu rozpoczętego w 1618 roku. Różni szarlatani, mieszając koniec cyklu z końcem kalendarza Majów, zapowiadali na ten dzień koniec świata, ku wielkiemu przerażeniu milionów nietęgich umysłów. To podsunęło mi pewien pomysł: gdyby tak każdy dziennikarz piszący o nadchodzącej apokalipsie wspomniał w swoim artykule o dniu zgody Chupaców, naszateczka miałaby

zagwarantowany sukces. Ale w tym celu należało działać szybko. Szacując, że archeolodzy będą potrzebowali od roku do dwóch lat na odszyfrowanie kodeksów, zaplanowaliśmy wypuszczenie teczki na początek roku 2010.

Pewnego styczniowego wieczoru, kiedy stwierdziliśmy, że mamy opóźnienie w stosunku do harmonogramu, zasugerowałem Lenie, żebyśmy powierzyli rozwinięcie reguł gry w piłkę Gunnarowi Erikssonowi.

– Uwielbia hokeja i w ogóle sport – argumentowałem. – Ma czas, z którym nie wie, co robić, i byłby szczęśliwy, mogąc wyświadczyć nam przysługę.

– Nie ma mowy – ostro odparła Lena.

Wiedziałem, że relacje między Dunką a jej dawnym mentorem są nieco napięte, ale oschłość w jej głosie mnie zaskoczyła.

– Nie jestem pewien, czy mamy ten luksus, żeby móc się obyć bez jego pomocy – nalegałem. – W tym tempie nigdy nie będziemy gotowi na czas.

– No to trudno – rzuciła Lena. – Poczekamy do następnego baktunu.

5

Na początku lutego wydusiłem od Yakouba pozwolenie na zaprezentowanie naszej teczki Vargasowi. Kolumbijczyk już od dawien dawna nie pracował dla KFR-u, ale wiedziałem, że nie odmówi nam pomocy. Spotkaliśmy się z nim w Hong Kongu, gdzie zlokalizowała go dla mnie jego sekretarka Gladys. Przyjął nas późnym popołudniem w apartamencie przestronnym niczym boisko do gry w piłkę, położonym na ostatnim piętrze hotelu Shangri-La.

Vargas wyglądał na ucieszonego moim widokiem, ale jeszcze bardziej rozradowało go zawarcie znajomości z Leną. Rozbierał ją wzrokiem z tym pozbawionym wyrzutów sumienia łakomstwem, do jakiego zdolni są jedynie mieszkańcy Ameryki Południowej.

– Z pewnością poznaliście się na Hawajach w dziewięćdziesiątym drugim – oznajmiłem, dokonując prezentacji.

– Oczywiście – przyznał Vargas, który ewidentnie nic takiego sobie nie przypominał. – Paniteczka brała udział w konkursie, nieprawdaż?

– Istotnie – przytaknęła Lena. – *Skitos, stolica Tesalii*.

– Pamiętam ją! – wykrzyknął Vargas, obstając przy swoich kłamstwach. – Niezwykły scenariusz! Zgarnęła pani nagrodę, prawda?

– Zająłam drugie miejsce.

– Co za wstyd! Ach, gdyby tylko spytali mnie o zdanie! Ale może nasi wspólni znajomi zwyczajnie pani nie doceniają...

Odpowiedź Leny mnie zdumiała.

– Nie powiedziałabym tego.

– Gdyby któregoś dnia tak się jednak okazało i chciałyby pani zarabiać dziesięciokrotnie więcej, z przyjemnością zapewnię pani dobry start. Bardzo przydałaby mi się współpracowniczka.

– Więc interes kwitnie? – spytałem, zarówno z ciekawości, jak i po to, by odwrócić jego uwagę od Leny.

– Nawet więcej: nie nadążam już z zaspokajaniem popytu. Jeśli tak dalej pójdzie,

będę musiał podnieść stawki.

Z tą przerażającą perspektywą przenieśliśmy się do salonu. Był szykownie urządzony w nowoczesnym azjatyckim stylu. Vargas nalał sobie szklanek koniaku z górnej półki. Nie miałem odwagi dotrzymać mu towarzystwa. Lena nie mogła oderwać oczu od widoku na zatokę.

– Można wiedzieć, co pana sprowadza do Hong Kongu? – spytałem, siadając w bambusowym fotelu obciągniętym czerwoną skórą.

– Och, nic takiego, mam spotkanie z firmami farmaceutycznymi. Rozpętuujemy epidemię grypy.

– Słucham? – rzuciła Lena, którą zapomniałem ostrzec.

– Moi klienci komercjalizują szczepionki – wyjaśnił Vargas. – Globalna epidemia ogromnie zwiększyłaby im sprzedaż.

– I zabiła tysiące niewinnych ludzi!

– Ależ nie, nikogo nie zarazimy. Po prostu powiązemy ze sobą kilka przypadków tu i tam, stwarzając wrażenie, że wirus się rozprzestrzeni. Później zorganizujemy przeciek, wspominając o fikcyjnym raporcie Center for Disease Control and Prevention⁵ i trzech dziennikarzy, którzy jeszcze weryfikują źródła, zadzwonią do Atlanty, żeby zdobyć potwierdzenie. Rzecznik prasowy CDC zaprzeczy istnieniu raportu i w ten sposób jedynie umocni plotkę. Będziemy ostrożnie podsycali psychozę, a rządy państw zamówią miliony szczepionek u moich klientów, którzy zbiją fortunę i być może okażą się na tyle uprzejmi, żeby sprezentować mi wyspę albo odrzutowiec.

– To się nigdy nie uda – oceniła Lena. – Nie tylko epidemiolodzy zorientują się, że zgłoszonych przypadków nic nie łączy, ale też szpitale nie zarejestrują żadnej wzmożonej aktywności.

– Wręcz przeciwnie – wtrąciłem. – Izby przyjęć będą pękać w szwach. Przy każdej epidemii, prawdziwej czy wyimaginowanej, tysiące osób zaczynają wierzyć, że wykazują opisywane w mediach symptomy.

– Właśnie – przyznał Vargas, puszczając do mnie oko. – A niewielki procent spośród tych tysięcy okaże się wystarczająco chory, by zaburzyć statystyki.

– Będą mieć grypę, ale nie tę konkretną odmianę, która interesuje pańskich klientów – zauważyła Lena. – Swoją drogą, o jakiej myślicie?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Skłaniamy się ku grypie typu A wywołanej

wirusem H1N1.

– Ale to przecież hiszpanka! – zawołałem.

– I co w tym złego? Sprzedamy więcej szczepionek, skoro ostatnia epidemia zebrała żniwo w postaci pięćdziesięciu milionów ofiar, nie sądzi pan?

– Proszę wybaczyć, że będę się upierać – powiedziała Lena, której w kwestiach falsyfikacji nie dało się tak łatwo pokonać – ale chorzy zalewający izby przyjęć nie będą nosicielami wirusa hiszpanki.

– Zapomina pani o czymś, drogie dziecko – odezwał się Vargas ojcowskim tonem. – Pozwoli pani, że będę się tak do niej zwracał?

Lena wykonała niejasny gest dłonią. Moim zdaniem Kolumbijczyk nie wybrał najszcześniejszego momentu na spoufalanie się.

– Jak pani myśli, ilu pracowników zatrudnia CDC?

– Dwa tysiące?

– Piętnaście tysięcy! Istna armia, która posiada korespondentów na całym świecie, wytwarza całe góry raportów i obraca budżetem przewyższającym PKB Nikaragui. CDC zostało powołane do życia w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku. Ilu epidemiom stawiało czoła od tego czasu? Dziesięciu? Albo nawet nie... A teraz, piękne dzieciątko, proszę sobie wyobrazić, że pracuje pani w małym biurze na przedmieściach Atlanty. Została pani lekarką albo biologką, bo chciała pani ratować życie, ale od pięciu lat epidemii ani widu, ani słyhu. Pewnego dnia przychodzi w Nawakszucie sygnalizuje pani przypadek hiszpanki. Proszę nie mówić, że nie poczuje pani szczypty podekscytowania...

– Niewątpliwie...

– Kilka godzin później dociera do pani wieść o drugim przypadku, potem o trzecim. Tym razem nie można już mieć wątpliwości: pospiesznie udaje się pani do gabinetu szefa. Ten natychmiast dostrzega potencjalne implikacje dla swojej kariery. Jego ostatni awans miał miejsce jeszcze w poprzednim wieku. Trzeba opłacić prywatne szkoły dzieciaków i alimenty dla żony, ceny benzyny rosną, a on traci nadzieję, że kiedykolwiek będzie mógł przejść na emeryturę. Pani widzi w tej garstce przypadków początki epidemii, on węszy okazję, żeby zostać dyrektorem wykonawczym! Odsyła panią do roboty i prosi o spotkanie z szefem szefów...

Obserwowałem Lenę kątem oka: nie uroniła ani słowa z opowieści Vargasa.

– Szef szefów to człowiek zupełnie innego pokroju. Jeden z ojców współczesnej

epidemiologii. Emerytowany profesor, który wykładał na Cambridge i na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, doradzał trzem prezydentom, co roku typuje się go do Nagrody Nobla z medycyny. Żałuje tylko jednego: nigdy nie pokonał wielkiej epidemii. W epoce szalonej krowy pracował w sektorze prywatnym, a w czasie SARS i ptasiej grypy szefował mu kretyn, który zgarnął całą chwałę. Nie jest już młody: za dwa lata łagodnie wypchną go za drzwi. Pani przypadki to być może jego ostatnia szansa na mianowanie ministrem zdrowia albo dyrektorem WHO. Zresztą, co ma do stracenia? Organizacji prewencyjnej nigdy nie zarzuca się zbytnej ostrożności. I nawet gdyby te trzy przypadki nie miały ze sobą nic wspólnego, dadzą początek wielkiej symulacji, której wyniki okażą się cenne podczas następnego kryzysu. Szef szefów bez wahania zwołuje więc konferencję prasową, a później zaprasza młodą badaczkę na kolację, aby omówić jej przyszłość.

Lena, zatopiona w myślach, nie odpowiedziała. Widziałem, że przechodzi przez te same etapy, co ja niegdyś w Hollywood. KFR nigdy nie zaakceptowałby takiego scenariusza: zbyt był perfidny, zbyt awanturniczny. A jednak Vargas po raz kolejny mnie przekonał. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że cała rzecz rozegra się dokładnie tak, jak to przepowiedział.

Wszystkie teczki Kolumbijczyka były do siebie podobne. Falsyfikacja odgrywała w nich jedynie pomocniczą rolę. Praktycznie wystarczał sam scenariusz. Opierał się na kilku dobrze znanych psychologicznych motywacjach: chęci zysku, próżności, idealizmie młodości i owej tragicznej skłonności człowieka, by wierzyć w to, co mu pasuje. Vargas układał historie na szczycie swojej góry, a później dawał im lekkiego szturchańca i patrzył, jak toczą się w dół zbocza.

– Byłby z tego niezły film – stwierdziłem.

– Mamy to w planach. Jeremy Irons chętnie wcieliłby się w rolę wielkiego wodza. Greg Kinnear zagra głównego menadżera organizacji. Co do zachwycającej badaczki, myślę, że mogę przerwać poszukiwania...

– Bynajmniej – odparła Lena, która zaczynała wykazywać oznaki zniecierpliwienia.

Vargas ukrył rozczarowanie.

– No dobrze, tak czy owak, zaczniemy od epidemii. To pozostawia pani trochę czasu do namysłu. A teraz może powiecie mi, co mogę dla was zrobić...

Przedstawiłem ogólny zarys scenariusza: wojownicy z Toniny zmasakrowali

Palenque, nastąpiła długa wędrówka, która dobiegła kresu na stokach wulkanu San Martin, gdzie wygnańcy postanowili zacząć od nowa...

– Stop! – przerwał Vargas, odstawiając koniak. – Podejrzewam, że nie osiedlają się w pobliżu wulkanu przez przypadek...

– To prawda – przyznała Lena. – Ostatecznie zgładzi ich erupcja.

– Odnajdziemy jakieś budynki? Kości?

– Żadnych.

– A zatem zainstalujcie waszych Majów bezpośrednio we wnętrzu krateru. Zyskacie dwie korzyści. Po pierwsze archeolodzy nie będą szukać pozostałości. A po drugie...

– To bardziej spektakularne – dokończyłem.

– Coraz lepiej mnie pan zna, drogi chłopcze – powiedział Vargas kwaśno.

Zirytowałem go. Lubił pokazywać, że ma przewagę, zwłaszcza w obecności pięknych kobiet. Obiecałem sobie, że będę uważał.

– Kiedy miał miejsce poprzedni wybuch tego wulkanu? – spytałem Leny.

– W roku czterysta osiemdziesiątym, trzy wieki przed masakrą w Palenque.

– A zatem osadnicy mogli sądzić, że jest wygasły. Nie mówiąc już o tym, że gleby wulkaniczne są wyjątkowo żyzne. To by tłumaczyło, w jaki sposób miasto tak szybko się rozrosło.

Vargas odchrząknął.

– A więc osiedlają się we wnętrzu krateru. Co dalej?

Opisałem założycielskie wartości Chupaców, a także ich szaleńcze uwielbienie dla gry w piłkę, której reguły ewoluowały wraz z zasadami panującymi w mieście. Lena od czasu do czasu uściślała jakiś szczegół. Vargas, którego nie spuszczałem z oka, regularnie przytakiwał skinieniem głowy.

– Fantastyczna sprawa z tą grą w piłkę! – wykrzyknął. – Inspirowaliście się regułami baskijskiej peloty?

– Prawdę mówiąc, jeszcze ich nie napisaliśmy.

– Jedna rada, postawcie na realizm. Ta wasza dwukilowa piłka mnie przeraża. W jaki sposób gracze mają ją sobie przekazywać?

– Za pomocą bioder i kolan.

Vargas zacmokał.

– To się nie trzyma kupy.

– A jednak tak właśnie grali Majowie – oznajmiła Lena. – Kodeksy niezbitcie tego dowodzą.

– A ja wam mówię, że szeroka publiczność ani przez sekundę w to nie uwierzy. Co wolicie? Zyskać aprobatę purystów czy sprawić, że gra w piłkę dołączy do panteonu antycznych sportów u boku wyścigów rydwanów i walk gladiatorów?

– Wyścigi rydwanów – odrzekłem w trosce, by jeszcze bardziej nie rozgniewać naszego gospodarza.

– Podzielcie więc wagę piłki przez dwa. I tak będzie wystarczająco ciężka, żeby Nike mogło sprzedawać ochraniacze na piersi i kolana.

– A co ma do tego Nike? – zaniepokoiła się Lena.

Vargas spojrział na nas, jakby miał do czynienia z osobami opóźnionymi w rozwoju.

– Zamierzaliście wprowadzić grę w piłkę w Stanach Zjednoczonych, prawda?

– Rozważamy to – odparłem pospiesznie.

– Tworzycie federację sportu, przyciągacie uwagę paru sław, odpalając im dziesięć czy dwadzieścia procent kapitału, i napuszczacie na siebie Nike i Adidasa, żeby konkurowały przy produkcji akcesoriów. Następnie organizujecie...

– Tak też to widzimy – zapewniłem, zanim Vargas wspomniał o przekupieniu komitetu olimpijskiego.

– Ach, dobrze, tym lepiej. Wróćmy do waszego księcia zgody...

– Chupacana.

– Tak. Świetne imię. Jak wyobrażacie sobie ofiary?

Wymieniłem samookaleczenia, dobrowolne ofiary i wyjaśniłem zasady loterii, w której każdy obywatel miał tyle samo szans na egzekucję, co na zgarnięcie pokaźnej sumki.

– Dobrze, nawet bardzo dobrze! O ilu ofiarach mówimy, tak z grubsza?

Zgadując, co za chwilę nastąpi, dałem Lenie znak, by odpowiedziała.

– Myśleliśmy o dwunastu ofiarach rocznie, w dzień letniego przesilenia.

– To o wiele za mało. A w jaki sposób miałyby ginąć?

– Przez podejrzenie gardła.

– Zbyt czysta śmierć! Ma...

Vargas nagle zauważył, że jego szklanka jest pusta, i wstał, żeby napełnić ją po brzegi.

– Macie szczęście, że Majowie byli krwiożerczym ludem – podjął, wracając powolnym krokiem. – Ścinajcie głowy, wrywajcie serca, ucinajcie jaja! Niech krew ścieka ze szczytu piramidy jak w *Indianie Jonesie*!

– Chupacowie właśnie po to uciekli z Palenque, żeby skończyć z przemocą – argumentowała Lena odważnie.

– Ależ! Zwinęli żagle, żeby ocalić skórę. Grają w piłkę cały boży dzień, ale w dalszym ciągu pozostają Majami. Na litość, nie róbcie z nich mięczaków, bo stracie kategorię wiekową osiemnaście–trzydzieści pięć.

– Przemyślmy to – obiecałem dyplomatycznie. – Chcieliśmy przede wszystkim poznać pańskie zdanie na temat scenariusza. Około roku osiemset dziewięćdziesiątego San Martin się przebudza. Chupaców ogarnia niepokój – tym bardziej że mieszkają w kraterze. W aktualnej wersji postanawiają opuścić miasto i wypłynąć na morze...

– Wrak, doskonały pomysł – pochwalił Vargas, którego bystrość umysłu nie przestawała mnie zaskakiwać.

– Nie mają jednak wystarczająco wielu łódek, żeby wszystkich pomieścić...

– I podejrzewam, że skoro tacy z nich modelowi dżentelmeni, to pomysł, żeby wypatroszyli się nawzajem na plaży, walcząc o miejsce na pokładzie, nie wchodzi w rachubę. Szkoda, to by była bombowa scena...

Lena stłumiła odruch wymiotny.

– Rozważaliśmy, czy nie powinni napotkać innego plemienia, mniej pokojowo nastawionego, które wybiłoby ich wszystkich albo prawie wszystkich – poinformowała.

– Oto co ja wam sugeruję. Na widok pierwszych kłębow dymu Chupacowie udają się po pomoc do sąsiedniego miasta położonego w dżungli i oddalonego o jakieś dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów. Ponieważ to już drugi raz, kiedy muszą uciekać, inspirowałbym się Księgą Wyjścia. „Pozwól nam odbyć drogę trzech dni przez pustynię, abyśmy złożyli ofiary Panu, Bogu naszemu”⁶.

Gestem dałem Lenie znak, żeby się nie wtrącała. Vargas się rozkręcał.

– Inni Majowie nie zostali dotknięci łaską Chupacana. Postanowiwszy zagarnąć skarby sąsiadów, masakrują niezdolnych się bronić mężczyzn, gwałcą kobiety i składają dzieci w ofierze. Tysiącowi Chupaców udaje się uciec...

– Dlaczego tysiącowi?

– Żeby pokryło się z pierwszym exodusem. Mnóście zbiegi okoliczności, podkreślą one święty charakter kodeksu.

– Skąd pan wie, że będzie jakiś kodeks? – spytała Lena, ubiegając mnie.

– Też pytanie! Ktoś przecież musi opowiedzieć tę historię! A więc Chupacowie słaczają się na pokładach łodzi i oddalają od brzegu. Niestety, łodzie toną jedna po drugiej, zabierając ze sobą na dno oceanu sekrety niezwyklej cywilizacji. No chyba że...

– Chyba że?

– Chyba że dwie czy trzy łodzie ocaleją i przybiją do wybrzeży Kuby albo Jamajki, gdzie ich pasażerowie założą Nowe Chupac.

Przygryzłem wargi.

– Oczywiście, powinienem był o tym pomyśleć. Za pięć lub dziesięć lat, kiedy wyczerpiemy potencjał kodeksów, pchniemy historię Chupaców na nowy tor. Prawda, Leno?

– Skupmy się na razie na jednej rzeczy – odrzekła rozsądnie. – Wyjaśnij Ignaciowi, w jaki sposób zamierzamy odzyskać wrak.

– Słyszał pan o firmach specjalizujących się w eksploracji wraków? – spytałem.

– No jasne – odparł Vargas. – Nawet zrobiłem film na ten temat. Może go widzieliście, nazywa się *Titanic*.

Zdałem sobie sprawę z popełnionej gafy. Lepiej było wychodzić z założenia, że Kolumbijczyk wie wszystko o wszystkim.

– Przepraszam, to było głupie pytanie. Nasz poszukiwacz skarbów pochodzi z Australii. Ma wyrazisty akcent – gość w stylu Krokodyla Dundee, przyjemna facjata, tuż po czterdziestce. Pracował dla amerykańskiego przedsiębiorstwa, a potem zaczął działać na własny rachunek. Kupił na kredyt starą łajbę, trochę sprzętu nurkowego i małą łódź podwodną, która w każdej chwili może wsiąść. Kiedy po kilku rozczarowujących wyprawach na Morze Chińskie zaczyna mu brakować funduszy, przekonuje australijskich inwestorów, aby sfinansowali wyłowienie hiszpańskiego galeonu, który zatonął u wybrzeży Veracruz w XVI wieku. Otrzymuje niezbędne pozwolenia, zatrudnia około dziesięciu załogantów i bierze kurs na Zatokę Meksykańską. Po miesiącu czy dwóch poszukiwań, przypadkiem natrafia na wrak Chupaców.

– Wiecie, naturalnie, że prawo zobowiązuje go do zasygnalizowania odkrycia

władzom meksykańskim?

– Na tym właśnie opiera się nasz plan. Skoro nasz zawadiaka będzie już na miejscu, możemy się założyć, że Meksykanie podzleczą mu wydobycie wraku.

– To logiczne. Macie zdjęcie tego dżentelmena?

– Jeszcze go nie wybraliśmy – odparła Lena.

Vargas zmarszczył brew.

– Ale to przecież podstawa. Potrzeba wam Romea. Opalonego, z kilkudniowym zarostem. Rozczochrane włosy, odbarwione morską solą. Piękne zęby – to bardzo ważne, zęby. Umięśniona klata. Nie pomylcie się w kwestii waszego zucha, to on zapewni wam żeńską publiczność. To dobry pomysł, żeby zrobić z niego Australijczyka, ludzie mają dość Amerykanów. O jakiej rasie psa myśleliście?

– Psa? – spytała Lena. – Jakiego psa?

– Mówię o psie, ale równie dobrze może to być wiewiórka albo świnka morska. Produkcja takiej wagi nie może się obyć bez domowego zwierzaka. Co ludzie oglądają na YouTubie? Filmiki z kotami na deskorolce... O, to jest pomysł: Australijczyk mógłby mieć kota. Ach, nie, zdaje się, że na statku przynosi to nieszczęście. Choć Egipcjanie zabierali ze sobą koty, gdy żeglowali po Nilu...

Pograżony w rozmyślaniach, machinalnie dolał sobie koniaku, nie zdając sobie sprawy, że jego szklanka jest jeszcze w połowie pełna.

– Po dokładnym rozważeniu wszystkiego zostałbym jednak przy psie – oświadczył w końcu.

– Ma pan jakieś preferencje co do rasy? – zapytałem.

– Nowofundland. Pies Wikingów, przyjazny pysk, symboliczna nazwa⁷, czego chcieć więcej?

Mimo początkowych oporów, Lena robiła notatki. A ja zastanawiałem się, jak będzie miał na imię chomik pierwszej ofiary epidemii hiszpanki.

6

Vargas wyrzucił nas koło dwudziestej, wymawiając się kolacją z klientami. Biorąc pod uwagę ilość pochłoniętego przez niego alkoholu, wątpiłem, czy uczciwie zapracuje tego wieczoru na swoje honorarium.

Zaproponowałem Lenie, żebyśmy przespacerowali się w stronę portu. Dobrze znaliśmy Hong Kong, gdzie oboje przeprowadziliśmy mnóstwo misji, kiedy działaliśmy w Operacjach Specjalnych. W 2000 roku spędziłem tam trzy tygodnie, gdy KFR planował spopularyzować w Azji rugby siedmioosobowe. Lena z kolei regularnie się tam zatrzymywała, wracając z Timoru Wschodniego.

Protokół nakazywał, żebyśmy skontaktowali się z dyrektorem centrum w Hong Kongu, który z poczucia obowiązku, a może nawet z prawdziwą przyjemnością, zaprosiłby nas na kolację. Ale pomijając fakt, że uważałem go za potwornego nudziarza, wolałem skorzystać z okazji, by spędzić trochę czasu sam na sam z Leną.

– Znasz tę knajpkę? – spytała, wskazując zatłoczony lokalik, gdzie goście jedli na stojąco. – Mają najlepsze sfermentowane tofu na całym półwyspie.

– Uch, nie jestem jeszcze głodny – odparłem, chcąc uniknąć kolejnych wegetariańskich bachanaliów.

– Nie ma sprawy. Znam inne miejsca.

Czy wszystkie pochodzą z przewodnika po makrobiotycznych zakładach gastronomicznych – oto co chciałbym wiedzieć.

– A może tak wybralibyśmy się na rejs po zatoce? – rzuciłem.

– Myślisz? – spytała Lena, dobrze ukrywając ekscytację. – Nie jest to pułapka na turystów?

– Ależ skąd! Na pewno nie o tej porze roku.

– Ile to trwa?

– Dwie albo trzy godziny. Zjemy na pokładzie.

– Sądzisz, że mają dania wegetariańskie?

– Jestem tego pewien.

W porcie jakichś dziesięciu naganiaczy z prawdziwą błyskotliwością rywalizowało o uwagę rzadkich urlopowiczów. Wpadliśmy w łapy pomarszczonego niczym żółw starca w białej czapeczce z daszkiem, który opracował niezrównaną technikę. Podczas gdy jego koledzy po fachu mechanicznie recytowali w kółko ten sam tekst, on mierzył wzrokiem rozmówców i serwował im odpowiedzi, które chcieli usłyszeć.

- Macie menu wegetariańskie? – spytała Lena.
- Oczywiście – odparł Żółw, mrużąc oczy. – Co lubią?
- Dim sumy, warzywa z patelni, makaron...
- Homara – dorzuciłem.
- Mieć to wszystko.
- Ile trwa rejs? – dowiadywała się Lena.
- Kiedy chcecie wrócić?
- Przed dwudziestą trzecią, jak sędzę.
- Nie ma problemu.
- Jest chyba mgła? – zagadnąłem, obserwując horyzont.
- Mgła się podniesie – zapewnił sentencjonalnie Żółw.

Odwróciłem się do Leny. Nie tryskała entuzjazmem, ale wyglądała na gotową, by złożyć swój los w moje ręce, przynajmniej na ten wieczór.

- Zgoda! – wykrzyknąłem.
- Pierwsza czy druga klasa? Polecam pierwszą.
- Niech będzie pierwsza – powiedziałem, wyjmując portfel. – Skąd odpływamy?
- Proszę za mną.

Poprowadził nas szybkim krokiem na drugą stronę portu. Mijani naganiacze brali naszą obojętność za wybieg negocjacyjny i oferowali nam coraz hojniejsze rabaty. Żółw, maszerując władczo, nie zadawał sobie nawet trudu rozganiania ich. Liczyły się tylko pieniądze, a je już miał w kieszeni.

- Na miejscu.

Ta uwaga nie była niepotrzebna. „Bright Star” przypominała raczej rybacką barkę niż luksusowe jachty zacumowane w pobliżu Shangri-La. Restaurację na wolnym powietrzu okrywało jedynie zadaszenie z wojskowej plandeki, która trzepotała na wietrze. Ostatnią warstwę farby położono chyba za czasów rewolucji kulturalnej. Lena spojrzała na mnie pytająco.

– Chodźmy – zachęciłem, przybierając minę pełną zaskoczonego zadowolenia. – Nie jest tak źle.

– Nie tak źle? Nie wiem nawet, gdzie oni tu gotują.

– Zaufaj mi.

Przywołałem Żółwia, który wyruszał upolować kolejnych naiwniaków.

– Kiedy wypływamy?

– Pięć minut! – zawołał, nie odwracając się.

Wkroczyłem na pokład, by dać dobry przykład; Lena niechętnie poszła w moje ślady. Nikt nie sprawdził biletów; tak naprawdę nie było to wcale zaskakujące: nikt nie pchał się na „Bright Star”, jeśli nie miał ku temu dobrych powodów.

– Ale tu nikogo nie ma! – wykrzyknęła Lena.

– Może są na dolnym pokładzie...

– A widzisz gdzieś dolny pokład? Mówię ci, jesteśmy tu sami.

– Co nam gwarantuje najlepsze miejsca – odparłem zdecydowany, by zachować pozytywne nastawienie wobec przeciwności losu. – Gdzie chcesz usiąść?

– W pierwszej klasie.

– Obawiam się, że się w niej znajdujemy.

Lena przesunęła palcem po stołach, żeby znaleźć ten najmniej brudny, później odwróciła krzesło w stronę morza i usiadła ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Z pewnością czekała, aż podreż bilety i zaprowadzę ją na statek lepszej klasy, gdzie będzie mogła się opijać sokiem z rzepy. To tylko świadczyło o tym, jak słabo mnie zna: moje najlepsze doświadczenia podróżnicze często rozgrywały się w katastrofalnych warunkach.

– Co sądzisz o Vargasie? – zagadnąłem, zajmując miejsce obok niej.

– Gdybym nie czytała jego życiorysu, byłabym przekonana, że to pajac. Wkurza mnie sposób, w jaki przewiduje wydarzenia, zupełnie jakby były nieuniknione.

– Na jego obronę powiem, że rzadko się myli. Powinnaś go była widzieć w Hollywood, traktują go jak półboga.

– Przyznaję, że szybko łapie. Uprzedził nas w kwestii wybuchu, wraku i kodeksów.

– To dowód, że opowiadamy dobrą historię.

– Dobrą czy przewidywalną?

– To często jedno i to samo rzecz. Trzeba jedynie, żeby publiczność nie zdawała

sobie z tego sprawy. Tak czy inaczej, jego pomysł, żeby część flotylii dotarła na Karaiby, jest genialny.

– Będziemy musieli zbudować boisko do gry w piłkę i parę domów. Drugi wybuch wulkanu nie przejdzie.

Pojąłem implikacje słów Leny. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, Chupacowie zaabsorbują nas na kolejnych pięć czy dziesięć lat, może więcej. To uczyni z nich najważniejszą teczkę w naszych karierach.

W oddali odezwała się syrena statku. Przeszukałem ciemność wzrokiem, ale go nie dostrzegłem. Wciąż była mgła.

– Czy on nie mówił, że odpływamy za pięć minut? – spytała Lena.

– Owszem.

Pokład w dalszym ciągu świecił pustkami, nie było widać nawet żadnego członka załogi. Dwa otaczające nas promy wyruszyły w tym samym momencie, wyładowane ożywionymi pasażerami, którzy z pewnością zapłacili mniej od nas i prawdopodobnie wrócą, zanim my podniesiemy kotwicę.

– Wiesz, czego nie mogę zrozumieć? – zacząłem. – Tego, że Vargas odszedł z KFR-u, znalazłszy się tak blisko celu.

– Jakiego celu?

– Komitetu, rzecz jasna. Zdaniem Yakouba wkrótce by go dokooptowali.

– Nie widzę problemu.

– Daj spokój, nie mów mi, że nie chciałabyś poznać motywów działania KFR-u!

– Mam je głęboko gdzieś. Władza mnie nie interesuje.

– Nie mówię o władzy, ale o sensie życia. Nie zastanawiasz się, dla kogo i po co pracujesz?

– Nigdy. Jedyne, czego pragnę, to z powodzeniem doprowadzić do końca swoje projekty, a szczególnie ten. Póki dają mi święty spokój, nie widzę powodu, żebym miała łamać sobie nad tym głowę.

Opadła mi szczeka. Lena nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Zawsze zakładałem, że dążymy do tych samych celów, ona i ja. Że ponieważ osobiście marzyłem o zgarnięciu nagrody za najlepszą pierwszą teczkę, rozczarowało ją zajęcie drugiego miejsca. Że zazdrościła mi przyjęcia do Akademii w chwili, gdy byłem o dwa lata młodszy od niej. Że uważała, iż niesłusznie zdobyłem miejsce w Komitecie. Tymczasem motywacje, które jej przypisywałem, więcej mówiły

o moim stanie ducha niż jej.

Za naszymi plecami rozległy się donośne głosy. Odwróciliśmy się. Żółw eskortował amerykańską rodzinę w szortach i adidasach. Trap ugiął się po raz pierwszy pod ciężarem ojca, później po raz drugi pod ciężarem matki. Dzieci, nastolatka i około dziesięcioletni chłopiec, też miały już całkiem spory obwód talii. Rodzice przybrali oszołomione miny, niewątpliwie podobne do tych, które nie tak dawno temu pojawiły się na naszych twarzach: nie mogli się nadziwić, że wpadli w taką pułapkę.

– Fantastycznie, idziecie do pierwszej klasy – oznajmił Żółw, wskazując stoliki pod plandeką.

Podczas gdy Amerykanie przyciszonymi głosami debatowali nad możliwością uzyskania zwrotu pieniędzy, Żółw zwinął trap i odepchnął łódź od przystani.

– Hej, proszę zaczekać! – wrzasnął ojciec. – Chcemy wysiąść.

– Za późno – odrzekł Żółw, znikając w kokpicie.

Parsknąłem śmiechem w tym samym momencie co Lena. Amerykanka przeszła nas morderczym spojrzeniem, jakbyśmy należeli do spisku.

– Jestem głodny – marudził dzieciak.

– Poczekaj momencik, kochanie – uspokoiła go matka. – Pan zaraz przygotuje dla nas hamburgery.

– Z bekonem?

– Z bekonem, stopionym serem i górą ketchupu, jak w domu.

Chwilowo usatysfakcjonowany chłopiec zajął się swoją konsolą do gier. Jego siostra stuknęła w telefon, podczas gdy rodzice przerzucali na siebie odpowiedzialność za tę porażkę, ani razu nie zerknąwszy na krajobraz. Choć trzeba przyznać, że nie bardzo było co podziwiać. Mgła stawała się coraz gęstsza. Widoczność nie sięgała nawet stu metrów.

– Powiedz, że ma radar – wymamrotała Lena.

– Jasne, że tak – zapewniłem. – I flary ostrzegawcze na wypadek zatonięcia.

Wybuchła śmiechem. Wyglądało na to, że postanowiła odtąd robić dobrą minę do złej gry. Na szczęście, bo powodów, żeby mieć mi za złe, nie brakowało.

– Dlaczego wstąpiłaś do KFR-u? – spytałem zniechęca.

Zdałem sobie sprawę, że powinienem był zadać to pytanie przed piętnastoma laty w Córdoba, podczas naszego pierwszego spotkania. Bez wątpienia

zaoszczędziłoby nam to wielu nieporozumień.

Lena patrzyła prosto przed siebie. Przez chwilę sądziłem, że mnie nie usłyszała. Szykowałem się, by powtórzyć pytanie, kiedy odparła cicho:

– Żeby znaleźć rodzinę.

I właśnie tam, na tej nieprawdopodobnej barce, w gęstej jak mleko mgle, Lena opowiedziała mi swoją historię.

Dorastała w Brøndby, małej miejscinie na obrzeżach Kopenhagi. Jej matka pracowała w supermarkecie, ojciec na platformie wiertniczej na Morzu Północnym. Była jedynaczką.

– Kiedy miałam dziewięć lat, ojciec dał nogę. Jego kontrakty trwały zwykle po kilka tygodni. Pewnego dnia, gdy nakryliśmy do stołu z zamiarem uczczenia jego powrotu, po prostu się nie zjawił. Matka zadzwoniła do jego pracodawcy, który potwierdził, że tata poprzedniego dnia opuścił stanowisko. Policja jedynie obdzwoniła szpitale i sprawdziła, czy jego nazwisko nie figuruje na liście ofiar wypadków drogowych. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy.

– Myślisz, że coś mu się stało?

– Nie. Jestem pewna, że zaplanował swoje zniknięcie. Że wyemigrował do Szwecji albo do Anglii, żeby zacząć nowe życie.

– Czemu miałby to robić?

– Trudno stwierdzić. Wówczas matka nie chciała odpowiedzieć na moje pytania. Później wspominała o innych kobietach, o problemach z pieniędzmi. Z czasem te historie stawały się coraz bardziej dziwaczne: tata należał do sekty, zrobił dziecko nieletniej i tak dalej. Wolą zwozić samą siebie tymi bzdurami, niż spróbować odnaleźć męża.

– Byłaś blisko z ojcem?

– Na tyle, na ile dziewięciolatka może być blisko z człowiekiem, który tak naprawdę nie mieszka w domu. Nawet kiedy był na miejscu, popołudnia spędzał w kawiarni. A jednak raz zabrał mnie, żebym kupiła sobie strój na szkolny koncert. Obeszliśmy wszystkie sklepy w Brøndby; twierdził, że żadna kreacja nie jest wystarczająco piękna dla jego małej księżniczki. Na koniec wydał absurdalną sumę na tiulową sukienkę, którą założyłam tylko raz w życiu.

Lena uśmiechała się na wspomnienie tego epizodu. Nie miałem odwagi jej powiedzieć, że prawdopodobnie go wymyśliła.

– Starłaś się go odnaleźć?

– Tak. Dzwoniłam tam i siam, podając się za swoją matkę, przesiadywałam w kawiarni w nadziei, że któryś ze stałych klientów nadal ma z nim kontakt. Za pierwszą wypłatę od Baldura zatrudniłam detektywa z Kopenhagi. Poruszył niebo i ziemię, wszystko na próżno. Któregoś dnia, uiszczając entą fakturę za jego usługi, zadałam sobie pytanie, czemu tak się przejmuję draniem, który wypiął się na własną rodzinę. Przestałam płacić.

Wyobrażałam sobie, że niewiele jest rzeczy gorszych, niż bycie porzuconym przez rodziców. Mimo że straciłam ojca w bardzo młodym wieku, widziałem, jak odchodzi, i nigdy nie wątpiłem w jego miłość.

– Kiedy miałam dwanaście lat, matka zamieszkała z odrażającym typem, islandzkim dokerem imieniem Jon, który pracował w kopenhaskim porcie. Poznali się w supermarkecie, gdzie – nie zmyślam – przychodził po piwo. Nigdy nie rozumiałam, co Jon widzi w mojej matce: była depresyjna, rozgoryczona, kiepska z niej była strażniczka domowego ogniska. Za to w zbieraniu cięgów była prawdziwą mistrzynią! Jon łoił ją w każdą sobotę, a do tego w dzień wypłaty. Na początku się bronila: gryzła, kopała. A później pojęła, że to niczemu nie służy, że lepiej zrobie, zwijając się w kłębek i czekając na to, co ma nadejść.

– A ty byłaś świadkiem tego wszystkiego? – spytałem przerażony.

– Czasami. Staralam się w weekendy nocować u koleżanek. Zdarzało się, że wracałam w niedzielę rano i zastawałam mamę nieprzytomną na podłodze, z opuchniętymi rękami i nogami; bo ten gnój oczywiście uważał, żeby nie zostawić śladów na twarzy.

– Twoja matka nigdy nie poskarżyła się w opiece społecznej?

– Ona nie, ja tak. Do drzwi zadzwoniło dwóch ich pracowników. Jon przyjął ich, gładki i układny, zaprzeczając, jakoby kogokolwiek pobił. Pokazał swoje dokumenty imigracyjne, które były w porządku, matka nie zgodziła się podwinąć rękawów i wysłannicy sobie poszli, nie poprosiwszy mnie o zeznanie, ponieważ byłam za młoda.

– Nie mów, że cię uderzył.

– Żartujesz? Wiedział, że wystarczy jeden siniak, a wyślę go do paki. Wyładował się więc na mamie, która, jak zwykle, w milczeniu zaciskała zęby.

– Potworna historia...

– Rozumiesz już, dlaczego zachowuję ją dla siebie. Ale to jeszcze nie koniec. W roku, w którym kończyłam trzynaście lat, przeprowadziliśmy się do Reykjavíku. Jon chciał być bliżej braci. Twierdził też, że na Islandii będzie lepiej zarabiał. Błagałam mamę, żeby pozwoliła mi kontynuować naukę w Danii, uświadamiając jej, że za granicą będziemy jeszcze bardziej zdane na łaskę Jona. Nie chciała o tym słyszeć. Wprowadziliśmy się do trzypokojowego mieszkania przy Faxafen. Mama, która nie miała pozwolenia na pracę, spędzała dni przed telewizorem.

– Gdzie chodziłaś do szkoły?

– Do MR przy Lækjargata. Ależ się naużerałam z islandzkim! Sądziłam, że nigdy go nie opanuję. W domu w dalszym ciągu mówiliśmy po duńsku. Harowałam jak wół, żeby nadrobić braki, co nie przeszkadzało nauczycielom w wytykaniu mi każdego popełnionego błędu przed całą klasą.

Niewielu Islandczyków zdaje sobie sprawę, że ich ojczysty język ze swoimi deklinacjami, nieregularną koniugacją i archaicznym słownictwem zalicza się do najtrudniejszych na świecie. Lena posługiwała się nim bardzo dobrze, bezbłędnie i niemal bez śladu akcentu.

– Mniej więcej w tym czasie Jon zaczął się mną interesować. To się działo stopniowo. Najpierw komentował mój ubiór, później mnożył uwagi o moich znajomych płci męskiej, a w końcu zdemontował zamek w łazience, żeby móc wchodzić bez ostrzeżenia, kiedy brałam prysznic.

Za naszymi plecami Żółw przyjmował od Amerykanów zamówienia na kolację. Rozdźwięk pomiędzy jałowością ich zachcianek a potwornością opowieści Leny miał w sobie coś nierealnego.

– Założyłam nowy zamek – ciągnęła. – Ten też usunął. Wtedy nabrałam zwyczaju blokowania drzwi krzesłem, kiedy się myłam.

– Twoja matka nic nie mówiła?

– W tych rzadkich chwilach, gdy próbowała, Jon odpłacał się jej policzkiem. Nie mogłam wnieść skargi, bo zostałybyśmy deportowane. Bez wizy pobytowej byliśmy całkowicie zdane na Jona, który wyświadczał nam uprzejmość i zapewniał zakwaterowanie. Mieszkanie było na jego nazwisko; my zaś nie miałyśmy ani dochodów, ani oszczędności, ani bliskich, którzy mogliby nas wesprzeć.

– Trzeba było odejść!

– Ostatecznie tak właśnie zrobiłam. Pewnego wieczoru – miałam czternaście lat

– Jon wrócił około północy jeszcze bardziej zalany i kłótlivy niż zwykle. Próbował otworzyć drzwi do mojego pokoju. Kiedy zorientował się, że je zastawiłam, wpadł w szal. Matka wstała, pewnie ją walnął, bo usłyszałam, jak przewraca się w przedpokoju. Zaczął się dobijać, coraz mocniej i mocniej. Zrozumiałam, że wyważy drzwi i że jeśli nic nie zrobię, to mnie zgwałci. Chwyciłam sportową torbę, wepchnęłam do niej kilka rzeczy i usiadłam okrakiem na oknie, wiedząc, że nigdy już nie postawię stopy w tym domu. Mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Zrzuciłam torbę, zwiesiłam się z gzymsu, a potem puściłam. Jakimś cudem nic sobie nie zrobiłam. Pobiegłam do ośrodka, który zauważyłam wcześniej przy Büstadavegur. Dali mi łóżko. Resztę nocy spędziłam na planowaniu przyszłości.

Ujrzałem siebie w wieku czternastu lat; w moim życiu liczyły się dwie rzeczy: powieści Juliusza Verne’a oraz piłka nożna. Wieczorami, leżąc w łóżku, z pamięci recytowałem składy dwunastu drużyn biorących udział w mistrzostwach. W tym samym czasie Lena walczyła o przetrwanie.

– Co jecie? – spytał Żółw. Nie słyszałem, jak nadchodzi.

Szykowałem się, by przez wzgląd na Lenę odesłać go z powrotem do kuchni, ale to ona odezwała się pierwsza:

– Poproszę sfermentowane tofu, dim sumy z warzywami i mątwę.

Ja dopiero odkrywałem jej historię, ona żyła z nią od dwudziestu pięciu lat. Przez jakiś czas pewnie wszystkie potrawy miały gorzki smak, a potem na nowo zaczęła jeść. Przecież trzeba jakoś żyć.

– A pan?

– To samo – odparłem, bojąc się, że swoim homarem zrujnuję atmosferę.

Żółw oddalił się wolnym krokiem.

– Kto steruje łodzią od pięciu minut? – zapytała Lena.

– Wolę nie wiedzieć.

– Wiesz, istnieje opcja, że kręcimy się w kółko po porcie.

– To całkiem możliwe. Nie widzę nawet dziobu łodzi.

Milczałem tak długo, jak długo byłem w stanie. Później, nie mogąc już tego wytrzymać, zagadnąłem:

– Co postanowiłaś tamtej nocy?

– Że zostanę na Islandii aż do matury; że nie wniosę skargi na Jona z obawy, żeby nie obróciło się to przeciwko mojej matce; i że nigdy nie będę zależna od

mężczyzny w kwestii mieszkania i wyżywienia. Rano opowiedziałam swoją historię dyrektorze centrum, jasno określając, czego chcę. Moja zimna krew i wiedza prawna zrobiły na niej wrażenie. Zgodziła się mi pomóc. Wybrała się do mieszkania w czasie, kiedy Jon był w pracy. Mama dała się przekonać do zrzeczenia się władzy rodzicielskiej nade mną, co praktycznie rzecz biorąc, czyniło ze mnie sierotę. Spędziłam kolejne cztery lata w rodzinach zastępczych.

– Nie było zbyt ciężko? – rzuciłem, natychmiast zdając sobie sprawę z głupoty tego pytania.

Lena wzruszyła ramionami.

– Wszystko jest względne. Przynajmniej spałam przy otwartych drzwiach. Najgorsza jest ta niepewność: nigdy nie wiesz, czy dana rodzina zatrzyma cię przez tydzień, przez miesiąc czy przez rok. Raz wystarczyła nieodpowiednia uwaga ze strony ojca, żeby matka wykopała mnie z domu, traktując jak ladacznicę. Innym razem to dzieci zażądały mojego odejścia, ponieważ miałam lepsze oceny niż one. Jeszcze innym musiałam ustąpić miejsca, jak to zostało ujęte, przypadkowi poważniejszemu niż mój. Ogółem zaliczyłam jedenaście domów: jedenaście rodzin z ich zwyczajami, dobrymi stronami i drobnymi podłościami.

– W której spędziłaś najwięcej czasu?

Nie odpowiedziała od razu.

– Przez szesnaście miesięcy mieszkałam u angielskiej rodziny, u Watkinsów. Bardzo dobrze dogadywałam się z Molly, matką. Ned, jej mąż, dużo podróżował. Dzieci były urocze, pomagałam im w odrabianiu zadań. Latem pojechaliśmy na wakacje do Brighton. Zatrzymaliśmy się u rodziców Neda, w przepięknym domu na skraju plaży. Po raz pierwszy wyjechałam wtedy ze Skandynawii. Pewnego dnia na plaży Molly dała do zrozumienia, że ona i Ned byliby ostatecznie skłonni mnie adoptować.

– Ile miałaś lat?

– Szesnaście, prawie siedemnaście. Wiem, co sobie myślisz. Kto chce obarczać się rodzicami, będąc tak blisko pełnoletniości?

– Ktoś, kto ich nigdy nie miał.

– Właśnie. Resztę pobytu przeżyłam z głową w chmurach. W chwili wyjazdu matka Neda uściskała mnie i powiedziała: „do zobaczenia w przyszłym roku”. Zaczęłam rozglądać się za brytyjskimi uniwersytetami. W kolejnych miesiącach

wyczułam, że Watkinsowie są czymś przejęci, bardziej zdystansowani. Mniej chętnie wspominali o przyszłości czy o wakacjach. Nie śmiałam poruszać tematu adopcji, chociaż nie myślałam o niczym innym. A później któregoś wieczoru Ned i Molly przyszedli do mojego pokoju. Wiedziałam, jeszcze zanim otworzyli usta.

– Co się stało?

Lena znowu milczała chwilę, nim odpowiedziała:

– Ned dostał awans. Zwolniła się posada w Londynie, trzeba ją było objąć przed Bożym Narodzeniem. Rodzina miała się przeprowadzić za dwa tygodnie, zamówili już ciężarówkę.

– Nie mogli cię zabrać ze sobą do Anglii?

– Jak się pewnie domyślasz, też o to zapytałam. Nie udzielili jasnej odpowiedzi. Molly wymawiała się moją nauką: koniecznie musiałam skończyć rok szkolny w Reykjavíku. Ned utrzymywał, że jego adwokat rzucił okiem na moje papiery i wątpił, by Anglicy udzielili mi pozwolenia na pobyt.

– Prawda była niewątpliwie bardziej prozaiczna. Przy londyńskich cenach nieruchomości dodatkowy pokój kosztowałby ich fortunę.

– Później też tak sobie pomyślałam. W tamtej chwili docierało do mnie tylko jedno: znowu straciłam rodzinę. Bo o adopcji naturalnie nie było już mowy.

– Pozostałaś z nimi w kontakcie?

– Jeszcze czego! Następnego dnia poprosiłam o przeniesienie. Ale mimo wszystko wyświadczyli mi pewną przysługę. Postanowiłam tak czy siak złożyć papiery na Cambridge. Wierzyłam w swoje szanse. Po szesnastu miesiącach u Watkinsów mój angielski był więcej niż poprawny. Mówiłam też po niemiecku, francusku, duńsku i islandzku i miałam najwyższą średnią w liceum. Przyjęli mnie i przyznali maksymalne stypendium: uniwersytet nie tylko zwolnił mnie z opłat, ale też przelewał mi pieniądze na zakwaterowanie i bieżące wydatki.

Wielu spośród moich znajomych, także tych najbardziej błyskotliwych, pielęgnowało w sobie marzenie o studiach na Oxfordzie lub Cambridge. A Lenie udało się to osiągnąć, bez rodziców i korepetytorów, jedynie dzięki sile własnej determinacji.

Nagle z mgły wyłonił się Żółw obładowany talerzami.

– Tofu, dim sumy, mątwą – ogłosił.

Postawił przed Leną trzy dania.

– A dla pana homar.

Zniknął w gęstym oparze, zanim zdążyłem mu podziękować.

– Niewiarygodne – zdziwiłem się. – Pamiętał, że miałem ochotę na homara.

– Jeszcze bardziej niewiarygodny jest fakt – dodała Lena, wpatrując się w potrawy – że miał w kambuzie wszystkie składniki.

Powąchałem homara.

– Wygląda na świeżego.

– Mątwą tak samo. A dim sumy są wrzące.

– I kto mówił coś o pułapce na turystów?

– Na pewno nie ja – odparła Lena, atakując swoje tofu.

A skoro mowa o turystach, do naszych uszu dotarły usatysfakcjonowane pomruki. Zdawało się, że Amerykanie doceniają hongkońską kuchnię.

– Zmieniam swój ranking – oznajmiła Lena. – To jest najlepsze tofu, jakie w życiu jadłam. Chcesz spróbować?

– W żadnym razie, nie. Ukroić ci kawałek homara?

– Poproszę.

Przez kilka chwil delektowaliśmy się posiłkiem w ciszy. Wieczór w niczym nie przypominał tego z moich wyobrażeń i tak było bardzo dobrze.

– Podobało ci się w Cambridge? – zagadnąłem.

– Pod względem akademickim to był raj. Nie znosiłam całej reszty: angielskiej arogancji, debilnej rywalizacji z Oxfordem, snobizmu dzieciaków z dobrych rodzin, które patrzyły na mnie z góry, bo byłam stypendystką i nie miałam środków, żeby wyjeżdżać na weekendy.

– Co studiowałaś?

– Matematykę i finanse. Chciałam dobrze zarabiać i nie być od nikogo zależna. Ale staże odbyte w bankach handlowych obrzydziły mi ten rynek. Koledzy po fachu okazali się dziecinni, kierowali się instynktem stadnym i wyznawali fallokrację. Skierowali mnie do sprzedaży akcji, ponieważ, jak powiedział mój szef, „dobrze się prezentowałam”. Kiedy poprosił, żebym w dni, w które mam do czynienia z klientami, wkładała krótsze spódniczki, trzasnęłam drzwiami.

– Nie bałaś się, że stracisz stypendium? – dociekałem, pod wrażeniem niewzruszoności zasad Leny.

– Nie. Po pierwsze dlatego, że oceny miałam nienaganne, a po drugie, bo wtedy

oskarżyłabym biuro do spraw staży o współudział w stręczycielstwie.

Na darmo czekałem na uśmiech albo chichot. Wcale nie żartowała.

– W jaki sposób wylądowałaś u Baldura? Sądziłem, że zatrudniają jedynie inżynierów i geografów.

– Mój profesor z księgowości był Islandczykiem. Polecił mnie Gunnarowi.

– Był przyjacielem rodziny?

To określenie odnosiło się do tysięcy okazjonalnych współpracowników rozsianych po całym świecie, którzy podejrzewali istnienie KFR-u, ale nie znali dokładnie jego funkcji.

– Nawet nie jestem pewna. Zwierzyłam mu się, że pomyliłam się co do finansów, a on uznał, że dobrze będzie zwrócić się w tej sprawie do dawnego kolegi konsultanta. Będąc przejazdem w Reykjavíku, skorzystałam z okazji i spotkałam się z Gunnarem. Po trzech czy czterech rozmowach i całej serii regulaminowych testów zaproponował mi pracę.

– Wydawałoby mi się, że po tym, co ci się przydarzyło, będziesz wolała, żeby od Islandii dzielił cię jak największy dystans.

– Ja też tak sądziłam. Ale posada niosła ze sobą prawdziwe zalety: miałam dużo podróżować, pensja była dobra, nauczyłabym się nowego zawodu. Przede wszystkim zaś pociągała mnie rodzinna atmosfera panująca w firmie; dało się wyczuć, że współpracowników traktuje się tam przyzwoicie, a nawet po ludzku.

– To porządna firma. KFR czy nie KFR.

– Mimo to, z powodów, które na pewno potrafisz sobie wyobrazić, odrzucała mnie myśl o osiedleniu się w Reykjavíku. Gunnar zapewnił, że nie zostanę tam długo. „Tylko na czas szkolenia”, oznajmił.

– Nie mają zagranicznych filii. Jaką bajeczkę o potencjalnym rozwoju kariery ci sprzedał?

– Zamydlił mi oczy, twierdząc, że w perspektywie kilku lat zamierzają otworzyć biuro w Kopenhadze. Przystałam na to.

– „Gratulacje, panienko, i tak oto została pani jedną z nas” – rzuciłem, parafrazując dwuznaczne sformułowanie, którego Gunnar użył w dniu podpisania przeze mnie umowy.

– Tobie też tak powiedział?

Przez parę minut wymienialiśmy mniej lub bardziej zabawne anegdotki

z naszego pobytu u Baldura. Kończąc homara, opowiedziałem Lenie o mojej inicjacyjnej grenlandzkiej przeprawie.

– Ty przynajmniej – odrzekła – wiedziałeś, o czym mówisz. Tymczasem ja podczas swojej pierwszej misji nie pojęłam ani słowa z tego, co gadał klient. Na dodatek prawie przeoczyłam wskazówki, które Gunnar pozostawił w raporcie!

– Gdybyś ich nie zauważyła, nie siedzielibyśmy tu dzisiaj...

– Ty owszem.

– Ależ nie – odparłem z uśmiechem. – Nie ma Leny, nie ma Chupaców!

– Teraz wracać – powiadomił głos dobiegający gdzieś z przodu łodzi.

– Gratuluję z powodu tej mgły! – krzyknąłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Mgła się podniesie – odpowiedział głos.

Poprzednio wziąłem słowa naszego kapitana za prognozę pogody. Teraz stało się jasne, że był to konfucjański aforyzm.

– A co do tej rodziny – zagadnąłem Lenę. – Znalazłaś ją w końcu?

– Tak mi się zdawało – rzekła, odpychając stolik.

Oparła stopy o reling. Przez chwilę bałem się, że na tym poprzestanie. Ale czuła zbyt wielką potrzebę, żeby wszystko z siebie wyrzucić.

– Przez dwa lata relacja z Gunnarem w pełni mnie zadowalała. Nikt nigdy nie poświęcił mi tyle czasu, nie nauczył tylu rzeczy. Mimo swoich obowiązków zawodowych zawsze był przy mnie, kiedy go potrzebowałam. Bardzo ulepszył mój pierwszy scenariusz, mimo że – patrząc z perspektywy czasu – samemu pomysłowi brakowało śmiałości. Znasz moje upodobanie do wymyślania źródeł; Gunnar spędził całe noce na poprawianiu lipnych prac magisterskich i fałszywych sprawozdań.

– Pokazał mi je. Nadal nie mogę uwierzyć, że udało ci się napisać protokoły posiedzeń z dwudziestu dwóch lat.

– To za jego sprawą zrozumiałam, że mam talent do falsyfikacji.

– Czym to tłumaczysz?

– Nie wiem. Wślizguję się do głowy osoby, którą zamierzam splagiatować, i pozwalam swojemu pióru działać. Przyjęcie stylu wschodniemieckiej feministycznej doktorantki piszącej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku nie sprawia mi większych trudności niż podrobienie raportu UNESCO albo japońskiego komentarza sportowego.

- Zazdrość ci.
- Biedny Sliv – rzuciła Lena ironicznie. – Natura tak bardzo poskąpiła ci talentów...
- Kontynuuj. Mówiłaś o *Skitos, stolicy Tesalii*.
- Gunnar zgłosił mnie do konkursu na Najlepszą Pierwszą Teczke. Jako jedyny wierzył w moje szanse; mnie moja historia wydawała się płaska, nieznacząca, daleko w tyle za teczkami, które nieustannie stawiał mi za wzór. Może tego doświadczyłeś...
- Jeszcze jak... Nie pozwalałam sobie zaglądać do dwóch teczek Newella o Marilyn Monroe: za bardzo godzą w moje morale.
- Zakwalifikowanie się do finału sprawiło mi więcej przyjemności niż przyjęcie na Cambridge, zwłaszcza kiedy dowiedziałam się, że rozdanie nagród odbędzie się na Hawajach! Baldur skakał po korytarzach jak koziołek i nie bez przyczyny: Reykjavík po raz pierwszy wysyłał złotodzioba do Honolulu.
- Mówił ci o Meksykanach?
- Nie mówił o niczym innym! O tym, jak przygotowują swoich podopiecznych, łamiąc regulamin, o tym, że nieproporcjonalnie wielu z nich zasiada w jury, o kalumniach, jakie rzucają na adwersarzy. W skrócie, miałam się ich wystrzegać jak zarazy.
- Mnie palnął dokładnie taką samą mowę dwa lata później.
- Ale zauważ, że się nie pomylił. Koniec końców to Meksykanin zgarnął nagrodę.
- Nie byłaś za bardzo rozczarowana?
- W pierwszej chwili trochę, ale nie trwało to długo. Bo Gunnar wyjechał po mnie do Keflavíku z bukietem kwiatów w ręku. Z kładki na lotnisku wyglądało to, jakby witał gwiazdę filmową wracającą z Oscarów. Przytulił mnie, wyznając, jaki jest dumny. Później spojrzał mi w oczy i oświadczył, że jestem córką, której zawsze pragnął. Zarumieniłam się jak pensjonarka. Jeszcze nigdy żaden komplement nie sprawił mi takiej przyjemności. Tego dnia uwierzyłam, że znalazłam rodzinę.
- Co się stało? – spytałam z nieudawaną ciekawością.
- Rok później wyjechałam do Stuttgartu, gdzie szybko zawalono mnie pracą. Dyrektor biura, zbyt zajęty obliczaniem wysokości swojej emerytury, przerzucał na

mnie wszystkie teczki, które wymagały choćby najdrobniejszej ingerencji. Ale co by się działo, w co drugą niedzielę wieczorem, po meczu hokeja, dzwoniłam do Gunnara, jakby to był uświęcony rytuał. Paplaliśmy godzinami. Opowiadałam mu o bieżących falsyfikacjach i o życiu w Niemczech, on przekazywał mi nowiny o Baldurze i o młodym rekrucie, który obecnie zajmował mój gabinet, niejakim Slivie Dartunghuverze.

Uśmiechnąłem się. Z wielką nostalgią wspominałem te dwa lata pod kuratelą Gunnara, kiedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z ogromu odpowiedzialności, który idzie w parze z mocą modyfikowania rzeczywistości.

– A później pewnego dnia – podjęła Lena – Gunnar nie odebrał. Zostawiłam wiadomość, na którą nie odpowiedział. Upłynął tydzień, potem dwa. To było do niego niepodobne.

– Kiedy to było?

– W grudniu dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Pracowaliśmy pełną parą nad teczką o Buszmenach. Nocami Gunnar poprawiał mój szkic, a w dzień załatwiał bieżące sprawy u Baldura.

– Wreszcie pod koniec grudnia zadzwoniłam ponownie – ciągnęła Lena, ignorując moją uwagę. – Tym razem do biura. Chciałam życzyć Gunnarowi wesołych świąt. Wyszedł, poinformowała mnie Margrét. „Nie wracasz do Reykjavíku na Boże Narodzenie?” – spytała. „Poznałabyś Sliva. Gunnar nie może się go nachwalić. Mówi, że to syn, którego zawsze pragnął”. Biedna Margrét: równie dobrze mogłaby mi wbić sztylet w serce. To była kolejna zdrada, i to ze strony osoby, którą považalam najbardziej na świecie. Ojca nie znałam wystarczająco dobrze, by go osądzać; matka jest w duszy niewolnicą; Watkinsowie bez wątplenia mieli swoje powody, ale Gunnar nie miał żadnej wymówki: obdarzył mnie uczuciem, żeby następnie je odebrać, ani trochę nie zważając na to, co czuję.

– Rozumiem.

– Nie sądzę – odparła bez agresji.

– Gunnar do ciebie oddzwonił?

– Całe miesiące później. Nie odebrałam, ani za pierwszym razem, ani za drugim, ani później. Napisał do mnie, żądając wyjaśnień. Jakby to była moja wina! Nie odpowiedziałam.

– Nigdy więcej się z nim nie widziałaś?

– Ależ tak, pamiętasz, w Akademii, kiedy on i Yakoub zdradzili nam, że śmierć Harkleroda została wyreżyserowana. Chcieli, żebyś zdał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą twoja beztroska. Czemu nie? Ale czy naprawdę musieli pogrążyć także mnie? Upokorzyć mnie przed moim zespołem? Nałożyć na mnie karę półrocznego zawieszenia bez prawa do wypłaty?

– Tego wymagała wiarygodność całego przedsięwzięcia – podsunąłem świadom, że to marny argument.

– Tak też powiedział Gunnar, o ile sobie przypominasz. „Przykro mi, Leno, stałaś się przypadkową ofiarą w tej sprawie”. Jakież to pocieszające dowiedzieć się, że za największą niesprawiedliwość w mojej karierze stoi mój mentor!

Pozwoliłem jej to roztrząsać. W tej chwili wzięcie Gunnara w obronę na nic by się nie zdało. Lena od zbyt długiego czasu pielęgnowała w sobie złość. Musiała dać jej ujście, zanim spróbuję naprawić to, co moim zdaniem mogło być jedynie nieporozumieniem.

– Móc wysiadać! – oznajmił Żółw, rozkładając trap. – Mamy nadzieję, że wkrótce mieć przyjemność widzieć was ponownie.

Amerykanie zeszli na ląd, nawet nie spojrzawszy na Żółwia, którego niedbale wyciągnięte nakrycie głowy dawało do zrozumienia, że nie pogardziłby napiwkami.

– Śledzi twoją karierę i regularnie się o ciebie dowiaduje. – Przez wzgląd na lojalność wobec Gunnara poczułem się mimo wszystko zobligowany do tej uwagi.

Lena udała, że mnie nie usłyszała. Schodząc, wsunęła do czapki Żółwia banknot o dużym nominale.

Po powrocie do hotelu zadzwoniłem do Gunnara.

7

Następnego dnia poleciliśmy do Sydney.

Jeszcze przed spotkaniem z Vargasem postanowiliśmy powierzyć rolę marynarza, który odkryje wrak, pracownikowi KFR-u, a nie zawodowemu aktorowi. Ktoś taki, pomijając ryzyko, że zostanie rozpoznany przez swojego agenta albo byłych współpracowników, zadawałby niefortunne pytania, na które my nie byliśmy gotowi odpowiedzieć. Ponadto przeczuwaliśmy, że misja będzie wymagała sporej dawki improwizacji. Kolega, któremu zwierzymy się z naszych planów, bez wątpienia podejmie w ogniu walki lepsze decyzje niż aktor przyzwyczajony do postępowania zgodnie ze scenariuszem.

Przed wyjazdem przygotowaliśmy portret idealnego kandydata: między trzydziestką a pięćdziesiątką, doświadczony żeglarz, Australijczyk, Nowozelandczyk albo człowiek, który przez kilka lat mieszkał w jednym z tych dwóch krajów, potrafiący mówić z akcentem i czujący się swobodnie przed kamerą. Uzbrojona w te kryteria Zoe Karvelis wybrała dla nas jakieś dwadzieścia teczek. Zgodnie z logiką postanowiliśmy rozpocząć poszukiwania w Oceanii, gdzie przebywała połowa kandydatów.

Gdy osiągnęliśmy wysokość przelotową, ponownie przeanalizowaliśmy z Leną foldery pod kątem nowych wymogów podszeptanych przez Vargasa.

- Skreśl tego – poleciła Lena. – Straszny z niego brzydal.
 - Jesteś surowa – uznałem, przyglądając się zdjęciu agenta drugiej klasy nazwiskiem Andrew Hornby.
 - Daj spokój, ma jedno oko wyżej niż drugie!
 - Ach tak, nie zauważyłem.
 - Do kosza z nim – rzuciła radośnie Lena. – Następny.
 - Wes Mitchell, agent trzeciej klasy z Canberry.
 - Nic mnie nie obchodzi jego rodowód, pokaż mi jego fotkę.
- Wręczyłem jej stertę teczek. Gwizdnęła z podziwem.
- Kwadratowa szczęka, czarujący uśmiech – tego zatrzymujemy.

- Odłóż go na bok, później przyjrzę się przebiegowi jego kariery.
- Ale po co? Już wzięliśmy ich wszystkich pod lupę. Na tym etapie interesuje nas ich wygląd. No, spójrz na przykład na tego. Słodki, nie?
- Ma krzywe zęby. Vargas wyraził się w tej kwestii bardzo jasno.
- To się da skorygować. Ja uważam, że szkoda by go było z tego powodu eliminować. Tak samo ten: z tymi zielonymi oczami i dołeczkiem w podbródku na pewno złamał kilka serc.
- Nie widać klaty.
- Prawda – przyznała Lena z ironią. – Zoe powinna była załączyć zdjęcia w kąpielówkach.
- To nie moja wina, że Vargas żąda muskularnego torsu – zaprotestowałem.
- Ten typ o sobie dba, zaufaj mojemu doświadczeniu. Założę się, że bez wysiłku podnosi sto dwadzieścia kilo.

Powstrzymałem się od komentarza. Ponieważ siłownie przepełniały mnie zgrozą, nie miałem pojęcia, ile umiem podnieść. W każdym razie na pewno nie sto dwadzieścia kilo. A gdyby nawet udało mi się ruszyć choć połowę z tego, to z poczerwieniałą twarzą i stękając niczym foka.

Lena przeanalizowała resztę teczek. Już nawet nie udawała, że liczy się z moim zdaniem.

- Poproszę Sydney, żeby wezwali nam na jutro tych pięciu osobników – oświadczyła, wręczając mi portrety szczęśliwych wybrańców.

Przypatrzyłem im się kolejno, ciekaw, co też Lena w nich dostrzegła. Najmłodszy miał trzydzieści cztery lata, najstarszy czterdzieści sześć. Wydawali się weseli, w dobrym zdrowiu, prezentowali uśmiechy, które moja sąsiadka określiła jako uwodzicielskie, a które osobiście uważałem za raczej głupawe.

- Spróbuję się teraz przespać – oznajmiła Lena, opuszczając fotel. – A ty?
- Mam jeszcze trochę pracy.
- Dobranoc.

Otworzyłem komputer, chcąc ponownie przeczytać wiadomość od Yakouba, którą przed wejściem na pokład pospiesznie przebiegłem wzrokiem. Poprzedniego dnia Orbiting Carbon Observatory (OCO), amerykański satelita zaprojektowany do mierzenia poziomu dwutlenku węgla w atmosferze, w wyniku problemu technicznego runął do morza siedemnaście sekund po starcie. Informacja, sama

w sobie banalna, nabierała zupełnie innego wymiaru, kiedy zestawilo się ją z jednym ze scenariuszy znajdujących się w zaginionej w Londynie walizce, którego streszczenie Yakoub załączył: „W 2009 roku NASA wystrzeli satelitę nadzorującego zawartość dwutlenku węgla w powietrzu. Ta inicjatywa, której koszt szacuje się na dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, ma na celu pomoc w lepszym zrozumieniu emisji gazów cieplarnianych na powierzchni Ziemi. Godzinę po starcie zamieścimy w sieci wideo przedstawiające satelitę rozbijającego się na Antarktydzie. Amerykanie zdementują plotkę. Wówczas Greenpeace rzuci NASA wyzwanie: niech wobec tego w realnym czasie retransmitują przekazywane przez satelitę dane. Amerykanie poczują się w obowiązku spełnić to żądanie”. Ten genialny scenariusz był dziełem Antoniego Lipińskiego, agenta drugiej klasy z biura w Łodzi, który prosił o siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na zrealizowanie minuty filmu.

Mimo że Lipiński nigdy nie planował sabotować startu OCO, chciał wmówić ludziom, że doszło do wypadku, który teraz naprawdę się wydarzył. Obie wersje prezentowały zresztą zadziwiające podobieństwa: OCO wpadł do Oceanu Indyjskiego u wybrzeży Antarktydy; kilka organizacji ekologicznych dało wyraz swojemu rozczarowaniu i nalegało, żeby Waszyngton jak najszybciej skonstruował nowego satelitę; co do amerykańskiego rządu, wyglądało na to, że, publikując zastanawiająco defensywny komunikat, próbował zawczasu uchronić się przed ewentualnym polowaniem na czarownice.

Naturalnie nie można było wykluczyć, że to zbieg okoliczności. Pięć do dziesięciu procent startów satelitów kończy się porażką. Zresztą nasi eksperci uznawali za wiarygodne podane przez NASA wyjaśnienie, wedle którego w fazie wznoszenia owiewka aerodynamiczna OCO nie chciała odzepić się od rakiety Taurus.

Yakoub rozważał dwie mniej optymistyczne hipotezy. W pierwszej walizka trafiła w ręce Amerykanów, którzy pojęli, co mogą zyskać na scenariuszu Lipińskiego. Mimo że umieszczenie OCO na orbicie przebiegło zgodnie z planem, NASA i tak z ubolewaniem ogłosiła klęskę. Druga hipoteza zakładała, że jakaś organizacja ekologiczna wprowadziła zamysł KFR-u w życie. Poinformowała o katastrofie OCO, z góry zakładając, że nastąpi sprostowanie, które nigdy nie nadeszło. Niecni Amerykanie odwrócili sytuację na swoją korzyść i potwierdzili

wersję o nieudanym starciu. W obu przypadkach mogli zachować dane dla siebie i jeszcze przez kilka lat w dalszym ciągu zaprzeczać globalnemu ociepleniu.

Moim zdaniem istniała jeszcze trzecia możliwość: jakaś organizacja przestępcza chciała przekazać nam wiadomość, wprowadzając jeden z zawartych w neseserze scenariuszy w czyn. Fakt, że wybrała jeden z najkosztowniejszych, bynajmniej nie dodawał mi otuchy. „Naszym priorytetem – odpisałem Yakoubowi – jest ustalenie prawdy w sprawie wypadku OCO”. W postscriptum wyrażałem nadzieję, że te wydarzenia nie wpłyną na poparcie Komitetu dla teczki o Chupacach.

Nauczywszy się już, żeby niepotrzebnie nie zadręczać się rzeczami, na które nie mam wpływu, włączyłem jeden z moich ulubionych filmów, *Armageddon*, po słoweńsku. Bezgraniczna zachłanność hollywoodzkich producentów skłaniała ich do zamieszczania na płytach coraz to większej liczby języków. Wkrótce będę musiał ograniczyć się do jednego gatunku kinematograficznego. Wciąż wahałem się między filmami katastroficznymi a kinem kung-fu.

Przez pewien czas udawało mi się z zainteresowaniem śledzić fabułę. Ziemi groziła zagłada w wyniku zderzenia z ogromną asteroidą. Zespół naukowców opracował genialny plan polegający na rozbiciu meteorytu na pół. NASA zwróciła się wówczas do Bruce’a Willisa, alias Harry’ego Stampera, zaprezentowanego jako „najlepszy technik od odwiertów na rynku”, aby umieścił ładunek we wnętrzu asteroidy. Podczas gdy Stamper zbierał ekipę, ja rozmyślałem o wczorajszej rozmowie. Fakt, że Lena, dysponując takimi zasobami, nie potrafiła odnaleźć pracownika platformy wiertniczej, wydawał mi się dziwny i – szczerze mówiąc – nieco naciągany. Rozważałem dwie hipotezy. Albo Lena nie zaangażowała się w poszukiwania, ponieważ bała się rozczarowania tym, co mogłyby wykazać, albo nigdy nie знаła ojca i uczepiła się dramatycznego, trochę tajemniczego wyobrażenia o nim.

Zamknąłem komputer i odchyliłem fotel tak, aby znaleźć się na tej samej wysokości co Lena. Zdawało się, że śpi. Okrycie, spod którego wystawało kilka jasnych kosmyków, unosiło się równomiernie. Dałem przechodzącej stewardesie znak, że żadne z nas nie będzie jadło kolacji.

– Śpisz? – spytałem.

Ponieważ Lena nie zareagowała, kontynuowałem cicho:

– Moja kolej, żeby opowiedzieć ci historię. Był sobie raz agent KFR-u zwany

Gunnarem Erikssonem, który żywił się niemal wyłącznie pączkami z miodem i herbatą. Wolał hokej na lodzie od opery, Franka Sinatra od Rachmaninowa i spacer po Þingvellir od safari w Południowej Afryce. Zawód Gunnara polegał na rekrutowaniu młodych agentów KFR-u, było to delikatne zadanie, z którego wywiązywał się znakomicie. W ciągu dwudziestu lat uformował około dziesięciu mężczyzn i kobiet, z których większość zrobiła w organizacji wspaniałą karierę. Pewnego dnia jeden z jego przyjaciół, profesor z Cambridge, wspomniawszy mu o niejkiej Lenie Thorsen, ledwie dwudziestoletniej studentce, którą życie poniewierało, rzucając ją a to do Danii, a to do Anglii, a to znowu na Islandię, i która zdawała się obdarzona niezwykłą siłą charakteru. Gunnar wkrótce stwierdził, że jego przyjaciel się nie pomylił. Żadna debutantka nie przyswoiła sobie nigdy tak szybko ograniczeń i możliwości stwarzanych przez KFR. W szczególności zaś posiadała nadnaturalny talent do falsyfikacji; umiała z niezawodną pewnością zidentyfikować źródła, którymi należy się zająć w pierwszej kolejności, nigdy nie narażając przy tym innych agentów na niebezpieczeństwo.

Zrobiłem pauzę, wypatrując reakcji ze strony sąsiadki. Ani drgnęła. Ciągnąłem:

– Druga nagroda, którą Lena zdobyła na Hawajach, stanowiła dla Gunnara powód do nieporównywalnej z niczym dumy. Był to pierwszy raz, kiedy jedna z jego rekrutów zapisała się w annałach, a także pierwszy raz, kiedy po zaledwie roku odniósł wrażenie, że nie ma już nic więcej do przekazania. Zaczął się więc rozglądać za punktem zrzutu dla swojej podopiecznej, za stanowiskiem, na którym nadal mogłaby rozwijać swoje wyjątkowe umiejętności. Mógł pociągnąć za sznurki, żeby jeszcze na kilka lat zatrzymać ją w Reykjavíku, ale czuł, że nadszedł czas, by Lena wyfrunęła z gniazda. Skontaktował się ze swoim przyjacielem Pfeifferem ze Stuttgartu, wspaniałym fachowcem, a do tego dżentelmenem. „Dobrze się nią opiekuj” – polecił. „Jest dla mnie jak córka”.

Wydawało mi się, że okrycie Leny drgnęło. Odczekałem kilka sekund, zanim podjąłem:

– Lena, która osiedliła się w Niemczech, dzwoniła do Gunnara dwa razy w miesiącu. Niecierpliwie wyczekiwał jej telefonów przy aparacie i wynajdował usprawiedliwienia, jeśli się spóźniała. Nie pamiętał, że próbowała się z nim połączyć w grudniu dziewięćdziesiątego pierwszego. Trzeba powiedzieć, że

pracował w tym miesiącu po osiemnaście godzin na dobę, prowadząc pióro nowego rekruta, który dłużej przy swojej pierwszej teczce, a nie był tak zręczny w tworzeniu źródeł jak jego poprzedniczka. Gunnar lubił też tego młodzieńca, może nie tak bardzo jak Lenę, ale na tyle, żeby dojść do wniosku, że po dwudziestu latach kariery udało mu się trafić w dziesiątkę dwa razy pod rząd. Jego żona Kristin nie mogła mieć dzieci; stanowiło to wielki dramat ich życia. On chciałby dwójkę: dziewczynkę, którą nazwałby Lena, i chłopca, któremu dałby na imię Sliv.

Zrobiłem kolejną pauzę, ostatnią, ofiarowując Lenie szansę, by mi przerwała. Do tej pory nie powiedziałem nic, czego by nie wiedziała. Ale od teraz istniało ryzyko, że pozna jakieś nowe szczegóły. Czy miała na to ochotę?

– Teczka o Buszmenach zajmowała Gunnara do połowy stycznia. Wycieńczony przespał cały weekend, opuszczając nawet swój święty mecz w niedzielne popołudnie. Pierwszy telefon, jaki wykonał nazajutrz, był do Leny. Miał sobie za złe, że przez tak długi czas ją zaniedbywał. Ale ona wie, co to znaczy pierwsza teczka, myślał sobie, więc zrozumie. Nie odebrała. Ani za tym, ani za następnym razem; nie odebrała żadnego z dziesięciu czy piętnastu telefonów, które wykonał w tamtym tygodniu. Pfeiffer zapewniał jednak, że Lena pozostaje na stanowisku. „Musicie więc być zawałeni robotą?” – zasugerował Gunnar. „Nie, wcale” – odpowiedział Pfeiffer. „Właściwie jest nawet dość spokojnie”. Gunnar napisał do Leny, prosząc o wyjaśnienia, ale to także nie przyniosło efektów. Znając charakter Dunki, zrozumiał, że uporem niczego nie wskóra. Nie powstrzymało go to jednak przed dowiadywaniem się o nią u Pfeiffera, a następnie u Alonsa Diaza, dyrektora centrum w Córdoba. Pomimo trwającego latami milczenia myślał o Lenie każdego dnia. Ponieważ kochał ją jak rodzoną córkę, rana nie chciała się zagoić. Był gotów na wszystko, byleby się zblizniła. Słyszał, że Lena pracuje nad teczką, która zmieni oblicze świata, i że potrzebuje pomocy przy spisaniu zasad gry nieistniejącej od tysiąca lat. Nie chciałby się puszyć, ale czuł się doskonale wykwalifikowany do tego zadania. Dobrze by było, gdyby te wszystkie niezliczone popołudnia spędzone na oglądaniu hokeja na coś się przydały...

Oczy Leny wciąż pozostawały zamknięte. Z powrotem włączyłem film, ciekaw, czy – albo raczej jak – Bruce’owi Willisowi uda się uratować rodzaj ludzki.

8

Lena obudziła mnie na krótko przed lądowaniem w Sydney. Kabina tętniła życiem. Pasażerowie o oczach spuchniętych od snu czekali na swoją kolej przed toaletami, stewardesy rozdawały tace ze śniadaniem, a pilot zdierał sobie gardło, wydając polecenia, których nikt nie słuchał.

Podniosłem oparcie, nadal trochę zdezorientowany. Zasnąłem na filmie w momencie, kiedy Harry Stamper dzwonił do pozostawionej na Ziemi córki, żeby pożegnać się z nią przed wysadzeniem asteroidy. Dałem stewardowi znak, by przyniósł mi kawę.

Nie dla wszystkich przebudzenia były trudne. Lena, ze świeżą cerą i w nienagannym stroju, z filiżanką w ręku przeglądała maile. W czasie gdy podchodziliśmy do lądowania, z pewnością zdążyła przeczytać prasę finansową i zająć się dwiema teczkami Safe Haven.

– Dobrze spałaś? – spytałem.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– Mam na myśli: szybko zasnęłaś?

– Tak – odparła Lena, nie łykając przynęty. – Dostałam odpowiedź od Carvera: zarezerwował nam apartament w Four Seasons. Pierwszy kandydat zjawi się o czternastej.

– Doskonale, będę miał trochę czasu na dokończenie nocy.

W hotelu czekała nas jednak niespodzianka, gdy recepcjonistka wręczyła nam jeden klucz.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – oświadczyła Lena. – Potrzebujemy dwóch pokoi.

– Przykro mi – odrzekła pracownica. – Hotel jest pełny ze względu na targi sprzętu rolniczego.

– Niech pani nie żartuje – wtrąciłem się. – Na pewno macie umowę z innymi hotelami.

– One także są przepełnione. Targi to jedno z najważniejszych wydarzeń

w sezonie.

– Nie wmówi mi pani, że pan Carver zdobył wczoraj wieczorem ostatni pokój w mieście!

– Właśnie tak, proszę pana. Ale to nie byle jaki pokój, mowa o apartamencie prezydenckim.

Wyciągnąłem szyję, żeby dojrzeć cennik wywieszony za ladą. Apartament prezydencki kosztował ekstrawagancką sumę ośmiu tysięcy dolarów australijskich za noc; cena faktycznie nie na każdą kieszeń, zwłaszcza producenta rolnego.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, proszę pana, apartament jest bardzo duży. Sądzę, że bez problemu pomieszczą się w nim dwie osoby.

Lena, która milczała w czasie tej wymiany zdań, wzruszyła ramionami.

– Nie mamy wyboru. Poza tym to tutaj stawia się kandydaci.

Doskonale rozumiałem jej obojętność, bo to ona będzie spała w łóżku, a ja na kanapie.

– Boy wniesie państwa bagaże – poinformowała recepcjonistka, aż nadto zadowolona, że się nas pozbywa.

Apartament zajmował połowę piętra. Boy spędził kwadrans na demonstrowaniu nam licznych udogodnień. Przerwałem mu, kiedy pokazywał, jak zaprogramować automatyczne żaluzje.

– Zostaniemy tu tylko na noc czy dwie – oznajmiłem.

– Jak pan sobie życzy, proszę pana – zgodził się nasz przewodnik ze zirytowaną miną. – Proszę pozwolić, że wyjaśnię, jak działa stereo...

– Nie będziemy słuchali muzyki.

– W takim razie dwa słowa o ekspresie do kawy oraz jego funkcji „cappuccino”.

– Dziękujemy, wezwiemy pana, jeśli będziemy mieli jakieś pytania.

Praktycznie wypchnąłem go za drzwi. Jeszcze na korytarzu udało mu się szepnąć, że moja małżonka będzie mile widziana w spa. „Tuż obok centrum biznesowego dla pana” – dodał, wcale nie żartując.

Gdy wróciłem, Lena oddawała się marzeniom na tarasie, wsparta łokciami o balustradę.

– Nie rozumiem tych ludzi, którzy skarżą się na kryzys mieszkaniowy – rzuciła, spoglądając na zatokę. – W dalszym ciągu można bardzo dobrze zamieszkać za niespełna osiem tysięcy dolarów...

– Za dobę – uzupełniłem. – Chcesz sok pomidorowy? Napoje z minibarku są darmowe.

– Nie, naprawdę? To w jaki sposób opłaca im się ten interes?

Jednocześnie wybuchliśmy śmiechem.

– Kimnę się, jeżeli ci to nie przeszkadza. Chciałbym być gotowy do ataku, kiedy przyjdzie pora.

– Możesz wziąć łóżko, jeśli chcesz. Ja idę na plażę.

*

Lena obudziła mnie po raz drugi tego dnia.

– Wstawaj, leniuchu! Pierwszy kandydat przyjdzie za piętnaście minut. Akurat zdążysz wziąć prysznic.

Zerwałem się na równe nogi, jak zwykle zawstydzony, że spałem w ciągu dnia. Lena się przebrała. Miała na sobie bawełniane spodnie i bluzkę bez rękawów w kolorze khaki. Jej włosy wciąż były wilgotne.

– Zrobiłaś zakupy? – spytałem, zauważając torbę w nogach łóżka.

– Tak, kupiłam kamerę, żeby nagrywać rozmowy.

– Nie można wynająć w hotelu?

– Można, ale obliczyłam, że od czterech godzin wzwyż taniej wychodzi nabyć własną.

– Biedacy – uzaliłem się, pędząc pod prysznic. – Naprawdę kiepscy z nas klienci.

*

Wynurzyłem się z łazienki, żeby znaleźć Lenę pogrążoną w rozmowie z naszym pierwszym gościem, olbrzymem o kwadratowej szczęce i wyglądzie kulturysty.

– Sliv, przedstawiam ci Marka – odezwała się Lena.

Ukloniłem się z daleka. Doświadczenie nauczyło mnie, by nie wyciągać jako pierwszy ręki do stałego bywalca siłowni.

– Miło mi.

– Sliv Dartunghuver?

– Tak jest.

– Mark Robinson. W dwa tysiące trzecim roku napisałem piąty odcinek sagi o Buszmenach. Proponowałem panu, żeby został współautorem, ale był pan wtedy zbyt zajęty.

Przypominałem sobie jego teczkę. Nie była ani na tyle zła, żebym sprzeciwiał się jej publikacji, ani na tyle dobra, żebym miał poświęcić jej choćby minutę swojego czasu.

– Oczywiście. O ile dobrze pamiętam, pańska historia narobiła trochę szumu.

– Istotnie, długo krążyła po ONZ-cie – odparł Mark, rumieniąc się.

Zapomniał dodać, że timorski ambasador przy ONZ-cie był dawnym członkiem KFR-u. Może nie miał o tym pojęcia. Nie wiedziałem, która hipoteza bardziej mnie zasmuca.

– A zatem mieszka pan w Canberze?

– W Brisbane – poprawiła Lena, która przeczytała te czki uważniej niż ja.

– W czym to specjalizuje się Brisbane?

– W faunie podmorskiej – odrzekł Robinson z dumą. – Ryby, rekiny, głowonogi...

– Plankton?

– Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego.

Lena położyła kres tej fascynującej dyskusji. Usiedliśmy po jednej stronie stołu, Mark po drugiej. Kamera, zamontowana na statywie, była wycelowana w jego twarz.

– Dobrze – zaczęła Lena. – Jak przekazał panu dyrektor pańskiej placówki, poszukujemy agenta do pomocy przy pewnym ambitnym projekcie. Ale zanim zdradzimy panu zarysy planu, proponuję, żebyśmy porozmawiali o pańskiej karierze.

– Nie ma sprawy – rzucił Mark.

– Pańska pierwszateczka dotyczyła podróży kapitana Cooka. Żeglujecie pan?

Zadając to pytanie, na które odpowiedź wyczytała w przygotowanych przez Zoe dokumentach, Lena chciała wzbudzić w rozmówcy zaufanie.

– Tak, od dzieciństwa.

– Określiliby się pan mianem doświadczonego żeglarza?

– Powiedzmy, że sześciokrotnie zostałem mistrzem Australii – rzekł Robinson, jakby wyznawał jakiś wstydlivy sekret.

– To powinno wystarczyć – skomentowałem, nie mogąc oderwać oczu od jego klaty, wyraźnie zarysowującej się pod koszulą.

– Po pobycie w Seulu i Wellington wstąpił pan do Akademii w dwa tysiące trzecim. Stamtąd trafił pan do Głównego Inspektoratu.

Studenci Akademii mogli wybrać posadę w zależności od swojego końcowego wyniku. Sądząc po jego przydziale, Mark znalazł się w pierwszej ćwiartce rankingu, ale daleko w tyle za najlepszymi.

– Podoba się panu w GI? – spytałem.

Zauważyłem wahanie u Australijczyka.

– Jesteśmy tu wśród swoich – zapewniła Lena. – Może pan mówić bez obaw.

– Nie bardzo. Trwonię najlepsze lata życia na przeprowadzaniu sekcji zwłok.

Innymi słowy, na dociekaniu, dlaczego dana teczka nie przyniosła spodziewanych rezultatów, aby wyciągnięte wnioski zastosować w celu ulepszenia wewnętrznych procedur KFR-u.

– Nie szykują się żadne zmiany? – zagadnąłem.

– Nie. Szef popycha mnie w stronę stanowisk kierowniczych, nie zastanawiając się, czy mam ochotę któregoś dnia zamienić się w niego. Tak poza tym, to w przyszłym miesiącu prowadzę w Akademii konferencję o nekrologach. Jeśli zostanie dobrze przyjęta, przygotuję cykl wykładów o znaczeniu cyfryzacji rejestrów w urzędach stanu cywilnego.

Ponieważ był to jej konik, Lena zadała parę pytań, nie tyle po to, by sprawdzić wiedzę Marka, lecz aby ocenić oryginalność jego przemyśleń. Według mnie dość dobrze poradził sobie z tym wyzwaniem.

– Pańska ostatnia teczka pojawiła się w dwa tysiące szóstym – zauważyłem. – Ma pan coś w zanadrzu?

– Zaledwie kilka pomysłów.

– Na temat?

– Oper Verdiego, opuszczonych miast w Chinach, na tym etapie nic bardzo skonkretyzowanego.

Przypadek Marka wiele mówił o niepokojącej tendencji w KFR-ze. Ponieważ organizacja się nie rozrastała, borykaliśmy się z zagwarantowaniem interesujących karier czterdziestu absolwentom rokrocznie kończącym Akademię. Ci, którzy – jak Maga i Youssef – dołączali do Planu lub Operacji Specjalnych, znajdowali zwykle

wszystko, czego im było trzeba. Główni inspektorzy, nie licząc paru jednostek urodzonych po to, by tworzyć całe kilometry norm, powolutku gaśli. Jeśli chodzi o gorzej uplasowanych agentów, cierpliwie przeczekiwali pięć czy dziesięć lat w finansach albo dziale kadr, a następnie obejmowali posadę dyrektora w jakiejś lokalnej placówce. Rozczarowani, pochłonięci codziennymi sprawami, wszyscy albo prawie wszyscy przestawali obmyślać teczki – co stanowiło tragiczną zmianę, jeśli pomyśleć, że początkowo to właśnie twórcze upojenie przyciągnęło ich do KFR-u.

Po tej kurtuazyjnej pogawędce przedstawiłem historię Chupaców, uważnie śledząc reakcję Marka. Pozostawał niewzruszony, nie ożywił się podczas żadnego z fragmentów, które zachwyciły Vargasa. Jego rzadkie pytania zdradzały obsesję dotyczącą własnego bezpieczeństwa w organizacji.

– Jak pan się niewątpliwie domyślił – podsumowałem – poszukujemy agenta, który wcieli się w kapitana statku, który odkryje wrak. Pańskie pochodzenie, przebieg służby, a także kwalifikacje żeglarskie sprawiły, że natychmiast zwróciliśmy na pana uwagę.

– Pochlebia mi to. Na czym tak naprawdę polegałaby moja misja?

– Porzuci pan stanowisko w KFR-ze, żeby odegrać rolę poszukiwacza skarbów. Osobiście spotka się pan więc z bogatymi Australijczykami, by zebrać pół miliona dolarów.

– To może strasznie długo potrwać.

– To niezbędne do zbudowania wiarygodności pańskiej postaci. Wyjaśni pan, podpierając się dokumentami, że zlokalizował wrak hiszpańskiego galeonu, ale potrzebuje pieniędzy na sfinansowanie operacji związanych z wyławianiem. Zaproponuje pan jeden procent łupu za każde zainwestowane dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Jeśliby o pana rozpytywali, pańscy rozmówcy dowiedzą się, że przeprowadził pan już kilka podobnych wypraw, które nie zakończyły się sukcesem, ale mimo to pozostał pan w dobrych stosunkach z poprzednimi inwestorami. Zwrócą się do pana z kontrpropozycją, pan zaś da sobie trochę czasu, nim ją zaakceptuje, wymawiając się równocześnie prowadzonymi rozmowami z Chińczykami z Hong Kongu. W odpowiednim momencie skontaktujemy pana z prawnikiem specjalizującym się w redagowaniu tego rodzaju kontraktów. W końcu, po zgromadzeniu funduszy, zbierze pan załogę.

– W całości złożoną z kolegów po fachu, jak sądzę.
– Nie. Zatrudni pan przede wszystkim ludzi znanych w małym światku poławiaczy wraków. Nie można improwizować przy odgrywaniu nurka czy pilota łodzi podwodnej.

– No właśnie, mój brak doświadczenia od razu rzuci się w oczy załodze.

– Dlatego ważne, by najpierw odbył pan porządne przeszkolenie. Na dwa miesiące wypłynię pan pod przybranym nazwiskiem na pokładzie „Odyssey Explorera”, najbardziej znanego statku w tym sektorze.

Robinson zamilkł, najwyraźniej rozdarty pomiędzy chęcią robienia dobrego wrażenia a obawą przed podjęciem zobowiązań, których będzie później żałował. W końcu odezwał się znowu:

– Nie jestem pewien, czy będę w stanie odgrywać komedię przed załogantami.

– Przygotujemy pana najlepiej, jak to będzie możliwe, ale żeby była jasność, pańska rola będzie wiązała się ze sporą dawką improwizacji.

– Będę mógł się z wami kontaktować, prawda? – spytał Mark, a jego szczęką z każdą moją odpowiedzią opadała trochę niżej.

– Tak, aż dotrze pan do Zatoki Meksykańskiej.

– A na miejscu?

– Cisza radiowa.

– A internet? Telefon satelitarny?

– Nie wchodzą w grę. Ryzykowalibyśmy, że władze meksykańskie przechwycają nasze wiadomości.

– Czemu miałyby nadzorować komunikację między nami?

Spojrzałem na Lenę. Niemal niezauważalnie potrząsnęła głową.

– Jest jeszcze trochę za wcześnie, żebym to panu wyjawiał.

Mark przypatrywał nam się z podejrzliwym wyrazem twarzy. Zaczynał rozumieć, że sukces misji nie jest zagwarantowany.

– Na jakie dokładnie ryzyko się narażę? W końcu mowa o wydaniu pieniędzy inwestorów na poszukiwania wraku galeonu, który nie istnieje...

– Istnieje, ale nie znamy jego położenia.

– Dlaczego Meksykanie mieliby mnie umieszczać na podsłuchu?

– Będą pana podejrzewali o rabunek ich dziedzictwa archeologicznego – wyjaśniła Lena.

– Przepięknie karane dwudziestoma latami pozbawienia wolności – uzupełniłem.

Gdy pojął, że wcale sobie nie żartuję, zwrócił się po pomoc do Leny.

– Myślę, że na ten moment wie pan o projekcie wystarczająco dużo – stwierdziła. – Zostawię panu wizytówkę na wypadek, gdyby miał pan jakieś pytania.

– Tak, właśnie, zastanowię się – odparł Mark, wstając.

– Miło mi było pana poznać – dodałem.

Bez namysłu wyciągnąłem do niego rękę. Uścisnął ją delikatnie, co u kulturystów stanowi oznakę nie lada konsternacji.

9

– Dobrze zrobiłaś, że ukróciłaś sprawę – pochwaliłem Lenę, kiedy Robinson się pożegnał.

– To nie nasz człowiek, to jasne.

– Choć w kwestii klaty miał wszystko, co trzeba.

– Obawiam się, że nie doceniliśmy poziomu trudności zadania. Nawet zawodowy aktor byłby onieśmielony perspektywą trwania w swojej roli przez całe miesiące. I koniecznie powinniśmy zapewnić kapitanowi jakiś rodzaj immunitetu prawnego na wypadek aresztowania.

– Nawet zakładając, że to w ogóle możliwe, dobrze wiesz, że Komitet nigdy się na to nie zgodzi.

– No to koniec. Kto byłby na tyle szalony, żeby ryzykować dwadzieścia lat więzienia, nie dostając w zamian nic albo prawie nic?

– Jakiś postrzeleniec.

– Ty byś to zrobił?

Właśnie miałem odpowiedzieć, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Już?

– Jest przed czasem – rzuciła Lena, idąc otworzyć.

Zawadiaka, którego wpuściła do środka, należał do zupełnie innego gatunku niż Robinson. Wysoki, dobrze zbudowany, o błyszczących oczach i kpiącym uśmiechu, emanował pewnością siebie i nonszalancją. Nosił sprane dżinsy, białą koszulkę i szarą płócienną marynarkę, która pamiętała lepsze czasy.

– Nick Carruthers – przedstawił się, pokazując zęby, którym nic nie można było zarzucić.

– Sliv Dartunghuver.

– Tak też myślałem.

– My się znamy?

– Pan mnie nie, ja pana tak. To ja zainscenizowałem śmierć Johna Harkleroda w dziewięćdziesiątym piątym. Stałem w głębi cmentarza, kiedy przyszedł pan

odwiedzić jego grób. Śmiesznie się pan trząsał.

Nie pozostawiając mi czasu na reakcję, zwrócił się do Leny.

– A pani to?

– Lena Thorsen.

Ścisnął dłoń Dunki o ułamek sekundy dłużej niż moją.

– Timor?

– To ja – przyznała Lena z uśmiechem.

– I ja też – dodałem, nie bardzo wiedząc po co.

– W dwa tysiące szóstym spędziłem dwa miesiące w Dili – ciągnął Nick. – Gusmão mówi o pani jak o półbogini. Teraz rozumiem czemu.

Zdjął marynarkę, którą rzucił niedbale na fotel. Był zbudowany niczym drwal.

– Jestem trochę przed czasem, mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza. Mam później inne spotkanie. Ze starym kumplem.

– Dobrze pan zrobił – uznałem. – My też mamy napięty program.

– Znalazłoby się coś do picia? – zagadnął Nick. – Strasznie mnie suszy.

– No pewnie – odrzekła Lena. – Co mogę panu podać?

– Fostera, jeśli macie.

Lena zniknęła. Nick rzucił okiem na swój telefon. Miał gęstą grzywę brązowych włosów, które falami spływały mu na ramiona jak w reklamie L'Oréala.

– Tędy – oznajmiłem, prowadząc go do pokoju konferencyjnego.

Gwizdnął na widok panoramy rozciągającej się za oknem.

– No proszę, ładnie się bawicie w tym Komitecie!

– To był ostatni pokój w mieście – poczułem się zobligowany do udzielenia wyjaśnień.

– Nie ma sprawy, koleś. Na twoim miejscu postępowałbym tak samo.

Wtedy zauważyłem, że wyraża się bez akcentu.

– Nie mówi pan z australijskim akcentem?

– Dlaczego? To jakiś problem?

– Raczej tak.

– No to wiesz co? – odparł, przybierając okropny akcent farmera. – Umówmy się, że od tej pory będę gadał jak prawdziwy Australijczyk. Chyba że wolisz akcent nowozelandzki? Albo angielski, prosto z Oxfordu?

– Zostańmy przy tym pierwszym, jeśli pan pozwoli.

– Dwa piwa! – zawołała Lena, stawiając tacę na stole.

Odwróciła się do mnie.

– Nie wiedziałam, co chcesz, więc wzięłam ci wodę mineralną.

– Tak dobrze mnie znasz.

Nick zdjął kapsel z butelki i stuknął nią o butelkę Leny.

– No dobra, do roboty – zarządził, jakbyśmy pracowali pod jego komendą.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, że pana sfilmujemy? – zagadnęła Lena, choć nie przypominałem sobie, żeby zadawała to pytanie Robinsonowi.

– Nic a nic.

Uniósł szklanekę do kamery.

– Na zdrowie, Toronto!

– Dobrze – rzuciłem, próbując odzyskać kontrolę nad sytuacją. – Porozmawiajmy trochę o przebiegu pańskiej kariery. Jest pan agentem drugiej klasy przypisanym do Sydney od...

Przekartkowałem teczkę.

– Dwóch i pół roku – dokończyła moja sąsiadka.

– Przynajmniej jedna osoba wykazuje zainteresowanie – stwierdził Nick, posyłając Lenie zabójczy uśmiech.

– To łatwe – odrzekła. – Na każdym stanowisku pozostaje pan przez trzy lata.

Zauważyłem coś jeszcze: spośród wszystkich naszych kandydatów Carruthers jako jedyny nie gościł w Krasnojarsku.

– Nigdy nie myślał pan o pójściu na Akademię? – zapytałem.

Gruchnął śmiechem.

– Żeby odmrozić sobie tyłek na Syberii? To nie dla mnie! Surfuję każdego dnia, który zsyła nam Bóg.

– Stąd wybór kolejnych placówek – domyśliła się Lena. – Rio, Hawaje, Azory...

– A do tego sprytna – skomentował Nick.

Gdyby ktokolwiek inny zrobił podobną uwagę, Lena by się najeżyła. Zamiast tego roześmiała się głośno. Podjąłem:

– Pańskieteczki skupiają się głównie na sportach ekstremalnych, żeglarskim oraz kryptografii. Ma pan inne zainteresowania?

– Całą masę. Formuła 1, kobieca rozkosz, japońskie kino...

– Słucham?

– Ozu, Kurosawa, Mizoguchi...

– Nie, wcześniej.

– Kobięca rozkosz? Obszerny temat...

– W to nie wątpię – odparłem, zdradzając w ten sposób ogrom swojej ignorancji.

– W którego skład wchodzi studia nad strefami erogennymi, różne typy orgazmu oraz ewolucja pojęcia rozkoszy na przestrzeni wieków.

Wysławiał się bez cienia zawstydzenia, patrząc na nas na zmianę. Choć zmiana Leny zdawała się wypadać trochę częściej niż moja.

– Ale teczki na ten temat jeszcze pan nie napisał? – spytałem tonem, który z założenia miał być żartobliwy.

– Nie, jeszcze nie.

– Pomówmy o pańskich umiejętnościach żeglarskich – wtrąciła się Lena. – To one nas w chwili obecnej interesują.

– Praktycznie urodziłem się na łodzi. Mój ojciec był kapitanem w marynarce handlowej. W lecie brał mnie ze sobą.

– Jakies tytuły? Rekordy?

Nick zwrócił się do Leny, jakbym go obraził.

– Pani przyjaciel nigdy nie spotkał zwykłego majtka? Bo jeśli szukacie pretensjonalnych szpanerów, to u nas ich nie znajdziecie.

– Chciałem tylko ustalić pański poziom – wybełkotałem.

– Opłynąłem świat w pojedynkę, to ci pasuje?

– To mi pasuje – odpowiedziałem tak godnie, jak się tylko dało.

– Na jakiego rodzaju łodzi? – spytała Lena.

– Na czterdziestostopowym katamaranie. Ale poprowadzę wam każdą łajbę.

– A statek w rodzaju „Odyssey Explorera”?

Nick zmrużył oczy, ujawniając dwa dołeczki w policzkach, które Lena określiła później jako „do schrupania”.

– Proszę, proszę... A więc to tak, wybieramy się na połów skarbów? A może byście mi powiedzieli, czego tak naprawdę ode mnie oczekujecie?

– Co pan wie o Majach?

– To samo, co pierwszy lepszy człowiek z ulicy, jak sądzę.

– Pewnego dnia książki historyczne opowiedzą o tym, jak w siódmym wieku

dawni mieszkańcy Palenque założyli miasto o nazwie Chupac w kraterze wulkanu niedaleko Veracruz. W osiemset dziewięćdziesiątym roku wulkan się przebudził. Chupacowie rzucili się do ucieczki. Większość została zmasakrowana przez sąsiednie plemię, podczas gdy pozostałym udało się wypłynąć na morze w nietrwałych łodziach. Kilka z nich poszło prosto na dno, a wraz z nimi kodeksy, biżuteria i ceramika. Pańska misja będzie polegała na wyłowieniu jednego z wraków.

Wyraz oczu Nicka zmienił się w chwili, gdy wspomniałem o jego obowiązkach.

– Zapomniałeś powiedzieć, co stanowi o wyjątkowości Chupaców – wtrąciła Lena. – Czczą boga...

Nick uniósł rękę.

– Nie ma potrzeby zamęczać mnie szczegółami. Jestem pewien, że wasz scenariusz trzyma się kupy.

– Ale nie chce pan wiedzieć...

– W swoim czasie. Pomówmy raczej o mojej roli.

– Jest pan poszukiwaczem skarbów – oznajmiłem, dając Lenie znak, żeby zostawiła ten temat. – W latach dziewięćdziesiątych pracował pan dla amerykańskiego przedsiębiorstwa, a następnie zaczął pan działać na własny rachunek, kupując starą łajbę. Przewodził pan kilku bezowocnym wyprawom po Pacyfiku i po Morzu Chińskim. Wierzyście grożą, że przejmą pańską łódź.

– Włóczykij w ciężkich tarapatach, kumam.

– Szczęśliwym trafem natyka się pan na siedemnastowieczne dokumenty, które precyzyjnie wskazują miejsce zatonięcia hiszpańskiego galeonu wyładowanego złotem. Kiedy już zbierze pan paru inwestorów, obiecując im udział w zyskach, skrzykuje pan załogę i bierze kurs na Zatokę Meksykańską.

– Pańscy ludzie nie będą wtajemniczeni – uściśliła Lena. – Mam nadzieję, że to nie robi panu problemu.

Nick upił łyk piwa. Najwyraźniej nie robiło mu to problemu.

– Szuka pan tego przekłętego galeonu całymi tygodniami – ciągnąłem. – Inwestorzy się niecierpliwiają, tak samo jak załoganci, którzy widzą, jak rozwiewają się nadzieje na premię.

– Gdy nagle, cud, odkrywam wrak Majów!

– Pańscy nurkowie wyławiają pierwsze artefakty, może nawet jeden z kodeksów.

Informuje pan meksykańskie władze...

– Czemu jestem na tyle głupi, by zrobić coś podobnego?

– Po pierwsze dlatego, że zobowiązuje pana do tego międzynarodowe prawo. A po drugie, bo to nam pasuje, jak przekona się pan później.

– Chwytam.

– Meksykanie panu dziękują i proszą, grzecznie, acz stanowczo, żeby podniósł pan kotwicę. W międzyczasie przekazuje pan zdjęcia kodeksu mediom. Pewien przyjaciel rodziny poświadcza ich autentyczność, wspominając o „skarbie archeologicznym”. Uświadomiwszy sobie wartość znaleziska, żąda pan części łupu albo przynajmniej odszkodowania. Rozpoczynają się negocjacje. W końcu dochodzicie do porozumienia: rząd meksykański zleca panu wyłowienie wraku w zamian za kwotę, która pokryje wydatki pana i pańskich inwestorów.

– *Cool* – Nick w królewskim gościu przystał na tę propozycję.

– Czuje się pan na siłach, by odegrać tę rolę?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, prawda?

– Musi pan wiedzieć, że od momentu dotarcia do zatoki będzie pan zdany wyłącznie na siebie.

– Nie ma problemu, jestem dużym chłopcem.

– Nie jestem pewien, czy zdaje pan sobie sprawę z trudności, jakie pana czekają.

Co się, pana zdaniem, stanie, kiedy odkryje pan wrak?

Nick namyślał się przez chwilę.

– Zobaczmy. Inwestorzy odetchną z ulgą, mając w perspektywie odzyskanie kasy. Poradzą mi, żebym złupił wrak i wrócił z forszą.

– Przebijając się przez kordon meksykańskiej marynarki?

– Z odległości piętnastu tysięcy kilometrów wszystko wydaje się takie proste. Tak czy siak, jeśli będą mi się zbyt naprzykrzać, wyłączę radio. Bardziej niepokoją mnie moi ludzie.

– Dlaczego?

– Niektórzy upchną artefakty pod materacem. Inni będą mieli pietra i zażyczą sobie, żebym wywiesił białą flagę. Trzeba będzie grać ostrożnie.

Skinąłem głową, pod wrażeniem tego, jak adekwatna okazała się analiza Carruthersa. Zidentyfikował dwa główne źródła ryzyka.

– A media? – spytałem.

– Łatwizna. Opowiem im o tym, jak raz w zatoce Ha Long ogłuszyłem rekina kijem bejsbolowym.

– Naprawdę pan to zrobił? – spytała Lena, wybałuszając oczy.

– Ależ tak, to był mały okaz. Ważył ledwie dwieście kilo.

– Zapewnimy panu całą pulę anegdot – wtrąciłem. – Prawdopodobnych anegdot, ma się rozumieć. A Meksykanie, jak pan sobie z nimi poradzi?

– Jakoś to ogarnę.

– A konkretniej?

– Nick mówi, że to ogarnie – przerwała mi Lena. – Możemy mu zaufać, nie?

– Nie wiem. Sądziłem, że jesteśmy tu właśnie po to, żeby to ustalić.

– Wydaje mi się, że zebraliśmy wystarczająco dużo danych na dziś – oświadczyła Lena. – Nick, czy chciałby pan coś dodać?

– A niech mnie, nie. Poza tym, że praca z wami sprawiłaby mi ogromną przyjemność – odparł, patrząc wyłącznie w stronę Leny.

– Zadzwonimy do pana wieczorem – poinformowałem Nicka, odprowadzając go do wyjścia.

– Tylko nie za późno, jeśli można. Mam inne spotkanie.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby wziąć to pod uwagę.

Gdy tylko zamknąłem drzwi, Lena wydała wyrok.

– To on – ogłosiła podekscytowanym tonem.

– To niezaprzeczalnie dobry kandydat.

– Dobry kandydat? Nie wiem, czego ty chcesz. On ma wszystko: akcent, charyzmę, doświadczenie, zęby, mięśnie...

– Nie zauważyłem mięśni – skłamałem.

– A jednak trudno nie zwrócić na nie uwagi. Nie, naprawdę, widziałeś go? Porusza się jak dzikie zwierzę...

– Jakiego rodzaju zwierzę? Jak rekin?

– Wyobrażasz sobie coś takiego? Zabić rekina gołymi rękami? – rzuciła Lena, nieczuła na ironię w moim głosie. – A przy tym sympatyczny. Szarmancki, zabawny, reporterzy go pokochają.

– Zwłaszcza jeśli wspomni im o swojej pasji...

– Chodzi ci o kobiecą rozkosz? To prowokacja. Ty zresztą dałeś się złapać. Szkoda, że nie widziałeś swojej miny!

Zerknęła na zegarek.

– Mam ochotę odwołać pozostałych kandydatów. Po co ich przyjmować, skoro znaleźliśmy naszego człowieka?

– Żartujesz sobie? Pokonaliśmy dwadzieścia tysięcy kilometrów, żeby się z nimi spotkać. A poza tym, skąd wiesz, czy któryś z nich nie okaże się lepszy niż Carruthers?

– Niemożliwe.

Lena miała rację. Mimo bardziej imponujących przebiegów kariery, żaden z agentów, z którymi rozmawialiśmy owego popołudnia, nie wygrałby w porównaniu z Nickiem. Jeden z nich spuścił z tonu, gdy dowiedział się, że musiałby dowodzić ludźmi bardziej doświadczonymi od siebie. Drugi oblewał się potem, już kiedy opisywałem scenariusz. Z kolei ostatniego rachityka porwałby najmniejszy podmuch wiatru.

Byłem gotów kontynuować poszukiwania. Zoe wspominała o interesującym kandydacie w Brazylii. Żeby zwalczyć moje opory, Lena zaproponowała, abyśmy obejrzeli nagranie z Nickiem.

– Jeśli wciąż będziesz miał wątpliwości, wybiorę się z tobą do Rio.

Puściła film od momentu, w którym Australijczyk unosił szklanke, pijąc za zdrowie Komitetu.

– Już sam ten gest to nie byle co. Większość nagrywanych osób boi się kamery; on czyni z niej sojuszniczkę.

– Nie przesadzajmy...

– Zważ też na jego bogactwo leksykalne. Nie ma co wznosić oczu do nieba. Jak na zawołanie sięga do różnych rejestrów językowych, od potocznego – „odmrozić sobie tyłek na Syberii” – po godny erudyty w tej swojej przemowie o kobiecej rozkoszy.

– Czego to dowodzi?

– Że potrafi dostosować sposób mówienia do swoich rozmówców. Dość przydatna umiejętność u kogoś, kto będzie musiał radzić sobie z mediami, policją, marynarzami i przedstawicielami finansjery, nieprawdaż? Patrz, nie zauważyłam, że ma takie piękne oczy! A jego włosy, widziałeś jego włosy?

– Widziałem jego włosy.

– Wprawi żeńską część publiczności w rozpacz. Zwróciłeś uwagę na jego stan

cywilny?

– Kawaler – burknąłem.

– Trzeba mu będzie wymyślić dziewczynę.

– Taki był plan.

– Naprawdę, Sliv, nie rozumiem cię. Co masz mu do zarzucenia?

Od wyjścia Carruthersa zadawałem sobie to samo pytanie: moje argumenty wydały mi się jeszcze bardziej niedorzeczne, kiedy wypowiedziałem je na głos.

– On odgrywa rolę. Rolę surfera, który jest zbyt fajny, żeby pójść na Akademię, eksperta od łechtaczki, który powala rekiny lewą ręką.

– Jeżeli to rola, to doskonale się w nią wciela. Tak czy owak, czy nie tego właśnie szukamy: komedianta?

Zupełnie jakby nas usłyszał, Nick w samym środku zdania mrugnął zaczepnie do kamery. Podskoczyłem.

– Widziałaś to wcześniej?

– Nie – odrzekła Lena. – Można by pomyśleć, że wybrał jedyny moment, w którym ani ty, ani ja na niego nie patrzyliśmy. Przyznasz, że zna się na rzeczy.

Zatelefonowałem do Nicka chwilę przed północą, by powiadomić go, że został wybrany. Odebrał po szóstym dzwonku.

– Carruthers – rzucił zdyszczanym głosem.

– Nick, tu Sliv. Mam dobre wieści, okazał się pan najlepszym kandydatem.

– Spoko. Na razie, koleś.

– Proszę zaczekać!

– Co tam znowu? – spytał z irytacją.

Z dalszego planu doleciały mnie szepty, a następnie wyraźnie dwa różne kobiece śmiechy.

– Chcielibyśmy ponownie się z panem zobaczyć. Co pan robi jutro?

– Proszę zadzwonić o dziewiątej.

I się rozłączył.

10

Spotkaliśmy się z Carruthersem w porcie w Sydney z zamiarem wybrania się w krótki rejs. Nadal był nieformalnie ubrany, miał na sobie znoszone do cna płócienne spodnie i rdzawą koszulkę upstrzoną plamami od wybielacza.

– Dzień dobry, Nick – wdzięczyła się Lena. – Ogromnie się cieszę, że tak szybko widzimy się ponownie.

Nick uklonił się przesadnie. Okulary przeciwsłoneczne, które zwisały mu z szyi na sznurku, niemal dotknęły ziemi.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Siema, stary.

Przyciągnął mnie do siebie i wymamrotał mi do ucha:

– Prosiłem cię, żebyś zadzwonił wczoraj wczesnym wieczorem.

– Przykro mi, bardzo późno podjęliśmy decyzję.

– Taa, jasne...

Odwrócił się w stronę wspaniałej jednokadłubowej łodzi zacumowanej przy przystani.

– Witam w moich skromnych progach.

– Mieszka pan na pokładzie? – spytałem zdumiony.

– Od dziesięciu lat.

– Wiedziałaś? – zagadnąłem Lenę.

– Ależ tak. I ty też byś wiedział, gdybyś zadał sobie trud przeczytania jego teczek. Nick jest zameldowany w porcie.

– A ponieważ nie jestem latarnikiem... – dorzucił sam zainteresowany. – Ale wchodźcie, wchodźcie, zapraszam.

Przepuściłem Lenę przodem, nie tyle z galanterii, ile po to, by zobaczyć, jak poradzi sobie z niebezpiecznie jak na mój gust wąskim trapem. Ruszyłem jej śladem, stawiając stopy w tych samych miejscach i nie patrząc w dół.

– To łódź czterdziestostopowa? – chciała wiedzieć Lena.

– Pięćdziesięciostopowa. Wyprodukowana w Queensland w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym dla Australijczyka, który w następnym roku wyprawił jej chrzest, startując w regatach samotników przez Atlantyk. Wzięła udział w tuzinie wyścigów na pełnym morzu, w tym w dwóch edycjach Route du Rhum.

– Nie ma silnika?

– Po moim trupie.

– Wydaje się, że jest w dobrym stanie – zauważyłem, przesuwając palcem po jaskrawoczerwonym relingu.

– Bo ją rozpieszczam. Całkowicie ją odnowiłem w dziewięćdziesiątym ósmym. Same żagle kosztowały sześćdziesiąt patyków. Woskuję pokład cztery razy w roku, a każdej zimy oddaję ją do szczegółowego przeglądu. Z drugiej strony, nie płacę czynszu ani bieżących rachunków i mogę się przeprowadzić z dnia na dzień.

Wymówił to ostatnie zdanie z myślą o nas. Znałem wystarczająco wielu marynarzy, by wiedzieć, jak niewielką rolę w decyzji o zamieszkaniu na łodzi odgrywają względy ekonomiczne.

– Oprowadzi nas pan? – spytała Lena.

– Ma się rozumieć.

Kokpit był zadziwiająco przestronny. Mieścił małą kuchenkę, która starczyłaby mi do rozmrażania moich lasagne, kącik dzienny oraz staromodny mostek kapitański, bez monitorów czy elektronicznych gadżetów. Po obu stronach pokoju wypoczynkowego znajdowały się kabiny wyposażone w łazienki.

– Pięćdziesięciostopowce mają zwykle trzy, a nawet cztery kajuty. Ja wolałem postawić na komfort – wyjaśnił Nick, popychając drzwi swojej sypialni.

I stworzyć tu sobie profesjonalny seksodrom, pomyślałem, obrzucając spojrzeniem ogromne łóżko, minibarek oraz lustra na suficie.

– Wracamy na pokład? – zaproponował Nick. – Chciałbym rzucić cumy, zanim słońce zacznie za mocno przygrzewać.

– Co też pan mówi – sprzeciwiła się Lena, która włożyła prostą bawełnianą spódniczkę i górę od kostiumu kąpielowego. – Właśnie dla niego tu przyszliśmy.

– Mimo wszystko nie wystawiajcie się na jego promienie zbyt długo. Wasza skandynawska skóra by tego nie zniosła.

Lena wyjęła z torby słomkowy kapelusz i wyciągnęła się na leżaku na pokładzie,

podczas gdy Nick przygotowywał się do wypłynięcia.

– Pójdę sprawdzić, jak sobie radzi – oznajmiłem.

– Sądzę, że możemy przyjąć za pewnik, że potrafi manewrować przy redzie – odrzekła Lena, smarując się kremem z filtrem. – A nawet jeśli założymy, że popełni jakiś błąd, wątpię, żebyś ty to zauważył.

Dołączyłem do Carruthersa na rufie. Od każdego jego ruchu biła taka pewność, jakby wykonywał go już tysiące razy.

– Idealne warunki – uznałem, przysłaniając głupotę tej uwagi zblazowaną miną.

– Faktycznie – zgodził się Nick i stanął za sterem. – Zwolnisz cumy?

Sprawy nie toczą się zgodnie z planem, pomyślałem, odczepiając, tak dobrze, jak umiałem, liny łączące nas z lądem. Przyszedłem ocenić Carruthersa, a to on wydawał mi polecenia.

– O, jakiś ty miły; zawiąż węzeł.

– Jakiego rodzaju? – spytałem, jakbym znał ich dziesiątki.

– Wystarczy ratowniczy.

Przez minutę czy dwie przyglądał się, jak błędzę po omacku, a potem wyrwał mi cumę z rąk i z wprawą umocował ją na knadze.

– Nie, no nie mogę. Czego was uczą w tej Akademii?

Wrócił na miejsce za sterem. Po kilku minutach wyszliśmy z portu.

– Dobrze wam idzie? – zawołała Lena od strony dziobu.

– Jak po maśle – odparłem.

Odwróciłem się do Nicka.

– Rzeczywiście zaczyna się robić ciepło.

– Uprzedzałem cię, koleś. No dobra, chodź tutaj. Mylę się, czy też nigdy nie sterowałaś łodzią?

– Nie mylisz się.

– To bardzo proste.

Wślizgnął się za mnie.

– Obie ręce kładziesz w ten sposób i trzymasz kurs kompasowy na dwadzieścia stopni. Kiedy miniemy operę po sterburcie, ustawiasz kurs kompasowy na sto stopni. Zrozumiano?

– Tak. To znaczy nie! – wykrzyknąłem spanikowany. – Co mam zrobić, jak będzie na mnie płynęła jakaś łódź?

– Omiń ją – poradził Nick i zniknął za kokpitem.

Dzielnie skoncentrowałem się na zadaniu, ze zwilgotniałymi dłońmi i zaciśniętymi szczękami, z jednym okiem utkwionym w kompasie, a drugim w szmaragdowych falach, z których, jak się spodziewałem, w każdej chwili mógł wyskoczyć miecznik albo rekin wielorybi. Wiatr przynosił do moich uszu strzępy rozmowy i wybuchy śmiechu, głównie ze strony Leny.

Potężny ryk syreny sprawił, że podskoczyłem. Olbrzymia jednostka pływająca parła prosto na nas. Wówczas rozbrzmiał drugi sygnał, jeszcze groźniejszy, jakby po to, by dać mi do zrozumienia, że osiągnąłem górny próg niekompetencji.

– Nick! – wrzasnąłem. – Mamy problem.

Carruthers zjawił się w okamgnieniu.

– Co? Zepsułeś coś?

Pokazałem palcem wiszące nad nami niebezpieczeństwo.

– Ten transatlantyk przed nami. Przetnie nas na pół.

– Ten transatlantyk, jak go nazywasz, to prom z Melbourne. Biorąc pod uwagę nasze odpowiednie prędkości, powinniśmy go minąć dwie albo trzy mile za bakiem.

– Nie ma ryzyka, że wywróci nas fale jego kilwateru?

– Powinno być w porządku. Wiesz co? Zablokujemy obecny kurs.

Chwycił dwa szoty i pojedynczym gestem obwiązał nimi ster tak, by ograniczyć jego ruchy.

– To wszystko? – spytałem. – Ale w takim razie po co ja tu stoję od kwadransa?

– Po nic. Ale bardzo dobrze ci to szło.

Dołączyliśmy do Leny na przedzie. Zrzuciła spódniczkę, rozwiązała górę od kostiumu i opalała się wyciągnięta na brzuchu.

– No i jak tam, chłopcy? – rzuciła, nie otwierając oczu. – Uniknęliśmy tragedii?

– Ledwo – odparł Nick, siadając po turecku na pokładzie, twarzą w stronę klatki piersiowej Leny.

Ja również się rozebrałem i oparłem łokciami o reling, żeby mieć na oku prom. Ktoś musiał trzymać straż.

– Zastanawiałem się nad waszym scenariuszem – oznajmił Nick za moimi plecami. – Mam parę pytań.

– Sliv z przyjemnością na nie odpowie – odrzekła Lena rozleniwionym głosem

tłumionym przez poduszkę.

– Po pierwsze, na temat mojej kariery zawodowej. Wspominaliście o kilku bezowocnych wyprawach. Czemu inwestorzy mieliby się ulitować nad nieudacznikiem?

Odwróciłem się, żeby znaleźć się przodem do Nicka.

– W tej profesji dziewięćdziesiąt procent operacji kończy się porażką. Wystarczy dokonać jednego odkrycia w całej karierze. W zeszłym roku pewna amerykańska ekipa wyłowiła skarb, którego wartość szacuje się na pół miliarda dolarów, co rekompensuje parę wcześniejszych fiask.

– Nie szkodzi. Nie mogłem znaleźć jakiegoś drobiazgu?

– Wtedy nie potrzebowalibyś inwestorów.

– Ma jednak rację – stwierdziła Lena, podnosząc się na łokciach. – Media miałyby wtedy w co wbić zęby.

Zastanowiłem się. Od Erin Brockovich po Jerry'ego Maguire'a, postać seryjnego frajera, którego upór zostaje ostatecznie wynagrodzony, zapewniła Hollywood sukcesy. Odstępowanie od sprawdzonego przepisu nie miało sensu, no chyba że nieszczęśliwa przygoda Nicka przysłużyłaby mu się w inny sposób.

– No dobra – uznałem. – Kilka lat temu znalazłeś skarb na Morzu Chińskim. Ponieważ jesteś dobrze wychowany, poinformowałeś władze o swoim odkryciu. Godzinę później na pokład weszli celnicy i położyli łapę na całym towarze. Wniosłeś skargę, poruszyłeś niebo i ziemię, na próżno: służby celne wszystkiemu zaprzeczyły i zagroziły nawet, że wpakują cię do więzienia, jeśli nie zamkniesz gęby na kłódkę. Ten epizod cię zniesmaczył. Od tej pory nie ufasz mundurowym.

– I dlatego też skontaktowałem się z prasą: bałem się, że po raz kolejny mnie okpią.

– Właśnie tak, to tłumaczy twoją paranoję. A nawet lepiej: czyni ją zrozumiałą. Co o tym myślisz, Leno?

– Nie sądzę, żeby przysporzyło nam to szczególnych trudności. Wybierzemy kraj na tyle skorumpowany, by zarzuty Nicka brzmiały prawdopodobnie. A ponieważ oskarżymy lokalne media o to, że siedzą w kieszeni rządu, nikt się nie zdziwi, że ówczesne gazety nie zawierają żadnej wzmianki o sprawie.

– Dobrze. A nawet bardzo dobrze. Następne pytanie?

– Domyślałem się, że będę musiał zmienić nazwisko...

– Istotnie. Proponuję, żebyś zachował swoje imię: dobrze brzmi i łatwo je wymówić we wszystkich językach.

– Święty Mikołaj⁸ to patron marynarzy.

– To kolejny powód. A jeśli chodzi o nazwisko, trzeba nam czegoś długiego, złożonego z dwóch, a nawet trzech sylab, żeby zbalansować krótkość imienia.

– Campbell? Livermore? Sullivan? – zasugerował Nick, który jak podejrzewałem, już wcześniej rozważył tę kwestię.

– Zbyt pospolite – uznała Lena. – Poszukajmy czegoś wśród sławnych aktorów.

– Eastwood? – zaproponowałem. – Redford? Weissmüller?

– Flynn – rzucił Nick.

– Jak Errol z *Przygód Robin Hooda*?

– Z *Kapitana Blooda* i niezliczonych filmów płaszcza i szpady. Naturalizowany Amerykanin, ale Australijczyk z pochodzenia. Urodzony w Tasmanii, jak ja, a przy tym wielki, niepoprawny uwodziciel...

Powstrzymał się przed dodaniem: „też jak ja”.

– To jest myśl – zgodziłem się. – Nick Flynn, brzmi jak trzask z bicia. Jeśli jakiś dziennikarz spyta, czy jesteś spokrewniony z Errolem, odpowiesz, że twoja matka tak właśnie twierdziła, chociaż nie miała dowodów.

– No właśnie, pomówmy o moich rodzicach.

– Obydwoje nie żyją.

– Jestem żonaty?

– Na pewno nie!

– Mam dziewczynę?

– Lepiej, narzeczoną. Załatwimy ci zdjęcie.

– Nie ma potrzeby.

Nakierował telefon na twarz Leny, która posłusznie przybrała pozę.

– Oto dziecinna zagrywka z rodzaju tych, których nie chcę widzieć podczas tej misji – oświadczyłem. – Leno, sądzisz, że będzie potrzebował operacji plastycznej?

– Hę? – zaniepokoił się Nick.

– Widziałabym go z blizną na policzku – stwierdziła Lena.

– Z blizną? Skąd by się wzięła?

Wzruszyłem ramionami.

– A czy ja wiem? Bójka majtków? Atak gigantycznej ośmiornicy?

- Cztery centymetry – uznała Lena. – Nie chcemy go przecież oszpecić.
- Dwa – wyszedł z kontrpropozycją Nick.
- Trzy – uciałem. – Kolor włosów nam pasuje, prawda?
- Tak – poświadczyła Lena. – Musisz jednak uważać, żeby rzadziej je myć.

Polecę ci szampon.

- A co się tyczy zębów... – zacząłem.
- Nikt nie tyka moich zębów! – sprzeciwił się Nick.
- Ma bardzo ładne ząbki – zauważyła Lena. – Czego od nich chcesz?
- Nikt nie ma tak idealnie równych zębów z natury. Przyznaj, Nick, prostowali ci

je?

- Odpieprz się, koleś.
- Co sugerujesz? – spytała Lena.
- Wyszczерbić mu siekacza.
- Zwariowaliście! – wrzasnął Nick.
- Nie moglibyśmy po prostu powlec go czarną emalią, jak w kinie? – drążyła

Lena.

– Nie, to mogłoby być widoczne. Lepiej zdecydować się na mały cios młotkiem u dentysty.

- Skończyliście już?

Odwróciliśmy się do Nicka. Przebierał nogami niczym byk, miał pianę na ustach, a nozdrza mu drgały. Sądzę, że powstrzymywał się przed walnięciem mnie pięścią w twarz.

– Niektóre rzeczy podlegają negocjacjom – ogłosił powoli. – Moje zęby się do nich nie zaliczają.

Lena dała mi znak, żebym odpuścił.

– To był tylko pomysł – uspokoiła. – Jestem pewna, że uda nam się osiągnąć ten sam efekt za pomocą innych środków.

- Na przykład psa – odpowiedziałem.
- Nie wciśnięcie mi jakiegoś szczekacza! – wzburzył się Nick.
- Obecność domowego zwierzątka jest niezbędna – wyjaśniła Lena.
- No to dajcie mi papugę!
- To nie *Piraci z Karaibów* – odparowałem.
- No to innego ptaka, chomika, cokolwiek, byle nie pchlarza!

– Niektóre rzeczy podlegają negocjacom. Pies się do nich nie zalicza – odrzekłem z satysfakcją. – To będzie nowofundland, bardzo uczuciowa rasa. Założę się, że będziecie się dogadywać jak dwie kumoszki.

– Ostrzegam was, jeśli polize mnie po ręce, wrzucę go do wody.

– Nowofundlandy świetnie pływają. Nazywa się je morskimi bernardynami. Coś jeszcze?

– Tak, chcę móc liczyć na co najmniej jednego członka załogi.

– Co o tym myślisz, Sliv? – spytała Lena.

– Wydaje się to rozsądne. Nick będzie miał wystarczająco dużo na głowie, nawet bez wiszącego nad nim widma buntu.

– Sam go wybiorę – zaznaczył Australijczyk. – Mam już kilka pomysłów.

– Będziemy mieli prawo weta wobec twojego kandydata.

– Naturalnie.

– Jaka pora roku byłaby twoim zdaniem najbardziej sprzyjająca?

– W lecie jest za ciepło. Jesień wykluczamy ze względu na huragany. Pozostaje wiosna i zima. Optowałbym za tym, żeby dotrzeć do zatoki w lutym przyszłego roku, a wrak odkryć w kwietniu. To pozostawia mi prawie rok na zakup łodzi, zgromadzenie inwestorów i zebranie załogi.

– To niewiele czasu.

– Ale jest to do zrobienia. A wy będziecie gotowi?

– Z kodeksami i artefaktami tak – odrzekła Lena. – Jeśli chodzi o wrak, to już mniej pewne. W dalszym ciągu badamy kilka możliwości.

– Będziemy mieli miesiąc czy dwa w zapasie – stwierdził Nick. – Nie więcej. W przeciwnym razie trzeba to będzie odłożyć o kolejny rok.

Wrócił na mostek, zostawił mnie sam na sam z Leną.

– Trudno będzie nim sterować – uznałem ponuro.

– A więc ma charakterek? Tym lepiej, bo wszystkiego nie uda nam się przewidzieć.

– Nadal uważam, że powinniśmy mu wybić ząb.

– A ja nadal uważam, że jesteś o niego zazdrosny.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, z tyłu dobiegł głos Nicka.

– Popluskamy się w jednej zatoczce, zgoda?

– Wspaniale! – wykrzyknęła Lena, z powrotem zawiązując bikini.

Zjawiskowe zatoki nie stanowiły wcale najmniejszego z uroków Sydney. Ta tutaj, do której dało się dostać jedynie od strony morza, mogłaby posłużyć jako ilustracja w reklamie Nowej Południowej Walii. Olbrzymie fikusy opuszczały gałęzie aż do samej wody. Muskane bryzą fale lizały całkowicie bezludną plażę o jasnym piasku.

– Rzucisz kotwicę, koleś? – poprosił nasz kapitan, gdy ustawił żaglówkę pośrodku zatoki.

– Zostaw – poleciła Lena. – Ja się tym zajmę. Jaka głębokość, Nick?

– Sześć metrów.

– Trwa przyptyw?

– Już niedługo.

Na moich zdumionych oczach Lena pozwoliła, by łańcuch kilkakrotnie się odwinął, aż w wodzie zniknęło jakieś dwadzieścia metrów.

– Łatwizna – oznajmiła. – Mnożysz odległość od góry kadłuba do dna przez trzy.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– Jeszcze nie wiesz o mnie wszystkiego – odparła buntowniczo i wskoczyła do wody.

Nick odczekał, aż nasze oczy zwrócą się w jego stronę, aby wyłonić się z kokpitu w jaskrawopomarańczowych kąpielówkach, które miały za zadanie podkreślić jego opaleniznę. Przerzucił nogi nad relingiem, wypiął tors gladiatora i wykonał skok pod nienagannym kątem. Kiedy po paru długich sekundach wynurzył się na powierzchnię, nonszalancko odrzucił burzę włosów w tył i olśnił nas hollywoodzkim uśmiechem.

– Kurewsko przyjemnie! To musi być miła odmiana po Toronto.

– W tym się z tobą zgodzę – przyznałem, starając się, by moje nieskoordynowane pluskanie uchodziło za odmianę stylu bocznego.

Nick już mnie nie słuchał. Pędził frenetycznym kraulem z energią, która wystarczyłaby do ogrzania miasta średniej wielkości.

Po kilku minutach znaleźliśmy się na plaży, gdzie Nick wypytywał Lenę o zwyczaje Chupaców. W teorii nic go do tego nie obligowało. Jego rola miała w końcu polegać na wydobyciu artefaktów, nie na ocenie ich historycznej wartości, a tym bardziej nie na dyskutowaniu o cywilizacji Majów, o której skromny tasmański żeglarz, w którego się wcieli, nie powinien zbyt wiele wiedzieć.

A jednak z zainteresowaniem słuchał naszych wyjaśnień i bombardował Lenę pytaniami na temat gry w piłkę, dnia zgody i handlu ziarnem kakaowca, a przy każdej odpowiedzi chwalił jej wyobraźnię. Wiedząc, ile teczka zawdzięcza mnie, gotowałem się w środku, na próżno czekając, aż Lena podkreśli mój wkład. Gdy tak słuchałem, jak przechwala się pomysłami, na które wpadliśmy wspólnie, miałem okazję pomedytować nad tym, co czuła przed siedmioma laty, kiedy zebrałem całe uznanie za owoce jej pracy na Timorze Wschodnim.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Lena ze śmiechem wyjawiała Nickowi, że miałem opory przed wybraniem go.

– Ja od razu wiedziałam, że to ciebie szukamy – oświadczyła, rysując na piasku przy pomocy muszelki. – Spytaj Sliva: byłem gotowa odwołać pozostałych kandydatów. To on upierał się, żeby się z nimi spotkać. Jeszcze wczoraj wieczorem zamierzał kontynuować poszukiwania!

Wymamrotałem niejasne zdanie na temat zalet ścisłego trzymania się protokołu.

– Nie żywię urazy, koleś – zapewnił Nick i trącił mnie w ramię zaciśniętą pięścią. – Nie ty pierwszy mnie nie doceniasz.

Wróciliśmy na łódź. Ze względu na obolałe ramię płynąłem w tyle za pozostałymi.

Zanim się rozdzieliliśmy, powtórzyliśmy plan. Zoe załatwiła Nickowi kontrakt na amerykańską wyprawę na Ocean Indyjski. Po zdobyciu doświadczenia miał kupić statek oraz łódź podwodną, a następnie sfabrykować życiorys na użytek inwestorów. Lena zdobędzie artefakty i wytworzy kodeksy. Mnie pozostało dopieszczenie scenariusza i uregulowanie dwóch czy trzech drobiazgów.

Jeszcze tego wieczoru wsiedliśmy w samolot do Toronto. Wykończona dniem na morzu Lena spała aż do Los Angeles, podczas gdy ja oglądałem *Armageddon* i dwa albo trzy inne filmy, zbyt kiepskie, by je tu wymienić.

Drugi lot upłynął nam na dyskusji o wraku, który wciąż stanowił główną słabość naszej teczki. Lena była w kontakcie z kilkoma południowoamerykańskimi pośrednikami, którzy twierdzili, że mogą jej dostarczyć drewno sprzed dwunastu wieków. Trzech architektów pracowało nad planami łodzi na podstawie ilustracji z epoki oraz tych kilku łódek Majów, które dotychczas odnaleziono. Cieśla okrętowy z Bostonu, specjalizujący się w rekonstrukcji historycznych statków, twierdził, że będzie w stanie zbudować łajbę bez korzystania z jakichkolwiek

nowoczesnych materiałów czy technik.

O ile wierzyłem, że kodeksy Leny, częściowo naruszone przez morską wodę, pomyślnie przejdą badania archeologów, o tyle wątpiłem, by zmajstrowany w pośpiechu dwudziesto- lub trzydziestometrowy wrak mógł długo zwodzić ekspertów. Już samo nasączenie drewna słoną wodą tak, aby osiągnęło ono stopień wilgotności odpowiadający długiemu pobytowi na dnie oceanu, stanowiło wyzwanie, na które nasi specjaliści póki co nie znaleźli odpowiedzi.

W idealnym scenariuszu wydobylibyśmy artefakty, ale nie sam wrak, zaklinowany pomiędzy dwoma skałami albo zbyt delikatny, by dało się go wyciągnąć na powierzchnię. Ale mimo że rząd meksykański wysłucha zdania Nicka, skonsultuje się też z ekspertami, którzy uznają, że to jednak jest możliwe. Wciąż powracał więc ten sam problem.

Gdy czekaliśmy na lotnisku na nasze taksówki, Lena zdjęła z moich barków nie lada ciężar.

– Olej reguły gry w piłkę – zarządziła, wsiadając do samochodu. – Zadzwoń do Gunnara.

11

Na wieść o wyborze Nicka Yakoub okazał mniejszy entuzjazm, niż się spodziewałem.

– W samą porę – rzucił, wskazując mi krzesło. – Tymczasem tutaj problemy się nawarstwiają.

– Amerykański satelita?

– Przelot nad miejscem zdarzenia pozwolił nam potwierdzić informacje NASA. Według naszych kontaktów w Houston i w Waszyngtonie Amerykanie wydają się szczerze zasmuceni utratą OCO. Ale mogą też odgrywać komedię.

– Podejrzewasz, że sabotowali własnego satelitę? – spytałem nieco zdziwiony.

– Żadnej opcji nie wykluczam.

– Nie wiadomo nic więcej na temat przyczyn wypadku?

– Ciągle ta sama historia ze źle dopasowaną owiewką, która, zbyt obciążała satelitę, co sprawiło, że nie udało mu się osiągnąć prędkości orbitalnej.

Zawahałem się, czy zwierzać się z własnych przemyśleń, ale potem zdałem sobie sprawę, że właśnie tego Yakoub ode mnie oczekuje.

– Nie widzę w tym niczego podejrzanego. Oczywiście, to niepokojący zbieg okoliczności...

– Niepokojący? Nasi statystycy oceniają prawdopodobieństwo jak jeden do stu tysięcy!

– Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dokonują obliczeń...

Yakoub poszedł zamknąć drzwi i ponownie usiadł za biurkiem.

– To nie wszystko – zdradził. – Dziś rano otrzymałem dwa nowe raporty. Pierwszy pochodzi z Pekinu. Ludzie od wyszukiwarki Baidu wymyślili dziesięć nieistniejących zwierząt, żeby zakpić z chińskiej cenzury. Nazwy stworzeń, które na papierze wydają się niegroźne, brzmią jak wulgaryzmy, kiedy przeczyta się je na głos.

– Na przykład?

– Francusko-chorwacki kalmar, który nazywa się Fa Ke You, kurczak, którego

nazwa przypomina slangowe określenie na masturbację, krab...

– Rozumiem. Jaki to ma związek z cenzurą?

– Jak wiesz, chiński rząd blokuje wyszukiwania pewnej liczby słów-kluczy: nazwisk politycznych przeciwników, skandali, w które zamieszani są członkowie partii, i – ma się rozumieć – pornografii. Baidu drwi sobie z władz, stawiając je przed dylematem, czy należy zakazać również „francusko-chorwackiego kalmara”, który ma to nieszczęście, że jego nazwę wymawia się po mandaryńsku Fa Ke You. Cholernie cwane, nie?

Wręczył mi fotografię dziwnego białego konia o kosmatej sierści.

– Spójrz na to stworzenie ochrzczone Cao Ni Ma.

– Co znaczy?

– „Koń trawiastych równin i błot”. Ale też, i to o wiele śmieszniejsze: „pieprzyć twoją matkę”. Przeczytam ci tekst z Baidu: „Cao Ni Ma pochodzą z pustyni Gobi (co brzmi tak samo jak »wagina twojej matki«). Są to zwierzęta żywe, inteligentne i nieugięte, których przetrwaniu zagrażają rzeczne kraby”.

Na te słowa nieomal się udusiłem.

– Rzeczne kraby? Jak w teczce tej...?

– Guo Dan.

W 2005 roku podczas zjazdu partii prezydent Hu Jintao wyraził życzenie stworzenia „harmonijnego” (w oryginale: *héxié*) społeczeństwa. To wyrażenie stało się synonimem dla chińskiej cenzury. Guo Dan, agentka z Kantonu, zauważyła, że jeśli odrobinę zmienić akcent toniczny, to słowo *héxié* może oznaczać „rzeczne kraby”. Na tej podstawie stworzyła sprytny plan, którego streszczenie znalazło się w londyńskim neseserze. Guo Dan zamierzała zalać internet doniesieniami o szkodliwości rzecznych krabów. Potem zorganizowała ogólnonarodowy marsz, podczas którego żądano by ich wytopienia, dając rodakom niepowtarzalną okazję do sprzeciwienia się Pekinowi bez obaw przed represjami.

– To jedyny moment, w którym Baidu nawiązuje do jej teczki – podjął Yakoub – przyznasz jednak, że odniesienie jest spektakularne.

– Inni poza Guo Dan mogli zauważyć homofonię „harmonii” i „rzecznych krabów”.

– Rzeczywiście, zwłaszcza że Dan już zaczęła rozsiewać w sieci pojedyncze aluzje. Niepokoi mnie raczej to zgranie w czasie: najpierw satelita OCO, później

to...

– Wspominałeś o trzeciej teczce...

– Tak, to jeszcze dziwniejsza sprawa. Pamiętasz projekt Solveig Ingstad? Agentki drugiej klasy z Oslo?

– Mgliście – odparłem, żałując, że nie dysponuję pamięcią Yakouba. – To była historia o ptakach, nie?

– Tak. Ingstad, która od dawien dawna broni praw zwierząt, chciała obnażyć okrucieństwo, jakiego doświadczają gołębie... Nie wznosząc oczu do nieba, wyglądała na to, że wy, Europejczycy, prześladowacie te biedne stworzenia.

– Niech będzie – mruknąłem, myśląc, że wolność, jaką cieszą się agenci przy wyborze tematów, ma same zalety.

– Wymyśliła, że stworzy grę komputerową, w której będzie się używać ptaków jako pocisków do burzenia ścian. Nawet osoby o najbardziej zatwardziałych sercach byłyby wstrząśnięte na widok wystrzelonego w powietrze stworzenia roztrzaskującego się żałośnie na bruku.

– Muszę być wyjątkowym wykolejencem, bo nie uroniłbym ani jednej łzy.

– Szef biura w Helsinkach niedawno jadł obiad z jednym ze swoich przyjaciół, który kieruje studiem gier komputerowych. Wiesz, nad czym obecnie pracuje?

– Nad grą o ptakach?

– Chodzi o coś dużo bardziej szczegółowego. Gra nazywa się *Angry Birds*. Ma wyjść jakoś w tym roku. O ile dobrze zrozumiałem, gracz używa procy, żeby katapultować różnych rozmiarów ptaki i rozwalać budynki.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale celem studia nie jest uwrażliwienie ludzkości na nieszczęśliwy los ptactwa?

– Nie, chcą raczej zarobić trochę siana. Co nie zmienia faktu, że oto mamy na głowie trzy teczki, i mimo najlepszych chęci nie wiem, jak moglibyśmy w dalszym ciągu mówić o zbiegu okoliczności.

Jeszcze raz przeanalizowałem w myślach wszystkie te projekty.

– Mam jednak wrażenie, że każdy przypadek da się dość łatwo wyjaśnić. Amerykański satelita miał parę procent szans na to, że się rozbije. Dan z pewnością nie była ani pierwszą, ani ostatnią osobą, która zauważyła, że słowa „harmonia” i „kraby rzeczne” wymawia się w taki sam sposób. Jeżeli chodzi o grę, chciałbym przypomnieć, że nasza agentka mieszka w Oslo, rzut beretem od Finlandii.

– Co insynuujesz? Że jej teczka gdzieś tam sobie krąży?

– Nie, ale mogła opowiedzieć o swoim pomysłe komuś w swoim otoczeniu. Przyjaciel wysłała jej artykuł o znikaniu gołębi z centrów miast. „Któregoś dnia – odpisuje ona – będziemy je masakrować na PlayStation”. Przyjaciel nie przykładła do tego wagi. Miesiąc później rozmawia w Finlandii z grafikiem, który pokazuje mu swoje najnowsze dzieło: postać zaokrąglonego gołąbka. Przypomina sobie wiadomość od Ingstad i zauważa, że ptak jest okrągły niczym kula armatnia. Więcej nie trzeba. Pomysły zataczają kręgi, zwłaszcza te dobre. Zresztą...

– Zresztą?

– Ile projektów Londyn odrzuca każdego roku?

Yakoub pogrążył się wuczonych obliczeniach.

– Tak na oko powiedziałbym, że trzysta lub czterysta.

– Doskonale. Zajrzyjmy ponownie do wszystkich teczek odrzuconych w dwa tysiące siódmym i sprawdzmy, ile z nich po dziewięciu miesiącach się ziściło. Jeżeli stosunek wyniesie od pięciu do dziesięciu procent, to będzie znaczyło, że mieścimy się w normie.

– Istnieje ryzyko, że będziesz porównywał koła z kwadratami. Żadna teczka nigdy nie „ziściła się” w stu procentach, żeby użyć twojego sformułowania.

– A zatem sklasyfikujmy podobieństwa. Na skali od jeden do pięciu, gdzie pięć oznacza absolutną zgodność, epizodowi z OCO przyznałbym trzy, krabom dwa, a wściekłym gołębiom cztery punkty.

Yakoub zrobił pauzę, by przeanalizować mój pomysł.

– Rozumiem, do czego zmierzasz. Powinniśmy byli już dawno stworzyć to narzędzie.

– Ciekaw jestem, jakie otrzymamy wyniki – stwierdziłem bez śladu kłamstwa.

– Wkrótce będziesz miał okazję, żeby się przekonać: powierzam ci obowiązek zebrania statystyk z ostatnich pięciu lat. Londyn przekaże ci odrzucone teczki. Znajdź sobie kogoś do pomocy, kogo chcesz, najlepiej matematyków.

– Zapominasz o Chupacach! Tylko tego ranka muszę narysować szlaki handlu kakao, skomponować odę do boga kukurydzy i przeczytać zasady pozwoleń na eksplorację meksykańskich wód.

– Przekaż to Lenie, to w końcu jej projekt.

– Jest po szyję zawałona robotą – zaprotestowałem z nadzieją, że dobre

samopoczucie Dunki umknęło mojemu szefowi.

– A niech mnie, Sliv, robisz to specjalnie?! – Yakoub na tyle rzadko podnosił głos, że nie zamierzałem ryzykować sprzeciwiania się mu. – Tu chodzi o naszą skórę, rozumiesz? Majowie to bardzo miłutkie przedsięwzięcie, ale teraz mówimy o przetrwaniu KFR-u. Czy to jasne?

– Jak słońce – odrzekłem chłodno. – Daj mi tydzień.

Lena, do której poszedłem zwierzyć się z mojej porażki, ledwie pozwoliła mi skończyć opowieść. Właśnie dostała pierwsze artefakty: zestaw ceramicznych talerzy, jadeitową broszę oraz rytualny sztylet z obsydianu. Trzy różne metody datacji pozwoliły ustalić ich wiek na coś pomiędzy tysiąc sto dwadzieścia a tysiąc sto pięćdziesiąt lat, co by znaczyło, że wytworzono je trzydzieści lat przed wybuchem wulkanu San Martin.

– Handlarz utrzymuje, że może zdobyć dwa razy tyle – poinformowała z roziskrzonymi oczyma.

– Nie wolisz zróżnicować źródeł?

– Niekoniecznie. Priorytetem jest jednorodne pochodzenie gotówki.

– Za kogo się podajesz?

– Za asystentkę magnata finansowego z Doliny Krzemowej. Do wyboru miałam albo to, albo narkotykową królową z Miami.

Ze smutkiem pomyślałem o wszystkich tych skarbach, kambodżańskich, chińskich czy należących do Majów, upchanych w piwnicach bogatych kolekcjonerów z całego świata. Świadomość, że wkrótce zwrócimy kilka z nich prawowitym właścicielom, pozwalała mi przetrwać poranki takie jak ten.

Lena miała mi też do zakomunikowania inną sensacyjną nowinę. Naszym chemikom, zainspirowanym technikami fałszerzy pieniędzy, którzy postarzali banknoty, całymi dniami obracając je wraz z piaskiem w bębnie pralki, udało się wreszcie odtworzyć skutki przedłużonego pobytu w morskiej wodzie. Na kilka tygodni zanurzali artefakty w kąpieli o bardzo dużym stężeniu soli, a następnie poddawali je działaniu ogromnych sił, mających wywołać na poziomie molekularnym takie same efekty, jakie dawał nacisk dwudziestu kilopaskali przez tysiąc lat. Na koniec przykrywali je czułkami skorupiaków i miniaturowymi fragmentami muszli. Według Leny żaden istniejący test nie pozwalał na wykrycie oszustwa.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom misja powierzona mi przez Yakouba okazała się fascynująca. W 2007 roku Londyn ze zwykłych powodów (nadmierne ryzyko, zbyt daleki związek z dyrektywami planu trzyletniego, przesadna ambicja w świetle poprzednich dokonań agenta...) odrzucił czterysta trzysta teczek.

Znak czasów – jedna czwarta z nich dotyczyła ekologii, a dokładniej globalnego ocieplenia. Nie zamieniwszy ze sobą słowa na ten temat, agenci z Bombaju, Santiago i Canberry topili te same lodowce, fałszowali te same krzywe temperatury i wróżyli ten sam tragiczny los pacyficznym atolom. Tylko dwie te czki obierały punkt widzenia przeciwstawny do dominującej opinii, jedna przypisując wzrost produkcji gazów cieplarnianych wzdęciom bydła, a druga argumentując, że pierwszej rewolucji przemysłowej towarzyszyło obniżenie się światowej temperatury o pół stopnia.

Zbrodnie dyktatorów, niemal równie popularne, stały się inspiracją dla co piątej te czki. Korupcja, nepotyzm, tortury, masowe egzekucje dostarczały materiału spektakularnym scenariuszom tworzonym po to, by scementować lokalną opozycję i wstrząsnąć społecznością międzynarodową.

Na trzecim miejscu plasowała się falsyfikacja artystyczna, gatunek, w którym próbowałem swoich sił na początku kariery, wymyślając zakazany niemiecki film, którego jedyna kopia przepadła w pożarze. Zasada zawsze była ta sama: agent powoływał do życia piosenkarza, malarza albo pisarza, w imieniu którego osobiście tworzył parę rzekomo reprezentacyjnych dzieł. Sława wymyślonych w ten sposób artystów rzadko kiedy wykraczała poza artykuł w Wikipedii czy okazjonalną wzmiankę w specjalistycznym magazynie. Ale co trzy, cztery lata któryś z nich odnosił niespodziewany sukces, jak ten Irańczyk, który otrzymał główną nagrodę literacką w swoim kraju, albo ten rumuński plastyk, którego rzeźby wręcz wyrywano sobie w salach aukcyjnych. W takich przypadkach – trzeba zaznaczyć, że bardzo rzadkich – autor te czki za przyzwoleniem zwierzchników składał rezygnację i wcielał się w swój twór.

Tak jak podejrzewałem, rzeczywistość nie zawsze dostosowywała się do naszych teczek, ale czasami diabelnie się do nich zbliżała, jak w przypadku tego młodego agenta, który zamierzał rozpuścić plotkę, jakoby estoński rząd szykował się do usunięcia żołnierza z brązu upamiętniającego zwycięstwo w drugiej wojnie światowej. „Rosyjska społeczność z Tallina – pisał – ujrzy w tym zniewagę, znak,

iz Estonia pragnie przewrócić stronę, zapominając o radzieckiej okupacji. Zwróci się ku Moskwie, której imperialistyczna retoryka da do myślenia zachodnim rządzącym”. Trzy miesiące później w centrum Tallina rozgorzały brutalne zamieszki, w których jedna osoba zginęła, a setki zostały rannych. Przyczyna rozruchów: protesty grupy ludzi, którzy z nostalgią wspominali erę radziecką, przeciwko decyzji rządu o przeniesieniu pomnika. Co równie niewiarygodne, pewna agentka z Phnom Penh przewidziała zniesienie nepalskiej monarchii, a pewien Anglik z Bristolu odgadł intrygę siódmego tomu sagi o Harrym Potterze, łącznie ze szczegółowymi perypetiami ostatecznego pojedynku z Voldemortem.

Wziąłem się do klasyfikowania podobieństw. Była to rzecz niezbędna, zanim można je było porównać. Niektórzy agenci przepowiedzieli ważne wydarzenia na podstawie błędnego rozumowania. Inni przeciwnie, pomylili się co do sedna sprawy, ale w kwestii paru błahostek trafili w dziesiątkę. Yakoub pozwolił, bym tę drugą kategorię tymczasowo odsunął na bok; w końcu normalne było, że przynajmniej niektóre spośród masy detali zawartych w scenariuszu zbiegną się z rzeczywistością. Zresztą, idąc za radą Leny, postanowiłem obrać kryterium logarytmiczne: jedna teczka z poziomu czwartego, jak ta dotycząca gry *Angry Birds*, stanowiła w istocie większe zagrożenie niż cztery teczki z poziomu pierwszego.

Po dwóch dniach pracy stało się jasne, że sam nigdy sobie z tym nie poradzę. Większość teczek eliminowało się szybko: przeczytanie streszczenia zajmowało dwie albo trzy minuty, sprawdzenie w internecie, że nic podobnego nie miało miejsca, niewiele dłużej. Inne wymagały więcej pracy. Jeśli na przykład agent z Dżajpuru zaproponował, żeby podłożyć ogień pod nieczynną fabrykę w Bangladeszu i wmówić ludziom, że mieściła ona potajemną manufakturę odzieżową, trzeba było zweryfikować – a raczej kazać to zrobić biuru w Dhace – czy bangladeska prasa nie donosiła o podobnym wydarzeniu, a następnie rozszerzyć poszukiwania na inne kraje zajmujące się produkcją tekstylną. Jak się okazało, pożar spustoszył sekretną chińską fabrykę obuwia, zbierając żniwo w postaci około trzydziestu ofiar. Wówczas należało prześledzić scenariusz, porównując go linijka po linijce z – prawdopodobnie fałszywym – raportem chińskiej agencji prasowej.

Wobec rozmiarów zadania zapewniłem sobie pomoc Magi i Youssefa, a każde

z nich przyprowadziło trzech asystentów. Podzieliliśmy się teczkami według dziedzin, w których się specjalizowaliśmy, oraz języków, którymi władaliśmy. Cztery dni i trzy noce później, wyczerpany, ale szczęśliwy, złożyłem w ręce Yakouba wstępny raport. Przeszedł od razu do ostatniej strony.

– „Rok później – przeczytał na głos – siedem procent odrzuconych teczek (trzydzieści jeden z czterystu trzynastu) w mniej lub bardziej namacalny sposób zaistniało w rzeczywistości”.

– A do tego z braku czasu nie przeczytaliśmy tych czterystu trzynastu teczek w całości. Innymi słowy, te liczby przedstawiają zjawisko w zaniżonej skali.

– „Na trzydzieści jeden teczek żadna nie osiągnęła poziomu piątego, dwie osiągnęły poziom czwarty, pięć poziom trzeci, dziesięć poziom drugi i czternaście poziom pierwszy”. Jakie wyciągasz z tego wnioski?

– Że z trzema „ziszczonymi” teczkami w ciągu dziewięciu miesięcy prawie mieścimy się w normie.

– Ale jedna z tych trzech teczek reprezentuje poziom czwarty, co w całym roku dwa tysiące siódmym zdarzyło się tylko dwa razy – zauważył Yakoub. – To cię nie niepokoi?

– Nie bardzo. Nasz zestaw danych nie jest reprezentatywny. Ponadto Londyn zatwierdziłby większość teczek z walizki.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że dobre te czki mają więcej szans na urzeczywistnienie niż złe?

– Nie wydaje się to wcale niedorzeczne. Ale jeszcze raz powtarzam, że brakuje nam danych do dalszej analizy. Sugeruję sięgnąć pięć albo dziesięć lat wstecz. Oto wskazówki metodologiczne dla mojego następcy.

Yakoub nie puścił tej uwagi mimo uszu.

– A kto mówił coś o jakimś następcy? Nie masz ochoty skończyć tego, co zacząłeś?

– Jasne, że tak, tyle że... Chupacowie czekają. Rozmawiałem z Magą: jest gotowa przejąć po mnie pałeczkę.

– Żeby z hukiem wręczyć rezygnację, gdy tylko natknie się na pierwszy seksistowski scenariusz?

– Co do tego nie ma obaw – odrzekłem z uśmiechem. – Sarah Palin dała jej nauczki.

Z rozkoszą wróciłem do Majów. Produkcja kodeksów właśnie miała się rozpocząć. Lena zleciła mi zredagowanie tego poświęconego Chupacanowi, podczas gdy ona i Gunnar pracowali nad podręcznikiem do gry w piłkę. Lingwiści KFR-u mieli przetłumaczyć nasze teksty.

Zamknąłem się u siebie z notatkami, dziesiątkami książek oraz ilustracjami wykonanymi przez dział graficzny. Zamyśl polegał na stworzeniu zbioru odniesień, czegoś pomiędzy brewiarzem a encyklopedią, skupiającego ogół informacji, jakimi Chupacowie dysponowali na temat boga, który użyczył imienia ich miastu.

Na początek stworzyłem trzy klasy kapłanów, z których każda miała swój sposób mianowania, własne obowiązki, fryzury i szaty ceremonialne. Następnie skomponowałem modlitwy do Chupacana, jeden hymn i dwie lub trzy pieśni. Protokół ceremonii ofiarnych dostarczył mi mnóstwa rozrywki; podawałem dzień i godzinę, o której się rozgrywały, rodzaj kapłanów, który im przewodniczył oraz porządek, w jakim odcinali poszczególne członki i organy. Ale najważniejszy element stanowił opis obchodów związanych z dniem zgody. „Mała zgoda” odbywała się co roku siedemnastego lutego (była to data urodzin Leny). Tego dnia mieszkańcy miasta zamieniali się rolami. Wieśniak zajmował miejsce kamieniarza, który z kolei stawał się sędzią albo tkaczem bawełny. Każdy nabywał przez to większej empatii i szacunku dla bliźnich. „Średnia zgoda” następowała pod koniec każdego katunu, to jest co około dwadzieścia lat. Trwała siedem dni, podczas których każdy zamieniał się miejscem ze swoim małżonkiem, dzieckiem, starcem, mężczyzną, kobietą, osobą na niższym lub wyższym szczeblu hierarchii. Tydzień wieńczył powszechny turniej gry w piłkę, w którym, wyjątkowe było to, że najistotniejszą rzeczą stanowiło samo uczestnictwo, chociaż przez jedną rozgrywkę, a nie zwycięstwo. I wreszcie „wielka zgoda” wypadała u kresa każdego baktunu, trwającego trzysta dziewięćdziesiąt cztery lata. Chupacowie przez cały miesiąc starali się spoglądać na świat oczyma rozmówców. Było to dla nich przygotowanie, swego rodzaju ćwiczenie przed Sądem Ostatecznym, podczas którego będą musieli przekonać bogów, że są w stanie w zgodzie zamieszkać w raj. W Chupac odbyła się tylko jedna „wielka zgoda”, w okolicach 830 roku. Dziwnym zbiegiem okoliczności trwający baktun miał się skończyć 21 grudnia 2012 roku.

Podczas tego tygodnia, kiedy pracowałem nad duchowością Chupaców, moc teczki Leny ukazała mi się w całym swym splendorze. Chęć osiągnięcia zgody to

już zgoda. Próba zrozumienia drugiego to już wyciągnięcie do niego ręki. Musiałem przyznać, że moja relacja z Leną jak za sprawą cudu uspokoiła się w dniu, w którym postawiłem się na jej miejscu, kiedy „wymieniłem własne oczy na jej oczy”, by użyć sformułowania chupaskich hierarchów (którzy na jednej z rycin kodeksu wprowadzali słowo w czyn w strumieniu obficie tryskającej posoki).

Nie trzeba być psychologiem, by zrozumieć, co scenariusz Leny zawdzięczał jej osobistemu doświadczeniu. Ojciec ją porzucił. Matka wydała ją na łup męskiej lubieżności. Watkinsowie, gotowi ją adoptować, nie dotrzymali słowa. Gunnar, którego darzyła szacunkiem niczym ojca, zdystansował się od niej. A na koniec KFR, w którym miała nadzieję odnaleźć rodzinę, zawiesił ją na sześć miesięcy za wykroczenie, którego nie popełniła. Za każdym razem się podnosiła i udało jej się zawrzeć własne aspiracje w teczce niosącej uniwersalne przesłanie; była to cecha właściwa prawdziwie wyjątkowej jednostce.

Prostota Chupaców, ich dobroduszna szczerść dogłębnie mnie poruszały. Byłem przekonany, że mój talent, o ile w ogóle jakiś posiadam, polega na umiejętności wzniesienia się ponad podziały. Jako konsultant środowiskowy przewodniczyłem niezliczonym obradom okrągłych stołów, przy których zasiadały wszystkie strony zaangażowane w projekt. Zaczynałem od poproszenia uczestników – przedsiębiorców, przedstawicieli lokalnej władzy, właścicieli domów stojących wzdłuż wytyczonej drogi, obrońców środowiska – aby wyrazili swoje nadzieje i lęki, wymienili zagadnienia, o których gotowi są podyskutować, oraz te, przy których będą się za wszelką cenę upierać. Następnie tłumaczyłem, dlaczego większość z tych żądań jest całkowicie rozsądna. Koncesjonariusz autostrady nie mógł przekroczyć pewnego kosztu budowy za kilometr, bo naraziłby równowagę gospodarczą całego przedsięwzięcia. Mieszkańcy pobliskich domostw słusznie obawiali się o swój majątek: badania dowodziły, że dom usytuowany w odległości mniejszej niż pięćset metrów od dużej arterii komunikacyjnej tracił piętnaście procent ze swojej wartości. Bez przyszłej obwodnicy władze miejskie nie mogłyby zabrać się do remontu sali gimnastycznej i szpitala, których żądali wyborcy. I wreszcie istniały dowody na to, że autostrada przecinająca las poważnie zmniejsza różnorodność ekologiczną. Zmuszałem strony do uznania słuszności każdego stanowiska, aby następnie pokazać, że wszystkie się przeplatają: wobec

kosztów, jakie pociągałoby za sobą omięcie lasu, akcjonariusze się wycofają; bez obwodnicy władze miejskie podniosą lokalne podatki płacone przez mieszkańców okolicznych domów; a jeśli ci ostatni nie otrzymają odszkodowania za wszelkie niedogodności, zwrócą się do trybunału administracyjnego. Wówczas rozpoczynała się najdelikatniejsza faza: wypracowanie akceptowalnego dla wszystkich kompromisu. „Uwaga – uściślałem – akceptowalny nie oznacza, że niezbędny do jego osiągnięcia wysiłek rozłoży się po równo. Już przed tym spotkaniem istniał między wami pewien stosunek sił i po nim nadal będzie istniał. Waszym celem jest odwzorowanie go tu na tyle wiernie, na ile się da, przy równoczesnym pokonaniu sprzeczności”. Na tym etapie spotkania większość uczestników przygotowywała się do gry. Zdążyli zrozumieć, że nie mogą domagać się uznania własnych racji, nie akceptując przy tym cudzych. Idealne porozumienie, które mnie objawiło się natychmiast, niczym w rozbłysku światła, im ukazywało się stopniowo, w miarę, jak godzili się zdjąć klapki z oczu. Wychodzili z zebrania całkiem oszołomieni, zaniepokojeni faktem, że poświęcili więcej, niż zamierzali, ale dumni, że rozplątali węzeł, który jeszcze niedawno wydawał im się nie do rozsupłania.

Jak wielu moich poprzedników, niegdyś pielęgnowałem w sobie myśl, by dać KFR-owi cel, niepodlegającą dyskusji misję, w którą nasi agenci włączyliby się z entuzjazmem, niezależnie od wieku, rasy czy wyznawanej religii. Djibo przekonał mnie, że to niemożliwe. Każda sprawa miała swoich przeciwników: nauka stała w sprzeczności z ewangelią fundamentalistów, hinduiści pogardzali zachodnią pogonią za życiem wiecznym, chińscy przemysłowcy kpili sobie z ekologii. Kiedy stawiałem ostatnią kropkę w kodeksie Chupacana, naszała mnie refleksja, że zgoda to być może jedyna prawdziwie uniwersalna wartość.

Lena szykowała się, by sprawić ludzkości cholernie dobry prezent.

12

Lena wprowadzała ostatnie poprawki do kodeksu o grze w piłkę. Gunnar obmyślił dla niej fantastyczne zasady, które zawierały załączki pojęć istotnych dla współczesnego sportu. Na przykład gracz, który dopuścił się jakiegoś przewinienia, schodził z boiska na czas wprost proporcjonalny do wagi występku; drużyna przeciwna rzucała się wówczas do ataku, by wykorzystać przewagę liczebną, fenomen dobrze znany amatorom piłki ręcznej czy hokeja na lodzie. Liczyły się jedynie punkty zdobyte przez drużynę zagrywającą, z którego to modelu zaczerpnęły takie sporty jak squash czy siatkówka. I wreszcie, w przypadku remisu wynoszącego piętnaście punktów, mecz był rozstrzygany przez jeden decydujący pojedynek, co okrutnie przypominało tenis.

Gunnar wykonał kawał dobrej roboty. Prostota gry samej w sobie kłóciła się z wyrafinowaniem reguł dotyczących wymiany zawodników. Istniało ni mniej, ni więcej, jak tylko dziewięć sytuacji, w których zespół mógł – nigdy nie będąc do tego zobligowanym – zażądać rotacji. W sześciu z nich drużyna przeciwna miała prawo wyboru gracza, którego dostanie w zamian; w dwóch zostawał im on narzucony; w ostatnim przypadku sędzia zwracał się w tej sprawie do bogów. Związana z tym asymetria nie przypominała żadnej innej dyscypliny – mistrzowie spędzali czas na nadrabianiu strat, do których powstania sami się przyczynili.

Podczas rozgrywki każdy zmieniał obóz średnio trzy razy, co pozwalało na zniwelowanie największych nierówności. Najlepszy i najgorszy zawodnik w drużynie przechodzili z jednej strony na drugą nawet dziesięciokrotnie, przeciętni gracze zaś tylko raz czy dwa, nie byli bowiem ani na tyle zręczni, żeby o nich proszono (albo żeby ich, w żargonie Chupaców, „wyciągano”), ani na tyle niezdarni, żeby pozbywano się ich, czyli „wypychano” do drugiego zespołu. Rozegranie całego meczu w tej samej drużynie uznawano za ujmę na honorze, więc średni zawodnicy robili wszystko, żeby się wyróżnić, rzucając się na beznadziejne piłki z desperacją głodomorów albo odbijali je, tłukąc sobie kolana.

Kilka mechanizmów, co jeden, to sprytniejszy, przyczyniało się do harmonijnego

rozłożenia sił. Chupacowie niczego tak sobie nie cenili, jak z werwą rozegranego meczu poznanego częstymi rotacjami i spektakularnymi zwrotami akcji. W powszechnej opinii najpiękniejsza potyczka miała miejsce w roku 834 (albo – żeby być dokładnym – w roku 10.0.4.0.16). Zmierzyły się w niej drużyny Jaguarów oraz Świń, a rozstrzygnęła się poprzez trwającą dwie godziny i piętnaście minut dogrywkę, w której o włos wygrali ci drudzy. Co jeszcze bardziej zdumiewające, zawodnicy, którzy zdobyli trzy pierwsze punkty meczu, zgarnęli także trzy ostatnie, za każdym razem dla przeciwnej drużyny. Jedna ze stron kodeksu ukazywała ewolucję wyniku w tym pamiętnym starciu.

Gunnar przyjechał, żeby osobiście zaprezentować nam swoje dzieło. Chęć wzięcia Leny w ramiona przeważała nad jego awersją do transportu lotniczego. Stwierdziłem, że odmłodził o pięć lat.

– Zacząłem niemal błogosławić kryzys – oznajmił, zahaczając kapelusz o uchwyt wieszaka. – Bez niego byłbym teraz na emeryturze, amatorsko grał na giełdzie i przycinał róże.

Omiótł mój gabinet spojrzeniem i gwizdnął z podziwem.

– Niech mówią, co chcą, przebyłeś cholernie długą drogę.

– Dziękuję panu.

– Nie opowiadaj głupstw. Czytałeś moje reguły?

– Są wspaniałe!

– Naprawdę? Bałem się, że za bardzo je skomplikowałem.

– Znalazł pan idealną równowagę.

– Wszystko razem powoduje, że każdy stara się przejść samego siebie, żeby dostarczyć widzom niezapomnianego widowiska.

– Nie uszło to mojej uwagi.

Gunnar udał, że pogrążył się w kontemplacji mojej mapy Fryzlandii.

– Nie wiesz, czy Lena przeczytała mój dokument? – zapytał z fałszywą niedbałością.

– Ależ tak.

– I...?

– Ogromnie jej się podoba.

Widziałem, jak jego twarz się rozjaśnia.

– Naprawdę? Ach, co za radość! Rzecz w tym, że nigdy nie udało mi się jej

zainteresować hokejem, rozumiesz. A tutaj ta kilogramowa piłka, te nieustające zmiany, bałem się, że ją zanudzę. A to w końcu jej teczka.

– Zwróciła się do pana właśnie dlatego, że wiedziała, że poradzi pan sobie z tym po mistrzowsku.

Chwycił mnie za ramię. Drżał.

– Nigdy nie zdołam odpowiednio ci podziękować za to, co zrobiłeś – powiedział ze zwilgotniałymi oczyma.

– Nie musi mi pan dziękować.

Łagodnie wyzwoiliłem się z jego uścisku.

– A skoro mowa o Lenie, chce pan się z nią przywitać?

– Jest tutaj?

– Ależ tak, dwa kroki stąd.

– Poczekaj.

W pośpiechu przycesał włosy przed oknem, poprawił węzeł krawata i z powrotem wsunął poły koszuli w spodnie.

– Jest pan gotowy? – spytałem jednocześnie wzruszony i rozbawiony.

– Chodźmy.

Przemierzyliśmy korytarz ramię w ramię. Niemal słyszałem bicie serca Gunnara.

Zapukałem do drzwi Leny.

– Tak?

Odsunąłem się, żeby zrobić Gunnarowi przejście. Wszedł do środka a potem stanął i zaniemówił, niezdolny do pokonania tych ostatnich metrów, które dzieliły go od dawnej protegowanej.

– Gość z Islandii – zapowiedziałem, żeby rozluźnić atmosferę.

Lena podniosła się z miejsca. Wyszła Gunnarowi na spotkanie i bez słowa ujęła jego dłonie w swoje.

– Zostawiam was – oznajmiłem. – Mam robotę.

Ani jedno, ani drugie nie zadało sobie trudu, żeby mi odpowiedzieć. Zamykając drzwi, zauważyłem na regale zdjęcie zrobione przed Galerią Narodową w Reykjavíku. Lena i Gunnar, w ciemnych okularach, ze skrzyżowanymi ramionami i groźnymi minami, bardzo się silili, żeby wyglądać jak para supergliniarzy. Mógłbym przysiąc, że jeszcze poprzedniego dnia fotografia tam nie stała. Był to pierwszy osobisty przedmiot należący do Leny, jaki widziałem.

Telefon zadzwonił w momencie, gdy wchodziłem do gabinetu.

– Cześć, koleś – odezwał się serdeczny głos. – Tu Nick.

– Cześć, ziom – odparłem, zdecydowany oddawać cios za cios.

– Leny nie ma? Dzwoniłem przed chwilą na jej stacjonarny.

– Jest zajęta.

– Rozmawiałem z nią pięć minut temu.

– Wtedy jeszcze nie była zajęta – rzuciłem, odnotowując jego niezadowolenie. –

Ale skąd dzwonisz? Sądziłem, że jesteś w skafandrze u wybrzeży Madagaskaru.

– Problem techniczny. Dokonujemy napraw w Mozambiku.

– Jakiego rodzaju problem?

– Dziurawy kadłub. Kapitan zapragnął się popisać, lawirując wśród raf, żeby zyskać dwie godziny. Wynik: spędzimy tydzień przy redzie. Ech, mówię ci!

A jednak Zoe chwaliła się, że zagwarantowała Nickowi miejsce wśród jednej z najbardziej znanych załóg. Spytałem o jego pierwsze wrażenia.

– Sami nieudacznicy! Kapitan tak się nadaje do kierowania ekspedycją, jak ja do dyrygowania orkiestrą symfoniczną, pilot trzyma mapy do góry nogami, a gość od łodzi podwodnej należy do tych, co to otwierają bulaje pod wodą. Kajuty cuchną, nawet żarcie jest ohydne! No ale dobra, nie dlatego dzwonię. Zakumplowałem się z jednym z załogantów, Niallem, Irlandczykiem, który zjeździł kawał świata. Przez pięć czy sześć lat pracował dla różnych spółek na Południowym Pacyfiku i w Zatoce Meksykańskiej.

– Robi się interesująco.

– Palnął mi szczegółowy wykład o różnych statkach: wady i zalety, prędkość, niezawodność, cały rynsztunek na wyposażeniu.

– Mogłem ci to wszystko znaleźć.

– Niewątpliwie. Tyle że, co za niefart, jemu ufam bardziej. Potrafi na przykład zawiązać fantastyczny węzeł ratowniczy.

– Mów dalej – zachęciłem, myśląc, że zasłużyłem sobie na ten przytyk.

– Łódź, na której się obecnie znajduję, ma sześćdziesiąt metrów. Tyle nam niepotrzebne. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów powinno wystarczyć.

– Doszedłem do takiego samego wniosku.

– Jak? Czytając swój horoskop? Tak czy siak, Niall dał mi znać o łodzi na sprzedaż. Dwadzieścia dwa metry, maksymalna prędkość osiem węzłów.

W dobrym stanie. Łódź podwodna, robot i skafandry są wliczone w cenę. Będziemy potrzebowali więcej sprzętu, ale to dobry początek.

– Który rocznik? – dociekałem, w samą porę powstrzymując się przed zadaniem pytania o kolor.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy. Nie pierwszej młodości, ale akurat na moją kieszeń.

– Ile kosztuje?

– Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Niall mówi, że damy radę zejść do siedmiuset tysięcy.

– Gdzie można ją zobaczyć? – chciałem wiedzieć.

– W Miami, osiemset mil morskich od Veracruz. To by wiele ułatwiło. Aha, przy okazji, potwierdził mi, że wiosna to najlepsza pora roku na nasz projekcik.

– Upoważniasz mnie do jej zakupu?

– A mam wybór?

– Nie. Taka okazja może się już zbyt szybko nie powtórzyć.

– Przekaż Lenie, że zadzwonię do niej później.

– Nie ma potrzeby. Wszystko jej powtórzę.

– A kto mówi, że zamierzam z nią rozmawiać o łodziach? – odparował Nick, a potem się rozłączył.

I nagle pojąłem coś, co aż kłuło w oczy: byłem zakochany w Lenie. Gorliwość Nicka budziła we mnie instynktowną zazdrość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Wizja tego, jak obmacuje Dunkę w swojej pływającej kawalerce, wywoływała we mnie mdłości.

Byłem zakochany w Lenie. Siedząc przy biurku z głową w dłoniach, na nowo odtworzyłem w głowie etapy naszej burzliwej historii, aby zrozumieć, od kiedy odsuwałem od siebie to uczucie. Pragnąłem jej oczywiście od naszego pierwszego spotkania; ktokolwiek ośmieliłby się twierdzić inaczej, byłby parszywym kłamcą. Ale owego wieczoru w Córdobie nie wyczułem między nami żadnej nici porozumienia. Lena zachowała się w odrażający sposób, kpiąc z mojego ukochanego Gunnara i nie wprost radując się z raka swojego szefa. Przez dwa następne lata bez przerwy mnie łąła i dawała mi więcej powodów do wepchnięcia jej pod pociąg niż do zalecania się do niej. Później nastąpił epizod z Harkleroadem, kiedy rzuciła mnie na pożarcie Operacjom Specjalnym, mając nadzieję, że w ten

sposób ocali skórę.

Zakopaliśmy topór wojenny na Timorze, gdzie stawka, o jaką toczyła się gra, skłoniła nas do spuszczenia zasłony milczenia na nasze spory. Ileż to nocy spędziliśmy zgarbieni ramię w ramię nad klawiaturami w naszym apartamencie na najwyższym piętrze hotelu Central? Lena, której geniusz w kwestiach falsyfikacji był mi znany już od dawna, wreszcie uznała moje zdolności scenopisarskie. Za mało godzin spędziliśmy tamtego tygodnia w łózkach, żeby rozmyślać o błahostkach, ale nasza relacja przybrała nowy obrót. Przy odrobinie zręczności być może okazałoby się, że mam asa w rękawie. Niestety, zręczność nigdy nie była moją mocną stroną. Na spotkaniu z Komitetem przypisałem sobie całą zasługę za nasz sukces, podczas gdy Lena przyczyniła się do niego co najmniej w równym stopniu. Nasza relacja na nowo stała się napięta.

Fakt, że Lena zaangażowała mnie w swój wielki projekt, świadczył o tym, iż mi przebaczyła. Ale co do mnie czuła? Niedawno odbyliśmy wspólną podróż, nie kłócąc się, ale też nie prześcigając się w uprzejmościach. Śmiała się z moich żartów, ale nigdy nie zadawała osobistych pytań. A kiedy zapraszała mnie do restauracji, była to zawsze makrobiotyczna jadłodajnia, gdzie najtłustszy składnik stanowiła odrobina masła wieńcząca gotowane na parze marchewki. Nie, nie kochała mnie, a jeśli tak, to miała naprawdę dziwny sposób okazywania uczuć. Moją jedyną pociechę stanowił fakt, że zdawała się nie kochać nikogo innego.

Mimo to nie ufałem Nickowi, którego Lena zależnie od dnia określała mianem słodkiego, umięśnionego, uduchowionego lub charyzmatycznego; nie pamiętałem, żeby kiedykolwiek użyła tyłu epitetów w odniesieniu do mnie. Zamiany Australijczyka nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Telefonował do Leny kilka razy dziennie i regularnie proponował, że wyskoczy do Toronto, żeby „dopieścić strategię operacyjną”. O ile Lena otwarcie go nie zachęcała (w każdym razie nie przy mnie), o tyle dobrze się bawiła przy jego wygłupach i udawała, że łyka jego niestworzone opowieści o potyczkach z somalijskimi piratami i plemionami kanibali.

Czy to możliwe, że któregoś dnia coś do mnie poczuje? Jak mawiał Nick, był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Przeszedłem do ofensywy nazajutrz wieczorem, po tym jak wsadziłem Gunnara do samolotu. Lena prosiła wcześniej, żebym zajrzał jeszcze do biura. Zastałem ją pochyloną nad moim kodeksem.

– Przeszedłeś samego siebie – oświadczyła, nie podnosząc głowy.

Zachęcony tą uwagą, wbiłem pierwszą banderillę.

– Chcesz, żebym ci się z czegoś zwierzył? W zeszłym tygodniu, przy pracy nad Chupacanem, doznałem objawienia. Czy istnieje ideał szlachetniejszy niż zgoda? Harmonia między ludźmi, pomiędzy dwiema jednostkami...

Lena odłożyła pióro. Słuchała.

– Doskonałe porozumienie między parą – ciągnąłem, korzystając ze sprzyjających okoliczności. – Unia dwóch losów wzniesiona na podziwie, wzajemnym dopełnianiu się, szacunku...

Ponieważ Lena nadal nie reagowała, spróbowałem trochę bardziej wprost:

– Wspólna przyszłość uświęcona któregoś dnia narodzinami dziecka...

– Poczekaj... – przerwała Lena.

Zamilkłem, pełen ulgi. Zaczynało mi brakować argumentów.

– Czy ja śnię, czy ty właśnie coś mi deklarujesz?

– Nie śniesz – zapewniłem dzielnie, choć nie patrzyłem Lenie w oczy.

– Dajże spokój, co cię napadło? Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? I nie mów mi o Chupacach...

Wybełkotałem pierwsze słowa, jakie mi przyszły do głowy:

– Moglibyśmy być razem. Znamy się od dawna, dobrze się rozumiemy, nie jesteśmy już tacy znowu młodzi...

Lena, upewniwszy się, że mówię poważnie, pozwoliła sobie wybuchnąć śmiechem.

– No coś ty, naprawdę nie myślisz. Pracujemy razem...

– Jestem gotów zrezygnować.

– Ale ja nie. Dobrze wiesz, że ta praca to całe moje życie. Kiedy będziemy się widywać?

– Nie wiem. Mogłabyś wziąć urlop.

Lena zmierzyła mnie wzrokiem, jakbym palnął jakąś głupotę.

– Ale chyba się we mnie nie zakochałeś, Sliv?

– Owszem – odparłem zmieszonym tonem. – Tak przynajmniej sędzę.

– W takim razie przykro mi z tego powodu. Nie odwzajemniam twoich uczuć. Uważam cię za przyjaciela, nikogo więcej.

– Ale może w przyszłości?

– Szczerze? To wątpię.

Na widok mojego zniechęconego wyrazu twarzy na nowo parsknęła śmiechem.

– Ale masz minę! Rzecz nie rozegrała się tak, jak to sobie wyobrażałeś?

Wciąż pod wpływem rozczarowania nie odpowiedziałem od razu.

– Już więcej nic na ten temat nie wspomnę – obiecałem w końcu. – Wiedz też, że możesz liczyć na mój profesjonalizm przy teczce o Chupacach. Wiem, ile ona dla ciebie znaczy, i nie pozwolę, żeby na tym ucierpiała.

– Dziękuję – odrzekła Lena łagodnym głosem.

Zdawało się, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu mojego przygnębienia.

– Ostatnia rzecz. Na twoim miejscu nie ufałbym Nickowi. To bardzo... przedsiębiorczy chłopiec.

– Jeśli sądzisz, że nie zauważyłam...

– Nie wiesz wszystkiego. W ten wieczór, kiedy zadzwoniłem, żeby poinformować go, że został wybrany, był w miłym towarzystwie. A nawet w bardzo miłym towarzystwie – dodałem, unosząc dwa palce.

Lena z trudem stłumiła śmiech.

– Mój biedny Sliv... Widziałam setki takich zboreźników jak Nick. Nie boję się ich, zwłaszcza gdy dzieli nas dwadzieścia tysięcy kilometrów!

13

Dwa miesiące później Yakoub wezwał nas na kolejne spotkanie awaryjne. Rosja ogłosiła właśnie utworzenie prezydenckiej komisji do spraw walki z próbami fałszowania historii godzącymi w rosyjskie interesy. Wiadomość od agencji ITAR-TASS zawierała niewiele więcej informacji, co pozwalało obawiać się najgorszego.

Po szybkiej rundzie dookoła stołu, która ujawniła ignorancję wszystkich obecnych, Yakoub pozwolił sobie na jeden z rzadkich momentów zwątpienia.

– Tym razem to koniec! KGB znalazło walizkę.

– Ile spośród tych pięćdziesięciu teczek dotyczy Rosji? – spytał Suarez.

– Trzy – rzuciłem. – Jedna o dzieciństwie cara Aleksandra III, jedna o czystkach za rządów Chruszczowa i jedna o rozwiązaniu Jukosu.

– Tylko tę ostatnią można uznać za zagrażającą rosyjskim interesom – oceniła Zoe.

– Co o tym myślisz, Yakoubie?

Nasz przewodniczący miał nad nami podwójną przewagę, ponieważ mówił po rosyjsku i dorastał w Azerbejdżanie, pod jarzmem radzieckim.

– „Interesy rosyjskie” można rozumieć na wszelkie możliwe sposoby, wliczając w to względy polityczne czy historyczne – oświadczył kategorycznym tonem. – Putin nie pozwoli kłaść pamięci swoich poprzedników, choćby stali po przeciwnej stronie barykady niż on sam.

– Nadal uważam, że ze względu na sumy, jakie wchodzi w grę, oraz postać Chodorkowskiego najbardziej niebezpieczna jest w tej chwiliteczka o Jukosie – upierała się Zoe.

W roku 1995 państwo rosyjskie za psie pieniądze odsprzedało spółkę naftową Jukos pozbawionemu skrupułów przedsiębiorcy nazwiskiem Michaił Chodorkowski. Nowy właściciel przeprowadził racjonalizację firmy, odpowiedzialnej za około dwa procent światowej produkcji ropy, osiągając przy okazji znaczne zyski. W 2003 roku Kreml, znużony tym, że Chodorkowski się stawia, nasłał na Jukos zjadłą kontrolę fiskalną, która skończyła się karami

wystarczająco dotkliwymi, by doprowadzić spółkę do upadłości. Chodorkowski został skazany na dziewięć lat pozbawienia wolności. Jego majątek poza granicami kraju, na którym Moskwa w dalszym ciągu miała nadzieję położyć łapę, opiewał w powszechnej opinii na setki milionów dolarów.

– Czy ktoś może mi przypomnieć tezę teczki? – poprosił Suarez.

Yakoub kiwnął mi głową.

– Pod koniec dwa tysiące czwartego roku aktywa Jukosu zostały wystawione na sprzedaż w celu spłacenia wierzycieli, z rosyjskim urzędem podatkowym na czele. Przetarg wygrała utworzona kilka lat wcześniej firma Bajkałfinansgrup, która wyłożyła na stół dziewięć miliardów dolarów. Osoby spekulujące na temat tożsamości nabywców szybko poznały odpowiedź na swoje pytanie: Bajkałfinansgrup została wkrótce potem kupiona przez państwowy koncern Rosnieft. A zatem w dwóch szachrajskich posunięciach Moskwa najlegalniej w świecie wywłaszczyła akcjonariuszy Jukosu. Nasz agent wymyślił, że szefowie Bajkałfinansgrup w zamian za współpracę otrzymali dwa pola naftowe na Syberii. Byłby to w sumie dziewięciocyfrowy napiwek...

– Czy streszczenie teczki ujawnia tożsamość tych figurantów? – zapytała Zoe.

– Nie, ale można się domyślać, że chodzi o osoby z bliskiego otoczenia Putina.

Yakoub, który podczas mojej przemowy nerwowo bawił się długopisem, dorzucił:

– KGB niepokoi mnie bardziej niż FBI i CIA razem wzięte. Kiedy oni uderzają, to po to, żeby zabić.

Suarez, od dziecka karmiony antykomunistyczną propagandą, skinął energicznie głową. Yakoub ciągnął:

– Ogłosiłem nowy alarm po tym, jak sześć spośród pięćdziesięciu scenariuszy znajdujących się w neseserze w różnym stopniu się sprawdziło. Nie możemy już dłużej ignorować tego miecza Damoklesa. Proponuję, aby rozdać wszystkim agentom kapsułki z cyjankiem na sytuację awaryjną.

Nie tylko ja podskoczyłem. W tym okresie często wspominało się o rozwiązaniu KFR-u, ale z tego, co mi było wiadomo, członkowie Komitetu nigdy nie posunęli się do proponowania tak radykalnych rozwiązań.

– Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? – zagadnęła Ching, odzywając się po raz pierwszy.

– Wierz mi – odparł ponuro Yakoub – gdybyś widziała, do czego zdolni są zabójcy z KGB, poprosiłabyś o dwie kapsułki zamiast jednej. Kto popiera mój wniosek?

Jedynie Suarez podniósł rękę.

– Mimo wszystko zamówmy kapsułki i dajmy każdemu agentowi wolny wybór – zasugerowałem, chcąc załagodzić różnicę zdań.

– Zasiejemy panikę w szeregach – wieszczyła Zoe.

– I dobrze – rzucił Yakoub. – Może powstrzyma to imbecyli przed wynoszeniem z biura poufnych dokumentów.

Tylko Zoe zagłosowała przeciwko mojemu pomysłowi. Wiedziałem, że nie powstrzyma jej to przed wprowadzeniem go w życie. Ching obiecała, że przeprowadzi dochodzenie w sprawie zamiarów rosyjskiej komisji; planowała zwerbować do pomocy Youssefa.

– Wspomniałeś przed chwilą o sześciu wyciekłych scenariuszach – zauważyła potem Sophie Onobanjo. – Zatrzymałam się na etapie, kiedy było ich pięć.

– Ostatni otrzymałem wczoraj – odrzekł Yakoub. – Malezyjski rząd uwolnił właśnie trzech szefów Hindrafu, pozarządowej organizacji prohinduistycznej. Jeden z wypuszczonych więźniów to rzekomo sobowtór, któremu tajne służby zleciły zaprowadzenie porządku wśród bojowników.

Zbadałem tę teczkę równie dokładnie, co wszystkie poprzednie i poinformowałem Yakouba, że moim zdaniem nie zawiera ona nic podejrzanego. Wyczułem, że jest niemal zawiedziony. Myślę, że wolałby porządny policyjny nalot od tego nieskonkretyzowanego poczucia zagrożenia, które zatruwało nasze obrady.

Niemal w tym samym czasie Światowa Organizacja Zdrowia zarządziła powszechną mobilizację przeciwko grypie H1N1. Po pierwszych doniesieniach z Meksyku wirus szybko rozprzestrzenił się po całym świecie. Przenosił się z człowieka na człowieka, bez pośrednictwa zwierząt. Ofiary skarżyły się na bóle mięśni, bóle głowy oraz wymioty. Większość wracała do zdrowia po tygodniu; u dwóch do trzech procent chorych pojawiały się komplikacje, które w pewnych ekstremalnych przypadkach kończyły się śmiercią.

Jak przewidział Vargas, Center for Disease Control and Prevention w Atlancie potraktowało sprawę bardzo poważnie. Każdego dnia publikowało ładne, kolorowe

mapki przedstawiające szerzenie się wirusa. W czerwcu 2009 roku podniosło chorobę do rangi pandemii. Prezes CDC, który regularnie gościł w CNN, najpoważniej w świecie radził widzom, żeby myli ręce za każdym razem, gdy dotkną kłamki.

Szczepionka pozostawała najpewniejszym środkiem, by trzymać chorobę na dystans. Pół tuzina przedsiębiorstw farmaceutycznych podpisało lukratywne kontrakty z państwami pragnącymi chronić swoich obywateli. Sparzywszy się na epizodzie ze skażoną krwią, francuski rząd zamówił dziewięćdziesiąt cztery miliony dawek, i tym samym opłacił nowy odrzutowiec Ignacia Vargasa.

Tu i ówdzie rozlegały się głosy oskarżające laboratoria o ukartowanie psychozy z chęci zysku. Pewien niemiecki poseł, z wykształcenia lekarz, mówił o „jednym z największych skandali medycznych naszego wieku”. CDC powołało się na swój obowiązek względem społeczeństwa i tłumaczyło się, że uległo panice. WHO z kolei przyznała, że nieco zbyt pochopnie przypisała wirusowi H1N1 przypadki, które po zbadaniu okazały się zwykłą sezonową grypą. Obiecała, że wyciągnie z tego nauczki.

Mimo zastrzeżeń, jakie żywiłem wobec metod Vargasa, nie mogłem nie podziwiać jego fachowości. W niespełna trzy miesiące zorganizował globalny przekręt, który przyniósł jego klientom miliardy zysku. Na całym świecie grypa zajmowała pierwsze strony gazet, zapełniała szpitale i wzniesła debaty parlamentarne. Nie zanosilo się na to, żeby Kolumbijczyk miał się po tym epizodzie wyleczyć z syndromu demiurga, na który cierpiał już wcześniej.

Kiedy byłem w filozoficznym nastroju, myślałem sobie, że na każdego Vargasa wywołującego zdrowotną katastrofę przypada jakiś inny scenarzysta, który usiłuje nas przekonać, że pandemii nam nie grożą. Równowaga między ich sprzecznymi historiami zwała się rzeczywistością.

Tydzień później Youssef zaprezentował nam wyniki śledztwa dotyczącego powołanej przez Kreml komisji. Zrobił wypad do Moskwy, gdzie kilku jego przyjaciół wykladało na rosyjskim Uniwersytecie Przyjaźni Narodów. Ich zdaniem komisja do spraw walki z próbami fałszowania historii miała przede wszystkim na celu ustalenie prawdy na temat roli odegranej przez Związek Radziecki w czasie drugiej wojny światowej.

– Republiki powstałe w wyniku rozpadu ZSRR mogą wreszcie głosić własną

wersję wydarzeń – tłumaczył Youssef. – Ich szkolne podręczniki przedstawiają Stalina jako współodpowiedzialnego za konflikt, na równi z Hitlerem.

– No i? – wtrącił się Suarez. – W końcu podpisali pakt o nieagresji.

– Pakt, który Hitler złamał, wkraczając do ZSRR w czterdziestym pierwszym. Dziesięć milionów sowieckich żołnierzy zginęło w walce przeciwko Wehrmachtowi, to dziesięć razy więcej niż straciła Anglia i Stany Zjednoczone razem wzięte. Dla mieszkańców Zachodu bohaterami w tej wojnie są komandosi, którzy wylądowali w Normandii; dla Rosjan są nimi strzelcy wyborowi kryjący się w ruinach Stalingradu. Putin i Kreml czują, że padli ofiarami niesprawiedliwości: oskarża się ich, którzy uważają, że tę wojnę wygrali, o jej rozpętanie!

– Jakie stanowisko zajmujemy w tym sporze? – spytała Zoe.

– Napisaliśmy setki teczek o drugiej wojnie światowej, w tym jakieś piętnaście o samej bitwie o Stalingrad. Armii Czerwonej porządnie się dostało, zwłaszcza za masakry cywilów i więźniów. Nigdy jednak nie zaprzeczaliśmy, że odegrała decydującą rolę w pokonaniu Rzeszy.

– Jesteś pewien, że to jedyne pole działania komisji? – dociekał Yakoub.

– Prawie pewien. Lista członków wiele nam mówi. Widnieje na niej pięciu historyków, kilku wojskowych, politycy, ale nie ma ani jednego reprezentanta sektora gospodarczego.

Po raz kolejny odniosłem wrażenie, że Yakoub wolałby bardziej alarmujące nowiny. Z naciskiem przypomniał, jakie to ważne, żebyśmy nie tracili czujności, i poprosił Youssefa, by miał na oku prace komisji.

Lena dołączyła do nas, żeby porozmawiać o Chupacach. Poprzedniego dnia przećwiczyliśmy jej prezentację. Przedstawiła dwie główne zmiany wprowadzone do scenariusza: masakrę części plemienia dokonaną przez mieszkańców sąsiedniego miasta oraz późniejsze założenie kolonii gdzieś na Karaibach. Następnie puściła w obieg parę artefaktów, w tym jadeitowy naszyjnik, za który zapłaciła ponad sto tysięcy dolarów, a także stronę z kodeksu o grze w piłkę.

– Niezwykłe – skomentowała Zoe, unosząc kartkę do światła. – Jakiego typu papieru użyłaś?

– Amate. Sami go wyprodukowaliśmy z drewna figowca przy pomocy narzędzi z epoki.

– Kto nam zagwarantuje, że pomyślnie przejdzie testy? – chciała wiedzieć

Onobanjo.

– Wysłaliśmy próbkę do trzech laboratoriów: wszystkie ustaliły, że pochodzi z dziewiątego wieku – odparła Lena, nie tracąc rezonu.

Później opowiedziała o Nicku, którego życiorys nie wywarł wielkiego wrażenia.

– Agent drugiej klasy ma poprowadzić operację tej wagi? Naprawdę? – zdumiała się Onobanjo.

– Kilkakrotnie odmówił przyjęcia do Akademii – wyjaśniła Zoe. – Woli żyć nad brzegiem morza.

– Ja też bardzo lubię plażę – wymamrotał Suarez. – Co nie zmienia faktu, że mieszkam w Toronto.

– Jego umiejętności żeglarskie bardzo nam się przydadzą – wtrąciłem. – Przepracowawszy z nim kilka miesięcy, mogę was zapewnić, że jest w stanie wiele udźwignąć.

Nie wydało mi się konieczne precyzować, że mówiłem w sensie dosłownym. Tak po prawdzie, nie miałem pojęcia, czy Nick stanie na wysokości zadania; mogłem jedynie żywić taką nadzieję.

– Dlaczego go tu dziś nie ma? – spytał Suarez.

– Kończy misję szkoleniową na Oceanie Indyjskim – odpowiedziała Lena. – Postaram się, żebyście wkrótce go poznali.

– A jego przykrywka...?

– Dopięta na ostatni guzik. Gdy przyjdzie pora, będziemy mieli dziesięć osób gotowych z poruszeniem w głosie opowiadać anegdoty na jego temat.

I tak doszliśmy do kwestii łodzi. Onobanjo dwukrotnie się zatchnęła: najpierw słysząc cenę, a potem widząc zdjęcie.

– Siedemset tysięcy dolarów za ten stary szkielet! Nie możemy z tym poczekać?

– Nie – odrzekłem. – Łodzie wyposażone w sprzęt do wyławiania wraków są rzadkie. Dla waszej informacji, przeznaczaliśmy trzysta tysięcy dolarów na dodatkowe koszty.

– A załoga? – zapytał Suarez. – Kto im zapłaci?

– Inwestorzy – poinformowała Lena. – Nick zbierze w Australii pół miliona.

– A jeśli mu się nie uda?

– To będzie znaczyło, że nie jest odpowiednim człowiekiem do tej roboty. Przynajmniej będziemy to wiedzieć przed rozpoczęciem misji.

Potok pytań momentalnie się urwał. Onobanjo oglądała naszyjnik Majów, poszukując wady, która umknęła naszej armii ekspertów, podczas gdy Yakoub czubkiem spinacza skrobał powierzchnię papieru amate.

– A wrak? – dopytywał Suarez. – Pokazaliście nam kodeks i artefakty, ale gdzie jest wrak?

– W budowie – odparła Lena, czując się nieswojo.

– W budowie? Łódź sprzed tysiąca lat?

– Używamy jedynie materiałów z tamtego okresu.

– I sądzicie, że to wystarczy, żeby zwieść archeologów?

– Rozważamy kilka różnych opcji – zainterweniowałem. – Jest jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, na którą się zdecydujemy.

Niejednoznaczność mojego sformułowania nie uszła uwagi Onobanjo.

– Na którą? Co daje ci pewność, że będziecie mieli wybór?

– Nic, ale taką mamy nadzieję.

– Liczę, że zrozumiesz, iż naszą zgodę uzależnimy od rozwiązania tego problemu z wrakiem.

– To brzmi logicznie – przyznałem niechętnie.

– Z tym znaczącym zastrzeżeniem głosuję za projektem, który nam zaprezentowaliście – oznajmiła Onobanjo.

– Ja również – włączył się Suarez.

Ching, Yakoub i Zoe wyrazili to samo zdanie. Wewnętrznie konając, zgodziłem się z większością i spojrzałem na podłamaną Lenę, która nie wiedziała, czy się cieszyć, czy rozpaczać z powodu tej nowej przeszkody.

Jedno było pewne: trzeba będzie wykazać się kreatywnością.

Część trzecia

Veracruz

1

Dziewięć miesięcy później moimi włosami targał wiatr, gdy siedziałem na rufie motorówki prującej przez Zatokę Meksykańską. Mój kapitan, który – jak się zdawało – otrzymał polecenie wywołania u mnie mdłości, wychodził z siebie, żeby czołowo wspinać się na najwyższe fale i rzucać nas w otchłanne przepaście. Z sercem w gardle myślałem z niedowierzaniem o tym żeglarzu, który startował w długodystansowym wyścigu i podczas sztormu sam przyszył sobie przed lustrem odgryziony język.

Moja kalwaria dobiegła końca, kiedy zbliżyliśmy się do burty „Discovery”, statku zakupionego przez KFR przed rokiem. Nick, ubrany w bojówki i białą koszulkę za małą o dwa rozmiary, z udawanym współczuciem patrzył, jak wspinałem się po drabince.

– Miał pan przyjemną podróż, panie Bergman? – zapytał z subtelną nutką sarkazmu.

– Wspaniałą – odparłem, powstrzymując się przed zwymiotowaniem sobie na buty. – I proszę mi mówić Peter.

Skinął głową.

– Jak pan sobie życzy.

Przełożyłem nogę nad relingiem z tak niewzruszoną miną, jak się tylko dało. Nick wyciągnął do mnie rękę.

– Nick Flynn. Witamy na pokładzie, Peter.

– Miło mi – rzuciłem. – Cieszę się, że mogę wreszcie przypisać twarz do nazwiska. Wiele o panu słyszałem.

– Mam nadzieję, że same złe rzeczy! – zawołał z szerokim uśmiechem, przez który po raz kolejny pożałowałem, że nie wyszczerbiliśmy mu zęba.

– I dobre, i złe.

– Przedstawię panu załogę.

Odwrócił się w stronę niskiego, około pięćdziesięcioletniego mężczyzny o topornych rysach, który łysą czaszkę skrywał pod bejsbolówką US Navy.

– Glenn, to Peter Bergman. Peter jest szwedzkim przedsiębiorcą. Proszę mi przypomnieć, jaką branżą się pan zajmuje...

– Plastikiem – odrzekłem skromnym tonem dającym do zrozumienia, że nie znaleźliśmy się tu, żeby rozmawiać o moim przemysłowym imperium.

– Peter chce w nas zainwestować – podjął Nick. – Zwęszył dobry interes.

– Na razie jeszcze niczego nie zwęszyłem. Wszystko mi pan dopiero wyjaśni. Jaka jest pańska rola na pokładzie, Glenn?

– To mój starszy oficer – poinformował Nick.

– Pozwoli pan, zwracam się do Glenna.

– No, tego, jes jak Nick mówi. Jestem zara drugi po nim, a jak! Kontroluje operacje i nadzoruje załogę.

Wyczerpany tym długim monologiem, odchrząknął i strzyknął ogromną porcją flegmy ponad burtą.

– Moge se íś? Bo, ten, robota sie sama nie robi.

Swego czasu ujął mnie właśnie jego teksański akcent, a także umiejętność modyfikowania poziomu językowego na zawołanie. Po krótkiej przygodzie w amerykańskiej marynarce Glenn, którego prawdziwe imię brzmiało Norman, wstąpił do KFR-u. Obecnie zajmował stanowisko zastępcy dyrektora w biurze w San Antonio. Zoe uważała go za jednego z naszych najlepszych specjalistów w dziedzinie renesansowych malarzy.

Nick pociągnął mnie poufale za ramię w stronę przedniego pokładu, gdzie leżał podłużny, żółty czopek.

– Oto „Szperacz”, nasza łódź podwodna służąca do eksploracji. Piękne dzieciątko ważące tonę przecinek osiem. Może pomieścić dwóch pasażerów i osiąga prędkość dwóch węzłów na godzinę.

– Tylko?

– Nie chodzi o to, żeby płynąć szybko, ale żeby dobrze przeczesać dany obszar. „Szperacz” posiada dziewiętnaście różnych okienek, co pozwala zmaksymalizować kąty obserwacji.

– W jaki sposób się przemieszcza?

– Ma napęd elektryczny, działa dzięki ośmiu akumulatorom. Nie będziemy zwlekać ze spuszczeniem go pod wodę, ale chciałbym, żeby poznał pan Luisa, Eddie’ego i Troya.

Uściskałem trzy dodatkowe dłonie. Zanim wyruszyłem, ponownie przeczytałem teczki załogantów. Luis był Chilijczykiem i wziął udział w licznych misjach oceanograficznych. Eddie i Troy pochodzili z Anglii. Zawsze pracowali razem. Parę lat wcześniej uczestniczyli w wydobyciu wraku „SS Republic” u wybrzeży Georgii.

– Widzę, że macie również skafander.

– Korzystamy z niego tak rzadko, jak się da – odparł Nick. – Przy tych głębokościach chłopaki więcej czasu spędzają na przystankach dekompresyjnych niż na faktycznym hopsaniu po dnie. Idziemy dalej?

Ruszyłem w ślad za nim do kokpitu. Smagły wąsacz pochylony nad mapą cyrklem kreślił okręgi.

– Toby, nasz pilot. Mój rodak. No nie, koleś?

– Gówno tam, a nie rodak! – odparował Toby. – Matka mnie uczyła, żebym się nie zadawał z prostakami z Tasmanii!

– Ach tak? A chcesz wiedzieć, czego mnie nauczyła twoja matka?

Zmierzyli się groźnie wzrokiem, a potem wybuchli śmiechem i głośno przybili piątkę. Następnie Nick dotknął ramienia chłopaka, który ze słuchawkami na uszach wpatrywał się w ekran, na którym pojawiały się i niemal natychmiast znikwały jakieś śmieszne kształty.

– Och, Connor, obudź się – rzucił Nick. – Mamy gościa.

Dzieciak zdjął słuchawki. Miał ledwie dwadzieścia lat, wąskie ramiona i niekończącą się szyję. Niezdarnie wyciągnął do mnie rękę i wydał z siebie niezrozumiały bełkot.

– Connor jest Irlandczykiem – wyjaśnił Nick. – Nikt nie pojmuje ani słowa z tego, co mówi. Ale w swoim fachu jest mistrzem.

– To radar? – spytałem, wskazując monitor.

– Sonar. Łódź ciągnie za sobą sondę, która w regularnych odstępach czasu emituje fale ultradźwiękowe. Odbijają się od stałych powierzchni. Connor napisał program, który wzmacnia echo, cyfryzuje je i wysyła prosto na ekran komputera.

Sam zainteresowany dodał kilka uściśleń mających, jak sądzę, coś wspólnego z obrazowaniem syntezy. Podziękowałem mu serdecznie.

Nick zapukał do drzwi jednej z kabin i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

– Wstawać, bumelanci! – krzyknął i potrząsnął drabinką łóżka piętrowego.

Mężczyzna wyciągnięty na górnej koi grał w coś na telefonie. Jego towarzysz słuchał muzyki, dłubiąc w nosie. Natychmiast się poderwali.

– Jason to nasz kuk – oznajmił Nick. – Robi wszystko, co w jego mocy, żeby nas otruć, ale i tak go lubimy.

Jason z uśmiechem skinął głową. Miał przyjemną gębę. Przypomniałem sobie, że nosi francuskie nazwisko i pochodzi z Luizjany.

– A to jest Ray, nasz mechanik – dodał Nick, wskazując melomana. – Potrafi naprawić wszystko, tak przynajmniej twierdzi, bo na razie nic się nie zepsuło!

– Może właśnie dzięki mnie – podsunął Ray.

Miał około czterdziestu pięciu lat, włosy w kolorze słomy i okrągłe okulary w metalowej oprawce. Nie wiedzieć czemu, od razu poczułem do niego nieufność.

– Co pan robił przedtem? – spytałem, bo nie mogłem sobie przypomnieć jego teczki.

– Pracowałem w marynarce handlowej – odparł Ray, patrząc mi prosto w oczy, jakby chciał mnie przekonać, że się co do niego myślę. – Gazowce, kontenerowce, chłodniowce, tego rodzaju duże zabaweczki.

– Dziękuję, panowie – powiedział Nick. – Możecie kłaść się z powrotem.

– Skończyliśmy? – spytałem na tyle głośno, by usłyszał mnie Toby.

– Prawie. Został już tylko George, nasz dyrektor operacyjny. Poprosiłem, żeby do nas dołączył, aby...

Przerwała mu długa skarga, która zdawała się dochodzić z jednej z kajut. Wkrótce po niej nastąpiło gorączkowe drapanie.

– Ma pan pasażera na gapę? – zapytałem.

– Psa – odrzekł Nick.

– Psa? Ależ trzeba go przecież wypuścić na pokład!

– Woli siedzieć spokojnie w mojej kajucie.

– A gdzie tam! – sprzeciwiłem się, otwierając drzwi na oścież.

Z pomieszczenia wyskoczył gigantyczny czarny nowofundland. W trzech susach znalazł się na wolnym powietrzu.

– Jak się wabi? – chciałem wiedzieć.

– Sydney, ale nazywam go Syd. To nasza maskotka, a co!

Po relatywnym półmroku kokpitu światło sprawiło, że zmrużyłem oczy. Nicka to ucieszyło.

– Ach, no, trzeba się przyzwyczaić! Pewnie nieczęsto pan tego doświadcza w swojej fabryce plastiku w Sztokholmie!

– W Malmö – poprawiłem natychmiast. – Zrezygnowaliśmy z placówki w Sztokholmie w dwa tysiące trzecim.

Ale Nick już mnie nie słuchał.

– Hej, Georgie Boy, chodź przywitać się z Peterem!

Stworzenie, które się ku nam zbliżało, miało w sobie więcej z gruboskórca niż z istoty ludzkiej. Człapało, kołysząc się na boki niczym kaczka, a jego owłosiony bandzioch wciśnięty w koszulkę polo wylewał się ze wszystkich stron, niemal całkowicie zakrywając szorty.

– Peter – odezwał się George, podając mi łapę wielką jak mój ojczysty kraj. – Ogromnie się cieszę, że mogę pana poznać.

– I nawzajem. Może usiądziemy?

– Sekundkę.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że łódź podwodna wisi w powietrzu, dyndając z żurawia, który sam także lekko się kołysze. George, z narażeniem życia oraz równowagi statku, przechylił się przez burtę i dał Luisowi znak, by rozpoczął opuszczanie.

– Jestem do pańskiej dyspozycji – oświadczył.

Miał delikatny, śpiewny głos i akcent, którego nie potrafiłem umiejscowić. Rozłożyliśmy się z tyłu, na siedzeniach ze sztucznej skóry odbarwionych od soli, Nick i ja po jednej stronie, a George po drugiej. Syd wyciągnął się u moich stóp.

– Tak jak mówiłem przez telefon – zaczął Nick – próbujemy zlokalizować wrak „Nuestry Señory de Valladolid”, hiszpańskiego galeonu, który w tysiąc pięćset osiemdziesiątym siódmym zatonął w zatoce Veracruz. Wedle naszych informacji, zawierał dwadzieścia tysięcy złotych dukatów, których aktualną wartość szacuje się na między pięćdziesiąt a dwieście milionów dolarów.

– Cóż za precyzja!

Nick nie przejął się moją uwagą. W końcu inwestor musiał wykazać się pewnym sceptycyzmem.

– Wszystko zależy od stanu, w jakim będzie ładunek – wyjaśnił George. – Cena dobrze zachowanej monety może okazać się dziesięciokrotnie wyższa niż w przypadku monety zniekształconej.

– Jak dowiedzieliście się o tym statku?

– Widnieje na listach wszystkich poszukiwaczy skarbów – odparł Nick. – Ale my mamy przewagę nad konkurencją. Pewna urzędniczka z Sewilli przypadkiem natknęła się na dziennik pokładowy niejakiego Jorge’a Gallega, który dowodził innym galeonem armady. Píše, że był przy zatonięciu „Nuestry Señory” i podaje przybliżoną lokalizację miejsca, gdzie to się stało.

– Czemu Hiszpanie nie wrócili, żeby odszukać wrak?

– Ponieważ statek Gallega nigdy nie dotarł do celu. Przepadł na otwartym morzu u wybrzeży Portugalii. W dwa tysiące drugim roku pewna amerykańska firma odszukała jego wrak, który całkowicie opróżniła, zanim zgłosiła odkrycie hiszpańskim władzom. Po kilku latach negocjacji Amerykanie zachowali połowę złota i oddali przedmioty o wartości historycznej. Dziennik Gallega wylądował w sewilskiej bibliotece, gdzie nasza informatorka jako jedyna go przeczytała.

– Można zobaczyć ten dziennik?

George klepnął się po udach z miną mówiącą: „Ci inwestorzy, wszyscy tacy sami!”.

– Oryginał nadal znajduje się w Sewilli – powiadomił Nick, kiedy łódź przestała się kołysać. – A to jest kopia.

Rozpoznałem majestatyczne esy-floresy Leny, jej ogromne wielkie litery i wijące się zdania perfekcyjnie inkrustowane łaciną. Szkic na marginesie przedstawiał zarys wybrzeża oraz pozycję obu statków w momencie zatonięcia.

– Pozostaje jedynie problem skali – ciągnął Nick. – Mapa jest zbyt niedokładna, żebyśmy mogli ustalić, jak daleko od brzegu znajduje się wrak. Liczymy, że od dziesięciu do piętnastu mil, gdyż w przeciwnym wypadku ludzie na lądzie widzieliby tonący statek. Problem w tym, że przy tej odległości jeden stopień kąta wynosi pięćset metrów.

– Jaka jest w tym miejscu głębokość? – spytał człowiek, który niedawno stał się największym ekspertem od zachodniej półkuli.

– Szybko rośnie w miarę oddalania się od brzegu. Powiedzmy, że gdzieś między sześćdziesiąt a dwieście metrów.

– Nie ma możliwości, że prądy morskie przesunęły wrak? – dociekałem.

– To mało prawdopodobne. „Nuestra Señora” mierzyła pięćdziesiąt metrów i niosła tysiąc sześćset beczek. Nie mogła za bardzo się ruszyć.

Udawałem, że analizuję dane, podczas gdy George drapał się po łydce.

– Podejrzewam, że podzielił pan obszar, który należy przeszukać, na mniejsze sektory – rzuciłem z uczonością typową dla plastikowych magnatów.

Nick dał znak George'owi, który z tylnej kieszeni szortów wyciągnął mapę i rozłożył ją przede mną. Papier był wilgotny i to nie za sprawą morskiej wody.

– Wyznaczyliśmy sześćdziesiąt parceli – wyjaśnił George. – Teoretycznie każdą można przeszukać w jeden dzień. Na początku mieliśmy drobne opóźnienie z powodu...

– Mniejsza z tym – uciął Nick. – Zostało nam dwadzieścia osiem parceli, czyli w najgorszym wypadku sześć tygodni pracy. To kwestia stu tysięcy dolarów. Za tydzień skończą nam się fundusze. Na nieszczęście dla nas, na szczęście dla pana.

– Ile pieniędzy zebraliście początkowo?

– Pięćset piętnaście tysięcy dolarów – odparł Nick, którego musieliśmy powstrzymać, zanim zrujnował wszystkich dentystów w Sydney.

– Co się stanie z tymi inwestorami, jeśli zapewnię panu sumę, której pan potrzebuje?

– Będą bezradni, nie mają się do kogo odwołać.

– Jaką część skarbu mi pan oferuje?

– Trzydzieści procent.

– Pięćdziesiąt.

– To niemożliwe – stwierdził Nick ze znużonym wyrazem twarzy. – Już obiecałem dwadzieścia procent Meksykowi i dwadzieścia procent Hiszpanii.

– Gdzie tu problem? – spytałem, przywołując całą surowość, na jaką mnie było stać. – Zostanie wam dziesięć procent.

– Jako wynagrodzenie dla mnie i moich ludzi? Wszystkim obiecałem premię...

– Nie należy składać obietnic, których nie jest się w stanie dotrzymać.

– Ależ, Peter, niech pan będzie rozsądny. Sto tysięcy dolarów za trzydzieści procent skarbu, którego wartość szacuje się na sto milionów, to bezprecedensowa oferta w tym fachu.

– A porywanie się na taką przygodę bez poduszki bezpieczeństwa jest bezprecedensowym posunięciem.

– Trzydzieści pięć procent – rzucił Nick.

– Pięćdziesiąt i ani procenta mniej.

– Czterdzieści procent, to moje ostatnie słowo. Co jest, Luis?

Chilijczyk dreptał u boku George'a, obawiając się nam przerwać.

– Eddie i Troy nadali sygnał – oznajmił podekscytowanym tonem. – Coś zobaczyli.

– Dobry Boże! – wykrzyknął Nick, pędząc na dziób.

Dołączyłem do niego miarowym krokiem, aby pokazać, że nie nabiorę się na jego sztuczkę. Przechylał się nad relingiem, przeczesując wzrokiem fale w poszukiwaniu „Szperacza”.

– Jaka głębokość? – spytałem.

– Osiemdziesiąt pięć metrów – odrzekł Luis.

– Pewnie zauważyli rafę koralową...

– Albo skrzynię pełną złota – rzucił Nick.

– Dość już widziałem. Będę w hotelu Emporio jeszcze przez dwa dni. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli zaakceptuje pan moje warunki.

– Sądzę, że nie będziemy potrzebować pańskich pieniędzy, Peter. Jest pan pewien, że nie chce jeszcze chwilę zostać? Moi chłopcy wynurzą się lada moment.

– To bardzo miłe, dziękuję. Wie pan, gdzie mnie znaleźć. Pokój trzysta czterdzieści cztery.

Uzgodniłem z Nickiem, że nie będę czekał na powrót łodzi podwodnej. On musiał zastawić na mnie pułapkę, był to winien swoim ludziom, ja zaś powinienem jej uniknąć, gdyż byłem to winien odgrywanej przez siebie postaci.

Kapitan motorówki, który czekał na mnie, drzemiał pod swoim sombrero, odstawił mnie do portu. Po powrocie do hotelu zadzwoniłem do Leny, żeby podzielić się z nią wrażeniami. Zdawało się, że Nick trzyma swoich ludzi w ryzach. Cieszył się posłuchem, a jednocześnie utrzymywał przyjazną atmosferę. Nie miałem zastrzeżeń co do załogi, może z wyjątkiem mechanika, poprosiłem więc Lenę, żeby czegoś się o nim dowiedziała.

Ta wizyta na pokładzie stanowiła ostatnią z serii drobiazgowych kontroli. Nick, jeśli nie otrzyma innego rozkazu, miał rozpocząć operację „Chupac” za dwadzieścia cztery godziny. Lena zastanawiała się, czy nie byłoby rozsądniej odłożyć inaugurację o kilka dni. Tego ranka, czternastego kwietnia, wulkan Eyjafjallajökull, który od trzech tygodni szalał, wszedł w drugą fazę erupcyjną; w chwili gdy rozmawialiśmy, nad Islandią tworzył się gigantyczny pióropusz

białego dymu. Ponieważ powodzenie naszego planu w dużej mierze zależało od współpracy mediów, zalew ważnych wiadomości nam nie sprzyjał. Z tego punktu widzenia w ostatnich dniach trochę za dużo się – jak na nasz gust – działo: dziesiątego kwietnia samolot polskiego prezydenta rozbił się w Rosji, co dekapitowało krajową egzekutywę, trzynastego trzęsienie ziemi o sile sześć i dziewięć dziesiątych w skali Richtera zebrało w Tybecie żniwo w postaci tysięcy ofiar. Kolejne dni na szczęście okazały się spokojniejsze. Nie spodziewano się żadnej decyzji sądu najwyższego, żadnych państwowych wyborów ani żadnej ważnej rocznicy. Tego rodzaju okienko nieprędko się powtórzy, oceniłem. Mogło się okazać, że Eyjafjallajökull będzie dymił jeszcze przez kilka tygodni, a fundusze Nicka wyczerpią się dużo wcześniej. Lena zgodziła się z moją opinią.

„Problem z rzeczami nie do pomyślenia polega na tym, że trudno je przewidzieć” – zwykł powtarzać Gunnar. Gdybym wiedział, co przyniosą najbliższe dni, przełożyłbym operację.

2

Po sprawdzeniu głównych luksusowych ośrodków w Veracruz zdecydowałem się na Emporio. Z hotelu, doskonale usytuowanego na skraju starego miasta, rozciągał się widok na port, nic nie zasłaniało też fortu wzniesionego przez Hiszpanów w XVI wieku. Obiekt liczył sobie nieco ponad dwieście pokoi i oferował standardowe usługi. Menadżer, który sądził, że negocjuję przejęcie meksykańskiej spółki w imieniu amerykańskiego konsorcjum, przeznaczył do naszej dyspozycji dwie sypialnie, a także przestronny apartament, który służył nam za kwatery główną. Uregulowanie należności w gotówce i za miesiąc z góry zapewniło mi kilka dodatkowych przywilejów: miałem dostęp do rejestru gości, mogłem zainstalować na balkonie własną antenę i wreszcie parkingowy trzymał moje wynajęte BMW w stałej gotowości do drogi.

Nazajutrz po naszej rozmowie telefonicznej pojechałem odebrać Lenę z lotniska. Od razu zrozumiałem, że coś się stało.

– Mechanik – rzuciła, wkładając walizkę do bagażnika. – Miałeś rację. Podał nam fałszywe nazwisko.

– Co?! Jak to możliwe, że nie zauważyłaś?

– Zoe nie znalazła na niego nic sprzed dwa tysiące pierwszego. Przeprowadziłam własne śledztwo. Nie nazywa się Jenkins, tylko Osborne. Przed dziesięcioma laty wzniesił bunt na pokładzie supertankowca. Zażądał premii dla całej załogi, grożąc, że w przeciwnym wypadku uszkodzi turbiny. W obliczu odmowy ze strony dowódcy zmienił taktykę i zaproponował, że przywróci porządek w szeregach, jeśli tylko otrzyma kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów. Ale najwyraźniej przecenił swoje możliwości: komendant zakuł buntowników w kajdany i oddał ich w ręce amerykańskich władz. Osborne spędził sześć miesięcy w więzieniu za próbę wyłudzenia. Potem zmienił nazwisko i zatrudnił się w innej firmie.

– I co od tamtej pory?

– Sporo się kręcił to tu, to tam, ale wygląda na to, że się nie wychylał. Jego kompetencje nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Co do reszty...

Lena urwała. Aż za dobrze odgadywałem, o czym myśli. Nick i jego załoga mieli wkrótce doświadczyć trudnych chwil; były skazaniec to ostatnia osoba, jakiej potrzebowaliśmy na pokładzie.

– Co sugerujesz? – spytałem.

– Uważam, że powinniśmy to zgłosić.

– A potem? Zgarniemy stamtąd Osborne’a? Jakie wytłumaczenie zaserwujemy załodze?

– Myślałam o tym. Jego matka przebywa w domu spokojnej starości w Houston. Moglibyśmy powiadomić go przez radio, że miała jakiś atak. Poprosi Nicka, żeby wysadził go na ląd.

Potrząsnąłem głową.

– Po pierwsze, to niesmaczne. Po drugie, nie mielibyśmy wtedy mechanika. I po trzecie, to nie rozwiązuje problemu. Kiedy Osborne dowie się, że „Discovery” znalazła wrak, zrozumie, że go nabraliśmy. Nie, łatwiej będzie go kontrolować na pokładzie.

– Musimy przynajmniej ostrzec Nicka.

– Nick jest dużym chłopcem, świetnie da sobie radę sam.

Lena odwróciła głowę i resztę podróży spędziła na podziwianiu krajobrazu. Nigdy nie widziałem jej tak wzburzonej. Na jej usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że minęło sporo czasu, odkąd ostatnio postawiła stopę w terenie. Z gabinetu w Toronto wszystko wyglądało na proste. A tutaj dwóch agentów ryzykowało życiem. Dobrze, że miała tego świadomość.

Po kąpieli Lena dołączyła do mnie w apartamencie. Wybałuszyła oczy.

– A niech mnie, nie robisz nic na pół gwizdka!

Jeden z podwykonawców KFR-u podłączył tuzin komputerów, dwie drukarki, niszczarkę dokumentów, radiostację, nadajniki walkie-talkie i zagłuszacz sygnału. Na ścianie wisiał olbrzymi telewizor.

– A agenci, o których prosiłam...?

– Przyjechali dziś rano. W sumie dziewięcioro. Żeby nie przyciągać uwagi, zatrzymali się w różnych hotelach usytuowanych w promieniu kilometra. Poznasz ich jutro rano.

Lena zatrzymała się, tknięta objawieniem.

– Nie przypomina ci to czegoś?

– Owszem, naszą kwaterę główną w Dili. Ale obsługa hotelowa jest lepsza, sama zobaczysz.

– Pamiętasz tę noc, kiedy zszedłeś do kuchni, żeby zrobić nam po kanapce, i zatrzasnąłeś się w chłodni?

– A jak! Gdybyś nie przysłała mnie uwolnić, nadal bym tam tkwił, zamrożony wśród lodów i eskalopków.

Parsknęła śmiechem, a potem na powrót spoważniała.

– Sprawy nie wyglądają tam za dobrze, prawda?

– Przyrost gospodarczy wynosi dziesięć procent rocznie, ale do przebycia mają bardzo długą drogę... Ludzie w dalszym ciągu cierpią głód.

– Z Chupacami pójdzie nam lepiej – oświadczyła Lena.

Dałem sobie spokój z pytaniem, co dokładnie przez to rozumie. Poziom życia fikcyjnych Majów, którzy zginęli przed tysiącem lat, zajmował dość niską pozycję na liście moich priorytetów.

Akurat w chwili, gdy spoglądałem na zegarek, radiostacja zbudziła się do życia. Włożyłem słuchawki i wymówiłem uzgodnione słowa.

– Tu kwatera główna, zgłaszam się. Odbiór.

– Tu „Discovery” – odpowiedział głos Nicka, wyraźnie słyszalny pomimo zakłóceń. – Kto tam jest? Odbiór.

– „Discovery”, jestem z koleżanką.

– Dzień dobry, Nick! – zawołała Lena, zbliżając się do mikrofonu. Wręczyłem jej drugi zestaw słuchawek z myślą, że dobrze robimy, używając kryptonimów.

– Dzień dobry wam obojgu. Ucieszycie się na wieść, że zlokalizowaliśmy wrak.

– Wspaniała nowina, „Discovery”! W spodziewanym miejscu?

– O tyle, o ile.

– Wydobyliście pierwsze artefakty?

– Operacja jest w trakcie. Na ten moment wszystko idzie zgodnie z planem.

– Żeby była jasność: macie się ograniczyć do jednego kodeksu i trzech przedmiotów.

– Potwierdzam.

– I nie zapomnijcie wszystkiego sfilmować.

– Potwierdzam, kwatero główna. Zadzwoń do was znowu za jakiś czas. Bez odbioru.

Lena zdjęła słuchawki.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie? – spytała.

– Skoncentrowanego. Trzyma się wskazówek co do joty.

Nick zgłosił się ponownie pół godziny później.

– Kwatero główna, tu „Discovery”. Mam kodeks w ręku.

– Doskonale. Przypomnę ci procedurę. Poinformujesz meksykańską straż przybrzeżną o swoim odkryciu. Sądzę, że przewidzieliśmy wszystkie możliwe scenariusze. Jeśli nie zareagują zgodnie z oczekiwaniami, improwizuj. Ufam ci. A teraz się rozłączę. Nie próbuj więcej się z nami kontaktować, nawet w sytuacji awaryjnej, bo może się okazać, że Meksykanie będą cię podsłuchiwać.

Lena podsunęła mi karteczkę z nazwiskiem mechanika. Ponownie zabrałem głos.

– „Discovery”, uważaj na pana Jenkinsa. W przeszłości wzniecił bunt.

– Przyjąłem, od początku mam na niego oko. Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Powodzenia. Do zobaczenia wkrótce na stałym lądzie.

Nie odpowiedział. Wyłączyłem radio. Operacja „Chupac” oficjalnie wystartowała. Powstrzymałem się przed powiedzeniem Lenie, że Nick wydał mi się odrobinę spięty. Nawet z nią nie flirtował!

3

Dziewięcioro członków naszego zespołu mówiło łącznie szesnastoma językami. Wybrałem ich ze względu na doświadczenie w sferze mediów, zimną krew i wytrzymałość. Dwaj spośród nich pochodzili z Meksyku. Najstarszy, Fernando de la Peña, był starym znajomym. W roku, w którym moja teczka o Buszmenach wygrała konkurs na Hawajach, on zgarnął trzecią nagrodę. Po ukończeniu Akademii wstąpił do Operacji Specjalnych, gdzie wielokrotnie tworzyliśmy jedną ekipę. Zawsze uderzał mnie jego patriotyzm. Wszystkie albo prawie wszystkie jego teczki dotyczyły mało znanych epizodów z meksykańskiej historii, takich jak najazdy Komanczów z początku XIX wieku czy poligamia Pancha Villi, który po śmierci zostawił po sobie sześć niepokieszonych wdów. Fernando na początku swojej kariery spędził dwa lata w Veracruz i znał miasto jak własną kieszeń. I żeby niczego nie pominąć, jego najlepszy przyjaciel zajmował stanowisko w rządzie Calderóna.

Pokładałem też ogromne nadzieje w Manueli Ocampo, młodej Hiszpance, którą poznałem przed dwoma laty, kiedy zacząłem się interesować mediami społecznościowymi. Studiowała na Harvardzie w tym samym czasie co Mark Zuckerberg i była jedną z pierwszych użytkowniczek Facebooka, jeszcze w czasach, gdy strona działała wyłącznie w obrębie uniwersytetu. Ledwie trzy tygodnie później połowa Harvardu posiadała profile. W związku z tym komunikacja na kampusie uległa radykalnej zmianie. Stowarzyszenia sportowe i kółka teatralne werbowwały członków bezpośrednio przez internet, petycje bez trudu zbierały tysiące podpisów, a dzielenie się zdjęciami panini z serem stawało się społecznie akceptowalne. Centrum w Nowym Jorku zrekrutowało Manuełę w 2007 roku, kiedy pracowała dla agencji komunikacji, gdzie zarabiała sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, doradzając producentom pasty do zębów w sprawach interaktywnej strategii. Od tamtego czasu mieszkała w Barcelonie, gdzie wprowadzała europejskich agentów w tajniki Facebooka i uczyła ich, jak zgromadzić pięćdziesiąt tysięcy nazwisk na stronie żądającej uwolnienia

austriackiego turysty przetrzymywanego w Kambodży albo zachwiać sprzedażą jakiegoś producenta nabiału, rozpuszczając plotkę, że w jego jogurtach truskawkowych znaleziono ślady cyjanku. Osobiście kontrolowała dwadzieścia pięć tysięcy fałszywych profili. Licząc po tysiąc znajomych na głowę, mogła jednym kliknięciem trafić do dwudziestu pięciu milionów osób, co wystarczyłoby, aby zachwiać wynikiem wyborów, zrujnować czyjąś reputację albo dziesięciokrotnie zwiększyć datki na rzecz badań nad jakąś tajemniczą, rzadką chorobą. Facebook szacował, że liczba lipnych profili wynosi od pięciu do dziesięciu procent całej puli użytkowników; zdaniem Manuei prawdziwa wartość zbliżała się do dwudziestu procent.

Grupę uzupełniali Rosjanka, Japończyk, Chinka, Hindus, Amerykanin oraz Niemka. Niektórych znałem ze słyszenia; wszyscy zostali gorąco zarekomendowani przez swoich zwierzchników.

Zjawili się w piątek rano. Po tradycyjnej prezentacji Lena wyjaśniła, czego od nich oczekujemy.

– Wczoraj po południu, trzynaście mil od wybrzeży Meksyku, „Discovery” zlokalizowała wrak łodzi Majów pochodzącej rzekomo z dziewiątego wieku. Wstępne przeszukanie kadłuba pozwoliło na wydobycie czterech artefaktów, w tym kodeksu z gatunku tych, których na świecie istnieje tylko garstka. Nick Flynn, kapitan „Discovery”, a przy okazji wasz kolega po fachu, wczoraj wieczorem skontaktował się z meksykańską strażą przybrzeżną, żeby powiadomić o swoim odkryciu, tak jak zobowiązuje go do tego prawo... Tak, Liang?

– Czy miał pozwolenie na prowadzenie poszukiwań? – spytała Chinka, której lotność zachwalała mi Ching, jak się zdawało, nie bez kozery.

– Tak, ale tu sprawy się komplikują. Oficjalnie „Discovery” natknęła się na łódkę Majów przez przypadek, szukając wraku o nazwie „Nuestra Señora de Valladolid”, hiszpańskiego galeonu, który w tysiąc pięćset osiemdziesiątym trzecim przepadł w zatoce Veracruz. Pozwolenie, które posiada Nick, dotyczy wyłącznie galeonu i nakłada na niego obowiązek przekazania dwudziestu procent ładunku meksykańskiemu urzędowi celnemu. Ponieważ „Discovery” nie ma żadnego prawa do swojego znaleziska, istnieje duże prawdopodobieństwo, że władze Meksyku już wydały Nickowi rozkaz podniesienia kotwicy, czego, jak się domyślcie, on nie ma najmniejszego zamiaru robić.

Bettina, Niemka, podniosła rękę jak w szkole.

– Co się teraz stanie?

Lena pozwoliła, bym udzielił odpowiedzi.

– Rozmowy na pewno już się toczą. Sądzymy, że Meksykanie nie posuną się do użycia siły, dopóki nie wyczerpią innych możliwości. Nick ma przeciągać pertraktacje, żeby zyskać na czasie.

– W jakim celu? – spytał Fernando de la Peña.

– W chwili gdy my tu rozmawiamy, powinien być w trakcie przesyłania zdjęć artefaktów wielkim agencjom prasowym, głównym kanałom amerykańskiej telewizji oraz jakimś dziesięciu międzynarodowym dziennikom, do nich zaś dołączy maila, w którym wyjaśni, że boi się, że zostanie pozbawiony swojego znaleziska. Mamy nadzieję, że historia pojawi się w prasie, co znacznie ograniczy opcje meksykańskiego rządu.

– To jest wasz plan? – rzucił Fernando. – Związać rządowi ręce, żeby zrezygnował ze swoich praw do wraku? Chyba śnicie!

Miał nieco zboląły wyraz twarzy, jakby spodziewał się po mnie czegoś lepszego. Pospieszyłem z zapewnieniem.

– Nie jesteśmy aż tak naiwni. W miarę jak przedstawimy wam plan, zrozumiecie jego niuanse. W międzyczasie wasze zadanie polega na przeczesywaniu sieci w poszukiwaniu informacji na temat „Discovery”. Nick skontaktował się mniej więcej z trzydziestoma mediami. Kto wie, gdzie nowina pojawi się w pierwszej kolejności.

Podzielili się zadaniami. Każdy miał nadzorować przede wszystkim strony internetowe ze swojego kraju; Fernando zamierzał mieć na oku środowiska uniwersyteckie i stowarzyszenia naukowe, podczas gdy Manuela, która władała pięcioma językami, planowała skoncentrować się na Facebooku i Twitterze.

Przez godzinę czy dwie ciszę przerywało jedynie stukanie w klawiatury. Vijay, Hindus, jako pierwszy odważył się zauważyć, że niewiele się dzieje.

– Dwa samobójcze ataki w Pakistanie, nie wiem, czego ci jeszcze trzeba – obruszyła się Bettina.

– Ojejku, talibowie produkują bomby, co za sensacja!

– Amerykańscy regulatorzy oskarżają Goldmana Sachsa o oszustwo – dodała Liang.

– Jak niemal co tydzień – odparł Jeremy, który poświęcił wiele teczek łajdactwom na Wall Street. – Zapłacą dwadzieścia albo trzydzieści milionów dolarów kary i wymyślą nowy przekręt, żeby nabierać naiwniaków.

Rosjanka, Marina, włączyła się do rozmowy.

– Skoro mowa o oszustwach, dwaj brytyjscy producenci papierosów zostali skazani na grzywnę w wysokości stu sześćdziesięciu milionów funtów za bezprawne porozumienie w sprawie cen. To już niebagatelna kwota.

– Cztery procent ich rocznych zysków. Jakoś się po tym pozbierają – stwierdził Jeremy.

Sam też surfowałem, nie tyle w poszukiwaniu jakiejś wzmianki o „Discovery”, ale też by ocenić tematy pozostałych wiadomości. Konkurencja, o czym byłem coraz mocniej przekonany, miała nadejść nie z Pakistanu i nie ze strony giełdowych gigantów i ich malwersacji, ale z mojego ojczystego kraju. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin erupcja wulkanu Eyjafjallajökull podwoiła swoją intensywność. Miliony metrów sześciennych materiału piroklastycznego, owych okruchów skalnych oderwanych od komina wulkanicznego, spadały na ziemię w obrębie wielu kilometrów od wulkanu. Pokrywa lodowa stopiła się pod wpływem gorącej lawy, przez co w pobliskim jeziorze przybywało od dwóch do trzech tysięcy metrów sześciennych wody na sekundę. Co gorsza, pióropusz białego dymu w dalszym ciągu się powiększał. Wysoki na kilka kilometrów stanowił realne zagrożenie dla bezpieczeństwa lotniczego, gdyż popioły mogły zablokować silniki samolotów. Kilka krajów Europy Północnej postanowiło poprzedniego dnia zawiesić loty do Stanów Zjednoczonych. Tego ranka Francja i Rosja podjęły podobne kroki. Odwołane loty już liczone w tysiącach. Nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy ruch zostanie wznowiony.

Ta erupcja martwiła mnie z jeszcze jednego względu. Istniało ryzyko, że potrwa dobrą chwilę, jej reperkusje odczuwano na całym świecie i – co najważniejsze – była niewiarygodnie fotogeniczna. Trudno było pozostać niewzruszonym wobec majestatyczności tego kłębiastego snopa wznoszącego się w niebo niczym hołd składany bogom. Obrazy fontann lawy czy eksplozji magmy, których piękno zapierało dech w piersiach, otwierały wydania dzienników telewizyjnych, a wkrótce miały ozdobić katalogi biur podróży. W zwykłych okolicznościach radowałbym się z tej reklamy islandzkiej natury; w obecnym kontekście stanowiła

ona prawdziwą katastrofę.

Lena, która nie należała do tych, co siedzą z założonymi rękami, pracowała, obojętna na nasze rozmowy. W kilka godzin zebrała materiały pozwalające na wysłanie Jenkinsa do więzienia w razie, gdyby postanowił nam bruździć. Później, pod wpływem nagłej inspiracji, włączyła radiostację i próbowała przechwycić wiadomości wymieniane przez straż przybrzeżną.

– Nadają na chronionej częstotliwości – uznała po sprawdzeniu całego spektrum.

Ponieważ nic się nie działo, późnym popołudniem wysłałem część ekipy na odpoczynek. Wy tłumaczyłem Bettinie, która z trudem skrywała rozczarowanie, że nigdy nie liczyłem na rezultaty już pierwszego dnia. Nawet zakładając, że mail Nicka wzbudził zainteresowanie jakiegoś dziennikarza, weryfikacje, których ten będzie musiał dokonać, zajmą trochę czasu. Na przykład, rejestr pozwoleń na eksplorację nie był dostępny w sieci (sprawdziłem), a biuro, gdzie można było uzyskać do niego dostęp, otwierało się dopiero rano. Podobnie potwierdzenie reputacji Nicka wymagało wykonania telefonu do Australii, gdzie było o siedemnaście godzin później niż w Veracruz. Zdarzało się już, że reporterzy darowali sobie tę ostrożność, byle tylko prześcignąć konkurencję; ale żeby to mogło się stać, stawka w grze musiała usprawiedliwiać takie działanie. Nasza historia z wrakiem nie charakteryzowała się na tym etapie żadną szczególną ważnością, a zatem redaktor naczelny wolał zaryzykować tym, że opublikuje zdjęcia Nicka z opóźnieniem w stosunku do kolegów po fachu, niż ośmieszeniem się, gdyby miało się okazać, że mimowolnie stał się współautorem jakiegoś dowcipu.

Przydzieliliśmy warty. Lena, Fernando i Marina czuwali przez pierwszą część nocy, Jeremy, Liang i ja przez drugą.

W regularnych odstępach czasu odświeżając strony wielkich mediów, po raz kolejny zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia nadejście ery cyfrowej odmieniło naszą percepcję aktualności. W mojej młodości każde nowe wydanie przeganiało to poprzednie. Wieczorem artykuły odchodziły w zapomnienie zwane archiwami, do których zaglądali jedynie historycy. Zamknięty w swoim gabinecie redaktor naczelny z nabożną czcią aranżował pierwszą stronę, która miała stać się unikalnym i niezmiennym obliczem gazety na następne dwadzieścia cztery godziny. Skróciwszy tytuł, tchnąwszy życie w anemiczny wstępniak albo

wygładziwszy lead, zanosił rezultat do druku i trzymał kciuki, żeby przez noc nic ważnego się nie wydarzyło. Wydania elektroniczne natomiast ewoluowały bez ustanku, w miarę jak aktualności pędziły naprzód. Artykuły poprawiano w czasie rzeczywistym, żeby skorygować cyfrę, uaktualniano, aby zrelacjonować najnowsze postępy w sprawie, albo rozwijano, by zaspokoić ciekawość publiki. Pierwsza strona była teraz personalizowana wedle niezliczonych kryteriów: wieku czytelnika, jego płci, dochodu, poziomu wykształcenia, artykułów, które polecał znajomym, i takich, których nigdy nie otwierał, szybkości jego połączenia z internetem albo tego, czy zamierzał kupić wiertarkę. Hierarchia tematów odzwierciedlała zmieniający się gust odbiorców. Najczęściej czytane, komentowane i przesyłane dalej artykuły automatycznie wspinały się na szczyt listy poczytności; reportaż o koreańskim nastolatku, który przez sto trzydzieści sześć godzin pod rząd grał w *World of Warcraft*, mógł stracić z podium wieści o wojnie domowej na Łotwie czy epidemii cholery w Afryce, zanim i jego nie zastąpi zdjęcie jamnika, który pokonał czterysta kilometrów, by odnaleźć swojego właściciela.

W sobotę, około jedenastej rano, Jeremy wydał z siebie tryumfalny okrzyk.

– „Amerykański statek sygnalizuje odkrycie relikwii archeologicznych w Zatoce Meksykańskiej. Wkrótce więcej informacji” – przeczytał na głos.

Notatka pochodziła z serwisu Reuters. Niedługo miała zostać przekazana tysiącom abonentów agencji – dziennikom, stacjom telewizyjnym i radiowym, portalom informacyjnym – którzy oceniają, czy ich klientela będzie zainteresowana tą wiadomością.

– Inne agencje pójdą za ich przykładem – prognozowała Lena. – Jeśli rzecz się rozwinie, będą chciały móc powiedzieć, że wykryły ją u samego źródła.

I rzeczywiście, wkrótce potem AP i Bloomberg poszły w ślady rywala. Agence France Presse wzbogaciła swoje sprawozdanie kilkoma szczegółami. „Kapitan amerykańskiego statku »Discovery« ogłasza, że znalazł kilka archeologicznych artefaktów na pokładzie wraku zlokalizowanego kilkanaście mil od wybrzeży Veracruz w Meksyku. Zdjęcia pierwszych odzyskanych przedmiotów poddaje się analizie”.

– Sądziłam, że Nick jest Australijczykiem – rzuciła Bettina.

– Bo jest – odparłem – ale jego łódź została zarejestrowana w Stanach

Zjednoczonych. Szybko to sprostują.

Późniejszym popołudniem japońska Kyodo, rosyjska ITAR-TASS i chińska Xinhua postanowiły opublikować związane notki. Jak przewidziała Lena, nie mogły ryzykować, że zostaną w tyle za pozostałymi.

– Nadal nic ze strony Notimexu? – spytała, odnosząc się do meksykańskiej agencji prasowej.

– Cicho sza – odrzekł Fernando.

– Tym lepiej – stwierdziłem. – To dowodzi, że rząd jest w kropce.

Jeremy zażyczył sobie automatycznych powiadomień o aktualizacjach na Reutersie. Nowy artykuł pojawił się o szesnastej trzydzieści dwie: „Nick Flynn, australijski kapitan amerykańskiego statku »Discovery«, zwrócił się wczoraj do mediów, aby poinformować, że w zatoce Veracruz odkrył – wszystko na to wskazuje – bardzo stary wrak. »Discovery« specjalizuje się w poszukiwaniach podmorskich skarbów. Załoga zdążyła do tej pory wydobyć z wraku cztery artefakty (patrz załączone zdjęcia). Według Estebana Juareza, profesora studiów prekolumbijskich na uniwersytecie w Tucson w Arizonie, jeden z obiektów do złudzenia przypomina kodeks, to jest księgę charakterystyczną dla cywilizacji Majów. Na świecie istnieją tylko cztery znane egzemplarze. Pan Flynn w swoim komunikacie wyraża chęć uczestniczenia w operacjach wyławiania”.

Esteban Juarez był przyjacielem rodziny. Na moją prośbę skontaktował się z Reutersem po pojawieniu się pierwszej notatki, udając, że chce dowiedzieć się więcej na temat odkrycia, które wiązało się z jego specjalnością. Gdy poinformowano go, że agencja posiada fotografie artefaktów, naturalną kolejną rzecz zaproponował, że rzuci na nie okiem.

– Pierwsza reakcja w Meksyku! – wykrzyknął Fernando.

Pospiesznie przebiegł wzrokiem artykuł.

– Fałszywy alarm – oznajmił z zawstydzeniem. – Sekretarz prezydenta odmówił odpowiedzi na pytania reportera z „Jornady”. Utrzymuje, że wszystkie ważne osobistości są w tej chwili niedostępne i nie mogą udzielić komentarza.

– Wręcz przeciwnie, to świetna wiadomość – uznałem, zacierając ręce. – Rząd przygotowuje linię obrony. Niedługo będzie musiał wyłożyć karty na stół.

Wczesnym wieczorem strona „New York Timesa” opublikowała krótką wzmiankę opatrzoną zdjęciem kodeksu leżącego płasko na stole do map na

pokładzie „Discovery”. Lena zwróciła się do Manueli.

– Ilu maili trzeba, żeby znaleźć się na liście najczęściej polecanych artykułów?

– Około pięćdziesięciu różnych nadawców powinno nam zapewnić miejsce w czołówce rubryki naukowej – oceniła Manuela.

– A w klasyfikacji ogólnej?

– Tak na oko, od dwustu pięćdziesięciu do trzystu.

– No to ognia – postanowiła lakonicznie Lena.

– Nie mów mi, że masz na podorędziu trzystu abonentów „New York Timesa”?
– rzucił Fernando z niedowierzaniem.

– Ależ skąd. Żeby podzielić się artykułem, wystarczy być zarejestrowanym na ich stronie. Dam ogłoszenie na specjalnym serwisie. Nie wyobrażasz sobie, ilu jest ludzi gotowych stworzyć profil i wysłać maila, by zarobić dolara...

– A jutro nasz artykuł wskoczy na szczyt listy przebojów?

– Czemu jutro? – zaśmiała się Manuela. – Daj mi godzinę.

Fernando odszukał mnie wzrokiem, całkowicie oszołomiony. Bardzo się postarzał. Wzruszyłem ramionami z uśmiechem, co miało znaczyć, że oto nastąpiło nowe pokolenie.

– Na portalach społecznościowych na razie ostrożnie – ciągnęła Lena. – Kilkaset tweetów i udostępnień, żeby rozpowszechnić historię, ale nie więcej. Zachowajmy siły na jutro.

– Jakież preferencje geograficzne? – dociekała Manuela.

Lena zerknęła na mnie.

– Meksyk i Ameryka Północna – odparłem. – Europa i Azja już śpią. A poza tym w tej chwili temat w mniejszym stopniu ich dotyczy.

Podczas gdy Manuela rekrutowała zombie, dwie agencje potwierdziły domysły Estebana Juareza. „Richard Hernandez, dziekan wydziału archeologicznego uniwersytetu Yale, z którym Bloomberg skontaktował się w jego miejscu zamieszkania, uważa, że na zdjęciu zrobionym przez pana Flynna, widnieje kodeks ze złotego wieku Majów. »Nie mogę jednak powiedzieć nic więcej, zanim nie dostanę go w swoje ręce« – dodaje pan Hernandez, przypominając, że autentyczność kodeksu Grolier, który pojawił się w wątpliwych okolicznościach w latach siedemdziesiątych, nadal nie została oficjalnie potwierdzona”.

– Wiedziałam, że zwrócę się do Hernandeza – oświadczyła Lena. – Gdy tylko

ktoś gdzieś odgrzebie kawałek ceramiki, to jego przepytują.

– Posłuchaj, co pisze AFP – rzekłem, biorąc kartkę od Bettiny. – „Guillermo Vasquez, profesor porównawczych studiów cywilizacji na uniwersytecie w Santiago, już mówi o znaczącym archeologicznym odkryciu, być może najważniejszym od czasu jaskini Chauvet”.

– Vasquez? Co on tu robi? To specjalista od Wysp Wielkanocnych.

– Udało się! – zawołała Manuela, o której trochę zapomnieliśmy. – Jesteśmy pierwsi w nauce i pięci w ogólnej klasyfikacji.

– Teraz czwarci – oznajmił Jeremy, odświeżywszy stronę główną.

– Czytelnicy przejmują nasze zadanie – wyjaśniła Manuela. – Każdy artykuł ma od trzech do pięciu razy więcej szans na to, że zostanie otwarty, jeśli figuruje na liście najczęściej polecanych.

– Teraz – podjęła Lena – potrzeba nam komentarzy na stronie „Timesa”. Jeremy, Vijay, Bettina i Marina, każde z was przygotowuje mi po dwadzieścia wiadomości. Oto lista nazw użytkowników i haseł. Skonfigurowałam router tak, żeby wyglądało, jakby wypowiedzi pochodziły z pięćdziesięciu różnych krajów. Dla waszej informacji, przeciętny komentarz składa się z około sześciuset znaków. Ma być jasny, uprzejmy i pełen szacunku.

– Ogólny ton? – spytała Marina.

– Entuzjazm, zdziwienie, ciekawość – odpowiedziałem. – Chcecie wiedzieć więcej: o kodeksie, o pozostałych artefaktach, o Majach, o Nicku, o zawodzie poszukiwacza skarbów. Zmusimy redaktorów naczelnych do zgłębienia wszystkich aspektów tej historii.

– Może moglibyśmy dorzucić kilka komentarzy po hiszpańsku – zasugerował Fernando. – Pod takim tematem byłoby to zrozumiałe.

– Świetny pomysł. Do roboty.

Z przepiękną synchronizacją włożyli słuchawki. Młodzi agenci pracowali przy muzyce. Kolejna różnica między ich pokoleniem a moim.

Na Islandii pióropusz wulkanu Eyjafjallajökull sięgał obecnie dziesięciu kilometrów, a zatem wysokości, na której odbywała się większość długodystansowych lotów. Dotychczas odwołano szesnaście tysięcy połączeń, czyli około siedemdziesiąt procent europejskiego transportu powietrznego. Kamery transmitowały erupcję na żywo. Pomyślałem krótko o Ninie, która z pewnością

szukała sposobu, by zwalić ten epizod na przemysł naftowy.

Za zgodą Leny zabrałem część grupy na kolację do restauracji na starym mieście. Na godzinę czy dwie zapomnieliśmy o misji i wymienialiśmy się wspomnieniami z pola walki. Liang zjednała mnie sobie żywotnością: kończyła za wszystkich zdania i wybuchała śmiechem na dziesięć sekund przed tym, nim zdążyłem spuentować swoje anegdotki. Rodolfo, drugi Meksykanin, wciąż nie mógł uwierzyć, że dwoje najznakomitszych agentów KFR-u wybrało jego kraj jako teatr dla swojej ogólnoświatowej mistyfikacji. Manuela pisała wiersze i przebiegała maraton w niespełna trzy godziny. Wreszcie Yûichiro, Japończyk, z dumą powiadomił mnie, że zajmowaliśmy, w odstępie sześciu lat, ten sam pokój w Akademii.

Lena powitała nas wielką nowiną. Meksykańskie ministerstwo celne właśnie opublikowało komunikat, w którym żądało pełnej i całkowitej kontroli nad wrakiem. „Dziękujemy załodze »Discovery« za pomoc i prosimy o opuszczenie zajmowanej obecnie pozycji, aby umożliwić meksykańskiej marynarce wyłowienie wraku”.

– Teraz naprawdę się zaczęło – stwierdziła Lena.

4

W niedzielę Vijay obudził mnie o świcie. CNN właśnie ogłosiła odkrycie wraku.

Wziąłem szybki prysznic i dołączyłem do reszty nocnej ekipy w kwaterze głównej. Mimo worów pod oczami Lena tryskała radością.

– Około piątej trzydzieści opublikowali zdjęcie kodeksu na swojej stronie. Następnie wiadomość pojawiła się wśród tytułów w dzienniku.

– W jakim kontekście? – spytałem, nalewając sobie kawy.

– Amerykański statek trafił u wybrzeży Veracruz na wrak zawierający relikty archeologiczne o nieocenionej wartości.

– Ach, to ich charakterystyczne wyczucie niuansu – rzuciłem z ironią, biorąc gąbczastego rogalika.

Wkrótce potem prezenter wyrecytował te same zdania, okraszając je fotografiami kodeksu oraz jadeitowego naszyjnika, który przed rokiem Lena puściła w obieg wśród członków Komitetu.

– Żadnych wieści od meksykańskiego rządu? – spytałem.

– Nic od czasu komunikatu z wczorajszego wieczoru. Państwowe stacje nadają oficjalne przesłanie: wrak należy do Meksyku, który w stosownym czasie przystąpi do jego wyłowienia.

Dwie grupy audiowizualne, Televisa i TV Azteca, kontrolowały sześć głównych kanałów w kraju. Mimo że znajdowały się w rękach prywatnych inwestorów, bardziej znane były z telenoweli niż z redaktorskiej niezależności.

Rzuciłem okiem na tytuły w „New York Timesie”, „Yomiuri Shimbun” i „Times of India”. Eyjafjallajökull nadal dominował wiadomości. Linie lotnicze się niecierpliwiły; każdy dzień, gdy ich samoloty tkwiły przykute do ziemi, kosztował dwieście milionów dolarów. Tymczasem KLM i Lufthansa odbyły loty bez pasażerów nad wulkanem i nie napotkały żadnych szczególnych trudności. Poza tym papież Benedykt XVI unikał odpowiedzi na pytania o rolę Kościoła w kilku aferach związanych z pedofilią, Zimbabwe świętowało trzydziestą rocznicę niepodległości, a półfinały indyjskiej ligi krykieta zostały przeniesione z Bangaluru

do Mumbaju po tym, jak w pobliżu stadionu znaleziono ładunki wybuchowe. Wrak zasłużył sobie na co najwyżej pojedynczą notkę.

Późnym rankiem prezenter CNN ogłosił, że zgodnie z informacjami, którymi dysponuje stacja, rośnie napięcie pomiędzy meksykańskim rządem a kapitanem „Discovery”.

– Po raz pierwszy używają sformułowania „wedle naszych informacji” – zauważyłem. – To pozwala przypuszczać, że nie opierają się wyłącznie na depeszach z agencji.

– Krótko mówiąc, że wykonują swoją dziennikarską robotę – dodał Rodolfo.

– No nie wiem. – Jeremy zgrzytnął zębami. – Patrzcie tylko.

Na ekranie dyrektor znanej nowojorskiej biblioteki opowiadał, że George Washington nigdy nie oddał dwóch tomów wypożyczonych w 1789 roku, wkrótce po jego wyborze na prezydenta. Licząc po kilka centów kary dziennie i biorąc pod uwagę inflację, zaległe opłaty sięgały astronomicznej sumy trzystu tysięcy dolarów. Ktoś w Atlancie uznał tę informację za wystarczająco istotną, by wysłać na miejsce kamerzystę w celu sfilmowania fasady biblioteki, pękających w szwach półek oraz rejestru wypożyczeń i zwrotów, który obciążał pierwszego zwierzchnika Nowego Świata.

Popołudnie się ciągnęło. Co pół godziny zerkaliśmy, pełni nadziei, na wiadomości CNN. „Discovery” nieśmiało przebłyskiwała w podsumowaniu. Kiedy prezenter ogłosił, że Plácido Domingo po długiej nieobecności wywołanej rakiem jelita grubego wraca do mediolańskiej La Scali, zrozumiałem, że grozi nam utrata ważności.

– Nie ma nowego komentarza w „New York Timesie”? – spytałem Leny.

– Najmniejszego. Ten wczorajszy zniknął spośród najczęściej polecanych artykułów. Wytrzymał niespełna dwanaście godzin.

– A na froncie portali społecznościowych?

– Wieść chybiła – odparła Manuela. – Od rana pojawiło się ledwie parę wzmianek. Zamierzam puścić nową falę wiadomości, ale jeśli internauci nie przejmą pałeczki, to na nic się to nie zda.

– Czego się boisz? – spytała mnie Lena.

– Że zginiemy wśród newsów. Meksykanom byłoby to na rękę; to my musimy wprowadzić maszynę w ruch.

- Zaufajmy Nickowi.
- Nie bardzo mamy inny wybór.

Każdy w dalszym ciągu zajmował się w swoim kąciку własnymi sprawami. Od czasu do czasu ktoś dla zachowania formy sygnalizował bezbarwny wpis na brazylijskim blogu albo chińskim serwisie informacyjnym. Duże media, z braku nowych faktów, nie zamieszczały w sieci kolejnych artykułów. Agencje prasowe już od pewnego czasu niczego nie opublikowały, co było znakiem, że sprawą nie zajmował się żaden reporter, a one zadowolaly się jedynie reagowaniem na komunikaty głównych bohaterów dramatu.

A jednak, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, „Discovery” pojawiła się na samym początku dziennika CNN o godzinie dziewiętnastej.

– Nowiny w sprawie wraku zlokalizowanego przez amerykańską łódź u wybrzeży Meksyku – ogłosił prezenter. – Na miejscu znajduje się nasza specjalna wysłanniczka, Gail Anderson.

Ekran podzielił się na pół, żeby zrobić miejsce dla pięknej, około czterdziestoletniej blondynki, która wyglądała, jakby wyszła prosto od fryzjera. Z mikrofonem w dłoni stała wyprostowana w ciemności przed jakimś kontenerowcem, dwa kroki od naszego hotelu.

- Zrobiła sobie nos – zauważyła Lena z typowo kobiecą życzliwością.
- I policzki – dodała Bettina.
- Dobry wieczór, Frank – przywitała się pewnie Gail Anderson.

Miała na sobie czerwoną, obcisłą koszulę i biały kostium, który jej pasował do zębów; dokerzy z portu w Veracruz pewnie aż się ślinili.

– Pozwólcie, że najpierw przypomnę fakty. W czwartek po południu amerykański statek „Discovery” przypadkiem odkrył wrak drewnianej łodzi około dwanaście mil od miejsca, gdzie w tej chwili stoję. Załoga „Discovery” wydobyła cztery przedmioty, w tym przepiękny naszyjnik oraz manuskrypt podobny do kodeksu Majów.

Wypowiadała się swobodnie, melodyjnym głosem, w którym dało się wychwycić ślad południowego akcentu. Słowa „kodeks Majów” wymówiła tak, jakby stanowiły integralną część jej słownika, choć byłem gotów się założyć, że jeszcze tego ranka sądziła, że Majowie to zagrożony wyginięciem gatunek pszczoł.

- Wczoraj wieczorem – ciągnęła Gail – meksykański rząd nakazał załodze

„Discovery”, aby opuściła pozycje. Nick Flynn, australijski kapitan, z którym skontaktowaliśmy się dziś telefonicznie, odmawia wykonania polecenia. Chce opróżnić wrak samodzielnie, bez czyjejkolwiek pomocy.

– Czy wrak znajduje się na meksykańskich wodach terytorialnych? – spytał Frank, dyskretnie zaglądając do notatek.

Gail skinęła głową, jakby od dawna czekała na okazję, by oświecić północnoamerykańską publiczność w kwestii tego fascynującego zakątka prawa międzynarodowego.

– Bardzo dobre pytanie, Frank. Według konwencji Narodów Zjednoczonych suwerenność Meksyku sięga na odległość dwunastu mil od brzegu. „Discovery” kotwiczy obecnie trzynaście mil od lądu, a zatem poza obszarem wód terytorialnych, ale Meksykanie podejrzewają, że Nick Flynn przemieścił swoją łódź.

– Sądzisz, że mają rację?

Gail uniosła dłoń do ucha. Pytania docierały do niej z lekkim opóźnieniem, co nadawało jej wygląd korespondentki wojennej. Ponownie skinęła głową.

– Nick Flynn przyznaje, że przesunął łódź, aby nie ujawniać lokalizacji wraku. Twierdzi, że gotów jest oddać władzom meksykańskim wydobyte przedmioty w zamian za premię, która wynagrodzi mu jego wysiłek, oraz obietnicę, że będzie mógł pokierować operacjami wyławiania. Szczerze mówiąc, zrobił na mnie wrażenie bardzo zdeterminowanego, niewrażliwego na zagrożenie...

– Zagrożenie? – przerwał Frank, który był wyuczony, by reagować na pewne słowa kluczowe. – Jakie zagrożenie?

– Wedle naszych kontaktów w administracji Calderóna rząd rozważa kilka opcji. Wygląda na to, że najpoważniejsza z nich polega na powołaniu się na prawo z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku dotyczące ochrony zabytków archeologicznych, które pozwala oskarżyć Nicka Flynna oraz jego ludzi o nielegalny handel dziełami sztuki. Na tym etapie nie wyklucza się już interwencji militarnej.

Wypowiedziała te ostatnie słowa z poważnym wyrazem twarzy, jakby chciała zaznaczyć, że choć osobiście nie popiera użycia siły, w razie potrzeby sfilmuje rzeź.

– Dziękuję, Gail – rzekł Frank. – Nie wahaj się wrócić na antenę, gdyby nastąpił

postęp w sprawie.

– Nie omieszka, Frank. Dobranoc.

Padłem Lenie w ramiona. Od początku operacji marzyliśmy, by to CNN grała pierwsze skrzypce. Stacja z Atlanty, założona w 1980 roku przez magnata Teda Turnera, była pierwszą w Stanach Zjednoczonych, która nadawała bez przerwy. Transmitowała wszystkie najważniejsze wydarzenia ostatnich trzydziestu lat, począwszy od eksplozji wahadłowca kosmicznego „Challenger” w trakcie lotu, poprzez wybór Obamy, na obu wojnach w Zatoce skończywszy. Specjalizowała się przede wszystkim w relacjonowaniu długich, dramatycznych wydarzeń, takich jak proces O.J. Simpsona czy ratowanie Jessiki McClure, półtorarocznej dziewczynki, która w 1987 roku spędziła trzy dni na dnie studni. Dla CNN świat nieustannie stał na skraju przepaści. Jej dziennikarze nie mieli sobie równych w radykalizowaniu stanowisk swoich rozmówców, w zwykłym przygranicznym incydencie widzieli początek trzeciej wojny światowej i w imię prawa do informacji bezwstydnie powtarzali najbardziej niestworzone plotki.

Mimo dawnej chwały CNN cierpiała z powodu malejącej widowni. Chwaliła się, że odbiera ją sto tysięcy domostw w Stanach Zjednoczonych, ale zapomniała dodać, że jedynie w trzystu czy czterystu tysiącach z nich ogląda się ją każdego dnia. Fox News oraz MSNBC, które splagiatowały jej formułę, już dawno zepchnęły ją na trzecie miejsce wśród kanałów informacyjnych.

Potęga CNN brała się skądinąd: po pierwsze, z jej rozległej sieci międzynarodowej, ale przede wszystkim z faktu, że pozostawała główną, a często jedyną stacją włączaną w redakcjach gazet na całym świecie. Jej siła oddziaływania pod tym względem nadal nie miała sobie równych. Jeśli donosiła o nas CNN, inne media niezwłocznie pójdą w jej ślady.

– Co wiemy o tej dziewczynie? – zapytałem.

– Korespondentka CNN w Nowym Orleanie – poinformowała Liang, w zastraszającym tempie przebiegając wzrokiem biografie Gail Anderson. – Pracuje dla nich od dwunastu lat. Zaczęła karierę na lokalnym kanale w Alabamie.

Lena zmarszczyła brwi.

– Nowy Orlean? Myślałam, że przyślą nam kogoś z Tamy albo Miami.

– Mnie pasuje – oświadczyłem. – Widziałaś jej fryzurę? Flagi łopotały na wietrze, a jej kask nie drgnął nawet o milimetr.

– Przede wszystkim mamy szczęście, że to kobieta.

Lena miała rację. Bez trudu odtworzyłem w głowie ciąg wydarzeń. Z jakiegoś powodu – hobbystycznie nurkowała albo spędzała wakacje na Playa del Carmen – Gail Anderson zainteresowała się odkryciem wraku. Po kilku telefonach do Meksyku, najprawdopodobniej zresztą do amerykańskiego konsulatu, a nie do rzecznika prasowego rządu Calderóna, zadzwoniła do Nicka na telefon satelitarny, którego numer podał w swojej wiadomości do prasy. Czar Australijczyka załatwił resztę. Gail, węsząc wyłączność, przekonała szefa, żeby wysłał ją do Veracruz, gdzie dotarła wczesnym wieczorem, za późno, żeby kręcić w terenie.

Przedstawiłem swoje rozumowanie zespołowi.

– Jeśli mam rację – zakończyłem – jutro z samego rana możemy się spodziewać reportażu.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie za późno – rzuciła Lena, która śledziła ruchy meksykańskiej straży przybrzeżnej, wskazując na ekranie świecący punkt prędko zbliżający się w stronę „Discovery”.

5

CNN puściła pierwszy wywiad na żywo w poniedziałek rano, tak jak przewidziałem. Posłuszni jedynie podszeptom odwagi, Gail Anderson i jej kamerzysta stawili czoła falom, by spotkać się z Nickiem i jego załogą. Na tę okoliczność dziennikarka zamieniła szpilki na buty na płaskim obcasie, a kostium na lawendowy podkoszulek bez rękawów oraz lnianą marynarkę.

Nick z kolei przeszedł samego siebie. Miał na sobie beżowe szorty i spraną, dzinsową koszulę rozpiętą aż po splot słoneczny, ukazującą rozczochrane runo. Włosy zaczesał do tyłu, a odsłonięte czoło nadawało mu szczerego, zdecydowanego wyglądu w sposób bardziej przekonujący niż jakiegokolwiek przemowy.

– Proszę nam opowiedzieć, jak znalazł pan wrak – zaczęła dziennikarka, wyciągając mikrofon w stronę kapitana „Discovery”. – Szukał pan innego zatopionego statku, prawda?

Nick skinął głową, instynktownie odwracając się do kamery.

– Tak, hiszpańskiego galeonu wypakowanego złotem. Nie udało nam się położyć na nim łapy. Wracaliśmy do portu, kiedy jeden z moich ludzi zgłosił mi coś dziwnego po bakburcie. Zbliżyliśmy się i rozpoznałem kadłub łodzi.

– Dlaczego wasza aparatura go nie wykryła?

– Ponieważ wrak jest z drewna. Magnetometry wykrywają jedynie metal.

Po sposobie, w jaki pytania i odpowiedzi następowały po sobie, potrafiłem stwierdzić, że zostały przygotowane z wyprzedzeniem. Akcent Nicka był doskonały, wystarczająco wyraźny, by nie było żadnych wątpliwości co do jego pochodzenia, nieutrudniający jednak rozumienia.

– Wysłałem dwóch ludzi pod wodę. Wrócili z bibelotami, naszyjnikiem, talerzem, drewnianą skrzynią.

– Otworzył pan tę skrzynię?

– A jakże! Proszę się postawić na naszym miejscu: od wieków szukamy skarbu, aż wreszcie natykamy się na skrzynię! No cóż, nie ukrywam, że byłem trochę

rozczarowany. Nie zawierała złota ani biżuterii, tylko rodzaj zeszytu wypełnionego rysunkami i niezrozumiałymi hieroglifami.

Kamera okręciła się, żeby pokazać spoczywający na ławce kodeks. Z ulgą stwierdziłem, że pobyt na dnie morza w niczym nie zaszkodził feerii barw. Gail przewróciła kilka stron na użytek widzów, nie wypuszczając z ręki mikrofonu.

– Ten zeszyt, jak pan to ujął, nazywamy kodeksem; jest to księga, w której Majowie spisywali swą wiedzę oraz święte teksty.

– Możliwe – mruknął Nick. – Mnie to wygląda bardziej na podręcznik do gry w bejsbol.

Gail wydała z siebie wymuszony śmiech.

– Ależ, Nick, Majowie nie grali w bejsbol. Ale rozumiem, co pan ma na myśli, niektóre ilustracje przywodzą na myśl sport związany z piłką.

Podniosła kodeks do kamery. Rysunek, wykonany z podziwu godną finezją, przedstawiał gracza o nagim torsie odbijającego piłkę biodrem na oczach trzech gotowych do skoku zawodników przeciwnej drużyny.

– Zdaniem ekspertów – podjęła Gail – na świecie istnieją tylko cztery kodeksy. Kto wie, czy ta książka nie jest warta więcej niż ładunek waszego galeonu? Tak między nami, nie kusiło pana, żeby zachować to odkrycie dla siebie?

Nick podskoczył, jakby ktoś napluł mu w twarz.

– Jestem uczciwym człowiekiem! Prawo zobowiązywało mnie do skontaktowania się z meksykańską strażą przybrzeżną i tak właśnie zrobiłem. Myśli pani, że mi podziękowali? Guzik! Spytali mnie tylko, czy mam pozwolenie.

– A miał pan?

– Owszem, ale na galeon. Celnik, z którym rozmawiałem, wyjaśnił, że pozwolenia są ważne jedynie na konkretny wrak. „Będziecie musieli podnieść kotwicę – oznajmił – ale najpierw muszę znać wasze dokładne położenie”. No jasne, kolego, pomyślałem, niezła próba. Niczego się od Nicka Flynna nie uzyska, zwracając się do niego takim tonem. Poza tym to szaleństwo: znajduję narodowy skarb, a traktuje się mnie jak jakiegoś grabieżcę!

– Czego pan żąda, Nick? – rzuciła Gail.

– Na początek podziękowań. Odrobiny szacunku, ot co! A oprócz tego chcę uczestniczyć w wyławianiu wraku, to absolutne minimum. Mamy wiedzę, sprzęt i jesteśmy na miejscu! Meksykanie nie znajdą nikogo bardziej kompetentnego od

nas.

– Była również mowa o premii...

– Ach tak? Ja to nazywam zapłatą. Kiedy wykonuje się jakąś pracę, to normalne, że otrzymuje się wynagrodzenie, prawda? Jeśli później urząd celny będzie chciał dorzucić jakiś mały bonus, to nie odmówię.

– Dziękuję, Nick, i powodzenia w dalszej części rozgrywki.

Gail odwróciła się do kamery.

– Jak widziałeś, Carl, Nick Flynn zaangażował się w straszliwą potyczkę z meksykańskim rządem. Wczoraj wieczorem wojskowa fregata rzuciła zresztą kotwicę w odległości kilku kabli od „Discovery”.

Z emfazą wskazała opancerzoną jednostkę pływającą długą niczym boisko do piłki nożnej. Na pokładzie tkwiły dwa helikoptery. Wyraźnie dało się dostrzec wieżę strzelniczą. Gail ciągnęła:

– Negocjacje trwają. O wszystkich zmianach będziemy was informować na bieżąco. Oddaję głos do studia.

Wraz z obecnymi osobami sporządziliśmy bilans reportażu. Ocierał się o perfekcję. Nickowi udało się w ciągu trzech minut przekazać wszystkie istotne informacje. Był dzielnym gościem, uczciwym, niemającym bladego pojęcia o wadze swojego odkrycia, któremu jakimś cudem udało się zażądać pieniędzy przy jednoczesnym zachowaniu pozorów obojętności. Mimo że, technicznie rzecz biorąc, złamał prawo, wiele argumentów przemawiało na jego korzyść. Po pierwsze mógł w ogóle nie zgłaszać znaleziska i sprzedać artefakty kolekcjonerom za cenę złota. Starając się o pozwolenie na poszukiwania galeonu, udowodnił, że nie jest piratem, lecz świadomym przedsiębiorcą, postępującym zgodnie z przepisami i zwyczajami swojej profesji. I wreszcie, co było wisienką na torcie, Gail podkreśliła rzadkość kodeksu oraz dysproporcję sił biorących udział w starciu.

Lena bez większego wysiłku włączyła się do rejestru pracowników CNN. Gail Anderson miała czterdzieści trzy lata; w 2007 roku rozwiodła się z prezenterem pogody i mieszkała wraz z trzynastoletnim synem w Metairie, na przytulnym przedmieściu Nowego Orleanu. Jej pensja, w wysokości sto pięć tysięcy dolarów, nie wzrosła od trzech lat. Przełożony uparcie odmawiał jej prośbom o awans, powołując się na jej niezdolność wynajdywania tematów o ogólnokrajowym zasięgu.

– To wyjaśnia, czemu rzuciła się na tę sprawę, zanim zrobili to jej koledzy – zauważyłem. – Ocean należy do wszystkich.

– Przynajmniej – zaczęła Lena – nasze interesy się pokrywają. Ona pragnie akcji, a my jej ją zapewnimy.

– Niepokoi mnie jedna rzecz – wtrąciła Marina. – Kto opiekuje się jej synem? Mogła go powierzyć przyjaciółce na dzień czy dwa, ale jeśli sytuacja utknie w martwym punkcie, istnieje ryzyko, że wróci do domu.

– Na pewno jest u ojca – uznała Lena.

– A skąd wiesz, że mieszka w pobliżu? – naciskała Marina.

– Mógł...

– Owszem, jest u ojca – ucięła Manuela.

Przeglądała facebookowy profil Trávisa Andersona, syna Gail.

– Rodzice dzielą opiekę – oznajmiła. – Wygląda na to, że Travis zazwyczaj mieszka u ojca, kiedy matka wyjeżdża na zdjęcia.

– Doskonale – stwierdziła Lena, zirytowana, że przyłapano ją na niedociągnięciu.

Wraz z upływem dnia historia zatoczyła szersze kręgi. CNN zamieściła wywiad z Nickiem na swojej stronie, a także na swoim kanale na YouTube. Tak jak na to liczyliśmy, duże amerykańskie sieci tłumnie pchały się w wyłom utworzony przez siostrę z Atlanty. ABC rozpowszechniła rozmowę telefoniczną z Nickiem. CBS porównała rozgrywającą się w Veracruz potyczkę do nowej wersji pojedynku Dawida z Goliatem. Jeśli chodzi o prezentera z Fox News, wyraził nadzieję, że specjalny wysłannik stacji dotrze na miejsce, „zanim zaczną się fajerwerki”. Za granicą historia również zyskiwała na popularności. BBC, niemiecka ZDF, hiszpańska Uno, France 2, rosyjska Vesti, a nawet meksykańska Televisa wspomniały o niej w swoich wieczornych wydaniach. Lena szybko obliczyła, że Nick dotarł już do ponad osiemdziesięciu milionów ludzi.

Po południu Gail po raz kolejny pojawiła się na antenie, nadając na żywo z portu. Vijay pospieszył na zewnątrz, gdy tylko zaczął się program, chcąc zobaczyć naszą nową sojuszniczkę. Gail mówiła, że skontaktowała się z kilkoma (co w dziennikarskim żargonie oznacza dwóch) oficjelami, którzy potwierdzili prawa Meksyku do wraku. W istocie, nawet jeżeli ów znajdowałby się trzynaście lub czternaście mil od brzegu, rząd nie zawaha się powołać na międzynarodowe

prawoznawstwo, wedle którego odległość dwunastu mil może być mierzona, dopiero począwszy od ostatniej podwodnej rafy. Zastępca dyrektora urzędu celnego oświadczył zresztą, że artefakty, których pochodzenie od cywilizacji Majów nie pozostawiało żadnych wątpliwości, podpadają pod zapis prawny z 1972 roku dotyczący ochrony reliktyw archeologicznych. Mrugnąłem do Leny: był to mimo wszystko pierwszy raz, kiedy przedstawiciel państwa meksykańskiego wymówił słowo „Majowie”.

Vijay wrócił z sensacyjną nowiną: Gail Anderson i jej kamerzysta mieszkali w Emporio. Poszedł za dziennikarką aż do jej pokoju na czwartym piętrze. Na wszelki wypadek zanotowałem w pamięci tę informację.

Mieliśmy już teraz dość materiału, by zabrać się do pracy. Przez całe popołudnie paru opłaconych przez KFR specjalistów od cywilizacji prekolumbijskich zachwycało się w sieci niesłychanym pięknem kodeksu. Na tym etapie nieistotne było, że nikt nie czyta ich blogów. Gdy tylko wpisy zostaną zindeksowane, wyskoczą wśród pierwszych wyników, kiedy jakiś dziennikarz wyszuka frazę „kodeks Majów”. Lena bombardowała kanał CNN na YouTube lipnymi prośbami. W przeciągu kilku godzin wywiad z Nickiem z trzystoma tysiącami wyświetleń dostał się do klubu najpopularniejszych filmików. Tym razem po naszych komentarzach posypały się te prawdziwe. Spływały całymi setkami, z czterech stron świata. Jeden z nich – *That Aussie is mighty cute. I say: give him what he wants* („Totalne ciacho z tego Australijczyka: dajcie mu, czego chce”) – podsumowywał wszystkie pozostałe. Czar Nicka robił swoje. Niespełna dziesięć procent wiadomości krytykowało jego metody; prawie wszystkie pochodziły z Meksyku.

Telefoniczni aktorzy, których wkład okazał się tak cenny podczas kampanii Sarah Palin, roznieśli standardy CNN w pył, prosząc o więcej informacji na temat „Australijczyka, który znalazł kodek (*sic*)”. Godzinę później Bettina podsłuchiwała rozmowę telefoniczną w hotelowej siłowni. Dysząc na ergometrze, Gail Anderson sprzedała szefowi nowy kawałek o Nicku, tym razem dotyczący jego profesji.

Pomimo tej lawiny dobrych wieści Lena zdawała się przybita. Miała nadzieję, że powstanie strona poparcia dla Nicka na Facebooku. Pocieszyłem ją: zamieszanie dopiero się zaczynało.

Tego samego wieczoru pierwsi zagraniczni dziennikarze dotarli do hotelu

Emporio.

6

Nasza ofensywa telefoniczna przyniosła owoce: CNN podniosła historię „Discovery” do rangi powracającego tematu. Co pół godziny Frank, Carl lub Tony upiększali swój dobrze naoliwiony tekst pikantnymi szczegółami: kodeks pozwoli historykom zrozumieć, dlaczego Majowie przewidzieli koniec świata na rok 2012; torpedy meksykańskiej fregaty „Guadalupe Victoria” mogły przeciąć okręt typu awizo na pół z odległości dziesięciu kilometrów; w razie uderzenia „Discovery” pójdzie na dno w niespełna kwadrans i tak dalej.

Po południu CNN wypuściła kolejny wywiad z Nickiem. Gail i on siedzieli na rozkładanych tekowych krzesłach. Nie przypominałem sobie, żebym widział je na łodzi; musiała je przywieźć na swoim zodiaku. Zgodnie z oczekiwaniami pierwsze pytania dotyczyły eksploracji wraków.

– Pański zawód skłania do marzeń, Nick. Poszukiwacz skarbów! Czy mógłby pan wyjaśnić naszym telewidzom, na czym to dokładnie polega?

– Oczywiście. Na dnie oceanu spoczywają tysiące wraków. Niektóre zawierają złoto, biżuterię, metale szlachetne... Trudność polega na zlokalizowaniu ich, odzyskaniu ładunku, a przede wszystkim na ochronieniu łupu przed rządami państw.

– Do tego jeszcze wrócimy – obiecała Gail. – Ale proszę powiedzieć, tego rodzaju ekspedycja z pewnością bardzo drogo kosztuje...

Nick, chcąc jej dogodzić, nie dał się prosić i od razu wyliczył poniesione koszty.

– Jeszcze jak! Na początek załoga. Dziesięciu mężczyzn, to minimum, którym przelewam stałą pensję plus premię w przypadku sukcesu. Kredyt na łódź kosztuje mnie piętnaście tysięcy dolarów miesięcznie, a do tego trzeba dorzucić paliwo, utrzymanie, żywność i ubezpieczenie. Mam w Sydney adwokata, który zajmuje się inwestorami, a w Miami drugiego, który załatwia pozwolenia na poszukiwania. Ach, byłbym zapomniał o podatkach i składkach socjalnych!

– I mimo tych wszystkich wydatków rezultat nigdy nie jest gwarantowany.

– Nigdy. Może się zdarzyć, że spędzisz pół roku na morzu i wrócisz z parą

homarców.

– Za to w razie sukcesu to tak, jakby rozbić bank! – wykrzyknęła Gail z błyszczącymi oczyma.

– Nie wpadnij w pułapkę – wymamrotałem.

Nick przywołał na usta pełen słodczy uśmiech, taki sam, jaki zaprezentowałyby Jezus, gdyby spytano go, czy to chęć zysku pchnęła go do rozmnożenia chleba.

– Kiedy ci się poszczęści i znajdujesz skarb, Gail, to tak, jakby spełniało się twoje dziecięce marzenie. Przed tobą leży skrzynia pokryta algami i muszelkami, wzdęte drewno, zardzewiałe zamki, a ty myślisz o konkwistadorach, którzy zostawiali żony i dzieci, by służyć królowej...

– Zdarzyło się to już panu?

– Raz – odrzekł Nick z zadumany wyrazem twarzy. – Sześć lat temu. Dzięki bardzo starym mapom odnalazłem zatopiony statek u wybrzeży Indonezji. Wydobyliśmy tysiące pereł, porcelanę, figurki z kości słoniowej. Och, gdyby to pani widziała, można by pomyśleć, że to jakaś bajka!

Odczekał chwilę z oczami utkwionymi gdzieś w oddali. Gail, która nie urodziła się wczoraj, uszanowała ten wzruszający przyływ nostalgii.

– A potem – podjął Nick – kontaktuję się ze strażą przybrzeżną, jak nakazuje prawo. Widzi pani, zobowiązałem się do przekazania trzydziestu procent łupu Indonezyjczykom...

– To normalne?

– Tak, raczej tak. To bardziej ostrożność niż cokolwiek innego, takie zabezpieczenie zapewniające, że nikt nie będzie się Ciebie czepiał. Z wyjątkiem przypadków, kiedy dzieje się zupełnie na odwrót. Godzinę później przypląwa na kontrolę motorówka. Mężczyzna w mundurze, który przedstawia się jako zastępca dyrektora urzędu celnego, wchodzi na pokład. Żąda, żeby mu pokazać perły. Wręczam mu worek, który on konfiskuje, „tymczasowo”, jak twierdzi, dopóki nie dokonamy podziału łupu. Ponieważ jestem nieufny, wystawia mi pokwitowanie i pozwala sfotografować perły. Później odpływa. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, kim był ani dla kogo pracował. Ale co gorsza, kiedy opowiedziałem tę historię prawdziwej straży przybrzeżnej, oskarżyli mnie, że ją sobie wymyśliłem, żeby nie płacić tych trzydziestu procent, i zagrozili, że wtrącą mnie do więzienia. Co by pani zrobiła na moim miejscu?

– Zadzwoń do konsulatu? – podsunęła Gail z ową zachwycającą wiarą, jaką Amerykanie pokładają we wszechmocy swoich paszportów.

Nick roześmiał się serdecznie.

– Nikt nie bierze w obronę poszukiwacza skarbów! Nie, negocjowałem. Indonezyjczycy oszacowali wartość pereł na podstawie mojego zdjęcia. Wyliczyli, że pozostałe artefakty akurat pokryją to, co jestem im winien, i wypuścili mnie bez grosza przy duszy. Nie muszę chyba mówić, że nigdy nie podali mojego odkrycia do wiadomości publicznej.

Gail z powagą wymówiła każde słowo kolejnego pytania.

– Czyżby sugerował pan, że meksykańska straż przybrzeżna jest tak samo skorumpowana, jak jej indonezyjski odpowiednik?

– Nie, skąd. Ale rozumie pani, że teraz zabezpieczam tyły. To dlatego wysłałem mediom zdjęcia artefaktów. Dwa razy mnie nie przechytrzą.

– Ale... proszę wybaczyć, że zadam to pytanie: nie ma pan przecież pozwolenia na eksplorację tego wraku?

– Faktycznie, nie mam. Moje pozwolenie dotyczyło innego statku, hiszpańskiego galeonu. Ale proszę pozwolić, że coś pani wyjaśnię: państwa mają wraki gdzieś, aż do momentu, w którym my je odkryjemy. Lekką ręką wydają pozwolenia, wielce zadowoleni, że prywatni inwestorzy przeczesują dno morza w ich imieniu. Za to gdy tylko zlokalizujesz wrak, o, to już zupełnie inna historia. Wszyscy moi koledzy pani powiedzą, że łatwiej odkryć skarb, niż uchronić go przed zakusami cwaniaków.

Jakby tylko czekał na tę natchnioną mowę o wolności, Syd, szcękając, wbiegł w pole widzenia kamery. Gail, która aż podskoczyła, szybko okiełznała strach, pojmując, jakie korzyści może wyciągnąć z tej przerwy.

– Jaki piękny! – zawołała, głaszcząc nowofundlanda po karku. – Należy do pana?

– Jak najbardziej. Mój najlepszy kumpel, Sydney, dla przyjaciół Syd.

– Potrafi pływać?

– Czy potrafi pływać? – powtórzył Nick poważnym tonem. – U wybrzeży Papui uratował życie jednemu z moich ludzi.

Ośmielony opowieścią o swoich wyczynach Syd próbował dostać się Gail pod spódnicę.

– Syd, leżeć! – zakomenderował Nick.

Ku mojej – i Gail – ogromnej uldze, nowofundland wyciągnął się grzecznie u stóp swojego pana. Dziennikarka wygładziła spódnicę, zmuszając się do wesołego śmiechu.

– Uff, było blisko! Ale wróćmy do pana: jak meksykański rząd przyjął propozycję, że poprowadzi pan operację wydobywania?

– Źle. Moi rozmówcy odmawiają wszelkiej dyskusji, dopóki nie wyjawię położenia wraku. Mogą sobie próbować.

– Czego tak naprawdę pan żąda?

Nick odwrócił głowę do kamery, jakby zwracał się bezpośrednio do meksykańskiego prezydenta.

– Trzech rzeczy. Oficjalnych podziękowań, kontraktu na opróżnienie wraku oraz ryczałtowego odszkodowania.

– W jakiej wysokości?

– Pozostawię ustalenie kwoty meksykańskiemu rządowi. Wiem tylko, że utopiłem w tej ekspedycji wszystko, co mam. Sprzedałem samochód, wziąłem hipotekę na łódź, tkwię w długach, nie mam ani domu, ani planu emerytalnego. Moi inwestorzy również wyłożyli na stół pół miliona. Jeśli wrócę do Australii z pustymi rękoma, już nigdy nie odzyskam ich zaufania.

Z każdym argumentem Gail kiwała głową, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wskazała fregatę, która – zdawało się – przybliżyła się od poprzedniego dnia.

– Nie boi się pan, że meksykańska marynarka zaatakuje?

– Wie pani co? Trzeba czegoś więcej, żeby przestraszyć Australijczyka. No ale racja, to jasne, że nasi sąsiedzi nie mają najlepszych zamiarów – oznajmił Nick, posyłając w stronę kamery uśmiech, któremu raczej nie dało się oprzeć.

– Nadal żałujesz, że nie wyszczerbiłeś mu zęba? – spytała ironicznie Lena.

W ciągu kolejnej godziny Linda Gibson, graficzka ze Seattle, utworzyła stronę poparcia na Facebooku zawierającą filmiki z obu wywiadów z Nickiem, mapę zatoki Veracruz, a także dwa zdjęcia. Pierwsze, które skopiowała ze strony CNN, przedstawiało kruchą „Discovery” obok ogromnej meksykańskiej fregaty i przywodziło na myśl fotografię tego nieuzbrojonego studenta stawiającego czoła czołgom na placu Tiananmen. Drugie należało do serii, którą zamówiliśmy u pewnej agencji i wrzuciliśmy do sieci parę miesięcy wcześniej. Syd z patykiem

w zębach w podskokach biegł ku swojemu panu po białym piasku plaży. Nick, z nagim torsem i rękami wspartymi na biodrach, stał w pozie, która uwydatniała mięśnie jego klatki piersiowej. „Polubcie moją stronę i udostępnicie ją znajomym, żeby okazać poparcie dla Boskiego Nicka w jego walce z meksykańskimi biurokratami!” – prosiła Linda, ładna, dwudziestosiedmioletnia blondynka, której profil informował, że po „żałosnej historii z totalnym kretyńcem, głupim jak osioł, ale niestety nie równie hojnie obdarzonym przez naturę” jest gotowa „zacząć poszukiwania wielkiej miłości od zera”.

– Mam otworzyć tamę? – spytała Manuela, szykując się do zapisania tysięcy swoich profili do fanklubu Boskiego Nicka.

– Poczekaj chwilę – odparła Lena. – Ona ma trzy tysiące znajomych. Zobaczmy, ilu już połąkneło przynętę.

– Dwunastu – ogłosił Jeremy. – Nie, dziewiętnastu, trzydziestu jeden, czterdziestu czterech, sześćdziesięciu trzech...

– Trzech udostępniło stronę na własnych tablicach – dodała Marina.

– Osiemdziesięciu pięciu, stu dziesięciu, stu dwudziestu dziewięciu... – podjął Jeremy, który odświeżał stronę w regularnych odstępach czasu.

– Zamieściła też link na Twitterze – rzucił Rodolfo.

– Przekaż tweeta dalej, tłumacząc tekst na hiszpański – zarządziła Lena.

– Dziesięć osób już to zrobiło – oświadczył Fernando.

– Świetnie radzi sobie sama – oceniła Manuela. – W tym tempie pojawi się wśród najpopularniejszych tematów.

– Upewnij się tylko, że docieramy na wszystkie rynki.

– Już mam reakcje w Japonii i w Chinach – powiedział Yûichiro. – A tam przecież jest piąta rano!

– Tak samo w Indiach – włączył się Vijay. – Wygląda na to, że CNN India przetransmitowała wywiad. Wideo już ma tyle samo odsłon co finał krykieta.

– Tysiąc stu, tysiąc trzystu, tysiąc sześciuset... – wyliczał mechanicznie Jeremy.

– Widziałas już coś takiego? – spytałem Manueli.

– Po śmierci Michaela Jacksona. Liczba tweetów przekraczała pięćset na sekundę.

– Słyszysz, Leno?

– Poproszę szefów biur, żeby przygotowali nam syntezę materiału medialnego

zaprezentowanego w ich krajach – stwierdziła Lena, nie zadając sobie trudu, by mi odpowiedzieć. – Wtedy będziemy mogli dopracować strategię.

Skoro maszyna wystartowała, chwilowo nie było zbyt wiele do roboty. Zamówiłem kolację i zebraliśmy się na kanapach przed telewizorem. Od czasu do czasu Jeremy wstawał, żeby rzucić okiem na licznik na stronie Lindy, który nieustannie wyświetlał coraz to wyższe wartości.

Wyczuwając szczerzoty temat, dyrektor wiadomości CNN przetasował siatkę programów. Richard Hernandez, pompatyczny dziekan wydziału archeologicznego na Yale, podkreślił historyczną wagę znaleziska Nicka. Hiszpanie, przybywszy do Meksyku w XVI wieku, spalili setki, a nawet tysiące kodeksów. Niesławny biskup Diego de Landa kazał w 1562 roku zniszczyć wszystkie znalezione na Jukatanie książki, argumentując, że zawierają one „przesady i kłamstwa diabła”, i w ten sposób pozbawił historyków niezrównanych archiwów, które pozwoliłyby zrozumieć cywilizację Majów. Ledwie cztery teksty uniknęły spalenia na stosie. Nosiły nazwy miast, w których je obecnie przechowywano. Autentyczność kodeksów z Drezna, Madrytu i Paryża nigdy nie pozostawiała żadnych wątpliwości; prawdziwość kodeksu Grolier potwierdzono dopiero niedawno. W przeciwieństwie do nich dzieło, z którego Hernandez widział kilka stron, nie było ani kalendarzem, ani kompendium wiedzy astronomicznej. Zdawało się, że duża jego część została poświęcona grze w piłkę, narodowemu sportowi Majów, do którego boiska odkrywano prawie w każdej lokalizacji archeologicznej, ale którego dokładne reguły wciąż były owiane tajemnicą. Hernandez, nie chwając się, był znakomitym specjalistą w dziedzinie gry w piłkę; łaskawie zaoferował rządowi swoje usługi „w imię przyjaźni pomiędzy Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi”.

Wybitni profesorowie, którym spieszo było do udzielenia objaśnień na temat pochodzenia kodeksu, zadowolili się paroma ogólnikowymi uwagami. W tym regionie mieszkały tylko dwie cywilizacje prekolumbijskie: Olmekowie, którzy wyginęli około 500 roku przed naszą erą, oraz przedstawiciele klasycznej kultury Veracruz, znani z nieumiarkowanego zamiłowania do składania ofiar z ludzi, którzy zniknęli około roku 1000. Ani jedni, ani drudzy nie znali pisma. Za to kawałek dalej na wschód, w stronę Palenque czy Toniny, żyli Majowie, którzy choć nie byli wytrawnymi żeglarzami, pływali po rzekach i wzdłuż wybrzeży. „Gdybym musiał przedstawić swoją prognozę, powiedziałbym, że mamy do

czynienia z kodeksem Majów z VIII lub IX wieku” – podsumowywał Hernandez.

– W dziesiątkę! – wykrzyknęła Lena. – Widziałeś, wyprawił się do Atlanty.

– Może był w pobliżu...

– Nie. Jeszcze dziś rano prowadził zajęcia na Yale. Pojechał specjalnie po to, mówię ci.

Jeremy dorzucił:

– Właśnie poinformował swoich studentów, że nie będzie go do końca tygodnia.

– CNN musiała go zatrudnić jako specjalnego konsultanta. To dobry znak.

Ekspert, który zjawił się po Hernandezie, nie był ani historykiem, ani antropologiem, tylko scenarzystą z Hollywood. Pracował przy kilku superprodukcjach, w tym przy *Apocalypto*, chociaż Mel Gibson, „pomimo jego kilku kapitalnych pomysłów”, nie uznał za stosowne wymienić go w napisach. Z lubością opisywał rytuały składania ofiar z ludzi. „Wówczas, Frank, kapłan zaginał palce na kształt orlich szponów. Zanurzał dłoń w klatce piersiowej nieszczęśnika i wyrywał serce, które – proszę wybaczyć te szczegóły – biło jeszcze przez kilka długich sekund. Inny kapłan dekapitował ofiarę kamienną siekierą”. Ani słowem nie wspomniał o dużo liczniejszych ofiarach zwierzęcych ani o samookaleczeniach.

Dyrektor Sothesby przemówił na żywo z Nowego Jorku. Mimo iż zaczął od oświadczenia, że znalezione przez Nicka artefakty prawdopodobnie nigdy nie trafią na rynek, pozwolił sobie spekulować odnośnie ceny, jaką mogłyby osiągnąć w sali aukcyjnej. Jadeitowy naszyjnik niewątpliwie sprzedałby się za około dwieście lub trzysta tysięcy dolarów. Kodeks przynależał do zupełnie innego gatunku. Począwszy od pewnego poziomu rzadkości, wartość dokumentów historycznych wymykała się wszelkiej logice. Amerykański miliarder wydał dwadzieścia jeden milionów dolarów na zakup siedemnastu egzemplarzy *Magna Carta*, angielskiej karty swobód osobistych pochodzącej z XIII wieku. Bill Gates wyłożył na stół trzydzieści milionów za zeszyty Leonarda da Vinci. Jeśli chodzi o oryginały przemów Abrahama Lincolna, obecnie ich cena przekraczała milion dolarów. Gdyby kodeks Majów wystawiono na sprzedaż, któż może stwierdzić, jakiego pułapu sięgnęłaby licytacja? Pięćdziesiąt, sto milionów? Frank podziękował gościowi za „fascynujące objaśnienia”.

Zupełnie inne nastroje panowały w telewizji meksykańskiej, gdzie większy

niepokój wypowiedających się osób budziły zamiary Nicka niż strumienie krwi przelane przez ich przodków. Politycy krzyczeli o neokolonialnym rabunku i zalecali zdecydowanie z tym większym zapalem, im mniejszą dysponowali władzą. Konsultanci dyskutowali o sposobach przeprowadzenia interwencji militarnej. Jedni byli zwolennikami wysłania nurków, inni – spadochroniarzy; wszyscy obawiali się nieprzewidywalności Nicka, zdolnego, zdaniem jednego z nich, „cisnąć kodeks w fale, gdy naśle się na niego wojsko”.

Wczesnym wieczorem wyszedłem na zewnątrz rozprostować nogi. W hotelowym holu panowała nieopisana wrzawa. Góry bagaży, kamer i projektorów piętrzyły się przed recepcją, gdzie dwaj nieszczęśni pracownicy powtarzali niczym automaty, że hotel jest pełen. Naliczyłem jakieś dwadzieścia kanałów telewizyjnych, tuzin stacji radiowych i parę tytułów tradycyjnej prasy. Przybyła reprezentacja wszystkich kontynentów bez wyjątku. Dotarłem aż do hotelu Novo Mar, gdzie czekała mnie taka sama scena.

Kiedy wróciłem, kwatery główna nurzała się w euforii. Na Facebooku powstawały strony poparcia dla Nicka we wszystkich językach. Ta należąca do Lindy Gibson wciąż była najpopularniejsza z ponad stu tysiącami członków i ośmiuset komentarzami.

– Syd robi furorę – poinformowała Manuela. – Mamy jeszcze jakieś jego zdjęcia?

– Setki. Jutro rano zaczniemy je wrzucać do sieci. Inne uwagi?

Manuela zawahała się przez ułamek sekundy.

– Dużo sprośnych komentarzy. Ze strony obu płci. Linda na bieżąco usuwa te najbardziej dosadne.

– Wiemy, skąd pochodzą użytkownicy? – wtrąciła się Lena, która zsunęła buty i pogryzała przy komputerze ciasteczko.

– Tak, dostałam się na stronę administratora Lindy Gibson. Facebook dostarcza całkiem sporo informacji demograficznych na temat swoich odwiedzających. Dużo więcej kobiet niż mężczyzn, jak można się było spodziewać.

– O ile?

– Jak siedemdziesiąt do trzydziestu. Najwięcej z grupy wiekowej trzynastu–siedemnaście, nie ma praktycznie nikogo po czterdziestym piątym roku życia. Biorąc pod uwagę godzinę, rozkład geograficzny raczej zgadza się z moimi

oczekiwaniami.

– Poziom wykształcenia? Średni dochód?

– Facebook nie udostępnia takich informacji. Mogę je zdobyć, ale to zajmie trochę czasu.

– Byłoby dobrze.

Zadzwoiłem do Yakouba na zaszyfrowaną linię, żeby przekazać mu najnowsze wieści z frontu. Mimo późnej godziny odebrał po pierwszym dzwonku.

– Wszystko idzie zgodnie z planem? – zapytał.

– Raczej tak. Zespół dobrze pracuje, fanklub naszego przyjaciela rośnie w oczach, hotel wypchany jest dziennikarzami, a Meksykanie zrozumieli, że jeśli przypuszczą atak, zaryzykują utratę kodeksu. A u ciebie?

– Suarez strasznie przeżywa. Wiem, że kiedy mowa o żołnierzu marines, zakrawa to na oksymoron. Boi się, że ośmieszymy jego ojczyznę.

– Żaden kraj nie może więcej zyskać na tej aferze niż Meksyk. Powiedz mu...

– Nie trać na to czasu – przerwał Yakoub – ja się tym zajmę. A poza tym mam bardziej naglące zmartwienia.

– Neseser?

– Sprawdził się kolejny scenariusz. Wysoko postawiony irański dygnitarz zrzucił winę za trzęsienia ziemi, które nawiedziły jego kraj, na wyzwolone kobiety.

– To przecież teczka Magi! – wykrzyknąłem.

Moja droga Maga postanowiła uzyczyć fikcyjnym mułom poglądów tak porażających, że zwierzchnicy krajów muzułmańskich poczują się zmuszeni do publicznego zajęcia stanowiska. Jej teczka nie wspominała o trzęsieniach ziemi, ale kilka spośród zawartych w niej planowanych deklaracji faktycznie stylem przypominało tę, którą właśnie przedstawił mi Yakoub.

– To już czternaście, Sliv, rozumiesz to? Prawie jedna trzecia naszych teczek stała się rzeczywistością. To dużo więcej, niż przewidywałeś.

– Istotnie, ale brakuje nam perspektywy. Ten dygnitarz, mamy pewność, że on istnieje?

– Tak. Prowadzi piątkowe modły w Teheranie.

– Szczerze, Yakoubie, nie wiem, co ci powiedzieć. Wiesz równie dobrze jak ja, jakie niedorzeczności potrafią głosić mułowie. Nie sądzę, żeby to był powód do niepokoju.

- Zawsze tak mówisz – burknął Yakoub.
- I do tej pory fakty stały po mojej stronie.
- To prawda. Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś. Idę się położyć.

Rozłączając się, spojrzałem na zegarek. W Toronto była dwudziesta druga pięćdziesiąt sześć.

7

Po przebudzeniu czekała na mnie dramatyczna wiadomość. Platforma wiertnicza Deepwater Horizon, eksploatowana przez amerykańską spółkę Transocean na rzecz British Petroleum, odnotowała potężną eksplozję dokładnie w momencie, gdy kończyłem rozmowę z Yakoubem. Opłakiwano kilka ofiar spośród stu dwudziestu sześciu pracowników przebywających na pokładzie. Władze oraz stowarzyszenia ekologiczne obawiały się ogromnych wycieków ropy.

Od tygodnia żyłem w strachu przed takim właśnie wydarzeniem. Wyobrażałem sobie wszelkiego rodzaju scenariusze: północnokoreański lot kosmiczny, zamach stanu w Egipcie, a nawet śmierć Rafaela Nadala z rakieta tenisową w ręku. Kto by przypuszczał, że los uderzy w samym środku Zatoki Meksykańskiej, ledwie paręset kilometrów od „Discovery”?

Poinstruowaliśmy Nicka, żeby przeciągał rozmowy z meksykańskim rządem, by dać dziennikarzom z czterech stron świata czas na zjawienie się w Veracruz. Teraz ryzykowaliśmy, że wobec braku spektakularnych przełomów przetransportują swoje kamery na drugą stronę zatoki, gdzie plama ropy dostarczy im do woli widowiskowych scen zniszczenia. Pożar platformy już zastąpił „Discovery” na CNN i Fox News. Ranni zostali ewakuowani helikopterami do szpitala w Mobile, podczas gdy ocalali docierali na brzeg w łodziach ratunkowych. Na lądzie czekała na nich chmara reporterów. Pierwsze świadectwa miały prawdopodobnie zostać wyemitowane po południu, a także stanowić danie główne wieczornych wydań wiadomości.

Lena i ja nie zgadzaliśmy się co do dalszego trybu postępowania. Radziłem, żeby przejść do następnej fazy scenariusza tak szybko, jak to tylko możliwe. Ona wzdragała się przed narzucaniem czegokolwiek Nickowi, jednemu spośród nas, który dysponował wszystkimi elementami układanki. Zdecydowaliśmy, że ponownie ocenimy sytuację za dwadzieścia cztery godziny. W międzyczasie Vijay miał wypożyczyć łódź i ustawić się w pobliżu „Discovery” z lornetką.

Poranek przyniósł nam także kilka promyków słońca. Wierny swoim zwyczajom

chiński rząd spokojnie zatuszował trzęsienie ziemi, które spustoszyło tybetański dystrykt Yushu. Przede wszystkim zaś transport lotniczy po trosze wznawiał działanie w całej Europie. Wulkaniczny pióropusz, który wznosił się teraz na cztery kilometry, rozdzielił się na dwie kolumny, z których jedna zbaczała w stronę Syberii, a druga dryfowała ku Ameryce Północnej.

Liczby Nicka w dalszym ciągu rosły. Zadałem sobie trud i szczegółowo je przeanalizowałem. Przez noc strona Lindy Gibson przekroczyła próg miliona członków, a udostępniono ją ponad trzydzieści tysięcy razy. Co nie dziwiło, ogromną część odwiedzających stanowili Australijczycy, podobnie jak Japończycy między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia oraz Brytyjcy licealiści. Nick zajmował drugą pozycję wśród najpopularniejszych tematów na Twitterze i piątą wśród wyszukiwań w Google'u, we wszystkich krajach łącznie. Syd stał się ikoną w Nowej Zelandii oraz w Peru; cena nowofundlanda na eBayu podwoiła się z dnia na dzień. Internauci pożerali też wszystko, co dotyczyło poszukiwania skarbów. Portale wymieniające zatopione statki zostały wzięte szturmem, tak samo jak te poświęcone Majom. Ruch na stronie Wikipedii zajmującej się kodeksami wzmógł się tysiąckrotnie. Kilka książek o cywilizacjach prekolumbijskich widniało wśród najlepiej sprzedających się pozycji na Amazonie. I wreszcie *Apocalypto*, obraz Mela Gibsona, zbijał fortunę w serwisach z filmami na żądanie.

Wczesnym popołudniem Gail Anderson zaczęła nadawać z portu. Po powierzchownym opisie atmosfery panującej na pokładzie „Discovery” („Nikt nie wątpi, że Nick Flynn i jego ludzie cierpią na bezsenność, Carl”) oświadczyła: „Jak można się było spodziewać, indonezyjski rząd z największą stanowczością zdementował pogłoskę, jakoby w dwa tysiące czwartym roku u wybrzeży kraju doszło do jakiegokolwiek odkrycia. Zastrzega sobie prawo do pozwania do sądu każdego, kto będzie utrzymywał inaczej”. To „jak można się było spodziewać” przepełniło mnie otuchą. Jeśli Indonezyjczycy mieli sobie coś do zarzucenia, sugerowała Gail w podtekście, nie będą przecież o tym trąbić. Agresywność zaprzeczeń Dżakarty w pewien sposób potwierdzała naszą historię.

Niedługo potem Gail przeprowadziła wywiad z dyrektorem meksykańskiego urzędu celnego, grubasem o oliwkowej cerze i wypiełgnowanych bokobrodach. Juan Pablo Bustamante miał dość insynuacji, których ofiarą padała jego instytucja. „Jeśli pan Flynn będzie obstawał przy swoim i w dalszym ciągu odmawiał

współpracy – ogłosił – sięgniemy po środki, do użycia których uprawnia nas meksykańska konstytucja oraz konwencje Narodów Zjednoczonych dotyczące wód terytorialnych i aktów piractwa”. Zaprzeczył istnieniu dialogu pomiędzy Nickiem a rządem. „Nie negocjujemy z przestępcami!” – wybuchnął, błyskając czarnym okiem i prezentując groźne wąsy. U mojego boku Lena promieniała. Bustamante nie tylko miał szpetną gębę, ale też popełnił błąd, diabolizując Nicka.

Ten ostatni z kolei rozkoszował się zainteresowaniem mediów. Ekipy telewizyjne przez cały dzień zmieniały się na pokładzie „Discovery”. Wywiady, o czasie trwania ograniczonym do pół godziny, odbywały się po angielsku lub po hiszpańsku, w jedynych dwóch językach, których pozwoleń Nickowi używać. Była to istotna faza naszego planu, którą Vargas nazwał „ulokowaniem scenariusza”: Nick musiał adaptować się do kultury swoich rozmówców i dostosowywać swoje wypowiedzi tak, by dotrzeć do serc i podświadomości telewidzów.

Znając zamiłowanie Japończyków do *kawaii* – kultu słodczy symbolizowanej przez postać Hello Kitty – Nick zafundował ekipie ze stacji NHK pokaz psiej tresury. Po każdej sztuczce Syd, merdając ogonem, radośnie przechylał do kamery głowę z wywieszonym językiem. Nick upuszczał cukier do pyska nowofundlanda i głaskał go, sporządzając listę życ, które pupil uratował na przestrzeni lat. Dowiedziawszy się, że pewnego dnia na widok oddalającej się „Discovery” Syd rzucił się z przystani do wody, japońska reporterka wydała cichy okrzyk ekstazy i wypowiedziała słowo „Hachiko”. Wyjaśniła Nickowi, który udawał, że słyszy tę historię po raz pierwszy, że Hachiko to pies sławny w Japonii z tego, że przez długie lata po śmierci swojego pana każdego wieczoru czekał na niego na dworcu Shibuya.

Dziennikarzom z France 2 Nick zaserwował alterglobalistyczny poemat. Chwalił się, że zatrudnia nielegalnych imigrantów oraz recydywistę, „ponieważ każdemu trzeba dać szansę”. Tankował biopaliwo „za każdym razem, kiedy to możliwe, chociaż to dużo droższe”. Miejsce kodeksu było w muzeum, „a nie w sejfie jakiegoś miliardera”. Ze swojej niewypłacalności uczynił powód do dumy: bank groził, że przejmie jego łódź, tkwił w długach po uszy, ale prędzej sam zrezygnowałby z posiłku, niż zapłacił swoim chłopcom choćby centa mniej, niż na to zasługują. Nie przejmował się inwestorami, którzy „powinni się cieszyć, jeśli

odzyskają początkowy wkład”. Jeżeli chcieli odstawić lichwiarskie numery, to „wybrali nie tego człowieka, co trzeba”.

Fox News, konserwatywna stacja amerykańska, doczekała się całkiem innej argumentacji. Zawód poszukiwacza skarbów był tłamszony unormowaniami. Nick musiał prosić o cztery pozwolenia i wypełnić ni mniej, ni więcej, jak tylko siedemnaście formularzy złożonych u trzech różnych rządów, aby zyskać prawo do przemierzania oceanu. Atakowano go opłatami, a gdy jakimś niezwyklej rzadzeniem losu udało mu się uciuć dwa grosze, Wujek Sam oraz jego ojczysty kraj kłócili się o to, gdzie będzie miał przywilej uregulowania podatków. Stany Zjednoczone, niegdyś raj dla przedsiębiorców, pogrążyły się w socjalizmie. To jasne, że gdyby Buffalo Bill jeszcze żył, musiałby zdobyć patent i poddać się badaniu psychiatrycznemu, zanim kupiłby naboje.

Nick przyznał pełną godzinę meksykańskiemu kanałowi Televisa. Fernando osłupiał, kiedy dowiedział się, kto przeprowadzi wywiad.

– Lolita Ayala? To gwiazda, pierwsza kobieta, która prowadziła program informacyjny. Nie ma już regularnych występów; angażuje się wyłącznie w ważne wydarzenia, jak upadek Muru Berlińskiego albo śmierć papieża. Resztę czasu poświęca własnej działalności.

Nick od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia. Wysłał Syda do ładowni, z wawo zapiął koszulę i skierował dyskusję na tematy kulturalne, opowiadając o emocjach, jakie towarzyszyły mu przy odkryciu kodeksu. „Wystarczy pokontemplować nieskazitelność ilustracji, by zrozumieć, że Majowie byli wielkim ludem” – oświadczył ze wspaniałą mieszanką entuzjazmu i pokory. Nalegał, żeby przewracać strony kodeksu przed kamerą, włożywszy uprzednio rękawiczki. Lolita Ayala spytała Nicka, czy zgodziłby się powierzyć jej księgę „na znak, że działa w dobrej wierze”. Nick elegancko odmówił, obiecując, że złoży w jej ręce cały zestaw artefaktów, gdy tylko on i jego ludzie zostaną należycie wynagrodzeni za swój wysiłek. Dziennikarka przyznała, że Nick zachował się uczciwie, zgłaszając swoje odkrycie; nie mogła tego samego powiedzieć o rządzie, który usiłował wypaczyć zasady dotyczące wód terytorialnych. Na koniec wyraziła nadzieję, że prędko znajdzie się rozwiązanie konfliktu, co leży „w interesie Meksyku oraz Meksykanów”.

Lena i ja śledziliśmy ten festiwal z podziwem. Nie zaskakiwało mnie, że

sformułowania Nicka osiągają zamierzony cel, wystarczająco wiele razy przećwiczyliśmy jego tekst. Nie podejrzewałem za to, że okaże się tak uzdolnionym aktorem. Potrafił uchwycić postać za pomocą trzech drobnych detali: pozy, gestu, jakim podnosił kołnierzyk koszuli albo przeczesywał włosy palcami, sposobu, w jaki zwracał się do załogi. Przed japońską dziennikarką skłonił się w pas, uścisnął rękę Francuza, a Amerykaninowi przybił piątkę i wykonał skomplikowany rytuał, który – jak mi się wcześniej zdawało – zarezerwowany był dla deskorolkarzy. Już w pierwszych sekundach rozmowy przełamywał lody dzięki subtelnemu koktajlowi autoironii, galanterii i meteorologicznej paplaniny. Gdyby ktoś obejrzał te reportaże po kolei, dostałby zawrót głowy, ale nie niepokoiłem się: każdy kraj zadowoli się historią, którą dla niego przygotowaliśmy.

Wkrótce po tym, jak ostatni dziennikarze zwinęli manatki, Vijay powiadomił nas, że meksykańska straż przybrzeżna udała się na „Discovery” na kontrolę. Czterech mężczyzn wspięło się na pokład. Wyglądali na nieuzbrojonych.

– Mają prawo tak sobie wejść na pokład? – spytała Bettina.

– Najwyraźniej, i korzystają z niego – odparłem.

– Oby tylko niczego nie zauważyli – wymamrotała Lena.

Jeremy czknął ze zdumienia.

– Ale co mogą zauważyć? Sądziłem, że przemieściliśmy łódź, żeby zatrzeć ślady!

– Nie mogliśmy pozwolić sobie na ryzyko, że marynarka zacznie przeczesywać zatokę – wyjaśniłem. – Pozostając nad wrakiem, Nick i jego ludzie mogą nadzorować go w dzień i w nocy.

– A więc znajduje się on poza obszarem wód terytorialnych – stwierdziła Liang.

– Tak, ale to nie ma znaczenia. Wiedzieliśmy, że Meksykanie tak czy inaczej będą rościć sobie do niego prawa. Dzięki temu możemy wziąć świat na świadka, że nie respektują reguł gry.

– Na jakiej głębokości spoczywa wrak? – zapytał Rodolfo.

– Około dwudziestu pięciu metrów. Jeśli wie się, gdzie patrzeć, można go dostrzec z pokładu.

– Za dnia – doprecyzowała Lena.

– A w nocy?

– Wkrótce się przekonamy – oznajmiłem.

Vijay opisał nam, co widzi przez lornetkę. Dwóch z czterech funkcjonariuszy straży przybrzeżnej poszło za Nickiem do kokpitu; pozostali rozglądali się po pokładzie.

– Założę się, że pracują dla GOPES – powiedział Fernando.

– GOPES? – powtórzyła Bettina.

– Meksykańskie siły interwencyjne. Zapoznają się z topografią statku, zanim przypuszczą atak.

Bettina spojrzała na mnie ze spanikowaną miną.

– Spokojnie – rzuciłem, próbując ukryć podenerwowanie. – Sytuacja jest pod kontrolą.

Po upływie półgodziny Nick i jego goście wynurzyli się z kokpitu, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

– Niewiele widzę, ale Meksykanie wyglądają na wściekłych – skomentował Vijay. – Zabierają się stąd.

Yakoub wybrał ten właśnie moment, żeby zadzwonić do mnie na komórkę. Bywał już w pogodniejszym nastroju.

– Czego ja się dowiaduję? Meksykanie przeszukują „Discovery”?

– To zwykła kurtuazyjna wizyta – odrzekłem. – Właśnie zwinęli obóz.

– Nie podoba mi się to. Trzeba przyspieszyć moment kulminacyjny.

– Przykro mi, ale to Nick pociąga za sznurki. Stąd nie mogę nic zrobić.

– Martin mówi, że wyślą marines, a przynajmniej ich lokalny odpowiednik.

– Facetów z GOPES, tak, istnieje taka ewentualność. Wszystko przewidzieliśmy.

– Miło mi to słyszeć – mruknął Yakoub.

8

Nazajutrz rano wiadomości nie były wcale lepsze. Vijay, który spędził noc na morzu, zasygnalizował nietypowe poruszenie na pokładzie „Discovery”. Nick wydawał się bardzo przejęty. Chodził tam i z powrotem, wyrzaskiwał instrukcje i co chwila przechylał się nad relingiem. Glenn zanurkował nawet z maską, żeby poddać inspekcji kadłub.

Nad ranem, po trzydziestu sześciu godzinach pożaru, nastąpił wyciek z platformy Deepwater. Szanse na odnalezienie jedenastu zaginionych malały z godziny na godzinę. Niedługo później CNN ogłosiła wiadomość, której wszyscy się obawialiśmy: według amerykańskiej straży przybrzeżnej z wieży wiertniczej wydobywało się około osiem tysięcy baryłek ropy dziennie. Rozległa plama zaczęła tworzyć się wokół miejsca, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się platforma. Wkrótce wysłano tam dwie automatycznie sterowane łodzie podwodne, które miały podjąć próbę zatkania studni. BP oceniała wyciek na tysiąc baryłek dziennie, co było poważnie zaniżoną wartością, która nikogo nie zwodziła. Podczas oszłamiającego pokazu słownej ekwilibrystyki prezes brytyjskiej grupy zrzucił odpowiedzialność za wypadek na Transocean, operatora platformy, jednocześnie zapewniając władze o swojej współpracy i wyrażając współczucie dla rodzin ofiar. Analitycy finansowi próbowali oszacować straty, bazując na wcześniejszych wyciekach. Wedle powszechnej opinii, jeśli plama dosięgnie wybrzeży Florydy, wydatki trzeba będzie liczyć w dziesiątkach miliardów dolarów.

Stowarzyszenia ekologiczne wskazywały na cynizm BP, która ich zdaniem zignorowała znaki zwiastujące tragedię. „Firmy paliwowe wolą od czasu do czasu zaksięgować śmierć, niż zainwestować w bezpieczeństwo swoich pracowników” – oświadczył na kanale ABC rzecznik prasowy pewnej kanadyjskiej organizacji, a następnie wskazał palcem rządu, które lekką ręką wydają pozwolenia na eksploatację. „Kiedy katastrofa ekologiczna tych rozmiarów zdarza się w Dzień Ziemi, to znaczy, że nadszedł czas, by zmienić politykę energetyczną”.

Ten ferment nie współgrał z naszymi planami. US Air Force już przestawiły

satelity obserwacyjne, nakierowując je na Nowy Orlean. Transocean, BP, Greenpeace, amerykańska agencja do spraw ochrony środowiska i wiele innych wysłało łodzie i helikoptery, a to, by próbować zatamować wyciek, a to, by zebrać dowody z myślą o gigantycznym procesie sądowym, który się szykował. Przede wszystkim zaś groziło nam, że plama ropy odbierze nam status gwiazdy. Pojawiała się na pierwszych stronach wszystkich dzienników. Garstka reporterów wyjechała nawet z Emporio.

Ale nasz główny powód do niepokoju leżał gdzie indziej. Lena bała się, że agenci z GOPES wykorzystają to niespodziewane odwrócenie uwagi, żeby zaatakować. Ja, może naiwnie, skłaniałem się raczej ku myśli, że kapitał sympatii, jaki zgromadził Nick, chroni go przed niebezpieczeństwem. Miałem tylko nadzieję, że Australijczyk zdaje sobie sprawę z wagi katastrofy i potencjalnych reperkusji, jakimi może się ona odbić na naszej operacji.

Akurat gdy rozważaliśmy możliwość wysłania Leny na „Discovery” pod przykrywką duńskiej reporterki, na antenie zjawiała się Gail Anderson z sensacyjną wiadomością.

– Właśnie dowiedzieliśmy się, że wobec odmowy podjęcia dialogu przez meksykańskie władze Nick Flynn grozi wysadzeniem odkrytego przez siebie wraku Majów. W wysłanym przed kilkoma minutami komunikacie, któremu towarzyszyło zdjęcie czegoś, co przypomina ładunki wybuchowe, kapitan „Discovery” powtarza swoje żądania: chce oficjalnych podziękowań, kontraktu na dokończenie eksploracji wraku oraz ryczałtowego wynagrodzenia. Więcej informacji w najbliższym wydaniu wiadomości.

– To było przewidziane? – spytała nieśmiało Bettina.

– Tak – potwierdziłem. – Ale nie tak szybko.

Nick postanowił przyspieszyć tempo. Było to prawdziwe ryzyko. Początkowy plan zakładał, że zbuduje swój wizerunek w kilku etapach. Przygotowałem mu cały zapas naboju – dziewczynę czekającą na niego w kraju, inne mityczne eksploracje, a nawet dawnego załoganta, który miał opowiedzieć, jak Australijczyk ocalał go przed utonięciem w rozszalałych falach przyłądka Horn. Nick powinien wystrzeliwać je stopniowo, tak, aby w dniu, w którym zagrozi wysadzeniem wraku, publiczność stanęła po jego stronie. Czy jego wskaźnik popularności osiągnął wystarczający poziom? Było to bardzo mało prawdopodobne.

– Nadchodzące godziny okażą się krytyczne – uznałem. – Zdecydują, czy Nick jest bohaterem, czy wandalą, idealistą gotowym umrzeć w imię zasad, czy szantażystą bez czci i wiary. A my musimy wywrzeć wpływ na percepcję publiczności.

Jeremy i Marina pospieszyli na Facebooka. Strona Lindy Gibson liczyła obecnie pięć milionów członków, którzy z założenia stanowili naszych najlepszych sojuszników. Niektórzy, widząc w Nicku nowego Gandhiego, twierdzili, że rozczarował ich jego postępek. Jeremy, za pośrednictwem jakichś dziesięciu pseudonimów, wyjaśnił im, że w wyjątkowych sytuacjach, począwszy od rewolucji goździków, na amerykańskiej wojnie o niepodległość skończywszy, użycie przemocy może zostać usprawiedliwione. Marina wrzuciła do sieci wywiad Lolity Ayali, który chwalił czystość zamiarów Nicka i wznawiał polemikę na temat definicji wód terytorialnych.

Twitter był w tamtym czasie znany z tego, że dość często się zawieszał. W przypadku wzmożonego ruchu nierzadko zdarzało się, że serwis odmawiał użytkownikowi dostępu albo że jego ostatnie wiadomości przepadały. Manuela wykorzystała to, aby usunąć tysiące negatywnych tweetów i tymczasowo uniemożliwić ich autorom ponowne zalogowanie się.

Lena skierowała swoją uwagę na internetowe sondaże, które osobiście uważałem, z tymi ich uproszczonymi pytaniami i brakiem naukowej dyscypliny, za zagrożenie dla demokracji. Yahoo, „Asahi Shimbun”, „Libération”, „Bild” i wiele innych portali prosiło czytelników o ocenę postępowania Nicka. Bombardując ich serwery tysiącami głosów, Lena zdołała znacznie zaważyć na rezultatach. Gazeta „USA Today” ogłosiła na przykład, w żaden sposób nie weryfikując danych, że siedemdziesiąt trzy procent Amerykanów opowiada się po stronie Nicka, podczas gdy prawdziwy wynik – zakładając, że jako jedyni manipulowaliśmy liczbami – zbliżał się raczej do pięćdziesięciu pięciu procent.

Ja z kolei wędrowałem od jednego do drugiego biurka, podszeptując fragmenty tekstu, takie jak „współczesny ukrzyżowany”, „Robin Hood”, „Kapitan Nick”, „ucisk jednostki” czy „Dawid i Goliat”. Nie było to nic wielkiego, ale tylko tyle mogłem zrobić.

Okolo piętnastej Frank przerwał pasjonujący reportaż złożony z pierwszych informacji o rozpoczynającym się sezonie bejsbolowym.

– Czas na aktualności! – zagrział, wchodząc w słowo komentatorowi sportowemu w chwili, gdy ten opowiadał na pierwszym kanale informacyjnym naszej planety, że Colorado Rockies oddali hołd swojemu zmarłemu prezesowi. – Przenieśmy się do Veracruz, gdzie znajduje się Gail Anderson.

Minęło kilka sekund, zanim nawiązali połączenie. Gail siedziała na swoim tekowym krześle naprzeciwko Nicka, który na tę okazję miał bezprzewodowy mikrofon przypięty do kołnierzyka białej koszulki. Wyglądał na zatroskanego, lecz zdecydowanego.

– Dzień dobry, Nick. Zanim zaczniemy, dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć i udzielić CNN wywiadu na wyłączność.

– Bardzo proszę, Gail. Od tego momentu będzie pani jedyną osobą wpuszczaną na tę łódź.

Dziennikarka zarumieniła się z radości, ale inteligentnie postanowiła nie brnąć dalej: dyrektor stacji siedział przed telewizorem, nie trzeba było nic dodawać.

– Co się wydarzyło tego ranka? Potrzebujemy wyjaśnień!

– Och, i dostaniecie je. O piątej rano moi ludzie nakryli nurków, którzy przyплыли stamtąd. – Wskazał fregatę „Guadalupe Victoria”. – Przy pomocy wiatrówki zmusiliśmy ich do odwrotu. Wiali, aż się kurzyło!

– Myśli pan, że próbowali przejąć kontrolę nad łodzią?

– To możliwe. Ale przede wszystkim muszę coś pani zdradzić: wrak znajduje się tuż pod nami...

– Jak to! Sądziłam, że przesunął pan „Discovery”...

– Miałbym zostawić wrak bez nadzoru? Nie ma mowy! Jest tam od samego początku. Chce go pani zobaczyć?

– Z przyjemnością – odparła Gail, zrywając się na równe nogi.

Dała kamerzyście znak, żeby poszedł za nią ku bakburcie.

– Proszę spojrzeć – polecił Nick, chwytając dziennikarkę za ramię. – Niech pani patrzy wzdłuż uchwytu drabinki. Teraz w dół. Widzi pani?

– Widzę! Mamy go na wizji?

Nie mieliśmy. Mimo wzmoczonych wysiłków kamerzyście nie udało się ująć wraku w kadr.

– Sądziłam, że zatoka jest głębsza – powiedziała Gail, ponownie siadając.

– Bo jest. Mieliśmy dużo szczęścia: wrak osiadł na zboczu podmorskiej góry.

Kilka metrów w bok, a nigdy byśmy go nie odnaleźli.

– Myśli pan, że nurkowie usiłowali po kryjomu go opróżnić?

– Dałbym sobie za to rękę uciąć. Wczoraj złożyli mi wizytę funkcjonariusze straży przybrzeżnej. Musieli zauważyć wrak na swoich radarach albo zdjęciach satelitarnych i przyплыnęli, żeby przekonać się o jego obecności na własne oczy. Udawali, że chcą podyskutować o tym i o owym, poprosili o dwadzieścia cztery godziny do namysłu, a o świcie dziwnym trafem zastają ich pluskających się przy moim kadłubie! Może łowili mule?

– To mało prawdopodobne – uznała Gail, która w szkole dziennikarskiej nauczyła się, by nigdy nie pozostawiać pytania bez odpowiedzi.

– Meksykański rząd leci sobie ze mną w kulki! Wie, że kończą mi się zapasy żywności i że nie mam już z czego opłacać swoich ludzi, więc to wykorzystuje. Ale przecież nie żądam niemożliwego! Chodzi o zwykłe „dziękuję” i kontrakt na wyłowienie wraku. Proszę popatrzeć, nawet przygotowałem kosztorys.

Wyjął z kieszeni kartkę, rozłożył ją i przycisnął do kamery. Plama tłuszczu, którą Lena zrobiła w lewym dolnym rogu, wciąż tam była. Nick cofnął kartkę.

– Niech pani posłucha, przeczytam, co tu stoi. Eksploracja wraku: sześć dni, siedem i pół tysiąca dolarów. Wyciąganie: dwa dni, dziewięć tysięcy dolarów. Holowanie do Veracruz: jeden dzień, sześć tysięcy dolarów. Wypożyczenie sprzętu (łodzi podwodnej, skafandrów, robota): dziewięć dni, cztery tysiące dolarów. Inne opłaty: trzy procent ryczałtu, jak to jest w zwyczaju. Łącznie: sto osiem tysięcy dolarów. No dobra, powiedzmy sto tysięcy dolarów w ramach specjalnej oferty handlowej.

Obmacał kieszenie w poszukiwaniu długopisu, żeby poprawić propozycję.

– Sto tysięcy dolarów – powtórzyła Gail. – Nie wydaje się to wygórowaną ceną.

– Owszem, to prawdziwa okazja! Widziała pani, że nawet nie liczę kosztów podróży? Nie znam nikogo w tym zawodzie, kto przyjąłby tę robotę za mniej niż dwieście tysięcy.

Wycelował oskarżycielsko palcem we fregatę.

– Meksykanie już wydali fortunę na nadzorowanie mnie. Wie pani, ilu gości mieści się na takiej zabaweczce? Nie wspomnę już nawet o motorówkach i helikopterach. Nie, to nie jest kwestia pieniędzy.

– Więc czego? Dumy narodowej?

– Oczywiście. Rząd wścieka się, że podskakuje mu australijski wieśniak. Pręży muskuły, bo zbliżają się wybory. Ale jest jeszcze coś...

– Co takiego? – szepnęła Gail, pochylając się w przód na znak, że szykuje się do przyjęcia sekretu.

– Tak szczerze, nie uważa pani, że to podejrzane, ten upór, żeby samodzielnie przeprowadzić wyławianie?

– Trochę tak. Co pan o tym myśli?

– Parę dni temu słyszałem eksperta, który twierdził, że kodeks może pójść za sto milionów. Ile zarabia meksykański funkcjonariusz? Czteryście dolarów miesięcznie? W każdym razie nie więcej niż pięćset...

Gail przybrała posępny wyraz twarzy, jak za każdym razem, gdy jej zawód konfrontował ją z mrokami ludzkiej duszy.

– Czy właśnie oskarża pan członków straży przybrzeżnej o to, że chcą położyć łapę na artefaktach?

– Nikogo nie oskarżam – odrzekł Nick. – Ale korupcja w tym kraju stanowi prawdziwy problem. Zna pani wyrażenie *plata o plomo*? „Pieniądze albo ołów”, oto wybór, przed jakim stają meksykańscy policjanci. Pracują dla karteli albo kończą jako pokarm dla rybek. Od tygodnia zbierałem informacje: nielegalny handel dziełami sztuki kwitnie w tym regionie. W Meksyku, Peru, Gwatemali profesjonalne gangi rabują stanowiska archeologiczne. Jak, pani zdaniem, wywożą artefakty z kraju? Na pewno mają wspólników w służbach celnych. Powiem raz jeszcze, nikogo nie atakuję, ale z własnego doświadczenia wiem, że w każdej administracji znajdują się czarne owce...

– Nawiązuje pan do przykrej przygody, która spotkała pana w dwa tysiące czwartym?

– Tak. Sytuacja nie różniła się tak bardzo od obecnej. Znalazłem skarb, którym byłem gotów się podzielić zgodnie z warunkami pozwolenia. W rezultacie garstka kanciarzy napchała sobie kieszenie, podczas gdy ja zostałem z ręką w nocniku. Co do Indonezyjczyków, sądzi pani, że widzieli te pieniądze na oczy? Fige!

– Proszę wybaczyć to nieco brutalne pytanie, ale jaką mamy gwarancję, że nie zatrzymacie niektórych artefaktów dla siebie?

Nick odwrócił się do kamery, aby nawiązać kontakt z narodem meksykańskim.

– Dwie rzeczy. *Primo*, filmujemy wszystkie nasze podwodne operacje. Kiedy

któryś z chłopców znajduje jakiś przedmiot, pokazuje go do kamery, zanim schowa do torby. Nagrania udostępniam do publicznej wiadomości. *Deuxio*, po każdym nurkowaniu pozwolimy straży granicznej przeszukać łódź. A proszę spytać rządu, czy zgodziłby się na coś takiego...

– A jednak, dlaczego zagroził pan, że wysadzi wrak?

– Żeby w końcu zaczęto mnie słuchać. Mam dość tego, że traktuje się mnie jak pajaca. W tej właśnie chwili dwaj z moich ludzi przyczepiają do kadłuba wraku materiały wybuchowe.

– Materiały wybuchowe pod wodą?

– Czasami posługujemy się nimi, żeby wysadzić skały. Detonator mieści się w kieszeni. Najmniejszy podejrzaný ruch, a wszystko pójdzie w drzazgi.

– Wliczając w to „Discovery”?

– Wliczając w to „Discovery”.

– Dlaczego, Nick? Czemu ryzykuje pan życie dla kodeksu, o którego istnieniu jeszcze przed tygodniem nawet pan nie wiedział?

Nick zastanawiał się przez kilka sekund, potem utkwiał wzrok w oczach Gail.

– Dlaczego? Dla zasady. Mam dosyć tego, że pouczają mnie biurokraci, którzy nigdy nie ruszyli dupy z krzesła i którzy tłumaczą, że potrzebuję pozwolenia, by odkryć narodowy skarb. A co oni znaleźli, he?! Nie licząc błędów ortograficznych w fakturach za dostarczony towar. Odgrzebuję im legendarny wrak, a oni nie pozwalają mi uszczknąć ani kawałka z zysku? Uważa pani, że to normalne? A kiedy mam czelność poprosić o małe co nieco, zaraz zaczynają się groźby. Proszę zauważyć, że jestem do tego przyzwyczajony: Indonezyjczycy wtrącili mnie do więzienia; co zrobią Meksykanie: zabiją jak psa?

Wstał, rozłożył ramiona i odwrócił się plecami w stronę „Guadalupe Victorii”, pokazując do kamery ogromną, czerwoną tarczę wymalowaną na koszulce.

– No dalej, chłopaki! – ryknął na całe gardło. – Jak na szkoleniu!

Z brzegu kadru Gail pozwoliła uwiecznić, jak osuwa się niżej na siedzeniu z obawy przed zarobieniem kulki.

– Nie? Nie ma tam amatorów strzelnicy? – rzucił Nick przez ramię. – Tym gorzej dla was, to była jedyna w swoim rodzaju okazja, żeby pojawić się w telewizji!

Usiadł z powrotem, nabuzowany adrenaliną.

– Pajace, mówię pani! Ugną się, zanim ja to zrobię. Proszę wybaczyć, Gail, poniosło mnie.

Dziennikarka, wciąż pod wpływem szoku, biedziła się z odszukaniem wątku rozmowy.

– Gdzie to byliśmy? Ach tak... Nie jest pan na pokładzie sam, Nick; jak pańscy ludzie przyjmują pana inicjatywę?

– Dobrze. Świetnie. Nadajemy na tych samych falach.

– Naprawdę? Oni również są gotowi umrzeć za stary foliał?

– Czemu ich pani o to nie spyta? – odparował Nick. Przykładając złożone dłonie do ust, zawołał: – Glenn, chodź no tu!

Ten kilka sekund później wyłonił się z kokpitu z odwieczną czapeczką amerykańskiej marynarki naciśniętą na czaszkę.

– Znam tego gościa! – wykrzyknęła Manuela. – Poprawiał moją teczkę o Botticellim.

Specjalista od renesansu ustawił się na pokładzie, czekając na instrukcje.

– Glenn – odezwał się Nick – przedstawiam ci Gail Anderson z CNN. Chciałaby ci zadać parę pytań.

– Pewno.

– Jaką funkcję pełni pan na statku? – zagadnęła dziennikarka.

– Jestem drugi, zara po Nicku. Kontroluje operacje i nadzoruje załogę.

– Jakie jest pańskie spojrzenie na trwające obecnie negocjacje?

Glenn zwrócił nierozumiejące oczy na szefa.

– Gail chciałaby wiedzieć, co o tym wszystkim myślisz – przetłumaczył Nick.

– Myśle, że to obrzydliwe. Odwaliliśmy całom robote, a Meksykanie, przepraszam, Meksykanie, nie chcom nam zapłacić tego, co nam się należy.

– Co wam się należy?

– No tak, według kosztorysu, co go Nick zrobił. A do tego jeszcze mały napiwek.

– A pańscy załoganci, Glenn, co oni o tym sądzą?

– To samo. Jesteśmy wkurzeni.

– Jest pan gotów umrzeć, broniąc swoich zasad?

Glenn zawahał się przez pół sekundy.

– Umrzeć to ni wim. Ale zrobić totalną rozwałkę, to tak!

– Dzięki, koleś – powiedział Nick, szturchając go pięścią w udo. Odwrócił się do Gail. – Lecimy dalej, czy ma już pani dosyć?

Frank w Atlancie nie pozostawił dziennikarce czasu na odpowiedź.

– Dziękujemy, Gail. Wróćmy teraz do studia, żeby obejrzeć konferencję prasową BP transmitowaną bezpośrednio z Londynu.

– Uff – westchnęła Lena. – Uratowani przez gong! Sądzisz, że miał pod ręką innego załoganta?

– Nie mam zielonego pojęcia – odrzekłem. – Gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że blefował.

W oczach Leny wyczytałem tę samą ulgę, którą widziałem parę minut wcześniej u Gail. A jednak moim zdaniem występ Nicka, technicznie nienaganny, wiązał się z paroma niepokojącymi kwestiami. Opracowaliśmy wspólnie kilka scenariuszy, wśród których mógł lawirować zależnie od okoliczności. W moim ulubionym, tak zwanym „szaleńcu”, nagromadzenie trudności – spór z administracją, wyczerpujące się zapasy, groźby buntu ze strony załogi i tak dalej – kładło kres oporowi Nicka. Doprowadzony do ostateczności miał wycofać się do kokpitu z naszyjnikiem dynamitu wokół szyi i postawić armii meksykańskiej ultimatum. Scenariusz „korupcja” stanowił dopiero trzecią czy czwartą możliwość. Nick zwrócił się bezpośrednio do Meksykan, twierdząc mniej więcej tyle, że z nim kodeks ma większe szanse na trafienie do muzeum niż z funkcjonariuszami straży przybrzeżnej. Wasze władze podbierają wam kasę; ja jestem porządnym gościem; komu wolicie powierzyć największy skarb archeologiczny ostatniego stulecia? Było to przekonujące, lecz niekoniecznie poruszające.

Spędziłem wieczór na zastanawianiu się, co mogło skłonić Nicka do wprowadzenia zmiany. Czyżby nurkowie z „Guadalupe Victorii” coś zauważyli, zanim zmusiły ich do ucieczki serie z wiatrówki? A może straż przybrzeżna zagroziła Nickowi, że wyrówna z nim rachunki, jeśli ten odmówi współpracy? Albo rząd zbyt szybko przystał na nasze żądania, pozbawiając Nicka elementu dramatycznego, którego potrzebował do swojego wielkiego finału?

Gnębiła mnie także kwestia załogi. Jasne, ludzie, których zatrudniliśmy, wiedzieli, na co się piszą. Dostali po pokaźnej sumce przed wypłynięciem, a jeśli misja się powiedzie, mieli otrzymać dużo więcej. Nie wyjawiając wszystkich szczegółów operacji, przygotowaliśmy ich na pewną dozę pantomimy, ale

z pewnością nie spodziewali się, że przyjdzie im przetrwać atak elitarnych meksykańskich sił specjalnych. Czy Nick uprzedził ich o swoim zamiarze, czy też z zaskoczenia dowiedzieli się, że mogą skończyć rozrzućeni na cztery strony zatoki Veracruz? W obu przypadkach mechanik Osborne niewątpliwie spróbuje odwrócić sytuację na swoją korzyść.

Moje ostatnie myśli skierowały się ku Sydowi. Nie widziałem go na pokładzie „Discovery”. „Oby to nie znaczyło, że rzucił się do wody, by rozszarpać meksykańskich nurków na kawałki”, pomyślałem, osuwając się w sen.

9

Nazajutrz dostałem tryumfalnego maila od Niny. Obecne wydarzenia potwierdzały to, co od lat próbowała mi wytłumaczyć, bezskutecznie zdzierając sobie gardło: firmy paliwowe wykrwawiały planetę, zanieczyszczają powietrze, którym oddychamy, a teraz jeszcze zatruwały oceany. Eksplozja platformy Deepwater to jedynie pierwsza z serii klęsk, które sprowadzą na ludzkość zagładę, jeśli nie obali ona dyktatury paliw kopalnianych. Znakiem, że ludzie zdali sobie z tego sprawę, były dotacje, które spływały do Jöro od czterdziestu ośmiu godzin. Nina zatrudniła dwie osoby z agencji pracy tymczasowej do odbierania telefonów, a w załączniku przesyłała mi artykuł, który właśnie poświęciła jej gazeta „Fréttablaðið”. W jej wiadomości nie znalazłem żadnej wzmianki o jedenastu pracownikach, którzy stracili życie, zagrożonych gatunkach czy osobach zajmujących się turystyką, które stanęły w obliczu topniejących rezerwacji; czasami zastanawiałem się, czy ekolodzy przypadkiem nie cieszą się z katastrof, przeciw którym rzekomo walczą.

Przebiegłem wzrokiem artykuł we „Fréttablaðið”. Utrzymany w wielce pochwalnym tonie opisywał nietypowe doświadczenia Niny, która dorastała w Południowej Afryce, gdzie „złapała bakcyła aktywizmu”, aby następnie wyemigrować do Reykjavíku. Nina, tak jak ja, bardzo młodo straciła ojca. Pamiętałem, że został zabity w bójce; rzeczywistość okazała się jeszcze bardziej tragiczna. Brett Schoeman, mimo że wywodził się z bogatej rodziny właścicieli ziemskich, walczył dla Afrykańskiego Kongresu Narodowego Nelsona Mandeli. Chodził od drzwi do drzwi po slumsach Johannesburga, pragnąc przemówić do rozumu pijanym wściekłością nastolatkom i przekonać ich, by złożyli broń. Czy był świadkiem sceny, której nie powinien oglądać? Czy ktoś podał w wątpliwość szczerą intencję tego Afrykanera, który opowiadał się za reformami, w wyniku których sam mógłby stracić wszystko? Tego nikt się nigdy nie dowie. Podziurawione kulami ciało Brett Schoemana znaleziono na niezagospodarowanej działce. Policja nawet nie wszczęła śledztwa, stwierdziwszy, że każdy biały zapuszcza się do Soweto na własną odpowiedzialność. Nina skomentowała to

jedynie w ten sposób: „Tata znał ryzyko, ale nie potrafił siedzieć z założonymi rękami. To było zwyczajnie ponad jego siły”. Teraz przypomniała mi się reszta historii: pani Schoeman ponownie wyszła za mąż za islandzkiego handlowca, który wychował Ninę i jej brata niczym własne dzieci.

Jeśli chodzi o nas, Nick właśnie wygrywał bitwę o opinię publiczną. Zdjęcie przedstawiające go z rozłożonymi ramionami, oferującego własne plecy strzelcom wyborowym z „Guadalupe Victorii”, znalazło się na pierwszych stronach wszystkich dzienników.

Jednakże ton artykułów diametralnie różnił się w zależności od kraju. Dla „Wall Street Journal” Nick był uosobieniem „rewolty jednostki wobec biurokratycznej opresji i absurdalnego nagromadzenia regulacji”. Bardziej czuły na niuanse „New York Times” przypominał, że Meksyk w ciągu roku wspiął się o siedemnaście miejsc w klasyfikacji najbardziej skorumpowanych krajów świata, co stanowiło „znak, że przemówienia Felipe Calderóna o stanowczości wcale nie przekładają się na rzeczywistość”. „Istnieje ryzyko, że oskarżenia pana Flynna będą drogo kosztowały partię prezydenta podczas najbliższych wyborów rządowych” – dodawał „Times”.

We Francji adorowano Nicka, odkąd zadeklarował, że działa nie dla pieniędzy, ale przez wzgląd na zasady. „W świecie, który pogardza ideałami, a gloryfikuje majątek, otuchą przepelnia fakt, że wciąż istnieją ludzie gotowi umrzeć za swoje przekonania” – pisała „L’Humanité”. Według „Le Monde” historia „Discovery” zachęcała do ujednoczenia narodowych legislacji. „Jaki system socjalny stosuje Nick Flynn względem swoich ludzi? Gdzie wpłaca dla nich składki emerytalne? W jakiej walucie je odkłada i w jaki sposób chroni je przed zmianą kursu? Oto pytania, które powinny sobie zadać Narody Zjednoczone oraz Międzynarodowe Biuro Pracy” – oceniał jakiś dziennikarz.

W Japonii uczniowie paradowali w koszulkach z podobizną Nicka. Pewien producent telewizyjny zamierzał wypuścić serię animacji opowiadających o przygodach nowofundlanda Syda. Angielskojęzyczne wydanie „Yomiuri Shimbun” chwaliło kapitana „Discovery” jako „obrońcę kultury, strażnika pewnej koncepcji honoru i tradycji”. Wersja japońska, z której Yûichiro przeczytał nam fragmenty, ośmieliła się nawet przyrównać postępowanie Nicka do losu Mishimy, pisarza nurtu estetycznego, który w 1970 roku popełnił harakiri po nieudanym

zamachu stanu.

Resztę wiadomości poświęcono plamie ropy. Wciąż nie było dokładnie wiadomo, jak poważny jest wyciek: szacunki wahały się między tysiącem baryłek dziennie według BP a stoma tysiącami według niezależnych ekspertów, do tego zaś trzeba będzie wkrótce doliczyć całe góry corexitu, środka chemicznego o właściwościach rozszczepiających. Tony Hayward, prezes BP, wzbudził oburzenie stwierdzeniem, że „tak niewielka ilość toksycznych substancji nie wywrze niemal żadnego wpływu na tak rozległy ocean”, co stanowiło pierwszą spośród serii gaf, które miały go ostatecznie kosztować fotel.

Manuela i spółka kontynuowali pracę nad manipulacją portalami społecznościowymi, przedkładając obecnie jakość nad ilość. Podział płciowy publiczności odwiedzającej poświęcone Nickowi strony, początkowo złożonej w głównej mierze z kobiet, stopniowo się balansował. Obietnica paru wybuchów rozbudziła męską część populacji. Weterani wojny w Zatoce spekulowali na temat siły eksplozji: zgadzano się, że zmiecie „Discovery”, ale czy okaże się na tyle silna, by rozerwać na strzępy załogę? Członkowie NRA zastanawiali się, jaką bronią dysponują strzelcy wyborowi z „Guadalupe Victorii” i czy zdają sobie sprawę z odchylenia powodowanego siłą wiatru przy tak bliskiej odległości. Ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu kilku blogerów przewidywało bunt załogi, przywołując wcześniejsze przykłady ze *Ścieżek chwały* i *Pancernika Potiomkina*.

W międzyczasie CNN uzupełniała doniesienia. Konsultanci analizowali każde zdanie wywiadu z poprzedniego dnia. Każdy mierzył własną miarą. Tam gdzie emerytowany admirał w butnej postawie Nicka podziwiał „śmiały czyn z rodzaju tych, które wzbudzają entuzjazm w szeregach”, psychiatra wskazywał na „zapędy samobójcze i teatralizację konfliktu wewnętrznego”. Indonezyjski ambasador wpadł w pułapkę; sądził, że zaproszono go, aby zaprzeczył zarzutom Nicka, tymczasem musiał wytłumaczyć, w jaki sposób przy swojej skromnej pensji dyplomaty wszedł w posiadanie kilku nieruchomości w Dżakarcie.

W południe Gail zaczęła nadawać z portu, by ogłosić, że „drugi okręt wojenny kieruje się w stronę »Discovery«”. Frank natychmiast zwrócił się do byłego admirała, który włożył okulary i bez cienia wątpliwości rozpoznał niszczyciel typu Gearing.

– Niezwykle niezawodna jednostka – zauważył. – Używaliśmy jej w marynarce

aż do lat siedemdziesiątych. Czteryście stóp, prędkość trzydziestu sześciu węzłów...

– Jest uzbrojona?

– Oczywiście, że jest uzbrojona! A co pan myślał? Że wyruszyła na połów krewetek?

– O jakiego rodzaju broni mówimy? – spytał Frank, przyzwyczajony do tego, że zaproszeni goście traktują go jak wycieraczkę.

– No cóż, ma pan na przykład oerlikony. To dwudziestomilimetrowe automatyczne armaty, które mogą wystrzelić czterysta pięćdziesiąt pocisków na minutę na odległość pięciu kilometrów.

– Ach tak, ale mimo wszystko...

– No dobrze, jeśli naprawdę chce pan narobić szkód, bardziej opłaca się użyć pięciocalowego marka kaliber trzydzieści osiem. Można go podnieść tylko pod kątem trzydziestu pięciu stopni, ale strzela dwudziestopięciokilogramowymi pociskami.

– Które mogłyby spowodować poważny przeciek na „Discovery”.

– Które mogłyby spowodować poważny problem dla wszystkich przebywających na „Discovery” – poprawił admirał; w dobie cyberterrorizmu i wojny bakteriologicznej najwyraźniej zachował wiarę w tradycyjne uzbrojenie.

Gail wyciągnęła mikrofon w stronę Juana Pabla Bustamante, który nie uronił ani słowa z tej wymiany zdań.

– Panie Bustamante, czy potwierdza pan, że do „Guadalupe Victorii” dołącza obecnie niszczyciel?

– Tak – odrzekł ponuro dyrektor urzędu celnego, gładząc wąsa.

– Czy ma rozkaz zatopić „Discovery”?

– Na to pytanie nie odpowiem. Mogę jedynie powiedzieć, że meksykański rząd nie będzie dłużej negocjował pod naciskiem. Aktualnie rozważamy wszystkie opcje, wliczając w to te najbardziej radykalne.

– Dziękuję, panie Bustamante. Jak słyszałeś, Frank, wciąż panuje tu atmosfera niepewności. Za moment wyprawię się na pokład „Discovery” z nadzieją, że nie trafię pod grad kul.

Uśmiechnęła się dzielnie do kamery. Jej kariera właśnie zaliczyła kolosalny skok.

Lena dała mi znak, żebym wyszedł z nią na klatkę schodową.

– Martwię się o Nicka – oznajmiła. – Teraz niszczyciel? Co to będzie następnym razem? Lotniskowiec?

– To blef. Próbują zrobić wrażenie na załodze. Gdyby chcieli posłać „Discovery” na dno, wystarczyłaby torpeda z fregaty.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście – zapewniłem z wymuszonym przekonaniem.

– Boję się, że sytuacja wymknie nam się z rąk. Na papierze wyglądało to tak prosto.

– Spodziewałem się, że napotkamy jakieś trudności. I Nick także. Wierzę w niego.

– Jeśli coś mu się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę – oświadczyła Lena.

– Jemu czy jego dziewięciu załogantom? – spytałem; nie mogłem się powstrzymać.

Lena obrzuciła mnie pogardliwym spojrzeniem i pchnęła drzwi kwatery głównej.

O czternastej Frank ogłosił „znaczący przełom w karaibskiej utarczce (sic)”. Fotomontaż przedstawiał Nicka w rozpiętej koszuli i okularach przeciwsłonecznych wetkniętych we włosy stojącego naprzeciwko metalowego potwora najeżonego armatami. Jakies pięćdziesiąt reklam później na antenie pojawiła się Gail ubrana w okolicznościową bluzkę khaki. Nick, przykucnięty na pokładzie, pieścił Syda. Podniósł się niechętnie, jakbyśmy przerywali mu uświęcony rytuał. Miał na sobie tę samą koszulkę co poprzedniego dnia.

– Dzień dobry. Dobrze pan spał?

– Ależ tak, Gail – odparł Nick, posyłając Sydowi całusy. – Jak to mówią, snem sprawiedliwego.

– Ma pan nowego sąsiada?

– Widziała pani? To dopiero duża łódka. Jak pani myśli, ilu ludzi niesie na pokładzie? Dwustu pięćdziesięciu? Trzystu?

– Nie boi się pan?

– Czemu miałbym się bać? Ja też jestem uzbrojony.

Sięgnął dłonią za plecy i wyjął plastikowy pistolet ze strzałką zakończoną małą czerwoną przyssawką. Dodając do gestu słowa, wyliczył:

– Wkładasz nabój do lufy, ładujesz, cel i pal.

Gail roześmiała się serdecznie.

– W obliczu dwudziestopięciokilogramowych kul może się to okazać niewystarczające!

– Ależ skąd, proszę spojrzeć.

Skierował pistolet w stronę niszczyciela i nacisnął spust. Pocisk przeleciał nad relingiem, po czym zniknął w wodzie.

– Ups – rzucił Nick, dmuchając na lufę. – Będę się musiał podszkolić.

Gail na nowo przybrała poważny ton.

– Paru bogatych Meksykanów zgłosiło się tego ranka z propozycją znalezienia pomyślnego rozwiązania obecnego kryzysu. Carlos Slim, trzeci najbogatszy człowiek świata, oferuje panu pięćset tysięcy dolarów do podziału z pańskimi ludźmi, jeśli dostarczy pan zawartość wraku w nienaruszonym stanie.

– To niezwykle hojne ze strony pana Slima, ale odmawiam. To rząd odniesie najwięcej korzyści z naszego odkrycia i to on musi zapłacić.

– Jest pan gotów zrezygnować z czterystu tysięcy dolarów ze względu na zasady?

– Ależ tak – odrzekł, spoglądając na Syda, który lizał sobie łapę. – Przecież cały czas powtarzam, że nie robię tego dla pieniędzy!

– Słyszałeś, Frank? – upewniła się Gail. – Sądzę, że nie potrzeba tu komentarza.

– Yyy, faktycznie – przytaknął Frank, który właśnie drapał się po nosie.

Podejmując wysiłek, by dodać rozmowie dramatyzmu, Gail rzuciła:

– Atmosfera na „Discovery” musi być tak gęsta, że aż trudno oddychać...

– Hm – mruknął Nick. – Bywało gorzej.

– A jednak! Czym zajmujecie się przez całe dni?

– Chłopaki grają w karty. Juker, remik, poker, pełen wachlarz.

– Stawka ich nie paraliżuje?

– Ma pani na myśli, kiedy trafi im się kareta albo kolor?

– Ależ nie, chodzi mi o świadomość, że w każdej chwili kula armatnia może ich posłać na dno!

– Nie wydaje się, żeby spędzało im to sen z powiek.

– A pan? Co pan robi, żeby zabić nudę?

Nick udał, że się waha.

– Och, równie dobrze mogę powiedzieć pani prawdę: oglądam kodeks.

– Poważnie?

– Ależ tak. Jest niesamowity. Te kolory, te rysunki, aż zapiera dech w piersiach! Mam nadzieję, że rząd go wystawi i że cały świat będzie mógł go podziwiać.

– Ma pan jakieś pojęcie o treści książki?

– Wygląda to jak podręcznik do jakiegoś sportu związanego z piłką. Są tam też tabele z wynikami – chociaż to tylko moje spekulacje – a do tego wizerunki bogów z nietoperzami i węzami na głowach. Ach, no i jest jeszcze dziwaczna postać, która pojawia się prawie na każdej stronie.

– Co w niej dziwnego?

– Ma podwójną twarz, jakby patrzyła jednocześnie przed i za siebie.

Jeśli ten opis przywiódł Gail na myśl figurę rzymskiego boga Janusa, to nie dała nic po sobie poznać. Odwróciła się do kamery.

– Słyszałeś, Frank: Nick Flynn pozostaje głuchy na próby zastraszenia ze strony meksykańskiego rządu. Wytrwa do samego końca, kierując się honorem i miłością do sztuki.

– Dziękujemy, Gail – odrzekł Frank. – Miejmy nadzieję, że nie skończy się to krwawą jatką.

– A jeśli już, to podczas mojego czasu antenowego – cynicznie dodał Jeremy, parodiując Gail.

10

Nazajutrz drugi mail od Niny zasiał w naszej kwaterze głównej panikę. Według informatora Jöro, NOAA – Narodowa Agencja do spraw Oceanów i Atmosfery – spodziewała się, że wyciekła z platformy ropa rozdzieli się na dwie plamy. Jedna podryfuje w stronę wybrzeży Florydy i Luizjany, podczas gdy druga skieruje się ku Jukatanowi i zatoce Veracruz. Meksykanie najwyraźniej nie byli na bieżąco, gdyż nie posiadali najnowocześniejszego systemu obrazowania satelitarnego.

Nina się oburzała: Amerykanie troszczyli się o środowisko jedynie w obrębie własnych granic; nie pofatygowali się nawet, żeby ostrzec sąsiadów przed grożącym im niebezpieczeństwem. Zamierzała wskoczyć w samolot do Meksyku, aby ukazać całemu światu hipokryzję Białego Domu. Jasne, straci dwadzieścia cztery godziny, ale jej konferencja prasowa wywrze większy wpływ, niż gdyby odbyła się w Reykjavíku.

Pobiegłem do Leny, która jadła jabłko przy swoim biurku.

– Masz zabawnych przyjaciół – stwierdziła, przeczytawszy wiadomość od Niny.

Powstrzymałem się przed zauważeniem, że żeby mieć zabawnych przyjaciół, trzeba zacząć od zawarcia jakichkolwiek przyjaźni; to nie był dobry moment, by poróżnić się z Leną.

– Czego tak naprawdę się boisz? – spytała. – Że cię rozpozna? Nie wystawiasz nosa za drzwi.

– Że odbierze nam palmę pierwszeństwa. Ściągnęliśmy do Veracruz czterystu dziennikarzy i to nie po to, żeby wystawili nas do wiatru w chwili, kiedy Nick nieomal osiągnął swój cel. A poza tym boję się, że ona może mieć rację. Co zrobią Meksykanie, jeśli plama ropy skieruje się w stronę „Discovery”?

– Czym prędzej podpiszą kontrakt z Nickiem.

– Albo wyślą gości z GOPES, żeby opróżnili wrak. Tak czy owak, odgrzebią stare zdjęcia satelitarne zatoki.

– Nic nie zobaczą.

– Och, bo ty wiesz, jak działa ich oprogramowanie? I co są w stanie odtworzyć

na podstawie swoich archiwów? Ja nie wiem i nie mam najmniejszej ochoty kusić losu.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Że przez dzień czy dwa powstrzymasz Ninę przed wylotem. Zrób z niej córkę bin Ladena, wymyśl jej podróż do Afganistanu albo członkostwo w młodzieżówce Francuskiej Partii Komunistycznej, wszystko jedno, ale przygwoźdź ją do ziemi!

– Zrozumiano – rzuciła Lena.

Szybko prześledziłem nagłówki w gazetach. Szczęście się do nas uśmiechnęło. Informacje były dziwnie spokojne. Amerykańskie stowarzyszenie skautowskie zgodziło się przekazać osiemnaście milionów dolarów mężczyźnie, który w wieku dwunastu lat padł ofiarą molestowania seksualnego. Biskup Brugii, winny tej samej zbrodni, zadowolił się dymisją, co po raz kolejny podkreśliło przepaść kulturową dzielącą Stary i Nowy Świat. Ormianie obchodzili dziewięćdziesiątą piątą rocznicę ludobójstwa dokonanego na swoim narodzie, o czym media milczały, podczas gdy w Ugandzie osiemdziesiąt osób zmarło po wypiciu podrabianego ginu z bananów.

Bez specjalnej wiary w sukces tego przedsięwzięcia napisałem Ninie, że lepiej zrobi, jeśli zostanie w domu. Jöro nie miało nic do zyskania na mieszanu się w amerykańsko-meksykańskie stosunki. Nie rozumiałem zresztą, jak ropa miałaby skręcić na południowy zachód, biorąc pod uwagę wiatry i prądy morskie w tym rejonie. Nina odpowiedziała w mailu, że jej administratorzy popierają ją bez zastrzeżeń i zlecieli jej „kapitalizację najmniejszej nawet katastrofy celem pozyskania nowych darczyńców”. Załączyła listę plam ropy, które dotarły w dalsze rejony, niż przewidywano.

Rozmyślałem właśnie o godnym taniej powieści zbiegu okoliczności, który mógł zetknąć nas ze sobą, Ninę i mnie, tu, w Veracruz, kiedy Lena zbliżyła się do mojego biurka.

– Być może znalazłam rozwiązanie. Wiesz, że przedwczoraj zamknęli Keflavik?

– Tak, widziałem.

W wyniku zabawnego paradoksu lotnisko w Reykjavíku pozostawało otwarte, kiedy wszystkie europejskie placówki zostały zmuszone do zamknięcia podwoi. Teraz, gdy ponownie je otwierały, Keflavik zawiesił zarówno przyloty, jak i odloty.

– Zawsze może wyruszyć ze Szkocji – zauważyłem. – Czytałem, że Icelandair w dalszym ciągu lata z Glasgow.

– To rzeczywiście jej jedyna szansa. Pozostaje tylko dostać się na Wyspy lotem z Akureyri.

Małutkie lotnisko w Akureyri nagle urosło do rangi centrum przesiadkowego całego transportu północnoatlantyckiego.

– Ile miejsc dziennie? – spytałem, zaczynając rozumieć, do czego Lena zmierza.

– Trudno powiedzieć, bo linie lotnicze dostosowują się do zapotrzebowania. Prawdopodobnie około tysiąca. Może tysiąc pięćset.

– Może też popłynąć promem. Trwa to dużo dłużej, ale to jej nie powstrzyma.

– Połączenie ze Szkocją działa tylko w lecie. Dotarcie aż do Norwegii zajęłoby jej trzy dni, myślę, że to możemy wykluczyć. Na Wyspy Owcze trzeba liczyć dziesięćnaście godzin; stamtąd musiałyby się dostać do Kopenhagi, a potem do Stanów Zjednoczonych.

– A więc twierdzisz, że w tej chwili istnieją tylko dwa sposoby na opuszczenie Islandii: samolotem do Glasgow albo promem na Wyspy Owcze.

Lena wzruszyła ramionami.

– Może też wyczarterować prywatny odrzutowiec albo spróbować swoich sił na desce surfingowej, ale tak, to są jedyne dwie rozsądne opcje.

– Będziesz w stanie wykupić wszystkie dostępne miejsca w ciągu następnych, dajmy na to, dwudziestu czterech godzin?

– Nic prostszego. Masz pod ręką pół miliona?

Dla spokoju sumienia zadzwoniłem do Yakouba. Dał mi zielone światło, nawet nie wysłuchawszy szczegółów naszego planu.

– Nie musisz przedłożyć tego Komitetowi? – spytałem.

– A mam na to czas? Działaj, rozliczymy się później.

Lena wróciła po godzinie.

– Załatwione. Siedemset osiemdziesiąt biletów lotniczych po sześćset pięćdziesiąt dolarów, sześćset miejsc na promie po sto osiemdziesiąt dolarów. Żeby nie pozostawić niczego przypadkowi, wykupiłam też wszystkie miejsca w busie kursującym między Reykjavíkiem a Akureyri.

– Sześćset tysięcy dolarów, żeby zyskać dwadzieścia cztery godziny, tanio to nie jest – zauważyłem.

– Zwłaszcza kiedy pomyśli się, ilu ludzi z przyjemnością strzaskałoby jej kolano za jedną setną tej kwoty – burknęła Lena. – Tak czy inaczej, zdajesz sobie sprawę,

że to jednorazowy wybieg. Jutro, gdy samoloty wystartują puste, linie lotnicze pochyłą się nad swoimi systemami rezerwacji.

– Chodźcie szybko! – wykrzyknął Fernando. – Meksykański rząd zaraz wygłosi oświadczenie.

Zgromadziliśmy się przed jego ekranem nastawionym na lokalny kanał FOROtv. W porcie nasz stary znajomy Bustamante czekał przed lasem mikrofonów na znak do startu.

– Ktoś widzi Gail? – spytała Manuela.

Nikt jej nie odpowiedział. Przyciszyłem dźwięk CNN, gdzie nadawano reportaż o mężczyźnie, który w wyniku pijackiego zakładu połknął widelec. Bustamante wypowiedział po hiszpańsku tych kilka zdań, które sobie przygotował. Fernando tłumaczył na bieżąco.

– W uznaniu zasług przy wiele znaczącym dla naszego narodu odkryciu meksykański rząd postanowił powierzyć zadanie opróżnienia wraku Majów z zatoki Veracruz firmie Discovery spółka z o.o. Gdy operacja ta dobiegnie końca, inne specjalistyczne przedsiębiorstwo, którego jeszcze nie wybraliśmy, zajmie się wydobyciem, a następnie odholowaniem wraku. Jeszcze tego popołudnia skontaktujemy się z „Discovery”, aby sfinalizować umowę. Prezydent Calderón zatelefonował przed chwilą do pana Flynna, żeby osobiście wyrazić swoją wdzięczność.

Po raz drugi w ciągu kilku tygodni padłem Lenie w ramiona. Nick nie doznał jeszcze do końca swoich problemów, ale pokonaliśmy pewien istotny etap. Przez kilka chwil w kwaterze głównej dał wiatr szaleństwa. Manuela klaskała w dłonie niczym podlotek; Liang fotografowała Vijaya, który narysował sobie podkreślane wąsy; Fernando, ze zwilgotniałymi oczyma, wyglądał, jakby trzasnął go piorun.

– Ciii – rzucił Rodolfo. – Będzie odpowiadał na pytania.

– Mam nadzieję, że nie na wszystkie – wymamrotałem.

– Panie Bustamante – zaczęła dziennikarka z Azteki 13 – jeszcze wczoraj traktował pan pana Flynna jak przestępcę i wykluczał możliwość prowadzenia z nim negocjacji. Skąd ta zmiana zdania?

– Nie zmieniliśmy zdania; powtórnie przeanalizowaliśmy nasze stanowisko. Pan Flynn przekonał nas, że jest najlepszym kandydatem do eksploracji wraku.

– Jak mógł was przekonać, skoro z nim nie rozmawialiście?

Bustamante zbył uwagę machnięciem ręki z miną świadcząca, iż arystotelesowska logika nie ma w tej sprawie zastosowania.

– Po przeprowadzeniu wywiadu doszliśmy do wniosku, że jedynie garstka firm posiada wymagane kompetencje. „Discovery” nie tylko znajduje się na miejscu, ale też zaproponowała konkurencyjne stawki.

– Ile będzie kosztowało wydobycie artefaktów? – zapytał reporter z „El Universal”.

– Zna pan proponowane przez pana Flynna ceny równie dobrze jak ja – odrzekł Bustamante oschle.

– Przyznacie mu jakiś bonus, tak jak zasugerował?

– W żadnym razie. Chcę stanowczo podkreślić tę kwestię: meksykański rząd nie zapłaci ani centa więcej, niż to dyktują normy rynkowe.

Udając, że nie dostrzega podnoszących się rąk, zakończył:

– Ale dość już o pieniądzach. To wielki dzień dla Meksyku: okazja, by odnowić więź z naszą historią i zrozumieć, jak żyli nasi przodkowie. To także naprawienie pewnej niesprawiedliwości, jeśli pomyśli się, że wszystkie rzadkie, nienaruszone kodeksy wystawiane są poza naszymi granicami. A skoro jesteśmy przy tym temacie, minister kultury, z którym wkrótce się skontaktuję, zorganizuje obwoźną wystawę artefaktów z przystankami w całym kraju. Dziękuję wszystkim. A teraz jeśli zechcą mi państwo wybaczyć...

Odwrócił się na pięcie i zniknął w budynku urzędu celnego strzeżonym przez dwóch uzbrojonych policjantów. Fernando zapytał mnie, ile rząd zapłacił.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Nie jestem nawet pewien, czy już doszli z Nickiem do porozumienia. Tak czy siak, pewne jest za to, że teraz, kiedy roztrąbili powrót kodeksu, nie mają już w negocjacjach żadnej karty przetargowej. Nie sądzisz, Leno?

Odwróciłem się do Dunki. Pograżona w myślach oglądała telewizję.

– Zastanawiam się przede wszystkim, gdzie się podziała Gail – oznajmiła. – CNN odpuszcza sobie sensacyjny temat? Nie wróży to dobrze.

Wenus z Nowego Orleanu objawiła się ponownie tego samego popołudnia, nadając na żywo z „Discovery”. Nick, który zamienił T-shirt na granatową koszulę, promieniał szczęściem. Na pokładzie uwijało się kilku załogantów; nie było wśród nich Osborne’a.

Carl, jeden ze sławnych prezenterów stacji, pogratulował Nickowi melodyjnym głosem, rezultatem długich lat recytowania wyników meczy bejsbolowych.

– Ach, ten Nick, może się pan szcycić, że napędził nam niezłego stracha!

– Przykro mi, Carl – uśmiechnął się Nick. – Nie było to moim zamiarem.

– Wyobrażam sobie, że czuje pan ulgę.

– Tak, oczywiście, ale przede wszystkim dumę z moich chłopców i z tego, że udało mi się dowieść, że interesy nie wykluczają szacunku.

– Na czym zbudował pan swój sukces w tych negocjacjach?

Nick zmarszczył brwi.

– Od razu panu przerwę, Carl. W tych negocjacjach, jak je pan nazywa, wszyscy okazali się zwycięzcami. Meksyk odzyska unikalne artefakty, moi ludzie otrzymają wynagrodzenie za swój wysiłek, a ja uratuję Łódź.

– No i świetnie – pochwaliła Lena. – Odniósł skromny tryumf.

– Czy adwokaci dyrekcji urzędu celnego już się z panem kontaktowali? – spytała Gail.

– Tak, przesłali mi projekt umowy. Do wieczora powinniśmy się dogadać.

– Tak szybko?

– Ależ tak. Większość zapisów jest relatywnie standardowa. Rząd chce się upewnić, że sfilmujemy wszystkie operacje, że będziemy gotowi na regulaminowe przeszukania, w gruncie rzeczy same bardzo normalne sprawy.

– Czy jest pan rozczarowany, że nie wybrano pana do wyłowienia wraku?

– Nie, nie za bardzo. Do tego nie jesteśmy najlepiej wyposażeni. Chodzi tu o wielce specjalistyczny manewr, który z radością pozostawię profesjonalistom. Nasz zawód polega na wydobywaniu artefaktów i proszę mi wierzyć, odwalimy kawał dobrej roboty!

– Pewnie gratuluje pan sobie tego, że pańska wiadomość została usłyszana...

– Tak. Mam nadzieję, że szeroka publiczność zrozumiała, że nie jesteśmy najemnikami. Pieniądze nigdy nie były dla mnie siłą napędową. A niech mnie, cieszyłem się, że mogę przewracać strony kodeksu jako pierwszy człowiek od Bóg wie kiedy...

– Od czterech miesięcy – wymamrotałem.

– Trzech i pół – poprawiła Lena.

– Wydaje mi się, że jeden z pańskich ludzi chciałby z panem pomówić –

zauważyła Gail.

– Proszę wybaczyć. Co jest, Luis?

Zawstydzony Chilijczyk nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

– Tak sobie z Angolami pomyśleliśmy, że może zwodujemy „Szperacza”, tak tylko, żeby przetestować akumulatory.

– Świetny pomysł. Luis, Eddie i Troy pilotują naszą łódź podwodną – wyjaśnił Nick. – Prawdziwe asy.

Luis poczuł się zobligowany, by zsalutować krótko do kamery.

– To oni wyciągną artefakty? – spytała Gail.

– Nie, zajmą się tym Glenn i Toby.

– Proszę nam przedstawić swoją załogę. Mamy czas, Carl?

– Ile tylko zapragniesz, Gail.

– Zna pani już prawie wszystkich – stwierdził Nick. – Glenn, znajdź mi, proszę, Toby’ego, George’a, Jasona i Connora.

– A Osborne? – rzuciła Lena. – Jak on się teraz nazywa?

– Ray – odparłem. – O ile nie wrzucili go do morza.

– George to nasz dyrektor operacyjny – opowiadał Nick. – To on wypatrzył wrak. Powinni mu postawić pomnik, jeśli chcecie znać moje zdanie!

Zdał sobie sprawę ze swojej gafy. Przy obecnym kursie brązu naturalnej wielkości posąg George’a nieodwracalnie nadszarpnąłby meksykański budżet.

– Jason to nasz kucharz, choć w ostatnich dniach gotował głównie makaron i ryż. Toby, mój rodak, nurek i nawigator; w tej chwili nie ma zbyt wiele do roboty. I wreszcie Connor, pokładowy beniaminek, nasz młody geniusz informatyczny.

– Wspaniała załoga – oceniła Gail, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Nie można też zapomnieć o moim dzielnym Sydzie, dzięki któremu nie noszę kamizelki ratunkowej – dodał Nick, podsuwając nowofundlandowi dłoń do polizania.

– Nie macie mechanika? – dociekał Carl.

– Aj, aj, aj – jęknęła Lena.

Nick się uklonił.

– Do usług.

Lena wydała z siebie westchnienie ulgi.

– Nafaszerowali go czymś i zamknęli w „Szperaczu” – zgadywałem.

– Myślisz?

– To jedyna możliwość. Inaczej Gail by się na niego natknęła.

– Nick – podjął Carl – pański australijski akcent i, powiedzmy to sobie wprost, pański wygląd sprawiły, że otrzymaliśmy masę korespondencji, szczególnie od żeńskiej części publiczności. Pozwoli pan, że w jej imieniu zadam panu pytanie: wiemy, że nie jest pan żonaty, ale czy ma pan narzeczoną, dziewczynę, bliską osobę, której chciałby pan przekazać wiadomość?

– Nareszcie! – ucieszyłem się.

Czekałem na ten moment od tygodnia. Teraz Nick miał wyjąć zdjęcie Gwen, zajmującej się hodowlą delfinów mieszkanki Perth o ładnej buzi i promiennym uśmiechu osoby, która odnalazła swoje miejsce we wszechświecie.

Gail się wyprostowała, słysząc pytanie i wyciągnęła do Nicka mikrofon.

– Nie wiem, czy to odpowiedni czas i miejsce... – zaczął nieśmiałym tonem.

– Oczywiście, że tak! – zawołali chórem Vijay i Manuela.

– Ma na imię Emma. Jest producentką...

– Filmów?

– Filmów, dokumentów, spektakli na żywo...

– Wie pan, że będzie chciała odkupić prawa do pańskiej historii...

– Och, byłbym zaskoczony – odparł Nick. – Na co dzień wymyśla scenariusze takie jak ten. – Przybrawszy nagle poważniejszy wyraz twarzy, dodał: – Mieliśmy wziąć ślub, jeśli wrócę ze skarbem, ale teraz nie wiem, czy nadal będzie mnie chciała.

Carl, który płacił trzem kobietom alimenty, pozwolił sobie na udzielenie matrymonialnej porady.

– Droga Emmo, niech go pani szybko zaobrączkuje!

– Dziękuję, Carl. Mam nadzieję, że pana posłucha.

– Nie ma pan przypadkiem przy sobie jakiegoś zdjęcia?

– Ależ tak, proszę poczekać.

– Dobry Boże, co on zamierza? – wymamrotałem.

Nick wyjął z kieszeni fotografię i odwrócił ją do kamery. Lena wybuchła śmiechem, rozpoznając własną twarz.

– Przecież to ty! – czknął Jeremy.

– Jesteście zaręczeni? – spytała naiwna Bettina.

– Skąd – odrzekła Lena między dwoma atakami śmiechu.

– Ach, ten Nick! – rzuciłem, by ująć incydentowi znaczenia. – Wieczny psotnik.

Gdy tylko Gail zniknęła z anteny, chwyciłem Lenę za ramię i zaciągnąłem ją na klatkę schodową. Nie wiedziałem, co irytuje mnie bardziej: lekkomyślność Nicka czy jego upór.

– O co chodzi z tą historią? – wybuchnąłem.

– Jestem tak samo zaskoczona jak ty.

– Jest coś między wami?

– Mogłabym ci odpowiedzieć, że to nie twoja sprawa, ale nie, absolutnie nic.

– Więc nie wiedziałaś?

– Pewnie, że nie, pamiętasz, zrobił to zdjęcie telefonem w zeszłym roku w Sydney. Skąd mogłam wiedzieć, że każe je wydrukować?

– Co ja powiem Yakoubowi?

– Że po tym, jak spojrział śmierci prosto w oczy, Nick pozwolił sobie na niegroźny wygłup... Zrozumie.

– Niegroźny, trochę za wcześnie, żeby to stwierdzić.

– Tak między nami, na tym etapie status uczuciowy Nicka nie ma już większego znaczenia.

Wiedziałem, że ma rację. Zmieniłem temat.

– Reakcja Gail wydała mi się dziwna.

– Mnie też – przyznała Lena. – Idziesz? Chciałabym coś sprawdzić.

Ruszyłem w ślad za nią do środka.

– CNN zamieściła wywiad na swojej stronie? – zagadnęła Lena, siadając przy biurku.

– Od razu – odparła Liang.

Lena ustawiła nagranie w dwóch trzecich długości.

– ... czy ma pan narzeczoną, dziewczynę, bliską osobę, której chciałby pan przekazać wiadomość? – zapytał Carl po raz drugi.

– Patrz na dłonie Gail – poleciała Lena, wciskając pauzę. – Zaciskają się na mikrofonie.

– Sądzisz, że jest zakochana w Nicku?

– To możliwe.

Lena ponownie uruchomiła film.

– Ma na imię Emma. Jest producentką...

– Tutaj to jeszcze wyraźniejsze – oceniła Lena. – Jej szczęki się zaciskają, nozdrza drżą, jest smutna.

– Smutna? Ależ ona jest wściekła!

Podskoczyliśmy w tym samym momencie.

– On ją posuwa! – wykrzyknęła Lena.

– To nie pozostawia cienia wątpliwości. Ale gdzie? I kiedy?

– Gdzie? W swojej kajucie! A kiedy: tego ranka podczas konferencji prasowej Bustamante.

– Oczywiście, masz rację. Ale czemu to zrobił?

Lena wzniosła oczy do nieba na znak, że już dawno zaprzestała prób zrozumienia mechanizmów męskiej seksualności.

– Bo miał na to ochotę? Bo liczył, że wyciągnie z tego jakieś korzyści? Żeby uspokoić swoich ludzi?

– Nie sądzisz chyba, że mieli ją wszyscy? – spytałem przerażony.

– Nie – odparła Lena. – Pod George'em by nie przetrwała.

11

W przysłanym nazajutrz mailu Nina skarżyła się, że nie znalazła biletu na samolot. Według pracownika linii Icelandair, z którym rozmawiała, samoloty zapełniły się w przeciągu kilku minut. W swojej frustracji Nina zasugerowała, że winą za pióropusz popiołów z Eyjafjallajökull należy obarczyć kompleks petrochemiczny, zapominając, iż podobna erupcja miała miejsce w 1821 roku. Prosiła mnie także o zdanie: czy powinna upierać się przy dotarciu do Szkocji, czy uderzyć w dzwon alarmowy z Reykjavíku? Odpisałem, że jeszcze jeden dzień nie zrobi żadnej różnicy i że w mojej opinii jej apel wywrze większy wpływ, jeśli wygłosi go, stojąc na meksykańskiej plaży.

Nie byłem dumny ze swojego kłamstwa. Ale, jak miała w zwyczaju powtarzać Nina, cel uświęca środki: byłem przekonany, że na dłuższą metę Chupacowie zrobią dla równowagi planety więcej niż jedna plama ropy w tę czy w tamtą.

Eksploracja wraku rozpoczęła się późnym rankiem. Formułowanie umowy nie trwało długo. Dałem Nickowi instrukcje, aby trzymał się paru prostych żądań. Miał, na przykład, okazać się nieprzejednany w kwestiach finansowych: uzgodniliśmy, że będzie domagał się miliona dolarów, a potem przystanie na siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Dwie trzecie tej sumy posłużą do spłacenia australijskich dentystów, którzy sfinansowali ekspedycję; resztą Nick podzieli się z załogą. Obie strony zgodziły się, naturalnie, aby te kwoty pozostały poufne. Oficjalnie Meksyk przekaze Nickowi jedynie sto tysięcy dolarów, premia miała pochodzić zaś z sekretnych funduszy dyrekcji służby celnej.

Rotacja gości na pokładzie na nowo nabrała tempa. W ciągu kilku godzin „Discovery” przyjęła ekipę francuską, brazylijską, chińską, kanadyjską i nowozelandzką. Lolita Ayala, sławna prezenterka Televisy, padła Nickowi w ramiona i długo ścisnęła jego dłonie, mówiąc o „dniu chwały dla Meksyku”. Zabrakło tylko Gail Anderson, choć nie wiedzieliśmy, czy to ona karze Nicka, czy na odwrót.

O osiemnastej Fox News wyemitowała specjalną transmisję zatytułowaną *Połów*

skarbów, nadając na żywo z „Discovery”. Tim Bradshaw, awansowany do rangi „reportera nadzwyczajnego”, kiedy ujawnił wyniki autopsji Michaela Jacksona na dwadzieścia minut przed konkurentami, dzisiaj założył spodnie khaki wyposażone w niezliczone kieszenie, z których, jak należało się spodziewać, w każdej chwili mógł wyciągnąć szwajcarski scyzoryk albo lornetkę. Poprosił Nicka, żeby opowiedział o trwających manewrach, udając, że nie wie, iż przez pokład przewinęło się od świtu już sześć stacji telewizyjnych.

– To bardzo proste – wyjaśnił Nick, wskazując dwóch nurków, którzy kończyli wdziwać skafandry. – Glenn i Toby zejda do wraku. Spędzą na dnie jakieś dwadzieścia minut, a potem wrócą na powierzchnię.

– Pamiętając o przystankach dekompresyjnych – rzekł Bradshaw, który zachował niejasne wspomnienie z kursu nurkowania w Ritzu-Carltonie na Antigui.

– Widzę, że mam do czynienia ze znawcą tematu. Istotnie, zatrzymają się na kilka minut na piętnastu, dziesięciu, pięciu i trzech metrach. Niektórzy koledzy po fachu przestrzegają mniejszej liczby przystanków, ale ja nie podejmuję żadnego ryzyka, gdy chodzi o zdrowie moich ludzi.

– To bardzo dobrze o panu świadczy. Używacie również łodzi podwodnej, nieprawdaż?

– Tak, żeby filmować operacje.

– Doszły mnie słuchy, że nosi ona pewne przezwisko...

– Nazywamy ją „Szperaczem”, bo jest mała, sterowna i wszędzie się wślizgnie.

– Żadnego robota czy chwytaka?

– Nie na tym terenie, nie. Widzi pan, wrak spoczywa w równowadze na swego rodzaju pochyłej wydmie, która... Ale może panu pokażę...

Chwycił leżący na ławce blok.

– Ma pan ołówek?

Bradshaw poklepał się po kieszeniach, żadna nie zawierała czegokolwiek do pisania. Wierny George wręczył szefowi długopis, a ten wykonał szkic i odwrócił go do kamery. Kadłub, wsparty o zbocze, sterczał nad głęboką jamą.

– To cud, że wrak opadł akurat w tym miejscu. Parę metrów w lewo, a stoczyłby się po stoku na samo dno, parę metrów w prawo, a przepadłby w tej szczelinie. Może się to wydać staromodne, ale większe zaufanie pokładam w zręcznych palcach moich chłopców niż w jakimś robocie.

Na te słowa Glenn i Toby założyli maski, usiedli na relingu i fiknęli koziołka w tył. Nick zerknął na zegarek.

– Trzy kwadransy – oznajmił. – Chce pan zobaczyć dzisiejszy łup?

– Z przyjemnością. Jest z nami rzeczoznawca.

Alistair Pritchard, ekspert domu aukcyjnego Christie's, z siedziby Fox News na Manhattanie poddał ocenie tuzin artefaktów, które George ułożył w rzędzie na kocu.

– Naszyjnik z zielonych kamieni; wydaje się w dobrym stanie. Szlif jednak dość toporny. Ach, tutaj mamy coś ciekawszego...

Kamera zatrzymała się na żółtym dysku o średnicy około dziesięciu centymetrów.

– To złoto? – spytał Bradshaw na granicy podekscytowania.

– Bardziej prawdopodobne, że tumbaga, stop złota i miedzi. Nie widzę stąd za dobrze wzoru. Tim, niech pan będzie tak dobry i mi go opisz.

– Przedstawia mężczyznę o nagim torsie z czymś, co przypomina arbuza na udzie.

– A zatem scena z gry w piłkę – podsumował Pritchard. – Majowie zdecydowanie byli pasjonatami sportu!

– Być może wybierali się na gościnny mecz – wypalił Bradshaw z wyczuciem tematu, które charakteryzuje wielkich dziennikarzy śledczych.

Jego żart nie spotkał się z odzewem.

– Co tam jeszcze mamy? – ciągnął Pritchard. – Obsydianowy sztylet, jadeitowy wisior, figurka Chaca...

– Chaca?

– Boga deszczu, który rozrąbuje chmury swoją piorunową siekierą. O, to dziwne...

– Tak? – rzucił Bradshaw, każąc kamerzyście przesunąć obiektyw w stronę kolejnego artefaktu.

– Widzi pan tę płytkę, Tim? Podczas ważnych uroczystości Majowie nosili je przy pasku. Intryguje mnie motyw na tej tutaj; przypomina inną blaszkę odkrytą w grobowcu króla Pakala. To by dowodziło...

– Że gdzieś tu pode mną spoczywają szczątki Pakala?

– Ależ nie, przecież odnaleziono je w sarkofagu! To dowodzi, że nasi

śmiałkowie pochodzą z Palenque, miasta, którym Pakal władał przez blisko siedemdziesiąt lat.

– Jeśli mogę – wtrącił się Nick. – Palenque nie leży nad morzem.

– Szczera prawda. Pomyślmy, gdzie znajdują się najbliższe nadmorskie miasta. Toniná i Pomona leżą w głębi lądu, Tulum jest za daleko... Czyżbyśmy mieli do czynienia z nowym miastem, dziedzicem Palenque? Pakal zmarł w sześćset osiemdziesiątym trzecim roku, a mieszkańcy uciekli z osady w siedemset dziewięćdziesiątym dziewiątym i nigdy nie dowiedzieliśmy się, dokąd poszli...

Pritchard rozgrzewał się w miarę, jak łączył wskazówki, które rozsialiśmy z myślą o nim.

– W Palenque grało się w piłkę? – spytał Nick.

– Jak we wszystkich miastach z okresu klasycznego, choć nie jakoś szczególnie dużo. Mieszkańcy mieli do podziału tylko jedno boisko. Dla porównania w El Tajín było ich osiemnaście, a w Cantonie dwadzieścia cztery!

– Wrak nie może pochodzić z któregoś z tych dwóch miast?

– Och, nie, one przynależą do innej cywilizacji, którą nazywamy klasyczną kulturą Veracruz. Z kolei kodeks, który pan wydobył, wyraźnie pochodzi od Majów.

Nick wzruszył ramionami, by pokazać, że dotarł do kresu swoich możliwości i troskę o rozwiązanie tajemnicy wraku pozostawia historykom.

Pritchard ledwie rzucił okiem na ostatnie artefakty.

– Niezbyt interesujące bibeloty. A jednak o klasycznej fakturze, to się rzuca w oczy. Datacja dostarczy nam więcej szczegółów.

Po palnięciu dwóch pożalowania godnych głupot Bradshaw na nowo podjął inicjatywę.

– Wnioskując z pańskich wypowiedzi, Alistairze, łup z tego pierwszego dnia wydaje się mimo wszystko raczej lichy.

– Rzeczywiście, liczyłem na coś więcej. Żaden z tych artefaktów nie jest unikalny. Meksykańskie muzeum antropologiczne pęka w szwach od jadeitowych naszyjników i noży z obsydianu. Wspaniale byłoby odkryć drugi kodeks.

Na dalszym planie Syd oparł się o reling, gorączkowo machając ogonem.

– Wynurzają się! – krzyknął George.

Kamerzysta przechylił się przez burtę, mając nadzieję dostrzec Glenna

i Toby'ego.

– Gdzie oni są? – zapytał Bradshaw.

– Pod kadłubem – odparł Nick. – Mają ostatni przystanek dekompresyjny. To już nie potrwa długo.

Kilka sekund później dwóch nurków pojawiło się na powierzchni, układając palce w symbolizującą zwycięstwo literę „V”.

– Coś znaleźli! – podekscytował się Bradshaw.

– Spokojnie – usadził go Nick. – Równie dobrze mogą to być muszelki.

Kiedy wciągnięto Glenna na pokład, wręczył szefowi torbę.

– No i? – rzucił Nick.

– Bardzo ładny naszyjnik. I kolejny z tych złotych dysków...

– To nawet nie jest złoto! – przerwał mu Bradshaw poirytowanym tonem.

– Dobra robota, chłopcy – pochwalił Nick niewzruszenie. – Możecie zrzucić skafandry, to wszystko na dziś.

– Już? – zdumiał się Bradshaw.

– Zapada noc. A poza tym potrzebują odpoczynku. Wrak jest delikatny, muszą uważać na każdy swój gest.

Nick zwrócił się do Glenna:

– Ale zrobiliście duże postępy?

– Tak na oko, to połowe mamy za sobom. Rufa jest pokryta algami i innym świństwem, nie będzie to wcale bułka z masłem.

– Powiedz mi, jeśli będziecie chcieli jutro wziąć ze sobą Luisa.

Nick odwrócił się do dziennikarza.

– Widzę, że jest pan rozczarowany, Tim. Dziesięć lat w zawodzie nauczyło mnie trzymać wyobraźnię na wodzy. Ani pan, ani ja nie mamy żadnego wpływu na zawartość tego wraku. Prześpijmy się więc spokojnie, a potem zobaczymy, jaki ciąg dalszy nas czeka. No proszę, a któż to się zbliża?

Od „Guadalupe Victorii” odczepiła się motorówka i uderzyła w bok „Discovery”.

– To celnicy, szefie – oznajmił Glenn. – Uprzedzali, że bedom wpadać co wieczór.

Jeden blok reklamowy później dwóch umundurowanych funkcjonariuszy wkroczyło na pokład.

– Señor Flynn – zaczął ten wyższy rangą. – Porucznik Ramirez, policja celna. Czy będzie pan tak miły i przekaże mi artefakty oraz kodeks, a także całość zarejestrowanych dotąd nagrań?

– Czy mogę zobaczyć pański rozkaz wykonania misji, poruczniku Ramirez? – spytał Nick.

Meksykanin się wyprostował.

– To jakiś żart?

– Nie. Nie mam w zwyczaju powierzać narodowych skarbów pierwszemu, kto się napatoczy.

– Mam tu wojskowy dowód tożsamości – oświadczył Ramirez, wsuwając dłoń pod marynarkę.

– To nie pańską tożsamość podaję w wątpliwość, lecz pańskie uprawnienia. Proszę zadzwonić do swoich przełożonych i poprosić, żeby przysłali panu rozkaz wykonania misji w należytej formie.

Pojąwszy, że nie ma sensu dyskutować, Ramirez oddalił się, żeby zatelefonować.

– Aj, a niech mnie! – wykrzyknął Bradshaw, który nie uronił ani słowa z tej wymiany zdań. – Wziął go pan pod włos!

Nick odwrócił się gwałtownie, jakby zapomniał, że go filmują.

– Czego pan chce Tim? Traktuję swoje obowiązki poważnie. A skoro o tym mowa, czy mógłby pan poprosić swojego kamerzystę, żeby zrobił zbliżenie na twarz porucznika Ramireza? Bardzo dobrze. I na jego towarzysza też, ostrożności nigdy za wiele. W ten sposób w razie jakiegoś przekrętu będziemy mieli wszystko na taśmie...

– Dobry jest – zachwyciła się Lena, gdy Bradshaw zniknął z anteny.

Zażądanie od wojskowego dokumentów w zasięgu rażenia armaty niszczyciela faktycznie wymagało nie lada tupetu. Nick rozochocał się na naszych oczach. W ciągu dwudziestu czterech godzin przeleciał reporterkę CNN, zadeklarował swoją miłość do Leny i zirytował oficera, jakby chciał nam przypomnieć, że mimo łączących nas relacji hierarchicznych i naszych instrukcji, to on jest panem na pokładzie. Po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, czy nasz twór właśnie nie wymyka nam się z rąk.

12

Dowiedziawszy się, że podczas weekendu samoloty startowały w trzech czwartych puste, Nina wynajęła samochód i pojechała do Akureyri, zdecydowana wyruszyć pierwszym lotem. Przewidywała, że dotrze do Veracruz nazajutrz o świcie, a następnie zamierzała zwołać konferencję prasową.

Pocieszyłem Lenę, która rozpaczała, że poległa na powierzonym sobie zadaniu, uprzytomniając jej, że jedynym sposobem na opóźnienie Niny jeszcze bardziej byłoby opłacenie figurantów mających zapełnić samoloty. Zresztą, dorzuciłem, zbliżał się wielki finał. Specjalna emisja Fox News zgromadziła przed telewizorami sześć milionów widzów, cztery do pięciu razy więcej niż w zwykłą niedzielę. Popularność Nicka na portalach społecznościowych osiągała szczyty. Nowofundland Syd pojawiał się zaś wśród najczęściej wyszukiwanych zapytań w Google’u w Wietnamie i Korei („Normalka, chcą go wszamać” – skomentował Vijay).

Nina utrzymywała, że dysponuje „niepodważalnymi dowodami na dwulicowość Obamy”. Nie wydawało mi się jednak, żeby te rewelacje miały nam jakoś zaszkodzić. Moim zdaniem amerykańskie władze wykazywały się chwalebną prawdomównością, nie unikając żadnego pytania i w szczegółach zdając sprawę ze wszystkich prób zatamowania wycieku. Helikoptery mediów otrzymały zezwolenie na latanie nad plamą ropy, która obecnie osiągała sto kilometrów szerokości i przesuwała się w stronę wybrzeży Luizjany. Nikt nie wspominał o istnieniu jakiejś drugiej plamy.

Po spokojnie przespanej nocy Glenn i Toby ponownie włożyli skafandry nurkowe. Pod okiem kamer włoskiej, meksykańskiej, rosyjskiej i japońskiej telewizji wydobyli cztery kolejne sztylety, talerze, dwie łyżki, kolczyk, kilka kamiennych figurek i cienki, wydłużony pugańał z obsydianu inkrustowany jadem. Jedynie ten ostatni przedmiot zwrócił uwagę Alistaira Pritcharda.

– Tim, proszę zrobić zbliżenie na rękojeść. Tak właśnie myślałem. Widzi pan ten grawerunek? Przedstawia Buluca Chabtana, boga gwałtownej śmierci.

– Aha! – zawołał Bradshaw, nagle zainteresowany.

– Jak pan wie, Majowie pełną parą składali ofiary. Na poparcie swoich modłów zabijali mężczyzn, kobiety i zwierzęta. W szczególności więźniowie wojenni byli publicznie traceni. Wielcy kapłani odziani w ceremonialne szaty w strumieniach krwi odcinali im palce i organy płciowe przerażająco ostrym nożem...

– Krótko mówiąc, ten puginał posłużył do zamordowania setek kobiet i dzieci...

– Yyy, może nie do końca tak, ale istotnie mamy do czynienia z bronią ofiarną. Zresztą, proszę mi wyświadczyć przysługę. Tim, widzi pan te małe odpryski jadeitu wzdłuż rękojeści? Byłby pan tak miły, żeby je policzyć?

– Oczywiście – odparł Bradshaw, myśląc sobie, że naprawdę bierze się go za jakiegoś sługusa. – Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, a niech to, nie wiem, czy ten już liczyłem.

– Niech więc pan zacznie od początku. Proszę się przesuwać od dołu do góry – poradził Pritchard, jakby zwracał się do półgłówka.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć i jedenaście! – wykrzyknął tryumfalnie Bradshaw.

Twarz Pritcharda pojaśniała.

– Cudownie! Widzi pan, bóstwa Majów często są powiązane z liczbami. Jedenastka należy do Buluca Chabtana. To nadaje puginałowi, który trzyma pan w ręku, wielką wartość.

– Ile? Milion? Półtora miliona?

– Ależ się pan zagalopował! – rzucił Pritchard ze śmiechem. – Nie, licytacja sięgnęłaby niewątpliwie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Lena gwizdnęła.

– To dwa razy więcej, niż zapłaciłam!

Wieczorem Nick wzbudził dreszcz grozy, ogłaszając, że nazajutrz rano zamierza zakończyć eksplorację.

– Jedna, maksymalnie dwie wyprawy i przekazemy pałeczkę Meksykanom – zwierzył się Bradshawowi, głaszcząc Syda, który oparł mu głowę na kolanach.

Dziennikarz włożył stopę między drzwi.

– Niech pan przyzna, Nick: jest pan rozczarowany. Zaczyna pan od odgrzebania unikalnego w skali światowej kodeksu, a następnie wydobywa pan same bibeloty.

– Powtórzę raz jeszcze, Tim, przypisuje mi pan moce, których nie posiadam.

Wrak zawiera to, co zawiera. Pamiętam pewną misję u wybrzeży Shantou, gdzie odnaleźliśmy chiński statek handlowy z piętnastego wieku. Ładownie były olbrzymie i bardzo trudno dostępne. Wtedy jeszcze sam nurkowałem; musieliśmy z kolegami schodzić dobre pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt razy. No i cóż, może mi pan wierzyć albo nie, to za ostatnią wycieczką zgarnęliśmy najcenniejszy łup: porcelanowy serwis do herbaty z okresu Ming w doskonałym stanie. Eksperti ocenili jego wartość na kilka milionów.

Na szczęście Nick powstrzymał się przed dodaniem, co się stało z rzeczoną porcelaną. Mieliśmy dość zmartwień i bez widma śledztwa ze strony chińskiego wymiaru sprawiedliwości.

Wieczorem zadzwonił Yakoub, zaniepokojony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Czas zadać ostateczny cios. Nie utrzymamy już zainteresowania mediów dużo dłużej, wyławiając ceramikę i utensylia kuchenne.

– Jutro – obiecałem. – Nickowi można ufać. Do tej pory przestrzegał planu co do joty.

Usłyszałem, jak Yakoub dusi się na drugim końcu linii.

– Ach tak? A ten numer z Leną, czyżby to także była część planu?

– Bał się, że z tą hodowczynią delfinów wyjdzie folklor. Nie zaszkodziło mu to, wręcz przeciwnie.

Faktycznie, australijska prasa aktywnie poszukiwała tajemniczej Emmy. Multipleks z Melbourne zaanonsował, że wyświetli jej filmy, choć nikt ich nawet nie widział.

– A gdzie się podziała Gail Anderson? – marudził Yakoub. – Ja tam ją bardzo lubiłem. Ten kłown, którego dali na jej miejsce, nie dorasta jej do pięt.

– Ja też mam nadzieję, że Gail wróci.

– Pójdę się położyć. Ty powinieneś zrobić to samo. Czeka nas ciężki dzień.

Długo przewracałem się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Dałbym sobie za to rękę uciąć, że kilka mil dalej Nick spał jak niemowlę.

13

Nina wylądowała w Veracruz dwudziestego siódmego kwietnia o siódmej rano, zaliczywszy przesiadki w Glasgow, Londynie i Meksyku. Dzięki Lenie wiedzieliśmy, że wynajęła pokój w podrzędnym pensjonacie. Z zasady bojkotowała amerykańskie sieciówki, a nie mogła sobie pozwolić na pobyt w jednym z prestiżowych meksykańskich hoteli, gdzie noc kosztowała równowartość jej miesięcznego czynszu w Reykjavíku.

Wkrótce potem dyrektor Emporio powiadomił mnie, że Nina zarezerwowała na godzinę czternastą salę konferencyjną wyposażoną w mikrofon oraz projektor. Nie traciła czasu. Znając ją, spróbuje teraz zwerbować część spośród setek dziennikarzy zgromadzonych w różnych przybytkach w mieście. Bettina i Yûichiro zaofiarowali, że wezmą udział w konferencji prasowej.

O dziesiątej CNN z wielką pompą zapowiedziała na południe transmisję ostatniego nurkowania z pokładu „Discovery”.

– Twoja przyjaciółka powinna opóźnić swoją konferencję prasową – zauważyła Lena.

– Tak naprawdę, to powinna ją przełożyć na wcześniejszą godzinę. Bo o czternastej nie zostanie już w Veracruz żaden dziennikarz gotów zainteresować się tym, co ma do powiedzenia.

Punktualnie w południe niezrównany Carl przekazał głos Gail Anderson. Dziennikarka, promieniejąc w swoim czerwonym kostiumie dopasowanym do wydatnych warg, ścisnęła Nicka za ramię, jakby chciała mu uniemożliwić ucieczkę.

– Zdaje się, że turkaweczki się pogodziły – zauważyłem.

– Rzeczywiście, jeszcze trochę, a wsadziłaby mu rękę do slipów – odparła Lena z taką powagą, jakby odczytywała godziny pływów morskich.

Rozsądnie zmieniłem temat.

– Widziałaś? Ma dzisiaj dwóch kamerzystów.

– Bez wątplenia po to, żeby lepiej nadzorować Nicka.

– Jaka jest stawka w tym ostatnim zejściu? – zapytał Carl. – Mówi się, że Meksykanie są bardzo zawiedzeni zawartością wraku.

Gail uniosła dłoń do ucha gestem podpatrzonym u Dana RATHERA i Katie COURIC, po czym zaczęła dobrze przećwiczoną tyradę.

– W rzeczy samej, Carl. Urzędnicy, którzy zgodzili się odpowiedzieć na moje pytania, żałują, że ulegli groźbom Nicka FLYNNA. „Sto tysięcy dolarów to wysoka cena za zestaw noży do steków”, oznajmił jeden z nich. Zapomniał dodać, że sam kodeks wydobyty przez załogę „Discovery” wart jest setki razy więcej. Wczoraj Uniwersytet Yale, którego dziekan wydziału archeologii kilkakrotnie wypowiadał się na naszej antenie, zaoferował meksykańskiemu rządowi pięć milionów dolarów za prawo pierwszeństwa w poddaniu kodeksu ekspertyzie.

Wiadomość ta bynajmniej mnie nie przerażyła, wręcz przeciwnie – przepełniła zachwytem. Po pół wieku badań specjaliści z Yale nadal święcie wierzyli w autentyczność mapy Winlandii, fałszywki przygotowanej przez KFR. Gdyby teraz uznali całą rzecz za przekręt, staliby się pośmiewiskiem kolegów po fachu, a przy okazji na nowo rozniecili debatę na temat kosmicznych kosztów nauki na amerykańskich uniwersytetach.

– Rozpowszechnione w internecie zdjęcia kodeksu wzbudziły zaciekawienie lingwistów, którzy nie rozpoznali części z zastosowanych tam hieroglifów. Wciąż słabo znany pismo Majów. Istnieją bowiem tylko cztery kodeksy, o których nam wiadomo, gdyż reszta została zniszczona w wyniku barbarzyństwa hiszpańskich konkwistadorów.

Gail zapomniała dodać, że w tym samym czasie Krzysztof Kolumb i jego ludzie ochoczo torturowali Hiszpanię. Ale czy w ogóle o tym wiedziała?

– Ustalono też, że kilka kart kodeksu przedstawia sceny gry w piłkę, ulubionego sportu Majów. Ogólnie rzecz biorąc, dwie drużyny ścierały się ze sobą, podając sobie ciężką kauczukową piłkę. Przegrani często bywali traceni, któremu to faktowi dyscyplina zawdzięcza przydomek „gry na śmierć i życie”.

– Wyobrażasz sobie coś takiego podczas pucharu Super Bowl? – wtrącił się Carl.
– Peyton Manning dekapitowany na oczach osiemdziesięciu tysięcy ludzi!

– Człowiek, który reklamuje Gillette! – przyłączyła się Gail. – Ale na poważnie, Carl, specjaliści mają nadzieję, że w końcu uda się odtworzyć reguły tej fascynującej gry uznawanej za alegorię kosmogonii Majów.

– Od kiedy to ona używa czterosylabowych słów? – rzuciła Lena.

– Ostatni interesujący motyw kodeksu to postać o dwóch twarzach, której wizerunek zdobi niemal wszystkie strony i nie odpowiada żadnemu spotykanemu dotąd bóstwu. Czyżby chodziło o jakiegoś nieznanego boga? O króla? O mitycznego czempiona, swego rodzaju Rogera Federera gry w piłkę? Zgodnie z hieroglifami, które towarzyszą większości portretów, postać ta nosi miano Chupacana.

– Wiedziałaś, że odcyfrowali jego imię? – spytałam Leny.

– Nie, ale to tym lepiej.

– Waga odkrycia Nicka Flynna znacznie wykracza poza sam kodeks – ciągnęła Gail, jakby recytowała artykuł z Wikipedii. – Palenque i Toniná były dotąd uważane za najdalej na zachód wysunięte miasta imperium Majów. Obecnie historycy nie wykluczają już, że Majowie mogli dotrzeć aż do Veracruz. Toczą się też spekulacje co do daty zatonięcia łodzi. Eksperci, z którymi rozmawiałam, podają widełki czasowe sięgające od siedemset pięćdziesiątego do dziewięćsetnego roku. Profesor Esteban Juarez z Uniwersytetu w Tucson zauważył wczoraj, że położony niedaleko stąd wulkan San Martin wybuchł około roku osiemset dziewięćdziesiątego. Jego zdaniem to mogłoby tłumaczyć, dlaczego łódź tak bardzo oddaliła się od brzegu. „Majowie nie byli ludem żeglarzy”, zdradził mi. „Jedynie wielkie niebezpieczeństwo mogło ich pchnąć na ocean”.

– Esteban zapracował na swoją wypłatę – oceniła Lena.

– A skoro mowa o niebezpieczeństwie, czy kodeks wyjaśnia, dlaczego Majowie przewidzieli koniec świata na dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku?

– Nie, Carl. O dziwo, wygląda na to, że ta kwestia nie niepokoi zbyt wielu naukowców – odrzekła Gail z powagą godną papieża.

– Ach tak? A to szkoda. Chciałbym wiedzieć, czy mogę przestać uważać na cholesterol.

Gail zwróciła się do Nicka, któremu udało się zachować zaciekawiony wyraz twarzy podczas tej pouczającej wymiany zdań.

– Nick, pańscy ludzie zanurkowali tego ranka po raz ostatni. Co znaleźli?

– Grzebień oraz sprzączkę. Ach, no i bardzo ładną miskę.

– Hmm – mruknął Carl. – Nie jest to coś, co zamknie usta złośliwcom...

– Ale pańscy ludzie zauważyli też skrzynię, prawda? – naciskała Gail.

Nick przybrał zawstydzoną minę, jakby za nic w świecie nie chciał wzbudzać fałszywych nadziei.

– Tak, zgadza się. Byli zbyt obładowani, żeby wydobyć ją za pierwszym razem.

– Zerknął na zegarek. – Zresztą, zaraz powinni się wynurzać.

– Czy to prawda, że owa skrzynia przypomina tę, w której znajdował się pierwszy kodeks?

Nick sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo.

– Tak, raczej tak, ale to nic nie znaczy. Tak czy owak, to już ostatnia rzecz. Chłopcy zbadali każdy centymetr kwadratowy wraku.

Carl, który wolałby przegapić zamach na Kennedy’ego, niż zapomnieć o puszczeniu bloku reklamowego, przerwał tę konwersację:

– Zostańcie z nami. Już wkrótce wrócimy do Veracruz, gdzie załoga „Discovery” przygotowuje się do wydobycia drugiego kodeksu pod wyłącznym okiem kamer stacji CNN.

– Imbecyl – wycedziła Lena przez zęby.

Nick wykonał gest protestu, zanim na ekranie zastąpiło go ogłoszenie o cudownym środku przeciwko chrapaniu. Skorzystałem z przerwy, żeby zorientować się w nowinach dotyczących plamy ropy. Teraz już szeroka na sto pięćdziesiąt kilometrów, znajdowała się nie więcej niż kilka kabli od Luizjany. „Na jakich to informacjach może się opierać Nina?” – zastanowiłem się po raz kolejny, kontemplując mapę Zatoki Meksykańskiej.

– Zaczyna się! – krzyknęła Lena.

Gail Anderson przez kilka sekund trwała nieruchomo z mikrofonem w dłoni, zanim zorientowała się, że jest już na wizji.

– Wydarzenia nabierają tempa. Jak widzicie za moimi plecami, na „Discovery” panuje bitewny rozgardiasz. Glenn Truscott i Toby King, dwaj nurkowie, zatrzymali się właśnie na ostatnim przystanku dekompresyjnym na trzech metrach głębokości. W każdej chwili mogą się wynurzyć, trzymając w ramionach skrzynię, która być może zawiera klucze do niektórych spośród największych zagadek ludzkości.

Na dalszym planie George i Luis faktycznie wpatrywali się w powierzchnię wody, podczas gdy Nick kontaktował się przez radio ze „Szperaczem”. Wrażliwy

na atmosferę podekscytowania Syd skakał we wszystkie strony.

Nick wychylił się przez burłę i dał Gail znak, żeby się zbliżyła. Kamerzysta podszedł w samą porę, by uchwycić moment, w którym Toby wychynął na powierzchnię. Australijczyk podniósł maskę i pokazał zwrócony do góry kciuk.

– Mają skrzynię! – zachwycił się George.

I faktycznie, kilka sekund później pojawił się także Glenn, przyciskając do piersi drewnianą skrzynię pokrytą brązowymi algami. Gail wyciągnęła mikrofon w stronę kapitana „Discovery”. Druga kamera w dalszym ciągu skupiała się na Glennie, oferując naprzemienne zmiany perspektywy godne superprodukcji.

– Nick, proszę nam opisać swoją pierwszą reakcję. Z pewnością jest pan bardzo poruszony...

Nick przecesał włosy palcami i potrząsał głową. Wyglądał na oszołomionego, jakby rzeczywistość w końcu do niego dotarła.

– Poruszony... Oczywiście, jestem bardzo poruszony – wybełkotał. – Chciałbym podziękować moim ludziom: Glennowi, George’owi, Toby’emu, Luisowi, Eddie’emu, Troyowi, Connorowi i Jasonowi. I Sydowi, rzecz jasna, mojemu staremu wspólnikowi. Zobowiązałem się do bezproblemowego opróżnienia wraku; dotrzymałem słowa. Kończę tę ekspedycję z podniesioną głową...

– A właśnie, może byśmy tak otworzyli skrzynię – zasugerowała reporterka.

– No nie wiem... Może powinniśmy poczekać na Meksykanów.

– Niech pan da spokój, Nick, nie jest pan ciekaw, co zawiera?

– Ależ tak, oczywiście, ale...

– No już, koniec dyskusji – ucięła Gail. – Zanim zaczniemy, może jakaś krótka przerwa na reklamy, Carl?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, moja droga – zapewnił mistrz ceremonii, a zaraz potem ekran zaatakowała reklama ubezpieczenia samochodowego.

Trwaliśmy w milczeniu, Lena i ja, myśląc o latach pracy i o skomplikowanych intrygach, których zwieńczenie miało nastąpić w ciągu najbliższych kilku minut.

– To wielka chwila – oświadczyłem. – Udało nam się.

– Jeszcze nie całkiem.

– Owszem. Mieliśmy nadzieję, że Nick otworzy drugą skrzynię na oczach całego świata; i tak się stanie. To, co nastąpi później, nie zależy już od nas.

– Trudno mi się z tym pogodzić...

– Dlaczego? Tak naprawdę nie kształtujemy rzeczywistości, a jedynie wprawiamy w ruch siły, które nas przewyższają. Jestem pewien, że Chupacowie odnajdą swoje miejsce w historii u boku innych wielkich cywilizacji. Nie dzięki Nickowi czy Gail Anderson, ale dlatego, że niosą ze sobą ważne przesłanie.

– To miło, że tak mówisz. Wiesz, zdarza mi się myśleć, że oni naprawdę istnieli, że pewnego dnia ktoś odkryje boiska do gry w piłkę na zboczach wulkanu San Martin.

Słowa Leny sprawiły, że pomyślałem o teczkach z neseseru, które materializowały się to tu, to tam. KFR zawsze imitował rzeczywistość; a co, jeśli ta odpłacała mu się, plagiatując nasze najlepsze pomysły? Dobre scenariusze należą do całego świata, tak samo do przypadku, jak do Hollywood, tak do opatrności, jak i do łobuziaków naszego pokroju.

Głos Leny przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Cokolwiek się zdarzy, Sliv, dziękuję ci za pomoc. Bez ciebie nigdy bym tego nie osiągnęła.

– Ależ tak – skłamałem.

– Nie. Historia Chupaców nie ma już nic wspólnego z wersją wyjściową. I nie wspomnę nawet o sposobie, w jaki wyreżyserowałeś odkrycie kodeksu... Nikt inny nie obmyśliłby takiego planu. Swoją drogą, uważam cię za współautora tecki.

– Naprawdę, nic cię do tego nie obliguje – zaprotestowałem ze ściśniętym gardłem.

Lena na długo przycisnęła mnie do siebie. Pachniała lawendą albo jeżynami – nigdy nie potrafiłem rozpoznawać zapachów.

– Hej, zakochani! – zawołał Jeremy. – Znów się zaczyna!

Niechętnie oderwałem się od Leny. Jej oczy były równie wilgotne jak moje.

– No dobrze, to otwieramy to pudło? – spytała z uśmiechem.

To pudło, jak to ujęła Lena, kosztowało nas sześćdziesiąt tysięcy dolarów na czarnym rynku. Mierzyło siedemdziesiąt centymetrów długości i czterdzieści szerokości, wykonano je zaś z cocobolo, czerwonego drewna znanego ze swojej wytrzymałości. Nie miało ani dziurki od klucza, ani innego blokującego mechanizmu, co nie przeszkodziło mu w stawieniu oporu.

– Nie umiem otworzyć – powiedział Nick. – Jest gorzej zachowana niż ta

pierwsza. Drewno napuchło.

– Neeee, to te cholerne muszle – rzucił Glenn.

Nick odwrócił skrzynię do kamery i wskazał fragment przy brzegu pokrywy.

– On ma rację, skorupiaki przyłgnęły do krawędzi.

– One i te algi – dodał Glenn. – Cholerne algi!

– Uważaj na język, Glenn – powiedział mechanicznie Nick.

– Wybacz, szefie.

– Nie można by użyć odrobiny siły? – spytała Gail, której ideologiczny przodek prawdopodobnie niegdyś utłukł rękę Wenus z Milo.

Nick posłał zaniepokojone spojrzenie w stronę „Guadalupe Victorii”.

– Naprawdę sędzę, że powinniśmy poczekać na funkcjonariuszy służby celnej.

Czując, że sensacyjny temat może wymknąć mu się z rąk, Carl podniósł głos:

– No dalej, Nick, dość tego krygowania się, proszę wsunąć pod pokrywę ostrze noża i miejmy to z głowy!

Nick podwinął rękawy koszuli i utorował sobie drogę między wąsonogami. Postępował powoli, uważając, by nie uszkodzić skrzyni.

– Czuję, że odpuszcza – oświadczył ożywionym tonem.

– Telewizja meksykańska przerwała program, żeby nadać materiał z „Discovery” – rzucił Fernando.

– Jakim cudem? – spytała Lena. – Przecież nie mają na miejscu kamer.

– Najwyraźniej piratują sygnał CNN.

– Tak samo w Australii i w Anglii – dodał Jeremy.

– I w Europie Zachodniej – włączyła się Bettina.

– I w połowie Azji – dorzucił Yûichiro.

W tym czasie Gail wypełniała ciszę wewnętrznymi refleksjami o sześciocyfrowej premii, której wkrótce zażąda od dyrekcji stacji.

– Z myślą o widzach, którzy dołączyli do nas w trakcie trwania programu, przypominam, że Nick Flynn, kapitan „Discovery”, przygotowuje się do otworzenia skrzyni sprzed ponad dziesięciu wieków należącej do tajemniczego plemienia Majów. Jest to ukoronowaniem wysiłków Australijczyka, który od dwudziestu lat przemierza oceany w poszukiwaniu zapomnianych skarbów...

Nick odłożył nóż, uchylił wieko i zajrzał do środka. Jego twarz się rozjaśniła i szerzej otworzył skrzynię, w polu widzenia kamery.

– Drugi kodeks! – zawołała Gail wśród oklasków i radosnych okrzyków załogi.

– Nick, proszę go wziąć do ręki i nam opisać – zachęcił Carl.

Australijczyk posłusznie wykonał polecenie.

– Wydaje się, że jest w doskonałym stanie – stwierdził, kartkując kodeks. – Skrzynia ochroniła go przed morską wodą. Ma jakieś dwadzieścia... nie, trzydzieści stron...

– Czy jest podobny do tego pierwszego?

– Nie, nie bardzo. Tamten zawierał liczne rysunki gry w piłkę, a w tym nie ma ani jednego. Tak naprawdę wygląda na to, że poświęcono go tej postaci o dwóch twarzach...

– Chupa Chupsowi – podsunął Carl.

– Chupacanowi – poprawił Nick. – Proszę spojrzeć.

Odwrócił kodeks do kamery, aby pokazać ilustrację w żywych barwach przedstawiającą Chupacana dryfującego nad stylizowanym miastem.

– Według eksperta z telewizji meksykańskiej – odezwał się Fernando, który śledził retransmisję po hiszpańsku na swoim komputerze – Chupacan to bóg, brakujący element kosmogonii Majów, taki, który mógłby wyjaśnić głębokie znaczenie gry w piłkę.

– Tysiąc tweetów na sekundę – poinformowała Manuela.

Schowana za swoim komputerem Lena nie potrafiła już dłużej ukryć emocji. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Dziękuję wszystkim – powiedziałem. – A teraz cisza. Najlepsze jeszcze przed nami.

Od jakiegoś czasu obserwowałem Nicka. Zachowywał się dziwnie. W założeniu miał tryskać dumą i dziękować meksykańskiemu rządowi za współpracę. Zamiast tego mechanicznie przewracał strony kodeksu z nieprzytomnym wyrazem twarzy, jakby padł ofiarą jakiegoś mistycznego doświadczenia.

– O ile Nick nie zapomni roli – wymamrotała Lena, która zauważyła to samo co ja.

– A niech mnie, nie widzi znaków Glenna!

Faktycznie, na dalszym planie pierwszy oficer „Discovery” ze słuchawkami na uszach usiłował zwrócić uwagę swojego szefa. Na szczęście na pomoc przyszedł nam Carl:

– Nick, sądzę, że jeden z pańskich ludzi pana potrzebuje.

Nick otworzył szerzej oczy i rozejrzał się wokół siebie, jakby przebudził się z zamyślenia.

– Dobry Boże, co on odwala?! – wrzasnąłem prawie tak głośno, że mógł mnie usłyszeć. – Pił czy co?

– Bez paniki – uspokoiła Lena. – Wstaje.

Pozbawiona swojej gwiazdy Gail próbowała zebrać reakcje pozostałych członków załogi.

– A zatem, Toby, teraz już może nam pan powiedzieć: jaki mieliście plan na wypadek ataku meksykańskiej armii?

Nie słuchając odpowiedzi Toby'ego i wbijając wzrok w dalszy plan, widziałem, jak Nick zamienia kilka słów z Glennem. Z twarzy kapitana odpłynęły kolory i szybko założył słuchawki.

– Wybacz, że ci przerwę, Gail – wtrącił się Carl, który śledził tę scenę – ale sądzę, że coś się dzieje.

Nick, widząc, że reporterka się zbliża, odwrócił się do niej plecami i osłonił usta dłonią tak, żeby nie dało się słyszeć, co mówi. Mikrofon mimo to zarejestrował kilka pojedynczych słów: wypadek... spadać... przepaść...

Węsząc sensacyjną nowinę, Carl przybrał dramatyczny ton.

– Co się dzieje, Gail? Nick przykleił się do radia, jakby właśnie otrzymał straszliwą wiadomość...

Dziennikarka chętnie przyłączyła się do gry.

– Rzeczywiście, Carl. Atmosfera na pokładzie „Discovery” radykalnie się zmieniła. Nick Flynn kontaktuje się przez radio z łodzią podwodną. Wydaje mi się, że pochwyciłam słowo „wypadek”. Co też mogło się wydarzyć? Na chwilę obecną pozostają nam jedynie spekulacje. Czyżby w „Szperacza” trafiła torpeda meksykańskiej marynarki? Czy jego załoga umiera właśnie w wyniku uduszenia?

– Okropna śmierć, trwająca dużo dłużej, niż nam się wydaje – skomentował Carl.

– A może uszkodzili wrak, co stanowiłoby wielką archeologiczną katastrofę? Ach, poczekaj, Carl, podchodzi do mnie pierwszy oficer „Discovery”. Glenn, czy może nam pan powiedzieć, co się dzieje?

– Chodzi o „Szperacza” – rzekł Glenn, zerkając na kamerę. – Spieprzyli. Kiedy

się podnosili, potrącili wrak...

– Wyobrażam sobie, że straty są znaczne...

– No, chodzi przede wszystkim o to, że wrak leżał se w równowadze na skale. No i teraz wziął i wpadł prosto do wielkiej dziury.

– Ależ to szaleństwo! – wykrzyknął Carl. – Jak doświadczeni piloci mogli popełnić taką gafę?

Gail przetłumaczyła na użytek Glenna:

– Jak mogli zrobić taką głupotę?

– No, bo ten, za ostatnim zejściem Connor poprosił o pozwolenie, żeby przepłynąć się łodziom.

– Connor, młody informatyk? Potrafi też pilotować?

– No nie, i w tym rzecz. Chciał spróbować.

– I pozwoliliście mu przejąć stery? – zatchnął się Carl.

– To moja wina – wyznał Glenn z zawstydzeniem. – Nick nic o tym nie wiedział. Potrząsnął głową, przytłoczony ciężarem swojej winy. Nie dało się nawet mieć mu tego zajścia za złe.

– Nie rozumiem – jęknął. – Dzieciak nie powinien prowadzić. Może Luis dał mu zrobić jednego manewra, no i łubu-du...

Odwrócił wzrok, by ukryć łzy. Gail oświadczyła kategorycznie:

– Mężczyzna, którego słuchacie, to człowiek złamany. Człowiek, który będzie musiał nauczyć się żyć z wyrzutami sumienia i nigdy nie spłaci swojego długu wobec ludzkości...

W tym momencie Nick, który nadal zaciekle dyskutował ze „Szperaczem”, w złości gwałtownie walnął pięścią w ściankę nadbudówki. Gail odwróciła się, podskakując. Ściana kokpitu była wgnieciona; Nick, mimo że dłoń miał we krwi, złorzeczył jeszcze przez jakiś czas, zanim się rozłączył i z wściekłością cisnął słuchawki.

– Uważaj, Gail, on nie jest teraz sobą – ostrzegł Carl, który mniej troszczył się o bezpieczeństwo koleżanki, a bardziej o to, że w razie morderstwa Atlanta mogłaby przerwać program.

Nick gestem poprosił Gail, żeby dała mu chwilę. Owinął dłoń chusteczką, a później, zwrócony plecami do kamery, rozpoczął ćwiczenia oddechowe. Kiedy odzyskał względny spokój, sam podszedł, by odpowiedzieć na pytania.

– Co się stało, Nick?

– Chłopcy wykonali fałszywy manewr. Odpływając, skręcili zbyt ostro i potracili dziób wraku. Kadłub przeważył i wrak wpadł w szczelinę...

– Jakiej głębokości?

Nick wzruszył fatalistycznie ramionami. Krew przesączała się przez jego bandaż i kapała na pokład.

– Trudno stwierdzić. Sto pięćdziesiąt? Dwieście metrów? Problem polega na tym, że rozpadlina jest zbyt wąska, żeby móc zaplanować misję ratowniczą – przynajmniej moim zdaniem; nie jestem profesjonalistą.

– Kto był na pokładzie?

– Luis i Connor, ale to nie ma znaczenia. Ja ich wybrałem, ja jestem odpowiedzialny za ich czyny.

– A jednak, czy było przewidziane, że Connor będzie towarzyszył Luisowi? Wedle naszych informacji nigdy wcześniej nie wsiadł do łodzi podwodnej.

Nick wykonał gest świadczący, że odmawia zagłębiania się w tę kwestię.

– Nie, to nie było przewidziane, ale proszę nie liczyć, że będę szukał kozłów ofiarnych. Luis i Connor to szczerzłoci chłopcy. Ja jestem jedyną osobą odpowiedzialną za tę tragedię.

– Nie, jeśli pilot wykonał błędny manewr... – sprzeciwił się Carl.

– Żeby się tego dowiedzieć, trzeba będzie obejrzeć nagranie...

– Nagranie? – powtórzyli chórem Carl, Gail i kilkoro członków mojej ekipy.

– Ależ tak – rzucił Nick. – „Szperacz” wszystko sfilmował. Takie były warunki umowy.

Materiał z Nickiem otwierającym skrzynię Chupaców obiegł cały świat. Retransmisja zgromadziła sto dwadzieścia milionów telewidzów i sześćdziesiąt milionów internautów. Luis i Connor wyczerpali cały tlen „Szperacza”, zanim ośmielili się wynurzyć na powierzchnię. Nick przyjął ich jednak wielkodusznie, nie okazując ani złości, ani bólu (miał złamaną rękę).

Porucznik Ramirez odebrał kodeks późnym popołudniem. Towarzyszył mu minister kultury, który gorąco pogratulował załodze „Discovery” i próbował pocieszyć jej kapitana, dając do zrozumienia, że tak naprawdę wrak miał jedynie marginalną wartość. Ujrzałem w tym znak, że rząd nie obciąży Nicka odpowiedzialnością i będzie chciał znaleźć w nim raczej sprzymierzeńca niż adwersarza. Kilka minut później komunikat ze strony prezydenta potwierdził, że miałem rację. Felipe Calderón wspominał o „dniu jednoczesnego świętowania i żałoby” i dziękował „pionierom, bez których bezcenne skarby jeszcze przez wieki spoczywałyby na dnie oceanów”.

Przewiezienie artefaktów z Veracruz do Meksyku wywołało sceny poruszenia, jakich nie widziano od czasu Pucharu Świata w 1986 roku. Opancerzony furgon eskortowany przez dwunastu policjantów na motocyklach przejechał Paseo de la Reforma przy wtórze wiwatów. Zatrzymał się przed muzeum antropologii, gdzie od świtu tłoczyły się tysiące patriotów mających nadzieję dostrzec ognioodporne pojemniki zawierające kodeksy.

Powołana ad hoc komisja pod przewodnictwem Juana Pabla Bustamantego orzekła, że wydobywanie wraku, który wpadł w szczelinę jednocześnie zbyt wąską i zbyt głęboką, będzie niemożliwe. Nagrania ze „Szperacza” potwierdziły wersję wydarzeń Nicka. Wyraźnie było na nich widać Glenna, który wyciąga pokrytą warstwą alg skrzynię i unosi kciuk w stronę Toby’ego. Łódź podążała za nurkami, gdy ci się wynurzali, a następnie ponownie zeszła w okolice wraku na ostatnią filmowaną inspekcję, która miała wykazać rządowi meksykańskiemu, że żaden artefakt nie został pominięty. I faktycznie, te dwie czy trzy minuty nagrania, które

komisja zamieściła w sieci po samodzielnym ich obejrzeniu, w niezaprzeczalny sposób dowodziły, że ekipa „Discovery” perfekcyjnie wywiązała się ze swojego zadania.

Ciąg dalszy znaleźliśmy. Zbadawszy kadłub po raz ostatni, „Szperacz” skręca w prawo, żeby okrążyć wrak, który nagle podskakuje – to ogon łodzi podwodnej zawadził o jego dziób. „Szperacz” prędko obraca się wokół własnej osi i kieruje obiektyw na łódź Majów. Ta, oświetlona tak jasno, jakby padały na nią promienie słońca, chybcze się przez kilka sekund, a potem osuwa po zboczach i zjeżdża pięć albo sześć metrów. Skalisty teren hamuje ją, lecz niewystarczająco: łódź, w nierealnej ciszy, wpada w otchłań dziobem naprzód. „Szperacz” przenosi się nad szczelinę, z której wzbija się obłok brązowego piasku. Kiedy tuman opada, rozpadlina ukazuje obiektywowi swoją niezgłębioną paszczę. Wkrótce później nagranie się kończy.

Luis kłął się na wszystkie świętości, że nie przekazał sterów Connorowi. Chciał tylko zrobić dzieciakowi przyjemność, zabierając go na przejażdżkę. Przyznał, że popełnił błąd w pilotażu, ale zdarza się to czasem wszystkim kierującym łodziami podwodnymi. Ten jego przyniósł tragiczne konsekwencje; błagał Świętą Panią o wybaczenie i przeproszał „wszystkich, których rozczarował”. Connor nalegał, by przedstawić swoją wersję wydarzeń. Jego pięć minut sławy potrwali niespełna dwie; Gail skróciła wywiad: nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił Irlandczyk.

Oddźwięk wywołany przez ekspedycję „Discovery” przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania. W kolejnych miesiącach na całym świecie nie było magazynu informacyjnego, który przynajmniej raz nie poświęciłby jej pierwszej strony albo specjalnego numeru z reprodukcjami kart z kodeksów. Entuzjastowali się ludzie w każdym wieku i ze wszystkich warstw społecznych. Narodziny pisma i cywilizacji prekolumbijskiej wprosiły się do programu nauczania w podstawówce. Akademicy organizowali debaty na temat wagi korzeni oraz dziedzictwa kulturowego poszczególnych narodów. Sondaż przeprowadzony w lipcu 2010 roku wykazał, że dwadzieścia trzy procent małych Australijczyków marzy o karierze poszukiwacza skarbów. Popularność Nicka sięgała zenitu wśród nastolatków, którzy byli pod wrażeniem sposobu, w jaki stawiał czoła meksykańskiej armii. Jeszcze dziś zdarza mi się w Szanghaju czy Moskwie spotkać młodych ludzi w koszulkach ozdobionych czerwoną tarczą.

Artyści, nieustannie poszukujący nowych źródeł inspiracji, również sięgnęli do historii „Discovery”. Nick i Chupacan prześcignęli Baracka Obamę i Marilyn Monroe, jeśli chodzi o liczbę portretów wystawionych w 2011 roku na Biennale w Wenecji. Anglik Damien Hirst wykonał rzeźbę Chupacana pokrytą odłamkami jadeitu i obsydianu, na wzór swojej słynnej czaszki wysadzanej diamentami. Zwycięzca szaleńczej licytacji, meksykański milioner, nabył dzieło za osiemnaście milionów dolarów.

Bardziej ezoteryczna instalacja *Do góry nogami* filmowca Jeffreya Stoltenberga opiera się na serii paraleli: pomiędzy idącym na dno wrakiem a upadkiem cywilizacji Majów; między podmorską florą, która powolutku pokrywa kadłub, a otchłanią zapomnienia; między misją ratunkową „Discovery” a mocą pamięci zdolną przywrócić do życia. To bogate w wizualne odkrycia dzieło, które można oglądać w muzeum sztuki współczesnej w San Diego, ukazuje na przykład pewnego tkwiącego we wraku Chupaca, który nacina sobie ramię obsydianowym ostrzem, co przyciąga stado rekinów, które rozrywa go na kawałki. Owo rozczłonkowanie, kręcone pod ośmioma różnymi kątami, wymagało tygodnia zdjęć i dwóch miesięcy montażu. Utrzymana w innym stylu, przyspieszona pięć tysięcy razy sekwencja przedstawiająca przywieranie wąsonogów do ściany skrzyni cieszy się wielkim uznaniem wśród wycieczek szkolnych.

Meksyk, który pozwalał tym niewinnym inicjatywom kwitnąć, pokazał zęby, kiedy amerykańskie studio Electronic Arts ogłosiło wypuszczenie gry komputerowej zatytułowanej *Chupac: El Sacrificio*. Przypominając, że filmowiec do uwiecznienia wieży Eiffla potrzebuje wydanej uprzednio zgody, sędziowie z Veracruz przyznali rządowi „prawo nadzoru nad eksploatacją dziedzictwa kulturowego w celach komercyjnych”. Zapis ten stanowi od tamtego czasu część prawodawstwa w krajach o tradycji romańskiej. Następnie parlament przegłosował ustawę zakazującą producentom jogurtów, firmom wypożyczającym samochody i innym organizatorom turystyki posługiwania się nazwami Chupacan, Quetzalcoatl czy Teotihuacan. Istniejące dłużej niż dwa lata przedsiębiorstwa, których nazwa zawiera słowa „Aztekowie”, „Inkowie” lub „Majowie”, zostały zwolnione z konieczności jej zmiany w wyniku nacisków ze strony Ricarda Salinasa, bajecznie bogatego właściciela grupy medialnej TV Azteca.

Wobec ogólnonarodowego poruszenia, jakie wzbudzili Chupacowie,

meksykański rząd podjął serię inicjatyw zebranych pod wspólnym hasłem *Recuperar nuestra historia* („Odzyskajmy naszą historię”), przekazując między innymi niebagatelne sumy na otwarcie muzeów oraz restaurację prekolumbijskich zabytków. Miliarder Carlos Slim, który swego czasu proponował Nickowi pół miliona dolarów, odblokował stukrotnie wyższą kwotę na sfinansowanie kolejnych wykopalisk archeologicznych.

Jukatan, Honduras i Gwatemala zarejestrowały bezprecedensowy napływ turystów. W pierwszej połowie 2011 roku liczba wykupionych dób hotelowych w stanie Veracruz wzrosła o osiemdziesiąt siedem procent; tylko brak większych możliwości kwaterunkowych tymczasowo ograniczał popyt kolejnych rzesz turystów. W ramach zadośćuczynienia za szorstkość swoich celników Felipe Calderón zaoferował załodze „Discovery” honorowe obywatelstwo meksykańskie. Pięciu z nich przyjęło propozycję, w tym Nick, który – wielce poruszony – odebrał paszport z rąk Lolity Ayali. Skorzystał z okazji, by oświadczyć, że zaczyna kolekcjonować paszporty i zaakceptuje wszystkie oferty złożone przez demokratyczne kraje, pod warunkiem że nie każą mu rezygnować z pozostałych narodowości. Z tego, co ostatnio słyszałem, jest obywatelem siedemnastu różnych państw.

Mimo tego szumu medialnego wciąż niewiele wiadomo o Chupacach. Wykopaliska rozpoczną się dopiero w 2012 roku. Tak jak się spodziewałem, meksykański rząd odrzucił propozycję Yale i powierzył ekspertyzę kodeksów lokalnym znawcom. Jeśli któryś z nich wyraził wątpliwości co do autentyczności dokumentów, Meksykanie nie pozwolili, by dotarły one do uszu szerokiej publiczności. Odszyfrowywanie tekstów postępowało wolno z uwagi na niewiarygodne bogactwo hieroglifów.

Parę rzeczy było jednak pewnych. Pierwszy kodeks w całości poświęcono ulubionemu sportowi Chupaców. Dzielił się na cztery części: spis reguł, kompilację przebiegów pamiętnych rozgrywek, wyniki oficjalnych meczów z ostatnich dwudziestu lat, a także notatki i zalecenia na użytek kapłanów. Biorąc pod uwagę częstotliwość spotkań oraz liczbę uczestniczących w nich zawodników (aż do czterdziestu na mecz, wliczając rezerwowych), historycy prędko doszli do wniosku, że gra w piłkę zajmowała centralne miejsce w życiu Chupaców. Będąc zarazem pojedynkiem sportowym i rozrywką, żywym obrazem i uroczystością religijną,

uosabiała ideał miasta, moment jedności, w którym zarówno gracze, jak i kibice próbowali dowieść, że są godnymi swojego idola.

Drugi kodeks uchylał rąbka tajemnicy właśnie na temat tego bóstwa, którego istnienie do tej pory umykało specjalistom od Ameryki Środkowej. Chupacan był „księciem zgody” – termin ten wyparł zaproponowanego początkowo „boga współpracy”. Jak sugerował jego wizerunek, Chupacan miał oczy dookoła głowy, a zatem obejmował wzrokiem wszystkie punkty widzenia naraz i błyskawicznie je syntezywał. Aby podążyć za jego przykładem, Chupacowie raz w roku zamieniali się miejscami z sąsiadami lub bliskimi. Rytuał ten, znany pod nazwą „dnia zgody”, odbywał się siedemnastego lutego i służył jako wprawka przed pierwszym miesiącem baktunu, podczas którego, jak podawała legenda, każdy człowiek posiada zdolność rozumienia motywacji wszystkich pozostałych. Niewiarygodnym zbiegiem okoliczności, zauważył historyk Esteban Juarez, kolejny baktun miał rozpocząć się 21 grudnia 2012 roku. „Cóż za ironia losu, że data ta, którą rozmaite kasandry przedstawiały jako dzień Apokalipsy, w istocie gloryfikuje życie w społeczeństwie” – napisał Juarez we wstępie dla „New York Timesa”.

Porównując umiejscowienie wraku ze wskazówkami dostarczonymi przez artefakty, eksperci odtworzyli główny zarys historii Chupaców. Gdzieś w pierwszej połowie VII wieku dawni mieszkańcy Palenque musieli osiedlić się we wnętrzu krateru San Martin. Czy uciekali przed jakimś niebezpieczeństwem? Zamierzali założyć nowy kult? Rozwinąć wariant gry w piłkę? Póki co udzielenie odpowiedzi na te pytania wydawało się niemożliwe. Jedyne pewnik stanowiła informacja, że miasto prosperowało, aż liczba mieszkańców sięgnęła pięciu tysięcy, co plasowało je daleko w tyle za takimi metropoliami jak Cobá czy Tikál, ale przed taką na przykład sławną osadą Tulum. Przyrost ludności tłumaczono wysokim współczynnikiem urodzeń, nie tak częstymi ofiarami z ludzi jak w sąsiednich miastach oraz dodatnim wskaźnikiem migracyjnym. Chupacowie byli pokojowo nastawionym ludem; nie pragnęli poszerzać swojego terytorium, a niedogodna lokalizacja, którą obrali, zniechęcała najeźdźców. Żywili się głównie kukurydzą, która rosła na tych użyźnionych materiałem piroklastycznym ziemiach niczym chwasty, ale polowali także na małpy i pekari. Ocean dostarczał im ryb, krewetek, homarów i skorupiaków. Chupacowie posiadali kilka łodzi, których używali do

połowów oraz by zaopatrywać się w wanilię i miód w pobliżu miasta El Tajín. Dwa razy do roku handlarze pieszo wyprawiali się do Palenque lub Bonampak, aby wymienić akcesoria do gry w piłkę – główną gałąź chupaskiego rzemiosła – na worki ziaren kakaowca, które spożywali w ogromnych ilościach.

Gremium złożone z potomków pierwszych osadników troszczyło się o zarządzanie sprawami miasta. Aktywności rekreacyjne pochłaniały jedną czwartą budżetu. Gmina płaciła całemu batalionowi pracowników, których zadaniem było utrzymanie dwunastu boisk do gry w piłkę, a także garstce zatrudnionych na pełen etat sędziów. Podatki, raczej umiarkowanej wysokości, naliczało się w jednoraki sposób od każdego zysku. Oszustwo podatkowe uważano za odrażającą zbrodnię, jeszcze bardziej naganną niż gwałt czy morderstwo. Winnych prowadziło się na smyczy ulicami miasta, gdzie każdy obywatel miał prawo wymierzyć im cios. Śmierć następowała niemal momentalnie; zawodnicy gry w piłkę przed wejściem na boisko wycierali stopy o zwłoki oszustów.

Parę poszlak pozwoliło ustalić moment zagłady Chupaców na końcówkę IX wieku. Wyniki w kodeksie kończyły się na 21 grudnia 889 (10.3.0.11.17 w zapisie Majów). Wszystkie artefakty pochodziły z IX wieku, a datę produkcji najmłodszego z nich (puginału Buluca Chabtana) oszacowano między 870 a 885 rokiem. I wreszcie – a ten ostatni argument uznano za najbardziej przekonujący – wulkan San Martin wybuchł około roku 890; margines błędu wynosi czterdzieści lat. Jak tu sobie wyobrazić, że mieszkańcy krateru przetrwali erupcję, która ważące kilka ton skały podrywała z ziemi niczym żwir? Osiągnięto konsensus co do tego, że na pierwsze pomruki góry Chupacowie zbiegli ze zboczy San Martin, a później rozproszyli się po dżungli. Jedni dotarli nad morze i wdrapali się do łodzi, żeby na wodzie schronić się przed furią wulkanu i – kto wie? – innych, wrogich plemion. Czyżby wsiadło ich zbyt wielu? Czy przez brak doświadczenia podziurawili kadłuby na rafach (nagrania ze „Szperacza” wyraźnie ukazywały dziurę od strony sterburty, choć nie było wiadomo, czy stanowi ona przyczynę, czy konsekwencję zatonięcia)? A może złapała ich burza? Choć wszystkie te hipotezy były równie prawdopodobne, żadna nie wyjaśniała, co się stało z pozostałymi osadnikami. Nawet przy dwudziestu czterdziestoosobowych łodziach na lądzie pozostało przynajmniej cztery tysiące Chupaców. Wykluczone, by mieli wrócić do wulkanu San Martin. Czy znaleźli azyl w innym mieście? Czy zostali zmasakrowani?

A może zatrzymali się z całym dobytkiem gdzieś w dżungli, gdzie przetrwali dziesiątki, a nawet setki lat?

Takie oto pytania frapowały opinię publiczną. Poziom niektórych wypowiedzi na forach sprawiał, że aż mnie zatykało. Ich autorzy, często samouki, szczególnie przyglądali się różnorodnym teoriom, stawiając się na równi ze specjalistami cieszącymi się światową renomą. Wikipedia nauczyła ich tyle o wulkanologii oraz mitologii Majów, by czuli się uprawnieni do sprzecznania się z laureatami Nagrody Nobla. Próbowali tłumaczyć glyfy, na których NSA łamała sobie zęby. Niektórzy apelowali do internautów o datki na sfinansowanie swoich badań.

Hollywoodzkie studia stoczyły zaciekły bój o historię „Discovery”. James Cameron kupił od meksykańskiego rządu prawa do zdjęć nakręconych przez „Szperacza”. Leonardo DiCaprio otrzymał propozycję wcielenia się w rolę Nicka, ale odmówił, uznając, że nie będzie w stanie przyćmić oryginału. Ignacio Vargas wprowadził pierwsze ulepszenie, a mianowicie podzielił film na dwie części w celu zmaksymalizowania zysków. Jeśli pierwszy odcinek przyniesie dochód większy niż miliard dolarów, deklarował nawet, że da radę rozczłonkować kolejną część na jeszcze dwie i tak aż do momentu wyschnięcia źródła. Nick oznajmił, że nie zgodzi się zagrać samego siebie, no chyba że w finałowej scenie pozwolą mu samodzielnie pilotować łódź podwodną. Naprawdę czuł się odpowiedzialny za wypadek ze „Szperaczem”. „Chciałem otworzyć skrzynię na oczach kamer” – wyznał w wywiadzie dla telewizji RAI. „Był to grzech pychy, którego nigdy sobie nie wybaczę”.

Zdawało się, że nowy status globalnej gwiazdy nie jest mu niemiły. Wybierał zaproszenia na wywiady w zależności od tego, czy w pobliżu znajdowały się miejsca do surfowania. Dziennikarzami, którzy zyskiwali prawo, aby go przepytac, często okazywały się kobiety, i to rzadko te najbrzydsze. Jego stawki na rynku doradztwa biznesowego zbliżały się do tych, których żądał Bill Clinton; zgarniał dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za podzielenie się sekretami dowodzenia z ważnymi dyrektorami, którzy przepychali się jak jacyś smarkacze, żeby dać się sfotografować u jego boku.

Ja sam czekałem ponad miesiąc, aż Nick znajdzie chwilę, którą będzie mógł mi poświęcić. Nie wzięwszy pod uwagę ogromu jego sławy, umówiłem się z nim na spotkanie w miejscu publicznym, modnej londyńskiej restauracji, gdzie ciągle nam

przerywano: robił to kelner, który dopełniał moją szklanę z wodą mineralną za każdym razem, gdy miałem nieszczęście upić choćby łyżek, a także admiralarki gotowe na wszystko, byle tylko Nick złożył autograf na papierowej serwetce, wnętrzu ich dłoni, przedramieniu albo jeszcze gdzie indziej.

Nawet zważywszy na okoliczności, Nick wydał mi się tego wieczoru dziwny. Nie potrafił wyjść z roli. Bez cienia dystansu do sytuacji opowiedział mi, jak zakuł mechanika w kajdany, kiedy ten próbował wymusić na nim podwyżkę. „Wyobrażasz sobie?” – rzucił z oburzoną miną. „To ja mu daję szansę uczestnictwa w wyprawie po hiszpański galeon, a ten gagatek grozi, że napuści na mnie straż przybrzeżną? Ani chwili się nie wahałem: porządny cios w łeb, dawka środka usypiającego mogąca powalić orkę i wpakowałem go do »Szperacza«!”. Kiedy zaskoczony zauważyłem, że hiszpański galeon od początku był tylko zasłoną dymną mającą uzasadnić odkrycie wraku, Nick odpowiedział niejasno, co dowodziło, że trochę się pogubił w kolejności zdarzeń.

Skorzystałem jednak z okazji, by zadać mu kilka dręczących mnie pytań. Wyznał, że w ciągu tygodnia straż przybrzeżna groziła mu mandatami, wtrąceniem do więzienia, a nawet – w ledwie zawołanych słowach – egzekucją. „Connor trząśł portkami” – oznajmił Nick. „Nie przestawał jęczeć po irlandzku”. Zastraszanie ustąpiło miejsca obietnicom: oferowali mu pieniądze (meksykańscy celnicy najwyraźniej dysponowali kolosalnymi zasobami – owocem dokonywanych przez nich przechwyceń gotówki i narkotyków) oraz kobiety (pochodzenie tych ostatnich pozostaje z kolei tajemnicą). Nickowi udało się utrzymać swoich ludzi w ryzach tak, żeby napięcie nie uwidaczniało się na antenie, co stanowi dowód, że jego honoraria szkoleniowca nie są tak całkiem nieuzasadnione. Musiał jednak nieco ustąpić i podwoić, a następnie potroić premię, którą załoganci mieli otrzymać w razie sukcesu. Kiedy zapytałem, skąd czerpał pewność, że KFR zapłaci, odparł, że nie dotarł w swoich rozważaniach tak daleko. „Miałem do wyboru albo to, albo chłopcy zamknęliby mnie w »Szperaczu« razem z Osborne’em”. Ostatecznie dostał od rządu milion dolarów w gotówce („Prezydent zadzwonił do mnie, jeszcze zanim podpisaliśmy kontrakt. Też mi negocjator!”). Podzielił łup między swoich ludzi, a własną działkę oddał po kryjomu Osborne’owi, „żeby uniknąć scen”.

Faktycznie przeleciał Gail, „dwa albo może trzy razy, już nie pamiętam”,

w swojej kajucie. Po pierwszym seansie Toby zamontował sobie judasza w ścianie nadbudówki. „Nie miałem wyboru, koleś, była napalona jak diabli. Obmacywała mnie po kątach, podsuwała mi cycki pod nos, prawdziwa z niej kocica! Powiedziałem sobie, że szybciej będę miał to z głowy, jak ją bzyknę”. Miał na tyle dobrego smaku, by nie próbować się skarżyć na swój pełen poświęceń los.

Co najbardziej zaskakujące, na stałe przygarnął Syda. Przełom nastąpił tej sławetnej nocy, gdy nurkowie z „Guadalupe Victorii” przyплыnęli myszkować pod „Discovery”. Nowofundland, opierając się o reling, podniósł alarm szczekaniem. Glenn, wachman, drzemał na ławce. Zerwał się na równe nogi i wypalił w stronę nurków z pistoletu śrutowego. „Gdyby nie on, koleś, Meksykanie zwąchali by pismo nosem” – oświadczył Nick. „To jemu dostały się ostatnie kawałki kielbasy na pokładzie”.

Unikał odpowiedzi na pytania dotyczące swojej przyszłości. Amerykański wydawca Doubleday oferował mu dziesięć milionów dolarów za napisanie wspomnień. UNESCO chciała go zaangażować jako ambasadora, a liberalna partia australijska gwarantowała mu miejsce w parlamencie. Mimo że KFR w dalszym ciągu przelewał mu pensję, gotów byłem się założyć, że Nick nigdy nie wróci do falsyfikacji – w każdym razie nie w formie, którą znał wcześniej i która teraz pewnie wydawała mu się mocno prymitywna. Oznajmił, że chce „surfować i żyć w zgodzie z zaleceniami Chupaców”. Ani razu nie napomknął o Lenie.

Gail Anderson w glorii wróciła do Nowego Orleanu. Hojna premia, którą otrzymała, sprawiła radość jej chirurgowi plastycznemu oraz dilerowi Mercedesa. Wbiła sobie do głowy, że weźmie udział w następnej wyprawie „Discovery”, na wzór reporterów wojennych włączanych do jednostek wojska. Redaktor naczelny wyraził zgodę, Nick okazał się trudniejszy do przekonania.

Jeśli chodzi o Ninę, ponownie skoncentrowała działalność Jöro na Islandii. Jej konferencja prasowa w hotelu Emporio przeszła zupełnie bez echa. Jedyne trzech dziennikarzy stawilo się o wskazanej godzinie, podczas gdy cały świat huczał o niewiarygodnym wypadku „Szperacza”. Nie zniechęcając się, Nina wyjawila swoje domniemane rewelacje: wedle jej źródeł w NOAA druga plama ropy dotrze wkrótce do wybrzeży Veracruz. Jej argumenty ograniczały się tak naprawdę do domysłów. Przez kilka minut w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego kwietnia żadna stacja telewizyjna nie rozpowszechniała zdjęć plamy; był

to znak – nie odważyła się powiedzieć: dowód – iż ta podzieliła się na pół. Zresztą, czy rząd meksykański nie przestawił w tym samym czasie satelitów wycelowanych zazwyczaj w północną część zatoki? Yûichiro, który siedział w głębi sali, nie mógł się powstrzymać przed wyjaśnieniem, że Meksykanie woleli nadzorować „Discovery” niż strefę obstawioną już przez wszystkie organizacje ekologiczne świata. Nina nie chciała odstąpić od swojej wersji. Ogłosiła, że zostanie w Veracruz aż do przybycia plamy ropy; można ją znaleźć w pensjonacie „Magnolie”.

Pięć dni później po cichu zwinęła obóz, kiedy jej informator przyznał, że się pomylił. „Tak bardzo się bał, że Amerykanie spróbują zbagatelizować katastrofę, że nieświadomie przecenił jej rozmiary” – napisała mi po powrocie na Islandię. Za punkt honoru postawiła sobie, by zwrócić Jöro wszystkie koszty podróży.

15

Skorzystałem z dorocznej pielgrzymki na Islandię, żeby wpaść się przywitać z Gunnarem, z którym nie widziałem się od blisko dwóch lat. Tak schudł, że z trudem go rozpoznałem. Niemal odzyskał sylwetkę z młodości; można by pomyśleć, że praca nad grą w piłkę liczy się jako ćwiczenie.

– Aż tryskam zdrowiem! – wygłupiał się, wprowadzając mnie do gabinetu. – Dbam o dietę, wcześniej się kładę i uprawiam sport...

Na widok mojego zdumionego wyrazu twarzy doprecyzował:

– No co, spaceruję. W weekendy robimy sobie z Margrét wycieczki po Heiðmörk. Cóż, nie pokonujemy już całych kilometrów...

– Rozumiem – odrzekłem, wyobrażając sobie Gunnara uzbrojonego w kijki, próbującego nadążyć za piekielnym tempem narzuconym przez małżonkę.

– Słyszałeś? Toronto zawiesiło czerwony alarm.

Gunnar zapominał czasem, że biorę udział w podejmowaniu wszystkich ważnych decyzji w siedzibie głównej.

– Minęły już ponad dwa lata, odkąd neseser zaginął – odparłem, siadając. – Gdyby ktoś chciał użyć go przeciwko nam, dawno by się ujawnił.

– Jak więc wytłumaczyć fakt, że scenariusze w dalszym ciągu się materializują? O, choćby w zeszłym tygodniu Samoa zmieniło strefę czasową... To już który? Dwudziesty z pięćdziesięciu?

Mimo ciekawości, powstrzymałem się przed spytaniem Gunnara, jak zdobył listę znajdujących się w walizce teczek. Zbyt często korzystałem z jego sieci kontaktów, żeby teraz mieć mu za złe, że nadal je podtrzymuje.

– Dwudziesta trzecia – uściśliłem. – Zadaliśmy sobie trud i na nowo otwarliśmy wszystkie odrzucone teczki z ostatnich dziesięciu lat. Połowa w mniejszym lub większym stopniu się urzeczywistniła.

– Połowa? Ale co to znaczy? Że jedynie wyprzedzamy fakty?

– To możliwe... Nie zapominajmy jednak, że scenariusze te nie zostały przyjęte, być może właśnie dlatego, że brakowało im wyobraźni. Po co mielibyśmy

wywoływać jakieś zdarzenia, jeżeli sądzimy, że tak czy inaczej nastąpią?

Zachowałem dla siebie niedorzeczną hipotezę, która przysłała mi do głowy w Veracruz, a mianowicie, że rzeczywistość, gdy nie starczało jej inspiracji, podwędzała czasem nasze najlepsze pomysły. Kiedy przedstawiłem ją Komitetowi, Yakoub i Ching roześmiali mi się w twarz; Martin wytłumaczył mi jak jakiemuś przygłupowi, że rzeczywistość, jako że nie posiada świadomości, nie może tworzyć scenariuszy, a tym bardziej kraść cudzych; jeśli chodzi o Sophie, najeżyła się, ponieważ sądziła, że znowu podważam procedury Głównego Inspektoratu. Tylko Zoe przyjrzała mi się z rozmarzonym wyrazem twarzy, jakby odkryła niespodziewaną stronę mojej osobowości.

– Zrobi mi pan herbaty? – spytałem, by przegnać to przykre wspomnienie.

– Oczywiście. Dostałem paczkę z Yunnan. Będziesz mi musiał powiedzieć, co o niej sądzisz.

Zawsze podziwiałem zdolność enologów czy perfumiarzy do werbalizowania doświadczeń zmysłowych. Djibo potrafił godzinami opowiadać o kolorze malbeca albo bukiecie pétrusa. Bojąc się, że Gunnar weźmie mój brak elokwencji za obojętność, zawsze starałem się z wyprzedzeniem przeczytać opisy herbat, które mi serwował.

– Jaki dokładnie gatunek? – spytałem niby nieuważnie.

– Pure Gold. A niech to, więcej wody!

Poszedł napełnić czajnik. Skorzystałem z okazji, żeby wyjąć telefon i szybko przejrzeć kilka opinii na temat wspomnianej herbaty, koncentrując się na epitetach, które w niepodważalny sposób potwierdzą moją reputację konesera.

– Tak czy owak, to miło, że wpadłeś – uznał Gunnar, wracając.

– Chcę pana prosić o przysługę.

– Ach, tak też myślałem!

Nastawił czajnik i usiadł w fotelu obok mnie.

– Słucham cię.

– No cóż, jak pan wie, gra w piłkę odniosła znaczny sukces...

– Widziałem. W zeszłym tygodniu francuska federacja baskijskiej peloty zorganizowała rozgrywkę na arenie w Nîmes w obecności dziesięciu tysięcy widzów.

– Nieźle. Ale daleko temu jeszcze do spotkań aranżowanych w Meksyku, gdzie

ta gra już dorobiła się grona fanatyków. Wszędzie w kraju powstają drużyny, w Veracruz, w Meksyku, w Meridzie, w Acapulco. Zaczyna się mówić o zorganizowaniu mistrzostw; TV Azteca proponuje dziesięć milionów dolarów za wyłączną transmisję na trzy lata, ale chce zmodyfikować zasady tak, żeby mecze miały w sobie więcej rywalizacji...

– Imbecyle!

– Tak mniej więcej odpowiedzieli im gracze. Jeśli chodzi o nich, nie ma mowy o odstąpieniu od zasad kodeksu. W Stanach Zjednoczonych federacje bejsbolu i hokeja zaproponowały, że wezmą grę w piłkę pod swoje skrzydła. Chcą zbudować jakieś dwadzieścia stadionów na pięćdziesiąt tysięcy osób każdy...

– I zmuszać zawodników do rozgrywania stu meczy rocznie, żeby zwróciła im się inwestycja, jak to się dzieje w NHL⁹? Nie bardzo!

– Co pan sugeruje?

– W Stanach Zjednoczonych? Żeby zacząć od uniwersytetów. Dotrzemy do młodych, którzy przy odrobinie szczęścia będą grali przez całe swoje życie. A poza tym gra w piłkę powinna pozostać sportem amatorskim, jak u Chupaców.

– Poziom może na tym ucierpieć...

– A nawet jeśli, to co? Nie zapominaj, że jeden przeciętny zawodnik nie obciąża drużyny, ponieważ połowę czasu spędza w przeciwnym obozie.

Zagwizdał czajnik. Gunnar zerwał się na równe nogi. Naprawdę odzyskał formę.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał, napełniając dwie filiżanki.

– Że jeszcze o rok czy dwa opóźni pan przejście na emeryturę. Lena i ja zaczynamy pracować nad dalszym ciągiem sagi o Chupacach. Jedna z łodzi przybiła do brzegu gdzieś na Karaibach, na Kubie albo Jamajce. Ocalali zakładają nową kolonię, której nadają nazwę Nowego Chupac albo Chupaquito – Małego Chupac. Populacja szybko wzrasta do kilkuset osób, liczby minimalnej, żeby dało się zorganizować rozgrywki godne tego miana...

– Których wyniki, jak podejrzewam, spisano w kodeksie – dokończył Gunnar, wręczając mi filiżankę.

– Oczywiście. Ale nie możemy się zadowolić kopią pierwszego kodeksu. Chcielibyśmy, żeby ten nowy zawierał więcej rozważań taktycznych dotyczących zmian w drużynach, a także zagrywki o zjawiskowych nazwach, które będą mogli odtwarzać niedzielni gracze.

- Takie jak skok pekari albo pieśń kukurydzy?
- O właśnie. Może trochę bardziej czerpiące z kosmogonii Majów.
- Manewr Kukulkana? Pocałunek Vucuba Caquixa?
- Już lepiej. No więc, co pan o tym myśli?
- Myślę, że możesz na mnie liczyć!
- Może chce pan porozmawiać o tym z Margrét?
- Chyba nie wydaje ci się, że spieszy jej się, żeby zrobić ze mnie emeryta!

Sprawa załatwiona, mówię ci. – Nagle po jego twarzy przemknął cień. – Lena oczywiście wie?

- Ależ tak.

Gunnarowi wciąż trudno było uwierzyć, że jego relacje z Leną się unormowały. Nie widział się z nią od dwóch lat, ale wiedziałem, że regularnie rozmawiają przez telefon.

- Jak oceniasz jej stan? – zapytał.

– Dobrze. A nawet bardzo dobrze. Komitet przywrócił jej wszystkie przywileje. Yakoub dał do zrozumienia, że kiedy Zoe lub Ching przejdą na emeryturę, mogłaby objąć stanowisko którejś z nich, ale odmówiła.

– Szkoda – stwierdził Gunnar z żalem. – Dwoje wychowanków Reykjavíku wśród największych z wielkich, to by było coś.

– To właśnie próbowałem jej wytłumaczyć, ale jej nie interesują ani władza, ani zaszczyty.

- To co ją interesuje?

– Chupacowie. Nie spocznie, póki nie dołączą do Rzymu czy Aten w panteonie antycznych cywilizacji.

- Twoim zdaniem mają ku temu potencjał?

- Sądzę, że tak. Nasza epoka spragniona jest pojednania.

Było za wcześnie, żeby przewidzieć, jaki wpływ na ludzkość wywrą Chupacowie. Za to wpływ, jaki mieli na Lenę, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Dunka nie przestawała się teraz uśmiechać. Zawarła pokój z własną przeszłością. Mniej pracowała, a okazjonalnie spotykała się nawet z kolegami i koleżankami. Yakoub powierzył jej wyedukowanie nowego pokolenia hakerów. Kilka razy w roku wyprawiała się do Krasnojarska, żeby poprowadzić seminarium, o udział w którym bili się pozostali wykładowcy. Rzadko kiedy wracała

z Akademii bez jednej czy dwóch propozycji matrymonialnych. Nasze stosunki definitywnie się unormowały, choć nie obrały kierunku, na który liczyłem. Nie traciłem nadziei, że któregoś dnia Lena w końcu ulegnie mojemu czarowi, lecz miesiące mijały, nie przynosząc bardziej namacalnych efektów niż wyjście do restauracji czy żart na temat naszych nieprzespanych nocy w Dili albo Veracruz.

– Skosztuj herbaty – zachęcił Gunnar, wrywając mnie z marzeń na jawie.

Nadeszła chwila prawdy. Podmuchałem na filiżankę, nadal bardzo gorącą, przyjrzałem się naparowi. Był bardziej pomarańczowy niż złoty, jak napisano w recenzji, którą czytałem. Wziąłem łyk, pozwalając, by rozlał się po całych ustach, jak to robili wielcy sommelierzy.

– No i? – dociekał niespokojnie Gunnar, gdy przełknąłem.

– Mmm, przepyszna. Jednocześnie słodka i subtelna.

– Wyczuwasz słód?

– Słód, morelę, miód. Smak długo utrzymuje się w ustach. Jest tak mocna, że dałaby radę kilku kroplom mleka.

– To mnie nie dziwi. Herbaty z Yunnan cieszą się właśnie taką reputacją.

– Pan nie próbuje?

– Ależ tak. Chciałem najpierw poznać twoje zdanie.

Podniósł swoją filiżankę i zmarszczył brwi.

– Zabawny kolor.

– Prawda? – przytaknąłem, popisując się do granic. – Można by się spodziewać bardziej złocistej szaty.

Gunnar zwilżył wargi, a później upił łyżek.

– Nie czuję słodu. Co jeszcze rozpoznałeś?

– Miód i morelę – odrzekłem, nieco tracąc na pewności siebie.

– Dziwne. Nie wyczuwam ani tego, ani tego. Cytrynę, pomarańczę, owszem, ale miodu na pewno nie.

– Może to zależy od liści.

– Nie opowiadaj głupstw.

Podniósł się i wrócił do biurka.

– No i wszystko jasne. Pomyliłem pudełka.

– Inny gatunek z Yunnan? – spytałem, trzymając kciuki.

– W żadnym razie. – Przeczytał opis producenta: – „Mieszanka czarnych herbat

z Chin i Sri Lanki aromatyzowana bergamotką, cytryną oraz kwiatem pomarańczy”.

– To tłumaczy kolor – stwierdziłem, myśląc, że to jedyna rzecz, która zyskała tym samym wytłumaczenie.

Gunnar spojrział na mnie z ukosa. Coś podejrzewał, ale nie potrafił odtworzyć ciągu wydarzeń.

– Pisz dalej scenariusze – polecił w końcu – bo w świecie krytyki kulinarnej nie czeka cię żadna przyszłość.

– Taki miałem zamiar.

Gunnar usiadł ponownie.

– Nie widzieliśmy się od czasu Veracruz.

– Podobało się panu? – zagadnąłem, wcale zadowolony ze zmiany tematu.

– Czy mi się podobało? Mimo że znałem główny zarys scenariusza, nie mogłem się odkleić od telewizora. A ten Nick, cóż za przedstawienie! To jeden z naszych?

– Ależ tak. Agent drugiej klasy z Sydney, chociaż wątpię, żeby jeszcze zaglądał do biura.

– Cały czas improwizował?

– Mniej lub bardziej. Mimo że przewidzieliśmy dziesiątki scenariuszy – różniących się w zależności od reakcji straży przybrzeżnej, relacji mediów, dynamiki stosunków wśród załogi – wiedzieliśmy, że rzeczywistości zawsze uda się nas zaskoczyć. Stąd waga dopracowania postaci Nicka, zdefiniowania, kim jest i skąd pochodzi. Napisałem mu też kilka uderzających wypowiedzi, które miał gdzieś wpleść za wszelką cenę. Mimo miesięcy przygotowań udało mu się mnie zachwycić. Wyczucie czasu miał nienaganne. Nie wiedzieliśmy, jak długo Meksykanie będą tolerowali jego wyskoki. Nick przeciągał pierwsze kontakty, żeby zyskać dzięki nim na popularności, a następnie przyspieszył tempa po wybuchu platformy i zapewnił nam dokładnie to, co obiecał: otwarcie skrzyni transmitowane na żywo przez wszystkie kanały świata.

– Co się z nim, twoim zdaniem, stanie?

Opowiedziałem Gunnarowi o mojej londyńskiej kolacji z Nickiem.

– Obecnie stanowi jedność ze swoją postacią. Dobrze, jeżeli w ogóle pamięta, że zatrudniliśmy go do odegrania roli.

– Hm. Mówi ci coś nazwisko Archibalda Belaneya? Nie? Był to Anglik, który na

początku ubiegłego stulecia w wieku osiemnastu lat wyemigrował do Kanady. Po krótkim pobycie w Toronto osiedlił się na północy Ontario, gdzie wyuczył się zawodu trapera i strażnika leśnego. Kazał się odtąd nazywać Szarą Sową, a później wymyślił sobie całą indiańską tożsamość. Utrzymywał, że jego ojciec był Szkotem, a matka Apaczką i że przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, by dołączyć do plemienia Odżibwejów, z którymi, jak mówił, łączyły go wartości przodków. W przeciągu dwóch czy trzech lat nauczył się języka Odżibwejów, zapoznał się z ich techniką polowań oraz uprawy ziemi i poślubił jedną z ich dziewcząt. Podczas pierwszej wojny światowej zaciągnął się do kanadyjskiej armii, podając się za Indianina. Przy swojej ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach zwiódł wszystkich bez większych problemów. Raniony w stopę, został ewakuowany do Anglii, gdzie spotkał przyjaciółkę z dzieciństwa, z którą się ożenił.

– Chwileczkę! Sądziłem, że był żonaty z dziewczyną Odżibwejów.

– Najwyraźniej kłamstw nigdy nie było mu za wiele. Po wojnie wrócił do Kanady. W wieku trzydziestu siedmiu lat poznał dziewiętnastoletnią Irokezkę, która poradziła mu, by przelał na papier swoje poglądy dotyczące natury oraz ochrony środowiska, co zrobił w dziele zatytułowanym *Ludzie z ostatniej granicy*. Namawia w nim do zaprzestania polowań na bobry i do ochrony lasów. Wobec sukcesu książki rządowa agencja Parks Canada nakręciła film skupiający się wokół postaci Szarej Sowy i jego totemicznego bobra, Jelly Rolla. Założę się, że nikt, kto ogląda to nagranie, nie ma wątpliwości, że w żyłach bohatera płynie indiańska krew.

– Co się z nim stało?

– Zmarł w wieku pięćdziesięciu lat na zapalenie płuc. Z wojny wrócił jako alkoholik. Ach, prawie bym zapomniał, ożenił się po raz trzeci!

– Kiedy go zdemaskowano?

– Kilka osób, które żywiły pewne wątpliwości, przerwało milczenie po jego śmierci. Wydawcy jego książek zmienili nazwisko autora na okładce, ale w dalszym ciągu je sprzedawali.

Przez kilka chwil w ciszy sączyłem herbatę.

– Piękna historia – uznałem w końcu. – Czemu mi ją pan opowiedział?

– Ponieważ podejrzewam, że twój Nick jest swego rodzaju Archibaldem Belaneyem. Drzemiący w jego wnętrzu charakter lepiej wyraża się poprzez

tożsamość pożyczoną niż przez tę oryginalną. Zdaniem bliskich, Szara Sowa zapomniał, że urodził się jako Anglik. Przegnał z głowy wspomnienia z dzieciństwa i zastąpił je innymi, zrodzonymi z własnej wyobraźni... Krótko mówiąc, zbudował sobie życie, o jakim marzył. Zdaje się, że Nick podąża tą samą ścieżką.

– To możliwe. W Londynie opowiedział mi, jak Syd, kiedy był mały, pływał z delfinami...

– Widzisz? Wiedz jednak, że wcale nie jest mi go żal. Mógł trafić dużo gorzej. – Wstał. – Chcesz spróbować tej herbaty z Yunnan, podczas gdy zadam ci parę pytań o Veracruz?

– Oczywiście – odparłem, podziwiając sposób, w jaki wyraził dwie prośby za jednym zamachem.

– Najpierw wyjaśnij mi, skąd przyszedł ci do głowy pomysł z wrakiem – polecił, ponownie napełniając moją filiżankę.

– Od początku było jasne, że nie możemy zadowolić się samym opowiadaniem historii Chupaców; potrzebowaliśmy dowodów, i to nie tylko w formie obsydianowych sztyletów. Lena twierdziła, że będzie w stanie wyprodukować kodeksy prawdziwsze niż oryginały. Ja z kolei bałem się, czy któregoś dnia sprawa nie wyjdzie na jaw dzięki nowoczesnym technikom datacji, jak w przypadku tego Anglika, Charlesa Dawsona, który w tysiąc dziewięćset ósmym roku trafił na pierwsze strony gazet, utrzymując, że odkrył fragment ludzkiej czaszki, której rozmiar plasował ją między czaszką małpy a *homo sapiens*. Pół wieku później zdano sobie sprawę, że czaszka należała do orangutana, któremu Dawson spiłował zęby, żeby przypominały ludzkie. Naukowcy nieufnie podchodzą do artefaktów, które spadają z nieba, i mają rację. Proszę spojrzeć na podejrzliwość otaczającą kodeks Grolier: od jego pojawienia się minęło czterdzieści lat, a w dalszym ciągu znajdują się specjaliści od Majów, którzy podważają jego autentyczność. Zacząłem się więc zastanawiać nad scenariuszem, w którym władze *a priori* opowiedziałyby się po naszej stronie, w którym eksperci, mający zbadać kodeks, szukaliby raczej powodów do obwołania całej sprawy cudem, a nie oszustwem. Od razu przyszło mi do głowy kilka pomysłów: Nick będzie poszukiwaczem skarbów, kodeksy powinny zostać umieszczone w skrzyniach...

– Sądziłem, że chodziło o ochronę przed wodą morską.

– Tak, to też, ale interesowało mnie przede wszystkim skojarzenie pojęć: kiedy widzi pan poszukiwacza skarbów otwierającego skrzynię, podświadomie zakłada pan, że skrzynia zawiera skarb. Podobnie, gdy Nick oświadczył, że pragnie jedynie zwrotu kosztów, dał tym samym do zrozumienia, że wrak nie jest towarem na sprzedaż. I wreszcie, spodobała mi się wizja artefaktów oczyszczonych przez wodę, wynurzenia się przywodzącego na myśl ponowne narodziny.

– Nigdy nie bałeś się, że Meksykanie was przejrzą?

– Wręcz przeciwnie. Cała brawura planu polegała na tym, żeby wmieszać ich w to na tyle, by nie mogli się już wycofać. Już tłumaczę. Najpierw myślałem, żeby umieścić wrak poza obszarem wód terytorialnych; prędko zrozumiałem, że bez wrogów Nickowi nie uda się wzbudzić zainteresowania mediów. Jak mówi Vargas: „Bez konfliktu nie ma filmu”. Przybliżyłem więc wrak do wybrzeży, by zaraz zdać sobie sprawę, że mój scenariusz przestał działać: skoro Meksykanie mają prawo po swojej stronie, istnieje ryzyko, że Nick wyjdzie na zwykłego, bezwzględniego materialistę. Stąd pomysł, żeby umieścić wrak trzynaście mil od brzegu, wystarczająco daleko, żeby usprawiedliwić Nicka, i wystarczająco blisko, by straż przybrzeżna wskazała na krzywdzące przepisy. Starcie zdawało się ogromnie nierówne: Nick nie tylko jest sam, ale też na dodatek jego przeciwnicy stosują najnikczemniejsze zagrywki. Meksykanie już na początku pokonali się sami. Jeśli odtworzy pan fakty, skonstatuje pan, że to Bustamante jako pierwszy oświadczył, że artefakty bez cienia wątpliwości należały do Majów. Podobny efekt ma miejsce, gdy Calderón mówi o dniu, który na zawsze zapisze się w historii narodu meksykańskiego. My nigdy nie określiliśmy kodeksów mianem „nieocenionych reliktyw” czy „okna na złotą erę Majów” – Meksykanie zrobili to za nas. Od tej pory to oni mają większy niż my interes w tym, żeby świat uwierzył w historię Chupaców. Proszę sobie wyobrazić, jakim staliby się pośmiewiskiem, gdyby okazało się, że zostali nabici w butelkę, rządowe śledztwo, którego zażądałaby opozycja...

– Upokorzenie Calderóna, kryzys turystyki – ciągnął Gunnar. – Tak, zaczynam rozumieć...

– Pewnie zauważył pan, że rządowi eksperci już wydali raport dotyczący artefaktów. Wciąż jednak czekamy na ten na temat kodeksów. Dyrektor muzeum w Meksyku, którego zapytano o to w zeszłym tygodniu, absolutnie poważnie

oświadczył, że „przedłużona ekspozycja na morską wodę fałszuje wskazania sprzętu do datacji”, mimo że skrzynie były hermetyczne, a kodeksy całkiem suche!

Gunnar przez chwilę popijał herbatę. Widziałem, że szuka luki w moim rozumowaniu.

– Tak czy inaczej – odezwał się – bylibyście w kropce, gdyby wrak nie wpadł w rozpadlinę...

Uśmiechnąłem się. Było to pytanie, na które czekałem od początku. Ani Maga, ani Youssef nie pomyśleli, żeby je zadać. Gunnar, ten stary lis, natychmiast odnalazł słaby punkt naszej teczki.

– Wyjściowy plan zakładał zbudowanie łodzi Majów na bazie wraku wikińskiego. To okazało się niemożliwe z wielu rozmaitych powodów: dysponowaliśmy jedynie ograniczonym zapasem drewna, materiały, mocowania, poziomy zasolenia za bardzo się od siebie różniły... Nasi architekci skonstruowali więc replikę wraku wedle technik stosowanych przez Majów, ale przy użyciu nowoczesnych materiałów. Rezultat okazał się wystarczająco bliski oryginałowi, żeby zmylić kamerę, ale eksperta nie zwiódłby nawet na dwie minuty.

– Rozumiem, czemu nie mógł wpaść w ręce Meksykan, ale nie przekonasz mnie, że nie podjęliście cholernego ryzyka. Co byście zrobili, gdyby łodzi podwodnej nie udało się zepchnąć wraku do szczeliny?

Tak bardzo rozkoszowałem się tą rozmową, że pozwoliłem sobie na luksus i nalałem sobie drugą filiżankę herbaty z Yunnan. Teraz wydawało mi się, że istotnie wyczuwam słód i nutkę miodu. Ale może to mózg płatał mi figle.

– Nigdy nie było tak naprawdę mowy o przetransportowaniu wraku do Zatoki Meksykańskiej – wyjaśniłem. – Wiązało się z tym zbyt duże ryzyko: mogło nam się nie udać umieścić wraku w równowadze na zboczu; podwodne prądy albo rekin mogły go przesunąć przed przybyciem „Discovery”; Meksykanie mogli wysłać nurków...

– I zrobili to! Jak to możliwe, że przegapili wrak?

– Nie rozumie pan, co próbuję panu powiedzieć, Gunnarze: w zatoce nigdy nie było żadnego wraku. Wszystkie sceny zostały nakręcone w hollywoodzkim studiu, u przyjaciół Vargasa. Nagrania, które Nick przekazał meksykańskim władzom, były w naszych rękach od sześciu miesięcy.

– Ale dziennikarka CNN widziała kadłub!

– Zdawało jej się, że go widzi, to drobna różnica. Kamerzysta za to nie potrafił go uchwycić.

– Gdzie w takim razie znajdowały się artefakty?

– W sieci przyczepionej do spodu łodzi. Nurkowie schodzili na godzinę czy dwie, a potem brali z sieci artefakt i wynurzali się na powierzchnię.

Gunnar odstawił filiżankę, jakby obawiał się, że zacznie wykonywać niekontrolowane gesty.

– Och, jakie to piękne! – wykrzyknął. – Ale w takim razie załoga była wtajemniczona?

– Nick powiedział im, że pracuje dla handlarza dzieł sztuki, który wszedł w posiadanie kodeksów w sposób nielegalny. Nie mógł ich sprzedać oficjalnie i nie znalazł prywatnego kolekcjonera gotowego zapłacić tyle, ile żądał, postanowił więc zwrócić je meksykańskiemu rządowi. Ponieważ prawnie nie był właścicielem kodeksów, obmyślił plan z fałszywym wrakiem, żeby wziąć opinię publiczną na świadka. Ludzie Nicka byli przekonani, że ten po kryjomu negocjuje z rządem i że jego publiczne zachwyty nad pięknem kodeksu mają jedynie na celu wywindowanie ceny. Gdy Meksykanie w końcu skapitulowali, Nick odkorkował szampana. Przechwalał się przed swoimi chłopcami, że rozbił bank, i każdemu przelał uzgodnioną kwotę powiększoną o hojny dodatek. Ogłosił też, że jego klient będzie dożywotnio wypłacał każdemu z nich dwa tysiące pięćset dolarów miesięcznie. Przy pierwszym przecieku raty zostaną wstrzymane dla wszystkich.

Gunnar po raz kolejny potrzebował chwili, aby przetrwać te informacje.

– Jeśli dobrze rozumiem – rzekł z podziwem – każdy wierzył w inną historię.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Jeszcze trochę herbaty? – spytałem, wyciągając rękę po czajnik.

Posłowie do dwudziestego trzeciego
wydania *Producentów*
(czerwiec 2026)

Przez długi czas niewiele było wiadomo na temat okoliczności, w jakich Anna-Line Thorman napisała trylogię o Konsorcjum Fałszowania Rzeczywistości, oryginalnie opublikowaną w latach 2007–2015 w atmosferze względnej obojętności. Nawet jeśli niektórzy czytelnicy zauważyli, że imiona Lena i Nina tworzą anagram od Anna-Line oraz że Thorman to zlepek słów Thorsen (nazwisko Leny) i Shoeman (nazwisko Niny), doszli do wniosku, że autorka nie potrafiła się oprzeć pokusie, której ulega tylu młodych pisarzy, by wcielić się w swoje postaci.

Dopiero wywiad udzielony przez Thorman w zeszłym roku przy okazji nominacji na stanowisko sekretarza generalnego Narodów Zjednoczonych rzucił nieco światła na głęboko autobiograficzny charakter tych trzech powieści.

Thorman, jak wiemy, urodziła się w Wellington (Nowa Zelandia) w 1972 roku; jej matka była profesorem historii, ojciec pozostaje nieznany. Jako jedynaczka młoda Anna-Line przez całe dzieciństwo spekuluje na temat tożsamości swojego rodzica, rozwijając scenariusze, których różnorodność świadczy o ambiwalencji jej uczuć wobec nieobecnego. Wyobraża go sobie naprzemiennie jako poetę lub dyktatora, handlarza bronią albo astronautę zatrzymanego wbrew woli na stacji orbitalnej. Rozdzwięk ten odnajdujemy w barwnych postaciach ojców obu bohaterek cyklu. Ojciec Niny to święty (bojownik walczący przeciwko apartheidowi pomimo afrykanerskich korzeni, zostaje zabity podczas wyprawy do slumsów), ojciec Leny to drań (bez ostrzeżenia porzuca dom rodzinny i nigdy więcej nie nawiązuje kontaktu z córką).

W 1983 roku matka Anny-Line ponownie wychodzi za mąż za Björna Olgeirssona, islandzkiego marszanda; w następnym roku rodzina osiedla się w Reykjavíku. Wedle powszechnej opinii Olgeirsson (zmarły w 2017) był dżentelmenem, który wychował Annę-Line jak własną córkę. Była wybitną uczennicą, studiowała stosunki międzynarodowe na Uniwersytecie w Reykjavíku, a następnie, dzięki wymianie uniwersyteckiej, w Cambridge. I znowu odnajdujemy elementy z biografii Anny-Line w doświadczeniach jej dwóch bohaterek. Nina

trafia na wspaniałego ojczyma, który opłaca jej studia geograficzne. Z kolei pani Thorsen zamieszkuje z lubieżnym alkoholikiem, który skłania jej córkę do ucieczki. Lena przez kilka lat żyje, tułając się od jednej rodziny zastępczej do drugiej, aż w końcu dostaje stypendium w Cambridge.

Zdaje się, że poza wprowadzeniem faktograficznych zbiegów okoliczności Anna-Line rozdzieliła się w swoim dziele, by za pomocą swoich bohaterów zbadać różnorodne strony własnej osobowości. Nina jest żywiołowa, optymistyczna i zwrócona ku innym. Lena – chłodna i zamknięta w sobie; ponieważ zbyt często doznawała rozczarowań, z trudem obdarza ludzi zaufaniem. A jednak, jak Anna-Line, jak Nina, jest idealistką, która ostatecznie odnajduje spokój ducha, tworząc cywilizację opartą na zgodzie i harmonii.

W 1999 roku Anna-Line, piastująca wówczas stanowisko dyrektorki programu w londyńskim stowarzyszeniu Survival International, u wspólnego znajomego poznaje Sliva Hermannsona. Ten kilka lat od niej starszy absolwent Uniwersytetu w Reykjavíku pracuje dla biura badań środowiskowych Kormák, Pethrus i Bergsson. Ironia młodzińca, jego żywotność i eklektyzm oczarowują Annę-Line. Rozmowa dotyczy Buszmenów z pustyni Kalahari, owego istniejącego od tysiąclecia ludu zagrożonego wyginięciem. Zdaniem Sliva stowarzyszenie Anny-Line popełnia błąd, ukazując temat przetrwania Buszmenów jako kwestię zasad; otrzymałoby znacznie lepsze rezultaty, prezentując ich jako ofiary spisku. „Powinniście wmówić ludziom, że zajmujące się diamentami przedsiębiorstwo De Beers przekupiło botswańskiego prezydenta, by ten wysiedlił Buszmenów z terytorium ich przodków. Gdy De Beers zdementuje plotkę, wyciągniecie z rękawa zagłodzonego dzieciaka, który w swoim zjawiskowym języku opowie, że widział, jak zły biały pan uderza jego dziadka, który odmówił ujawnienia lokalizacji lub odkopania diamentów. De Beers zatrudni agencję do spraw public relations, co zinterpretujecie jako znak, że mają nieczyste sumienie, a cały świat opowie się po stronie waszych podopiecznych”. Anna-Line podziwia brawurę tego planu, lecz wzdraga się przed kłamstwem. Sliv łagodnie się z niej natrzęsa: wszystko wokół niej to jedynie kłamstwo, począwszy od jej obrazu samej siebie.

Młodzi spotykają się ponownie, by stwierdzić, że niemal wszystko ich dzieli. Anna-Line pragnie zmienić świat, Sliv – zostać wspólnikiem w swoim biurze. Ona zjeździła całą Azję, on spędza wakacje na Balearach. Ona nie odkłada ani grosza,

on dywersyfikuje swój portfel. Ale miłość chadza niezbadanymi ścieżkami: Anna-Line wyznaje swoje uczucia w wieczór sylwestrowy 2000 roku. Dostaje kosza.

W ostatnich miesiącach snuto wiele domysłów na temat powodów, które pchnęły Thorman – która wówczas niczego jeszcze nie opublikowała – do porwania się na tysiącpięćsetstronicową powieść. Anna-Line, która odmawia odpowiedzi na pytania dotyczące życia prywatnego, prawdopodobnie ujrzała w pisaniu sposób na przezwycięzenie zawodu miłosnego, wprowadzając samą siebie do tekstu ze smakowitą autoironią, jak choćby w tej barwnej scenie, w której Nina wraz z niewielką bandą pajaców naprawia indonezyjską politykę leśną nad szklanką lemoniady. Nie można też wykluczyć, że Anna-Line chciała na papierze wymazać wady swojego wybranka, czyniąc z protagonisty serii wyidealizowaną, wręcz fantazmatyczną wersję Sliva Hermannsona. Ten pod wpływem pióra autorki zmienia się zatem w niezmordowanego obieżyświata poszukującego sensu życia, podczas gdy zdaniem osób, które go znają, jego zamiłowanie do gry na giełdzie oraz charakter domatora upodabniają go raczej do postaci Gunnara Erikssona.

Thorman nie ukrywa, że posłużyła się swoim literackim dziełem, żeby przetestować *in vitro* swoje przemyślenia na temat świata stowarzyszeń dobroczynnych. Faktycznie, niektóre problemy napotymane przez bohaterów, szczególnie przez Youssefa, przypominają studia przypadku z podręcznika aktywizmu. Czy wolno kłamać w imię zbiorowego interesu? – stawia sobie pytanie Sudańczyk w pierwszym tomie. Czy dobre intencje zwalniają z wszelkiej odpowiedzialności? – zastanawia się z kolei Sliv po fiasku z powołaniem do życia Al-Kaidy. To właśnie próbując odpowiedzieć na te i wiele innych pytań, Thorman, jak sama przyznaje, wyrobiła sobie przekonania, które prowadziły ją przez życie. To, jak Nina na powrót koncentruje działalność Jöro na ochronie islandzkiego środowiska, zwiastuje na przykład jej decyzję, by drastycznie ograniczyć pole aktywności Greenpeace’u, na którego czele stanęła w 2015 roku, tym samym, w którym ukazali się *Producenci*.

Począwszy od tego momentu, Thorman nie musi już podpierać się fikcją. Spisuje swoje refleksje w teoretycznych esejach o elokwentnych tytułach: *Cel uświęca środki* (2017), *Nie łap kilku srok za ogon* (2020), a przede wszystkim *Wnieść się ponad spory* (2023). Ta ostatnia pozycja odniosła globalny sukces. Barack Obama ofiarowuje ją wszystkim swoim gościom. Papież oraz wielu szefów państw dało się

sfotografować z egzemplarzem w ręku. Liderzy związków zawodowych, dyrektorzy organizacji pozarządowych, lokalni posłowie i właściciele firm na całym świecie odkrywają potęgę fundamentalnej recepty Chupaców: „Już sama chęć postawienia się na cudzym miejscu jest postawieniem się na cudzym miejscu”.

W 2021 roku Thorman rezygnuje z Greenpeace’u, aby poświęcić się mediacji w konfliktach. Celuje przede wszystkim w złożone sytuacje, w których spotykają się cztery, pięć lub sześć stron o pozornie sprzecznych interesach. O jej usługi biją się stowarzyszenia, rządy oraz międzynarodowe korporacje. Wybiera najtrudniejsze sprawy, takie jak ustalanie wysokości odszkodowań po wycieku ropy do morza, kontrola internautów nad danymi przekazywanymi reklamodawcom czy oddzielenie się Walonii.

Równocześnie we współpracy z angielskim wydawcą publikuje serię podręczników, które przedstawiają historię świata przez pryzmat konkretnej grupy ludzi: historię widzianą oczyma kobiet, czarnych, Indian, homoseksualistów, niepełnosprawnych i tak dalej. Nabywca jednej książki automatycznie otrzymuje drugą, losowo wybraną.

Kiedy w 2025 roku zostaje mianowana zwierzchniczką Narodów Zjednoczonych, oświadcza zgromadzonym przed jej gankiem dziennikarzom, że pragnie, aby jej kadencja upłynęła pod znakiem zrozumienia drugiego człowieka. Jej mąż, Sliv Hermannson, oraz ich dwie córeczki stoją u jej boku. Nic nie oprze się literaturze.

-
- ¹ Centrum Niezależnych Badań Środowiskowych – (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- ² National Rifle Association (ang.) – Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie, amerykańska organizacja lobbystyczna popierająca m.in. prawo do posiadania broni palnej i korzystania z niej.
- ³ „McCain wkrótce podejmie decyzję o wyborze Liebermana na wiceprezydenta” (ang.).
- ⁴ Kolejne tytuły tłumaczą się następująco: *Starożytni Majowie; Powstanie i upadek cywilizacji w lesie deszczowym; Odczytywanie glifów pisma Majów; Sport na śmierć i życie. Gra w piłkę w Ameryce Środkowej* (ang.).
- ⁵ Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (ang.) – agencja rządu federalnego Stanów Zjednoczonych wchodząca w skład Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej.
- ⁶ Cytat za Biblią Tysiąclecia (tłumaczenie IV), Księga Wyjścia 3,18.
- ⁷ Po francusku pies tej rasy to *un terre-neuve*, dosłownie „nowa ziemia”.
- ⁸ Nick to skrót od Nicholas, czyli Mikołaj.
- ⁹ National Hockey League (ang.) – Narodowa Liga Hokeja w Stanach Zjednoczonych.